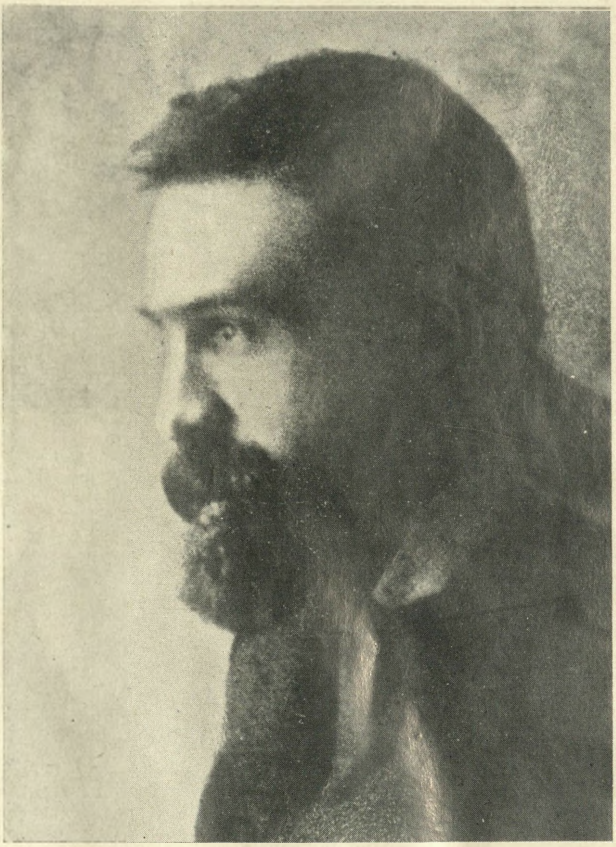
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Inches
Centimetres
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
DANES-PICTA.COM

B II 1804 b

PISMA ZBIOROWE



J. PIŁSUDSKI
w okresie rewolucji 1904—1908 r.

JÓZEF PIŁSUDSKI

PISMA ZBIOROWE

WYDANIE PRAC DOTYCHCZAS DRUKIEM OGŁOSZONYCH

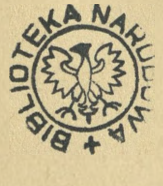
TOM II

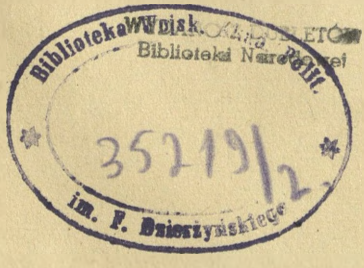
WARSZAWA 1937

INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
POŚWIĘCONY BADANIU NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI



TOM NINIEJSZY ZREDAGOWAŁ,
WSTĘPEM I PRZYPISAMI ZAOPATRZYŁ
LEON WASILEWSKI





OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ TADEUSZ GRONOWSKI
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE

1950 D 760/75 b

WSTĘP

Po ucieczce 13 maja 1901 r. ze szpitala Mikołaja Cudotwórcy w Petersburgu Józef Piłsudski udał się przez Rewel i Rygę na Polesie — do majątku sympatyczki P. P. S. p. Lewandowskiej, Czysto-Łuża, dokąd przybyła też wypuszczona już za kaucją jego żona. W parę tygodni później Józef Piłsudski przyjechał do Kijowa, gdzie odwiedził świeżo zorganizowaną drukarnię «Robotnika». Wkrótce potem oboje Piłsudscy wyjeżdżają przez Zamość i Tomaszów do Galicji. Po pięciotygodniowym prawie pobycie we Lwowie i dziesięciodniowym w Krakowie oboje Piłsudscy osiadają na czas dłuższy w Zakopanem, poczem udają się do Londynu, gdzie mieścił się emigracyjny ośrodek P. P. S. — jej Komitet Zagraniczny. Tu, na dalekim północno-zachodnim przedmieściu -- Leytonstone, w małym pokoiku lokalu partyjnego przy ulicy Colworth Road nr 67, na tzw. «Lingwoodzie» (nazwa domu, w którym mieściły się — zecernia, skład wydawnictw, archiwum i sekretariat zagraniczny P. P. S.), Piłsudski znalazł się w końcu listopada 1901 r. Jednakże stały pobyt na emigracji londyńskiej nie nęcił J. Piłsudskiego. W miejscowych pracach zagranicznej organizacji P. P. S. bierze on tylko dorywczy udział, występując na paru zebraniach, natomiast prowadzi ożywioną korespondencję z szeregiem towarzyszy emigrantów i z organizacją krajową. W tym czasie (w końcu stycznia 1902 r.) wysyła na zaproszenie redakcji pisma rosyjskiego «Swoboda» artykuł «Samowładczy gospodarze Polski», a na początku kwietnia opuszcza Londyn, udając się do Galicji. Po krótkim pobycie w Krakowie i Lwowie jedzie nielegalnie do zaboru rosyjskiego, gdzie przystępuje do prac, związanych z reorganizacją partii. Niebawem już jednak widzimy go znowu w Galicji, gdzie osiedla się na stałe. Mieszkając w zimie w Krakowie, w lecie w Zakopanem, odbywa częste wycieczki kon-

spiracyjne za kordon, do zaboru rosyjskiego, gdyż po powrocie do czynnego życia politycznego z natury rzeczy wysuwa się znowu na naczelne stanowisko w partii i silnie oddziaływa na jej rozwój organizacyjny i ideologiczny.

Galicja w tych czasach staje się bazą operacyjną dla wszystkich bez wyjątku grup politycznych, działających nielegalnie na gruncie zaboru rosyjskiego. Wpływ socjalistów polskich z Galicji i przede wszystkim Ignacego Daszyńskiego w Wiedniu gwarantował emigrantom polskim w Galicji, nie mieszającym się czynnie do miejscowego życia politycznego, prawo azylu. To też w Galicji — w Krakowie i we Lwowie — zogniskowały się wszystkie, dawniej prowadzone zagranicą, roboty polityczne P. P. S. Do Krakowa został przeniesiony «Przedświt» londyński, w Krakowie funkcjonował konspiracyjnie Komitet (względnie Wydział) Zagraniczny P. P. S., w Krakowie i we Lwowie skupiały się coraz liczniejsze grupy emigrantów z zaboru rosyjskiego, którzy wytworzyli tu tajne sekcje Oddziału Zagranicznego P. P. S. Na gruncie galicyjskim odbywały się narady i konferencje partyjne, stąd wyjeżdżali do «kraju» (jak nazywano zabór rosyjski) emisariusze i funkcjonariusze partyjni, tu chronili się przed aresztowaniem skompromitowani działacze.

Wkrótce po powrocie z kilkotygodniowego pobytu w zaborze rosyjskim Józef Piłsudski zajął się redagowaniem nowego organu partyjnego «Walka», specjalnie przeznaczonego dla Litwy, a powstałego z jego inicjatywy. Nie tylko go redagował, ale wypełniał prawie w zupełności swymi artykułami i notatkami trzy pierwsze numery.

Przebywanie w Galicji emigrantów z zaboru rosyjskiego stykało ich bezpośrednio z miejscowymi działaczami Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska. Stąd wzajemne oddziaływanie przedstawicieli polskiego ruchu socjalistycznego dwóch zaborów. Nie mając możności brania jawnego udziału w pracy organizacyjnej towarzyszy galicyjskich, uchodźcy z zaboru rosyjskiego zasilali swymi artykułami i informacjami prasę miejscową i, utrzymując stosunki osobiste z kierownikami ruchu, informowali ich o charakterze i celach rewolucji w zaborze rosyjskim, uzyskując ich pomoc moralną tak wobec opinii polskiej, jak i w Międzynarodówce. Pod tym względem bardzo doniosłe skutki pociągnęły za sobą stosunki

Józefa Piłsudskiego z najwybitniejszym przywódcą ruchu galicyjskiego, posłem do parlamentu austriackiego Ignacym Daszyńskim. Oddziaływanie bowiem na niego dawało maksimum wpływów na całą jego partię oraz zapewniało poparcie P. P. S. w obozie międzynarodowym, ceniącym Daszyńskiego jako wybitnego parlamentarzystę socjalistycznego w Austrii.

Bliska styczność z socjalistami polskimi w Galicji pobudziła Józefa Piłsudskiego do umieszczania prac publicystycznych w ich wydawnictwach. Tak w «Promieniu» zjawił się jego artykuł «Jak stałem się socjalistą», w «Kalendarzach Robotniczych» drukowało się kilka artykułów i wspomnień, wreszcie w organie codziennym Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska — krakowskim «Naprzodzie» — ukazała się seria felietonów o warunkach walki rewolucyjnej pod caratem, wydana później w oddzielnym tomie («Bibuła»).

Wybuch wojny japońskiej skierowuje działalność J. Piłsudskiego na nowe tory, co się odzwierciadla w jego korespondencji z tego okresu (list do Komitetu Zagranicznego P. P. S. z końca lutego 1904 r.). Z planu wyzyskania dla rewolucji w Polsce sytuacji wojennej wynikała konieczność porozumienia się z rządem japońskim. Józef Piłsudski udaje się tedy w ostatnich dniach maja 1904 r. przez Londyn, Liverpool, Nowy Jork, Chicago, San-Francisco do Japonii. Dn. 8 lipca 1904 r. Józef Piłsudski wraz z Tytusem Filipowiczem stanęli w Yokohamie, nazajutrz zaś w Tokio. Dn. 11 lipca Józef Piłsudski wręczył urzędnikowi japońskiego ministerstwa spraw zagranicznych Kawakami opracowany w drodze memoriał o sytuacji w Rosji i znaczeniu kwestii polskiej dla Japonii.

Po powrocie z Japonii przez Kanadę i Londyn do kraju okres pierwszej rewolucji rosyjskiej 1905—1906, jak i dobę reakcji porewolucyjnej Józef Piłsudski spędził również w Galicji, skąd wyjeżdżał raz po raz na czas krótszy czy dłuższy do zaboru rosyjskiego, bądź jako członek Centralnego Komitetu Robotniczego P. P. S., bądź jako kierownik Organizacji Bojowej i uczestnik odbywających się tam konferencyj i zjazdów. W tym okresie Józef Piłsudski wywiera olbrzymi wpływ na charakter i sam przebieg walki rewolucyjnej w zaborze rosyjskim. Na konferencjach partyjnych, poczynając od 5-tej Konferencji C. K. R. z 17—20 października 1904 r. w Krakowie, na Radzie partyjnej z czerwca 1905 r., na I konferencji

bojowej w Krakowie z 5—12 lipca 1906 r., na VIII i IX zjazdach P. P. S. J. Piłsudski wygłaszał dłuższe przemówienia, zabierał dorywczo głos w dyskusji, stawiał wnioski i rezolucje, zadawał pytania i udzielał odpowiedzi. Wszystko to było mniej lub bardziej dokładnie protokółowane, lecz protokóły te, zachowane w Archiwum P. P. S., nie były dotychczas ogłaszane drukiem w całości. W pracach Wł. Pobóg-Malinowskiego, przede wszystkim w t. II jego monografii «Józef Piłsudski» protokóły te zostały wyzyskane, o ile dotyczyły osoby Józefa Piłsudskiego i potrzebne były autorowi do jego celów konstrukcyjnych. Jednakże wszystkich tych cytat, przytoczonych przez Wł. Pobóg-Malinowskiego, nie można było traktować analogicznie do reszty materiałów, wypełniających «Pisma Zbiorowe». Pomijając już ich fragmentaryczność i niedokładność w bardzo wielu wypadkach, pochodzącą z niedość ścisłego protokółowania, stanowią one ułamki, najczęściej bardzo drobne, większych całości i bez podania tych całości nie mogą być należycie zrozumiane. Wobec takiego stanu rzeczy nie uznaliśmy za możliwe przytaczanie tych fragmentów, odbiegających zasadniczo pod względem swego charakteru od wszystkiego, co ogłasza niniejsze wydawnictwo.

Z tego samego okresu rewolucyjnego pochodzi parę dokumentów, odzwierciadlających poglądy Józefa Piłsudskiego na istotę, charakter i cele Organizacji Bojowej, której był kierownikiem. Dokumenty te są przeważnie związane z IX (wiedeńskim) zjazdem P. P. S., odbytym w listopadzie 1906 r. Na zjeździe tym uwydatnił się w całej jaskrawości antagonizm między Organizacją Bojową a ówczesnym kierownictwem P. P. S. Zjazd ten był widownią rozłamu partyjnego, który nastąpił wskutek postawienia poza obrębem partii Organizacji Bojowej. Do usuniętych «poza obręb partii» członków Organizacji Bojowej przyłączył się szereg delegatów poszczególnych okręgów i działów pracy partyjnej, ustępując ze zjazdu i zakładając odrębną organizację w postaci Frakcji Rewolucyjnej P. P. S. W ich imieniu została odczytana przez Józefa Piłsudskiego deklaracja, najprawdopodobniej przez niego ułożona. W związku z usunięciem «poza obręb partii» członków Organizacji Bojowej znajduje się też «Deklaracja złożona przez Delegatów Konferencji Bojowej na dziewiątym Zjeździe P. P. S.». Pomimo, że jest ona niewątpliwym wyrazem po-

glądów również Józefa Piłsudskiego, nie przedrukowujemy jej w tekście niniejszego tomu, gdyż z samego jej brzmienia wynika wyraźnie, że jest owocem pracy zbiorowej. Tak samo nie przedrukowaliśmy wydanej zaraz po IX zjeździe broszury «W sprawie Organizacji Bojowej Polskiej Partji Socjalistycznej» (1906, Wydawnictwo Wydziału Bojowego P. P. S., 8-ka, str. 38). Broszura ta obejmuje — poza wyżej wymienionymi deklaracjami — na str. 5—23 artykuł, wyjaśniający stanowisko zasadnicze Organizacji Bojowej wobec całokształtu zagadnień partii. Jakkolwiek treść tego artykułu najniewątpliwiej odpowiada ówczesnym poglądom Józefa Piłsudskiego, to jednak dotychczasowe badania stylu artykułu i okoliczności, towarzyszących jego powstaniu, nie pozwalają stwierdzić z całą stanowczością, że jest to praca Józefa Piłsudskiego. Dlatego też, nie przesądzając wyników dalszej wszechstronnej analizy tego artykułu, nie uznaliśmy za możliwe przedrukować go w niniejszym zbiorze. Natomiast podajemy przedruk artykułu «Polityka Walki Czynnej» z «Trybuny» krakowskiej. Jakkolwiek artykuł ten, podpisany przez T-z (Tytusa Filipowicza), nie wyszedł bezpośrednio spod pióra Józefa Piłsudskiego, to jednak — jak wiemy z relacyj T. Filipowicza i A. Śliwińskiego — był on inspirowany i przejrzany przez niego, tak, że musimy Józefa Piłsudskiego uznać tu za właściwego autora artykułu, tym bardziej, że oddaje on zupełnie ściśle ówczesne jego poglądy. Po rozłamie w P. P. S., dokonanym na zjeździe wiedeńskim, i utworzeniu się Frakcji Rewolucyjnej, Józef Piłsudski przebywał częściowo w zaborze rosyjskim, częściowo w Galicji, gdzie brał udział w życiu skupiającej się tam emigracji P. P. S. Trzy listy jego do Ignacego Boernera, zamieszczone w tym tomie, świadczą o jego zainteresowaniu się losem poszczególnych rozbitków stłumionego ruchu rewolucyjnego.

W dobie upadku ruchu rewolucyjnego w zaborze rosyjskim po latach 1906—1907 Józef Piłsudski mieszkał w Galicji, dojeżdżając nielegalnie do zaboru rosyjskiego. W tym czasie odbywa się poszukiwanie nowych dróg dla wznowienia ruchu pod dawnym, odrodzonym, hasłem niepodległości i nadawanie mu nowych form organizacyjnych. Nastroje i poglądy J. Piłsudskiego w tym czasie odbijają jego listy (do dra Witolda Jodki i dra Feliksa Perla), umieszczone w tym to-

mie. Zwłaszcza list ostatni, pisany przed wyprawą bezdańską (we wrześniu 1908 r.), jest niezmiernie charakterystyczny. Skonkretyzowanie ówczesnego stanowiska J. Piłsudskiego zawiera jego artykuł «Jak mamy się gotować do walki zbrojnej», wydrukowany w nrze 226 «Robotnika» z r. 1908.

Do tomu «Pism Zbiorowych» Józefa Piłsudskiego weszły w układzie ściśle chronologicznym wszystkie prace z lat 1901—1908, w ten czy inny sposób ogłoszone dotychczas. Treść tego tomu różni się od zawartości t. II «Pism - Mów - Rozkazów» tym, że 1) przeniesiono do t. III przedruk 2-ch broszur — «Geografja militarna Królestwa Polskiego» oraz «Zadania praktyczne rewolucji w zaborze rosyjskim», jako ogłoszone już po r. 1908 i stanowiące owoc pracy Józefa Piłsudskiego w nowym, porewolucyjnym okresie, 2) włączono materiał, nieznany w czasie drukowania «Pism - Mów - Rozkazów», a podany w tomie dodatkowym, wydanym w r. 1936 i 3) dodano artykuł «Polityka walki czynnej» z «Trybuny» 1906 r., deklarację delegatów ustępujących z IX zjazdu P. P. S. i 3 listy do Ignacego Boernera.

Leon Wasilewski

SAMOWŁADCZY GOSPODARZE POLSKI

«Swoboda» nr 2, str. 79—90 z 1902 r.

«Swoboda», pismo rosyjskie dla robotników, wychodziło w Genewie w 1902 r. Redaktorem jego, jak również założycielem grupy, w imieniu której było wydawane (grupa «Swobody»), był Eugeniusz Zieliński (pseudonim literacki L. Nadieżdin). Zajmował on stanowisko pośrednie między socjalnymi demokratami a socjalistami rewolucjonistami rosyjskimi. Zwolennik teroru, Nadieżdin, był przeciwnikiem tendencyj centralistycznych w ruchu rosyjskim i stawał bez zastrzeżeń po stronie polskich dążeń niepodległościowych. W grudniu 1901 Nadieżdin zwrócił się listownie do Komitetu Zagranicznego P. P. S. w Londynie z prośbą nadesłania do «Swobody» ogólnego zarysu ówczesnego stosunku rządu carskiego do Polski. J. Piłsudski, przebywający wówczas w Londynie po ucieczce z Petersburga, podjął się napisania takiego artykułu i — po wymianie kilku listów — nadesłał jego rękopis do Genewy. Artykuł był pisany po polsku i został wydrukowany w ostatnim numerze «Swobody» w tłumaczeniu Włodzimierza Dzwonkowskiego, zaprzyjaźnionego osobiście z Nadieżdinem. Artykuł przytoczony w tekście został przetłumaczony z przekładu rosyjskiego z pierwodruku, przechowywanego w bibliotece im. Lenina w Moskwie i ogłoszony w nrach 12 i 13 «Pionu» r. 1934 w artykule Wł. Pobóg-Malinowskiego «Z pod pyłu zapomnienia». Tamże została wyzyskana korespondencja J. Piłsudskiego z Nadieżdinem w sprawie artykułu.

Sto lat temu mocarstwa sąsiednie gwałtem zniszczyły byt niepodległy Rzeczypospolitej Polskiej — w wyniku tych wypadków większa część Polski została przyłączona do Rosji, do państwa, rządzącego się na zgoła innych zasadach — samowładztwa carskiego.

Nowi gospodarze zniszczyli przede wszystkim konstytucję polską, to znaczy ustawy o swobodach konstytucyjnych, przywilejach i prawach obywateli do udziału w rządzeniu państwem. Co prawda, konstytucja ta, tak samo, jak wszystkie współczesne konstytucje europejskie, nadawała zbyt mało praw całemu narodowi — udział w rządzeniu krajem brać mogła tylko szlachta, stanowiąca zaledwie ósmą część ludności.

W ciągu ostatnich jednak lat istnienia Rzeczypospolitej Polskiej, pod wpływem rewolucji francuskiej, przedsięwzięto próby rozszerzenia konstytucji, rozpowszechnienia prawa do udziału w rządzeniu Polską innym warstwom społecznym oraz zmniejszenia ciężaru pańszczyźnianej zależności włościan.

Z chwilą przyłączenia Polski do Rosji próby te — rzecz jasna — nie mogły być kontynuowane — w kraju podbitym ustać musiało wszelkie życie polityczne; co więcej — język, religia, zwyczaje i obyczaje, wszystko ulec musiało najrozmaitszym prześladowaniom, aby przestać być polskim.

Jest rzeczą zrozumiałą, że Polacy nigdy nie mogli czuć się dobrze w warunkach, narzuconych im przemocą. Uczucia ich — to uczucia człowieka, na którego domostwo dokonano zbójeckiego napadu.

Cała historia narodu polskiego — zarówno w stuleciu ubiegłym, jak i teraz — to historia najbardziej dzikiej samowoli i ucisku z jednej, a bohaterskiej walki z drugiej strony. Każde pokolenie wytężało swe siły, żeby się uwolnić od ciężkiego i hańbiącego jarzma. Powstania polskie wybuchały jedno za drugim, oddzielały je jedynie lata uporczywej pracy przygotowawczej. Ostatnie z tych powstań, najkrwawsze i najbardziej bohaterskie — powstanie 1863 r., trwało dwa lata.

Żadne jednak z tych powstań nie zostało uwieńczone powodzeniem. Lud pracujący w Polsce — z braku świadomości — brał zbyt nieznaczny udział w ruchu, prowadzonym głównie przez warstwy wykształcone, zaś ciemnota narodu rosyjskiego, była dla cara bezdennym źródłem sił do tępienia powstańców polskich. Bezsilność rewolucji polskiej i moc rosyjskiego samowładztwa wypływały zawsze z jednego i tego samego źródła — zbyt niskiego poziomu rozwoju obydwóch narodów.

Po każdym powstaniu, stłumionym z niewiarogodnym okrucieństwem, przychodziły nowe, jeszcze cięższe prześladowania Polaków. Przybrały one znacznie na sile po r. 1863 — carowie nie żałowali największego napięcia energii, aby tylko usunąć z Polski ducha polskiego i przekształcić w niej wszystko na «rosyjskie».

Nie mając tu możności zastanawiać się nad tym, jak w ciągu wieku posuwała się w tym kierunku praca rządu, będziemy mówili tu tylko o dniu dzisiejszym.

* * *

Cała polityka rządu rosyjskiego w Polsce, tak samo zresztą, jak i na innych kresach państwa rosyjskiego, przesiąk-

nięta jest całkowicie tendencjami rusyfikacyjnymi. Innymi słowy — polega ona na tym, że się stwarza w kraju nową klasę uprzywilejowaną — «prawosławnych Rosjan» i wszystko, co jest rosyjskie, otaczane jest specjalną opieką rządu, wszystko zaś, co polskie, jak już mieliśmy sposobność nadmienić, wdeptuje się w błoto, poniewiera się i plugawi, skazuje się na najbardziej dzikie, okrutne i bezsensowne prześladowania.

Weźmy dla przykładu jakąkolwiek kolej żelazną. Z chwilą, gdy przechodzi ona w ręce rządu, wszyscy pracownicy-Polacy tracą posady, ustępując miejsca Rosjanom — nawet stróżowie stacyjni i zwrotniczy. Język polski usuwany jest z zewsząd — wszystkie napisy na budynkach stacyjnych, w wagonach, wszystkie obwieszczenia muszą być napisane w języku, niezrozumiałym dla większości ludności — większość nie zna przecież języka rosyjskiego. Jeśli na stanowiskach niższych — konduktorów, maszynistów itp. — częściowo pozostali jeszcze Polacy, to zabrania się im mówić po polsku nawet ze sobą. Doszło już do tego, że istnieją na kolejach rozkazy, zabraniające urzędnikom «rozumieć po polsku», tzn. nakazujące nie odpowiadać na jakiekolwiek pytania, zadane przez podróżujących w tym języku.

Rząd, oczywiście, nie może osiągnąć swoich celów — i język polski daje się słyszeć wszędzie: nie można bowiem ani zniszczyć języka siłą policyjną, ani ukraść go rękoma gorliwych urzędników, którzy rabowali i rabują Polskę bez najmniejszych wyrzutów sumienia...

Faktów takiego rabunku można dostarczyć w nieograniczonych ilościach.

Tuż przed ostatnim podziałem Polski Polacy zaczęli się szczególnie troszczyć o oświatę ludową. Olbrzymie dobra, należące do duchowieństwa, zostały odebrane i przeznaczone na cele oświaty. Oprócz tego wielu zamożnych ludzi, pod wpływem mody, częstokroć jednak także pod wpływem dobrych uczuć, zakładali olbrzymie biblioteki i muzea, ofiarowywali pieniądze na stypendia dla niezamożnej kształcącej się młodzieży.

Rząd carski w sposób właściwy zadecydował o losie tych pieniędzy i tego majątku. W czasie wojen z Polakami, jak również w czasie powstań, biblioteki i muzea zostały rozdrapane, zrabowane lub też wywiezione do Rosji (największych użyto na założenie Biblioteki Publicznej w Petersburgu). Środki pieniężne, przeznaczone na szkoły, rząd zabrał dla siebie i wydaje teraz na budowę nikomu niepotrzebnych cerkwi

prawosławnych i klasztorów (w miejscowościach, gdzie nie ma ludzi wyznania prawosławnego) — na krzewienie prawosławia w narodzie, który w miarę swych sił, jak tylko może — broni się przed tym gwałtem. Zaś stypendia polskie są albo rozkradane, albo też przyznawane synom urzędników, przy czym głównym warunkiem uzyskania ich nie jest postęp w nauce czy ubóstwo rodziców, lecz — wyznanie prawosławne i przywiązanie do domu carskiego.

Urzędnicy — bez względu na ich zachowywanie się — mają zapewnioną najzupełniejszą bezkarność; wszelkie nadużycia, nawet najbardziej krzyczące zbrodnie kryminalne nie pociągają przykrych następstw dla tych panów — kruk krukowi oka nie wydziobie!

Jaskrawy pod tym względem wypadek zdarzył się w ostatnich czasach w Warszawie. Sądzono profesora uniwersytetu warszawskiego Zieńca. Jegomość ten nie ukończył nawet uniwersytetu (w czasie wojny tureckiej jeszcze przed ukończeniem studiów zamianowano go lekarzem), mimo to uzyskał stanowisko profesora w Warszawie. Przed tym był on dyrektorem zakładu dla dzieci głuchoniemych — musiano p. dyrektora usunąć z tego stanowiska, ponieważ zgwałcił kilka swych nieletnich wychowanic (12 lat), a zachowaniem się swoim budził w nieszczęśliwych kalekach przerażenie bezgraniczne.

Nie przeszkodziło to jednak p. Zieńcowi w uzyskaniu stanowiska profesora i kierownika oddziału w głównym szpitalu warszawskim. Nie omieszkał on i tu wykazać swych bydlęcych namiętności — próbował mianowicie niejednokrotnie gwałcić chore kobiety — wreszcie jedna z nich zrobiła awanturę tak, że profesora schwytano na miejscu zbrodni. Próbowano z początku sprawę zatuszować, studenci jednak szeroko ją rozgłosili, w sposób kategoryczny odmawiając dalszego uczęszczania na wykłady profesora.

Zieniec musiał się podać do dymisji; nie można było również nie wytoczyć mu sprawy sądowej. Na ławie oskarżonych Zieniec udowadniał, że zgubiła go «polska intryga» i buntujący się studenci, wrogo do niego, jako Rosjanina, usposobieni. I mimo to, że usiłowanie zgwałcenia było faktem zupełnie dowiedzionym, Izba Sądowa wydała wyrok uniewinniający, chociaż pierwotnie wyrok sądu okręgowego skazywał profesora na dwa lata więzienia.

Faktów, jeśli nie takich samych, to należących do tejże kategorii, mieć możemy w Polsce pod dostatkiem. Widzieliśmy przecież i gubernatora w kompanii koniokradów (Iwanienko w Kielcach), i policmajstra, u którego znaleziono ze-

garek, ukradziony komuś przez złodziei kieszonkowych (Kryczenko w Radomiu), mamy mnóstwo innych dobrodziejstw, jakimi Rosja obdarza Polskę. Rzecz jasna, i w rdzennej Rosji rozzuchwaleni urzędnicy najmniej podobni są do aniołów, i tam również na każdym kroku panuje samowola, łapownictwo i gwałt. Ale w Polsce samowola urzędników, niezwykle starannie zwracających uwagę na takie przejawy życia, jak język i religia, znacznie głębiej wżera się we wszystkie pory istnienia ludzkiego, w dodatku zaś zgraja rabusiów, mieszkając w kraju podbitym i wrogo do nich usposobionym, trzyma się w gronie bardziej zwartym, zapewniając przez to sobie wyższy stopień bezkarności, niż w Rosji.

Wystarczy, gdy powiemy tu, że nawet jeden z warszawskich generał-gubernatorów, ks. Imeretyński, hałastrze urzędniczej w Polsce wystawił następujące świadectwo: «Już od pierwszej chwili służby swojej w Królestwie Polskim urzędnik rosyjski — na wpół wykształcony, niezbyt rozumny i źle wychowany, w każdym Polaku widzi przede wszystkim zwyciężonego wprawdzie, lecz najgorszego wroga państwa i wroga swego osobistego. Na siebie zaś patrzy, jak na zwycięzcę, i zgodnie z przysłowiem — «zwycięzcy sądowi nie podlegają» — uważa się za nie podlegającego żadnej kontroli i nie liczy się najzupełniej nie tylko z opinią społeczną, lecz także i z własnym sumieniem».

Łatwo wyobrazić sobie można, ile to nadużyć i gwałtów kryje się za tymi słowami: «zwycięzcy sądowi nie podlegają!...»

* * *

Ciężar podatkowy w Polsce jest bez porównania większy, niż w Rosji nawet, gdzie ludność ugina się pod ciężarem olbrzymich opłat. Obliczono np., że podatki, wpłacane do kas rządowych przez rolników — obywateli ziemskich i włościan — Polaków, są czterokrotnie większe od tych samych podatków, wpłacanych przez Rosjan. Na co jednak idą pieniądze, ściągane z ludności?

Główne wydatki rządu rosyjskiego — to wydatki na wojsko. W Polsce rozlokowano więcej niż połowę całej armii rosyjskiej, gdy tym czasem ludność Polski stanowi zaledwie ósmą część ludności całego państwa. Poza tym gubernie i powiaty polskie są znacznie mniejsze od guberniij i powiatów rosyjskich, horda zaś urzędnicza w powiecie polskim jest liczniejsza, niż w rosyjskim. Dlatego też wydatki rządu w Polsce muszą być olbrzymie.

Zdawałoby się wobec tego, że rządowi nie starczy podatków, wyciśniętych z Polski, że będzie on zmuszony dodawać tu pieniądze, zebrane w innych częściach państwa, gdzie wydatki stosunkowo nie są wielkie. Ale, niestety! Obliczono, że pieniędzy, wyduszonych z Polaków, starcza w zupełności na pokrycie wydatków w ich kraju, wydatków stosunkowo znacznie większych, niż w Rosji. Co więcej — rząd zyskuje tu rocznie ze swej rabunkowej gospodarki około 30 milionów rubli, z których korzystać może w innych dzielnicach — chociażby w tym samym celu tłumienia ruchów wolnościowych.

Jakże się to dzieje? Prosta na to odpowiedź — jeśli z ogromu zła, wyrządzanego ludowi przez cara i jego służalczych zauszników, Polakom przypada w udziale znaczny, jak gdyby dodatkowy ciężar, to z drugiej strony z tego, co rząd z musu robi w zakresie codziennych potrzeb ludności, Polacy otrzymują mniej niż Rosjanie. Weźmy dla przykładu szkoły. Przed przyłączeniem do Rosji Polska posiadała szkół około dziesięć razy tyle, co Rosja; Polska pod tym względem niewiele się różniła od państw zachodnio-europejskich, niektóre zaś z nich przewyższała oświatą szkolną. Dzika jednak wola carskiego rządu zmieniła stosunek ten znacznie na niekorzyść Polski. Wystarczy, gdy się powie, że właśnie w ciągu ostatnich lat trzydziestu, wyróżniających się w dziejach najszybszym wzrostem oświaty na całym świecie, liczba szkół w pewnych częściach Polski pozostała taka sama, w innych zaś nawet zmniejszyła się. W r. 1867 w Królestwie Polskim jedna szkoła wypadała na 2827 mieszkańców, w r. zaś 1893 — na 2524 mieszkańców, czyli stosunek nie uległ prawie żadnej zmianie. Na Litwie za to ilość szkół z m n i e j s z y ł a s i ę w p o r ó w n a n i u z e s t a n e m z r. 1820! Gdybyśmy świat cały przeszli wzdłuż i wszerz, nie znaleźlibyśmy ani jednego kraju, nie spotkalibyśmy ani piędzi ziemi, gdzieby w ubiegłym stuleciu zdarzyć się mogło coś równie potwornego!... I hańba ta spaść musi całkowicie na cara i na tych wszystkich, którzy pomagali mu rabować i uciskać kraj podbity, bez względu na to, czy ulegali tu bezinteresownym popędom swej podłej natury, czy też kierowali się myślą o korzyściach, jakie z takiej pomocy wypłynąć mogą.

Ale i istniejące szkoły przynoszą mało korzyści, nauczanie bowiem odbywa się w języku rosyjskim, który dzieci często słyszą po raz pierwszy dopiero w szkole. Proszę sobie wyobrazić, że w szkole ludowej takiej np. gubernii Moskiewskiej zaczęto uczyć w języku niemieckim; łatwo wówczas można będzie zrozumieć, jaka jest korzyść z takiego nauczania. Wiele

dzieci w takiej szkole nie nauczy się niczego, inne zaczną rozumieć cokolwiek, będą nawet umiały czytać i pisać po niemiecku; po paru jednak latach wszystko to zatrze się w ich pamięci po prostu dla braku niemieckiego otoczenia i wychowanek tej szkoły pozostanie takim samym nieukiem, jakim był przed wstąpieniem do niej.

Nic więc dziwnego nie ma w tym, że ludność polska ucieka od szkół rosyjskich. W gubernii Kowieńskiej np. włościanie nierzadko płacą nauczycielowi, aby wcale nie uczył dzieci, aby siedział sobie, ogryzając paznokcie, w pustej szkole.

Ze swej strony jednak ludność stara się wypełnić braki wykształcenia w szkole nauczaniem dzieci poza szkołą. Rzecz jasna, nie może to podobać się opiekuńczemu rządowi i dlatego w całej Polsce obowiązuje zakaz nauczania dzieci bez specjalnego pozwolenia władzy. Nauczanie poza szkołą — nawet gdyby polegało ono jedynie na nauce czytania i pisania — prześladowane jest przez rząd, jak zbrodnia. Takich «zbrodniarzy» zamyka się w więzieniu lub też skazuje na wielkie kary pieniężne.

A więc, wydatki rządu na oświatę ludową są bardzo nieznaczne. Ale być może — zabiega on za to o organizowanie w Polsce szlaków komunikacyjnych, być może — buduje koleje żelazne i gościńce i przynajmniej w ten sposób zwraca uciskanemu narodowi jeśli nie wszystko, to w najgorszym razie część zrabowanych pieniędzy?

W przeszłości, w okresie, poprzedzającym dzisiejszą falę znacznie wzmocnionych prześladowań Polaków, wybudowano w Polsce przy użyciu polskich kapitałów kilka kolei żelaznych — zgodnie z potrzebami i wymaganiami przemysłu. Wszystkie zaś nowe koleje, wybudowane przez rząd, są kolejami strategicznymi, tzn. budowanymi zgodnie ze specjalnymi celami wojennymi. Rząd przy budowie tych kolei zupełnie nie liczył się z potrzebami ludności; świadczy o tym fakt, że wszystkie te koleje zbudowano na prawym brzegu Wisły, gdzie — w porównaniu z innymi połaciami kraju — przemysł jest słabiej rozwinięty i gdzie mniejsza jest gęstość zaludnienia. Budowano te koleje w dodatku tak, że w biegu swym trzymają się linii fortec i koszar, starannie unikając miast i osad fabrycznych. Na lewym zaś brzegu Wisły, gdzie skupiają się ogromne ośrodki przemysłu, na przestrzeni, która pod względem gęstości zaludnienia zajmuje pierwsze miejsce w całym państwie rosyjskim, i gdzie wskutek tego daje się odczuć potrzeba dobrze rozpla-

BIBLIOTEKA NARODOWA

nowanych dróg komunikacyjnych, rząd nie tylko ich nie buduje sam, lecz także zabrania prywatnym osobom i towarzystwom zaspokoić te najbardziej prymitywne wymagania przemysłu.

Kiedyś, jak gdyby dla zilustrowania stosunku rządu rosyjskiego do Polaków, gazetę rządową zdobiły dwie obok siebie umieszczone wiadomości. Jedna dotyczyła budowy kolei żelaznej we wschodniej Rosji. Towarzystwo, zabiegające o koncesję, żądało od władz zagwarantowania mu 5 procent od kapitału i żądanie swe uzasadniało i usprawiedliwiało ryzykownym charakterem przedsięwzięcia: mogło ono nie dać żadnych dochodów; rząd carski zgodził się na te warunki i udzielił pozwolenia na budowę kolei. Druga przytaczała prośbę grupy kapitalistów, chcących budować kolej w Polsce; nie żądali oni od władz zagwarantowania procentów, przeciwnie — zobowiązywali się wpłacać rządowi po kilkadziesiąt rubli za każdą wiorstę bezzwłocznie po uzyskaniu pozwolenia (a więc jeszcze przed przystąpieniem do budowy tej drogi), z chwilą zaś otwarcia ruchu pociągów godzili się dzielić się z rządem dochodami. A jednak... rząd pozwolenia na budowę nie udzielił. Nawet gościńce, odziedziczone przez rząd carski po dawnym rządzie polskim, utrzymywane są teraz tak źle, że często jazda nimi jest po prostu niemożliwością. (Czyż trzeba tu wyjaśniać, że rząd robi to wszystko nie z niechęci do polskich kapitalistów, lecz ze strachu, by drogą stworzenia wygód życiowych nie dać czasem nowych sił silnemu już i bez tego wrogowi caratu — polskiej klasie robotniczej).

Wobec takiego stanu rzeczy nie należy się dziwić, że rząd carski, wydając tak mało na potrzeby Polaków, może miliony, wyciśnięte z nich, wyrzucać na utrzymanie połowy armii rosyjskiej, stojącej w Polsce, może opłacać całą sforę rosyjskich urzędników, którzy za służbę swoją otrzymują w Polsce wynagrodzenie znacznie większe, niż urzędnicy w innych częściach państwa. Nie dziwi nas i to, że rząd zarabia tu jeszcze kilkadziesiąt milionów rubli! Zarabia więcej, niż wydaje na oświatę ludową w całym imperium!...

Tak, drogo opłacać muszą Polacy bicz i biczysko rządów carskich!...

* * *

Wspominaliśmy już, że Polacy prowadzą bezustanną walkę z rządem carskim.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że w różnych warstwach narodu polskiego różnie pojmuje się tę walkę — w Polsce, jak wszędzie, naród podzielony jest na klasy o sprzecznych interesach. Jedno tylko wspólne uczucie jednoczy naród — uczuciem tym jest wstręt do niewolniczego jarzma, głęboka nienawiść do rządu rosyjskiego i jego przedstawicieli w Polsce.

Najspokojniej zachowują się ci, którzy mogą najwięcej stracić, tzn. ludzie bogaci. Związani pewnymi nićmi z rządem, rząd bowiem, jak wszystkie zresztą rządy współczesne, występuje w roli obrońcy ich interesów przed «krzywdzącymi» ich robotnikami, — sądzą oni, że decydującą walkę z rządem należy przesunąć w najdalszą przyszłość, obecnie zaś — trzeba starać się wytargować u rządu pokorą i uległością tę czy inną ulgę. Niektórzy w walce tej ograniczają się do tajnego nauczania języka polskiego i przeciwdziałają, posługując się skromniutkimi środkami, dążeniom rządu do wygnania zewsząd polskiego ducha.

Prawdziwą walkę rewolucyjną prowadzą dwie tylko partie: socjaliści i demokraci. I jedni, i drudzy stawiają sobie za cel wywalczenie dla narodu polskiego samodzielnego bytu politycznego i stworzenie warunków, któreby dały narodowi możność gospodarowania w swoim własnym kraju zgodnie z swymi potrzebami. I jedni, i drudzy wydają i rozpowszechniają wiele czasopism i gazet, drukując je w tajnych drukarniach mimo olbrzymich trudności i mimo wzrastającej stale czujności żandarmów i policji.

Oto niektóre szczegóły z działalności Polskiej Partii Socjalistycznej. W ciągu roku rozpowszechnia partia 80—90 tysięcy egzemplarzy różnych druków rewolucyjnych. Od r. 1894 bez przerwy wychodzi z tajnej drukarni warszawskiej pismo «Robotnik», w którym wszechstronnie omawia się kwestie, interesujące lud pracujący; dotąd wydano 43 numery tego pisma; pewnego razu, co prawda, żandarmeria wykryła drukarnię po pięciu latach jej istnienia, socjaliści jednak w ciągu dwóch miesięcy zorganizowali nową drukarnię. Inne wydawnictwa drukowane są za granicą; przewozi się je do Polski tak, że od r. 1893 ani jeden transport socjalistyczny, tj. przewożone wydawnictwa, nie dostał się do rąk żandarmskich.

W r. 1898 ruch rewolucyjny rozrósł się tak dalece, że w dn. 1 maja robotnicy Warszawy i Sosnowca zorganizowali masowe demonstracje uliczne, połączone ze śpiewaniem pieśni rewolucyjnych. Odtąd rok rocznie w dn. 1 maja, poza tym zaś w czasie pogrzebu towarzyszy partyjnych i w ogóle z różnych możliwych powodów organizowane demonstracje nie

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.

przestają zakłócać ładu, tak pilnie i troskliwie strzeżonego przez rząd carski.

Partia demokratyczna nie może pochwalić się tak wielkimi wynikami swej pracy; i ta jednak liczy wielu zwolenników, rekrutujących się z inteligencji i włościaństwa.

Jak powiedzieliśmy wyżej i — jedna, i druga partia dąży do wyzwolenia narodu z jarzma rosyjskiego. Istnieje jednak zasadnicza między nimi różnica. Demokraci zamykają oczy na ucisk i eksploatację ze strony polskich kapitalistów, w nadziei znalezienia sił, potrzebnych do walki, w zjednoczeniu wszystkich warstw społeczeństwa; wszystkie ich usiłowania idą w tym tylko kierunku. Socjaliści — przeciwnie, wzywają lud pracujący Polski do walki nie tylko z wrogiem zewnętrznym — z Rosją carską, lecz także i z wrogiem wewnętrznym — wyzyskiwaczami pracy ludu polskiego, wzywają do walki z uciskiem we wszelkich jego formach, z uciskiem, który przestanie istnieć jedynie w ustroju socjalistycznym. Organizowanie sił robotniczych dla wywalczenia tego ustroju jest nieustanną troską partii socjalistycznej.

Między socjalistami i demokratami istnieje zasadnicza różnica również w zakresie stosunku ich do Rosji. Gdy demokraci w narodzie rosyjskim widzą tylko wroga, socjaliści uczą lud polski, że i wśród Rosjan są zarówno gnębiciele, jak i gnębieni, i że część tych gnębionych wystąpiła już do walki z tym samym rządem, z którym walczą Polacy. Jednym słowem, socjaliści wskazują na wspólność interesów i jedność uciśnionych robotników wszystkich krajów i narodów, tym bardziej zaś — z tego samego państwa.

Od dawien dawna już bardziej światli Polacy, widząc, że nie tylko polski, ale i rosyjski naród pozostaje pod uciskiem, szukali w czasie polskich walk możności współdziałania z Rosjanami, dążącymi do wyzwolenia z carskiego jarzma. Już w czasie powstania 1830 r. na sztandarach powstańców polskich wypisano: «Za naszą i waszą wolność». Wielu Polaków brało udział w rewolucyjnym ruchu rosyjskim, ręka Polaka Hryniewieckiego zadała śmiertelny cios Aleksandrowi II w dn. 1 marca 1881 r.

Dotąd jednak te dążenia polskie rozbijały się o obojętność Rosjan w stosunku do polskiego pragnienia wyzwolenia się z jarzma rosyjskiego.

O tej obojętności moglibyśmy dużo powiedzieć, obecnie jednak nie będziemy się zatrzymywali nad tą kwestią, sądzimy bowiem, że wyjaśnić ją można tylko w specjalnym wyczerpującym artykule.

Obecnie lud pracujący Rosji, budzący się z wiekowego snu, występuje do walki — nie jest on osobiście zainteresowany w gnębieniu narodowości; to też przypuszczać trzeba, że zrozumie, iż wielkość Rosji nie polega bynajmniej na podbijaniu i ujarzmianiu innych krajów i narodów, zrozumie całą hańbę barbarzyństwa rządu w stosunku do zwyciężonych narodów, i, walcząc o swoją wolność, nauczy się szanować wolę i wolność innych narodów.

Józ[ef] Piłsudski.

ARTYKUŁ Z «WALKI»

(Nr 1, str. 1—4, z października 1902 r.)

Myśl wydawania specjalnego organu P. P. S. dla Litwy powstała na tle panujących tam stosunków i chęci opanowania przez P. P. S. rozwijającego się tam ruchu socjalistycznego. Ruch ten, rozbity na kilka grup, zwalczających się wzajemnie, wymagał skoordynowania różnorodnych sił lokalnych, przede wszystkim zaś polskich, wśród których działalność P. P. S. w owych czasach zyskiwała grunt coraz podatniejszy. Założenie specjalnego pisma mogło walnie przyczynić się do osiągnięcia tego celu. Po porozumieniu się z towarzyszami w kraju J. Piłsudski przeprowadził na VI zjeździe P. P. S. (czerwiec 1902) odpowiednią uchwałę, podejmując się redagowania takiego pisma. W ten sposób powstała «Walka», której — od października 1902 do listopada 1903 r. — wyszły 3 numery, prawie w całości napisane przez J. Piłsudskiego. Podstawą do umieszczenia w tomie niniejszym artykułów z «Walki» jest korespondencja J. Piłsudskiego z Komitetem Zagranicznym P. P. S. w Londynie. Ograniczamy się tu do przedruku jedynie artykułów, pomijając — tak samo jak postąpiliśmy z «Robotnikiem» — dość obszerną kronikę i dział korespondencyj. Pierwszy nr «Walki» był drukowany nawpół legalnie w Krakowie, 2 i 3 w drukarni partyjnej w Londynie. Dalsze nry (4—8), wydane w r. 1906, a drukowane w tajnej drukarni krajowej P. P. S. wyszły już bez udziału J. Piłsudskiego pod redakcją Kazimierza Pietkiewicza.

BIBL. MIN. INF. I PROP.

Wilno, we wrześniu 1902 r.

Ustrój kapitalistyczny powstał i rozwijał się na Litwie w warunkach całkiem odmiennych w porównaniu z innymi krajami. Na Zachodzie zniesienie więzów średniowieczczyzny, krępujących rozwój ludzkości, wszędzie było wynikiem mniej lub więcej ostrej walki nowych sił społecznych ze starym światem monarchów, przywilejów szlacheckich i niewoli pańszczy-

żnianej oraz owocem mniej lub więcej zupełnego zwycięstwa pierwszych. Na Litwie zaś, jak w całym państwie rosyjskim, wszystkie reformy, stanowiące podstawę dla naszego ustroju, zostały przeprowadzone przez rząd despotyczny — główną oporę niewoli i wyzysku. Więcej nawet, rząd, który stwarzał nowe warunki bytu, był obcym, najezdniczym, tryumfującym po zgnieceniu powstania 1863 r., mszczącym się za próbę zrzucenia hańbiącego jarzma. Wszystko, co mogło i umiało walczyć, co rządowi czoło stawić było w stanie, zginęło w krwawym boju i w tej przełomowej dla kraju chwili carat miał przed sobą tylko to, co w społeczeństwie było ciemnym, biernym lub podłym. I oto, gdy wszędzie samowładztwo monarchiczne upadło lub zostało ograniczone przy pękaniu starego ustroju, gdy nawet w Rosji samej nie obyło się bez wstrząśnień i pewnych ustępstw ze strony rządu, na Litwie carat wyszedł z kryzysu zwycięsko, wkroczył do nowego ustroju jako jedyna czynna siła. Nowe życie rozwijać się musiało w dusznej atmosferze prześladowań i rozpętanej samowoli rządowej, wśród gnicia i stałego rozkładu przestarzałych i strupieszałych form politycznych.

W takich warunkach Litwa została w dodatku rzucona na pastwę tej polityki, która obecnie rujnuje wszystkie innoplemienne kresy państwa carów. Mówimy o polityce rusyfikacyjnej, dla której Litwa stała się ulubionym terenem i szkołą. Tu, dzięki bezbronności społeczeństwa, najbardziej była ona bezwzględna, tu miała ona najbardziej dzikich i wstrętnych wykonawców, tu też najjaskrawiej występują na jaw jej skutki dla kraju, dotkniętego tą klęską. Brutalna łapa najeźdźcy zaciążyła nad krajem, krępując jego rozwój prawami wyjątkowymi i narzucając mu przemocą obcą mu, rosyjską, kulturę — język, religię i obyczaje. Rusyfikacja sięgała wszędzie — od szkoły szła do kościoła, od teatru do bibliotek, od życia publicznego wdzierała się nawet do stosunków prywatnych. Żadne z plemion, zamieszkujących Litwę, nie uniknęło prześladowań. Jeśli ostrze rusyfikacji przede wszystkim skierowane było przeciwko Polakom, to z niemniejszą siłą spadało ono na Litwinów, na Białorusinów, a prawa wyjątkowe przeciwko Żydom nie mogą chyba z niczym być porównane. Przywileje dla obcych przybyszów, a prześladowania i ciężary dla wszystkich, co Litwę za ojczyznę uważać mogą — to jest hasło polityki rządowej, konsekwentnie i stale stosowane u nas w przeciągu lat czterdziestu. I oto — jako skutek — Litwa, zrujnowana przez haniebną gospodarkę najeźdźcy, zrabowana przez nich z wszelkich dobytków kulturalnych, stanowi pod wielu

względami najbardziej zacofaną część państwa rosyjskiego, które przecie samo nie odznacza się wysokim rozwojem kultury. Przemysł dotąd ogranicza się drobną produkcją, oświata i świadomość ludu spoczywają w powijakach, szkół tak dobrze jak nie ma, o bibliotekach, muzeach, czytelniach ani słychać, szpitale i dobre drogi są rzadkością; w kraju zaś gospodarzy banda przybłędów-czynowników, uzbrojonych we wszelkie przywileje i liczących się nie z potrzebami ludności, lecz z własną korzyścią i zyskiem.

Przy szalonym, nie znającym granic, ucisku, przy którym ludzie zaledwie oddychać mogą, życie społeczeństwa podobnym jest do życia roślin w piwnicy. Jak one bez słońca i czystego powietrza tracą barwę i siłę do wzrostu, tak społeczeństwo pod nadmiernym ciężarem koszlawieje i traci zdolność do szybkiego postępu. Zastój i bierność są jego udziałem. Najcięższym zaś w tych warunkach jest położenie warstw wyzyskiwanych, które tylko od postępu oczekiwać mogą zmian na lepsze w swym smutnym losie. Lud pracujący, skrępowany przez dzikie prawa wyjątkowe, odpychany od źródeł wiedzy przez prześladowania narodowościowe, otoczony czujną opieką tak rządu, jak zarówno swych wyzyskiwaczy, jest rzucony na pastwę ciemnoty i wyzysku. Brak mu światła, by mógł ocenić swe położenie i znaleźć wyjście z niewoli, brak mu krytyki, by mógł odróżnić przyjaciół od wilków w owczej skórze, brak mu wreszcie łączności, by mógł strząsnąć z siebie hańbę niewoli i siłą otworzyć sobie drogę do lepszej przyszłości.

A jednak, pomimo piwnicznego zaduchu, wbrew nahajkom i turmom najeźdźcy, świadomość socjalistyczna — naturalny wytwór ustroju kapitalistycznego — kiełkować zaczęła w umysłach ludu pracującego, przezwyciężając jego ciemnotę i bierność. Ruch socjalistyczny zwolna się rozwija i wśród Polaków, i wśród Litwinów, i wśród Żydów. Niejedną już stoczono walkę, niejedną zdobyto pozycję i niejedną ofiarę pochłonęła wiecznie głodna paszcza carskich turem. Lud pracujący zaczyna podnosić głowę, schyloną od wiekowej niewoli, zaczyna rozumieć krzywdę, na każdym kroku mu wyrządzaną przez niesprawiedliwy ustrój społeczny, i odczuwa już ciężar jarzma i więzów, nałożonych nań przez barbarzyński rząd najeźdźcy.

W początku ruchu walka skierowała się przeciwko nadmiernemu wyzyskowi. Z czasem jednak ścisła łączność, jaka istnieje pomiędzy wyzyskiem i rządem carskim, zmusiła świadomych z pomiędzy ludu pracującego pomyśleć i o walce z rzą-

dem. Ludzie zrozumieli, że nawet najdrobniejsze zdobycze walki z wyzyskiwaczami stają się niepewne przy gospodarce carskich czynowników, te przeszkody, jakie rząd ruchowi robotniczemu stawia, są tak olbrzymie, przegródki zaś pomiędzy ludźmi, narzucone przez prawa moskiewskie, tak liczne, że bez ich obalenia niepodobna i myśleć o skutecznej poprawie doli ludu pracującego.

Lecz jeżeli przy jakim takim rozwoju ruchu robotniczego walka z rządem carskim musi się przedstawiać ludowi jako konieczność, to warunki społeczne i stosunki narodowościowe na Litwie ogromnie utrudniają nie tylko ją samą, lecz nawet należytą świadomość jej celu i środków. Do 1863 r. jedyną warstwą, łączącą Litwę w jedno i zdolną do walki z rządem najezdniczym, była szlachta polska. Różnojęzyczny lud pracujący nie był siłą samodzielną, tonął w nieświadomości i ciemnocie i, jeżeli, jak na Żmudzi, stawał do walki zbrojnej, to czynił to pod przewodnictwem tej samej szlachty lub księży. Z chwilą utraty przez szlachtę polską roli przewodniej w Litwie, znikł zarazem i łącznik, jednoczący kraj cały. Życie ludu litewskiego, polskiego, białoruskiego i żydowskiego popłynęło każde osobnym korytem, a rząd najezdniczy usilnie się starał o rozdmuchanie drzemiących niechęci narodowościowych, by tym skuteczniej panować nad podzieloną na różne prądy ludnością. Natomiast przemysł, skupiający ludzi i wytwarzający nowoczesne potężne czynniki społeczne, rozwijał się słabo; nie zdołał więc przeciwdziałać rozstrzeleniu narastających sił społecznych i nie potrafił znieść i zburzyć mnóstwa przeżytków średniowieczczyzny. Ruch robotniczy na Litwie uległ tym warunkom. Rozwijał się on w łonie każdej narodowości osobno, niezależnie prawie od innych, tak, że dotąd widzimy odrębne, niczym nie złączone organizacje polskie, litewskie i żydowskie. A że żadna z narodowości, zaludniających Litwę, nie przeważa nad innymi liczebnie, więc żadna z nowopowstałych organizacyj robotniczych nie mogła siebie uważać za przedstawiciela całości ludu pracującego na Litwie. Warunki takie dają szerokie pole dla rozwoju wszelkich zaściankowych pojęć, i łatwo zrozumieć, jak trudnym jest na Litwie osiągnięcie szerokiej świadomości politycznej, umożliwiającej ludowi odegranie poważniejszej roli w walce z rządem carskim.

Pierwszym więc krokiem ku wytworzeniu u nas poważnej siły politycznej z łona ludu pracującego musi być złączenie wszystkich, odrębnie dotąd istniejących, organizacyj socjalistycznych w jedno ciało, ożywione jednym duchem — ce-

lem. Już teraz, gdy zaledwie w początku drogi stoimy, brak jedności wśród najbardziej świadomej części ludu robotniczego daje się nam we znaki. Im dalej jednak będziemy posuwali się naprzód, im bliżsi będziemy stanowczej rozprawy z duszącą nas zmorą najezdniczego caratu, tym konieczniejszym będzie wspólne i łączne działanie wszystkich, «co ludźmi pragną być». Tylko taka złączona organizacja socjalistyczna będzie w stanie podołać zadaniu i, poparta przez lud, potrafi wywrzeć odpowiedni wpływ na losy kraju.

Cel naszej walki z rządem carskim jest wyraźny. Wypływa on z położenia, w którym się ojczyzna nasza znajduje. Rząd carski jest dla nas obcym. Carat, ta «przeświecona piekłem mara», wytworzył się nie u nas, lecz w Rosji, nam zaś został narzucony przemocą i panuje prawem podboju i zaboru. Wszelka więc walka z nim jest zarazem walką z najazdem, zwycięstwo zaś nasze nad nim oznacza nie co innego, jak wyrzucenie najezdnika z kraju. Dążymy do tego, by lud był gospodarzem zupełnym tego kraju, który zamieszkuje, a czyż można być gospodarzem w całym tego słowa znaczeniu, gdy ktoś obcy ma wpływ na gospodarkę, gdy od niego zależy postępowanie gospodarza. Walka więc nasza o zmianę ustroju politycznego jest niczym innym, jak walką o niepodległość, o zniesienie wiekowej niewoli, ciążącej nad krajem.

W tym dążeniu, koniecznym dla partii socjalistycznej w kraju, znajdującym się w niewoli, Litwa, na szczęście, nie jest odosobniona. Obok sąsiaduje z nią Polska, w tym samym znajdująca się położeniu. Ta sama walka, która leży przed Litwą, czeka i Polskę, ten sam cel, który ożywiać musi świadomy lud pracujący u nas, jest od dawna celem socjalistów polskich. Oprócz tego Litwę łączą z Polską liczne węzły wspólnej historii i kultury, które z obydwóch krajów wytwarzają jeden teren dla walki ludu pracującego o swe prawa. Nie tylko bowiem wróg zewnętrzny, który w kleszczach niewoli trzyma Polskę i Litwę, jest jeden i ten sam, ale i klasy burżuazyjne, które nas wyzyskują, w obydwóch krajach są ściśle zespolone z sobą. Wreszcie część ludu pracującego na Litwie jest polską, jeśli nie zawsze z ducha lub pochodzenia, to z języka.

Ta wspólność kultury i interesów sprawiała, że wszelkie ruchy rewolucyjne, które w przeszłości wstrząsały panowaniem najazdu, obejmowały obydwa kraje, i trudno przypuszczać, by nadal inaczej być miało, gdy dotąd cel walki politycznej wszystkiego, co żyje i żyć pragnie, jest jednakowy w Litwie i Polsce.

Wobec tego wszystko przemawia za tym, by pomiędzy

ludem pracującym Litwy i Polski istniała ścisła łączność, a pomiędzy organizacjami socjalistycznymi w obydwóch krajach — najściślejsze porozumienie i jedność w pracy i walce. Mając przed sobą tak przemożnego wroga jak carat, nierozsądnym byłoby rozpraszać siły, do jednego zdążające celu. Lecz my myśleć jeszcze musimy o walce z reakcją we własnym domu, z reakcją, która na przestrzeni Litwy i Polski jest zjednoczona w jeden obóz i w chwili stosownej stanąć może zlana w jedno, by położyć swą łapę na zdobycze walki po zwycięstwie nad caratem. Nie możemy więc wahać się przed koniecznością zespolenia wszystkich sił socjalistycznych w obydwóch krajach w jedną organizację. Taka siła potrafi stawić czoło wrogom i stanie się skałą, o którą się rozbiją fale najazdu i reakcji.

Myśl ta o łączności ścisłej z ruchem socjalistycznym polskim jest zupełnie naturalna u polskiego odłamu ruchu robotniczego na Litwie. Wiemy jednak, że wzbudza ona pewne wątpliwości, niekiedy niechęć, wśród towarzyszy Żydów i Litwinów. Jest to najczęściej skutek niedostatecznego zdania sobie sprawy ze stanu rzeczy, albo, jak u Litwinów, niesłuszny wynik słusznej niechęci do wyzyskującej ich polskiej szlachty i polonizacyjnych zachcianek naszej klasy burżuazyjnej. Jesteśmy jednak przekonani, że wraz z rozwojem świadomości politycznej wśród ludu pracującego, gdy w przedwstępnych bojach wytworzy się w różnoplemiennych szeregach socjalistycznych braterstwo broni, znikną wszelkie nieporozumienia i niechęci wzajemne. Nad przyśpieszeniem tej chwili będziemy usilnie pracowali, będąc przekonani, że wybije godzina, gdy

Pójdziemy razem na straszny bój
I na drgającym szatana ciele
Zatkniemy sztandar zwycięski swój.

O PATRIOTYZMIE

«Walka» nr 1, str. 4—6, z października 1902 r.

Litwa od dawna już jest polem zażartej walki narodowościowej. W tej walce krwią jej synów przesiąkły pola i bory, deszcz prześladowań i praw wyjątkowych sypie się na nią ustawicznie, a ludność jest rozdzierana przez rozterki i waśnie narodowościowe. W takich warunkach hasła i uczucia patrio-

tyczne muszą odgrywać wielką rolę w życiu społecznym. Każdy więc człowiek myślący, musi się rozpatrzyć w tym zgiełku i swarach, oraz wyrobić sobie zdrowy sąd w sprawach, tak żywo kraj obchodzących, a każde stronnictwo i partia polityczna ma obowiązek zająć w tym wypadku określone stanowisko.

W obecnych czasach, gdy naród dla narodu, tak samo jak człowiek dla człowieka, nie jest bratem, lecz wilkiem, przeważnie mamy do czynienia z dwoma rodzajami patriotyzmu — zaborczym i obronnym.

Jeden i drugi są ściśle z sobą przyczynowo związane, gdyż jak bez zwycięzcy nie ma zwyciężonego, tak bez zaboru nie może być obrony od niego. Pierwszy — zaborczy — jest obecnie hasłem politycznym w większości wielkich mocarstw europejskich. Ma on na swe usługi miliony bagnetów i armat, tysiące rzeczników w postaci ministrów, dziennikarzy i uczonych, miliardy pieniędzy, wyciśniętych z ludu pracującego. Pcha on narody do bratobójczej walki, podbija kraje i wysysa je, jak pająk muchę. Jeśli jednak mu się przyjrzymy uważnie, spostrzeżemy, że sprężyną tego hałasu szowinistycznego, który teraz napełnia świat cały, nie jest właściwy patriotyzm, uczucie miłości i przywiązania do swej ojczyzny. Na dnie tego prądu kryje się gad, który toczy obecne społeczeństwa, oparte na krzywdzie i wyzysku ludu pracującego.

Burżuazja — pani obecnego świata — w każdym kraju znajduje się w ustawicznej wojnie konkurencyjnej z burżuazją innych państw i narodów. Żeby istnieć i rozwijać się, musi mieć jak najobszerniejsze rynki zbytu dla swych towarów, musi wobec konkurencji sąsiadów odgradzać zawojowane rynki cłami, taryfami i przywilejami. Im państwo jest potężniejszym, silniejszym i obszerniejszym, tym większym jest rynek zbytu, tym łatwiej mu przychodzi stanąć w obronie swego przemysłu i handlu i narzucać innym krajom odpowiednie ulgi dla swych towarów. Stąd rozwój polityki kolonialnej, stąd zamiana świata w obóz wojenny. Dalej, państwo tym jest silniejszym, im jest bardziej jednolitym i spojonym. W krajach więc zawojowanych panowanie sięga do duszy ludzkiej, chcąc ją przerobić na modłę zwycięzcy, narzuca się ludom podbitym wiarę i język zwycięzcy, ustanawia się przywileje dla przybyszów i sprzedawczyków, poddaje się prześladowaniu tych, co ulec nie chcą.

Przy ogniu szowinizmu burżuazja piecze i drugą pieczeń. Kapitalizm dzieli świat na wyzyskiwanych i wyzyskiwaczy oraz wywołuje walkę pomiędzy nimi. Walka ta, obejmu-

jąc coraz szersze koła ludu pracującego, zagraża coraz bardziej panowaniu burżuazji. Szowinizm narodowy, przeciwstawiając jeden naród drugiemu, łączy to, co się rozkleja pod wpływem walki klasowej, i wstrzymuje rozkład gnijącego społeczeństwa. Zwyczajem despotów burżuazja stara się zakryć brud wyzysku i ogrom nędzy ludowej zaszarganym łachmanem wielkości narodowej, łachmanem, do którego przyschły krew i łzy męczonych i ujarzmionych ludów.

Takim jest patriotyzm zaborczy w Europie. Rosyjski szowinizm, z którym my na Litwie mamy tu dawno do czynienia, nie różni się zasadniczo od europejskiego. Na dnie jego również leży wyzysk zabranego kraju, oraz zysk i korzyść zaborców. Różnica polega po pierwsze na tym, że prądem tym kieruje nie burżuazja, lecz barbarzyński carat, który chce podeprzeć chwiejący się ustrój polityczny, rzucając swemu społeczeństwu, jak opadającym psom kości, podbite kraje do ogryzania; po drugie zaś zamiast martwych towarów europejskich, których sama Rosja do zbytku nie posiada, carat wyrzuca na zawojowane rynki towar żywy — tysiące głodnych i żądnych łupu czynowników.

Patriotyzm zaborczy tak jest sprzecznym z najprostszym poczuciem sprawiedliwości, tak zatruwa atmosferę moralną wśród zaborców, a życie wśród ujarzmionych, że przeciwko niemu wypowiedzieć się musi każdy porządny człowiek, bez względu na swe przekonania. Wśród socjalistów zaś dwóch zdań pod tym względem być nie może. Stoczyć z nim muszą walkę na śmierć i życie i zdzierać mu maskę z oblicza, wykazując, ile krzywdy ludzkiej i błota za nią się ukrywa.

By skończyć z patriotyzmem zaborczym, wspomnimy tu i o szowiniźmie polskim. Nie rozporządza on co prawda machiną państwową, a będąc sam prześladowanym i skrępowanym przez prawa wyjątkowe, nie przedstawia dla nikogo wielkiego niebezpieczeństwa. Opierając się jednak na pewnej przewadze, jaką mu daje wyższość kulturalna i ekonomiczna, występuje niekiedy wrogo względem Litwinów. Jest przecież faktem znanym, że często księża rozwijają działalność polonizacyjną. Znajduje to poparcie u biskupów i prałatów, którzy nieraz do parafij litewskich posyłają księży, nie umiejących ani słowa w języku swych parafian. Nie jest również tajemnicą, że pewna część inteligencji polskiej niechętnym patrzy okiem na rozwój kultury litewskiej i stara się nawet usposobić lud polski wrogo względem swych sąsiadów.

Wszelkie wnoszenie do naszego życia społecznego waśni narodowościowych spotkać w nas musi zaciętych przeciwni-

ków. Spory i kłótnie osłabiają nasze siły i dają możność wspólnemu prześladowcy — caratowi — korzystać z nich i wzmacniać swe panowanie nad nami. Precz więc z nimi! Wypleniajmy wśród towarzyszy niechęci względem ludzi innego pochodzenia, wiary lub języka. Niech, wbrew szalejącej burzy nienawiści plemiennych, wśród nas panuje zgoda i braterstwo bez względu na różnice narodowościowe i wyznaniowe!

Całkiem innym jest patriotyzm obronny. Wywołuje go napaść i w odpowiedzi na nią zapala on ludzi chęcią obrony. W zasadzie jest on słusznym, dąży bowiem do naprawy krzywdy popełnionej i walczy o jedno ze starganych i zdeptanych praw człowieka. Na Litwie zaś, gdzie na całej przestrzeni kraju nie ma dziecka, które w szkole słyszy dźwięk ojczystej mowy; gdzie jak kraj szeroki i długi, miliony Polaków, Litwinów i Białorusinów nie mają ani jednej biblioteki i czytelni, ani jednej gazety; gdzie istnieje naród litewski, któremu dzikie prawa zabraniają drukować książki w swoim języku; gdzie część społeczeństwa — Żydzi — ma zamknięte dla siebie szkoły i nie ma prawa swobodnego ruchu; gdzie publiczne używanie języka niektórych mieszkańców Litwy bywa surowo wzbronione; gdzie wreszcie możliwe są w w. XX prześladowania religijne — na Litwie patriotyzm ludności uciskanej jest przejawem naturalnej samoobrony, a walka o prawa narodowe, wiążąc się ściśle z interesami i potrzebami wszystkich warstw ludności, staje się sprawą palącą i jest na ustach każdego.

Lecz wśród narodów ujarzmionych ludzi dzielą się również na klasy — wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych, a sprzeczność interesów, jaka zachodzi pomiędzy nimi, musi wyciskać swe piętno na pojęciach i postępowaniu każdej. Przypatrzmy się więc, jakim jest patriotyzm naszych klas posiadających i jaką jest ich obrona praw narodowych. Musimy więc w tym rozejrzeć dobrze, gdyż właśnie te klasy narzucają się ludowi pracującemu, jako przywódcy w walce z uciskiem narodowym, jako jedyni przedstawiciele narodu wobec wroga. Pojęcie ich o patriotyźmie da się streścić w sposób następujący. Wobec ciężkich prześladowań i przemocy wroga, powiadają oni, naród powinien być zjednoczony i zespolony. Poszczególne warstwy narodu powinny zapomnieć, do czasu chociażby, o nieporozumieniach z innymi warstwami, by nie osłabiać sił narodu, tracąc je na walkę wewnętrzną. Przewodnikami narodu muszą pozostać ci, co dotąd w walce przewodniczyli, tj. klasy uprzywilejowane, mają one bowiem potemu doświadczenie i wykształcenie odpowiednie, a dzięki stanowiskom i bogactwu mogą znaleźć posłuch u silnych tego świata.

Lud zaś pracujący iść winien za przewodem «starszej braci» i ufać jej ślepo. Tak mniej więcej przemawiają wszyscy rzecznicy patriotyzmu, nawołując do solidarności narodowej czy to polskiej, czy to litewskiej, czy to żydowskiej.

Przyjrzyjmy się jednak, jak wygląda ów patriotyzm w życiu, w czym się wyraża owa solidarność narodowa, obowiązująca chyba przede wszystkim tych, co o niej głoszą. Nikt chyba nie wskaże faktu, że posiadacz ziemi, fabrykant lub majster ustąpił z własnej, nieprzymuszonej woli przy sporze ze swymi pracownikami-rodakami i w ten sposób złożył na ołtarzu głoszonej przez się idei ofiarę z części otrzymywanego zysku. Każdy zaś z nas wskazać może mnóstwo faktów wręcz przeciwnych. Widzimy na każdym kroku panów, fabrykantów i majstrów — tę starszą brać — udającą się po pomoc sądową i policyjną do władzy najezdniczej, a przeciwko ludowi, przeciwko «młodszemu bratu». Znamy przecie fakty, że fabrykanci polscy, jak hr. Tyszkiewicz, lub fabrykanci Żydzi wyrzucali na bruk swych rodaków, zastępując ich przy pracy obcymi przybyszami. Słyszymy nieraz o donosach, dawanych do żandarmów przez fabrykantów i majstrów na robotników-rodaków. Dziwnie więc wygląda owa solidarność narodowa w czynach jej rzeczników i przewodników. Pełna jest obłudy i fałszu — gdy się modli przed figurą patriotyczną, ma za skórą diabła wyzysku i brudnego geszeftu.

Niemniej wstrętnym wydać się musi patriotyzm naszych posiadaczy, gdy się zwrócimy do jego czynów i jego stosunku do władzy najezdniczej. Niebotyczne tchórzostwo — oto jego cecha; podłe łaszenie się i lizanie stóp wroga — oto jego polityka. Spójrzmy na szepczących pacierze patriotyczne ojców naszych miast — radnych Wilna, Kowna lub Grodna. Polacy w radach miejskich mają większość, a uchwalają i powiększenie policji i szpiegów, i oddanie ziemi miejskiej pod pomniki Murawjewów i Katarzyn — słowem wszystko, co się pierwszemu lepszemu urzędnikowi spodoba. Spójrzmy na naszą szlachtę, drżącą przed lada stupajką, zarażoną ugodą i lokajstwem, chroniącą swe dzieci od zarazy buntu i zbierającą pieniądze na stypendia imienia gubernatorów i ministrów. Przypatrzmy się inteligencji litewskiej, idącej żebrać łaski u gubernatorów, prosząc o oddanie tego lub owego kościoła. Przypatrzmy się tym Żydom, co, nie zważając na pogardliwy względem nich stosunek władzy, obijają progi figur urzędowych, piszą i podają lokajskie adresy i pokorą lub pieniędzmi myślą wyżebrać czy kupić jaką drobniutką ulgę.

Oto więc polityka «czoła» narodów, oto droga, po której

klasa posiadaczy kroczy i na której chce nam przewodzić! Tchórzliwi jak zające, obłudni jak lisy, czują, że ziemia drży pod ich stopami, że nowy duch się wdziera i podnosi lud, przez nich wyzyskiwany, z niewoli i upodlenia. Głoszona i wyznawana przez nich solidarność narodowa tumani tylko ludziom głowę, wstrzymując rozwój wypadków. Do nich to dadzą się zastosować słowa wielkiego poety, gdy pełen goryczy i oburzenia wołał:

Kiedy gore świat cierpieniem,
Kiedy wzbiera czynu fala,
On się kładzie sam kamieniem,
Na ruch ludzki nie pozwala,
Chce zawrócić stare łoże
Nowe fale, rzeki boże;
Do zbolałych serc nie wnika
Gromu ludu nie ma w dłoni...

Jak widzimy, patriotyzm burżuazji, czy jest zaborczym czy obronnym, ma jedną wspólną cechę. Jest nią dążenie do przykrycia przeciwieństw klasowych płaszczykiem solidarności narodowej wobec innych narodów i chęć wstrzymania w ten sposób rozkładu obecnego ustroju, gdzie burżuazja jest panią położenia. Tam, gdzie może, jest ona zaborczą i brutalnie stawia nogę na zwyciężonym, gdzie zaś jest na dole, tam pokornie liże depczącą ją stopę. Stosunek więc nasz do tego rodzaju patriotyzmu jest takim samym, jak do zaborczego. Zwalczać go i demaskować musimy, usuwając lud pracujący spod jego wpływu.

Jest jednak i zdrowe jądro w patriotyzmie. Polega ono na naturalnym uczuciu miłości do swego kraju i jego kultury oraz na obronie praw narodu do samodzielnego życia, gdy to prawo jest gwałcone. Zdrowe to uczucie wywoływało nieraz szlachetne i szczytne czyny, przed którymi każdy człowiek myśli i uczucia skłonić głowę musi. Lecz, jeśli uczucie to jest głębokim, jeśli opiera się ono na odczuciu bólów i krzywd całego narodu, prowadzić musi niechybnie nie tylko do szukania leków na rany, zadane ręką obcą, lecz i do naprawy stosunków wewnętrznych narodu, usunięcia niesprawiedliwości i brudów domowych. Ziemia nasza, która wydała Kościuszkę i Mickiewicza, widziała tych najlepszych patriotów, walczących nie tylko z najazdem, lecz i z niewolą ludu u własnych panów. W obecnych zaś warunkach ten najszlachetniejszy patriotyzm prowadzić musi nie gdzie indziej, jak do naszych szeregów pod czerwony sztandar socjalizmu.

RUSYFIKACJA

«Kalendarz Robotniczy» na r. 1903, str. 35—38.

Polska Partia Socjalno-Demokratyczna Galicji i Śląska wydawała corocznie «Kalendarz Robotniczy», zawierający — obok części ściśle informacyjnej — zbiór artykułów najwybitniejszych działaczy partyjnych, utwory beletrystyczne itd. Artykuł «Rusyfikacja» był umieszczony w «Kalendarzu Robotniczym» na rok 1903, wydanym pod koniec r. 1902, a odbitym w Drukarni Narodowej w Krakowie nakładem wydawnictwa «Naprzodu».

Polityka rusyfikacyjna, którą tak boleśnie my, Polacy, odczuwamy, jest zjawiskiem społecznym, ocenianym u nas najrozmaiciej. Gdy jedni, w uniesieniu zrozumiałej zresztą nienawiści do prześladowców, gotowi są za Mickiewiczem powtórzyć, że

Moskal Moskalem, to jest rozbójnikiem,
Złodziejem, bestią rodzi się okrutną,

i tłumaczyć w ten sposób rusyfikację przez zbrodnicze cechy rasowe Rosjan, inni znowu naiwnie zwalają odpowiedzialność za tę politykę na rząd jedynie, uniewinniając całkowicie społeczeństwo rosyjskie. A jednak bez dokładnego zdania sobie sprawy z istoty, przyczyn i podkładu społecznego tego prądu niepodobna zrozumieć nowoczesnej historii całego wschodu Europy, nie sposób oceniać bezstronnie zachodzących na tej arenie wypadków i niepodobna zatem, będąc na niej czynnym aktorem, odegrać dobrze swej roli.

Do połowy zeszłego stulecia polityka rusyfikacyjna w teraźniejszym tego słowa znaczeniu nie istniała prawie wcale. Rząd centralny, złożony prawie wyłącznie z Niemców, nie mających nic wspólnego z kulturą rosyjską, dbał przede wszystkim i wszędzie o zasadę wszechwładztwa monarchicznego i zajęty był albo duszeniem buntu w całej Europie, albo zamykaniem granicy rosyjskiej przed wszystkim, co było cywilizacją i postępem. Dosyć liczna rzesza urzędnicza, źle opłacana, w większej była zależności od otoczenia, niż od rządu centralnego, zresztą bała się nawet myśleć, by nie ściągnąć na siebie niełaski. Podstawą całego społeczeństwa była pańszczyzna, niewola i złączony z nimi zastój. W tak zastygłym i biernym społeczeństwie mowy być nie mogło o jakiejkolwiek akcji na zewnątrz i rząd, gdyby nawet chciał uprawiać politykę rusyfikacyjną, nie znalazłby dostatecznej ilości wykonawców dla

niej. Od czasu zaś rewolucji 1848 r., car Mikołaj, zastraszony jej groźnym pomrukiem, dolatującym do Petersburga, bał się poruszyć cokolwiek w swym państwie, by nie nadwyrężyć gmachu samowładztwa.

Jak słabym był wówczas prąd rusyfikacyjny, sądzić można z tego, że w Polsce i Litwie wszystkie prawie niższe urzędy były w rękach Polaków, a język polski był w powszechnym użyciu nawet wśród popów i urzędników Rosjan na całej przestrzeni byłej Rzeczypospolitej Polskiej.

Czasy się zmieniły dopiero po przegranej wojnie krymskiej i po śmierci cara Mikołaja. Carat, zagrożony utratą mocarstwowego stanowiska, widząc wzrastające niezadowolenie i krytykę w łonie społeczeństwa rosyjskiego, postanowił ratować sytuację przez przystosowywanie się do nowożytnych potrzeb, przez zmianę samej podstawy dotychczasowej — pańszczyzny — na inną: biurokratyczną-burżuazyjną.

Lecz narzędzia, którymi rząd centralny dotąd się posługiwał — szlachta i urzędnicy — nie odpowiadały podjętemu zadaniu. Pierwsza była zainteresowana w utrzymaniu dotychczasowego stanu rzeczy, drudzy byli zbyt głupi, zbyt przesiąkli rutyną i zresztą zbyt zależni od szlachty, by reformatorski carat mógł polegać na nich. Lud pracujący i ten surogat zachodnio-europejskiego stanu trzeciego, jakim była nieliczna klasa mieszczan i kupców, były zbyt ciemne i nieświadome, by zrozumieć położenie i jeśli nie ująć reform wyłącznie w swe ręce, to przynajmniej je poprzeć. Do wyboru pozostawała jedynie warstwa ludności, uważana dotąd za najbardziej nieprawomyślną i opozycyjną: postępowa inteligencja, rekrutująca się z różnych klas i stanów. Car Aleksander II zwrócił się do niej i przy jej pomocy przeprowadził, wbrew biernej opozycji dotychczasowych podpór tronu, zamierzoną przebudowę swego państwa. Po uwłaszczeniu chłopów zaczęto reformować Rosję od piwnic do strychu. Zmieniono kodeksy i administrację, zreformowano sądownictwo i szkoły, rozszerzono prawa prasy i nadano samorząd miastom i prowincjom. Wszystkie te prawa i ustawy w większości wypadków były kopią z odpowiednich praw i instytucyj w zachodniej Europie i nosiły dosyć wyraźne piętno reakcji pruskiej lub francuskiej z epoki drugiego cesarstwa. Lecz, wobec dotychczasowego barbarzyństwa, były one dla Rosji dziełem pomnikowym. Wkrótce jednak miodowe miesiące zgodnego pożycia postępu z caratem zakończyły się zupełnym zerwaniem.

Przy ustroju pańszczyźnianym w Rosji carat był, że się tak wyrazimy, naturalnym jego dopełnieniem. Był on instytu-

cją narodową nie tylko w pojęciach jedynej kulturalnej klasy: szlachty, której zapewniał wszelkie przywileje, lecz i dla ciemnego, wyzyskiwanego chłopa, który zdziczał w niewoli i wchłonął w siebie wschodnie wyobrażenia o boskim pochodzeniu najwyższej władzy. Obok właściwej Rosji w skład państwa carskiego wchodziły liczne kresy, w różnych czasach przyłączone przemocą i zamieszkane przez narody i plemiona nierosyjskie. Tam, naturalnie, carat nie mógł być instytucją narodową, lecz wszędzie ustrój pańszczyźniany trzymał w ryzach lud pracujący, a warstwy uprzywilejowane, z wyjątkiem jednej Polski, nie posiadały żadnej tradycji walki o swe prawa i były zbyt słabe, by stawić czoło caratowi.

Po zniesieniu pańszczyzny w Rosji, jak i wszędzie, szlachta, jedyna dotąd świadoma podpora tronu, przestała odgrywać poważniejszą rolę i zwolna społeczeństwo zaczęło się przeobrażać w kapitalistyczne. Proces ten jednak był bardzo powolny. Przemysł, kierowany przez ciemnych przeważnie kupców, mając przed sobą zagranicznych konkurentów, produkujących tanio i dobrze, pomimo ceł ochronnych rozwijał się słabo. Oprócz tego rząd, otaczając nadzwyczajną opieką fabrykantów, giełdziarzy i wszystkie grube ryby handlu i przemysłu, stworzył dla tej najwpływowszej części rodzącej się burżuazji życie spokojne i pewne, chociaż i zależne od łaski rządowej. Klasa robotnicza, stosunkowo nieliczna, składała się przeważnie z chłopów, którzy byli niewolniczo względem cara usposobieni, a pod świeżym wrażeniem zniesienia pańszczyzny przejęci wdzięcznością i ufnością. Natomiast warstwa zdeklasowanej inteligencji, której słaby przemysł nie mógł wchłonąć, poczęła wzrastać niepomiernie. Bankrutująca szlachta i drobnomieszczaństwo, popowicze i synkowie urzędników — wszystko to, co dawniej żyło z pracy chłopa, albo będąc ograniczone szrankami stanowymi i przywilejami szlachty, marniało na wysługiwaniu się uprzywilejowanym — wszystko to zostało rzucone w wir złożonych warunków walki o byt. Był to jedyny produkt wytwórczości rosyjskiej, który w nowym ustroju kapitalistycznym nie mógł być zbyty na wewnętrznym rynku Rosji i zarazem wobec nieświadomości jednych warstw i przywilejów innych była to jedyna warstwa, zdolna do czynnej roli na arenie politycznej państwa carskiego.

Zniesienie pańszczyzny na kresach państwa wywołało również poważne zmiany. Lud pracujący, trzymany dotąd w żelaznych kleszczach niewoli, stopniowo zaczął przychodzić do myśli o swej odrębności narodowej i kulturalnej w stosunku do Rosji i caratu. Dążenia odśrodkowe na kresach stale

wzrastają i rozwijają się, a jeżeli sobie uprzytomnimy, że na sto dwadzieścia milionów poddanych cara prawie połowa jest pochodzenia nierosyjskiego, łatwo sobie wyobrazimy, jak bardzo na tym traci jednolitość i wewnętrzna siła państwa.

W takich warunkach sprawa rusyfikacji kresów wisiała niejako w powietrzu. Jeśli bowiem dawniej dla prowadzenia tej polityki carat nie miał odpowiednich wykonawców, to obecnie miał nawet kłopot z ulokowaniem nadmiaru wyprodukowanej w Rosji inteligencji. Rozstrzygał się w ten sposób kryzys wewnętrzny i posuwało się naprzód zjednoczenie i zespolenie składowych części olbrzymiego państwa.

Pierwszą pobudkę do sformowania szeregów armii rusyfikacyjnej dało nasze powstanie 1863 r. Był to czas, gdy w Rosji szła gorączkowa praca reformatorska i wśród inteligencji panującymi były poglądy postępowe. Wodzowie odłamu radykalnego, Hercen i Bakunin, którzy wywierali wpływ potężny na umysły, wydali odezwy, nawołujące Rosjan do czynnego udziału w powstaniu i obalenia na spółkę z Polakami caratu na zawsze. Niestety, nieliczne tylko jednostki usłuchały szlachetnego apelu. Olbrzymia większość stronników Hercena obojętnie patrzyła na krwawą tragedię, a pewna część postępowej inteligencji, pod wodzą Katkowa, przeszła pod wpływem powstania polskiego do obozu reakcyjnego, słusznie upatrując w postępie niebezpieczeństwo dla całości państwa rosyjskiego. Powstanie upadło, zduszone w potokach krwi, i odtąd Polska wraz z Litwą stała się terenem dla najrozmaitszych prób rusyfikacyjnych i szkołą dla działaczy nowego typu. Stąd zaraza ta rozpełzła się po wszystkich innych kresach państwa, wietrząc wszędzie zdradę, bunty i rzekome krzywdy Rosjan.

Nim jednak większość inteligencji rosyjskiej wpadła w szał rusyfikacyjny i poszła śladem Katkowa, carat przeżyć musiał ciężkie chwile walki z odłamem rewolucyjnym tej warstwy. Część inteligencji, niezaspokojona dokonanymi reformami, stanęła na gruncie interesów ludu pracującego i rozpoczęła wśród niego propagandę zasad komunistycznych, gdy zaś rząd stanął im na drodze, nastąpiło starcie w postaci walki terorystycznej z obydwóch stron. W walce tej zginął w 1881 r. i sam car-reformator, a mnóstwo rewolucjonistów skończyło życie na szubienicy i zaludniło kazamaty więzienne i pustynie sybirskie. Rząd, wystraszony rewolucją i zachwiany w swym stanowisku, wstrzymał rozpoczętą przebudowę Rosji i rzucił się w objęcia najczarniejszej reakcji.

Rząd nowego cara Aleksandra III, pomimo przestrachu, znakomicie ocenił sytuację. Zrozumiał, że ma przed sobą za-

ledwie garstkę ludzi, która wydaje się silną jedynie dlatego, że tkwi w niedopasowanej do zmienionych warunków życiowych warstwie inteligencji. Ta zaś, jeśli jest o tyle słabą, że nie zdoła obalić istniejącego ustroju politycznego, to jest dostatecznie silną, by pośród biernego społeczeństwa wytworzyć nową realną podstawę istnienia caratu w miejsce starej, już zużytej — szlacheckiej. O ile więc dla niepoprawnych zostawił szubienice, więzienia i Sybir, o tyle dla innych otworzył szeroko drogę do władzy i chleba. Od dwudziestu lat wewnętrzna polityka caratu polega na rozszerzaniu organizacji rządowej przez przyswajanie jej coraz to nowych funkcyj. Jest to sui generis socjalizm państwowy, w którego zakres wchodzą koleje i filantropia, wódka i moralność, nauka i religia, a który w każdym wypadku spotrzebowuje mnóstwo rąk i głów, wciąga w skład rządu i daje chleb ogromnej ilości głodnych kandydatów do posad.

Rzecz prosta, że Rosja właściwie nie mogła wchłonąć całego ogromu żądnej czynu i chleba rzeszy. I tu przyszły z pomocą kresy. Stały się one rynkiem dla eksportu tego żywego towaru, opatrzonego stemplem rządowym w postaci munduru urzędniczego, obdarzonego różnymi przywilejami i dla uniknięcia konkurencji miejscowej uzbrojonego w monopol prawosławia i rosyjskiego pochodzenia. Po buntowniczej Polsce i Litwie przyszła kolej na lojalnych Niemców, Łotyszów i Estów, po nich — na półdziki Kaukaz i zupełnie dziką Azję, teraz dostąpiła zaszczytu spożywania tego towaru i Finlandia, a tam już się przygotowuje nowy rynek zbytu w Mandżurii, Chinach, marzy się o Persji i Konstantynopolu. Kryzys wewnętrzny, spowodowany w wielkim stopniu nadprodukcją inteligencji, jest w ten sposób zażegnany, a obok tego wzmacnia się związek pomiędzy kresami państwa a jego centrem. Carat zyskuje na sile wewnątrz swej ojczyzny i na jednolitości państwowej — piecze dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Naturalnie, przy takim prądzie wzrastać musiał szowinizm narodowościowy, ubierający dążenie do chleba i wyzysk kresów w jaką taką szatę ideowości. Nie chcę tu rozpatrywać różnych gatunków tych szmat szowinistycznych, zaznaczę tylko, że nie brak pomiędzy nimi i barw najbardziej radykalnych. Rząd najstaranniej rozdmuchiwał ten «zdrowy egoizm narodowy» i czynił wszystko, by mu ułatwić drogę do umysłów. Wykłady w szkołach, zakazy drukowania w pismach rzeczy, sprzecznych z panującym kierunkiem, patriotyczne piosnki i książeczki, przywileje dla wszystkiego, co rosyjskie, a prawa wyjątkowe dla innoplemieńców — wszystko to pu-

szczono w ruch, by jak najsilniej i najszerzej rozniecić pożar szowinizmu, a z wielkości Rosji i korzyści, zapewnionych przez rząd Rosjanom, zrobić pomost pomiędzy caratem a uczuciami poddanych. «Państwo rosyjskie dla Rosjan!» — to było hasło, rzucone przez rząd i skwapliwie, w lot schwycone przez wielotysięczną rzeszę inteligentnych, małointeligentnych, lub posiadających tylko pretensję do wykształcenia ludzi. Wobec siły prądu szowinistycznego niewielka zaledwie cząstka ludzi, zdolnych do czynu i myśli, zdołała wyłamać się spod jego panowania, reszta zaś w mniejszym lub większym stopniu w ten lub inny sposób została nim zarażona. Carat potrafił wchłonąć w siebie ogromną część swobodnej, przy słabym rozwoju kapitalizmu, inteligencji, rozszerzyć i wzmocnić podstawę swego istnienia i zawiązać poważny węzeł solidarności duchowej z kierownikami opinii swego narodu.

Widzimy więc, że polityka rusyfikacyjna, na wszystkich kresach państwa carskiego uprawiana, jest nieledwie koniecznym wynikiem istniejących w nim stosunków społecznych. Będąc poważnym atutem w ręku bankrutującego caratu, przyczyniła się ona znacznie do wzmocnienia reakcji w Rosji i stanowi w pewnej mierze klapę bezpieczeństwa dla usunięcia nadmiaru żądzy władzy i chleba u inteligencji. A wobec tego trudno przypuszczać, by rusyfikacja nie mówię znikła, lecz nawet zmniejszyć się mogła. I śmieszne lub obłudne są dziecinne próby naszych ugodowców, myślących o możliwości jakiejkolwiek zmiany pod tym względem. Carat tak znacznego atutu ze swej gry nie wyrzuci, chyba mu karty z ręki wypadną: rusyfikacja zniknie tylko wówczas, gdy

...znikną, jak mara,
Knuty, turmy i kajdany
Z gospodarką cara.

ARTYKUŁ Z «WALKI»

(Nr 2, str. 1—4, z marca 1903 r.)

Wilno, w marcu 1903 r.

Nowy generał-gubernator wileński ks. Mirskij rozpoczął swe urzędowanie, nie wypowiadając, wbrew utartemu zwyczajowi, wojny obcoplemieńcom i nie nawołując wszystkiego

co rosyjskie, do pracy nad zespoleniem Litwy z Rosją. Jest to szczegół, z którego nasi ugodowcy wysnuwają daleko idące wnioski. Nie pójdziemy ich śladem, musimy jednak uznać, że w istocie coś niecoś zmieniło się w stosunku rządu do Litwy.

Dotychczasowa polityka rządu carskiego względem Litwy wytworzyła się w przełomowej dobie powstania 1863 r. Przy gwiździe kul i skrzypieniu szubienic określono jej cele, wytknięto drogi i opracowano środki i sposoby działalności. Wrogiem, z którym walczono, byli Polacy, więc celem polityki rządowej było zgniecenie żywiołu polskiego i zlanie ostateczne Litwy z Rosją. Naturalną drogą, wiodącą do tego celu, było wzmocnienie żywiołu rosyjskiego i prawosławnego na Litwie, środkiem zaś — przywileje dla wszystkiego, co moskiewskie, a prawa wyjątkowe dla Polaków. W tej zupełnie wyraźnej polityce, której fundamenty zostały założone plugawymi rękami Murawjewa-Wieszatiela, rząd nie liczył jedynie na przemoc i kulturalne siły Rosjan. Postanowił on oprzeć się na oswobodzonym z niewoli pańszczyźnianej ludzie wiejskim i wyzyskać na swoją korzyść jego zrozumiałą niechęć do panów, będących wówczas głównymi przedstawicielami żywiołu polskiego.

Wówczas to ukuto najdziwaczniejszy, jaki kiedy istniał, dziwoląg polityczny, znany pod nazwą «carskiego demokratyzmu», który miał służyć urzędnikom moskiewskim jako nić przewodnia w ich działalności. Zgodnie z tą polityką uwłaszczenie chłopów odbyło się na Litwie (jak i w Polsce) na dogodniejszych dla ludu warunkach, niż w samej Rosji, gdzie w tym wypadku liczono się z poważnymi wpływami szlachty rosyjskiej. Oprócz tego postarano się w postaci służebności i serwitutów pozostawić powód do wiecznych sporów chłopów z panami, by rząd mógł i nadal występować w roli rozjemcy i obrońcy interesów ludowych.

Nie da się zaprzeczyć, że narazie polityka rządowa okazała się skuteczną. Po upadku powstania 1863 r. i uwłaszczeniu chłopów szlachta polska straciła przewagę ekonomiczną w kraju i przestała być główną siłą polityczną Litwy. Wzrastające potrzeby państwowe i przywileje, jakimi otoczono przybyszów ze wschodu, wytworzyły w kraju liczny zastęp Rosjan, którzy wobec upadku polskiego żywiołu nie wynaradawiali się jak dawniej, a czując się panami położenia, narzucali krajowi wszystkie zewnętrzne formy, mające upodobnić Litwę do Rosji. Chłopi, świeżo oswobodzeni z pańszczyźnianej niewoli i pamiętający o krzywdach, znoszonych od polskich panów, popierani przez urzędników w ciągłych sporach z obywatelami, ciemni i nie mający jeszcze żadnych poważniejszych

potrzeb kulturalnych, chłopi zdawali się być zadowoleni z nowego położenia i stanowili, zdaniem Rosjan, niewzruszalną podstawę panowania moskiewskiego na Litwie.

Pozostawały jeszcze miasta, mało wówczas zaludnione i nie odgrywające w życiu kraju poważniejszej roli. Z wyjątkiem nielicznej garstki inteligencji zawodowej i rzemieślników chrześcijan, którzy w ścisłej będąc zależności od wszechwładnej szlachty, utożsamili swe interesy i losy z interesami i dolą ostatniej, mieszkańcy miast byli to Żydzi. Ci, otoczeni murem wyznaniowych przesądów i wzajemnej niechęci rasowej, odgrodzeni od reszty społeczeństwa jak wyznaniem, tak zarówno i prawami, stanowili część ludności, nie wchodzącą w polityczne rachuby i oddającą usługi walczącym stronom zależnie od wypadkowej korzyści, ciągnącą zresztą ku stronie silniejszej, w tym wypadku ku rosyjskiej władzy najezdniczej. I tutaj właśnie rząd w swej rusyfikacyjnej polityce zespolenia Litwy z Rosją znalazł nadspodziewane poparcie.

Zniesienie ustroju pańszczyźnianego, chociaż nie pociągnęło za sobą, jak gdzie indziej, zupełnego unicestwienia przywilejów szlacheckich i przegródek stanowych, wzmogło jednak znaczenie wykształcenia i kapitału. Rozwój zaś miast i przemysłu stwarzał powszechny w państwie rosyjskim popyt na fachowe i uzdolnione siły. Dla Żydów, prześladowanych od wieków i wyodrębnionych starannie przez prawa wyjątkowe, była to furtka, przez którą wchodzili oni w skład społeczeństwa, przestając raz nareszcie być pogardzanym przez wszystkich pariasem. Zjawisko to, powszechne dla całego świata cywilizowanego przy zniesieniu średniowiecznych więzów pańszczyzny, na Litwie miało ten naturalny skutek, że Żydzi, przechodząc szkołę rosyjską, rusyfikowali się i wchodzili w skład społeczeństwa nie miejscowego, lecz rosyjskiego, w tym widząc cel swych dążeń i wybawienie z niewoli, uniknięcie prześladowań i pogardy. Prąd ten był tak silnym, że w krótkim przeciągu czasu wszystko, co wśród Żydów wyrastało choć nieco nad szary tłum, przyjęło jako swoje język i kulturę rosyjską, mnożąc w ten sposób, zgodnie z celami rządu, ilość stronników ścisłego zespolenia kraju z Rosją.

Łatwe i szybkie, choć często pozorne, powodzenie polityki rusyfikacyjnej, połączonej z «demokratyzmem carskim», utrwaliło jej zasady w umysłach rosyjskich mężów stanu, a ogrom przywilejów, którymi obdarzono przedstawicieli tej polityki na Litwie, rozpowszechnił ją w szerokich kołach inteligencji urzędniczej. Więcej nawet, pomimo zohydzenia i ośmieszenia demokratyzmu przez dodanie doń słowa «car-

ski», zdołał on otumanić głowy nawet opozycyjnych elementów w Rosji. Rząd gwałty swe i niesprawiedliwości, popełniane na Litwie, pokrywał frazesem o obronie ludu przed uciskiem szlachty i gwałtowną rusyfikację kraju przedstawiał jako walkę «demokratycznego» ducha Rosji ze szlachecko-księżowską reakcją Polski, a społeczeństwo rosyjskie z bardzo nielicznymi wyjątkami patrzyło nań, jako na rzeczywistego swego przedstawiciela w tym wypadku i zwolna przesiąkało tym dziwacznym przedstawieniem rzeczy. Nic dziwnego więc, że całość jej polityki stała się urzędowym wyznaniem wiary każdego przybysza do Litwy ze wschodu i wszyscy kierownicy rządu najezdniczego na Litwie uważali za stosowne przy wstępie samym głosić jej zasady, stwierdzać, że walka z polonizmem nie skończona i ma trwać dalej.

Lata jednak biegły i, jeśli w mózgownicach czynowników niewiele w tym czasie się zmieniło, to natomiast w życiu samym zaszły głębokie zmiany. Przede wszystkim spójrzmy, w co się obrócił «demokratyzm», którego apostołami mieli być czynownicy.

Pierwszą szczerbę w nim zrobiło prześladowanie katolicyzmu, obok bowiem demokratyzmu apostołowie nieśli do Litwy i prawosławie. Nieśli zaś w sposób zaiste mongolski — do krzyża dołączono nahajkę — do kazania dodano turmę, z popem szedł w parze kozak i policjant. A że duża część ludu na Litwie jest katolicką, prawa wyjątkowe i nahajki, skierowane na razie na arystokratyczne plecy szlachty, spadać zaczęły i na demokratyczne karki chłopów, wnosząc wśród nich nie przywiązanie do nowych apostołów, lecz coraz bardziej wzrastającą niechęć. Każdemu są znane te dzieje «apostolstwa moskiewskiego» na Litwie: zamknięte kościoły, nawracanie nahajką, krew, obficie przelana przez «apostołów», wysyłanie księży i biskupów, prawa wyjątkowe przeciwko krzyżom, kaplicom i w ogóle katolikom, którzy bez względu na to, czy są szlachcicami, czy chłopami, nie mają prawa ani do urzędów, ani do kupowania ziemi — wszystko to są żywe świadectwa «apostolstwa».

Równie nie «demokratycznie» rząd się obszedł z językiem litewskim, chociaż nie jest to wcale język szlachecki. Jak wiadomo, wszelkie druki litewskie, gdy do nich są użyte czcionki nie rosyjskie, zostały zakazane, i w ten sposób został poważnie zatamowany rozwój literatury litewskiej. Gdy zaś wzrost potrzeb kulturalnych wśród ludu litewskiego wywołał ogromne zapotrzebowanie na książki w ojczystym języku, rząd puścił w ruch machinę państwową, by tropić przemycane

z Prus wydawnictwa. Lud litewski wkrótce się poznajomił z rewizjami, żandarmami, aresztowaniami itp. przejawami czułości «demokratycznego» niedźwiedzia.

Nie lepiej się powiodło «apostołom» i na niwie ekonomicznej. Jeżeli na razie urzędnicy trzymali się zasady bronienia interesów chłopa przy jego sporach prawnych z panem, to wkrótce, gdy minęły gorętsze popowstaniowe czasy, natura pociągnęła wilka do lasu — czynownika do łapówki, a więc i do służenia interesom bogatszych, tj. szlachty. Przyczyniła się do tego i okoliczność, że dzięki przywilejom namnożyło się na Litwie «zruszczonych majątków», w których nowi właściciele dóbr już nie byli prześladowaną szlachtą polską, lecz najbardziej uprzywilejowanym stanem w państwie carskim — prawosławnymi czynownikami, a w tym wypadku, rzecz jasna, kruk krukowi oczu wykłuć nie mógł. Jeżeli zaś dodamy, że czynownicy moskiewscy wcale nie dbali o wzrastające potrzeby kulturalne ludu i nie liczyli się z rozwojem jego godności osobistej, wreszcie wobec naturalnego przyrostu ludności okazał się wkrótce brak ziemi i ekonomiczne warunki życia ludu wiejskiego znacznie się pogorszyły, łatwo zrozumiemy, iż w pokoleniu, po zniesieniu pańszczyzny wyrosłym, więcej się zgromadziło goryczy, niż wdzięczności i ufności względem «demokratycznych» opiekunów ze wschodu.

Widzimy więc, że życie rozdzieliło ohydne połączenie słów «carski» i «demokratyzm» i oddało carowi, co carskie, tj. krzywdy, gwałty, niesprawiedliwości oraz połączone z nimi gorycz i niechęć ludu. Lecz głuche niezadowolenie owo i gorycz nie przejawiały się na zewnątrz. A że rząd rosyjski odznacza się w ogóle rutyną i nieudolnością do wyczuwania nastroju ludowego, więc carat kołysał się i dalej do snu słodkim wyobrażeniem o wierności dla siebie chłopów.

Dopiero rozwój ruchu socjalistycznego w całym państwie rosyjskim zbudził rząd ze słodkiej drzemki i otworzył oczy na zbliżające się niebezpieczeństwo. W istocie w ciągu ubiegłych lat czterdziestu miasta i przemysł wzrosły wszędzie, nawet na Litwie, najbardziej ze wszystkich części państwa upośledzonej pod względem przemysłowym, liczba ludności miejskiej potroiła się. Wśród tej ludności, której część przeważna była wychodźcami ze wsi, kiełkować zaczęła istotnie myśl demokratyczna, wymagająca, by lud pracujący pozbył się tych powijaków, którymi krępują jego ruchy rozmaici opiekunowie, i sam stanął w obronie swych interesów. Przy dokładniejszym zaś uświadomieniu tych interesów i potrzeb okazało się, że pomiędzy nimi a samowładnym rządem carskim istnieje tak głę-

boka sprzeczność, iż doprowadza ona do ostrych starć i nieporozumień, jeszcze bardziej pogłębiających przepaść pomiędzy walczącymi stronami. Z tym istotnym demokratyzmem rząd carski nie mógł już wchodzić w ugodę, nie mógł brać obłudnie pod swe skrzydła interesów ludowych, gdy te zagrażały jego istnieniu. Były, co prawda, robione próby tego rodzaju w stolicach carskich — Moskwie i Petersburgu. Lecz na kresach, w krajach zawojowanych, gdzie żywe są tradycje walk krwawych z najeźdźcą, a ucisk narodowościowy i religijny wytwarza wciąż nowe rachunki ludności z rządem, trzeba było się wyrzec wszelkiej obłudy i, nie nakrywając się lisim ogonem, walczyć przyrodzoną caratu bronią — nahajką, turmą, Sybirem i bagnetem.

Położenie pogorszyło się jeszcze bardziej, gdy jak «jaskółki, zwiastujące gromy», z różnych stron państwa dolatywać zaczęły wieści o wypadkach przedostania się zarazy rewolucyjnej na wieś. Ostatnie zaś wypadki na południu Rosji, wśród rusińskich chłopów, dowiodły jasno możliwości wpływu na chłopów idei rewolucyjnych i ostatecznie zachwiały w rządzie niewzruszoną dotąd pewność o wdzięczności i przywiązaniu chłopów do cara. Chłopi stali się nagle żywiołem «niebłagonadiożnym» [1]) i z Petersburga rozesłano do gubernatorów okólniki, nakazujące wzmocnienie dozoru policyjnego na wsi, w Królestwie zaś poruczono zorganizować po wsiach tajną policję, mającą na wzór miejskich szpicli tropić rewolucjonistów wiejskich. Pomimo, że Litwa — jak miasta tak i wsie — nie odgrywały w tym procesie dziejowym poważniejszej roli, jednak wspomnienia o «buntowniczej» Litwie kazały rządowi i tu być ostrożnym, i tu zaprzestać igrania z ogniem demokratyzmu.

Pozostaje jeszcze nam rozpatrzeć zachowanie się innych części ludności w tym czasie. Mówiliśmy wyżej, że Żydzi w miastach litewskich okazali się najpodatniejszym dla rusyfikacji żywiołem. Rząd jednak carski nie tylko nie skorzystał z tego usposobienia Żydów, lecz przeciwnie rozpoczął od połowy rozpatrywanego okresu systematyczne ich prześladowanie, przypominające barbarzyństwa średniowieczne. Przede wszystkim, wypchnięto brutalnie Żydów ze społeczeństwa rosyjskiego, w skład którego chcieli wejść oni, a potem licznymi prawami wyjątkowymi odjęto im nadzieję wyjścia z nieznośnego położenia pariasów społecznych. Sztucznie skupieni w miastach i miasteczkach, oddani w większości na pastwę nędzy i upo-

[1]) Nieprawomyślny, niepewnym pod względem politycznym.

korzeniu, Żydzi przy wzroście swych potrzeb kulturalnych i społecznych znaleźli się w rozpaczliwym położeniu. Gdy zaś wśród licznego proletariatu miejskiego rozwijać się zaczął socjalizm, powszechne i ostre niezadowolenie z istniejącego porządku rzeczy nadało mu szerokie rozmiary i doprowadziło do zewnętrznych przejawów w postaci ostatnich manifestacji ulicznych, zakończonych bohaterską śmiercią Lekerta[1]). Niestety, niektóre cechy tego ruchu zmniejszają w wielkim stopniu jego znaczenie i wpływ na życie społeczne oraz na bieg wypadków na Litwie. Mianowicie, nie daje się spostrzec dotąd, by wśród Żydów litewskich, nawet najbardziej rewolucyjnych, zjawiała się opozycja przeciwko głównemu celowi polityki rządowej na kresach, zespalaniu ich, z krzywdą dla nich, z ojczyzną caratu — Rosją, czego skutkiem jest brak zlania się dążeń rewolucyjnych Żydów z naturalnymi dążeniami proletariatu innych narodowości. Takie zaś wyodrębnienie sił rewolucyjnych żydowskich, przedstawicieli niewielkiej mniejszości krajowej, odbiera im znaczną część powagi, jaką by mieć mogły, działające solidarnie z resztą ludności.

Co się zaś tyczy tej części ludności, przeciwko której przede wszystkim były wymierzone pociski rządowe — szlachty polskiej, to i ona ulec musiała zachodzącym w łonie społeczeństwa zmianom. Przegrane powstanie 1863 r. i uwłaszczenie chłopów położyło kres ich przewadze w życiu społecznym kraju. Część jej, zasilana przybyszami z Królestwa i świeżymi siłami innych stanów, wytworzyła chrześcijański żywioł miejski na Litwie, reszta zaś albo boryka się z biedą i bankructwem, albo przeistacza się w burżuazję nowoczesną. Odpowiednio do zmiany ekonomicznego położenia szlachta zmieniła w znacznym stopniu i swe polityczne stanowisko, opuszczając sztandar rewolucyjny i przesiąkając coraz bardziej zgodą z niewolą i zależnością od Rosji.

Jak widzimy, rząd po 40 latach swej polityki znalazł się w dosyć dziwnym położeniu. Zraził wszystkich, na których liczył, lub tych, co go popierać mogli, szczerych zaś przyjaciół nie nabył, jeśli nie liczyć zwiększonej w porównaniu z 1863 r. ilości przybyszów — Rosjan. Nic dziwnego, że w umysłach niektórych przynajmniej sług cara zjawić się mogła wątpliwość co do skuteczności dotychczasowego postępowania — wyrazem zaś tych wątpliwości była mowa ks. Mirskiego, tak spo-

[1]) Hirsz Lekert — wileński robotnik — Żyd, który dokonał zamachu na policmajstra von Wahla, mszcząc się za karę chłosty, zastosowaną do 36 uczestników manifestacji 1-szo majowej, i został stracony 10. VI. 1902 r.

kojna i nic nie mówiąca w porównaniu z mowami wszystkich jego poprzedników. Niepodobna, naturalnie, oczekiwać poważniejszej zmiany w polityce carskiej względem Litwy, bo po pierwsze nałogowy, od 40 lat nabyty, sposób myślenia nie tak łatwo daje się zastąpić przez inny, po drugie zaś zmiany i rozwój stosunków społecznych na Litwie zachodzą tak wolno i dotąd tak łagodnie, że rząd nie ma się z czym śpieszyć. W każdym razie ma on przed sobą dwie tylko drogi.

Jedna z nich, to porzucenie raz na zawsze wszelkich prób oparcia się na jakiejkolwiek warstwie ludności miejscowej i liczenie jedynie na przemoc — nahajkę i bagnet. Druga — to wyzyskanie ugodowego nastroju w szlachcie i burżuazji polskiej. O pierwszej z nich nie ma co mówić, druga zaś wyraziłby się mogła w drobnych ulgach dla katolicyzmu i zniesieniu zakazu kupowania ziemi przez Polaków. O jakichkolwiek ustępstwach rządowych na rzecz kultury polskiej — co jedynie mogłoby obchodzić lud pracujący — nawet najśmielsi z ugodowców nie marzą. Ugoda więc byłaby tylko otwartym uświęceniem już istniejącego popierania na każdym kroku drobnych, codziennych interesów ekonomicznych szlachty, szczególnie, gdy chodzić będzie o spory z włościanami. Że ogromna większość posiadaczy dóbr wiejskich i miejskich za tę miskę soczewicy sprzeda ostatek i tak mało wartego patriotyzmu, o tym wątpić nie można, że mnóstwo filistrów każde ułatwienie w napychaniu sobie kieszeni przez polskiego szlagona lub fabrykanta uważać będzie za zwycięstwo narodowe, to również niewątpliwe. Lecz czy lud pracujący zechce jeszcze długo nie zakłócać jakichkolwiek rachunków, na jego cierpliwości i pokorze opartych, to już i na Litwie staje się pytaniem.

W SPRAWIE RZEMIEŚLNICZEJ

«Walka» nr 2, str. 4—6, z marca 1903 r.

Litwa, jak to wie każdy, nie jest krajem przemysłowym. Jeżeli wyłączymy Białystok, właściwie nie na ziemi litewskiej leżący, nie znajdziemy w niej żadnego poważniejszego ogniska przemysłowego. Trochę fabryk żelaznych w Kownie, trochę drobnego przemysłu w Wilnie, kilka rozsianych po Litwie hut szklanych lub papierni: oto i cały przemysł litewski, boć prze-

cie gorzelnie, cegielnie i drobne fabryczki wiejskie nie dają się zaliczać do nowoczesnych zakładów przemysłowych. Dosyć powiedzieć, że najpoważniejszymi skupieniami ludności robotniczej na Litwie są warsztaty kolejowe. Nic dziwnego, że ludziska w poszukiwaniu zarobku wędrują do dalekiego Petersburga, Rygi, Jekaterynosławia lub przepełniają warsztaty rzemieślnicze, bo jedynie rzemiosło stanowi na Litwie poważniejszy sposób zarobkowania w miastach. Właściwie więc rzemieślnicy stanowią klasę robotniczą w miastach litewskich.

Już samo przepełnienie rzemiosła wobec braku przemysłu stwarza dla proletariatu, w nim zajętego, niezbyt dogodne warunki pracy. Pogarsza jej położenie ta okoliczność, że z wyjątkiem bardzo nielicznych warsztatów cała produkcja rzemieślnicza zadawalniać się musi litewskim, a nawet ściślej mówiąc miejscowym rynkiem zbytu. W tych zaś gałęziach produkcji, które wytwarzają towary na wywóz, rozwielmożnił się najzgubniejszy dla robotników system produkcji, tzw. u nas «na magazyny», a słusznie przez ekonomistów określony przez angielskie *sweating*, tj. pocący się, bo nadmiernie wyzyskujący siły i zdrowie pracujących. W istocie jeśli się przyjrzymy położeniu produkcji rzemieślniczej w miastach litewskich, spostrzeżemy wszędzie jeden i ten sam smutny obraz. Zwykle w mieście każdym jest kilka warsztatów, pracujących na najbogatszą część klijenteli, dających względnie dobry towar za drogą cenę. Te dają swym właścicielom porządne zarobki i, trzeba przyznać, zapewniają i robotnikom lepsze warunki pracy, niż inne. Obok nich istnieje całe mnóstwo drobnych warsztacików, pracujących na uboższych, albo na magazyny, gdzie sam właściciel nieraz nie lepszą od swych pracujących klepie biedę, gdzie praca jest wyżyłowana do ostateczności, a warunki życia nad wyraz marne. Pewien wyjątek stanowią rzemieślnicy, związani z przemysłem budowlanym, którzy w czasie ożywienia tego przemysłu na brak roboty skarżyć się nie mogli. Lecz i tu konkurencja sprowadzanych z Rosji robotników oraz system pośrednictwa znacznie obniżał zarobek naszych rzemieślników, a cóż dopiero mówić o czasie teraźniejszym, gdy kryzys wstrzymał wszelkie budowy i w takim Wilnie zaledwie jeden czy dwa domy budowały się w tym sezonie.

Położenie więc rzemieślników litewskich nie jest godne zazdrości. Gniecie ich i dusi mnóstwo rzeczy bezpośrednio od nich niezależnych, których zmiana nastąpić może nie z ich woli. Pomimo jednak tak ciężkiego położenia musimy szukać z niego wyjścia, musimy się starać o poprawę swego losu

i zmieniać na lepsze przynajmniej to, co od nas zależy, gdyż w życiu społecznym, tak samo jak prywatnym, pieczone gołąbki same nigdy nie spadają ludziom do gąbki, a bez pracy nie ma kołaczy.

Przede wszystkim rozpatrzmy, co się da zrobić w tych sprawach, które najbardziej robotników obchodzą — w polepszeniu ich zarobków i skróceniu dnia roboczego. Co do pierwszego, tj. lepszej płacy, musimy zauważyć, że położenie produkcji rzemieślniczej na Litwie, osobliwie w obecnym kryzysowym czasie, mało daje nadziei robotnikom na powodzenie w walce o nią. Jeszcze można o to się pokusić w tych najlepszych warsztatach, których istnienie przy zapewnionym zbycie jest zabezpieczone. Lecz i tutaj wobec tego, że warunki pracy w takich warsztatach są lepsze, i wobec ogromnej podaży pracy, zwycięstwo nieraz będzie wątpliwym. Co się zaś tyczy partackiego rzemiosła, pracującego na magazyny i na ludność uboższą i zalewającego rynek tandetą rzemieślniczą, to walka najczęściej jest niemożliwą wobec małych zarobków samych majstrów. Wielu z nich, po odtrąceniu zapłaty za lokal, światło i wydatki, połączone z przedsiębiorstwem, ma zaledwie na bardzo skromne utrzymanie i nic prawie na korzyść pracujących ustąpić nie może.

Natomiast w sprawie wywalczenia krótszego dnia roboczego inaczej się rzecz przedstawia, i na tę stronę życia towarzysze zwrócić powinni największą uwagę. Wszystkie próby, dokonywane na tym polu na całym świecie, przekonać mogą, że na skróceniu dnia roboczego przedsiębiorca nie traci najczęściej wcale. Robotnik wypoczęty robi prędzej i lepiej, niż wyczerpany z omdlałymi rękami i zbolałym grzbietem pracownik. Produkcja więc po pewnym przeciągu czasu nie tylko dorównuje produkcji przy dłuższym dniu roboczym, lecz nawet ją przewyższa; robotnicy więc, którzy pracują na akord, nic na tym nie przegrywają również. Wygrana więc po stronie robotników jest ogromna, nie tylko zaoszczędza człowiek siły i zdrowie, lecz, mając więcej swobodnego od pracy zarobkowej czasu, może go poświęcić na rozrywki, wykształcenie siebie i innych. Długi dzień roboczy jest to największy wróg sprawy robotniczej, największy bicz zdrowia i życia ludu pracującego. A uderzmy się w piersi, ilu to z nas, nie pomnąc o przyszłości, rujnuje zdrowie przy pracy akordowej, by nieco więcej zarobić. To wyrachowanie tym jest fatalniejszym, że kryje się w nim błąd. Zarobek w istocie na razie jest większy, lecz po pewnym przeciągu czasu akord zostaje obniżony i ro-

botnik, by wyrobić dawną płacę, musi jeszcze bardziej przeciągać dzień roboczy.

Robotnicy na całym świecie dążą do 8-miogodzinnego dnia roboczego i w wielu miejscach już go uzyskali. U nas na razie o 8 godzinach pracy mowy być nie może. W takiej Warszawie rzemieślnicy w wielu warsztatach wymagają 9 godzin pracy i już potrafili w niektórych wypadkach cel swój osiągnąć. Nie sądzimy, by towarzysze w Wilnie, Kownie lub Grodnie okazać się mieli mniej zdolnymi, mniej energicznymi od swych warszawskich kolegów i radzimy wszystkim rzemieślnikom postawić sobie za cel zdobycie 9-godzinnego dnia roboczego. Osiągnąć to można chociażby stopniowymi urywkami nadmiernie długiego dnia roboczego.

Bardzo poważną dla zdrowia naszego rzeczą jest porządna, widna i sucha pracownia. Każdy wie, że obecne warsztaty dużo pod tym względem zostawiają do życzenia. Dosyć jest pobieżnie przejrzeć korespondencje w tych dwóch nrach «Walki», by się przekonać o tym. «Pracownia jest wilgotna» — uskarża się jeden korespondent, «na kuźni nie ma dachu» — powiada drugi itd. W tym wypadku bez wątpienia spotkamy na swej drodze bardzo często istotną niemożliwość ulepszenia położenia, gdy majster nie ma z czego łożyć na zmianę warunków pracy. Dużo jednak dałoby się usunąć braków, gdybyśmy stale zmuszali pracodawców liczyć się z potrzebami i wymaganiami naszych oczu, płuc i w ogóle zdrowia. Że sami oni o tym nie pomyślą, to pewne. Ale gorsze to, że my sami mało o to dbamy.

Wreszcie przechodzimy do najboleśniejszej rany stosunków rzemieślniczych, do najbardziej wymagającej naprawy strony naszego życia — do obchodzenia się majstrów z czeladnikami i terminatorami. Warsztat rzemieślniczy to nie fabryka, gdzie pracujący oddaje wyzyskiwaczowi swą pracę na pewien określony czas. Tutaj często całe życie człowieka jest jak na dłoni, i nieledwie cały dzień schodzi pod okiem majstra lub jego zausznika; nie mówiąc już o terminatorach, którzy wprost są oddani pod opiekę majstrowską. W tych warunkach zależność jest znacznie większą niż w fabryce, i w wielu wypadkach, gdy majster jest człowiekiem energicznym, a czeladź pozwala jeździć sobie po nosie, stosunki w warsztatach przypominają dawne stosunki pańszczyźniane, gdy chłop ani żenić się, ani czytać, ani pić bez pozwolenia dziedzica nie mógł. O losie terminatorów nie ma co i mówić, najczęściej są to chłopacy do usług, zmuszeni do posługi i panu majstrowi, i pani majstrowej, i czeladnikom, i gościom pana majstra. Najlepiej

jest starać się o zniesienie zupełnie wiktu i mieszkania u majstra, bo to ludzi czyni więcej niezależnymi. Następnie nie trzeba się wahać stawiać opór wszelkiej brutalności ze strony majstra i natychmiast ją karcić, choćby najostrzej. Tylko taka natychmiastowa, na miejscu obrazy dana, odprawa wywiera wpływ i uczy szanować godność osobistą ludzi. Pomiędzy sobą zaś wystrzegać się należy brutalnych słów i czynów i zawsze stawać w obronie słabszych, gdy tego zajdzie potrzeba. To jest droga do naprawy stosunków pod tym względem. Wreszcie wielki wpływ wywiera i stała walka robotników o swoje prawa i o polepszenie warunków pracy.

Co się tyczy środków walki, to te są znane. Najsilniejszym jest strejk, przy czym może być on ogólny dla całego fachu, lub częściowy — warsztatami. Ogólny strejk jest bardzo trudny do przeprowadzenia i wymaga pewnego wyćwiczenia i karności w szeregach robotniczych. Łatwiejszym znacznie jest strejk częściowy, mający jeszcze tę dobrą stronę, że nie robi tyle hałasu i pozwala na okazanie strejkującym skutecznej pomocy ze strony towarzyszy, co, wobec niemożliwości w naszych warunkach politycznych zbierania funduszów na wypadek strejku, jest bardzo ważnym. Oprócz strejku istnieją i inne, domowe powiedziałbym środki — solidarne wystąpienie z żądaniami bez porzucania pracy, takie lub inne przekonywania majstra itd. Wreszcie przy rozwoju solidarności w szeregach robotniczych dałby się zastosować na Litwie względem najupartszych majstrów i bojkot, polegający na tym, że takiego majstra pozostawionoby bez robotnika, i że niktby się do niego nie zwracał o pracę.

Nie da się zaprzeczyć, że walka w rzemiośle jest trudniejszą, niż w fabryce. Już samo zebranie wielkiej ilości robotników w jednym miejscu i ogrom strat, ponoszonych przez fabrykantów przy zatargach z robotnikami, ułatwia walkę proletariatu w fabrykach. Walka o poprawę losu wśród rzemieślników wymaga dużej energii i uporczywości, często chodzić w niej musi o drobiazgi życiowe. Wszystko to jest prawdą, lecz wobec tego, że my nie jesteśmy w stanie przekształcić produkcji rzemieślniczej na fabryczną, musimy w tych warunkach, jakie mamy, prowadzić walkę — musimy, jeśli chcemy być godni nazwy ludzi. Nie dosyć jest skarżyć się na los i krzywdy, trzeba umieć i walczyć z nimi.

Każda niewola, każdy wyzysk ma dwie strony. Jedną jest pan i wyzyskiwacz, drugą niewolnik i wyzyskiwany. I dopóki niewolnik lub wyzyskiwany bez szemrania krzywdy znosi, dopóki kark swój pokornie schyla, dopóty jest tym pochyłym

drzewem, o którym przysłowie mówi, że na nie kozy skaczą, dopóty jest on współwinnym niewoli i krzywdy swojej. Wyprostować się więc nam należy, towarzysze, zrozumieć swą krzywdę i walczyć o jej zniesienie.

JAK STAŁEM SIĘ SOCJALISTĄ

«Promień» nr 8—9, str. 342—348 z 1903 r.

Podnietą do napisania tego artykułu było zwrócenie się do wybitnych działaczy socjalistycznych, co ich sprowadziło na drogę socjalizmu. Zwracała się z tym redakcja «Promienia», czasopisma lwowskiego, przeznaczonego dla młodzieży, a obsługującego przede wszystkim tajną organizację «Promienistych», która skupiała młodzież socjalistyczną szkół średnich. Na młodzież tę, sympatyzującą z Polską Partią Socjalno-Demokratyczną Galicji i Śląska, silnie oddziaływali członkowie P. P. S. zaboru rosyjskiego, emigranci, osiedli w Galicji. «Promień» szedł drogą kontrabandy również do zaboru rosyjskiego, gdzie go rozpowszechniała P. P. S. Umieszczenie w tym organie pracy Józefa Piłsudskiego miało przeto pewnego rodzaju cele agitacyjne.

Artykuł ten był niejednokrotnie przedrukowywany. Niebawem po ukazaniu się wywołał on obszerny artykuł Romana Dmowskiego (pod pseudonimem Sk.) w «Przeglądzie Wszechpolskim» (Kraków, 1903, str. 758—772), p. t. «Historja szlachetnego socjalisty».

Nazwałem siebie socjalistą w r. 1884. Mówię — nazwałem, bo nie oznaczało to wcale nabycia niezłomnych i utrwalonych przekonań o słuszności idei socjalistycznej. Byłem wówczas w gimnazjum wileńskim, należałem do kółka «Spójnia», zawiązanego kilka lat przed tym, i razem ze swymi kolegami uległem modzie socjalistycznej, którą nam przywieźli starsi koledzy, studenci uniwersytetu petersburskiego. Otwarcie wyznaję, że była to moda, bo inaczej trudno mi nazwać ówczesną epidemię socjalizmu, która ogarnęła umysły młodzieży, rewolucyjnie czy tylko opozycyjnie usposobionej. Ogarnęła zaś do tego stopnia, że nikt z inteligentniejszych i energiczniejszych mych kolegów nie uniknął w swym rozwoju przejścia przez etap socjalistyczny. Jedni zostali już socjalistami, drudzy przeszli do innych obozów, trzeci wreszcie wyrzekli się wszelkich aspiracji społecznych, lecz każdy z nich przez czas dłuższy lub krótszy był socjalistą.

Przede wszystkim więc, mówiąc o sobie, muszę wyjaśnić, czemu byłem w owym czasie rewolucyjnie usposobionym. Urodziłem się na wsi, w szlacheckiej rodzinie, której członkowie, zarówno z tytułu starożytności pochodzenia, jak i dzięki obszarowi posiadanej ziemi, należeli do rzędu tych, co niegdyś byli nazywani bene nati et possesionati. Jako possesionatus, nie zaznałem długo żadnej troski o materialne rzeczy i otoczony byłem w dzieciństwie pewnym komfortem. A że rodzeństwo moje było liczne i rodzice względem nas byli bardzo łagodni i serdeczni, mógłbym nazwać swe dzieciństwo — sielskim, anielskim. Mógłbym — gdyby nie zgrzyt jeden, zgrzyt, który sępił czoło ojca, wyciskał łzę z oczu matki i głęboko się wrażał w mózgi dziecięce. Tym zgrzytem było świeże wspomnienie o klęsce narodowej 1863 r. (urodziłem się w 1867 r.).

Matka, nieprzejednana patriotka, nie starała się nawet ukrywać przed nami bólu i zawodów z powodu upadku powstania, owszem, wychowywała nas, robiąc właśnie nacisk na konieczność dalszej walki z wrogiem ojczyzny. Od najwcześniejszego dzieciństwa zaznajamiano nas z utworami naszych wieszczów, ze specjalnym uwzględnieniem utworów zakazanych, uczono historii polskiej, kupowano książki wyłącznie polskie. Ten patriotyzm rewolucyjny nie miał określonego kierunku społecznego. Matka z naszych wieszczów najbardziej lubiła Krasińskiego, mnie zaś od dzieciństwa zachwycał zawsze Słowacki, który też był dla mnie pierwszym nauczycielem zasad demokratycznych. Były one, naturalnie, u dziecka bardzo niejasne i mgliste, lecz przy moim żywym i nieco przekornym charakterze utrwalały się przy każdym sporze, które niekiedy matka żartem prowadziła.

Poza książkami, tyczącymi się Polski, czytałem dosyć dużo najróżnorodniejszych książek, wszystko, co mi tylko nawinęło się pod rękę. Najwyższe wrażenie sprawiały na mnie książki, opisujące byt narodów klasycznych — Greków i Rzymian. Prawdopodobnie dlatego, że były przepełnione szczegółami walk o ojczyznę i opisami bohaterskich czynów. Oprócz tego byłem rozkochany w Napoleonie i wszystko, co się tego mego bohatera tyczyło, przejmowało mnie wzruszeniem i rozpalało wyobraźnię. Wszystkie zaś marzenia moje koncentrowały się wówczas koło powstania i walki orężnej z Moskalami, których z całej duszy nienawidziłem, uważając każdego z nich za łajdaka i złodzieja. To ostatnie zresztą było zupełnie usprawiedliwionym. W owym czasie Rosja wylała na Litwę szumowiny swoje, najpodlejsze elementy, jakie posiadała, a opowia-

dania o łajdactwach i barbarzyństwie tej hordy Murawjewa były na ustach wszystkich.

Zaznaczyć jeszcze dla ścisłości muszę, że matka od najwcześniejszych lat starała się rozwinąć w nas samodzielność myśli i podniecała uczucie godności osobistej, które w moim umyśle formułowało się w sposób następujący: tylko ten człowiek wart nazwy człowieka, który ma pewne przekonanie i potrafi je bez względu na skutki wyznawać czynem.

Z takim usposobieniem i poglądami, o ile dziecinne myśli poglądami można zwać, wszedłem w progi szkolne. Zostałem uczniem pierwszego gimnazjum wileńskiego, mieszczącego się w murach dawnego uniwersytetu wileńskiego, byłej alma mater Mickiewicza i Słowackiego. Wyglądało tu, naturalnie, inaczej, niż za ich czasów. Gospodarzyli tu — uczyli i wychowywali młodzież — pedagodzy carscy, którzy do szkoły wnosili wszystkie namiętności polityczne, a za system mieli możliwe zgnębienie samodzielności i godności osobistej swych wychowanków. Dla mnie epoka gimnazjalna była swego rodzaju katorgą. Byłem, co prawda, chłopcem dosyć zdolnym, nigdym się nie zamęczał pracą i z łatwością przechodziłem z klasy do klasy, lecz gniotła mię atmosfera gimnazjalna, oburzała niesprawiedliwość i polityka pedagogów, nużył i nudził wykład nauk. Wołowej skóry by nie starczyło na opisanie bezustannych poniżających zaczepek ze strony nauczycieli, hańbienia wszystkiego, com się przyzwyczaił szanować i kochać. Jak silnym było wrażenie tego systemu pedagogicznego na mój umysł — można sądzić z tego, że dotąd jeszcze, gdym już przeszedł przez więzienia i Sybir i miał do czynienia z czynownikami różnego gatunku, w każdym przykrym śnie odgrywa taką lub inną rolę którykolwiek z moich miłych pedagogów wileńskich.

W takich warunkach nienawiść moja do carskich urządzeń, do ucisku moskiewskiego wzrastała z rokiem każdym. Bezsilna wściekłość dusiła mię nieraz, a wstyd, że w niczym zaszkodzić wrogom nie mogę, że muszę znosić w milczeniu deptanie mej godności i słuchać kłamliwych i pogardliwych słów o Polsce, Polakach i ich historii, palił mi policzki. Uczucie przygnębienia, uczucie niewolnika, którego w każdej chwili, jak robaka, zgnieść mogą, leżało mi na sercu kamieniem młyńskim. Lata mego pobytu w gimnazjum zaliczam zawsze do najprzykrzejszych w swym życiu.

Marząc ciągle o powstaniu, zacząłem się wówczas zastanawiać, czemu dotychczasowe się nie udały. Książek odpowiednich nie było, kłopoty majątkowe nieco oddaliły moich ro-

dziców od dzieci, w rozmowach zaś starszych o ostatnim powstaniu mówiono bardzo mało, a to, co mówiono, było dla mnie wstrętnym — uważano bowiem, że powstanie było nie tylko błędem, lecz i zbrodnią. Ze specjalną więc ciekawością czytałem to, co mogłem dostać, o rewolucji francuskiej. Podłoża społecznego tego ruchu, naturalnie, nie rozumiałem, natomiast byłem zachwycony zapałem i zajadłością rewolucyjną oraz udziałem wielkich mas ludowych. A gdym się zapytał, czemu my, Polacy, nie zdobyliśmy się na taką energię rewolucyjną, znalazłem jedyną odpowiedź — byliśmy i jesteśmy gorsi od Francuzów. Był to wielki cios, zadany mojej dumie narodowej, lecz czekał mię jeszcze silniejszy. W owe czasy głośną była na całym świecie walka Narodnej Woli rosyjskiej z caratem. Odgłosy tej walki dochodziły, naturalnie, do Wilna i bohaterstwo jej nie mogło nie imponować mojej romantycznej głowie. Zarazem w Polsce było cicho. Proletariat, który wówczas działał w Warszawie, o tyle był słabym, że wpływy jego prawie nie dochodziły do Wilna, a poza nim w społeczeństwie polskim, wyczerpanym walką 1863 r., było tyle strachu, tyle czarnej reakcji, tyle oburzenia na każdą myśl żywszą, że porównanie Rosji z Polską wypadało wówczas dla mnie zawsze na korzyść Rosji. Byłem tym wprost upokorzony i stałem na rozdrożu.

W tym właśnie czasie przyszła socjalistyczna moda. Moda ta dla nas, wilnian, szła ze wschodu, z Petersburga. Dla siebie osobiście uważam to za szczęście. Gdybym się spotkał w owe czasy z socjalizmem warszawskim, negującym otwarcie sprawy narodowościowe i występującym przeciwko tradycji powstańczej, byłbym tak opornym na jego wpływy, że razem z tymi niepotrzebnymi, według mnie, dodatkami odrzuciłbym i samą ideę socjalistyczną. Petersburski socjalizm nie wymagał tej ofiary ode mnie, a zarazem dawał mi pewną nić przewodnią, pewien światopogląd, który wobec rozbicia poprzedniego z łatwością zajął jego miejsce.

Petersburski, a raczej rosyjski ówczesny socjalizm nie był wcale tym, co obecnie ludzie nazywają tym imieniem. Była to dosyć dziwaczna mieszanina krytyki socjalistycznej burżuazyjnego ustroju z anarchistycznym ideałem samorządnych komun oraz z reakcyjną do pewnego stopnia wiarą w naród rosyjski, w którym jakoby, w przeciwieństwie do burżuazyjnego Zachodu, tkwiły pierwiastki komunistyczne w całej okazałości. Dla Europy socjalizm ten był nadkrytycznym, dla Rosji zaś pobłażliwym i w owym czasie przetwarzał się w najwyczajniejszy radykalizm inteligencki, w którym ów mesjanizm ro-

syjski służył jako parawanik dla zakrycia braku pracy nad podniesieniem świadomości rosyjskiego ludu pracującego.

W umysłach młodzieży polskiej w Wilnie ten dziwny socjalizm przełamywał się w sposób rozmaity. Niektórzy pod jego wpływem rusyfikowali się zupełnie i zrywali ze wszystkim, co polskie. Inni — a do tych należałem i ja — przyjmowali do pewnego stopnia, naturalnie bez sprawdzenia, twierdzenia rosyjskie o ich narodzie, natomiast główną zwracali uwagę na krytykę ustroju burżuazyjnego w Europie, którą to krytykę, naturalnie, przenosiliśmy i na swoje własne społeczeństwo. Studia swoje nad socjalizmem odbywaliśmy, czytając rozmaite rosyjskie utwory publicystyczne, dzieła Lavelaye'a [1]) i Iwaniukowa [2]). Co do mnie, rosyjskiej publicystyki — Dobrolubowych [3]), Pisarewych [4]) Czernyszewskich [5]),

---

[1]) Emil Laveley (1822—1892), ekonomista belgijski o umiarkowanych tendencjach kolektywistycznych. Najpopularniejsze jego prace: «De la propriété et de ses formes primitives» (Paryż, 1894) i «Le socialisme contemporain» (Bruksela 1881). Ta ostatnia w tłumaczeniu polskim stała się jednym z poczytniejszych dzieł w polskich kołach socjalistycznych na schyłku XIX stulecia.

[2]) Profesor Iwan Iwaniukow, wybitny ekonomista rosyjski (urodzony 1844), należący jako teoretyk do szkoły historyczno-realnej. W pracach swych w sposób obiektywny charakteryzował również doktryny socjalistyczne, stąd wielka popularność jego dzieł w kołach radykalnej młodzieży rosyjskiej.

[3]) Mikołaj Czernyszewskij (1829—1889), ekonomista i publicysta, kierunku radykalnego o sympatiach republikańskich i socjalistycznych, bezlitośnie smagający ujemne objawy życia rosyjskiego. Występował głównie w miesięczniku «Sowremiennik», któremu zdobył ogromną poczytność w szerokich kołach inteligencji, ceniącej Dobrolubowa głównie za bezwzględność w sądach o najbardziej nawet uznanych powagach.

[4]) Dymitr Pisarew (1841—1868), rosyjski krytyk literacki i publicysta, odznaczający się skrajnym radykalizmem w ocenie strony estetycznej omawianych utworów i traktujący je wyłącznie ze stanowiska użyteczności społecznej. Stąd uważany za teoretyka t. zw. «nihilizmu» i popularny w kołach rewolucyjnych.

[5]) Mikołaj Czernyszewskij (1829—1889), ekonomista i publicysta, jeden z pierwszych socjalistów rosyjskich. Aresztowany w r. 1862, skazany na podstawie sfałszowanych dokumentów na katorgę, którą odbył, osadzony na wygnaniu w Wilujsku, we Wschodniej Syberii, później w Astrachaniu i w Saratowie, otoczony był aureolą męczeństwa politycznego. Z pomiędzy bardzo licznych prac Czernyszewskiego wielką popularnością cieszyła się jego powieść «Czto diełat'?» («Co czynić?»), poruszającą — obok zagadnienia kobiecego i nowego ustosunkowania się węzłów rodzinnych — kwestię przyszłego ustroju socjalistycznego. To ostatnie przyczyniło się przede wszystkim do rozpowszechnienia powieści Czernyszewskiego, również i w tłumaczeniach (istnieje przekład polski). Powieść ta w swoim czasie była obowiązkową lekturą radykalnej młodzieży rosyjskiej, a za nią i polskiej — ze względu na swą

Michajłowskich [1]) — nie znosiłem. Nużyła mię ta rozwlekła gadanina, niejasna i mglista, z mnóstwem aluzji do wypadków z życia społecznego i literackiego Rosji, która dla mnie była zupełnie obcą. Parę rzeczy tych pisarzy, którzy stanowili niezbędną szkołę każdego z socjalistów rosyjskich, przeczytałem dopiero na wygnaniu, kilka lat potem, i przyznam się, zwykle działały one na mnie strasznie usypiająco.

Takim płytkim bardzo socjalistą wyruszyłem w 1885 r. do uniwersytetu charkowskiego. Polska młodzież, którą tu zastałem, nie zaimponowała mi. Była dosyć apatyczną, bez żadnych silniejszych aspiracji społecznych, ci zaś, co je mieli, byli prawie zupełnie zrusyfikowani. Rosyjscy studenci byli bardziej żywi, energiczni i ruchliwi. Starano się wciągnąć mnie do organizacji studenckiej Narodnej Woli, lecz stanowczo się temu oparłem, chodziłem tylko na posiedzenia kilku kółek samokształcenia, gdzieśmy czytali również nudnego dla mnie Ławrowa [2]). Książek polskich było tu mało, tęskniłem więc do kraju i do innego środowiska. Nieco zelektryzowała mię wiadomość o Proletariacie w Warszawie — akurat wówczas odbywał się sąd nad proletariatczykami, lecz żadnych informacji o nim wówczas zasięgnąć nie mogłem. Przyszedłem tylko do przekonania, że trzeba zawiązać jakąś organizację, któraby wypracowała program roboty socjalistycznej i u nas w domu.

socjalistyczną tendencję, choć nie posiadała większej wartości artystycznej.

[1]) Mikołaj Michajłowskij (1842—1904), wybitny krytyk literacki, socjolog i publicysta rosyjski kierunku, zwanego «narodniczeskim» (ludowcowym). Był jednym z twórców tzw. socjologii subiektywnej, przeciwstawiającej się marksizmowi, i pisarzem, z którego prac czerpały uzasadnienie dla swych poglądów rewolucyjne stronnictwa rosyjskie — Narodnaja Wola i, później, Partia Socjalistów Rewolucjonistów. Michajłowskij wysunął się na czoło legalnej opozycyjnej publicystyki rosyjskiej, zwłaszcza jako redaktor miesięcznika «Russkoje Bogatstwo», i wywierał tą drogą olbrzymi wpływ na młode pokolenie.

[2]) Piotr Ławrow (1823—1898), filozof, publicysta i działacz polityczny kierunku socjalistycznego, główny teoretyk tzw. «narodniczestwa», opierającego przyszłość socjalizmu w Rosji nie na klasie robotniczej, lecz na pewnych cechach włościaństwa. Był profesorem wyższych wojskowych zakładów naukowych w Petersburgu, aresztowany i zesłany, zbiegł za granicę, gdzie też pozostawał do śmierci, głównie w Paryżu. Tam zbliżył się z przedstawicielami organizacji Narodnaja Wola. W l. 1872—1877 redagował emigracyjne pismo «Wpierjod», w 1877 objął redakcję «Wiestnika Narodnoj Woli» — organu teoretycznego partii tej nazwy. Wielką popularność zdobyły jego «Istoriczeskija Piśma» («Listy historyczne»), pisane jeszcze na zesłaniu, a wydane po raz pierwszy w 1870. W dziełku tym wskazywał obowiązek inteligencji służenia wszechstronnej emancypacji ludu pracującego. «Listy historyczne» były tłumaczone na kilka języków, m. in. i na polski.

Z tą myślą zwierzyłem się z tego projektu paru kolegom wilnianom po powrocie z uniwersytetu na wakacje. Koledzy zgodzili się na to i uformowało się kółko, składające się ze studentów petersburskich oraz mnie i kilku kolegów, którzy po ukończeniu gimnazjum pozostali w Wilnie. Postanowiliśmy wydawać dla siebie samych pisemko hektografowane i pracować nad wypracowaniem programu, odpowiadającego potrzebom kraju. Wobec tego, że dzięki drobnym uchybieniom formalnym władza uniwersytecka w Charkowie wzbraniała się przyjąć mię na następny rok do uniwersytetu, postanowiłem rok ten pozostać w Wilnie, by potem jechać za granicę dla dalszego kształcenia się.

W tym to czasie trafiły mi do rąk po raz pierwszy broszurki socjalistyczne polskie — Młota «Kto z czego żyje» [1]) i Liebknechta «W obronie prawdy» [2]). Podobały mi się one znacznie więcej i trafiły bardziej do przekonania, niż czytane dotychczas odpowiednie wydawnictwa Narodnej Woli. Zatem postanowiłem bliżej się zapoznać z samym socjalizmem i przeczytałem po rosyjsku pierwszy tom «Kapitału» Marksa [3]). Nie powiem, by ta lektura sprawiła na mnie wielkie wrażenie. Chociaż wpływ rosyjski był niewielki, zdołał jednak zrobić pewne anarchistyczne spustoszenia w mej głowie. Abstrakcyjna logika Marksa oraz panowanie towaru nad człowiekiem nie pasowało do mego mózgu. W każdym razie lektura ta pogłębiła znacznie moje poglądy na społeczeństwo i bezwiednie zacząłem ulegać wpływowi logicznie zbudowanej koncepcji Marksa.

Zresztą nie bardzo miałem czas na zastanawianie się nad

---

[1]) «Kto z czego żyje» — najpopularniejsza z polskich agitacyjnych broszur socjalistycznych, opracowana przez Szymona Dicksteina (1858—1884) pod pseudonimem Jana Młota. Zawiera popularyzację teorii nadwartości, sformułowanej przez Karola Marksa w I tomie jego «Kapitału». Miała kilkanaście wydań polskich, wyszła też w licznych tłumaczeniach. Drukowana pierwotnie w «Równości» genewskiej, jako artykuł «O nadwartości», wyszła po przerobieniu jej na broszurę po raz pierwszy w r. 1881.

[2]) «W obronie prawdy» — popularna broszura Wilhelma Liebknechta (w oryginale «Zum Schutz und Trutz»), jedna z podstawowych broszur agitacyjnych socjalizmu polskiego, wydana w przekładzie polskim po raz pierwszy w Krakowie 1879 r. i później przedrukowywana kilka razy.

[3]) «Kapitał. Krytyka ekonomji politycznej» — podstawowe dzieło twórcy socjalizmu naukowego, Karola Marksa (1818—1883). Tom I wyszedł w 1867, II i III ukazały się już po śmierci Marksa (1885, 1894). Socjalistom polskim, współczesnym Piłsudskiemu, znany był przeważnie I tom «Kapitału», zawierający krytykę głównych rysów ustroju kapitalistycznego, istniejący i w polskim tłumaczeniu.

sprawami teoretycznymi. Prowadziłem parę kółek samokształcenia, zawiązałem trochę stosunków z robotnikami wileńskimi, zbierałem książeczki ludowe, hektografowałem nasze pisemko. Roboty było huk. Kółko nasze programu żadnego nie wypracowało, wyklarowało się jedynie, że wszyscy kładziemy nacisk na sprawę obrony od brutalnego wynaradawiania ludu, praktykowanego przez rząd rosyjski na Litwie. Z polskim ruchem w Królestwie nie mieliśmy nic wspólnego, bo był to czas zupełnego rozbicia Proletariatu.

Na początku r. 1887 zostałem aresztowany w sprawie zamachu na życie Aleksandra III, do której to sprawy ja i brat starszy, wówczas student petersburskiego uniwersytetu, wypadkowo byliśmy zamieszani. Brat poszedł na katorgę, mnie skazano na pięć lat wygnania do Wschodniej Syberii. I tu dopiero, gdym spokojnie mógł rozmyśleć nad wszystkim, com przeszedł, stałem się tym, czym jestem.

Przede wszystkim wyleczyłem się gruntownie z resztek ówczesnego rosyjskiego wpływu i przy bliższym poznaniu jak mnóstwa przedstawicieli ruchu rosyjskiego, tak również i literatury oraz publicystyki rosyjskiej, przestałem przeceniać znaczenie i siłę rewolucji rosyjskiej. W ten sposób oczyściłem sobie niejako drogę dla wpływów zachodnio-europejskich. Następnie w Syberii, gdzie, wobec braku kultury, czynniki społeczne występują bez obsłonek w całej swej nagości, przyjrzałem się bliżej maszynerii caratu oraz jego wpływowi na życie ludzkie w samej Rosji i znienawidziłem ten potwór azjatycki, pokryty pokostem europejskim, jeszcze bardziej. Wreszcie rozmyślania i książki (tu, zniechęcony Spencerem [1]), przeczytałem jeszcze raz Marksa) ugruntowały mię w socjalizmie. Zrozumiałem wówczas, że nie jest on tylko ideą szlachetnych ludzi, marzących o uszczęśliwieniu ludzkości, lecz staje się realną potrzebą ogromnej masy ludu pracującego z chwilą, gdy kulturalny i społeczny rozwój umożliwia mu zrozumienie zasad tej idei.

A gdym się zastanawiał nad narodem, z którym mię wiązało wszystko, co cieszy i wszystko, co boli, wszystko, co we mnie myśli i wszystko, co czuje, przychodziłem do przekonania, że moje dziecinne marzenia i rojenia zespalają się z moim młodzieńczym światopoglądem. Socjalista w Polsce dążyć musi do niepodległości kraju, a nie-

[1]) Herbert Spencer (1820—1903), filozof i socjolog angielski, twórca ewolucjonizmu socjologicznego. Dzieła jego cieszyły się wielką popularnością w Polsce, zwłaszcza w kołach ludowców, skupiających się przy «Głosie».

podległość jest znamiennym warunkiem zwycięstwa socjalizmu w Polsce.

Na Syberii również poznałem dokładniej pierwsze kroki socjalizmu w Polsce. Jako kolegów wygnania miałem towarzysza Landego [1]) i kilku proletariatczyków, oprócz tego miałem możność przeczytania wielu socjalistycznych wydawnictw polskich, z którymi nie spotykałem się w Wilnie.

Ostatecznie postanowiłem po powrocie do kraju wstąpić do Proletariatu i starać się o zreformowanie go w kierunku, który obecnie nazywa się P. P. S-owym. A że byłem odcięty od kraju i dalsze (po 1887 r.) ewolucje socjalizmu u nas były mi nieznane, z tym postanowieniem przyjechałem do domu w drugiej połowie 1892 r. i... ku wielkiej swej radości przekonałem się, że moja zamierzona praca reformatorska już jest zbyteczną.

---

[1]) Landy Stanisław — jeden z pierwszych socjalistów polskich, skazany przez sąd wojenny w Warszawie na 12 lat katorgi za «zbrojny opór władzy», jako uczestnik gwałtownego protestu więźniów cytadeli przeciwko zamordowaniu jednego z uwięzionych robotników — Józefa Beutha — 12 lipca 1879. Wyrok ten został zamieniony na zesłanie na Syberię.

WALKA REWOLUCYJNA W ZABORZE ROSYJSKIM

FAKTY I WRAŻENIA Z OSTATNICH LAT DZIESIĘCIU

CZĘŚĆ I

BIBUŁA

«Bibuła» powstała na skutek propozycji, zwróconej do Józefa Piłsudskiego przez Ignacego Daszyńskiego, redaktora naczelnego «Naprzodu», krakowskiego organu codziennego Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska. «Naprzód» z 27. VIII. 1903 (nr 234 rocznika XII) na stronie pierwszej, w pierwszej kolumnie umieścił następujące ogłoszenie:

«Z początkiem września rozpoczniemy druk nader interesującego felietonu p. t.

WALKA REWOLUCYJNA POD ZABOREM ROSYJSKIM
wrażenia i fakty z ostatnich lat dziesięciu.

Autor, jeden z najwybitniejszych naszych towarzyszy, pracujący w szeregach Polskiej Partii Socjalistycznej, roztacza w szeregu opisów całokształt potężnego pasowania się polskiego proletariatu z przemocą rządów carskich i ze starym ustrojem w Polsce.

Rzecz cała napisana barwnie i zajmująco, a nasi czytelnicy w Galicji poznają cały ogrom przeciwieństw, męczarni i poświęceń, składających się na wyzwolenie polskiego proletariatu pod zaborem rosyjskim.

Redakcja «Naprzodu».

Ogłoszenie to powtórzono w nrach 235—240 «Naprzodu».

Pisana w Krakowie i dostarczana redakcji «Naprzodu» kawałkami, «Bibuła» była drukowana w odcinkach nrów: 246, 248—250, 254, 256, 257, 260—262, 264, 266—271, 274-276, 281, 282, 285, 288, 292, 296, 297, 302—306, 309, 311—313, 316—320, 323—327, 329—334 tego pisma od 28. VIII. do 5. XII. 1903 r. p. t. «Walka rewolucyjna pod zaborem rosyjskim. Wrażenia i fakty z ostatnich lat dziesięciu. Bibuła». Felietony te były drukowane przez cały czas bezimiennie. *Dopiero w nrze 334 «Naprzodu» z soboty 5. XII. 1903 zjawiła się w «Kronice» (str. 2, kolumna 3) następująca notatka: «Walka rewolucyjna w Rosji». W dzisiejszym felietonie koń-*

czymy druk pierwszej części tych zajmujących opowiadań, których autorem jest towarzysz Józef Piłsudski. Drugą część będziemy drukowali w przyszłym roku. Odbitka pierwszej części wyjdzie z druku w wydaniu książkowym za parę dni».

Wydanie książkowe różni się od felietonów «Naprzodu» tylko tym, że zostało uzupełnione wstępem i pierwszym podtytułem — «Trochę historii». Z zamierzonych trzech części, o których mowa na wstępie pracy, do skutku doszła tylko pierwsza — «Bibuła».

Treścią jej były wspomnienia o faktach, które nie zatraciły były jeszcze swej aktualności, wobec czego nie można ich było omawiać z całkowitą swobodą ze względu na interesy konspiracji i biorących w niej udział osobistości. Stąd niewymienianie nazwisk osób charakteryzowanych i zastępowanie tych nazwisk literami X., Z. itd. Stąd pewnego rodzaju «stylizowanie» treści i podawanie własnych rewolucyjnych przeżyć autora w postaci zasłyszanych wrzekomo od innych obserwacyj i charakterystyk. Ta stylizacja występuje już we wstępie, gdzie autor przedstawia siebie jako biorącego «niekiedy» udział w pracach stronnictwa rewolucyjnego. Obok tego «Bibuła» nie ujawnia udziału jej autora w działalności rewolucyjnej po r. 1900, tj. po aresztowaniu go przez władze rosyjskie w Łodzi i ucieczce z Petersburga. Wszystko to jest zupełnie zrozumiałe ze względu na to, że Józef Piłsudski stał wówczas na jednym z najbardziej odpowiedzialnych stanowisk kierowniczych w P. P. S. zaboru rosyjskiego i od czasu do czasu udawał się nielegalnie do tego ostatniego, gdzie był każdej chwili narażony na aresztowanie i pociągnięcie do odpowiedzialności przez władze carskie. Materiał, wyjaśniający pewne niedomówienia, niektóre nazwiska osób, występujących w «Bibule», i rozmaite okoliczności, dotyczące przemytu «bibuły», zawiera praca Józefa Nowickiego «Wspomnienia starego działacza» drukowana w t. XIII «Niepodległości».

WSTĘP.

Ktoś powiedział niegdyś, że Polacy są narodem konspiracji i rewolucji. Zdanie to tyczy się epoki przedpowstaniowej, zakończonej epopeą 1863 roku. Wątpię jednak, by kiedykolwiek w przeszłości — wyłączając, naturalnie, krótkie okresy walki orężnej i bezpośrednich przygotowań do niej — było ono słuszniejszym, niż dzisiaj, przynajmniej dla zaboru rosyjskiego. W obecnym czasie ruch rewolucyjny, organizacje i kółka konspiracyjne tak szeroko się rozgałęziły w zaborze rosyjskim, zyskały tak powszechne prawo obywatelstwa, że prawdopodobnie większa część społeczeństwa polskiego tak lub inaczej jest z nimi ustosunkowana.

Jednych życie rewolucyjne pochłania całkowicie, czyniąc z nich zawodowych konspiratorów; drugich wciąga ono w swój

wir częściowo, modyfikując i zastosowując do swych wymagań ich życie prywatne, pozarewolucyjne; trzecich zaczepia ono pośrednio, przez pierwszych i drugich, robiąc z nich chwilowych uczestników tej czy owej funkcji rewolucyjnej, lub związując ich tak czy inaczej z życiem rewolucyjnym przez węzły pokrewieństwa, miłości, przyjaźni i nawet zwykłej znajomości z konspiratorami. Wreszcie do najszerszych kół dochodzą odgłosy bojów, toczonych w zaborze rosyjskim przez wzrastającą w siły rewolucję z przemocą rządową. Odgłosy te, w postaci druków nielegalnych, strejków, manifestacji, aresztowań i rewizji, stały się niejako chlebem powszednim, czymś ogólnie znanym, omawianym i rozstrząsanym przez ogół Polaków pod berłem carskim.

Pomimo jednak szerokości ruchu rewolucyjnego, pomimo, że wtargnął on nawet w dziedzinę życia prywatnego mnóstwa ludzi, dotąd jest on bardzo mało znany szerszemu ogółowi. Pochodzi to po pierwsze stąd, że najczęstszym stykaniem się z ruchem rewolucyjnym jest stykanie się z jego efektami publicznymi, z natury rzeczy nie mogącymi dać wyobrażenia o głęboko i rozmyślnie ukrytych ich sprężynach. Następnie musowe osłanianie tajemnicą szczegółów życia rewolucyjnego nie pozwala na badanie go przez niedyskretne oczy. Wreszcie ogromna większość ludzi, biorących obecnie udział w ruchu rewolucyjnym, to ludzie pługa i kielni, nie pióra, zatem trudno jest oczekiwać, by przez nich życie rewolucyjne znalazło swe odbicie w literaturze.

Wobec tego przy ocenach ruchu rewolucyjnego u nas stałym zjawiskiem jest przesada w tę lub inną stronę. Gdy jedni tworzą przesadne, pełne fantazji legendy o rozmiarach, siłach i kierunku organizacji rewolucyjnych w zaborze rosyjskim, inni nie doceniają ich znaczenia i pracy, widząc w nich wybryki niedojrzałej młodzieży, albo też zapoznając olbrzymie wysiłki umysłu i energii ludzi, organizujących i wprawiających w ruch maszynę rewolucyjną.

Należąc do stronnictwa rewolucyjnego, znając wielu z jego przedstawicieli, biorąc niekiedy udział w jego pracach, zebrałem mnóstwo spostrzeżeń i danych, które sam dla siebie starałem się nieraz zszeregować i zgrupować w jedną całość, by sobie dokładniej przedstawić stan rzeczy w Polsce.

Od dawna też nosiłem się z zamiarem spisania tych wrażeń. Życzenie moje zbiegło się z chęcią redakcji «Naprzodu» zaznajomienia swych czytelników z życiem i walkami braci z za kordonu.

Zgodnie z życzeniem redakcji wybrałem dla swej pracy

formę felietonową. Wybrałem ją nie tylko dlatego, że była ona najłatwiejszą w wykonaniu, lecz i dlatego, że ułatwiła mi ona uporanie się z największą przeszkodą — względem na bezpieczeństwo towarzyszów, pracujących na niwie rewolucyjnej, mających za plecami żandarma, a przed oczami cytadelę. W felietonie łatwiej, niż w poważniejszym dziele, uniknąć stawiania kropki nad «i», łatwiej pominąć to lub owo, usunąć niepotrzebne szczegóły lub łączyć je w jedno dla uplastycznienia zjawisk typowych. Nie zaprzeczę jednak, że to ustawiczne trzymanie pióra na uwięzi musiało wpłynąć ujemnie, zmniejszając żywość i barwność opisu.

Pracę swą podzieliłem na trzy części. Pierwsza z nich, stanowiąca obecne wydawnictwo, zawiera opis tej części życia rewolucyjnego, która ma styczność z rozwojem i rozpowszechnianiem druków nielegalnych — bibułą. Drugą część poświęcę — ludziom — organizacyjnej i agitacyjnej stronie życia rewolucyjnego. Wreszcie trzecią — efektom pracy rewolucyjnej i zmianom, jakie ona wywołuje w stosunkach społecznych u nas.

Dodać jeszcze muszę, że należąc do stronnictwa socjalistycznego i mając lepsze dane tylko o nim, pominąłem w zupełności wszystko to, co się tyczy innych, a raczej innego stronnictwa, pracującego tajnie w zaborze rosyjskim. Mówię o stronnictwie narodowo-demokratycznym.

Wreszcie niech mi będzie wolno złożyć tu serdeczne podziękowanie tym znajomym i przyjaciołom, którzy, nadsyłając mi swoje wrażenia, uwagi i spostrzeżenia, niechybnie się przyczynili do zwiększenia wartości mej pracy.

Kraków, 3 listopada 1903 r.

TROCHĘ HISTORII

Bibułą w żargonie rewolucyjnym zowią każdy druk nielegalny, nieopatrzony sakramentalną formułą: «dozwoleno cenzuroju» [1]). Ilość tej bibuły z rokiem każdym wzrasta, wsiąkając coraz głębiej w warstwy ludowe, zataczając coraz szersze koła. Uznał to sam rząd. Ks. Imeretyński w znanym swym memoriale stwierdza, że książka nielegalna wdarła się nawet pod strzechy włościańskie i przyczyniła się do wywołania na-

[1]) Dozwolone przez cenzurę.

stroju przeciwrządowego wśród chłopów. Nie trzeba jednak przypuszczać, że bibuła w zaborze rosyjskim ma zawsze treść rewolucyjną. Rząd rosyjski krępuje życie społeczne w tak różnorodnych kierunkach, że bodaj nie ma stronnictwa, które nie jest zmuszone obecnie wydawać swe publikacje nielegalnie, bez cenzury. Nawet ugodowcy, zasadniczy przeciwnicy roboty nielegalnej, wydali kilka książek za granicą, by potem, niegorzej od rewolucjonistów, przemycić je przez kordon i rozpowszechnić w społeczeństwie. Jest więc bibuła klerykalna, patriotyczna, socjalistyczna, nawet ugodowa. Znajdziemy wśród niej utwory artystyczne wysokiej wartości, jak dzieła Wyspiańskiego lub Życha, i lichoty patriotyczno-klerykalne; znajdziemy grube tomy badań historycznych i drobne bruszurki rozmaitych stronnictw; znajdziemy wreszcie zwyczajne książki do nabożeństwa, pisma periodyczne, odezwy, obrazki, fotografie, korespondentki itp. rzeczy. Wszystko to przeciska się przez granicę różnymi drogami, rozchodzi się wszędzie, gdzie ludzie umieją czytać po polsku i staje się coraz bardziej potrzebą szerokiej, stale wzrastającej warstwy ludzi.

Nim jednak bibuła stała się tak poczytną, przejść musiała przez mnóstwo etapów i jej pierwsze kroki były bardzo skromne i niepewne. Gdy sobie przypomnę swe lata dziecinne, staje mi żywo w pamięci obraz mego pierwszego zetknięcia się z «bibułą». Było to w dworku szlacheckim na Litwie jakie dziesięć lat po powstaniu. Wrażenie wieszatielskich rządów Murawjewa było jeszcze tak świeże, że ludzie drżeli na widok munduru czynowniczego, a twarze ich wyciągały się, gdy w powietrzu zabrzmiał dzwonek, zwiastujący przybycie któregoś z przedstawicieli władzy moskiewskiej. W tym to czasie matka moja wyciągała niekiedy z jakiejś kryjówki, jej tylko wiadomej, kilka książeczek, które odczytywała, ucząc nas, dzieci, pewnych ustępów na pamięć. Były to utwory naszych wieszczów. Tajemnica, którą te chwile były otaczane, wzruszenie matki, udzielające się małym słuchaczom, zmiana dekoracji, jaka następowała z chwilą, gdy niepożądany jaki świadek trafiał wypadkowo na nasze rodzinne konspiracje — wszystko to zostawiło niezatarte wrażenie w mym umyśle. Te właśnie książki wraz z kilku innymi — pieśniami historycznymi Niemcewicza, paru broszurkami z czasów przedpowstaniowych — były bodaj jedynymi przedstawicielkami nieocenzurowanej literatury w tym czasie. Ocalały one podczas burzy powstaniowej w niewielkiej ilości, a chowane przez pietyzm, jak relikwie, niszczone zaś przez tchórzostwo przy każdym istotnym lub przypuszczalnym niebezpieczeństwie, nie mogły wywierać

szerokiego wpływu, ograniczając się najczęściej rodzinnym kołem posiadaczy takiej książki.

«Bibuła» w tym czasie znajdowała przytułek u tych, którzy uparcie stali przy przygaszonym krwią bohaterów 1863 r. i ledwie tlejącym zniczu narodowo-rewolucyjnym. Były to jakby mogilne płomyki, nieśmiało i chwiejnie oświetlające smutne twarze rozbitków, ocalałych z ogólnej klęski. Ale na mogiłach wyrasta trawa — z popiołów powstaje nowe życie, żądne słońca i swobody. I w Polsce, która wówczas była jedną wielką mogiłą, zazieleniało; zjawiło się nowe życie, nowy ruch, który, zrobiwszy wyłom w modlitewno-rzewnym stosunku do przeszłości, otworzył nowy okres dla nielegalnej książki. Mówię tu o ruchu socjalistycznym.

Od 1875—76 r. od czasu do czasu zaczynają się ukazywać druki socjalistyczne. Grono ich czytelników musiało, naturalnie, na razie być bardzo szczupłe, lecz zapał zwolenników idei socjalistycznej oraz jej zaraźliwość wśród ludu pracującego rozszerzały je szybko w tej właśnie warstwie narodu, do której dawniej cenzuralna nawet książka mały miała dostęp. Bibuła socjalistyczna przez dłuższy czas była jedyną, jaka istniała w steroryzowanym po powstaniu 1863 r. społeczeństwie polskim. Z czasem jednak odrętwienie i przestrach minęły, tym bardziej, że walka socjalistów naocznie przekonywała ludzi, iż wyłamywanie się spod barbarzyńskich praw caratu nie jest niemożliwe. Oprócz więc socjalistycznych książek i broszur, już w latach 80-tych spotkać można większą ilość niecenzuralnych książek — czy to zagranicznych wydań naszych poetów, czy to książek historycznych, czy wreszcie ulotnych broszur, w ten lub w inny sposób oświetlających stan rzeczy w zaborze rosyjskim.

Lecz chociaż zastęp czytelników i ilość bibuły, kursującej w kraju, stale wzrastały, niełatwo było przezwyciężyć przeszkody, które tego rodzaju robocie stały na drodze. Przeszkody te były dwojakiego rodzaju. Pierwsza z nich polegała na braku w kraju jakiejkolwiek organizacji o tyle silnej i rozporządzającej takimi środkami, by zapewnić bibule stały kurs i zadowolić wymagania przynajmniej tej części odbiorców, która stanowiła stały kontyngent czytelników i rozpowszechnicieli bibuły. Zakazane druki ukazywały się zbyt sporadycznie, nieregularnie, dostarczaniem ich rządziła taka wypadkowość, że nikt nigdzie nie mógł być pewnym, że ten lub ów druk otrzyma. Organizacje rewolucyjne nie były trwałe, a ich środki techniczne zależne były od wypadków, tak, iż niekiedy bibuły było dużo, natomiast mijały miesiące całe bez świeżego do-

pływu. Nic dziwnego, że bibuła w oczach ludzi była czymś nadzwyczajnym, wpadającym do kraju drogą jakiegoś cudu, nagle i niespodzianie, czemś takim, co można otrzymać, lecz czego żądać nie wypada.

Oprócz tej zewnętrznej niejako przeszkody istniały i wewnętrzne. Ludzie wprost bali się roboty nielegalnej, której przejawem była bibuła. Posiadanie książki nielegalnej w oczach otoczenia dawało jakby patent na działacza rewolucyjnego, a strach przed represją rządową oraz dziecinna wiara w wszechpotęgę i wszechwiedzę policji carskiej były wówczas jeszcze tak powszechne, że w większości wypadków unikano książki nielegalnej. Trzeba było ją ludziom wpychać w ręce, namawiać, by ją przeczytano, przekonywać, że nie jest ona tak niebezpieczną rzeczą. Jedni więc patrzyli na posiadanie książki nieocenzurowanej, jak na bohaterstwo, drudzy — jak na szaleństwo, trzeci — jak na zbrodnię, inni wreszcie — jak na środek agitacji i sposób rozpowszechniania swych przekonań, rzadko jednak książka nielegalna była dla kogo wprost potrzebą, koniecznością w takich warunkach, jakie Polska pod caratem znosić musi.

W tym położeniu epoką dla bibuły stała się działalność Polskiej Partii Socjalistycznej, w skróceniu zwanej P. P. S. Była to pierwsza z organizacji rewolucyjnych w Polsce popowstaniowej, która potrafiła przetrwać dziesiątek lat bez przerwy i która zdobyła się na taką organizację i taką technikę, iż jej robota wydawnicza i kolporterska ani razu nie doznała poważniejszej przerwy. Na razie stałe ukazywanie się w większej ilości zagranicznych wydawnictw partii przyjęto z pewną nieufnością. Lecz gdy ilość ich coraz bardziej wzrastała, gdy w dodatku partia rozpoczęła stale wydawać «Robotnika» w kraju samym, gdy przez dłuższy czas usilne polowania żandarmerii za drukarnią partyjną nie miały powodzenia, gdy wreszcie w samej kolporterce zapanowała pewna regularność i wydawnictwa zaczęły dochodzić do wszystkich odbiorców bez względu na to, czy mieszkają w Warszawie, czy na prowincji — publiczność, jak robotnicza, tak inteligentna, uwierzyła w stałość i trwałość tego zjawiska.

Wrażenie, jakie wywarło powodzenie P. P. S. na całej przestrzeni państwa rosyjskiego, było ogromne. Wkrótce zewsząd zaczęły napływać propozycje sprowadzania z zagranicy takich lub innych wydawnictw. Do 1900 r. nie było bodaj żadnej organizacyjki rewolucyjnej w całym państwie, która takiej propozycji P. P. S. nie czyniła. Ludzie przyjeżdżali z Petersburga, Moskwy, Samary, jako delegowani najrozmaitszych

kółek, żądając sprowadzenia to druków nielegalnych, to drukarni. Przypominam sobie pod tym względem zabawną rozmowę, jaką miałem w Londynie z jednym takim delegatem w r. 1897.

Skądś, z głębi Rosji, z odpowiednimi rekomendacjami przybył poważny, już trochę szpakowaty, mężczyzna i zwrócił się do mnie z prośbą o pośrednictwo przy zawiązaniu stosunków z P. P. S.

— Jakiż ma pan interes do P. P. S.? — zapytałem.

— Hm! Interes jest bardzo skomplikowany. Widzi pan, my tam w Rosji zawiązaliśmy stowarzyszenie w celu obalenia cenzury.

— Cenzury? — zawołałem zdumiony. — Ależ, panie, czy nie praktyczniej byłoby zacząć od obalenia cara, który tę cenzurę ustanawia?

— Pan mnie nie rozumie, car swoją drogą, cenzura swoją, tamto niech robią inni, my zaś weźmiemy się do cenzury.

Przy tym zaczął mi szeroko dowodzić, jako cenzura jest jedną z najszkodliwszych instytucji. Zgodziłem się na to chętnie, lecz poprosiłem, by mi wyjaśnił, w jaki sposób owo obalenie ma się odbywać i jaką rolę ma w tym odgrywać P. P. S.

Mój interlokutor znowu bardzo szeroko i wymownie mi dowiódł, że wszystkie partie rewolucyjne są zainteresowane w zniesieniu cenzury. Zgodziłem się i na to.

Wreszcie zaczął rozwijać plan owego stowarzyszenia. Chodziło o to, by ściągnąć do Rosji i rozpowszechnić tak ogromną ilość druków zakazanych wszelkiego gatunku i rodzaju, że cenzura stałaby się nonsensem z powodu swej bezużyteczności.

Byłem coraz bardziej zbudowany ogromem pracy, którą przedsiębierze stowarzyszenie, więc raz jeszcze spytałem, jaką rolę wyznacza stowarzyszenie dla P. P. S. w tej akcji.

— Ależ, rzecz prosta! — zawołał poważny delegat. — My zobowiążemy się dostarczyć P. P. S. potrzebną ilość wydawnictw do jakiegokolwiek punktu Europy. P. P. S. zaś odda je nam w tym punkcie państwa rosyjskiego, który sama sobie wybierze.

Więc, jak się okazało, olbrzymi plan zniesienia cenzury oparty był na zdolności transportowej P. P. S. Byłem nieco przejęty wzruszeniem wobec tak wielkiego zaufania naiwnego delegata, lecz zacząłem go przekonywać, że P. P. S. ma nieco inne zadanie, niż walkę z cenzurą i że wobec tego trudnym by

jej było zacieśnić swą pracę tylko do tego celu. Delegat odjechał rozgoryczony «nietolerancją P. P. S.».

W Polsce, gdzie ludzie tak «szerokich natur» nie mają, nie istniały, co prawda, organizacje dla zniesienia cenzury, lecz raz po raz poszczególne osoby albo kółka tworzyły plany wydawnicze, oparte na pomocy P. P. S. w przewiezieniu tych wydawnictw do kraju. Wydawnicza i kolporterska działalność P. P. S. wniosła niejako do ponurego domu niewoli trochę Europy z jej swobodą druku i tym ogromnie ośmieliła ludzi. Bibuła przestała być czymś niezwykłym, ludzie przyzwyczajali się mieć ją w ręku, tak, iż po pewnym czasie w kołach, otrzymujących wydawnictwa P. P. S.-owe, można było wprowadzić reformę, polegającą na tem, że część przynajmniej była sprzedawaną. Zjawili się nawet prenumeratorowie periodycznych wydawnictw partyjnych.

Za przykładem P. P. S. wkrótce poszły inne organizacje nielegalne w Polsce — żydowska socjalistyczna organizacja Bund i Narodowa Demokracja, które to organizacje trafiały do innych części narodu, gdzie nie sięgał wpływ P. P. S. i oswajały coraz szersze koła ludzi z nielegalną robotą i niecenzuralną literaturą.

Obok partyjnych wydawnictw w coraz większej ilości sprowadzano dzieła naukowe, przeważnie historyczne i utwory artystyczne, które, o ile zajmują się tak żywotną dla Polaków sprawą, jak stosunek do najazdu, są w Rosji zakazane. Ta ostatnia część bibuły dotarła do najbardziej tchórzliwych, najbardziej ugodowo usposobionych ludzi. Zresztą sami ugodowcy, chcąc wypowiedzieć się otwarcie, musieli się uciec do wydawania rzeczy nielegalnych. Pierwszym takim wydawnictwem ugodowym, które szerzej było rozpowszechnione, były «Stosunki polsko-rosyjskie» [1]) Leliwy. Do otrzaskania się z bibułą najbardziej reakcyjnie usposobionych ludzi niemało się przyczynił i znany memoriał ks. Imeretyńskiego, wykradziony i wydany przez P. P. S. Książka ta rozeszła się w tysiącach egzemplarzy i była czytana bodaj przez wszystkich inteligentnych Polaków.

Ilość bibuły, krążącej po kraju, nie daje się ściśle określić. Pod tym względem znam tylko cyfry, opublikowane przez

[1]) «Stosunki rosyjsko-polskie» («Russko-polskija otnoszenija»), dzieło, wydane pod pseudonimem Leliwy w r. 1895 po rosyjsku w Lipsku, a zawierające informacje i dokumenty, odnoszące się do prześladowań Polaków i katolicyzmu w Rosji. Dzieło to, sprowadzone nawpół legalnie, dzięki stosunkom, z zagranicy, było rozsyłane do dygnitarzy rosyjskich przez polskie sfery ugodowe.

P. P. S. w sprawozdaniu Centralnego Komitetu partii za czas do 1900 r. Za r. 1899 sprawozdanie podaje cyfrę 99.872, jako ilość egzemplarzy najrozmaitszych druków, puszczonych tego roku w obieg. Inne partie danych takich nie ogłaszały, lecz ogólne wrażenie wszystkich, znających stosunki, jest takie, że ilość bibuły nie P. P. S.-owej, kursującej w kraju, jest w każdym razie nie mniejszą. Podwoiwszy tę cyfrę i dodawszy do niej przypuszczalną ilość bibuły nie partyjnej, oraz wziąwszy pod uwagę, że od r. 1899 rozwój pracy różnych partii szedł crescendo, otrzymamy cyfrę 250—300 tysięcy egzemplarzy druków nielegalnych, jako roczną konsumpcję czytającej publiczności polskiej w zaborze rosyjskim. Nie znam odpowiedniej statystyki wydawnictw legalnych, podlegających cenzurze, lecz w każdym razie śmiało twierdzić można, że druki nielegalne stanowią obecnie poważną część lektury polskiej pod caratem.

Jak każdy łatwo zrozumie, taka olbrzymia ilość bibuły wywierać musi ogromny wpływ na stosunek ludzi do wszystkiego, co nielegalne, a przede wszystkim na stosunek do samej książki niecenzurowanej. Druk nielegalny wobec swej powszedniości przestaje być świętością, nie straszy ludzi i nie nasuwa myśli o prześladowaniach rządowych, lecz podrywa w umysłach ludzkich autorytet rządu i wiarę w jego potęgę. Już sama nazwa «bibuła», żartobliwie poufała, świadczy o szerokim rozpowszechnieniu książki nielegalnej, o tym, że znikł ów tajemniczy urok, którym dawniej była otoczona.

Zmiana, jaka pod tym względem zaszła, jest tak rażąca, że się rzuca w oczy każdemu, kto może porównywać stan obecny z dawniejszym. Niedawno spotkałem towarzysza, który był aresztowany przed 1893 r. (rok rozpoczęcia działalności P. P. S.) i wrócił do roboty dopiero po 10 latach. Gdym go spytał, co go najbardziej uderzyło po powrocie, odpowiedział bez wahania, że przede wszystkim był zdumiony, widząc, jak się rozpowszechnia obecnie druk nielegalny. «Myśmy, rzekł mi ów towarzysz, musieli prosić ludzi, by wzięli książkę do ręki, musieliśmy podrzucać ją, wpychać do kieszeni, a tu patrzę: ludzie sami bibuły żądają, rozbijają się o nią, kupują. Ba, dodał, możliwymi już są malwersacje z bibułą i handel książką nielegalną». W istocie, niektóre z wydawnictw nielegalnych są tak popularne, że można na nich robić interesa. Tak np. «Zbiorki poezyj» wydania londyńskiego były tak rozchwytywane przez robotników w Warszawie, że pierwsze transporty, zawierające 500 egzemplarzy tej książeczki, rozeszły się tamże w przeciągu miesiąca i wreszcie ofiarowywano za nie po 25 kopiejek za

egzemplarz. Wytworzyła się nawet specjalna nazwa «bibuła dochodowa», tj. taka, która daje pewny dochód sprzedającym.

Nawet wśród włościan rozwija się przyzwyczajenie do czytania nielegalnych książek. Mógłbym na dowód tego przytoczyć mnóstwo faktów, lecz ograniczę się dwoma bardziej charakterystycznymi. W pewnej wsi nad Wisłą włościanie otrzymywali stale bibułę narodowo-demokratyczną; oprócz tej ostatniej niekiedy dochodziły ich rąk i wydawnictwa socjalistyczne. Nie wiem, jaką była przyczyna, lecz bibuła przestała do nich dochodzić, chłopi postanowili wówczas sami szukać źródeł bibuły. Zebrali trochę pieniędzy i wysłali delegata, by wynalazł kogokolwiek dla zawiązania stosunków, przy tym uradzono szukać nie tylko narodowych demokratów, lecz i socjalistów. Nie znam szczegółów tej odyssei delegata chłopskiego, wiem tylko, że odbywał ją i pieszo, i furmankami i wreszcie o kilkanaście mil od rodzinnej wioski wypadkiem natrafił na jakiegoś P. P. S.-owca, przez którego zawiązał stosunki z partią i uspokojony wrócił do domu.

Inny fakt tej samej kategorii miał miejsce w głębi Rosji, w koszarach wojskowych. Znaną jest rzeczą, że rekruci Polacy nie odbywają służby wojskowej w Polsce. Rząd wysyła ich w głąb Rosji lub na wschodnie granice państwa, gdzie w wielu pułkach połowa żołnierzy składa się z Polaków. Otóż paru towarzyszów z młodzieży uniwersyteckiej zawiązało stosunki z żołnierzami Polakami. Wkrótce stosunki ogromnie się rozszerzyły i agitacja szybko się rozwijała. Puszczono do koszar moc bibuły. Gdy się o tym dowiedziano w Warszawie, wysłano do tego miasta doświadczeńszego towarzysza z poleceniem uregulowania tej sprawy. Ów towarzysz zwrócił uwagę zapalonych agitatorów na niebezpieczeństwo, jakie grozi całej robocie przy masowym rozpowszechnianiu bibuły wśród żołnierzy i polecił wycofać puszczoną już bibułę z koszar.

Gdy to postanowienie zakomunikowano żołnierzom — a była to przeważnie młodzież wiejska, świeżo od pługa i kosy oderwana — ci zebrali się na naradę i odpowiedzieli agitatorom w sposób następujący:

«Takich książek my sami dostać nie możemy. Nie dacie nam ich panowie, to mieć ich nie będziemy. Ale wybaczcie, co już jest u nas, tego wam nie oddamy. To już niech będzie nasze».

Ogromna ilość literatury nielegalnej, krążącej po kraju, stanowi bez wątpienia nowe i nieznane dotąd zjawisko w Polsce pod caratem, a przyzwyczajenie i nawet pewne przywiązanie do bibuły wśród ludu pracującego w miastach i po wsi

ziszcza owo marzenie Mickiewicza, który, będąc sam autorem ówczesnych druków zakazanych, wzdychał do czasu, gdy książka jego zabłądzi pod strzechy włościańskie. Zjawisko to nie mogło ujść uwagi rządu. Wspominałem już wyżej, że ks. Imeretyński nie tylko nie negował faktu czytania książek zakazanych przez włościan, lecz nawet tym właśnie motywował konieczność pewnych ulepszeń w szkolnictwie oraz potrzebę kontragitacji rządowej («Oświata») [1]). Wpływ tego «kulturtregerstwa» carskiego okazał się minimalnym, powiedzmy raczej — równa się zeru, natomiast nie ma wątpliwości, że sam rząd uległ wpływowi «bibuły» i musiał przed nią się cofnąć.

Rząd ustąpił nie w ten sposób, jak mi obiecywał delegowany rosyjskiego stowarzyszenia, o którym wspominałem wyżej — cenzura nie została zniesiona, lecz zmiana postępowania rządu z czytelnikami «bibuły» nie da się zaprzeczyć. Gdy bibuły było w kraju mało, gdy jej wpływ «demoralizujący» był niewielki, rząd uważał każdego posiadacza książki nielegalnej za rewolucjonistę, a fakt znalezienia u kogo bibuły partyjnej służył jako poważny dowód należenia do stowarzyszenia rewolucyjnego. Obecnie zaś, gdy bibuła rozpowszechnia się w ogromnych ilościach, gdy najniewinniejsi pod względem politycznym ludzie czytają i mają u siebie druki zakazane, niepodobieństwem jest pociągać do odpowiedzialności za to, co do niedawna było nieraz surowo karane.

Przede wszystkim więc pewną część bibuły uznano za pół-legalną niejako. Zagraniczne wydania naszych poetów, grube książki naukowe, wreszcie nowsze utwory poetyczne lub powieściowe, wydane za kordonem, no i, naturalnie, wydawnictwa ugodowe należą do rzędu bibuły tego rodzaju. Nieraz żandarmi przy rewizji nie wnoszą nawet do protokółu faktu znalezienia takiej książki i odkładają ją na stół lub etażerkę, mrucząc: «*nu, eto pustiaki*» («to bagatela»), niekiedy zabiorą ją z sobą, lecz nigdy o taką «bagatelę» nie wytoczą sprawy. U jednego z moich znajomych przy rewizji żandarm zabrał dwa tomy Limanowskiego «Ruch społeczny w XVIII i XIX wieku». Po skończeniu sprawy poszkodowany udał się do żandarma z żądaniem, by mu te książki zwrócił. Żandarm uśmiechnął się i oddał książki, dając przy tym radę, by korzystał z nich nie w swoim, lecz jakim innym mieszkaniu. «Widzi pan, u pana, jako podejrzanego, te książki są jakimś dowodem, no, a u innych to rzecz zwykła, wszyscy przecie takie rzeczy czy-

[1]) «Oświata» — tygodnik rządowy w języku polskim, założony w 1900 przez generał-gubernatora Imeretyńskiego dla włościan polskich.

tają, ja sam z ciekawością przeczytałem część tej książki». Prawie to samo powiedział mi podpułkownik Gnoiński, gdym po aresztowaniu w drukarni prosił go o danie mi do celi dzieł Słowackiego, znalezionych u mnie: «To bagatela, rozumiem dobrze, że u każdego inteligentnego Polaka taką rzecz znaleźć można, my za to nawet nie pociągamy do odpowiedzialności, ale do celi tego panu dać nie mogę, w każdym razie to wydawnictwo bez cenzury».

Lecz ustępstwo rządowe nie ograniczyło się jedynie tą, jak ją nazwałem, pół-legalną bibułą. Wobec faktu rozpowszechniania wielkiej ilości bibuły partyjnej i rewolucyjnej bagatelizowanie przestępstw musiało pójść dalej w tym kierunku. W istocie tak się też stało. Żandarmi się przekonali, iż ilość czytelników bibuły partyjnej jest tak wielką (przynajmniej w Warszawie), a otrzymanie jej skądkolwiek tak względnie łatwym, że się nie opłaca z powodu każdej broszury lub egzemplarza pisma partyjnego robić sprawę. Rotmistrz Konisski, który mię badał w Warszawie, mówił mi, że nie przypuszcza, by w Warszawie był robotnik, który kiedykolwiek nie miał w ręku «waszewo Kurjera», jak żartobliwie nazwał «Robotnika». Zwykle, co prawda, każdego, u kogo znajdą takie wydawnictwo, aresztują lub co najmniej wołają na badania, lecz w wielu wypadkach to nie pociąga za sobą żadnej kary lub też (a znam takich kilka wypadków) wyrok jest minimalny — dwa tygodnie aresztu. Tylko świeże wydawnictwa lub większa ich ilość same przez się, bez żadnych innych dowodów winy, zwracają uwagę żandarmów, a to dlatego, że fakt taki nasuwa myśl o bliższym stosunku oskarżonego z organizacjami rewolucyjnymi.

Jak widzimy, rząd carski zmuszony jest cofać się przed wzrastającą falą bibuły, która wymogła na nim pewne rozszerzenie praw człowieka pod caratem. Jest to jeden z dosyć licznych dowodów elastyczności konstytucji rosyjskiej. Mając za zasadę nie prawo, lecz samowolę urzędniczą, rząd carski musi też godzić się z naturalną tego konsekwencją — względną chwiejnością organów władzy oraz z częstymi odstąpieniami w poszczególnych wypadkach od praw i przyjętych zasad rządzenia. Każdy z urzędników, będąc obdarzony odrobiną carskiego samowładztwa, prowadzi niejako politykę na swoją rękę, a że zależność jego od otoczenia jest znacznie większą, niż zależność centralnego rządu, więc jest on skłonniejszym do zawierania ugody i patrzenia przez palce na najrozmaitsze przestępstwa.

Tak się też stało i z żandarmerią w Polsce w stosunku do bibuły.

Nie zmieniła ona w niczym praw i przepisów władzy centralnej, lecz zawarła milczącą ugodę z pewną kategorią przestępstw i nie chcąc sobie przysparzać uciążliwej i żmudnej pracy, zamknęła oczy na nie. Druk nielegalny jest nielegalnym w zasadzie, zaś w praktyce został do pewnego stopnia ulegalizowany.

Zaznaczyć jednak trzeba, że taka legalizacja, jako nie mająca sankcji prawnej, nie jest czymś stałym lub powszechnym. W każdej danej chwili, w każdym wypadku zapleśniałe od nieużywania prawo może być wyciągnięte z kąta zapomnienia i może być użytym dla ukarania winnego. Na prowincji np., szczególniej na wsi wśród włościan, gdzie administracja i żandarmeria mniej ma roboty, każdy druk nielegalny może ściągnąć gromy na głowę jego czytelnika. Jestem jednak przekonany, że dalszy, a nieuchronny wzrost czytelnictwa druków zakazanych w Polsce, zmusi władzę do zgodnego usposobienia względem bibuły nawet w najgłuchszych zakątkach kraju.

Bibuła więc nie tylko jest potrzebą wielkiej części czytającej publiczności polskiej, lecz zarazem i pewną siłą, przed którą potężny rząd carski musi się cofać. Wobec tego nie bez znaczenia jest pytanie, kto tą siłą rozporządza i kto tę potrzebę zaspokaja. Podane wyżej cyfry dają pewną odpowiedź na to zapytanie. Ogromna większość bibuły — to bibuła partyjna, sprowadzona i rozpowszechniona przez istniejące w kraju organizacje — P. P. S. i Narodową Demokrację. Bibuła innych organizacyj nie stanowi poważnej cyfry, bodaj tylko żydowska bibuła Bundu istnieje w większej ilości. Bibuła niepartyjna, stanowiąca mniejszą część druków nielegalnych, kursujących w kraju, trafia do rąk czytającej publiczności albo staraniem tychże partii, albo też przechodzi przez granicę pojedynczymi egzemplarzami, przewożona w kieszeniach przejezdnych.

Przewaga ilościowa bibuły partyjnej nad niepartyjną nie jest czymś przypadkowym. Dla czytelników wszelkiej bibuły jest ona czymś pożądanym, czytanie jej sprawiać może przyjemność, w wielu wypadkach jest ona potrzebą, dla zaspokojenia której ludzie narażają się nawet na niebezpieczeństwo, lecz nie jest ona koniecznością. Inaczej jest z organizacją polityczną. Składa się ona z ludzi i dąży do ciągłego rozszerzania się, a że prześladowania rządowe raz po raz wyrywają pojedyncze jej ogniwa, musi sztab dbać o zapełnienie luk w swych szeregach. Naturalnie, że najłatwiej sprostać temu

zadaniu wtedy, gdy organizacja wywiera szeroki wpływ na ludzi, a poglądy jej są możliwie spopularyzowane. W przeciwnym wypadku po pewnym przeciągu czasu, wobec stałego ubywania członków organizacji, może wprost zabraknąć materiału ludzkiego do odbudowania jej.

Jedynym zaś środkiem, będącym w rozporządzeniu organizacji politycznych pod caratem dla stałego urabiania opinii w pożądanym kierunku, jest słowo drukowane. Wszystkie inne, jak stowarzyszenia i związki, zgromadzenia i ustna propaganda, w warunkach politycznych Rosji są tak ograniczone, że wpływ ich sięga bardzo niedaleko i działa na bardzo szczupłe grono ludzi. Książka więc lub odezwa zastąpić tu musi w większości wypadków agitatora i mówcę, poprzedzić organizatora, utorować mu drogę, przygotować dla niego teren i usposobić dlań przychylnie słuchacza. A książka jako agitator ma w dodatku pod caratem niesłychane zalety.

Wędrówka jej nie zostawia po sobie takich śladów, jak wędrówka człowieka, działa ona cicho, bez hałasu, może być w każdej chwili zniszczona, może być tylko niemym świadkiem przy badaniach, wreszcie nie wzbudza tyle podejrzeń i nie ściąga takiej kary lub prześladowań, jak człowiek. Jest więc wygodnym agitatorem zarówno dla agitujących, jak agitowanych. W wielu zaś wypadkach bibuła jest wprost jedynym narzędziem w ręku agitatora partyjnego. Kiedy np. organizacja jest świeżą i nieliczną, nie ma wśród siebie ludzi, zdolnych do agitacji ustnej, w okresach większej baczności policyjnej lub wreszcie przy potrzebie wywarcia jednorazowego i możliwie szerokiego wpływu — bibuła, w postaci broszury, numeru pisma lub odezwy okolicznościowej, jest wprost nie do zastąpienia.

Dodajmy do tego, że gdy czytanie bibuły już jest potrzebą wielkiej ilości ludzi, to ten, kto potrzebę tę zaspakaja, zyskuje na wpływie; dodajmy do tego, że bibuła partyjna dla wielu ludzi, nie stojących bliżej organizacji, jest jedynym dowodem istnienia partii, a zrozumiemy, jakie ma znaczenie bibuła dla organizacji rewolucyjnych pod caratem. Jeśli porównać je można do organizmu, to bibuła będzie w nich krwią, która organizm przy życiu utrzymuje.

Porównanie to, w innych nieco słowach, słyszałem z ust jednego ze zdolnych agitatorów P. P. S. na prowincji. Będąc u niego przejazdem, miałem od niego otrzymać korespondencje do «Robotnika» oraz pewną sumę pieniędzy. Byłem nieco oburzony, gdy mi wyliczył zaledwie połowę tego, na com rachował. Spytałem go, czemu to mam przypisać?

— Eh! proszę was, towarzyszu, dawnośmy nie mieli bibuły! Powiedzcie tam w Warszawie, żeby raz nareszcie nam ją przysłali.

— Aha! — zawołałem — więc to tak dużo tu sprzedajecie bibuły?!

Sądziłem bowiem, że brak pieniędzy był wywołany przez brak towaru, dającego się spieniężyć.

Mój towarzysz zaśmiał się i wyjął z kieszeni kajecik z rachunkami partyjnymi.

— Spójrzcie! Za bibułę otrzymujemy bardzo mało. Większość jej idzie na agitację wśród ludzi świeżych, którzy niezbyt są chętni do płacenia. Ale bez bibuły i wśród naszych towarzyszów trudno zebrać cokolwiek na partię. My, proszę was, żyjemy tylko wówczas, gdy mamy bibułę! My, towarzyszu, śpiący tu jesteśmy, bibuła nas budzi!

Brak bibuły dla organizacji politycznej pod caratem, to brak krwi, anemia, skazująca organizację na suchotniczy żywot, na niemożliwość wywierania szerszego wpływu na ludzi, na powolne wymieranie.

Naturalnie, że wobec tak wielkiego znaczenia słowa drukowanego, jednym z najpoważniejszych zadań każdej organizacji nielegalnej jest dostarczenie bibuły swym członkom, uzbrojenie ich w ten nieodzowny w obecnych czasach oręż. Jak każdy to rozumie, w domu niewoli — w państwie rosyjskim — niełatwo to przychodzi i pochłaniać musi sporo energii i sił każdej organizacji.

Przede wszystkim bibuła musi być wyprodukowaną. Pod tym względem bibuła dzieli się na krajową i zagraniczną. Ostatnia stanowi olbrzymią większość wprost dlatego, że produkcja za granicą jest znacznie łatwiejsza, niż pod okiem carskiej policji. Lecz zagraniczna, nim dojdzie do rąk odbiorców, ma do przebycia poważną przeszkodę, jaką jest granica państwa rosyjskiego, strzeżona pilnie przez rząd, który chciałby z niej zrobić mur nieprzebyty dla tego rodzaju importu. Stąd wypływa konieczność dla każdej organizacji rewolucyjnej wyszukania dla swych wydawnictw drogi przez granicę i transportowania ich tajnie wewnątrz kraju aż do rąk odbiorców.

Na tej drodze bibułę czeka tysiące niebezpieczeństw i przeszkód, które przełamać musi, a pierwszą z nich jest przejście pasu pogranicznego.

GRANICA I ZIELONI

Granice we wszystkich państwach są bardziej strzeżone, niż jakiekolwiek punkty wewnątrz państw, lecz nigdzie baczność nie dochodzi do tak potwornych rozmiarów, jak w Rosji, nigdzie kłopoty graniczne każdego mającego z tym styczność nie są tak uciążliwe i przykre, jak w państwie cara. Azjatycka tradycja oddzielania się murem chińskim od wszelkiej cudzoziemszczyzny, a co za tym idzie, utrudnianie wejścia wszystkiemu, co przeklętą Europą i cywilizacją trąci, niełatwo daje się wyplenić, tym bardziej, że postęp w społeczeństwie, trzymanym w żelaznych kleszczach caratu, idzie wolno żółwim krokiem.

Pilnowanie granicy poruczone jest w Rosji «zielonej» dykasterii agentów i sług carskich. Zielonymi zowiemy ich dlatego, że ci mandaryni oraz ich słudzy mają wypustki zielone na czapkach oraz ramionach i rękawach swych mundurów. Poza zielonymi wielką rolę na granicach odgrywają i błękitni aniołowie-stróże caratu — żandarmi oraz różni akcyźnicy i policjanci, ale strzeżenie granic carskiego imperium jest specjalnością zielonych.

Dzielą się oni na wojskowych i cywilnych — tzw. straż pograniczną i komorowych czyli celników. I jedni, i drudzy są pod rozkazami ministra finansów carskich, który nosi godność szefa straży pogranicznej, a główną ich siedzibą i terenem działalności jest pas pograniczny państwa.

Ten pas pograniczny jest podzielony na trzy linje. Pierwsza — tuż nad granicą, druga, tzw. linia kordonów, — w oddaleniu 1—2 km. od granicy i wreszcie trzecia — rzecz zupełnie niesłychana w żadnym państwie — nie ma już nic wspólnego z pojęciem linii, bo obejmuje sobą stukilkudziesięcio-kilometrowy pas ziemi wewnątrz kraju. Jak szeroką jest ta trzecia linia, można sądzić z tego, że w Królestwie jedynie gubernia siedlecka jest wolną od baczności zielonych, a połowa Litwy wchodzi w zakres ich działania.

Wobec szerokości tej trzeciej linii muszę ją uwzględnić i zająć się nią osobno. Natomiast obecnie zatrzymam się jedynie na pierwszych dwóch, stanowiących właściwy pas pograniczny i będący pierwszą przeszkodą dla wszystkiego, co wbrew prawu carskiemu wkracza na terytorium knutowładnego pana, a więc i dla bibuły.

Pierwsza linia zielonych spełnia swe obowiązki w sposób następujący: tuż przy granicy, zastosowując się do wszyst-

kich jej załomów i zakrętów, są rozstawieni żołnierze z karabinami mniej więcej w odległości 200 do 600 kroków jeden od drugiego. Naturalnie, w miejscowości równej, gdzie oko daleko sięga, posterunki są rzadsze, tam zaś, gdzie granicę upiększają pagórki, lasy i gaje, a jeszcze bardziej, gdzie do granicy zbliżają się zabudowania, żołnierze są rozrzuceni gęsto. Przechadzają się oni nad granicą, siedzą, oglądają widoki, stanowiąc niezbędną, charakterystyczną plamkę na pejzażu granicznym. Zadaniem ich jest pilnować, by żadna żywa istota, naturalnie, oprócz ptaków, nie przeszła przez granicę ani w jedną, ani w drugą stronę. Cały ruch tych istot jest przez to skierowywany do określenia punktów, gdzie dozór graniczny jest niejako zgęszczony i gdzie wszystko: ludzie i ich pakunki, towary i ich opakowanie podlega odpowiedniej rewizji oraz może otrzymać pozwolenie na przekroczenie granicy. Są to komory i przykomórki.

Te punkty ze zgęszczonym dozorem granicznym pracują tylko we dnie, nocą zaś, z wyjątkiem miejsc, gdzie granicę przecina kolej, działalność zielonych ustaje i granica na całej przestrzeni jest zamknięta całkowicie. Na noc ściągają również żołnierzy z posterunków nadgranicznych. Naturalnie, robi się to nie z ufności, że tacy lub inni przestępcy praw carskich noc spędzają spokojnie w łóżku, lecz dlatego jedynie, że do ciemności nocnej pierwsza linia stosuje inny system obrony granicy. Rozsypuje się ona po tzw. w języku «zielonych» — sekretach. Sekret polega na tym, że taki drab z karabinem, zamiast jako bohater stać na widoku, zaczaja się, jak kot, gdziekolwiek na przypuszczalnej drodze przekraczających nielegalnie granicę.

Druga linia, czyli tzw. linia kordonów, również nie próżnuje. Przecina ona, jak powiedziałem wyżej, wszystkie drogi, idące od granicy, w oddaleniu jednego, dwóch, bardzo rzadko więcej kilometrów.

Wysyła ona przede wszystkim konne patrole w różne strony, a oprócz tego ma za zadanie rewidowanie wszystkiego, co się przewija przez drogę, o ile to nie jest zaopatrzone legitymacją z pierwszej linii. Tutaj też na przecięciu jakiejkolwiek drogi stoją koszary dla oddziałków zielonych, zwane kordonami.

Cywilni «zieloni» operują w komorach i przykomórkach. Zadaniem ich jest, jak wspomniałem wyżej, rewidowanie rzeczy podróżnych, nakładanie i odbieranie cła od towarów importowanych oraz wizowanie paszportów przejezdnych. W większych jednak punktach, gdzie się przewija poważniej-

sza ilość osób, kontrola nad ludźmi, przekraczającymi granicę, jest oddana w ręce żandarmów. Tych komorowych urzędników, wobec formalistyki biurokracji rosyjskiej i jej niedołęstwa, jest całe mnóstwo. W każdym miasteczku nadgranicznym można spotkać kilku, w większych zaś miasteczkach kilkunastu i kilkudziesięciu zielonych cywilusów, ugwiażdżonych i umundurowanych, stanowiących w okolicach nadgranicznych razem z oficerami straży pogranicznej pijaczą i hulaszczą kompanię.

Z tego opisu wnosić można, ile sił, środków i energii zużywa państwo rosyjskie na ochronę swej granicy! Granica, upstrzona komorami, najeżona bagnetami i urozmaicona patrolami konnymi wygląda nadzwyczaj okazale i musi przejmować strachem każdego śmiałka, który odważy się wbrew zakazom carskim przekraczać ją sam lub z zabronionym towarem. W istocie wywiera ona silne wrażenie!

Pamiętam żywo swoje pierwsze zetknięcie się z granicą, gdym po powrocie z wygnania jechał odwiedzić ojca i rodzeństwo, mieszkających w owe czasy w majątku na pograniczu pruskim. Część drogi, którą miałem do zrobienia, leżała tak blisko granicy, że do słupów granicznych od drogi było zaledwie kilka kroków. Droga idzie w tym miejscu lasem i musiałem ją przebywać późnym wieczorem. Gdyśmy się wlekli wolnym krokiem po piaszczystej drodze, zdaleka z lasu dobiegło do nas echo wystrzału karabinowego. Po chwili na drodze zadudniało i kilka uzbrojonych konnych postaci minęło nas w galopie. Następnie spotkałem znowu kilku konnych, którzy czegoś szukali na drodze, oświetlając ją latarką. Jeden z nich podjechał do nas i nieco grubiańskim tonem zapytał:

— *Otkuda?* (skąd).

— Z Jurborgu jadę do Taurogów — odpowiedziałem.

— *W Tawrogi!* — I, spojrzawszy na konie i zaprząg, dodał: — *Pomieszczyk?* — co w języku rosyjskim oznacza pozycję socjalną, nazywaną w Galicji «obszarnik».

— Tak — rzekłem — czego chcecie?

— *Niczawo! Kontrabandu łowim, pojezżajtie!* [1])

Woźnica mój, tęgi, barczysty Żmudzin, splunął pogardliwie i zaciął konie. Po chwili rozległy się znowu strzały.

Trafiłem widocznie na niespokojną chwilę, lecz przyznam się: te strzały nocne w lesie, te pędzące patrole i uwijanie się po drodze uzbrojonych ludzi sprawiły na mnie silne wrażenie. Wyglądało to na małą wojnę. Tym czasem spotka-

[1]) Nic! Kontrabandę łapiemy, jedźcie!

liśmy raz jeszcze konnych z latarkami, szukających czegoś na drodze, i mój Żmudzin raz jeszcze splunął energicznie i odwróciwszy się do mnie, flegmatycznie mówił:

— Psy, śladów szukają! Psy, czyste psy!

— Śladów? — pytałem zdumiony. — Ależ na drodze tych śladów jest mnóstwo!

Żmudzin nie mógł mi tego wytłumaczyć, zbyt źle mówił po polsku, a ja znowu nie umiałem po litewsku.

Wkrótce jednak wytłumaczył mi to jeden z żołnierzy tej samej straży pogranicznej. Spotkałem się z nim w karczmie, przy której zatrzymaliśmy się, by dać koniom odetchnąć. Poczęstowany papierosem i kieliszkiem wódki, zaczął mi opowiadać o swoim życiu.

— Ciężka służba, psia, ani dniem, ani nocą spoczynku nie ma! We dnie na linii, a w nocy w sekretach. I dobrze, kiedy ładna pogoda, a w deszcz i wiatr w lesie straszno i hałas taki od szumu drzew, że nic poza tym nie słychać, no, i przespać też się chce. A tu pilnuj i pilnuj, jak ślad jaki na ciebie, a nie złapałeś, to cię nie pogładzą, albo jak pogładzą, to zębom nie bardzo zdrowo od tego głaskania, — dodał, śmiejąc się z własnego dowcipu.

— Jakie ślady w lesie? — pytałem.

— Nie w lesie, a na drodze, a droga na noc zabronowana, więc kto wpoprzek drogi od granicy przejdzie, ślad zostawi. A tam starsi z latarką po drodze biegają, gdzie ślad jest, zaraz do najbliższego sekretu: ślad na ciebie był, gdzie kontrabanda? Czorty! — skarżył się mój żołnierz.

W istocie, gdy się przypatrzyłem potem, dostrzegłem, że «czorty» drogę zabronowali tak, że każdy przechodzień zostawiał na piasku wyraźny odcisk swej stopy.

— Cóż ty robisz — indagowałem dalej żołnierza, — gdy na ciebie wyjdzie kontrabandzista?

— Wiadomo co. Strzelam. Muszę niby przed tym krzyknąć «stój», ale gdzie tam krzyczeć, on ucieknie, on ten las zna, jak kieszeń własną. Teraz to lepiej, — dawniej, jak ciebie taki diabeł już minął, to lepiej nie strzelać. Jak trafisz w plecy, to cię karali, bo karabin był niby do tego, żeby się bronić albo dać sygnał. A teraz nie żartuj, w plecy czy w łeb — to jedno. Prawo takie jest! — mówił z dumą i zadowoleniem.

— O! i dzisiaj, słyszał pan? — mówił dalej — pewnie którego diabła na tamten świat wyprawili. Wachmistrz nasz chodził na tamtę stronę dniem, przebrany był. Kazał dziś czekać kontrabandy, słyszę — dużo mieli przenosić nocą. Pewno złapali, zarobią dobrze, szczęście mają.

Trzeba bowiem wiedzieć, że rząd zachęca swych agentów do łapania kontrabandy w ten sposób, że każdy, kto wskaże lub złapie przeszwarcowany towar, otrzymuje trzecią część sumy, otrzymanej ze sprzedaży tego towaru.

Drugą trzecią część składa się do banku państwa i w końcu roku sumę całą, otrzymaną z całego okręgu celnego, dzieli się pomiędzy urzędników komorowych i oficerów straży pogranicznej. Wreszcie reszta idzie do skarbu. Naturalnie, za rzeczy, które nie mogą być sprzedane, w rodzaju np. bibuły, rząd wydaje osobną nagrodę.

Z tego małego opisu wnosić można, że pogranicze rosyjskie jest stale na stopie wojennej. Więcej, tam stale wojna się toczy, rzeczywista wojna — ze szczękiem broni, z wystrzałami, zasadzkami, fortelami wojennymi i, co najsmutniejsza, z ofiarami w ludziach. Z jednej strony walczy rząd, z drugiej wszystko, co w Rosji jest kontrabandą. Nie trzeba myśleć, że tą kontrabandą są tylko towary, że je tak nazwę, polityczne. Przeciwnie, przede wszystkim są to najzwyklejsze wartości użytkowe — spirytus, cygara, koronki, zegarki, chemikalia itd., słowem rzeczy, produkowane za granicą i obłożone przez rząd wysokim cłem. Kontrabanda polityczna stanowi w tej powodzi zwyczajnego szwarcownictwa znikomo małą część i dopiero w ostatnich czasach rząd zwrócił na nią baczniejszą uwagę, nie stosując zresztą względem niej żadnych nowych środków obrony, a walcząc z bibułą tak samo, jak walczy z cygarem lub płócienkiem.

Kto jednak jest zwycięzcą w tej wojnie? Cyfry, przytoczone w poprzednim rozdziale, dowodzą, że w tym wypadku zwycięża nie silniejszy. Lecz w jaki sposób to się odbywa? Przypuszczam, że każdy z nieznających dobrze stosunków pogranicznych przedstawia to sobie tak, jak ja to sobie wyobrażałem na razie po owej nocy, spędzonej w nadgranicznej drodze. Gdym myślał o transportach bibuły, śniły mi się przekradania się przez lasy, tajemnicze szmery borów, niespodziane spotkania ze strażą pograniczną itp. rzeczy, przypominające nieco opowiadania Coopera lub Mayne-Reida.

Lecz dosyć jest przemieszkać na pograniczu czas pewien, by się pozbyć tej romantyki. Co do mnie, zacząłem się jej pozbywać bardzo prędko. W kilka dni po opisanej drodze w młocarni u ojca coś się zepsuło. Okazało się, że jest to drobnostka, jakieś śrubki, które się połamały przy robocie. Wiejski kowal nie mógł tego naprawić, do miasta było daleko, natomiast granica i pruskie miasteczko były blisko. Byłem przy

tym, jak ojciec otrzymał od kowala odpowiedź, że naprawa przechodzi jego uzdolnienie fachowe, i jak ojciec rzekł:

— Trzeba posłać do Prus.

Sądziłem, że ojciec pośle konie za granicę i zaproponowałem, że mu to załatwię, byle mi wystarał się o półpasek.

— Eh, nie warto, mnie to potrzebne jak najprędzej, poślę Bartłukajtisa szwarcować, ten mi jutro przyniesie.

— Więc on te śrubki będzie szwarcował?

— Naturalnie! — odpowiedział ojciec, — i tybyś je szwarcował, bo przecie z tymi głupimi śrubkami nie pójdziesz do urzędu celnego. Oho! zaczep ich tylko, zapiszą stosy papieru z powodu tych paru śrubek — i ja, i oni stracimy na to mnóstwo czasu. Po co to komu potrzebne! A Bartłukajtis i tak chodzi nieledwie codzień do Prus po spirytus. Przy okazji załatwi i mój interes ze śrubkami.

Tak się też stało. Bartłukajtis nazajutrz już dostarczył nowe śrubki, zrobione przez porządnego pruskiego rzemieślnika.

Wkrótce przekonałem się, że «głupie śrubki» nie są wyjątkiem. Czy we dworach, czy w chatach włościańskich wszystkie przedmioty, będące produktami fabryk i warsztatów, pochodzą z Prus i doszły rąk swych właścicieli bez pośrednictwa urzędów celnych. Oprócz tego raz po raz spotykałem takich Bartłukajtisów, chodzących codzień do Prus i załatwiających te lub owe interesy swych współobywateli. Prusy — to obce państwo, oddzielone od imperium cara podwójną linią straży pogranicznej — wciskało się najwyraźniej w posiadłości rosyjskie, mącąc czystość idei ściśle odgraniczonego państwa. Była to Rosja, lecz pod wielu względami i Prusy.

Ba, gdyby tylko Prusy! Rozpytując okolicznych chłopów, dowiedziałem się, że znają oni Amerykę daleko lepiej, niż swój kraj rodzinny. Wielu chłopów żmudzkich nie wiedziało nic o Wilnie i Kownie, nawet o swym powiatowym miasteczku Rosieniach. Natomiast od niejednego usłyszałem opis Nowego Jorku lub Chicago, podróży po morzu i warunków pracy w fabrykach i kopalniach amerykańskich. Za każdym razem pytałem chłopa, czy brał paszport na wyjazd z kraju i najregularniej, zamiast odpowiedzi, widziałem pogardliwe wzruszenie ramion, mające oznaczać: «Ktoby się tym głupstwem zajmował!» I w tym więc wypadku granica z jej paszportami, cłami i kłopotami nie istniała dla tych ludzi.

Później w swoich wędrówkach zwiedziłem pogranicze w różnych miejscach. Bywałem na granicy pruskiej i austriackiej, i tam, gdzie granica jest mokrą, tj. gdzie granicę stanowi

rzeka lub strumień, i tam, gdzie na granicy są miasta lub miasteczka, czy też, przeciwnie, stanowią ją mało zaludnione bory — wszędzie spostrzegałem ten zanik granicy dla mieszkańców pogranicznych, tę poufałość i maltretujący stosunek względem surowych, nieledwie wojennych przepisów granicznych.

Powszechne chodzenie ścieżkami nieprawnymi, przestępstwa, chociaż drobne, lecz epidemiczne i stale się powtarzające, wyrobiły pewnego rodzaju solidarność w mieszkańcach pogranicza. Istnieje tam nieustanny spisek, chociaż niezorganizowany i milczący, lecz pomimo to obowiązujący do solidarności wszystkich przeciw prawu i przeciw tym, co pilnują granicy. Naturalnie, taka solidarność ogromnie ułatwia wojnę z «zielonymi».

Jeden z towarzyszów, który dłuższy czas prowadził na pograniczu interes partyjny, opowiadał mi o faktach, dowodzących poczucia tej solidarności.

— Razu pewnego — mówił mi — nająłem konie, by odwieźć kilka paczek bibuły do miasteczka, nieco od granicy oddalonego, skąd inni towarzysze mieli je zabrać. Nie lubię włóczyć się po drogach nadgranicznych późnym wieczorem lub w nocy — nieraz strażnicy, nie widząc, z kim mają do czynienia, przypadkowo mogą zatrzymać tych, kogoby we dnie nie ruszyli. A tu spóźniłem się nieco z opakowaniem bibuły, więc śpieszyłem. Jak na nieszczęście, trafił mi się woźnica pijany. Na wszelkie moje perswazje, by jechał prędzej, mruczał coś niezrozumiałego, a wreszcie, gdy bryczka zawadziła o jakiś kamień na drodze, wypadł z wozu. Był dobrze strąbiony, więc, podnosząc się z ziemi, co chwilę przewracał się znowu. Zirytowałem się wreszcie.

— No, słuchajcie! — rzekłem. — Leżcie sobie tutaj i śpijcie, ja pojadę do N., a wracając, zabiorę was.

Chłop się oburzył na taką propozycję.

— Nie zostawi mnie pan tu, kiej psa. I ja katolik i pan katolik, i ja kontrabanda i pan kontrabanda.

Mrowie mię przeszło po skórze na takie dictum. Chłop wiedział, że się zajmuję przemycaniem czegoś i byłem niejako w jego ręku. Chciałem się jeszcze wykręcić i groźnie zawołałem:

— Co ty pleciesz?! Jaka kontrabanda?

Chłop śmiał się na całe gardło. Wstał wreszcie i gramoląc się na wóz, szturchnął moje pakunki.

— A tu co? Kontrabanda! — mówił tryumfująco. — Kontrabanda taka dobra, jak i ta!

Odgarnął trochę siana i pokazał swoją kontrabandę. Było tam kilka paczek cygar i jeszcze jakieś zawiniątko.

Chłop wreszcie zaciął konie, pijanym głosem zaczął nucić jakąś zawadiacką piosnkę i od czasu do czasu odwracał się do mnie ze śmiechem.

— I ja kontrabanda, i pan kontrabanda! — powtarzał z pijackim uporem.

Kiedym wracał do domu z tym samym chłopem, już wytrzeźwionym, ciągnąłem go za język, by mi wyjaśnił, skąd doszedł do przypuszczenia, że wożę kontrabandę. Chłop poważnie odpowiedział:

— Niech pon się nie boją! Wszyscy tu kontrabandę wożą, a pan często jeździ z pakunkami, każdy wie, co to znaczy! Ale mnie co do tego — dodał, uśmiechając się, — wiezie pan kontrabandę, czy nie. Ja mam zarobek, a przy panu i swoje rzeczy bezpieczniej przewiozę.

— Innym razem — opowiadał mi dalej towarzysz z granicy — miałem do przewiezienia bibułę i poszedłem nająć konie. Po drodze spotykam włościanina, z którym nieraz już jeździłem. Pytam go o konie. Chłop podrapał czuprynę i wreszcie pyta:

— Pon tak, jak stoi, czy z rzeczami?

— A co? — pytam.

— A bo cosik te juchy bardzo niespokojne dzisiaj, — mówił, pokazując na drogę, po której w tej chwili jechało kilku zielonych wojaków. — Chyba boczną drogą pojedziem.

Naturalnie, w obydwóch wypadkach chłopi nie podejrzywali nawet, że tą kontrabandą była bibuła.

Powszechna konspiracja przeciw zielonym rycerzom, jak powiedziałem, utrudnia ogromnie ich pozycję w walce z kontrabandą. Lecz bodaj nic tak bardzo nie zaciera granicy państwowej, nic bardziej się nie przyczynia do wytworzenia międzypaństwowych pojęć na pograniczu, jak ugoda zielonych z kontrabandą oraz stałe przechodzenie poszczególnych zielonych do obozu spiskowców.

Przede wszystkim każdy z zielonych, równie dobrze, jak i każdy mieszkaniec pogranicza, wie o tym, że za słupami granicznymi jedne towary są tańsze, inne lepsze. Często łatwiej jest za kordonem o dobrego rzemieślnika lub lekarza, a gdy, co również nierzadko się zdarza, po tamtej stronie granicy jest blisko miasto lub większe miasteczko, łatwo tam o zabawę i różne wygody, których brak po tej stronie. Naturalnie, głupim by był ten, ktoby z takich udogodnień nie korzystał. I każdy zielony korzysta z nich w większym nawet stopniu,

niż przeciętny mieszkaniec pogranicza, w większym dlatego, że będąc sam stróżem prawa, ma zapewnioną bezkarność przestępstwa.

Następnie, wśród zielonych kwitnie, jak w ogóle wśród urzędników rosyjskich, gatunek ugody z otoczeniem, nazwany przez znakomitego satyryka rosyjskiego, Szczedryna, koniecznym dopełnieniem i poprawką samowładczej konstytucji, — łapówka i przekupstwo. Po rosyjsku komory celne nazywają się «tamożnią». Otóż jeden Żydek, zapytany, co właściwie oznacza to słowo, mrugnął oczkami filuternie i wyjaśnił odrazu filologiczne pochodzenie «tamożni» od polskich słów — tam można.

W istocie — tam można! Wysokie cła, uciążliwe, długie i kosztowne formalności przy załatwianiu czynności celnych, niewielkie względnie pensje urzędników oraz powszechność łapówek w Rosji wytwarzają takie położenie rzeczy, że strony interesowane wywierają silne parcie na urzędników celnych w kierunku przekupstwa i zieloni oprzeć się temu nie mogą. Liczba pilnujących praw granicznych w ten sposób się zmniejsza, liczba zaś spiskowych wzrasta.

Prosty stupajka zielony, żołnierz, wchodzi w umowę z przemytnikami i pomaga sam przy przenoszeniu kontrabandy, dając nawet w zastaw własny karabin. Urzędnik celny konspiruje z ekspedytorami, ułatwiając im formalności celne lub zamykając oczy na oszustwa ekspedytora. Oficer straży pogranicznej prowadzi handel kontrabandą, a raz po raz znajdzie się zielony, uprawiający sam kontrabandę, jak rzemiosło, na własną rękę. Wszystko to wytwarzać musi pewną zależność od otoczenia, które, jak widzieliśmy wyżej, całe, bez wyjątków, uprawia kontrabandę bezustannie.

Zależność ta wzrasta jeszcze bardziej przy stosunkach towarzyskich mieszkańców pogranicza z zielonymi.

Wobec interesu, który przy takich stosunkach łatwiej się ubija, cywilni mieszkańcy chętnie znajomią się z zielonymi, zobowiązując ich to poczęstunkiem, to grzecznością, to prezencikiem, od którego wymówić się niepodobna. Słowem, wyzyskując wszystkie możliwe słabe strony stróżów prawa i porządku, otoczenie, złożone z kontrabandzistów zawodowych i przygodnych, powoli asymiluje ich z sobą i zmusza, jeśli nie do współdziałania, to przynajmniej do przymykania oczu na przestępstwa graniczne.

Jeśli organizacja zielonych jest tą skałą, na której jest zbudowana obrona granicy, to przyznać trzeba, że jest ona bardzo kruchą i chwiejną oporą. Nie jest to granit, lecz miękki

wapień, na który dezorganizujące czynniki życia pogranicznego działają, jak wiatr lub fale wody na tego rodzaju geologiczną formację. Kruszy się ona, wietrzeje i rozsypuje się, otwierając drogę dla nacierających żywiołów.

Tym żywiołem jest ludność pograniczna, z którą zieloni, nie mogąc poradzić, wchodzą w ugodę. Widzieliśmy, że ta ludność przy zadawalaniu swych potrzeb nie krępuje się wcale granicą państwową. Z chwilą więc, gdy nielegalne wydawnictwa stają się potrzebą tej ludności, i do nich stosuje się ogólne prawo życia pogranicznego — zanik granicy. Przechodzą ją one równie łatwo, jak pruskie cygaro lub tandeta wiedeńska, kupiona na rynku krakowskim.

Takie powolne, po kropelce niejako, przesiąkanie bibuły z księgarń zagranicznych do rąk jej konsumentów w Polsce pod caratem tłumaczy nam możliwość istnienia pewnej, mniejszej, części spotrzebowywanej rok rocznie bibuły. Bo przecie, rzecz prosta, ten żywiołowy i powolny proces przesiąkania nie może wystarczać organizacjom, potrzebującym dziesiątków tysięcy egzemplarzy bibuły, wymagającym stale świeżego jej dopływu. Wreszcie te kropelki, będąc nawet licznymi, nie mogą być ujęte w system, nie mogą być kierowane i regulowane, jak to można zrobić ze stałym strumieniem. Niewątpliwie jednak opisane wyżej podmycie granicy stanowi poważne ułatwienia dla przebicia jej przez taki właśnie strumień bibuły.

Dosadne rosyjskie przysłowie mówi: «Byłoby bołoto, czerti najdutsia» (niech będzie błoto, a czarci się na nim znajdą). Stosunki graniczne są właśnie tym błotem, na którym z pewną łatwością czarci przeciwpaństwowi swe harce wyprawiać mogą.

Względnie najłatwiejszym jest przewiezienie jednorazowe większej ilości bibuły. Do tego najczęściej wystarcza towarzysz, niepozbawiony sprytu i mający stosunki gdziekolwiek na pograniczu. Mówię wyraźnie «gdziekolwiek», bo wszędzie te stosunki są mniej więcej do siebie podobne. Oto, jak mi opowiadał jeden z towarzyszów o swojej próbie pod tym względem:

— Granice partyjne — mówił mi — były w tym czasie zawalone robotą, a partii chodziło o przemycenie na termin rosyjskiej bibuły, do czego się była zobowiązała. Poruczono ten interes mnie, jako pochodzącemu z pogranicza i mogącemu zatem prędzej, niż kto inny, wynaleźć dziurę dla transportu. Co prawda, nie byłem w swej ściślejszej ojczyźnie już dosyć dawno, lecz podjąłem się tego, bo liczyłem na mego kuzyna,

który mieszkał na pograniczu, gdzie ojciec jego dzierżawił większy jakiś majątek.

W istocie rachuba moja nie okazała się mylną. Zaraz prawie po przyjeździe do swego krewniaka zaszła rozmowa o nielegalnych książkach, a to z powodu, żem na stole mego kuzyna znalazł parę wydawnictw galicyjskich, tyczących się powstania 1863 r.

— Skąd je masz? — zapytałem.

— Zabawne skąd — odparł, — z zagranicy.

— Szczęśliwy, że możesz tak łatwo mieć książki zakazane, tam, w Warszawie, znam wielu ludzi, którzy drogoby dali, by mieć takie książki.

Kuzyn mój był chłopak dosyć lekkomyślny, więc nietrudno mi było przekonać go, że musi mi pomóc w przetransportowaniu pewnej ilości książek. Nie przyznałem mu się, że będą to książki rosyjskie, bo prawdopodobnie spotkałbym się z odmową. Obawiał się tylko, by ojciec jego, człowiek, odstraszony gruntownie od wszelkiej nielegalności jeszcze w 1863 r., nie dowiedział się o tym jego figlu.

Zacząłem go rozpytywać o stosunki graniczne, o jego znajomości wśród zielonych oraz wśród mieszkańców pogranicza z tamtej strony. Z rozmowy dowiedziałem się, że mój krewniak senior, chociaż bał się rzeczy nielegalnych politycznie, pod względem zwyczajnej kontrabandy chadzał ścieżkami niezupełnie legalnymi. Mianowicie, opłacając komorowych urzędników, sprowadzał z zagranicy bez cła wszystkie narzędzia gospodarskie i świeżo nawet obijał powozy suknem szwarcowanym. Naturalnie, tej drogi nie można było użyć dla bibuły. Natomiast okazało się, że krewniak junior jest w dobrych stosunkach z oficerem straży pogranicznej, porucznikiem S., z którym zbliżyło go wspólne zamiłowanie do myślistwa. Zielony porucznik bywał z nim parę razy za kordonem i przynosił mu stamtąd przybory myśliwskie.

— Czy rewidowano wam rzeczy — pytałem — przy powrocie z za kordonu?

— Rzeczy nie mieliśmy — odpowiedział mi kuzyn, — ale nie zaglądano wcale do powozu.

Na tym oparłem swój plan. Ułożymy pod jakimś pozorem wspólną z p. porucznikiem wycieczkę za kordon, bez jego wiedzy naładujemy bibułę do pudła pod siedzenie bryczki i pod jego opieką przewieziemy ją do domu kuzyna. Omówiliśmy wszystkie szczegóły. Chodziło o ukrycie bibuły przed oczami nie tylko p. porucznika, który miał nam służyć jako piorunochron, ale i domowego otoczenia mego kuzyna.

Postanowiliśmy więc w czasie wycieczki za kordon nie brać z sobą furmana i manewrować tak, by przyjechać do domu późnym wieczorem, gdy łatwiej jest wynieść niepostrzeżenie paczki z bibułą z bryczki do pokoju.

Mój kuzyn w parę dni potem wyruszył za kordon i wyprawił listy do towarzyszów zagranicznych, którym poleciłem wysłać odpowiednią ilość bibuły na imię sklepikarza w miasteczku zakordonowym, z którym dom mego kuzyna utrzymywał stałe stosunki. Bibuła miała swym opakowaniem imitować sukno. Specjalny zaś liścik do mego kuzyna miał być oznaką, iż owe sukno już jest do zabrania.

Wkrótce poznajomiłem się tu z naszym piorunochronem. Poznanie nastąpiło w miasteczku pogranicznym, odległym od siedziby mego kuzyna o parę kilometrów, w knajpie, uczęszczanej przez pograniczną arystokrację, do której zaczęliśmy zaglądać, chcąc nadać pozory wypadkowości naszemu spotkaniu z p. porucznikiem.

— Oto on! — szepnął mi razu pewnego mój kuzyn, wskazując oczami na młodego, barczystego oficera, który zamaszyście z brzękiem ostróg wchodził do knajpy.

Porucznik okazał się wesołym towarzyszem przy kieliszku. Opowiadał nam z wielkim ferworem o swych sukcesach myśliwskich i nadzwyczajnej celności swego oka. Rozmowa kręciła się koło polowania i mój kuzyn zaczął się skarżyć, że wobec zbliżającego się jesiennego sezonu myśliwskiego zabraknie mu gilz ładunkowych do dwururki, niedawno przez tegoż porucznika z za kordonu sprowadzonej. Usłużny porucznik zaproponował swe usługi w tym wypadku, bo i sam miał jakieś luki myśliwskie do zapełnienia.

Postanowiłem skorzystać z tej okazji i zaproponowałem, byśmy się wybrali kiedy za kordon razem. Porucznik chętnie się na to zgodził i nawet obiecał przewieźć mię na tamtą stronę i z powrotem bez paszportu lub półpaska. Długośmy się spierali o to, czy pójdziemy pieszo, czy pojedziemy, bo pan porucznik, wielki amator spacerów, chciał nas koniecznie prowadzić drogą leśną i pokazać nadzwyczajne talenty swego jamnika. Wreszcie dał się jednak przekonać i ułożyliśmy się, że zajedziemy po niego na kordon za kilka dni, gdy nasz porucznik miał wolny dzień od służby.

Na szczęście w tym czasie przyszło też umówione zawiadomienie o tym, że sukno już otrzymane. Trzeba było działać możliwie prędko, bo i sklepikarz mógł przez ciekawość obejrzeć owo «sukno» i wreszcie mój kuzyn coraz bardziej się rozklejał i wobec zbliżania się stanowczej chwili okazywał coraz

bardziej chęć porzucenia całej imprezy. Żartowałem, śmiałem się z jego tchórzliwości, lecz odczuwałem, że muszę polegać jedynie na sobie i swoją stanowczością zmuszać kuzynka do czynu.

Nadszedł nareszcie dzień, wyznaczony nam przez p. porucznika. Kuzynek mój był zdenerwowany i podniecony do niemożliwości; prosił mię, bym jechał sam, bo się czuje chorym. Oparłem się jednak temu, bo przecież ktoś musi bawić p. porucznika, gdy się będzie pakowało bibułę do bryczki. Wreszcie kuzynek dał się uprosić i siadł do przygotowanego powozu, jak skazaniec, jadący na ścięcie. Bałem się, że jego zdenerwowanie zwróci uwagę p. porucznika, więc umówiliśmy się, że ja porucznika nie odstąpię, a on będzie się opiekował bibułą i zapakuje ją do wozu.

Ruszyliśmy. Na kordonie spotkaliśmy oczekującego nas porucznika, którego nie poznałem. Był ubrany cywilnie, władze bowiem rosyjskie niechętnie patrzą na wycieczki wojskowych za granicę wobec możliwości «obrazy munduru rosyjskiego». Porucznik był wesoły, jak szczygieł. Dowiedziałem się wkrótce o przyczynie tej wesołości. Na tamtej stronie, w miasteczku, była jakaś romansowa Niemeczka, która obdarzała swymi względami p. porucznika. Po drodze porucznik zdążył mi opowiedzieć parę pieprznych szczegółów romansu i opisać swą Niemeczkę zanadto szczegółowo. Minęliśmy kordon szczęśliwie. P. porucznik, według obietnicy, wstawił się za mną u zielonego cerbera, strzegącego granic imperium carskiego, i wkrótce stanęliśmy u celu podróży, w pruskim miasteczku M. Konie zostawiliśmy u sklepikarza i we trójkę poszliśmy zwiedzać osobliwości miasteczka — knajpy z porządnym niemieckim piwem. Po drodze załatwiliśmy myśliwskie interesy, a gdy liczba wypitych kufli była już dosyć dużą i wpłynęła nieco na podniesienie fantazji mego kuzynka, zaproponowałem p. porucznikowi spacer i wizytę u Niemeczki, na kuzyna zaś mrugnąłem, by w tym czasie załatwił się z suknembibułą.

Nieszczęście chciało, żeśmy Niemeczki nie zastali. Porucznik stracił na humorze i pomimo, żem go wyciągał na myśliwskie opowiadania, nie zdradzał wielkiej chęci do dłuższego spaceru sam na sam ze mną. Jeszcze kilka kufelków piwa i wreszcie nie było już sposobu zatrzymać porucznika, który, zgryziony niepowodzeniem miłosnym, chciał koniecznie wracać czym prędzej do domu. Spojrzałem na zegarek — trochę więcej, niż pół godziny, minęło od czasu, gdyśmy się rozstali z kuzynkiem, musiał więc chyba załatwić się z włożeniem kilku

pakunków do bryki. Na wszelki jednak wypadek, podchodząc do sklepiku, prowadziłem rozmowę tak głośno, by kuzynek mógł wiedzieć o naszym powrocie.

Nagle, ku wielkiemu memu zdumieniu, kuzynek z okropnie wystraszoną twarzą wyskoczył ze sklepiku, chwycił porucznika pod ramię i zaczął mu coś szeptać do ucha, dając mi za plecami jakieś rozpaczliwe znaki, wskazujące na sklepik. Wpadłem, jak bomba, na podwórze sklepikarza, gdzie stały nasze konie. Koło wozu stała sklepikarka i wyjmowała z pudła książki, składając je do swego fartucha. Zdębiałem.

— *Was machen Sie?* [1])

— *Der junge Herr hat gesagt, er wird die Bücher nicht nehmen* [2]) — odparła mi flegmatycznie Niemka.

Nie rozpytywałem już, dlaczego się książki z opakowania wysypały, lecz nie tracąc czasu, postanowiłem ratować, co się da. Słyszałem głosy porucznika i kuzynka, oddalające się od sklepiku, więc wyrwałem książki z rąk Niemki i wpakowałem je napowrót do wozu. Jeden tylko pakunek był rozsypany. Dwa inne leżały obok na ziemi. Gdym jednak chciał bez rozprucia opakowania wsunąć zawiniątko pod siedzenie, okazało się, że jest ono za krótkie dla pakunku. Widocznie kuzynek, chcąc go wcisnąć, musiał ugnieść go zbyt silnie, tak, że opakowanie pękło i książki się wysypały. Nie było rady, rozprułem płótno i wysypałem książki z drugiego pakunku.

Nigdy w życiu tak się nie spieszyłem i nie zmęczyłem, jak wówczas. Cały czas nasłuchiwałem, czy porucznik nie wraca, ręce drżały mi ze wzruszenia, pot wystąpił mi na czoło. Nie myślałem wcale o tym, że cała rodzina sklepikarza otaczała mię i oglądała ze zdziwieniem moją robotę; nie myślałem, że taki brak konspiracji może się skrupić i na mnie, i na mych krewniakach, chciałem tylko skończyć prędzej robotę, chciałem uniknąć zetknięcia się porucznika z bibułą.

Zaledwiem zdążył jako tako ułożyć książki z drugiego pakunku, gdym usłyszał głosy wracających. Czym prędzej przykryłem bibułę poduszkami od siedzenia, trzeci zaś pakunek wsunąłem wprost do bryczki, położywszy go wzdłuż z brzegu tejże i przysypałem go sianem. W duchu postanowiłem siąść do bryki z tej właśnie strony, by nikt inny nie wyczuł pod nogą pakunku. Po chwili porucznik i kuzynek byli już przy bryczce. Kuzynek był był zupełnie wyczerpany, blady, z przygasłymi oczami, patrzał na mnie, jak skazaniec, błaga-

[1]) Co pani robi?

[2]) Młody pan powiedział, że nie weźmie książek.

jący o litość. P. porucznik, nieco podchmielony, był niecierpliwy, raz po raz powtarzał:

— *Nu, gaspada, jediem. A panu szkodzit mnogo pit'* [1]) — dodał łamaną polszczyzną, zwracając się do mego kuzynka.

Usadowiliśmy się na wozie — ja, naturalnie, z brzegu, gdzie była bibuła. Na odjezdnym kuzynek, który powoził, szeptem zapytał mię: «A gdzie książki?» Odpowiedziałem mu również szeptem, udając gniew: «Zostały». Humor kuzynka nagle się poprawił i z fantazją zaciął konie. Bryczka zadudniła po pysznej szosie pruskiej, zbliżając się do granicy.

Co do mnie, nie byłem zupełnie spokojny. Gdyśmy kilka godzin temu przejeżdżali granicę, widziałem, jak zieloni rewidowali jakiś powóz i parę furmanek chłopskich, które z Prus wkraczały do imperium rosyjskiego. Rewizja nie była ścisła, co prawda, lecz polegała na tym, że któryś z zielonych wsuwał rękę do wozu i przetrząsał siano. Liczyłem na to, że nas z porucznikiem nie zechcą fatygować i nie będą podejmować poduszek powozu, lecz dręczył mię pakunek, który wyczuwałem pod nogami. Co będzie, gdy zielony podejmie siano, przykrywające pakunek? Albo co będzie, gdy porucznik zechce zejść na chwilę na przykomórek przywitać się i pogawędzić z przyjacielem-urzędnikiem celnym? Może będę zmuszony zejść i ja, i zostawię w ten sposób wóz bez opieki.

Te pytania męczyły mię mocno i przyznam się, gdy wreszcie zgrzytnęły łańcuchy na rogatce granicznej, byłem mocno zdenerwowany i ze złością patrzałem na swego kuzynka, który spokojnie zatrzymał konie już na terytorium rosyjskim. Lecz nikt z zielonych nie zbliżył się nawet do bryczki, a p. porucznik, pochmurny i niezadowolony z wycieczki, ani się poruszył i tylko mruknął coś niezrozumiałego na powitanie żołnierzy i urzędnika celnego. Odetchnąłem jednak lżej dopiero, kiedy mój kuzyn po załatwieniu formalności paszportowej siadł znowu na brykę i konie lekkim truchtem ruszyły po pylnej drodze.

Kuzynek mój dowiedział się o tym, że został oszukany, dopiero wtedy, gdyśmy pochmurnego porucznika pozbyli się przy kordonie i gdy, siadłszy na jego miejscu, zaczął szeptem usprawiedliwiać się przede mną, że kazał sklepikarce zniszczyć książki.

— Jakaś głupia moskiewszczyzna — dodał, — i po co tobie takie książki?

---

[1]) No, panowie, jedziemy. A panu szkodzi dużo pić.

Zamiast odpowiedzi, odsunąłem siano spod nogi i poprosiłem go, by zajrzał pod poduszki bryczki.

Zgłupiał, zdumiony moją bezczelnością. Zgodził się jednak z losem, prosił mię tylko, bym wziął całą winę na siebie w razie, gdyby do ojca jego doszła przez sklepikarza wiadomość o tym wypadku. Reszta poszła, jak po maśle. Zdołaliśmy niepostrzeżenie wyjąć bibułę z bryczki i zapakować do przygotowanych walizek, a w kilka dni potem dostarczyłem książki do Warszawy.

* * *

Powyższe opowiadanie towarzysza, pochodzącego z pogranicza, dowodzi, co prawda, względnej łatwości urządzenia jednego takiego transportu bibuły, lecz nic nie mówi o takich transportach, jako o czymś stałym i regularnym. Rzecz jasna, że kombinacja, oparta na wyzyskaniu wspólnej z romansowym porucznikiem wycieczki za kordon, może się nie powtórzyć, tym bardziej, gdy za pośredników używać trzeba, chociaż i lekkomyślnych, lecz tchórzliwych kuzynków. Potrzeby partii nie mogą być zadowalane przez takie wypadkowe, niezorganizowane kombinacje przejezdnych towarzyszów. Musi ona mieć porządne, że je tak nazwę, biura transportowo-ekspedycyjne, działające stale, nie sporadycznie.

Każdy łatwo zrozumie, że pierwszym warunkiem istnienia takiego biura jest zamieszkanie na stałe przez jakiegokolwiek towarzysza pogranicza państwa. Już ta jedna okoliczność stwarza niemałe trudności do pokonania.

Całe pogranicze, z wyjątkiem paru punktów, jak Zagłębie Dąbrowskie lub Kalisz, jest to kraj rolniczy, odcięty najczęściej w dodatku przez politykę kolejową Rosji od reszty kraju. Wyszukanie więc odpowiedniego towarzysza wśród mieszkańców pogranicza, gdy się zważy, że wszystkie żywsze miejscowości obciążone są wzmocnionym odpowiednio dozorem celnym i policyjnym, nie jest łatwe. Osadzenie zaś umyślne którego z odpowiednich towarzyszy przedstawia te trudności, że w takich, przeważnie głuchych, zakątkach trudno o zajęcie, dające legalny i zrozumiały dla wszystkich pozór zamieszkania.

Dopiero po przezwyciężeniu tej pierwszej przeszkody, nad którą ludzie nieraz łamią sobie głowy miesiącami, o ile szczęśliwy wypadek nie nasunie odpowiednich kombinacji, można przystąpić do interesu. Naturalnie, trzeba dać czas takiemu towarzyszowi rozpatrzyć się w otoczeniu, zbadać grunt i teren, na którym będzie pracował. Jeśli człowiek jest tym, co w Warszawie nazywają «cwaniak», to jest sprytny i obrotny, to

w krótkim przeciągu czasu dostrzeże mnóstwo okazyj, przy których można to lub owo zrobić dla interesu: przenieść bezpiecznie bibułę przez granicę, wywieść ją z pasa pogranicznego bez osobliwego narażania się na wsypę, zużytkować kogokolwiek z otoczenia do takiej lub innej pomocy przy prowadzeniu interesu itd. Po pewnym czasie i przy sprzyjających okolicznościach wytworzy się z pewnością jakiś system i kolejność w zużytkowywaniu różnych kombinacji, powtarzających się od czasu do czasu, lecz zbyt rzadkich, by tylko na jednej z nich opierać cały interes.

Jednym z takich idealnych transporciarzy był towarzysz X. [1]). Specjalnie w celu urządzenia drogi dla wydawnictw nielegalnych przyjął on drobną posadę w jakiejś fabryczce pogranicznej. Miał on szczególny dar zjednywania sobie ludzi i przywiązywania ich do siebie, a dzięki sprytowi wkrótce był na pograniczu, jak u siebie w domu. Znał wszystkie tajniki graniczne, wszystkie stosunki, łączące ludzi pomiędzy sobą, i raz po raz w głuchym i mało zaludnionym zakątku potrafiał sobie zdobyć pomocnika lub pomocnicę w niebezpiecznym procederze. Gdy sobie wybrał kogo do pomocy, oplątywał go powoli siecią drobnych usług i grzeczności, zobowiązywał dobrocią serca, gdyż się do takich pomocników zupełnie szczerze przywiązywał. Wciągał do interesu powoli i stopniowo, nie odkrywając na razie wszystkich swych kart, tak, że gdy «ofiara», jak takich ludzi żartobliwie nazywał, spostrzegła się, że jest jednym z kółek w jakimś nieznanym jej mechanizmie transportowym, było już późno — była zbyt oplątana misterną siecią i najczęściej poddawała się losowi.

Zresztą, wykorzystał on całe otoczenie. Jeden nieświadomie zupełnie służył mu dla wyrobienia dobrej opinii wśród zielonych i u władzy, drugi bezwiednie dał się naciągnąć w chwili odpowiedniej dla osłonięcia transportu przy przejściu granicy lub kordonu, trzeci pod pozorem prezentu zawiózł do najbliższego miasta trochę bibuły, czwarty, nakręcony przez niego, dowiedział się o tej lub innej tajemnicy urzędowej — i tak bez końca. Myśl miał wiecznie wytężoną w celu zwiększenia wydajności swej pracy i osłony swej roboty mrówczej przed niepożądanym wzrokiem argusowym nie tylko zielonych, żandarmów lub policji, lecz i plotkarzy małomiasteczkowych.

Najkomiczniejszą jego «ofiarą» był tłusty oberżysta za-

[1]) Aleksander Sulkiewicz. Tu prawda została pomieszana ze zmyśleniem co do warunków, w jakich pracował Sulkiewicz, który był urzędnikiem komory celnej, nie zaś fabryczki pogranicznej.

kordonowy, który mu służył jako pośrednik przy otrzymywaniu bibuły z zagranicznych składów. Na razie, skaptowany jakimś drobnym prezencikiem, proszony był o wypisanie paru posyłek na swoje imię — nie książek, broń Boże, lecz jakiejś zwyczajnej kontrabandy. Przyzwyczajony do tego rodzaju transakcji przez wielu mieszkańców pogranicza, zgodził się na to chętnie. Naturalnie, zamiast jakiegoś sukienka czy serwisu, przyszła bibuła, odpowiednio opakowana, z miasta, odpowiadającego tego rodzaju towarom.

Po kilku tygodniach nastąpiła nowa posyłka, na którą oberżysta zgodził się tym chętniej, że nasz towarzysz ułatwił mu przez swe stosunki kilka drobnych interesów na komorze rosyjskiej. Posyłki wkrótce zaczęły przychodzić coraz częściej, lecz oberżysta, widząc naszego towarzysza zawsze uśmiechniętego i pewnego siebie, oraz wiedząc dobrze, że mnóstwo rozmaitych towarów w ten sposób przechodzi granicę, zacierał tylko ręce, gdyż towarzysz nasz chętnie pomagał mu w tych interesach, jakie «ofiara» miała na pograniczu rosyjskim.

Wkrótce jednak twarz oberżysty ogromnie się wydłużyła. Wypadkowo zoczył on, że tym towarem, dla którego użyczał swego pośrednictwa, była bibuła. Słyszał on o ruchu rewolucyjnym w Rosji, dochodziły doń przesadne wieści o okrutnych prześladowaniach, torturach i męczarniach, jakim podlegają wrogowie «porządku politycznego i społecznego» w Rosji, a zarazem miał wysokie pojęcie o potędze cara, który, zdaniem jego, mógł marnego oberżystę nadgranicznego zupełnie łatwo chwycić z obcego państwa, by wywrzeć na nim zemstę za knowania przeciwpaństwowe. W ogromnym więc strachu zrobił gorzką wymówkę naszemu towarzyszowi za takie narażanie «przyjaciela» i stanowczo odmówił pomocy swej nadal.

Towarzysz nasz nie dał się jednak zbić z tropu. Stosunek jego z oberżystą, gospodarzem miejsca na wpół publicznego, wydawał mu się bardzo wygodnym, bardziej zabezpieczającym transporty, niż jaki inny, tym bardziej, że handlowe interesy «ofiary» dawały doskonały pozór dla wielkiej ilości posyłek, nadchodzących do oberży. Postanowił więc wykorzystać strach swej «ofiary», by ją przykuć do taczki na dłużej.

Przedstawił więc mu, że jego częste stosunki z «przyjacielem» nie są tajemnicą dla nikogo, że w razie odmowy jego będzie zmuszony urządzać interes inaczej, mniej pewnie, mniej bezpiecznie i prawdopodobnie się wsypie, a wówczas, naturalnie, stosunki dwóch «przyjaciół» nabiorą w oczach żandarmów rosyjskich innego znaczenia, wówczas dopiero grozić mu będzie prawdziwe niebezpieczeństwo.

Po długich targach biedna «ofiara» dała się przekonać, tym bardziej, że na poparcie tych argumentów otrzymała w prezencie piękny zegarek. Prosił tylko, by posyłki były mniej częste. Odtąd co miesiąc lub częściej biedny oberżysta ponawiał usiłowania wyrwania się z sieci i za każdym razem cofał się. Żył w wiecznym strachu, osobliwie, gdy leżało u niego więcej bibuły lub na granicy było nieco niespokojnie, drżał, gdy do jego oberży wsuwał się który z zielonych lub innych urzędników rosyjskich. Dla uspokojenia «przyjaciela» towarzysz nasz musiał znosić najrozmaitsze jego kaprysy — musiał się zgadzać na różne głupie kombinacje, którymi biedny oberżysta starał się zabezpieczyć siebie i «przyjaciela». Miał więc określone godziny, kiedy się mógł zgłaszać do oberży, musiał często zmieniać sposób opakowania bibuły, sprawić jakąś nadzwyczajną szafę z podwójnymi ściankami, jako schowanka bibuły itd.

Pomiędzy innymi oberżysta ogromnie się wystrzegał, by ktokolwiek nie zobaczył naszego towarzysza w prywatnym jego mieszkaniu. Razu pewnego wynikła z tego powodu zabawna scena. Po milionach ostrożności, przysłanianiu okien, wciskaniu towarzysza X. do kąta w każdej chwili, gdy kto przechodził przed oknami mieszkania, oberżysta pozwolił wreszcie zajrzeć do tajemniczej szafy, gdzie był wpakowany świeży transport bibuły. Nieszczęście chciało, że gdy towarzysz nasz był zajęty segregowaniem bibuły i pakowaniem jej w odpowiedni dla przeniesienia przez granicę sposób, a oberżysta biegał po pokoju, na palcach podchodząc od jednego okna do drugiego, przy drzwiach rozległy się kroki i skrzypnęła klamka. Nim się nasz towarzysz obejrzał, barczysty oberżysta schwycił go za kołnierz, położył go na podłodze, przykrył go jakimś ubraniem i zatrzasnął szafę.

Jak się okazało, do pokoju weszła bratowa oberżysty, która miała jakiś interes do niego. Wystraszony mimowolny rewolucjonista nie mógł od razu zrozumieć, o co bratowej chodzi, i czynił rozpaczliwe wysiłki, by zasłonić swym ciałem miejsce, gdzie leżał nasz towarzysz, którego nieprzykryta noga sterczała spod płachty. Wreszcie, widząc, że wszelkie usiłowania są daremnymi i że bratowa uparcie patrzy na ową nieszczęśliwą nogę, podskoczył do zdziwionej kobiety i wyrzucił ją za drzwi. Po tym wypadku oberżysta był w rozpaczy, tym bardziej, że nasz towarzysz zgromił go ostro za takie zachowanie się, które więcej, niż co innego, zwrócić może uwagę otoczenia na ich stosunek. Lecz oberżysta uspokoił się nieco dopiero wtedy, gdy jakąś dziwaczną kotarą odgrodził kąt w po-

koju i umieścił w nim szafę z bibułą. Nasz towarzysz natychmiast po wejściu do pokoju był wpychany za kotarę, gdzie w mroku i ciasnocie mógł już gospodarzyć swobodniej.

Po dwóch latach takiej niewoli oberżysta nie wytrzymał tej katorgi i porzucił swą oberżę. Wyniósł się do spokojniejszych stron, w głąb kraju, lecz przez cały ten czas oddał nieobliczone usługi wrogom caratu.

Inna «ofiara» naszego towarzysza, już więcej świadoma i zdająca sobie sprawę z tego, co czyni, była żoną jednego z urzędników komorowych w tej okolicy.

Pani Z* pochodziła z niemieckiej, spolszczonej już rodziny i jako guwernantka w bogatym urzędniczym domu, wyszła za mąż za krewnego swego pryncypała, Rosjanina i urzędnika celnego. Pan Z* [1]), gdy go los zetknął na polskiej ziemi z naszym towarzyszem, był już zupełną ruiną człowieka. Wyniszczyły go zupełnie choroby — skutki hulaszczego życia w młodości. Może był niegdyś niegłupim, lecz w owym czasie był to zidiociały szkielet człowieka, który z ludzkich funkcji zachował bodaj tylko zdolność trawienia i leniwego poruszania się z miejsca na miejsce. Trzymano go na urzędzie jedynie dlatego, że ze względu na krewnego, wysokiego urzędnika w Petersburgu, chciano mu pozwolić na wysłużenie emerytury. Małżeństwo miało córkę kilkunastoletnią, która się kształciła w jakimś zakładzie naukowym w Warszawie.

Pani Z*, związana z człowiekiem pół-trupem, zdala od córki, do której była przywiązana całym sercem, nie znajdowała w swym otoczeniu, składającym się z nieokrzesanych, często pijanych urzędników, nic takiego, coby mogło zapełnić jako tako jej życie. W tym czasie przybył w owe okolice towarzysz X. Znajomość zawiązała się wypadkowo. Towarzysz X. wyjeżdżał w interesie fabryki do Warszawy i był proszony o dostarczenie córce państwa Z* prezenciku od rodziców. Wrócił z listem córki i znajomość została zawarta. Po pewnym czasie nasz towarzysz zdecydował się na zużytkowanie dla sprawy tej nowej znajomości.

Na razie powiedział pani Z*, że jakiś znajomy z Warszawy prosił go o dostarczenie mu kilku książek niecenzuralnych, a że w jego kawalerskim mieszkaniu mogły wpaść one w oko komuś ze służby, prosił o przechowanie książek do czasu oddania ich w należyte ręce. Gdy pani Z* się zgodziła, przyniósł jej kilka, specjalnie w tym celu wypisanych, tomików poezji polskich i parę książek historycznych. Było to zrobione, natu-

[1]) Z* — Witte, daleki krewny ministra Witte'go.

ralnie, w celu oswojenia «ofiary» z nielegalną książką i wysondowania, czy nie wywoła to strachu. Pani Z* okazała się odważną i nie tylko przechowała książki, lecz i przeczytała je. Wkrótce, jak i u owego oberżysty, liczba książek, przechowywanych u pani Z*, zaczęła wzrastać, treść ich zaczęła nabierać określeńszej barwy, a gdy to nie zrażało pani Z*, towarzysz nasz nareszcie zwierzył się jej, że należy do organizacji, walczącej z rządem carskim, i zaproponował jej od czasu do czasu pomagać mu w robocie.

Dla pani Z* znajomość z naszym towarzyszem oraz interesy z bibułą były zapełnieniem przerażającej pustki życiowej, a zresztą czuła ona pewnego rodzaju litość dla sympatycznego chłopca, który dla idei narażał się na widoczne niebezpieczeństwo. Zgodziła się więc na propozycję i oddała swe mieszkanie oraz swoje siły na usługi naszemu towarzyszowi. Dla niego pomoc ta była bardzo cenną. Mieszkanie państwa Z* znajdowało się w dużym murowanym domu, gdzie się mieściło kilka rodzin urzędniczych, więc samo miejsce było swego rodzaju tabu dla zielonych, a w dodatku towarzysz X. mógł używać nieraz pomocy pani Z*, a przez nią i jej męża, dla osłony poważniejszych transportów w głąb kraju.

Jeden z towarzyszów, który brał udział w przewiezieniu takiego poważniejszego transportu, opisywał swoje przejścia w tym wypadku w następujący sposób.

* * *

— Miałem przywieźć do Warszawy świeży numer «Przedświtu», mniej więcej dwa pudy bibuły. W tym celu musiałem jechać do miasteczka, oddalonego od granicy o kilka mil, gdzie towarzysz X. miał mi oddać już przetransportowany «Przedświt». Randka miała nastąpić u jakiegoś znajomego X. Przyjechałem szczęśliwie, zastałem X., lecz bibuły nie było.

— Nie przywiozłem nic — oświadczył mi X., — bo mam na myśli coś większego. Dzisiaj pod wieczór oczekuję czcionek dla naszej drukarni, więc dobrze byłoby, gdybyś zabrał wszystko od razu — czcionki i «Przedświt».

— Ależ do diabła! — zaprotestowałem, — cóż ty mnie chcesz obładować, jak osła! Dwa pudy bibuły, a tego metalu tyleż, czy więcej. Jak, u licha, ja to powiozę?

— Już ty się nie bój, — śmiał się X., — już ja ci to urządzę, obmyśliłem już wszystko. Tylko śpieszmy. Mamy kilka godzin czasu do przyjścia transportu, a wtedy muszę być w domu. Jazda, brachu!

Jak jazda, to jazda! Ruszyliśmy, konie były już przygotowane. W drodze X. zasypywał mnie pytaniami o znajomych towarzyszach, o robocie partyjnej.

— Ach, mój drogi! — powtarzał raz po raz, — dla mnie przyjazd każdego z was to bal prawdziwy. Siedzę tutaj, jak na wyspie bezludnej, ani do kogo porządnie przemówić, ani wiem, co się tam u was dzieje. Licho bierz takie życie!

I z wielkiego rozczulenia ściskał mi ręką kolano.

— Wam tam wesoło — prawił, — macie życie, ruch, a tu br!... wiecznie albo kłamiesz, albo kogoś na coś naciągasz. Nie masz wyobrażenia, — ciągnął dalej, zapalając się w skardze, — ile ja tu o każdego z was się niepokoję. Wciąż myślę — a może tego lub owego już nie ma? Wy tam z ludźmi macie do czynienia, to tego nie rozumiecie. Oj! wyłby każdy z was na moim miejscu, wył. Bibuła, nuda i wieczna komedia! Ale, pal licho! — otrząsał się z melancholii, — cóż tam słychać z «Robotnikiem»? Przywiozłeś mi może świeży numer?

I znowu, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, z imienia na imię, wyciągał ze mnie wszystkie nowiny partyjne. Przy tem od czasu do czasu, wyjmując z kieszeni zegarek, mruczał: «Hm, hm, czy zdążę?»

Wreszcie zdala zabielały mury kościoła w miasteczku pogranicznym, a w pobliżu przy skręcie drogi ukazały się czarne ściany kordonu z zielonym wojakiem na warcie. Trochę w bok od miasteczka ukazał się malutki komin fabryczny, oddzielony od zabudowań miejskich wąskim strumieniem. Była to siedziba towarzysza X.

— Słuchaj! — zawołał nagle X. — przyszło mi na myśl, że lepiej będzie, gdy nas razem nie będą widzieć w miasteczku. Kto wie, co będzie, może transport z czcionkami nie przejdzie szczęśliwie, może przemytnika złapią, może wyśpiewa od razu, że niósł mnie, po co i ty masz być w to zamieszany. Nie, nie chcę tego! Urządzimy tak. Ja zajadę do miasteczka... Nie, lepiej ty jedź do miasteczka, zapłać woźnicy zaraz w początku zabudowań, tam będzie uliczka na lewo, raczej droga... o, widzisz, stąd ją widać, — prowadzi do fabryki. A może jeszcze lepiej — jedź od razu do pani Z*, to dla ciebie najbezpieczniej. Co? Ale dla niej niewygodnie, będzie potem musiała kłamać przed ludźmi i ja jej nie uprzedzałem, że ktoś u niej być może...

I kręcił się niespokojnie na wozie, mrucząc: «może lepiej nie zaczepiać? co?» — pytał sam siebie. Widocznie tłoczyły mu się w głowie kombinacje w takiej ilości, że nie mógł się zatrzymać na żadnej z nich.

— Jak myślisz? — pytał. — Najlepiej chyba będzie jechać razem, jeszcze nie dasz sobie rady, zabłądzisz...

— Ależ daj spokój! — przerwałem, — widzę przecie tę drogę, o której mówisz, opowiedz więc, co mam dalej robić. Do pani Z* w istocie zajeżdżać niezręcznie.

— Tak mówisz! — uspakajał się X., który poczuwał się widocznie do obowiązku opiekowania się przyjezdnymi towarzyszami. — Tak mówisz! no, to dobrze. Jedziesz do miasteczka, płacisz woźnicy, a nie dawaj mu tylko dużego napiwku, tak 10 kopiejek, to dosyć. Jeszcze gotów pomyśleć, że jakaś sprawa nieczysta! Idź tą drogą na lewo, trafisz wprost do fabryki. Tam wal przez bramę na podwórze, nikt cię zatrzymywać nie będzie, a i robota dziś w sobotę już się skończyła. Na lewo będą dwa domki, jeden piętrowy, drugi z facjatką, więc do tego z facjatką, na schody i na strychu na lewo, tam mieszka N. N., idź do niego.

— Nie do ciebie? Czemu?

— Już ty mnie słuchaj! — mówił prosząco, — tak lepiej, bo widzisz, a nuż co się zdarzy. Tam dadzą ci herbaty i zjeść cokolwiek, już go uprzedziłem.

— Cóż to za małpa ten N. N.? Jak z nim mam mówić?

— Małpa głupia, jak stołowe nogi, ale poczciwa. Gadaj najlepiej o płci pięknej. Pytać cię o nic nie będzie. No, więc trafisz? Co? Pamiętaj zaraz w miasteczku droga na lewo do fabryki, tam drugi dom z facjatą.

— Dobrze, dobrze, rozumiem — uspakajałem go. — A ty tam przyjdziesz? Kiedy?

— Już cię nie opuszczę, nie zje cię małpa. Aha, N. N. wie o mnie, ale to nic, on złoty chłopiec. No, na mnie pora, stąd dojdę pieszo. Stój! — zawołał na woźnicę.

Konie stanęły, X. wysiadł, ścisnąwszy mi czule rękę i patrząc mi w oczy tak, jak gdyby za chwilę jeden z nas miał być powieszony. Gdy odjechałem parę kroków, usłyszałem wołanie: «Zaczekaj, stój!». X. znowu dopadł do wozu i szeptał mi do ucha:

— Ale, słuchaj, w razie, gdyby cię jaki strażnik lub żandarm zapytał, kto ty i poco — to się zdarza — powiedz odrazu, że do mnie. Dobrze? Bo, widzisz, najlepiej byłoby, najbezpieczniej dla ciebie powiedzieć, że do pani Z*, to dobra marka. Ale kto wie, jak dalej będzie? Po co mamy bez potrzeby wciągać panią Z*? Co?

Zgodziłem się i na to, jeszcze raz uściskaliśmy się i ruszyliśmy w różne strony. Przy wjeździe do miasteczka zatrzymałem woźnicę, opłaciłem go i poszedłem według wskazó-

wek X. do fabryki. Nikt mnie nie zatrzymywał, spotkałem na drodze tylko konnego zielonego, który nie zwrócił nawet na mnie uwagi. Po chwili byłem już koło domu z facjatką. W dosyć ciemnej sieni znalazłem schody, prowadzące na strych. Schody były strome, karkołomne, bez poręczy. Wdrapałem się na strych i, po omacku już idąc, na lewo znalazłem jakieś drzwi. Zapukałem. Otworzyła mi drzwi jakaś senna, pulchna figura, która na zapytanie, czy z panem N. N. mam do czynienia, zaprosiła mnie do pokoiku.

— Proszę, proszę, panie dobrodzieju, — flegmatycznie cedziła figura. — Pan X. mię uprzedzał, a jakże. Proszę, czekam z herbatką, niech pan siada.

Usiadłem. W pokoju było duszno, w nosie nieprzyjemnie łechtało od zapachu jakiejś strasznie taniej i strasznie obskurnej perfumy. Na ścianach były poprzybijane korespondentki i obrazki, przedstawiające przeważnie na pół lub zupełnie rozebrane niewiasty w różnych pozach. Na komodzie rozłożony był cały arsenał grzebyków, szczoteczek, mydełek i flakoników. Sam zaś gospodarz, był to wyblakły, pucołowaty blondynek, o sennych oczach i flegmatycznych ruchach, z głupkowatym, nieco zażenowanym uśmieszkiem.

— Co, u diabła, za konspiracje może mieć X. z taką małpą? — myślałem.

N. N. nalał mi herbaty, podał mi chleb, masło i jakąś przestarzałą wędlinę i czekał cierpliwie na rozpoczęcie rozmowy, nie pytając mię o nic.

Próbowałem nawiązać rozmowę z różnych beczek; rozpytałem dokładnie mego gospodarza o warunkach pracy na fabryce, o cenach na produkty spożywcze, o przestrzeni, dzielącej fabrykę od granicy i od różnych miejsc zamieszkanych w okolicy. Na wszystkie pytania otrzymywałem jednosylabowe, monotonnym głosem wyrzeczone odpowiedzi. Wreszcie zabrakło mi tematu. Zamilkłem. Milczał i gospodarz. Na szczęście przypomniałem sobie radę X. — gadaj o płci pięknej.

— Pan był w Warszawie? Nieprawdaż? Zauważył pan zapewne, że w Warszawie dużo ładnych niewiast?

Gospodarz ożywił się nieco. Westchnął, jak wieloryb, a na twarzy zakwitł uśmiech błogi.

— Co pan mówi — ładne... co to jest ładne? Piękne, powiadam panu, piękne! Przecie to nasza sława!

Rozmowa odtąd nie urywała się. N. N. mówił dużo i z zapałem. Słuchałem pół-uchem, wciąż pytając siebie, jak ten wioskowy Don Juan mógł się stać pomocnikiem naszej sprawy.

Wreszcie nie wytrzymałem i spytałem, przerywając jego dowodzenie o wyższości warszawianek nad krakowiankami.

— Pan dawno zna pana X.?

— Ja? — odpowiedział pytaniem. — Czy dawno? Nie, pół roku temu. O! to bardzo porządny, bardzo dobry człowiek! — mówił z przekonaniem. — Takich ludzi niewiele na świecie. Pan może sądzi, że ja nie czuję? Nie, ja czuję!

Co właściwie czuł pan N. N., tego mi nie wyjaśnił, widocznym jednak było, że czuł w istocie, bo twarz mu się zmieniła i jak gdyby nabrała pewnego razu.

Nagle do pokoju wpadł sam X. Rzucił kapelusz na łóżko, zajrzał nie wiem już po co, do kątów i wreszcie siadł koło mnie.

— Pijesz herbatę, — mówił wesoło, kładąc mi rękę na ramieniu. — Cóż, zmęczony jesteś? Możebyś zdrzemnął? Czeka nas jeszcze dziś wieczorem praca.

Wstał znowu, przewrócił parę gratów na stole i klepiąc dobrotliwie po ramieniu gospodarza, mówił:

— Pewnie o kobietach rozprawialiście, co? Oj! panie N. N., zgubią pana kiedyś te kobiety! A co słuchać tu u nas?

— Stare dzieje, panie dobrodzieju, stare! — mówił znowu flegmatycznie gospodarz. — Pan wie, przyjechał znowu brat pana dyrektora.

— Nie wie pan, po co? — zapytał żywo X.

— Ma jakoby jechać na kilka dni do Krakowa, a potem wraca do Warszawy.

X. zamyślił się, parę razy przeszedł wzdłuż pokoju i wreszcie rzekł:

— Może mu co wsunąć, gdy będzie wracał? Powiem mu, że to prezent dla córeczki pani Z* — szeptał mi do ucha. — Ty zajdziesz do niego, mieszka na Marszałkowskiej, przedstawisz się, jako krewny pani Z*, i odbierzesz. Co? On człowiek dyskretny, nie otworzy pakunku... Nie, nie, to na nic! Ty możesz nie być w tym czasie w Warszawie, posyłka będzie u niego leżała długo. Jeszcze gotów sam zanieść na pensję. Ładny byłby obrazek, zamiast prezentu — bibuła! To na nic!

Zamyślił się znowu.

— Ale prawda, zapomniałem, żeś mi przywiózł «Robotnika» i listy zagraniczne. Po co będę tym obciążał swego pośrednika? Ten pan jedzie do Krakowa, niech zawiezie tam. Dam mu adres. Jak sądzisz, — zwrócił się do mnie, — czy można mu dać adres? — wymienił mi nazwisko jednego z towarzyszów krakowskich. — Znajdzie może «Naprzód» u niego na stole i gotów posądzić kogo z nas o socjalizm. Lepiej zapy-

tam, gdzie się zatrzyma w Krakowie i napiszę do faceta, by zaszedł i odebrał. Tak będzie nawet grzeczniej, nie będę go fatygował. Tak zrobię! Ot, jeszcze jeden interes będzie załatwiony!

Gospodarz, widząc, że X. coś mi szepce do ucha, dyskretnie się usunął na bok.

— Ja mam malutki interes do załatwienia — mówił, biorąc czapkę. — Zostawię tu panów. Do widzenia!

— Nie, nie, panie. Niech pan zaczeka — zaprotestował X. — Jeszcze pół godzinki i ja pana uwolnię. Już wieczór się zbliża.

Odciągnął mnie w kąt i zniżonym głosem mówił:

— Widziałem swego przemytnika, przeniósł już w nocy czcionki, lecz zdawało mu się, że jest za nim pogoń, zakopał więc pudełka w krzakach. Dzisiaj o zmroku ma to mi przynieść. Muszę czekać na niego, ale na wszelki wypadek ty posiedź tu chwilę jeszcze, a w razie, gdybym za godzinę nie wrócił, idź z N. N. do miasteczka i już bez ceremonii wal do pani Z*. Każdy w miasteczku wskaże, gdzie ona. Z nią się już umawiaj o dalsze sprawy, tylko tu nie wracaj, bo, w razie mojej wsypy, mogą zaczepić i N. N. No, bywaj!

Ścisnął mi mocno rękę, patrząc na mnie znowu tak, jak gdybyśmy się rozstawali na zawsze albo na bardzo długo.

Wyszedł, a N. N., odprowadziwszy go do drzwi, wrócił, mrucząc:

— Biedny człowiek, nigdy spokoju, ani chwili spokoju!

Nie chciało mi się rozpoczynać raz jeszcze «kwestii kobiecej», milczałem więc, patrząc w okno, przez które widać było gasnącą zwolna wieczorną zorzę.

Było mi trochę smutno. Nie dręczyły mię, co prawda, żadne złe przeczucia. Wiedziałem dobrze, że dzielnemu X. tyle już przedsięwzięć się udało, iż nie było żadnej racji oczekiwać, by za tym razem powinęła mu się noga. Ale... kto wie, może za chwilę, gdy ja tu będę jeszcze spokojnie siedział, tam, wśród tej miłej i cichej przyrody, przy tej pogodnie gasnącej zorzy, rozegra się jeden z dramatów granicznych, które przecież kończą się nieraz śmiercią.

Czas wlókł się leniwie, niecierpliwość moja wzrastała. Spojrzałem na zegarek — minęło zaledwie 20 minut od rozstania się z X. Więc jeszcze 40 minut czekania.

N. N. siedział na łóżku i zdawał się wsłuchiwać w wieczorną ciszę. Po pewnym czasie prawie wesoło zawołał:

— Idzie! panie dobrodzieju, idzie!

W istocie usłyszałem pod oknem ciężkie kroki i lekkie

gwizdnięcie. Później słychać było krótką, urywaną rozmowę szeptem, odmykanie i zamykanie okna, wreszcie kroki zaczęły się oddalać.

— No, gotowe! — zawołał po chwili X., wpadając do pokoju i zacierając ręce. — Teraz chodź do mnie — mówił, ciągnąc mnie za rękaw. — Teraz i pan wolny — dodał, zwracając się do pana N. N.

Zeszliśmy znowu po karkołomnych schodach na dół i X. wprowadził mię do swego pokoju na parterze, pod pokoikiem N. N. na facjatce.

Pokój był nieduży, bardzo skromnie umeblowany. Stół przy oknie, na nim trochę rozrzuconych papierów i rachunków fabrycznych, łóżko po jednej stronie stołu, po drugiej kanapka, kilka krzeseł — oto całe umeblowanie.

Gdyśmy weszli, w pokoju było ciemno. X. natychmiast zamknął za sobą drzwi na klucz, spuścił gęstą roletę i zapalił lampę. Na łóżku leżały dwa drewniane pudełka.

— Spróbuj podnieść. Oj, ciężkie cukierki! — żartował wesoło.

Były to czcionki, któreśmy wypisali dla dopełnienia inwentarza swej drukarni.

— Trzeba pudełka rozbić, przeniesiemy do pani Z* czcionki w kieszeni. Do pracy! A ciekaw jestem, czy przysłali ozdóbki. Prosiłem o to Londyn specjalnym listem.

Ozdóbki w pudełku się znalazły, z czego X. cieszył się, jak dziecko.

— Będzie chłopcom w drukarni niespodzianka! Ale — żachnął się nagle — przeglądałem wasze zamówienia bibuły. Nie rozumiem, czemu wypisujecie tak mało; np. tak poczytnej broszury, jak «Ojciec Szymon», tylko 300. Przecie to wam wystarczy tylko na miesiąc, dobrze — jeśli na dwa. Nie, mój drogi, wybacz, ale ja wasz obstalunek przerobię.

— Ależ — protestowałem — nie przebieraj miarki, po co wypisywać za dużo, żeby bibuła nam była kulą u nogi.

— Et, gadanie! — oburzył się X., — nie możecie jej trzymać u siebie, to niech leży u mnie. U pani Z* mam wspaniały skład, mógłbym tam cały londyński skład wpakować. Zobaczysz! Jak sobie chcesz, a do waszego obstalunku coś niecoś dopiszę. Ale my tu gadu, gadu, a już iść trzeba, już pół do dziesiątej. O tej porze pan Z* spać się kładzie. Śpieszmy!

Czcionki leżały na łóżku w kolumnach, zawiniętych w gruby papier. Było tego na wagę do trzech pudów. Wsuwaliśmy kolumny do kieszeni spodni, kurtki i paltotu. Ciężar czcionek odrazu ściągnął ubranie ku ziemi, poczułem pewną

niezręczność i brak swobody swych członków przy takim opakowaniu siebie.

— Czy daleko iść mamy? — zapytałem.

— A co? może ci za ciężko, daj mi jedną kolumnę. Ja do tego rodzaju spacerów jestem już przyzwyczajony. Będziemy szli jakie pół wiorsty.

Nie zgodziłem się jednak na dodatkowe obciążanie przyjaciela, który tym czasem, świecąc sobie lampą, oglądał uważnie łóżko i podłogę koło stołu.

— Zgubiłeś co? — pytałem. — Trudno ci będzie nachylać się, znajdziesz potem, po powrocie.

— Nic nie zgubiłem, — odparł, — ale na wszelki wypadek oglądam, czy co się z pudełek nie wysypało. O! widzisz, trzeba zabrać deseczki od pudełek. U mnie one zwrócą uwagę stróża, zaniosę je pani Z*, spali je w kuchni.

Rzucił raz jeszcze badawcze spojrzenie na pokój i zgasił lampę.

— Idźmy! — rzekł. — Trzymaj się mnie; na dworze ciemno, a będziemy szli wąską ścieżką i kładką nad strumykiem.

W istocie było ciemno, lecz mój przewodnik znał widocznie doskonale drogę. Szedł krokiem pewnym, od czasu do czasu ostrzegając mnie, bym nie zawadził o co. Gdyśmy wyszli z pomiędzy zabudowań fabrycznych i zdala zamigotały światełka miasteczka, mój przyjaciel zwrócił się do mnie:

— Słuchaj, tu zapal papierosa i rozmawiajmy głośno, jak ludzie, co nie mają powodu ukrywać się. Ten kawałek drogi do miasteczka niezupełnie bezpieczny. Zieloni tu się włóczą często. Mnie raz zatrzymali przy kładce, widocznie oczekiwali kontrabandy owej nocy. No, ale mnie znają tu, więc żołnierz, poznawszy mnie, puścił, a miałem przy sobie prawie pud bibuły.

Według wskazówek towarzysza szliśmy, gawędząc głośno, nawet hałaśliwie. Rozmawialiśmy, naturalnie, o rzeczach postronnych. Droga była uciążliwa, czcionki obciągały odzienie, szelki wpijały się w ciało, pakunki w kieszeniach od palta biły po biodrach, na nierównej ścieżce, pomimo ostrzeżeń przewodnika, raz po raz wpadałem na pień lub kamień. Odetchnąłem więc lżej, gdy, zlany potem, wszedłem za moim przewodnikiem w wąską uliczkę miasteczka, — byliśmy prawie u celu.

— U pani Z* świeci się — mówił X., wskazując na okno na pierwszym piętrze, z którego płynął łagodny blask na uliczkę. Chwała Bogu, pan Z* już się położył. Bylibyśmy zmuszeni w przeciwnym razie chodzić tu i czekać. Raz, tak obładowany, czekałem pół godziny, myślałem, że mię diabli wezmą.

— Czemu nie wchodzisz przy nim, przecież go znasz?

— A bibuła, która ci zewsząd sterczy, a służąca, która, nim się pan nie położy, nie usunie się z mieszkania! No, teraz cicho, możliwie cicho! — szepnął mi, wchodząc na schody. — Nie stukaj butami!

To drapanie się na schody, stąpanie na palcach nóg z ciężarem w kieszeniach i ze strachem w duszy, że się skądś wyłoni ktoś z mieszkańców domu, — było chyba najprzykrzejszym przejściem, jakie miałem w życiu. Drewniane schody w dodatku skrzypiały od czasu do czasu. Człowiek by chciał, by w tym czasie grzmiało na dworze, wyła zawierucha i zagłuszała te nieznośne skrzypnięcia.

— Za kogoby nas wzięto, — myślałem, — gdyby tak nas kto zoczył wkradających się, jak złodzieje, do cudzego domu? I ten człowiek przebywa tę drogę kilka razy na tydzień!...

Nareszcie jesteśmy na galeryjce, wiodącej do mieszkań urzędniczych. Czyżby trzeba było po tej galeryjce pod drzwiami się przekradać?

Nie, na szczęście mój towarzysz zatrzymał się przy pierwszych drzwiach i lekko zapukał. Drzwi natychmiast się otworzyły — widocznie nas czekano. U progu stała niemłoda, szczupła blondynka ze smutnym, lecz łagodnym wyrazem twarzy. Palec położyła na ustach i wskazała pokój na lewo. Jak cienie, wsunęliśmy się do pokoju, gdzie mój towarzysz wziął mię za ramię i doprowadził do jakiegoś łóżka. Siedliśmy na nie.

— Jeszcze nie zasnął, — szepnął mi do ucha, — może i służąca jest.

W istocie — usłyszeliśmy kobiece głosy w przedpokoju. Jak tylko drzwi za galeryjką skrzypnęły, mój towarzysz podskoczył, jak piłka, i na palcach nóg szybko podbiegł do drzwi pokoju, — nasłuchiwał, po chwili wrócił do mnie.

— Jeszcze nie — szeptał, — słyszałem, jak pani Z* mówiła, żeby służąca podrzuciła węgli do samowaru — chce gości poczęstować herbatą.

Nareszcie po kwadransie siedzenia w ciemnym pokoju ujrzeliśmy panią Z*, która z lampą w ręku weszła do nas.

— Oswobodzę już panów z niewoli — mówiła z uśmiechem, podając rękę memu przyjacielowi.

— Towarzysz z Warszawy — przedstawił mię X.

— Proszę na herbatę, pewnieście zmęczeni.

Chcieliśmy się wymówić, lecz wreszcie ustąpiliśmy gospodyni. W następnym pokoju na stole szumiał samowar, stały szklanki, talerze i przekąska.

Jedliśmy i piliśmy w milczeniu; drzwi do dalszego pokoju były otwarte. Stamtąd od czasu do czasu dawało się słyszeć jakieś chrapanie, zgrzytanie zębami, niewyraźne mruczenie. Ani pani Z*, ani mój przyjaciel nie zwracali na to najmniejszej uwagi.

Po kolacji wróciliśmy do pokoju, do któregośmy weszli z przedpokoju. Był to, jak mi wytłumaczył mój towarzysz, pokój córki państwa Z*.

— To mój skład główny — mówił mi X. z dumą. — Spójrz!

Wyjął z kieszeni wiązkę kluczyków i otwierał szuflady komody. Były napełnione bibułą.

— No, teraz pakować! Jutro pojedziesz z panią Z*. Ona jedzie do Warszawy. Ja odprowadzę was do stacji kolejowej. Dla powagi i ochrony weźmiemy z sobą tego kiepskiego wariata, pana Z*. Jego nikt nie ruszy! Tym razem pojedziesz, jak wielki pan, nie jak biedny rewolucjonista, chowający się przed wzrokiem każdego ugwiażdżonego durnia moskiewskiego. Ale za to zabierzesz niemało. Wpakuję ci oprócz «Przedświtu» i czcionek jeszcze pudzik bibuły agitacyjnej. Zgoda? Przecie tej brak wam zawsze.

Wysunął na środek kosz i parę waliz. Składaliśmy w nie książki, czcionki położyliśmy na sam spód kosza. Szuflady w komodzie powoli wypróżniały się. Mój towarzysz zacierał ręce i mruczał, robiąc od czasu do czasu notatki.

— Sto «Ojca Szymona». No, no! Nic już u mnie nie zostało. A widzisz, że trzeba wypisać pięćset, nie trzysta, jak wy chcecie! Dwadzieścia «W kwestji żydowskiej». Choć Marks pisał, ale rzecz nudna, — wystarczy dwadzieścia. Co?

Kiwnąłem głową na znak zgody.

— Sto «Katolika», — mruczał, biorąc do ręki związaną paczkę broszury «Czy socjalista może być katolikiem». — Słyszałem, że w Radomskim tej broszury wiele idzie. Może dodać ci jeszcze pięćdziesiąt? Taka cieniuchna!

— Dosyć i sto, mamy tego jeszcze na składzie. Czy masz jeszcze «Pańszczyzny?» [1]) Tej nam zabrakło.

— A co! mówię wam zawsze, że za mało wypisujecie. Mam jeszcze u siebie kilkadziesiąt — mówił nieco smutnym tonem, — ale czy to wystarczy?

— Wypisaliśmy już ją na granicę Y-ka. Na razie wystarczy i kilkadziesiąt. Dawaj!

---

[1]) Broszura Michała Luśni (Kazimierza Krauza) «Czy teraz niema pańszczyzny», przeznaczona dla chłopów.

— Et, kiedy to przez Y-ka przejdzie! Wiem, zjedzą tam bibułę myszy, nim stamtąd wyciągniecie. Słuchaj, dodam do obstalunku jeszcze setkę lub dwie «Pańszczyzny». Jak sądzisz?

Nareszcie skończyliśmy. Obejrzałem się po pokoju. Wszędzie było pełno książek, małych i dużych, w różnokolorowych okładkach. Na środku stał kosz, do połowy naładowany temiż książkami, walizki otwarte, lecz pełne bibuły, a nad tym wszystkim schylony człowiek z błogim uśmiechem na ustach. Drzwi do sąsiedniego pokoju były wpół-otwarte i stamtąd dolatywały ciche, lekkie kroki pani Z*, która chodziła po pokoju, i chrapliwe mruczenie śpiącego gospodarza domu. Do tego ja sam, bezimienny towarzysz z Warszawy, gospodarzący w pokoju kilkunastoletniej panny, nieznanej mu wcale.

Dziwaczny ten obrazek z życia ludzi, których związał los i idea, zostanie w mej pamięci na zawsze.

Pożegnaliśmy panią Z* po uprzątnięciu z pokoju rozrzuconych książek. Nazajutrz rano mieliśmy przyjść do niej na śniadanie i zaraz po śniadaniu ruszać w drogę.

Znowu te przeklęte schody, po których schodziliśmy tak samo ostrożnie, jak przed paru godzinami wchodziliśmy na nie. Wyszliśmy na uliczkę i skierowaliśmy się ku fabryce.

— Słuchaj! — rzekłem — ciebie tu prawdopodobnie podejrzywają o romans z panią Z*? Bo jak ludzie sobie wytłumaczyć mogą te częste stosunki twoje z nią, a nie bez tego, żeby cię kto nie widział wkradającego się do niej wieczorami.

— Nie wiem, — odpowiedział zażenowany, — może. Ale cóż ja na to poradzę? U siebie przechowywać bibuły nie mogę. W razie złego wypadku ze mną, zostanie przynajmniej bibuła, już przeciągnięta na tę stronę. Nic na to nie poradzę, — powtórzył. — Pocieszam siebie tym, że za rok najdalej to się skończy, mąż jej otrzyma już emeryturę, no i, naturalnie, wyjadą stąd. Jak ja wówczas urządzę się ze składem, doprawdy nie wiem. Z pewnością nie będzie tak wygodnie.

— Wygodnie! Ależ niech cię pioruny biją, człowieku! Co ty nazywasz wygodnym? Czy nie te skrzypiące schody do pani Z*?

— Schody, jak schody, — odpowiedział z rezygnacją mój towarzysz, — ale bezpieczeństwo bibuły zupełne i względna łatwość wywiezienia jej stąd. Ja nie mogę sobie pozwalać na częste wyjazdy — zwraca to uwagę i mam zresztą służbę. Pani Z* łatwiej to uskutecznia. A oprócz tego pani Z* nie tchórzy i to moja największa wygrana. Wolę iść nocą na trzecie piętro po takich schodach do człowieka, który się nie boi, niż

mieć do czynienia z bałwanem, opanowanym drżączką. Miałem tu takiego idiotę!

— Wyobraź sobie, — mówił z wzrastającym oburzeniem, — co ten bałwan mi urządził!? Trzymam się tej zasady, żeby u siebie bibuły nie mieć. Praca w fabryce i służba w P. P. S. zmusza mnie do częstego wychodzenia z mieszkania, nieraz muszę kogokolwiek z interesantów zostawić u siebie w pokoju. Nawet porządniejszych książek legalnych u siebie nie trzymam, a cóż dopiero bibułę! Nim więc nie urządziłem składu u pani Z*, musiałem rozsyłać pakunki do różnych znajomych. A ten idiota — był to mój krewniaczek, sprowadziłem go nawet umyślnie na praktykanta do fabryki, no i do P. P. S. — wiedział o mojej robocie, okazywał współczucie. Dałem mu dwa czy trzy pakunki do przechowania. Akurat nie było mnie w domu — wyjeżdżałem wówczas do Warszawy — przyjechał tu do miasteczka prokurator z żandarmem. Jak się potem okazało, przyjechali zrobić rewizję u chłopa okolicznego, który gdzieś po pijanemu wyłajał cara. A u mego krewniaczka odrazu wszystkie pchły pozdychały ze strachu. Miał u siebie bibułę, więc był przekonany, że to właśnie dla niego przyjechał żandarm. Opanowała go taka idiotyczna drżączka, że pod wieczór wyniósł pakunki do lasu i zakopał, a ze strachu zapomniał potem, w którym miejscu. Teraz wciąż się boję, że ktokolwiek wypadkiem na bibułę zakopaną natrafi, dojdzie to do władzy i zwrócą uwagę na nasz kąt.

— I wiesz, — dodał ze złością, — ta logika tchórzów! Pytam go, czemu lepiej nie spalił bibuły? Powiada, że był przekonany, iż przyjechali do niego, więc się bał palić, by dym z komina go nie zdradził. Idiota — bał się dymu, a nie bał się wieczorem włóczyć z pakunkami tam, gdzie go jako kontrabandzistę złapaćby mogli.

— Idiota! — powtórzył raz jeszcze X., widocznie nie mogący strawić zawodu, doznanego z powodu krewniaka.

— Myślałem, gdyś zaczynał, — mówiłem mu, — że będziesz mówił o N. N...

— Głupi jest, ale nie tchórz — żywo przerwał mi mój towarzysz. — Nie, nie tchórz.

— Ale powiedz mi, jak się dostałeś do serca tego śmierdzącego perfumą ananasa? Nie przez kobietę przecie?

— Przez kobietę? Nie! — śmiał się X., — ale to jest zacny chłop. Wy tam w stolicy przyzwyczajeni jesteście do ludzi mądrych. Jak wam który nie będzie za panią matką, Marksem, powtarzał pacierza o walce klas i materialistycznym pojmowaniu dziejów, to już dla was jest do niczego. Ja tu przebierać

nie mogę. N. N. o materializmie historycznym nie słyszał nigdy, a gdyby i usłyszał, to go nie zrozumie. Ale wie, że na świecie jest źle, że ludziom krzywda się dzieje. Sam się czuje również pokrzywdzony: raz — jako Polak, dwa — jako najemnik w fabryce. Ojciec jego zginął w powstaniu. A i te kobiety! Sądzisz, że którąkolwiek skrzywdził, uwiódł? Broń Boże! Zabawny człowiek! Tego jestem zupełnie pewny. Względem mnie ma pewne obowiązki. Mnie pan dyrektor trochę ceni i szanuje, a tego biedaka maltretuje; bronię więc go, jak mogę.

Podchodziliśmy już do fabryki. Mój towarzysz był zmęczony i wyczerpany, lecz widocznie był stęskniony do pogawędki z człowiekiem, bliskim mu ideą, związanym z nim wspólnością pracy, — nie chciał się ze mną rozstać.

— Może jesteś zmęczony? — pytał trochę niespokojnie, — jeśli chcesz się wyspać, idź na górę do N. N. Może nawet będzie to bezpieczniej. Co? Ja przeczytam jeszcze «Robotnika», jeszcze nie zasnę!

— Nie, — odparłem, — wolę nocować u ciebie. Pogadamy jeszcze.

— Jak chcesz, jak chcesz! — mówił uradowany, — przyznam ci się, że i ja wolę być z tobą. Ale pamiętaj! — przestrzegał, — jutro obudzę cię rano, przed przyjściem stróża, który sprząta u mnie. Wyprawię cię na górę do N. N. na herbatę. Lepiej będzie, gdy ciebie razem ze mną nie będą widzieć.

Prawie do świtu trwała cicha nasza rozmowa o sprawach partyjnych. Mój towarzysz interesował się każdym szczegółem pracy, wymuszał na mnie opowiadania, rozpytywał o każdą osobę, biorącą udział w ruchu, i raz po raz powtarzał:

— Pamiętaj, gdy kto się tam u was skompromituje i będzie musiał uciekać za granicę, przysyłajcie go do mnie. Już ja go przeprawię szczęśliwie na tamtę stronę! Nazajutrz po przyjeździe do mnie będzie już w Krakowie. A może kto z was tam zanadto jest zmęczony, mogę urządzić tu wakacje. Mam tu znajomego szlagona. Dawno myślę, by u niego urządzić przytułek letni dla naszych. Odpoczną sobie chłopcy na trawce. Mówisz, że M. — wymienił mi nazwisko jednego z towarzyszów — jest zdenerwowany i przemęczony. Przysyłajcie go, odpocznie tutaj.

Wreszcie, zmęczeni, zasnęliśmy. Lecz już koło siódmej obudziło mię wołanie X.

— Wstawaj prędzej, za chwilę przyjdzie stróż! Już cię pewno N. N. czeka z herbatą. Umyjesz się u niego. No, ruszaj się, śpiochu!

Po chwili byłem już u N. N. i wdychałem mdły zapach

tanich perfum. N. N. był już na nogach i flegmatycznie przyrządzał herbatę.

— Mało pan spał! nie wyspany pan jest, panie dobrodzieju? — cedził zwolna. — Ja to wiem, ja to rozumiem. Wielkie rzeczy państwo robicie, wielkie, panie dobrodzieju! Tyle książek, a każdą ktokolwiek przeczyta, z każdej coś będzie, panie dobrodzieju! Ja to rozumiem.

Wydał mi się nawet sympatycznym ten pulchny blondynek, nie zdający sobie sprawy z materialistycznego pojmowania dziejów, a narażający siebie i swą swobodę dla niejasnego, niewyraźnego: «Ja to rozumiem». Uścisnąłem mu serdecznie rękę na powitanie po umyciu się i zacząłem odczuwać pewnego rodzaju przywiązanie, jakie miał X. dla swych «ofiar»-pomocników.

— Więc wszystko dobrze, — prawił N. N., — słyszałem, jakeście państwo wracali z miasteczka wczoraj wieczorem. Pan X. stanowczo zanadto się naraża, panie dobrodzieju! Niech pan zwróci jego uwagę. Pan jego przyjaciel i potrafi to zrobić. O nim już tu w okolicy gadają.

— Co gadają? — pytałem zaniepokojony.

— Za dużo się kręci, panie dobrodzieju, za dużo! To sam wyjeżdża, to ktoś do niego — ot, jak pan — przyjedzie. O! i pan dyrektor wczoraj wieczorem mnie pytał: «Kto to ten pan, co do X. przyjechał?»

— Cóż pan na to? przecie przyjechałem niby do pana.

— Toż to właśnie! I ja to dyrektorowi mówiłem. Kuzyn, panie dobrodzieju, mówię, kuzyn z Częstochowy. Ale czy uwierzy i czemu odrazu pana X. posądzał? Ciekawi tu u nas ludzie, panie dobrodzieju, ciekawi. Radziby sąsiadowi do garnka zajrzeć, co je. A cóż dopiero nowy, nieznajomy człowiek!? Zaraz: skąd? po co? do kogo? — A pan X. gorączka, byle więcej, byle prędzej. Niech pan z nim pomówi, niech pan wpłynie. Zgubi siebie ten człowiek!

N. N. ani razu nie wspomniał o sobie i o niebezpieczeństwie, które mu grozić mogło z powodu stosunków z X. i jego przyjezdnymi towarzyszami. Widocznie nie bał się w istocie. Obiecałem mu solennie, że się z X. rozmówię.

— Jak skończymy herbatę, pójdziemy. Pan X. mi mówił rano, żebym pana odprowadził do miasteczka, żebyśmy razem koło okien pana dyrektora przeszli. Już mu opowiadałem, że pan dyrektor pytał o pana. U dyrektora dzisiaj rano wstają, brat wyjeżdża do Krakowa. Pan X. pewno tam jest.

Po herbacie wyszliśmy i według rozkazu X. przechodziliśmy koło okien dyrektora. Zatrzymaliśmy się nawet przy

nich, żeby pan dyrektor zdążył obejrzeć nas, idących razem i rozmawiających, jak dobrzy i dawni znajomi.

O dziewiątej stanąłem przed domem, gdzie mieszkała pani Z*. Przeklęte schody już mnie nie straszyły, szedłem po nich śmiało, nie zważając na to, czy deski skrzypią pod mymi stopami. W przedpokoju spotkała mnie pani Z*.

— Witamy pana, czekamy na pana ze śniadaniem, pan X. już jest. Proszę!

Wszedłem do następnego pokoju, gdzieśmy poprzedniego dnia pili herbatę. Przy stole siedzieli: mój towarzysz X. i pan Z*, szczupły, wymizerowany mężczyzna z osowiałym, prawie nieprzytomnym wzrokiem.

— Mój mąż, pan S...ski — naprędce skomponowała mi nazwisko pani Z*.

Podaliśmy sobie ręce. Pan Z* nie zapytał mnie o nic, nawet nie spojrzał. Oczy jego pożądliwie spoglądały na stół, zastawiony różnego rodzaju jadłem.

— Niech pan siada! — zapraszała pani Z*. — Zaraz po śniadaniu jedziemy, by zdążyć na pociąg. Obiadu pewnie jeść nie będziemy, niech więc pan się posila.

W ogólnej rozmowie, którą prowadziliśmy przy stole, pan Z* nie brał udziału wcale. Od czasu do czasu, gdy usłyszał jaką nazwę miasta lub miasteczka, przerywał jedzenie, głupkowato oglądał obecnych, namyślał się widocznie nad czymś i nagle wypalał:

— *Libawa — kurlandskoj gubiernii. Wiem, morze jest'...*

— *Łódź—pietrokowskoj gubiernii. Wiem... fabryki jest'...*

Była to, zdaje się, jedyna dziedzina, w której umysł pana Z* był czynnym. Spostrzegłem, że mu sprawiał przyjemność taki udział w gawędzie, starałem się więc w rozmowie używać możliwie wiele nazw miejscowości. Pani Z* spostrzegła to i obdarzyła mnie wdzięcznym spojrzeniem.

Nareszcie śniadanie zostało skończone, usłyszałem turkot powozu przed domem. Do pokoju wszedł woźnica, który zniósł, stękając, ciężki kosz i walizki na dół. Po chwili i my byliśmy gotowi. Pan Z*, jak manekin, dał się pokornie ubrać we wszystkie urzędowe godła i sprowadzić do powozu; nie pytał o nic, zdawał się nie zwracać uwagi na otoczenie. Siedliśmy do powozu, konie rączo unosiły nas w głąb kraju, oddalając od granicy.

Jechaliśmy w istocie, jak przepowiadał X., jak panowie. Zieloni i strażnicy przy spotkaniu powozu, widząc w nim pana Z*, o którym powszechnie wiedziano, że jest krewnym nieledwie ministra w Petersburgu, oddawali nam honory, nie

domyślając się wcale, iż w powozie ukrytych jest mnóstwo rewolucyjnych wydawnictw. A mimowolny sprawca tych honorów, gwarantujący bezpieczeństwo naszej wyprawie, kiwał się bezmyślnie w powozie, wyrzucając niekiedy z siebie:

— *Busk? Kieleckoj gubiernii... Tam wody jest'...*

— *Czenstochow? Pietrokowskoj gubiernii... Tam monastyr'* [1]) *jest'.*

* * *

Tak mniej więcej wyglądają partyjne biura transportowe.

Widocznym jest dla każdego, że kierowanie takim biurem polega przede wszystkim na ciągłym wyzyskiwaniu każdej nadarzającej się okoliczności, na łączeniu różnych okazji w pewien system, na misternej robocie kombinowania drobiazgów i szczegółów z życia całego otoczenia.

Tylko przy takich warunkach i przy uzdolnieniu do takiej właśnie roboty można produkcyjność granicy doprowadzić do wyższych rozmiarów i zabezpieczyć przetransportowaną już bibułę od wpadnięcia w ręce żandarmów i zielonych. Zapomniana na stole broszura, źle wybrana pora wyjazdu, niedostrzeżenie jakiejkolwiek zmiany w systemie strzeżenia granicy przez zielonych, nieprzyjęcie pod uwagę osobistych zalet lub wad ludzi wchodzących w grę przy transportach — wszystkie te drobnostki stanowić mogą o powodzeniu roboty, wszystkie doprowadzić są w stanie do zwrócenia uwagi na człowieka lub rzeczy, z nim związane, a każda z nich sprowadzić może wsypę granicy i aresztowanie jej kierownika.

Jeżeli do tego dodamy, że warunki życia osobistego są zazwyczaj wcale nieszczególne, albowiem większa część granicy państwa — to wiejska lub miałomiasteczkowa pustynia kulturalna, połączona z najgłupszymi plotkami, z niskim poziomem oświaty i życia towarzyskiego — zrozumiemy, jak trudnym jest stanowisko towarzyszów, którzy tej pracy się poświęcają. Wieczna czujność i zwracanie uwagi na najmniejsze drobiazgi jest ich obowiązkiem, ciągłe granie komedii i udawanie jest ich cnotą, a nudy, brak towarzystwa i rozrywki jest najczęściej ich udziałem.

Nic dziwnego, że praca taka nuży ludzi śmiertelnie, wyczerpuje szybko ich siły nerwowe. Zdaniem moim, na idealnego transporciarza trzeba się urodzić. Nie dosyć bowiem poznać dokładnie stosunki pograniczne w ogóle i warunki lokalne w szczegółach, nie dosyć mieć wytrzymałe nerwy i zdol-

[1]) Klasztor.

ność do zachowania spokoju wobec nieraz pozornego, lecz zupełnie widocznego niebezpieczeństwa, trzeba jeszcze posiadać specjalne dane, specjalne odpowiedniki w duszy, by umieć zlewać się niejako z otoczeniem, lecz zlewać się świadomie, trzymając wiecznie rękę na pulsie, słabo, co prawda, tętniącego, ale na swój sposób złożonego życia na pograniczu. Rzecz prosta, o takich ludzi nie łatwo, nie łatwo tym bardziej, że tacy szwarcownicy z urodzenia wychodzą najczęściej ze środowiska odpowiedniego, z pogranicza, a jak już nieraz wskazywałem, pogranicze z wyjątkiem kilku punktów należy do miejscowości najbardziej głuchych i zatem najmniej przystępnych dla propagandy i organizacji rewolucyjnej.

Ze wszystkich zadań, które ma na swej głowie transporciarz, najtrudniejszym do systematycznego zorganizowania jest wywiezienie bibuły, już przetransportowanej przez granicę, dalej — w głąb kraju. Gdyby chodziło jedynie o przeniesienie bibuły przez granicę i ukrycie jej na czas pewien w bezpiecznym względnie miejscu, to prawdopodobnie przypływ bibuły z krajów swobodnych do Polski byłby kilka razy większym, niż obecnie. Lecz bibułę nie po to się sprowadza, by leżała w składzie nadgranicznym. Trzeba ją stamtąd wywieźć, by doszła ona do rąk jej konsumentów.

Nie będę tu wchodził w szczegóły co do przeszkód, jakie bibuła i ludzie, ją przewożący, mają do zwalczenia na tej drodze — będzie to treścią następnego rozdziału. Zatrzymać się jednak muszę na stosunku biur transportowych ze światem partyjnym, bo te właśnie stosunki ogromnie utrudniają ich robotę. Sam transporciarz lub jego pomocnicy są przywiązani do miejsca. Będąc zmuszeni zachowywać wszelkie pozory, nie mogą oni poruszać się swobodnie i ich rzadkie wyjazdy nie są w stanie zapewnić większej produkcyjności granicy partyjnej. Koniecznymi więc są przyjazdy postronnych ludzi dla zabrania nagromadzonej bibuły. Rzecz prosta, że zwraca to uwagę otoczenia i nasuwać może myśl o kontrabandzie, fachowo przez przejezdnych uprawianej. Naturalnie, przy szczęśliwym zbiegu okoliczności, gdy łatwo upozorować częstsze zjawianie i znikanie obcych ludzi, granica może przetrwać długo. Najczęściej jednak tak nie bywa i granice zużywają się: zużywają się i przez wyczerpanie sił towarzyszów-transporciarzy, i przez obawę nadużycia jej.

Stąd pochodzi wieczna pogoń za granicą, wieczne wyszukiwania nowych dziur w chińskim murze, opasującym imperium cara; stąd konieczność użytkowania z granic, źle urządzonych lub działających tylko sporadycznie; stąd wreszcie

często odczuwamy głód bibulasty — brak jej w tym lub owym miejscu, w tym lub owym czasie. Granica, dobrze urządzona, dokładnie funkcjonująca, jest tym ideałem, do którego się wiecznie dąży i który ustawicznie z rąk się wymyka, a staranie się o nią i jej urządzanie stanowi jedną z najpoważniejszych trosk partyjnych.

TRZECIA LINIA GRANICZNA

Trzecia linia graniczna jest jedną z oryginalnych, najzupełniej swoistych rosyjskich instytucji, wprawiających każdego Europejczyka w poniżające dla Rosji zdumienie; zdumienie, jak dla pomysłowości i bezwzględności rządu rosyjskiego, tak zarówno dla uległości ludzi, pozwalających czynić nad sobą najdziwaczniejsze w świecie eksperymenty. Opisywałem w poprzednim rozdziale urządzenie i działalność straży pogranicznej na pierwszych dwóch liniach. Druga linia, linia kordonów, odgranicza neutralny, że tak nazwę, pas ziemi, stanowiący właściwe pogranicze. Już nawet ta druga linia, przesiewająca raz jeszcze to, co przesiała linia pierwsza, stanowi pewną anomalię i świadczy o nieufności rządu względem ludności pogranicznej, tak zarówno i o sprawności tej pierwszej linii. Lecz w każdym razie ta druga linia ma jakieś logiczne i zrozumiałe usprawiedliwienie.

W istocie mieszkańcy pogranicza są pod niektórymi względami uprzywilejowani w porównaniu do reszty ludności państwa. Stosunki z zagranicą mają ułatwione w ogromnym stopniu. Mieszkańcy pogranicza mają prawo na tzw. półpaski lub przepustki.

Wydawane są one na osiem dni, a nawet na szereg tygodni bezpłatnie. Służą one jako legitymacją, nie na wielką, co prawda, przestrzeń, bo zaledwie na trzy mile w głąb obcego państwa. Lecz że najczęściej ani Austriacy, ani Prusacy nie obciążają siebie zbyteczną dla nich kontrolą pod tym względem, można uważać półpaski jako istotne paszporty zagraniczne. Oprócz tego półpaski mają tę zaletę, że szczęśliwy posiadacz takiego dokumentu może przechodzić granicę tam i z powrotem niezliczoną ilość razy w ciągu trwania przepustki bez zmiany jej za każdym przejściem granicy.

Przeciwnie, paszporty zagraniczne dalszych okolic żadnych z wyliczonych zalet nie mają. Są drogie i służyć mogą

tylko na jednorazowy przejazd granicy tam i z powrotem. Mając takie przywileje, mieszkańcy pogranicza są związani z zagranicą znacznie ściślej, znacznie więcej mają z nią stosunków, niż ludzie, odsunięci geograficznie od niej. Więc wobec tego zrozumieć jeszcze można, że rząd, strzegąc tak pilnie swej granicy, mógł oddać pod specjalny niejako dozór tę właśnie uprzywilejowaną część swych poddanych, mógł skrępować takim lub innym ograniczeniem ich wolności, wzamian za przywileje, im nadane. Dla trzeciej linii żadnego usprawiedliwienia znaleźć nie można.

Na czym jednak polega ona i w jaki sposób spełnia swą rolę stróżów państwa od inwazji niepożądanych dla tych czy innych powodów produktów zagranicy?

Na trzeciej linii służbę carską pełnią, tak samo, jak na drugiej, wojskowi i cywilni zieloni. Specjalną ich funkcją jest śledzenie ruchu publiczności i towarów po drogach, kolejach i szosach w pasie ziemi, oddanym im pod dozór. Ten pas ziemi sięga głęboko wewnątrz państwa i u nas obejmuje całe prawie Królestwo Polskie i ogromną część Litwy. Wszystkie bez wyjątku stacje i przystanki kolejowe, wszystkie stacje poczty konnej na szosach w tym pasie są udekorowane zielonymi wojakami i cywilami.

Obowiązki ich są dosyć liczne i skomplikowane. Przyjeżdżający na stację są przez nich bacznie obserwowani; muszą oni intuicyjnie odgadnąć, czy w bagażu takiego pasażera nie ma czasem czegoś zakazanego, jakiejś kontrabandy. Naturalnie, na stacjach, bliższych do granicy państwowej, baczność ta jest zdwojona. Więcej nawet, bo posterunki te stanowią w tych punktach zazwyczaj nowy kordon, przetrząsający bez ceremonii bagaże tychże pasażerów bez względu na to, czy jadą od samej granicy, czy też z najbliższych do tej stacji lub przystanku okolic. Im dalej jest stacja od granicy, tym dozór ten jest słabszy, tym więcej się robi wyjątków wśród przejezdnych. Chociaż nawet o sto i więcej kilometrów od granicy, nigdy nie można być pewnym, czy «zielonemu» twarz lub pakunek pasażera nie wyda się podejrzanym i czy nie poprosi on lub brutalnie nie każe otworzyć pakunku dla rewizji.

I nie trzeba sądzić, że tylko linie kolejowe, biegnące wprost od granicy, są poddane takiemu dozorowi. Oto np. linia nadwiślańska, łącząca Wołyń i Ukrainę z Warszawą, nigdzie w swym biegu nie dotyka granicy, a jednak cała oddana jest pod opiekę zielonych. Oto linia, łącząca Warszawę z Wilnem, która najbliżej podchodzi do granicy pod Białymstokiem, gdzie granica jest oddalona 90 kilka kilometrów, cała jest ude-

korowana w zielony, celny kolor. Linie, idące wprost od granicy, są tylko pilniej strzeżone, lepiej obsadzone.

Drugim obowiązkiem zielonych jest włóczenie się po wagonach pociągów w biegu i wybieranie ofiary dla przejrzenia u niej rzeczy. Zresztą, należy być sprawiedliwym: ten proceder praktykowanym jest jedynie w najbliższych granicy okolicach i w pociągach, idących wyraźnie od granicy. Taki zielony żołdak wchodzi do wagonu trzeciej klasy, rzuca okiem na każdego pasażera, na rzeczy, ustawione na półkach, zagląda pod ławki, szpera po kątach i od czasu do czasu pyta:

— Czyje to rzeczy?

— Moje — odzywa się ktoś z pasażerów.

— Proszę otworzyć! — brzmi dalszy rozkaz — i brutalna łapa żołdaka przerzuca po chwili zapakowane w walizce lub koszyku rzeczy.

W wagonach drugiej i pierwszej klasy robi to nieraz oficer straży pogranicznej albo wezwany przez zielonego żołnierza żandarm kolejowy.

Lecz najbardziej rażącym, najbardziej brutalnym jest ten dozór na stacjach kolejowych, w większych miastach — Częstochowie, Piotrkowie, Warszawie, Białymstoku, Grodnie, Wilnie i Kownie. Tutaj, oprócz zwyczajnych stupajek, zielonych żołnierzy, stoją i dozorują specjalni dozorcy celni. Tutaj przy ogromnym ruchu pasażerskim niepodobna rewidować wszystkich, niepodobna robić wyjątków, zrozumiałych dla otoczenia całego. I te nagłe napaści na wybraną z mnóstwa przechodzących ofiarę, to szybkie przerzucanie wobec całej publiczności rzeczy podróżnego, to czyhanie z kątów i skośne spojrzenia, rzucane na pakunki i podróżnych, sprawiają dziwnie dzikie wrażenie, rumieńcem wstydu oblewają twarze rewidowanych, wywołują zdziwienie u wszystkich, nieprzygotowanych do tej napaści.

I wszystko to się robi na chybił trafił, bez żadnego pytania, czy kto jedzie od granicy, czy też z okolic, o setki mil nieraz od granic państwowych położonych. Wszystko to się dzieje o kilkanaście mil od granicy, gdzie olbrzymia większość ludzi, stosunków i interesów nic wspólnego z granicą nie ma. Więcej nawet, wszystko to się dzieje nie na podstawie jakiegoś ogólnie znanego prawa, lecz na mocy zwyczajnego rozkazu gabinetowego ministra. I jeszcze bardziej, bo wbrew prawu, które o takich rewizjach mówi, że muszą one być usprawiedliwione jakimś rzeczowym podejrzeniem co do wyraźnej osoby.

Tym czasem tutaj to podejrzenie powstaje w danej chwili

w głowie głupiego żołdaka, podejrzenie względem osoby, o której on nic nie wie, nigdy przed tym jej nie widział i o niej nie słyszał.

W tych warunkach można sobie wyobrazić podróż jakiegoś «pechowca» z Zagłębia Dąbrowskiego do Warszawy w sposób następujący.

Wyjeżdża on z Dąbrowy, miasteczka o osiem kilometrów od granicy. Przychodzi na stację i, już wiedząc zawczasu, że tu jest kordon celny, tak, jak gdyby przekraczał on granicę państwa, otwiera walizę, w której mu dobrotliwie, lecz pospiesznie, rozrzuca rzeczy ręka zielonego żołdaka. No, nareszcie pociąg jest, formalność celna odbyta, jazda!

Pociąg ruszył, nasz «pechowiec» zadrzemał błogo, lecz ma pecha, twarz jego nie spodobała się kontrolującemu pociąg zielonemu.

— *Czji wieszczy?* [1]) — rozlega się brutalny okrzyk nad jego uchem.

— Gdzie? co? — zrywa się biedny pasażer. — Aha, moje, przecie nie ukradłem, a co?

— *Otworitie!* [2]) — rozkazuje lakonicznie zielony.

Nie ma rady. Postawa i mina zielonego nie wróży nic dobrego, lecz pasażer nic w rzeczach nie ma, więc myśli — et, co tam szkodzi otworzyć, trochę fatygi, a lepiej z tymi draniami nie zadzierać, jeszcze do kozy wpakują.

Znowu rzeczy, ledwie ułożone po dąbrowskiej rewizji, są rozrzucone w walizce.

Lecz nasz pasażer ma po drodze zatrzymać się dla interesów w Częstochowie i Piotrkowie.

— Częstochowa! dziesięć minut, bufet! — krzyczy konduktor pod oknem.

Nasz pasażer wysiada. Czasu ma mało, bo wieczór się zbliża, biegnie z walizką w ręku.

— *Ej, gaspadin, stojtie, wieszczy!* [3]) — słyszy krzyk za sobą.

Lecz rzeczy ma w ręku, więc nie sądzi, by się to jego tyczyło. Idzie szybko dalej. Podejrzenie zielonego, naturalnie, wzrasta. Już przy wyjściu z dworca łapie on brutalnie pasażera za ramię.

— *Stoj! Czort!* — łaje — *otworitie! Nieboś, kontrabanda jest'* [4]) — mówi zielony, robiąc złośliwą minę.

---

[1]) Czyje rzeczy?
[2]) Otwórzcie.
[3]) Hej, panie, zatrzymaj się, rzeczy!
[4]) Stój! Diable!... otwórzcie! Pewnie kontrabanda jest.

Pasażer próbuje się bronić, ale groźna i stanowcza mina zielonego odbiera mu odwagę. Walizka otwarta, rzeczy przerzucone raz jeszcze.

Wyjeżdża z Częstochowy. Inny zielony stoi mu na drodze. — *Halt!* Znowu *wieszczy*.

To samo akurat spotyka go w Piotrkowie przy wjeździe i wyjeździe.

Nareszcie — Warszawa. Lecz i tu z kąta wysuwa się figura i bardzo grzecznie, jak na stolicę przystało, prosi zrozpaczonego «pechowca» o łaskawe pozwolenie na zajrzenie z obowiązku służby do rzeczy.

Piękna podróż! Nieprawdaż? Piękna i zupełnie możliwa do sprawdzenia i wypróbowania na własnej skórze.

To przeglądanie i rozrzucanie rzeczy wyjeżdżających i przyjeżdżających podróżnych nie daje się porównywać z mytem, pobieranym w wielu miastach — pomiędzy innymi i w Galicji. Tutaj celnicy miejscy pobierają opłatę od produktów spożywczych, które zresztą każdy ma prawo przywieźć z sobą. Określonym jest i produkt, obłożony mytem, i rozmiar opłaty. Każdy o tym wie, bo prawo jest wyraźne, więc, pomimo uciążliwości takich celnych granic wewnątrz państwa, nie ma w nich nic przypadkowego, nic samowolnego i nic hańbiącego. Zieloni rosyjscy o setkę i więcej kilometrów od granicy podejrzywają człowieka o zbrodnię kontrabandy i na podstawie podejrzenia o postępek, karany więzieniem, napastują mnóstwo ludzi, nie mogących mieć nic wspólnego z kontrabandą, chociażby dlatego, że są oddzieleni od granicy państwowej ogromną przestrzenią. Jest to to samo, gdyby np. w Galicji, w Nowym Sączu, Jaśle, Lwowie, Stryju i Stanisławowie, nie mówiąc już o pogranicznym Krakowie, zaczęto przetrząsać na chybił trafił przez dziesiątego rzeczy podróżnym w celu wynalezienia pruskiego cygara lub herbaty rosyjskiej, z groźbą osadzenia w więzieniu tego, u kogo ten zagraniczny produkt się znajdzie.

I czy sądzicie może, szanowni czytelnicy, że tak delikatny interes jest poruczony specjalistom wykwalifikowanym? Nie! w ogromnej większości takim psychologiem, mającym z pomiędzy setek ludzi, wysiadających z wagonu, wyczuć tych dwóch lub jednego, który przybywa z nadgranicznej miejscowości, jest najzwyczajniejszy chłop rosyjski, żołnierz, przywieziony z głębi Rosji, który w życiu swoim nigdy nie widział pruskiego cygara, lub sukna, czy płótna, który najczęściej czytać w swoim ojczystym języku nie umie, a którego tym bar-

dziej posądzać nie można o trafność obserwacji tłumu, złożonego z zupełnie nieznajomych i obcych mu ludzi.

Rozmawiałem razu pewnego z takim żołnierzem. Jechałem z Wilna do Warszawy i wypadkowo naprzeciw mnie usiadł młody żołnierz. Jego szeroka, z wydatnymi kościami policzkowymi twarz, jego małe, nieco skośne oczy, jego niekulturalne, z gruba wyciosane rysy twarzy zdradzały wyraźnie jego pochodzenie. Był to chłop, wyrwany nie więcej, jak rok temu, z dalekiej, głębokiej Rosji, z okolic, gdzie sąsiedztwo Baszkirów, Kałmuków lub innych mało kulturalnych ludów wycisnęło swe piętno nie tylko na twarzy mego towarzysza podróży, lecz i na zdolnościach do zrozumienia złożonego, pstrego pod względem narodowościowym środowiska, w którym się znalazł. Żołnierz nucił pod nosem jakąś wielkorosyjską piosnkę.

Zagadnąłem go pytaniem, skąd pochodzi, z jakiej gubernii.

— *Ufimskoj, barin* [1]) — odpowiedział ze szczerym, szerokim uśmiechem.

Zacząłem go szczegółowo rozpytywać o rodzinę jego, stan materialny, urodzaje itp. rzeczy. Żołnierz coraz bardziej się rozczulał wspomnieniami o dalekiej zauralskiej wiosce. Wreszcie zapytałem go o służbę. Okazało się, że mój zielony wojak skończył swe godziny służbowe na stacji wileńskiej i jedzie na odpoczynek zasłużony do koszar, zbudowanych przy następnej stacji.

— Cóż ty robisz na stacji wileńskiej? — pytałem. — Pilnujesz czego, czy pracujesz tam?

— Jaka tam praca! — odparł pogardliwie żołnierz. — Stoję, jak głupi, nuda śmiertelna, oczy wybałuszysz na tłum, że spać się chce.

— A po cóż ciebie tam stawią? przecie nie po to, byś na ludzi patrzał.

Żołnierz śmiał się i robił do mnie filuterne oczy.

— Nie, nie patrzeć! Kontrabandę łowim, ot co. Kontrabandę, panie. My — straż pograniczna.

— Jaką kontrabandę? Skąd się ona tu weźmie, kiedy granica daleko?

— Widocznie jest — odparł z filozoficznym spokojem żołnierz — jest, kiedy nas «naczalstwo» [2]) stawi, żeby ją łapać.

— Jakżeż ty, chłopcze, poznasz, kto tę kontrabandę wiezie, czy wam może dają znać o tym, że kontrabanda idzie?

---

[1]) Ufańskiej, panie.
[2]) Władza.

— Nie, my nic nie wiemy! Ot, stoisz, stoisz i z nudów do kogokolwiek przystąpisz — pokaż pan rzeczy. Do pana jakiego, naturalnie, wstyd i podejść, ale do Żyda, czy tam naszego brata, chłopa, to czemu nie. Ale «naczalstwu» tego mało. Oj! źle bywa, gdy nasz komendant na stację przyjdzie. Stanie sobie w kącie, a oczami tak świdruje, ciągle mruga do nas, by do kogo się zbliżyć, a zawsze czort wybierze jakiego pana, do którego nam, chłopom, straszno i zagadać. Po co to, nie wiem. Pewnie potrzeba, kiedy «naczalstwo» tak każe — uspakajał się po chwilowym gniewie na narażającego go widocznie na przykrość komendanta.

— A czy ty wiesz, co to jest kontrabanda? — pytałem.

— Co z zagranicy bez prawa wiozą, wiem! — odpowiedział z dumą żołnierz.

— A jak ty odróżniasz rzeczy zagraniczne od krajowych? — pytałem dalej.

— No! Jak bez plomby co jest, albo napis nierosyjski, albo dużo książek — plątał zakłopotany żołnierz, najwidoczniej w świecie nie zdający sobie sprawy z tak mądrych rzeczy.

— A czytać przynajmniej umiesz? — pytałem, rozśmieszony naiwnością syna pól i stepów zauralskich.

— Nie bardzo! Uczą nas, ale to trudna sprawa. U nas we wsi w naszej gubernii szkół mało. Od naszej wsi szkoła o dziesięć wiorst (wiorsta trochę więcej niż kilometr).

— Więc jakże? — pytałem. — Otworzę ci walizkę, spojrzysz i co?

— Jak co nowego i bez plomby, albo butelka bez napisu, książki, tak ja do «naczalstwa». Książki — tak żandarm, na to on uczony! Inne rzeczy — tak nasze «naczalstwo». To już ich sprawa. Mnie co! Kazano, ja patrzę — mówił, spostrzegając mój uśmiech.

— I złapałeś co kiedykolwiek? — pytałem niezrażony.

— Nie! rok już minął, jak służę, nic mi się nie trafiło. Ot tak, to się zarobić zdarza.

— Jak to, tak?

— A ot i dzisiaj. Stoję i patrzę — po pociągu zagranicznym, Żyd wlecze jakiś worek. Ciężki, bo aż się pochylił na bok. No, ja do niego: co tam masz, rozwiąż! Rozwiązuje. Szukam, jakaś butelka. Co to jest? — pytam. On ni to, ni sio. Ocet — mówi. Ja na niego. Ocet! ot «naczalstwo» zobaczy, jaki to ocet! Dał dwadzieścia kopiejek, puściłem go, blisko nikogo z «naczalstwa» nie było.

— Może i ocet był — dodał po chwili namysłu, — kto go wie. Napisu nie było.

Oto, z jakich ludzi składa się przeważnie instytucja rządowa, z iście moskiewską bezwzględnością gospodarującą na naszych kolejach i drogach.

Dozorcy celni, o których mówiłem, stojący na dworcach kolejowych w znaczniejszych miastach Polski i Litwy, są, naturalnie, nieco bardziej wykształceni i nie tak naiwni, jak mój zielony towarzysz podróży. Przeważnie są oni dobrani z szeregów tejże straży pogranicznej, z liczby podoficerów wysłużonych i bardziej sprytnych. Ci bez wątpienia są bardziej niebezpieczni i zarazem bardziej wykwalifikowani, jako detektywi kontrabandy. Chociaż i oni z istoty swej dzikiej służby kierować się muszą nie jakimś rzeczowym podejrzeniem, lecz zewnętrznymi, zawsze zwodniczymi cechami twarzy, ruchów i pakunków u przejezdnych. To też rzec można z zupełną pewnością, że na sto, a może i więcej zaczepek z ich strony zaledwie jedna okaże się skuteczną — taka lub inna kontrabanda będzie złapana. Ja przynajmniej z obserwacji własnej i innych tak wnoszę. Widziałem mnóstwo wypadków i przechodziłem sam parę razy przez łapy szanownych dozorców, lecz nigdy nie spostrzegłem, by ta brutalna i niczym, oprócz dzikiej samowoli, nieusprawiedliwiona napaść doprowadziła do przyłapania czegoś zakazanego. Słyszałem jednak o wypadkach, gdy w ten sposób właśnie łapano i kontrabandę zwyczajną, i bibułę.

Z powodu tej trzeciej linii miałem niegdyś rozmowę z niemieckim kupcem, rozmowę, która mi utkwiła w pamięci.

Jechałem ze Żmudzi przez Kowno do Wilna. W Kownie wsiadłem do nocnego pociągu pośpiesznego, nie mającego trzeciej klasy, a więc pociągu możnych i bogatych. Pasażerów było niewielu, los, jako sąsiada, dał mi niemieckiego kupca z Królewca, który po raz pierwszy przekroczył granicę posiadłości wschodniego despoty-cara. Ćmiąc ustawicznie cygaro, opowiadał mi o grzeczności komorowych urzędników rosyjskich, którzy przed paru godzinami przeglądali mu rzeczy na pogranicznej stacji — Wierzbołowo. Rozpytywał mię o Wilno, do któregośmy się zbliżali i do którego po drodze do Rygi miał wstąpić.

Nareszcie stanęliśmy w Wilnie coś koło 5 godziny rano, gdy zaledwie poczynało szarzeć na niebie. Oprócz nas — mnie i kupca z Królewca — wyszło z pociągu jeszcze dwóch pasażerów, za którymi, jak i za nami, tragarze nieśli nasze ręczne bagaże. Mego Niemca nie opuszczały wesołość i zachwyt nad

porządkami w państwie cara. Przypuszczam, że wyjeżdżał do Rosji ze zwykłym u Europejczyków przekonaniem o barbarzyństwach moskiewskich. Był nieco w strachu, gdy się zetknął z tą carską Rosją, i nie mógł dotąd przetrawić przyjemnej niespodzianki, jaką mu przez swą grzeczność sprawili urzędnicy w Wierzbołowie. Nastąpiła jednak inna niespodzianka, mniej przyjemna, co prawda, lecz bardziej zgodna z istotą rządów carskich.

Zaledwieśmy, gawędząc, otworzyli drzwi stacyjne i weszli do korytarza, prowadzącego do restauracji kolejowej, gdy zagrodziła nam drogę banda zielonych. Było ich sześciu tęgich drabów — dozorców celnych. Rozdrażnieni widocznie nocnym czuwanie i chłodem porannym, rzucili się, jak głodne wilki, na nasze rzeczy.

— *Otworiť! Otworiť!* [1]) — brzmiały pośpiesznie rzucane rozkazy, a jeden z dozorców brutalnie schwycił niewielki neseserek podróżny, który był w ręku mego Niemca.

Napaść była tak gwałtowna, ruchy dozorców tak drapieżne, a oczy tak wymowne, że mój Niemiec wypuścił z ust cygaro i bezradny, ogłupiały kręcił się na miejscu.

— *Was ist das? Was wünschen Sie?* [2]) — pytał raz po raz, zwracając się to do mnie, to do zielonych.

Tłumaczyłem nieszczęsnemu kupczykowi, że ci panowie poszukują u niego szwarcowanych rzeczy, a jeden z dozorców, widocznie nieco umiejący po niemiecku, potakiwał mi.

— *Ja, ja! kontrabandu iszczem* [3]) — powtarzał na pół po niemiecku, na pół po rosyjsku.

Przetrząśnięto rzeczy wszystkich przyjezdnych, nic nie znaleziono i nareszcie wyszliśmy z rąk oprawców.

Mój Niemiec po tej operacji był zgnębiony i przybity. Pił zamyślony piwo w restauracji i widocznie nie mógł spokojnie myśleć o tym, że jego, poważnego kupca z Królewca, można było posądzać o tak zdrożne rzeczy, jak szwarcowanie towarów.

Zniżonym głosem — bo stracił swą pewność siebie — zaczął się tłumaczyć przede mną, pytając o wyjaśnienia. Przecie przyjechał z zagranicy, rzeczy oglądano mu na komorze, dano mu nawet jakiś znaczek, czemu więc go tu napastują? Może była jaka kradzież znaczna w pociągu — ale i w tym wypadku bez poważnych podejrzeń nie można przecie nara-

[1]) Otworzyć, otworzyć.
[2]) Co jest? Czego chcecie?
[3]) Kontrabandy szukamy.

żać człowieka spokojnego na przykrość i rewidować go, jak złodzieja.

Wyjaśniłem mu raz jeszcze cel rewizji i powiedziałem, że tak się u nas zawsze dzieje, że nie jest to ani specjalnie dla nas zrobiona niespodzianka, ani nawet specjalne względem nas podejrzenie.

Niemiec nie przestawał się dziwić, milczał, widocznie żuł myśl jakąś. Wreszcie z pewnym tryumfem uderzył mnie po kolanie.

— Tak! U nas by tego ludzie nie ścierpieli! Nie, u nas to byłoby niepodobieństwem!

Czułem, że się rumienię ze wstydu. Niemiec miał rację — jedynie niewola, jedynie codzienne przyzwyczajanie do znoszenia wszelkich kaprysów władzy może utrzymywać przy życiu takie wybryki i pomysły carskich urzędników, jak trzecia linia pograniczna.

Przypatrywałem się potem nieraz działalności trzeciej linii pogranicznej w różnych miejscach i na różnych pograniczach państwa cara. Nie istnieje ona wcale koło Petersburga, istnieje, ale działa bardzo słabo, jakby od niechcenia, na morskiej granicy, gdzie mieszkają Niemcy i Łotysze, również nieznaczną jest jej działalność na pograniczu podolskim i wołyńskim, gdzie rząd i Rosjanie czują się prawie zupełnie u siebie, w domu. Lecz w Polsce i na Litwie trzecia linia szaleje. Tu, w tym domu niewoli par excellence, nigdy rząd i jego poszczególny agent nie liczy się ani z wygodą, ani z potrzebą mieszkańców. Źle to zarazem świadczy o odporności naszego społeczeństwa.

Jestem przekonany, że gdyby każde wkroczenie zielonego, wkroczenie, które, jak mówiłem, jest bezprawne nawet wobec praw rosyjskich, spotykało się z protestem, nawet zupełnie legalnym, z żądaniem protokółu oględzin rzeczy, ze skargą sądową w razie nieznalezienia w rzeczach poszukiwanej kontrabandy — gdyby, jednym słowem, nasza publiczność była nieco odważniejszą, nieco więcej dbałą o swą godność, trzecia linia pograniczna istniećby długo nie mogła. Lecz tak nie jest. Każdy zaczepiony śpieszy otworzyć swe bagaże, boi się narazić na gniew najmarniejszego stupajki. Nie należy więc się dziwić, że wobec tego to barbarzyństwo istnieje.

Rzecz prosta, że trzecia linia pograniczna działa w kierunku najmniejszego oporu. Oszczędza dobrze ubraną publiczność, zaczepia średniaków, napastuje chłopów i biednych, a rzuca się, jak głodne zwierzę, na Żydów. Ci są główną jej ofiarą, głównym obiektem prześladowań.

Towarzysze nasi, chcąc się zorientować w sytuacji, badali nieraz kwestię: jakie właściwie cechy człowieka lub pakunku ściągają na się uwagę dozorców. Naturalnie więc przede wszystkim wynikające z powyższego. Lecz poza tym trudno coś określonego powiedzieć. Zdaje się jednak, że ciężkie pakunki i rzeczy, zawinięte w papier, szczególnie irytują zielonych. Lecz poza tym zwracają oni uwagę na wyraz twarzy, na poruszenia człowieka, gdyż te ostatnie mogą zdradzić przenoszących taką lub inną kontrabandę na sobie pod odzieniem. W ogóle zaś napaściami zielonych rządzi taka przypadkowość, że niepodobna je przewidzieć i jedynym bodaj ogólnym prawem, mało zresztą mówiącym, jest: chcąc uniknąć zaczepki zielonych, trzeba się starać o możliwe niewyróżnianie się z otoczenia.

Zatrzymałem się tak długo na opisie trzeciej linii, bo stanowi ona przeszkodę dla bibuły, nietylko dla przychodzącej z nad granicy, lecz i dla wędrującej z miejsca na miejsce, dla cyrkulacji jej w kraju. Bo wobec tego, że dozór zielonych obejmuje kraj cały, cały prawie teren działalności polskich rewolucjonistów, bibuła wszędzie, bez względu na to, czy idzie z granicy, czy też nawet odwrotnie, spotkać się może z napaścią i zaczepką zielonych. Dosyć sobie przedstawić, że na każdej stacji kolejowej w Polsce i Litwie każdy pakunek może być obejrzanym przez dozorcę celnego, a zrozumiałem się stanie, jakie stałe niebezpieczeństwo wisi nad głową towarzyszów, rozwożących bibułę, jak w każdym miejscu można się wsypać, tj. być aresztowanym. A zważywszy wszystko, com powiedział wyżej o działalności trzeciej linii, łatwo pojąć, że często prosty wypadek, zupełnie niemożliwa do przewidzenia okoliczność ściągnąć może uwagę i napaść zielonego.

Widzimy więc, że bibuła po przejściu przez pierwsze dwie sieci pograniczne nie jest jeszcze bezpieczną. Musi się prześlizgnąć przez trzecią. Zwykle nie używa się żadnych nadzwyczajnych środków dla uniknięcia niebezpieczeństwa. Bibułę pakuje się do walizki lub kosza, naturalnie, tak, by pakunek nie był zbyt ciężkim, a przy spotkaniach z zielonymi przechodzi się koło nich spokojnym krokiem, z podniesioną głową. Najczęściej to wystarcza. Zdarzały się jednak wypadki przeciwne.

Jeden ze znajomych towarzyszów opowiadał mi, jak go zatrzymano w N. N. na dworcu kolejowym, gdy przywiózł tam dwie ciężkie walizy bibuły.

— Wsiadłem już do dorożki — mówił mi, — gdy nagle podszedł do mnie dozorca celny i grzecznie poprosił mię o otworzenie walizek, musi bowiem obejrzeć moje rzeczy. Za-

pytałem go, z jakiej racji to robi. Mówiłem dość grzecznie, lecz nieco wyniosłym tonem i po rosyjsku. Zielony, który był w cywilnym ubraniu, oświadczył mi, że jest dozorcą celnym i ma podejrzenie, że w mych walizkach ukryta jest kontrabanda.

Oburzyłem się na to ogromnie i krzyknąłem nań z góry, że to jest obraza, że nie ma on prawa mnie napastować, że oskarżę go przed jego władzą.

Zielony nie odczepiał się i coraz natarczywiej domagał się otworzenia walizek. Spostrzegłem, że żandarm kolejowy, który usłyszał widocznie hałas, zbliżał się do nas.

— Jestem urzędnikiem — zawołałem na zielonego, — i ty durniu, nie masz prawa mnie rewidować. Siadaj zaraz ze mną i jedź do urzędu celnego.

Dozorca posłusznie siadł obok mnie i ruszyliśmy w kierunku komory.

W drodze zacząłem straszyć dozorcę, że tej sprawy nie puszczę płazem. Przy rewizji nic się u mnie nie okaże i będę go skarżył. Wypadkowo przypomniałem sobie jedno nazwisko wyższego urzędnika celnego w Warszawie i wskazałem dozorcy na niego, jako swego znajomego. Dozorca, usłyszawszy z ust moich nazwisko swego naczelnika, struchlał i zaczął mnie przepraszać.

Udawałem jednak zagniewanego i dalej wymagałem, by jechał ze mną do komory. Dozorca coraz bardziej tracił rezon, coraz bardziej zdradzał chęć wycofania się z interesu. Przepraszał mię coraz goręcej i skarżył się na ciężki obowiązek zaczepiania publiczności.

Wreszcie zapytałem go, czy jest żonaty. Okazało się, że ma żonę i dzieci. Ma się rozumieć, że skorzystałem z tej szczęśliwej okoliczności, by okazać wystraszonemu dozorcy swą wspaniałomyślność.

— No! — rzekłem, — niech tak będzie, nie chcę gubić twej rodziny. Ruszaj sobie!

Dozorca nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać. Zatrzymał dorożkę, wyskoczył z niej i pożegnał mię wojskowym ukłonem.

Odetchnąłem lżej. Widocznie dorożkarz moje westchnienie usłyszał. Odwrócił się do mnie z uśmiechem.

— Ależ udało się panu — rzekł do mnie, — przeląkł się, głupi!

Innym razem, jak mi opowiadano, wpadł w ręce zielonego opryszka Żyd, robotnik, którego nieopatrznie, wobec specjalnych względów zielonych dla Żydów, wysłano z bibułą do

sąsiedniego miasta. Nasz towarzysz bibułę zapakował do starej walizki bez zamka i obwiązał ją sznurami w bardzo gruntownie zaplątany sposób. To właśnie zbawiło go.

Przy wyjściu z wagonu na dworcu miejskim zatrzymał go zielony i kazał otworzyć walizkę. Towarzysz powoli zaczął rozplątywać węzły i węzełki na sznurach. Zielony — widocznie był to zwyczajny stupajka, typu, opisanego przeze mnie wyżej — znudzony tym długim rozwiązywaniem, obejrzał naszego towarzysza i widocznie z ubrania osądził, że nawet dwudziestu kopiejek zeń nie wydusi.

— *Nu, czort s toboj!* — zawołał, — *idi, żydok! Stupaj!* [1])

Niekiedy jednak oczka sieci pogranicznych z powodów rozmaitych zaciskają się gwałtownie. Zieloni stają się nerwowi, baczność się zwiększa. Wówczas uciekać się trzeba do najuciążliwszego i najbardziej kosztownego sposobu — do przewożenia bibuły na ludziach. Są najrozmaitsze sposoby opakowywania człowieka i technika transportowa wynalazła wiele środków do zwiększenia zdolności transportowej żywej tary dla bibuły. Najidealniejszą pod tym względem jest silna, dobrze zbudowana kobieta. Wyzyskawszy wszystkie skrytki damskiej garderoby, obłożywszy siebie najstaranniej bibułą, kobieta, gdy ma do tego odpowiednią siłę fizyczną, może unieść na sobie, bez zwracania na się uwagi, trudną do uwierzenia ilość bibuły. Opowiadano mi pod tym względem o fakcie następującym.

Partia musiała likwidować jedną ze swych granic, była bowiem obawa, że nastąpić może wsypa z powodu naprężonych w tym miejscu stosunków granicznych oraz wypadkowego podejrzenia, jakiemu uległ w oczach zielonych towarzysz, prowadzący granicę.

Niebezpieczeństwo wydało się tak groźnym, że z likwidacją śpieszono. A na składzie nad granicą leżało moc bibuły, której główną częścią było kilka setek książki Bebla «Kobieta» [2]). Książka ta gruba, ważąca prawie funt i jako taka należy do najtrudniejszych dla techniki transportowej. Wobec wzmocnionego dozoru nie można było wywieźć bibuły walizkami, zwyczajną drogą. A że granicę likwidowano i już nie bardzo się liczono z wymaganiem konspiracji granicznej, by zbyt często nie zjawiać się na pograniczu, postanowiono raz po razie wysyłać towarzyszki dla zabrania bibuły na sobie.

[1]) No, niech cię diabli wezmą, idź, Żydku, idź!

[2]) Popularne dzieło Augusta Bebla «Kobieta i socjalizm» — jedno z najobszerniejszych wydawnictw agitacyjnych, rozpowszechnianych przez P. P. S. (przeszło 300 str. dużej 8-ki).

W tych wyprawach brało udział pięć towarzyszek, pomiędzy którymi wobec pośpiechu, jakiego wymagała sprawa, rozwinęło się współzawodnictwo. Kto więcej przyniesie? — oto było pytanie. Swego rodzaju rekord w tym oryginalnym sporcie rewolucyjnym został ustanowiony przez pewną towarzyszkę [1]), która na sobie przywiozła siedmdziesiąt pięć egzemplarzy «Kobiety».

Siedmdziesiąt pięć! wynosi to na wagę prawie 2 pudy papieru, ułożonego w dodatku pod ubraniem, więc w sposób ogromnie krępujący i męczący. Nigdy nie miałem na sobie tyle bibuły; zdarzyło mi się jednak parę razy nieść jakieś marne 15—20 funtów i muszę wyznać, że mię to wcale nie zachwyciło. Bibuła zewsząd mnie dusiła, gniotła, łaskotała; czułem, że muszę przybierać niezupełnie naturalne pozy, które mię męczyły ogromnie. A przecie od moich 20 funtów daleko do dwóch pudów — stanowi to cztery razy większą wagę i objętość.

Mąż owej dzielnej towarzyszki, który razem z nią odbył tę wyprawę, opowiadał mi, że będąc tak opakowaną, żona jego przejść musiała pieszo trochę więcej, niż kilometr, przetrząść się w wagonie kilka godzin i wreszcie jechać dorożką nie mniej, niż pół godziny.

— Gdyśmy wsiedli już do wagonu — mówił on, — zająłem czym prędzej dwie króciutkie ławki, aby nikt nie siedział obok nas. Bałem się, by wypadkowe dotknięcie nie zdradziło bibuły, będącej pod ubraniem. Pociąg był nocny i gdy ruszył, moja żona, zmęczona podróżą, wrażeniami i spacerem kilometrowym z takim ciężarem na sobie, zadrzemała. Nagle usłyszałem cichy jej jęk.

— Co ci jest, — spytałem, nachylając się nad nią. — Boli cię co?

Odpowiedzi nie otrzymałem. Żona spała, oparta głową o ścianę wagonu, i od czasu do czasu jęczała z cicha. Byłem przekonany, że to skutek zmęczenia lub niewygodnego siedzenia przy takim niesłychanym wypchaniu siebie książkami. Zadrzemałem wreszcie i sam.

Przed samym celem podróży, gdy pociąg już zwalniał biegu, obudziła mię żona — była blada i łzy się jej kręciły w oczach. Widocznie coś jej mocno dolegało.

— Złamał mi się gorset — mówiła, zaciskając zęby od bólu, — brykle wjadają mi się w ciało. Wiesz, może nie potrafię przejść przez dworzec.

---

[1]) Żona Józefa Piłsudskiego, Maria z Koplewskich.

Lecz obawy były płonne. Opierając się o moje ramię i sycząc nieledwie z bólu, żona moja doszła do dorożki. Gdyśmy nareszcie znaleźli się w domu i żona się rozebrała, okazało się, że ma pokrwawione i poszarpane bryklami boki. Ze dwa tygodnie po tej wyprawie żona moja gorsetu nie mogła włożyć.

Jakim jest rekord męski pod tym względem, nie wiem dokładnie. Słyszałem jednak o charakterystycznej przeróbce znanej pieśni filareckiej, którą ułożono w kółku towarzyszów, uprawiających con amore walkę z caratem na polach nadgranicznych. Przytaczam ją tu:

Gdy pakowność cnota znana,
Pakowniejszy kto nad Jana?
Więc, panowie, jego zdrowie:
Wiwat tęgi Jan!

Naturalnie, jak to już powiedziałem, przemienianie towarzyszów i towarzyszek w walizki czy kosze nie może być stałym zjawiskiem. Pociągałoby to za sobą zbyt dużo kosztów, pochłaniałoby zbyt dużo sił, zużywałoby ludzi zbyt prędko. Od czasu do czasu jest ono jednak konieczne. A wobec tego z prawdziwym uznaniem podnieść należy zasługi dzielnych towarzyszek, które dla walki z caratem ofiarowują swe wątłe nieraz siły fizyczne dla pełnienia uciążliwej funkcji, zwanej żartobliwie w żargonie rewolucyjnym dromaderowaniem.

Wspomniałem poprzednio, że rząd do niedawna nie przedsiębierał żadnych specjalnych środków dla walki z wzrastającym z rokiem każdym dopływem bibuły. Walka z kontrabandą polityczną była tylko częścią walki z kontrabandą ogólną, ze szwarcowaniem koronek, zegarków, spirytusu, herbaty itd. Jak mnie zapewniano z kompetentnych źródeł, rząd w wielkim stopniu dopiął swego: szwarcowanie towarów zwykłych, nie politycznych, jakoby znacznie się zmniejszyło.

Jeśli tak jest w istocie, to zostało to osiągniętym przez stałe pogarszanie warunków życia ogromnej ilości ludzi, nic wspólnego z kontrabandą nie mających. Z każdym rokiem sypią się nowe ograniczenia, coraz bardziej krępujące ludność, z każdym rokiem stosunki pod tym względem się pogarszają i wyznać należy, coraz jest trudniej urządzić porządnie działające biuro transportowe na granicy.

Dozór na samej granicy jest zwiększany z rokiem każdym. Stałym jest również zjawiskiem ograniczanie liczby osób, mających prawo do półpasków, przepustek. Nareszcie trzecia linia graniczna jest instytucją względnie nową, stale w dodatku wzmacnianą, jest siecią, której oczka coraz bardziej maleją.

Znający stosunki zapewniali mię, że w ciągu ostatnich lat dziesięciu warunki transportowe tak się pogorszyły, że niepodobna porównywać obecnych z dawnymi: co było łatwym wczoraj, staje się trudnym dzisiaj.

Jedynym, lecz za to poważnym ułatwieniem jest wzmożenie się ruchu rewolucyjnego, przeniknięcie ducha rewolucji, ducha opozycji, do szerokich mas ludowych. Tego wpływu, rozkładowego dla potęgi rządowej, nie uniknęła i ludność pograniczna. Jeśli więc trudności techniczne przy transportach wzmagają się, to natomiast ułatwionym jest wynajdywanie ludzi, chętnych do tego rodzaju pracy.

Niedawno pisma doniosły, że w Petersburgu obradowała komisja w celu znalezienia środków dla zmniejszenia dopływu bibuły do Rosji. Co tam uradzono przy udziale — jak pisano — żandarmów z Królestwa, nie wiem. Jedyne, co doszło do mnie, to wyasygnowanie środków dla żandarmerii w celu utrzymywania agentów-szpiegów wśród ludności nadgranicznej. Bez wątpienia, szpicle nad granicami mogą utrudnić znacznie robotę, osobliwie, gdy będą sprytnie dobrani z pomiędzy ludności rzeczywiście miejscowej. Lecz niebezpieczeństwo to nie wydaje mi się tak groźnym.

Główną podstawą dla działania rewolucjonistów na granicy państwa, jak to przedstawiałem, jest podmycie tej granicy przez ludność pograniczną, zanik jej dla niej. Do wytworzenia mętnej wody na pograniczu w ogromnym stopniu przyczyniają się właśnie ci, co mają granicy pilnować, ci, co najbardziej są względem całego otoczenia uprzywilejowani. Do takich uprzywilejowanych będą, naturalnie, należeć i nowi dygnitarze państwowi na granicy — owi agenci żandarmerii. Lecz gdy dotychczasowi dygnitarze najczęściej są zupełnie obcy, są przybyszami, którzy po pewnym tylko czasie stają się zależnymi w mniejszym lub większym stopniu od otoczenia, to projektowani agenci żandarmów, pochodząc z ludności miejscowej, tę krępującą zależność odczuwać będą znacznie silniej. Więc własne ich grzechy graniczne — szwarcowanie na własny użytek towarów zagranicznych — przyczynią się do zwiększenia mętów i w wielu wypadkach związą im ręce. Tym bardziej, gdy się zważy, że szpieg, pomimo wielkiego jego znaczenia dla rządu, tak jest pogardzanym przez ludzi, że szeregi ich mogą być rekrutowane jedynie z pomiędzy najbardziej nisko pod względem moralnym stojących ludzi.

Drugą podstawą dla kontrabandy rewolucyjnej w Polsce jest silne, chociaż często nie bardzo świadome poczucie niechęci wszystkich ludzi w stosunku do rządu. Niechęć ta, tak

ułatwiająca agitację rewolucyjną w Polsce, na pograniczu wzmaga się jeszcze bardziej przez solidarność fachową — solidarność szwarcowników, którymi, jak to wykazałem, są w pewnym stopniu wszyscy absolutnie mieszkańcy pogranicza. Czy więc rząd przez ustanowienie agentów żandarmskich potrafi już nie rozbić, lecz choćby poważnie zachwiać tą podwójną solidarnością? Co do mnie, znając kraj i stosunki pograniczne, innej odpowiedzi na to pytanie, jak negatywnej, dać bym nie mógł.

TAJNE DRUKARNIE

Mniejszą, lecz bodaj z każdym rokiem wzrastającą częścią bibuły, kursującej w Polsce, stanowi bibuła, w samym kraju wytworzona, wyprodukowana pod okiem wiecznie niespokojnej i trapiącej buntowników policji carskiej. Bibuła taka, w postaci ulotnego pisemka czy odezwy, albo też mniej więcej periodycznie się ukazującego pisma partyjnego, ma ogromne znaczenie dla każdej organizacji rewolucyjnej, chcącej szerszy wpływ na ludzi wywierać. Bibuła zagraniczna, wyprodukowana za żelaznym pierścieniem bagnetów, opasującym państwo cara, ma w wielu wypadkach tę niedogodność, że się opóźnia, że wobec kapryśnych warunków nadgranicznych nie daje się całkowicie opanować przez organizacje. Ten brak precyzji, brak, że tak powiem, elastyczności bibuły zagranicznej, rozpatrywanej, jako narzędzie rewolucyjne w rękach organizacji, zmuszał nieledwie każdą grupę rewolucyjną w państwie cara do prób tworzenia bibuły krajowej, produkowania jej na miejscu.

Najbardziej pierwotnym, studenckim, że go tak określę, sposobem jest hektograf. Urządzić go łatwo, zajmuje on bardzo mało miejsca, zniszczyć lub usunąć go z widoku nie trudno, do pracy z nim nie trzeba prawie żadnych kwalifikacji — jednym słowem, byłby on wspaniałym i niekłopotliwym sposobem, gdyby nie małe «ale» — wytwórczość hektografu jest bardzo niewielką, mogącą zadowolić najwyżej 30—40 osób, a produkty jego są nieczytelne. A jednak dzikie kagańce, nałożone przez rząd carski na wszystko, co ze świetnym wynalazkiem Gutenberga jest związane, tak są krępujące, że umożliwiają dotąd konkurencję marnego hektografu z drukiem.

Spotykałem wydawnictwa w Rosji, wydawnictwa, hektografowane w języku rosyjskim, ogromnej objętości, że wymie-

nię tu np. «Tkaczów» Hauptmana albo «Spowiedź» Tołstoja. Ile szalonej, żmudnej pracy w taki tom zostało włożone przez wydawców, ile oczu popsutych i załzawionych u czytelników tych wydawnictw! Byłem, doprawdy, zdumiony tą cyklopową pracą.

Lecz takie większe rzeczy, odbite na hektografie, są rzadkością, białymi krukami bibliograficznymi, które kiedyś w muzeach świadczyć będą o dzikim okrucieństwie caratu. Częstymi jednak są dotąd krótkie hektografowane odezwy rewolucyjne i pisma ulotne. Nawet w Polsce, nieco kapryśnej pod tym względem w porównaniu z rdzenną Rosją i przyzwyczajonej do bardziej europejskiego i cywilizowanego druku, zdarzają się często wypadki używania hektografu dla celów rewolucyjnych. Osobliwie często ucieka się do tego środka młodzież szkolna; dlatego też nazwałem ten sposób — studenckim. Najtrudniej zaś daje się hektograf zastosować do ludu pracującego. Tutaj, gdzie nieraz samo czytanie stanowi poważną pracę, błękitne rozlane literki hektografu często są zupełnie bezużytecznymi.

W ostatnich czasach zaczęto ulepszać ten studencki sposób tworzenia bibuły krajowej. Przystosowano do hektografu maszyny piszące, wprowadzono mimeografy, cyklostyle itd. Lecz pomimo tych ulepszeń, zwiększających produkcyjność pracy oraz zmieniających na lepsze czytelność bibuły, niepodobna porównywać tych sposobów z drukiem. Zbyt dużo zajmują one czasu, zbyt dużo zużywają papieru, by można było zadowolić szersze wymagania przez takie środeczki. Dobrymi być one mogą dla produkcji, jak ją nazywamy żartobliwie, rzemieślniczej w rewolucji. Dla wielkiego przemysłu rewolucyjnego nic druku zastąpić nie zdoła.

Wobec tego nie jest wcale dziwnym, że dla każdej poważniejszej organizacji rewolucyjnej ideałem jest posiadanie tajnej drukarni. Dwie najsilniejsze organizacje w przeszłości — rosyjska Narodna Wola i polski Proletariat — były uzbrojone w tę broń nowoczesną. Pierwsza za czas swego istnienia w kilku drukarniach, raz po raz wykrywanych przez policję, wydała kilka odezw oraz 10 numerów swego pisma. Druga oprócz odezw i paru broszur wydała pięć numerów «Proletariatu».

Po rozbiciu tych organizacji w 1884 i 1885 ll. nastała w państwie cara cisza rewolucyjna. Robota rewolucyjna szła dalej nieprzerwanie, lecz przeważnie była to robota «rzemieślnicza», dłubanie, najczęściej nieskoordynowane, po różnych kątach. W ogromnej większości umysłów rewolucyjnych wy-

tworzył się nawet pewnego rodzaju nastrój, który tu nazwę przeciwromantycznym, nastrój, dający się streścić w słowach: «nasze czasy, to nie czasy szerokich planów i zadań».

Drukarnia tajna, pismo partyjne — należały do tych szerokich «romantycznych» planów i zadań rewolucyjnych, względem których szanujących się «pozytywnych» rewolucjonistów obowiązywał pewnego rodzaju sceptycyzm i uśmiech niedowierzania. Lecz jeśli w stosunku do planów «szerokich» przeważał w owych czasach nastrój «pozytywny», to w stosunku do środków dla wykonania tych planów powszechnym był nastrój «romantyczny», powiedzmy raczej — dziecinny.

Nastrój ten da się scharakteryzować przez zabawną anegdotę, którą słyszałem o kijowskich rewolucjonistach z końca ósmego dziesiątka lat zeszłego stulecia.

Do Kijowa przyszedł transport bibuły — kilka pudów — który na razie został umieszczony gdzieś na przedmieściu. Chodziło o przeniesienie bibuły do miasta samego. Interes ten poruczono trzem towarzyszom z organizacji ówczesnej. Oto, jakim było ich rozumowanie:

Nieść bibułę we dnie — niedobrze, zbyt jest to widoczne, — lepiej w nocy. Brać dorożkę niebezpiecznie — dorożkarz będzie widział, — lepiej iść pieszo. Po drodze nie jest dobrze — lepiej tyłami zabudowań.

I oto nasi «romantycy» ruszyli w nocy po ową bibułę, wpakowali ją w worki i z tajemniczymi, odpowiednio do chwili, minami ruszyli nie drogą, lecz przez płoty i ogrodzenia. Naturalnie, skutek był żałosny — psy, zbudzone z drzemki, zaczęły gwałtownie ujadać, ludzie z domów przedmieścia wypadli i zabrali biednych towarzyszów, jak złodziei, do cyrkułu. Tam sprawę wyjaśniono, lecz, rzecz prosta, osadzono niefortunnych romantyków w więzieniu.

Ta tradycja «romantycznych» środeczków rewolucyjnych, zostawiona w spuściźnie głównie przez Narodną Wolę, ciężyła w owe czasy nad ludźmi równie silnie, jak «pozytywny» nastrój umysłów. Pozytywiści, gdy krytykowali «romantyczne» plany, krytykowali je nie «pozytywnie», lecz «romantycznie», biorąc z ubogiej skarbnicy doświadczenia rewolucyjnego różne dziwactwa i śmieszności, jako dowody contra temu lub owemu «szerokiemu» planowi, a więc pomiędzy innymi i contra planom drukarnianym.

Dla rozbicia tej tradycji, dla przezwyciężenia tego nastroju potrzebni byli nowi ludzie — romantycy co do planów, pozytywiści co do środków. Takimi okazali się założyciele Polskiej Partii Socjalistycznej, których działalność dla krajowej

produkcji bibuły stanowi epokę również dobrze, jak i dla rozpowszechnienia bibuły zagranicznej.

W lipcu (dnia 12) 1894 r. z tajnej drukarni P. P. S. ukazał się pierwszy numer «Robotnika», którego dotąd wyszło 52 numery, tj. pięć razy więcej w porównaniu z Narodną Wolą, organem najsilniejszej z doby popowstaniowej organizacji rewolucyjnej w państwie cara do niedawnych czasów. Dotąd jedynie organizacja żydowska Bund poszła w ślady P. P. S. i potrafiła urządzić tajną produkcję bibuły w kraju. Inne organizacje, tak polskie, jak rosyjskie, od czasu do czasu robią próby w tym kierunku, próby rzadkie, z efektem krótkotrwałym. Do takich prób należy «Pochodnia» narodowo-demokratyczna, kilka rosyjskich pisemek rewolucyjnych, wsypujących się zwykle przy trzecim czy czwartym numerze. Druki pochodzenia krajowego dotąd są prawie monopolem P. P. S.

Stąd właśnie pochodzi fakt, że przy wypadkach, obchodzących ogół opinii publicznej, jak przyjazd cara, odsłonięcie tego lub owego pomnika, większe strejki lub poruszenia ludowe — najczęściej daje się słyszeć jedynie głos P. P. S. Inne organizacje — oprócz, jak powiedziałem, Bundu wśród Żydów — nie są w stanie sprostać temu zadaniu, nie są w stanie wypowiedzieć się publicznie z powodu tego lub owego zdarzenia w tym właśnie czasie, gdy zajmuje ono umysły ludzkie.

Fakt istnienia drukarni w kraju, stałe ukazywanie się różnych wydawnictw — «Robotnika» i odezw — wywarł w swym czasie głębokie i silne wrażenie na wszystkich, co czuli jakąkolwiek chęć do walki z uciskiem rządowym.

Wśród sceptyków i «pozytywistów» panowało pewnego rodzaju zdumienie i oczekiwano z dnia na dzień wpadnięcia drukarni w ręce żandarmów. Wśród samych założycieli drukarni i «Robotnika» panował taki nastrój, że, jak opowiadał mi jeden z nich, nie oczekiwano, by można było bez wsypy dojść do dwunastego numeru pisma. Lecz bodaj nie omylę się, gdy powiem, że najpowszechniejszym uczuciem było pewnego rodzaju entuzjazm i uznanie dla śmiałego przedsięwzięcia.

Opowiadano mi, że organizacja zecerów w Warszawie zaproponowała w razie braku sił technicznych wybrać z pomiędzy nich ludzi. Dodano przy tym, że każdy z nich zgadza się, by mu zawiązano oczy, wsadzono do powozu i odwiązano dopiero w drukarni, skąd każdy z nich obowiązywał się nie wychodzić ani na chwilę i nie patrzeć przez okno dla zachowania konspiracji zupełnej. W Dąbrowie, w Hucie Bankowej, robotnicy proponowali złożyć w drukarni zaoszczędzone przez siebie dla przyszłego strejku fundusze. Sam na własne uszy

słyszałem propozycje towarzyszy, by ich wzięto do drukarni, chociażby do najzwyklejszych posług. Nawet menerzy Narodowej Demokracji, tak wrogo obecnie względem socjalizmu usposobieni, byli nieco podnieceni nadzwyczajnym powodzeniem «Robotnika». Jeden z nich przy rozmowie ze mną w 1896 r. mówił, że «drukarnia wasza i «Robotnik» to nadzwyczajny fakt, wspaniałe zjawisko, którego waszej partii powinszować można». Naturalnie, zapatrywał się on na znaczenie tego faktu w specjalny sposób: «jak to żandarmów wściekać musi!»

W istocie żandarmi wściekali się ze złości i urządzali formalne polowania na nieuchwytnego «Robotnika». Sądząc z ciekawych pamiętników znanego szpiega Wiśniewskiego [1]), wydanych przez P. P. S., żandarmi warszawscy próbowali okłamywać siebie i wyższą władzę twierdzeniem, że «Robotnik» jest wydawany za granicą, a druki, rzekomo krajowego pochodzenia, są przeszwarcowane z za kordonu. Mądry pułkownik Utgoff znalazł nawet, że papier, na którym wydrukowany jest «Robotnik», zdumiewająco jest podobny do londyńskiego papieru, używanego do zagranicznych wydawnictw P. P. S. Lecz wreszcie musiano się pożegnać z tą iluzją, raz po raz bowiem w numerach «Robotnika» znajdowały się nowiny z dnia wczorajszego, które fizycznie nie mogły tak prędko przebiec granicę i wrócić stamtąd w postaci zadrukowanego papieru.

Wówczas drukarnia «Robotnika» stała się głównym celem nagonek żandarmskich. W przyszłości zapewne będzie znanym, jak mądre plany budowano w zarządach żandarmerii dla wykrycia drukarni. Obecnie jednak, sądząc tylko z przejawów tych polowań, trzeba przyznać, że polowania te mocno przypominały rozjuszonego byka, rzucającego się na czerwoną płachtę i spotykającego pod rogami pustą przestrzeń. Tą płachtą dla żandarmów były odezwy. Pojawiły się w Radomiu — jazda do Radomia w poszukiwaniu drukarni; były w Białymstoku — marsz na Białystok, tam bowiem ukrywa się drukarnia; są w Dąbrowie i oto w głupich głowach żandarmów kręci się myśl, że drukarnia musi być ukryta gdzieś w zarzuconym szybie. Przed samym zaaresztowaniem drukarni w Łodzi żandarmeria warszawska była już na «pewnym» tropie. Drukarnia miała być ukryta u jakichś bardzo bogatych i możnych ludzi i żandarmi poszukiwali ich śladów przez... modne i drogo sprzedające siebie kokoty.

[1]) Antoni Wiśniewski — publicysta polski, bliski «Głosowi», szpieg, którego pamiętnik wydała P. P. S. w Londynie w 1901 p. t. «Dziennik szpiega». Zabity później przez Organizację Bojową P. P. S.

Jeśli żandarmi suszyli sobie nieraz mózgi nad tym zagadnieniem z obowiązku, to mnóstwo ludzi łamało sobie głowy nad nim z prostej i zrozumiałej ciekawości. Koło tej niepochwytnej drukarni tworzyły się legendy i hipotezy. Jedni umieszczali ją w piwnicach, inni — na strychach, wielu słyszało w zamieszkanych przez siebie kamienicach szmery, mające świadczyć o istnieniu drukarni itd. — wszyscy zaś osłaniali tę tajemniczą drukarnię różnymi romantycznymi szczegółami.

Wreszcie w lutym 1900 r. pieczęć absolutnej tajemnicy, która gęstą mgłą otaczała drukarnię, została zdjętą. Żandarmeria łódzka, dzięki prostemu przypadkowi, wykryła ową drukarnię w Łodzi, przy Wschodniej ulicy, na pierwszym piętrze domu pod nrem 19.

Tryumf żandarmerii był ogromny. Zdawało się im, że raz nareszcie opanowano ruch, który im tyle kłopotów sprawiał, a przynajmniej, że zmuszono ten ruch do milczenia. Jeden z żandarmów, który piszącego te słowa właśnie w sprawie drukarni badał, szeroko tłumaczył, jak wielki cios został zadany partii przez aresztowanie drukarni.

— Niełatwo — mówił mi pan rotmistrz — zdobyć się raz jeszcze na taki wysiłek, niełatwo zorganizować podobną rzecz na nowo.

— Ależ, panie rotmistrzu! — zawołałem na to z uśmiechem — jestem przekonany, że w tej może chwili już się drukuje następny numer «Robotnika». Niech mi pan wierzy, że dla P. P. S. nie stanowi to nic tak bardzo trudnego.

Nie wiedziałem wówczas, zamknięty w murach cytadeli warszawskiej, że moje słowa odpowiadały rzeczywistości. W kilka dni po tej rozmowie ukazał się trzydziesty szósty numer «Robotnika» z nowej drukarni, założonej przez partię [1]).

Odkryta w Łodzi drukarnia nie mieściła się ani w piwnicy, ani na strychu, ani nie była otoczona jakąś nadzwyczajną tajemniczością. Redakcja i drukarnia znajdowała się w zwykłym mieszkaniu, takim, jakich tysiące jest w każdym większym mieście. Jak wspomniałem, była ona na pierwszym piętrze. Była to, jak mi mówiono, inowacja. Dotąd bowiem wystrzegano się umieszczania drukarni na piętrze. Obawiano się, by pewien szum, sprawiany przez maszynę drukarską, nie był słyszany przez mieszkańców parteru.

---

[1]) Właściwie nr 36 «Robotnika», zredagowany (tak samo, jak i nr 37) przez Stanisława Wojciechowskiego w Londynie, został odbity tamże na maszynce, zakupionej dla nowej drukarni krajowej «Robotnika», umieszczonej zaraz potem w Kijowie, gdzie «Robotnik» był drukowany od nru 38.

Co do mnie, gdy mnie poruczono redakcję «Robotnika» i urządzenie drukarni w Łodzi, nie znalazłem na parterze mieszkania.

Zaryzykowałem wziąć mieszkanie na piętrze, tym bardziej, że w tym domu parter był zajęty przez skład bawełny i pończoch. Mieszkanie nasze składało się z czterech pokoi i kuchni. Z frontowych schodów wchodziło się do korytarza, z którego na prawo drzwi prowadziły do pokoiku niewielkiego — w tym jadaliśmy obiad. Na lewo z korytarza było dwoje drzwi — jedne, najbliższe od wejścia, do pokoju sypialnego, drugie — do saloniku. Wprost z korytarza były drzwi do kuchni i z kuchni wreszcie na tylne schody. Za salonikiem był pokój duży, w którym postanowiliśmy umieścić drukarnię, a który był zarazem dla ludzi postronnych gabinetem moim dla pracy.

Jaką była ta praca, nie mówiłem nikomu, pozostawiając otoczeniu tworzenie takiej lub innej hipotezy co do rodzaju mego zajęcia. Liczyłem na to, że w Łodzi, mieście przemysłowym i handlowym, musi być mnóstwo osób, żyjących przy tym przemyśle i handlu, a nie mających ścisłych godzin pracy poza domowej, ani zupełnie wyraźnego zajęcia dla otoczenia. Chciałem jednak imitować zajęcie techniczne, które, jak mi się zdawało, więcej odpowiadało charakterowi miasta. Tym czasem, jak się potem okazało, stróż i służba uważali mnie za prawnika, prowadzącego jakieś interesy. Zdaje się, pogląd ten wyrobił się z tego, że często widziano mnie piszącego.

Podpułkownik Gnoiński, który nas aresztował, również był tego zdania, że jestem adwokatem, bo przy rewizji jednym z pierwszych pytań jego było: «Pan jest prawnikiem?» Zresztą co do stróża, to jego pojęcie o adwokaturze było dosyć zabawne. Żona moja rozpytywała stróżową o lokatorów domu, w którym mieszkaliśmy. Otóż stróżowa twierdziła, że nad nami mieszka adwokat.

— Adwokat? — pytała żona.

— A tak, proszę pani, on całymi dniami w domu siedzi, a na noc wychodzi — odpowiedziała stróżowa.

Różnica więc pomiędzy mną a moim sąsiadem z góry była tylko ta, że ja na noc nie wychodziłem. Różnica ta nie przeszkodziła stróżowej uważać i mnie za adwokata.

Lecz wracam do urządzenia drukarni. Umeblowanie gabinetu-drukarni składało się z biurka redakcyjnego, w którego szufladach złożone były rękopisy i różne wydawnictwa, potrzebne do redakcji; z otomany, w którą chowaliśmy papier; kosza, do którego szły różne odpadki produkcji, stopniowo po-

tem spalane w piecach mieszkania; szafki składanej, w której się mieściła w górnej części maszynka drukarska, a w dolnych jej szufladkach kaszty z czcionkami i wreszcie z kilku krzeseł. Oprócz tego stały dwie lampy, jedna z nich wysoka, japońska, druga na biurku. Oświetlały one nam pokój przy wieczornej robocie.

Praca zaczynała się o dziewiątej rano, gdy przychodził do nas towarzysz Rożnowski [1]), były student uniwersytetu moskiewskiego, a wówczas nasz technik drukarski i mój wobec służącej i stróża pomocnik. W saloniku stał pod oknem mały stolik japoński, a na nim bożek buriacki, któregom przywiózł z Syberii. Podstawa bożka była wydrążona i tam z wieczora, po skończonej robocie, kładliśmy klucz od drukarni. Rożnowski brał rano klucz i przyprowadzał do porządku zewnętrznego pokój, tak, by służąca sprzątać go mogła.

W tym czasie, gdyśmy z Rożnowskim pili herbatę, żona pod pozorem, że ja nikomu oprócz niej nie pozwalam dotykać się papierów na biurku, pomagała służącej sprzątać w gabinecie. Służąca nie widziała w gabinecie nic prócz mebli, a przy żonie, naturalnie, nie ośmielała się badać ich zawartości. Zresztą rozrzucone na biurku papiery i książki świadczyły o jakiejś inteligentnej pracy, niezrozumiałej dla niej.

Służąca w mieszkaniu, przeznaczonym na drukarnię, była to również inowacja, dotąd w tajnych drukarniach nieznana. Tradycja rosyjska w tych wypadkach nakazywała brać, jako służącą, towarzyszkę, wtajemniczoną we wszystkie szczegóły interesu. Tradycja polska wskazywała na służące przychodnie, jako na wyjście należyte. Co do mnie, postanowiłem wziąć służącą na stałe. Było to bez wątpienia bardzo uciążliwe i wymagało wielkiej baczności, lecz miało i dobre strony.

Przede wszystkim dziwnym byłoby, gdyby w porządnym, burżuazyjnym mieszkaniu nie było stałej sługi, osobliwie, gdy praca ich tak marnie jest opłacana, jak w Łodzi. Następnie towarzyszka, jako służąca, nie uśmiechała mi się wcale. Sługi w domach miejskich stanowią swego rodzaju klub czy stowarzyszenie, znają się wzajemnie i utrzymują stały stosunek ze stróżami. Bałem się jakiejkolwiek niezręczności ze strony towarzyszki, której zadaniem byłoby udawać sługę, niezręczności, która mogłaby zwrócić na nasze mieszkanie uwagę, zrobić je przedmiotem gawęd i podpatrywań. Natomiast byłem zupełnie przekonany, że pierwsza lepsza służąca, wzięta

[1]) Członek P. P. S. (pseudonim «Karol», «Karolek»), który po zdobyciu fachu zecerskiego w drukarni partyjnej w Londynie składał «Robotnika» w Łodzi i został aresztowany po wykryciu jego drukarni.

z biura, zawsze może być utrzymana przez gospodarzy w przyzwoitym oddaleniu od tego lub owego punktu mieszkania.

Tak się też stało u nas w Łodzi. Odrazu zapowiadało się służącej, że miejsce jej jest w kuchni, że «pan» nie lubi, gdy służąca bez potrzeby wchodzi do pokojów «pańskich». Przy tym dawało się im dużą swobodę — chętnie udzielaliśmy naszym sługom urlopów na wieczory.

Przez pół roku mieliśmy dwie sługi. Jedna z nich — sprytna, nieco zepsuta przez miasto, Józia. Tej musieliśmy się strzec ciągle — miała jednak tę dobrą stronę, że lubiła korzystać i nawet nadużywać urlopów. Pomimo swego sprytu nie domyśliła się niczego, nawet stosunku serdecznego, jaki nas łączył z towarzyszem Rożnowskim, do którego przy słudze zawsze mówiłem nieco protekcjonalnie. Wobec tego Józia uważała go za równego sobie.

Pewnego razu, gdyśmy z żoną wyjechali do Warszawy, zostawiliśmy Rożnowskiego w mieszkaniu na gospodarce, Józi zaś daliśmy pieniądze na obiady dla niej i Różnowskiego — czyli pana Karola, jak się tam nazywał — na czas naszej nieobecności.

Sądziliśmy, że Józia skorzysta z tego czasu, by wylatać się po mieście, że więc Rożnowski będzie miał możność pracować. Okazało się jednak, że sprytna Józia zagięła parol na p. Karola i rozpoczęła z nim flirt.

Gdy dała mu obiad, przyszła do pokoju, usiadła przy nim, odgrywając rolę gospodyni. Żartowała z p. Karola, który jej się wydał nieśmiałym.

— Pan zapewne przy nich — mówiła do niego — z wielkiej nieśmiałości nie dojada przy obiadach. Niechże pan teraz je dobrze. Nie trzeba ich żałować, mają dosyć — uświadamiała p. Karola, który się wściekał z takiego obrotu sprawy.

Znacznie mniej uświadomioną była druga nasza służąca, Władzia, która zastąpiła Józię. Ta była cicha, spokojna dziewczyna, zahukana i nieśmiała. Gdy spotkała tu raz ludzkie i łagodne obejście, przywiązała się ogromnie do mojej żony. Natomiast miała złe strony — umiała czytać i nie chciała, pomimo propozycji, jej czynionych, korzystać z urlopów. Przy Władzi chowaliśmy skrzętnie wszystkie nielegalne druki. Przy niej aresztowano nas. Biedna dziewczyna zanosiła się od płaczu. W głowie jej nie mogło się pomieścić, że mogą zabrać i panią domu.

— Pana, jak pana — powtarzała z płaczem, — ale po co panią zabierać?

Swoją drogą muszę przyznać, że służąca, nie wtajemni-

czona w interes, jest ogromnym ciężarem w drukarni. Okoliczność ta wymagała ustawicznej czujności, ciągłego pilnowania każdego poruszenia sługi. Cały ten ciężar spadał na barki gospodyni domu — mojej żony, która od chwili, gdy służąca wchodziła do «pokoju», nie odstępowała jej ani na krok. W rzadkich chwilach, gdy żona wychodziła z domu, zastępowałem ją w tym obowiązku i przenosiłem swą pisaninę lub siadałem z książką w ręku w pokoju stołowym.

Zaraz po rannej herbacie ja z Karolem wynosiliśmy się do gabinetu, do roboty. Robota nasza polegała na pisaniu, składaniu i odbijaniu na maszynce. Pierwsze należało do mnie, drugie do Rożnowskiego, trzecie było naszą wspólną funkcją. Urządzaliśmy się w ten sposób, że od chwili, gdy robota nad numerem «Robotnika» została rozpoczęta, nie przerywaliśmy jej, dopóki nie została skończoną. Dwunasto-stronicowy numer kosztował nas zwykle 15—16 dni pracy, pracy dosyć uciążliwej, trwającej przeciętnie 9—11 godzin dziennie.

Środki nasze techniczne składały się z pewnej ilości czcionek. Petitu mieliśmy na dwie i coś stronice i garmondu na sześć. Oprócz tego pewną ilość liter tytułowych oraz tłustego petitu i garmondu. Mieściło się to w kasztach i w związanych stronicach, pozostałych z dawniejszej roboty, — kaszty i stronice leżały w szafce i otomanie.

Poza tym w szafce stała maszynka drukarska angielskiego systemu «Model-Press». Maszynka niewielka, ważąca coś około 7 pudów, z ramą małą, mieszczącą zaledwie jedną stronicę «Robotnika». I taka właśnie maszynka, używana za granicą, w krajach z cywilizowanymi prawami dla słowa drukowanego, jedynie do odbijania niewielkich ogłoszeń i biletów wizytowych,—taka maszynka stanowiła nadzwyczajny postęp w porównaniu z przed P. P. S-ową techniką drukarską w organizacjach rewolucyjnych pod caratem.

Na maszynce, jak powiedziałem, można było odbijać odrazu tylko jedną stronicę naszego pisma i dopiero po odbiciu jednej można było przystąpić do następnej. W ciągu jednej godziny odbijaliśmy od 300 do 400 egzemplarzy. Szybkość zależała głównie od tego, czy można było w danej chwili sprawiać więcej hałasu, czy nie. W celu zmniejszenia hałasu maszynka była wszędzie, gdzie się różne jej części stykały przy pracy, oklejona gumą, rzemykami i suknem. I raz po raz trzeba było przerywać robotę, by to lub owo w niej naprawić — przykręcić śrubkę, dolać oliwy na osie, przykleić pasek jakiegokolwiek materiału zamiast tego, który odleciał przy robocie. Co pięćdziesiąt egzemplarzy trzeba było rozsmarować farbę na ta-

lerzu i baczyć przy tym, by farby nie było za dużo, bo w tym wypadku arkusiki papieru, złożone po odbiciu jeden na drugim, ogromnie się brudziły i druk stawał się nieczytelnym. Gdy, przeciwnie, brało się farby za mało, to przy małej presji, jaką rozwinąć można było przy tym systemie drukarskim, druk wychodził blado, co na petitowych osobliwie stronicach czyniło druk równie niedogodnym do czytania i niewyraźnym, szczególnie dla ludzi, nieprzyzwyczajonych do czytania, a ci przecie stanowili większość czytelników naszego pisma.

Licząc więc wszystkie przerwy w produkcji, na każdą godzinę pracy wypadało przeciętnie 250—280 egzemplarzy. A że biliśmy wówczas 1900 egzemplarzy pisma, więc samo odbijanie jednej stronicy zajmowało nam 8 godzin pracy. Gdy się zaś doliczy czas, zużyty na przygotowanie do pracy, zabijanie stronicy w ramę, zrobienie korekty i wreszcie usunięcie śladów roboty, będziemy mieli 9 co najmniej godzin tańca koło maszynki dla odbicia jednej stronicy «Robotnika». Była to nasza dzienna produkcja.

Co się tyczy hałasu, sprawianego przez robotę, to przy ostrożnym odbijaniu, gdy się niejako trzymało w garści całą maszynkę i zwracało uwagę na najmniejsze jej kaprysy, największy hałas sprawiała czynność brania z kupy papieru jednego arkusika w celu położenia go na maszynkę. Szelest papieru — oto najgłośniejsza procedura! Nic dziwnego, że w czasie samej roboty służąca z nieodstępną od niej moją żoną mogły sprzątać w sąsiednim pokoju, nie słysząc z gabinetu-drukarni żadnego podejrzanego szmeru.

Muszę jednak przyznać, że odbijanie należało do najprzykrzejszych, najnudniejszych robót, jakie znam.

Chwytasz arkusik papieru, przymierzasz go tak, by upadł akurat w odpowiednim miejscu naprzeciw czcionek; przyciskasz rączkę maszynki — kłap! Paszcza się zamknęła, papier dotknął się do czcionek, wałki pobiegły na talerz; podejmujesz rączkę do góry — paszcza się otworzyła, odkładasz zadrukowaną stronę na lewo i znowu dalej w kółko. I gdyby nie było żadnych przeszkód, gdyby można było nie zwracać uwagi ani na hałas, sprawiany przez maszynę, ani na to, co się w sąsiednich pokojach dzieje, gdyby można było zlać się niejako z tą maszynką, zastosować się zupełnie do jej poruszeń i klapać sobie spokojnie, myśląc o czym innym. Ba! zapomniałeś się, a już słyszysz okrzyk towarzysza pracy, który dłubie przy kaszcie.

— Cholera! Maszyna zanadto huczy! Może podlać oliwy?

Albo słyszysz ostrzegawcze nucenie żony, co oznaczało.

że służąca jest w pokojach, że należy bić ciszej, ostrożniej obchodzić się z kapryśną maszyną.

Karolek, gdy pracował przy maszynie, lubił pogawędzić, pożartować; co do mnie — zawsze byłem zły i milczący, gdy dotykałem żelaznej, chłodnej rączki maszyny. Niecierpliwym okiem rzucałem spojrzenia na powoli zmniejszającą się kupę papieru po prawej stronie — papieru, który jeszcze przez maszynę tego dnia przejść musiał, złościłem się na każdą przeszkodę, co mnie zmuszała do uważniejszego traktowania klekoczącej maszynki.

Maszynka wysoka była dwie trzecie metra, szerokość jej była znacznie mniejszą — nie więcej nad trzecią część metra. Z łatwością więc wchodziła do niskiej szafki, której ścianki mogły być wyjmowane przy robocie i wkładane po skończeniu pracy. Jeden człowiek nie mógł podnieść maszynki i w razie konieczności przenoszenia jej z miejsca na miejsce trzeba było do niej dwóch ludzi. Gdy zaś był przy niej tylko jeden człowiek, musiał ją przesuwać, podnosząc z kolei to jeden, to drugi koniec maszynki. Przy przenosinach i przewożeniu z mieszkania do mieszkania, lub zmianie miasta, maszynkę rozbierano na części różnej wielkości — największą była podstawa, ważąca połowę wagi całej maszynki, — pakowano do koszów, zapełniano puste miejsca sianem lub pościelą i jazda w świat.

Maszynka, która ze swej paszczy wyrzuciła przed aresztowaniem setki tysięcy różnych wydawnictw, która przez dłuższy czas stanowiła cel poszukiwań ogromnej zgrai szpiegów i żandarmów, której dłuższe istnienie było naigrawaniem się z potęgi rządu carskiego, — maszynka stała zupełnie odkryta na swej zwykłej podstawie, z pierwszą stronicą trzydziestego szóstego numeru w swej ramie, gdy w noc lutową wpadli do nas żandarmi. Oglądano ją z pewnym podziwem i szacunkiem. Szpicle z ciekawością dotykali się żelaza, dziwiąc się, że taka drobnostka tak duże znaczenie mieć może. Odbito na papierze stronicę, zabitą w ramy. Podpułkownik Gnoiński przeczytał półgłosem, dyktując protokół rewizji:

— Trzydziesty szósty numer «Robotnika», data dwudziesty piąty luty. Artykuł wstępny «Tryumf swobody słowa».

«Orłow, szef żandarmów «żandarma Europy», Mikołaja I, odprowadzając razu pewnego swego znajomego, odjeżdżającego za granicę, prosił go o załatwienie tam małego interesu. Gdy będziesz pan w Norymberdze — mówił mu — zajdź pan pod pomnik Gutenberga, wynalazcy druku, i pluń mu pan ode mnie w oczy. Od niego całe zło na świecie pochodzi!»

— *Wot wam i Gutienberg!* [1]) — zwrócił się do mnie podpułkownik z sarkastycznym uśmiechem, wskazując na otaczających mnie i żonę policjantów. — *Da, kak widitie, ot niewo wsio zło!* [2])

Artykuł wstępny traktował o zniesieniu w Austrii stempla dziennikarskiego i o zamiarze naszych towarzyszów w Galicji wydawania codziennego pisma «Naprzód». Tam był tryumf, tu porażka swobody słowa, pohańbienie wielkiego wynalazku Gutenberga.

Przyznam się, że pomimo wielu niewesołych chwil, spędzonych przy maszynce, pomimo, iż nieraz wściekałem się na nią przy robocie, wymyślając jej od «starego klekota», «głupiego bydlęcia» i «cholery», ścisnęło mi się serce, gdym tę «cholerę» zobaczył w plugawych łapach szpicli w chwili przenoszenia jej z szafy do kosza. Gdy na kosz Gnoiński kładł pieczęcie, stałem zgryziony, jak gdyby zapadało wieko trumny nad kimś bliskim, serdecznie kochanym. Tyle nadziei, tyle miłości, tyle poświęcenia było związane z tym kawałkiem żelaza, skazanym oto na milczenie i bezczynność!

Wybaczą mi czytelnicy liryczne odstąpienie od rzeczy. Jestem przekonany, że wyraziłem w nim nie swoje jedynie uczucie, uczucie człowieka, który z tą maszynką splótł swe losy. Takimi uczuciami był przejęty i niejeden ze stałych czytelników «Robotnika», gdy go doszła wieść o wzięciu przez żandarmów drukarni. Opowiadano mi, że niektórzy robotnicy rzewnymi łzami opłakiwali stratę partyjną, że powszechnie wiadomość o łódzkiej katastrofie sprawiała wstrząsające wrażenie.

Oprócz składania i odbijania druków na maszynce mieliśmy jeszcze jedną techniczną robotę — obcinanie papieru. Arkusik papieru zwykłego jest za długim dla formatu «Robotnika». Trzeba go skrócić. Przy biciu odezw trzeba również dopasować papier do wielkości odezwy. Robota to przykra, gdy się ją wykonywa zwyczajnym nożem. Karolek po niej zawsze miał spuchniętą rękę i pokaleczone palce. W dodatku, jako odpadek od tej roboty, pozostawały obrzynki papieru w ogromnej ilości. Chowaliśmy je na razie do kosza. Następnie zaś korzystaliśmy z każdej okazji, by je zniszczyć — spalić w piecu. Specjalnie w tym celu kazaliśmy palić w piecach wieczorami, gdy łatwiej było uniknąć oka służącej.

Wówczas z kosza wyciągało się kupę obrzynków i pa-

[1]) Ot, ma pan Gutenberga.
[2]) Tak, jak pan widzi, od niego całe zło.

kowało się je do pieca. Naturalnie, korekty, rękopisy zużytkowane i wszelkie niepotrzebne papierki niszczyliśmy natychmiast. Codzień wieczorem przed zejściem z roboty i rano przed jej rozpoczęciem oglądaliśmy wszystkie kąty drukarni, czy nie ma gdzie zapomnianego papieru lub czcionki, czy nie została gdzie plama od farby lub oliwy.

Przechodząc teraz do roboty redaktorskiej, zauważę przede wszystkim, że wątpię, by był jakikolwiek redaktor na świecie, który w takiej jest zależności od zecera i techniki, jak redaktor «Robotnika». Robota nad numerem zaczyna się od środka, zwykle od działu: korespondencje. Nie można inaczej postąpić, bo przecie robota ma trwać parę tygodni, mogą zajść różne wypadki, wymagające wypowiedzenia się pisma albo w artykułach, albo w kronice, kończącej numer. Odbija się stronę jedną w ciągu dnia i, rzecz prosta, z tego, co już jest wydrukowane, niepodobna nic wyrzucić, choćby nadeszły świeże, większego znaczenia, dane. Następnie wobec braku czcionek i sił technicznych wciąż trzeba się liczyć z czasem zecera, pisać to, co on w obecnej chwili składać może.

Wreszcie przeklęta robota dopasowywania swej myśli do tej lub owej szpalty do tej lub owej przestrzeni na papierze, pozostawionej do druku. Oto napisałem wstępny artykuł, do którego od środka zbliżyła się robota. Napisałem go, wkładając weń wszystko, co leżało na dnie duszy, myśląc wobec braku miejsca nad każdym słowem, dopasowując je do duszy i myśli przyszłego czytelnika. Następne artykuły już są wydrukowane, zecer składa i oblicza. Już złożył trzy czwarte wstępnego, gdy po obliczeniu wypada, że artykuł jest o osiem lub dziesięć wierszy za długi. Kładź go na łoże Prokrusta, doszukuj się słów zbytecznych, możliwych do wyrzucenia bez zmiany sensu, bez nadwyrężenia treści.

Albo np., co się nieraz przy petitowych stronicach zdarzało. Jedna strona petitowa odbija się, drugą Karolek składa. Pod wieczór oświadcza mi, że mu zabrakło litery «r».

— Wiecie — odzywa się do mnie, — możebyście mi z parę tych «r» wyrzucili z rękopisu, będzie z tym mniej kłopotu, niż przy jutrzejszej korekcie.

Materiału do teki redaktora napływa dosyć dużo, lecz przeważnie jest to materiał do działu: korespondencje. Tych jest mnóstwo. Możnaby nimi cztery takie numery zapełnić i jeszcze zostałoby trochę do piątego. Pisane ręką najczęściej niewprawną, nieraz bez ładu i składu, przeważnie rozwlekle, zawierają one skargi i bóle tysięcy ludzi, którzy szukają dla nich ujścia w swym skromnym piśmie. Szare to, monotonne, jak

nędza ludzka; gdzie niegdzie przebija szczery humor, wzrok się zatrzyma na dosadnym, ludowym określeniu, które skwapliwie redaktor podkreśla czerwonym ołówkiem, by je zachować, jak perłę, w piśmie. Znowu notatka, śpieszną, wprawną ręką skreślona na marginesie:

— Proszę o zamieszczenie, potrzebna w robocie!

To któryś z menerów, prowadzących robotę, notuje tak korespondencję. Widocznie świeży stosunek lub ma tam nastąpić strejk, czy inne wystąpienie. Odkładasz tę korespondencję na stronę.

Gdzie indziej znowu naiwne zakończenie korespondencji: «Przepraszam redakcję za styl, ale proszę wydrukować, dużo u nas ciemnych, może ich oświeci». To agitator fabryczny lub warsztatowy, biedzący się gdzieś wśród otoczenia biernych, mało mu współczujących ludzi, prosi o pomoc słowa drukowanego.

Przeczytujesz te dokumenty, wsłuchujesz się w to pasmo jęków i skarg. Umieścić wszystkiego nie można. Wiesz dobrze, że korespondencja, o ile jest czytaną chciwie przez robotników fabryki, która tam jest opisaną, o tyle nie wzbudza żadnej prawie ciekawości w reszcie czytelników. Wybierając z pomiędzy mnóstwa korespondencji część — resztę usuwasz na bok. Teraz trzeba te korespondencje przerobić, skrócić, lecz skrócić tak, by zachować w jakikolwiek sposób piętno duchowe, wyciśnięte na niej przez autora. Doszukujesz się więc w korespondencji jakichkolwiek określeń, frazesów, słów charakterystycznych, by je zachować w druku.

Wreszcie dział «korespondencje» skończony. Nowy kłopot z kroniką i artykułami. Pismo ma charakter pisma codziennego, a zarazem wychodzi rzadko, raz na miesiąc albo i rzadziej. Proszę w dziesięciu stronicach zmieścić miesięczne albo dwumiesięczne wypadki, proszę wśród tej mnogości zatrzymać się na jednych, odrzucić inne, proszę wynaleźć tematy dla artykułów, tematy, o tyle żywotne, o tyle będące na czasie, by z pisma, a raczej numeru, zrobiły organ żywy, odpowiadający nastrojowi i potrzebom chwili. Nie wiem, jak inni redaktorowie, lecz ja nieraz suszyłem sobie głowę nad tym wszystkim, nieraz z jednego kłopotu, polegającego na tym, że nie ma o czym pisać, nie ma tematów, przechodziłem do drugiego — *embarras de richesse* tematów i zagadnień. W dodatku cała robota redaktorska prowadzona jest urywkami, obok codziennej, cztero lub pięcio-godzinnej pracy przy maszynce, która to robota z powodów konspiracyjnych i technicznych jest główną, dominującą przy rozkładzie pracy.

Lecz wreszcie robota nad numerem ma się ku końcowi. Znamionuje ten upragniony koniec przybycie tzw. «ostatnich wiadomości», dla których pozostawia się dwie stronice pisma, lub nawet, jeśli w czasie pracy nad numerem był jaki przypływ danych ze świata partyjnego, jedna ostatnia stronica. Dla dostarczenia ostatnich wiadomości posyła się któregoś z towarzyszów do drukarni, albo też jeden z pracujących w niej wyruszyć musi po nie. Następuje uroczysta chwila, gdy ostatnia strona idzie pod prasę.

Wytężona kilkotygodniowa praca skończona. Za kilka godzin świeży pocisk rewolucyjny wyruszy w świat, by poruszyć żywiej serca tysięcy wiernych towarzyszów pracy, budzić śpiących, pokrzepiać strudzonych, złożyć raz jeszcze świadectwo niespożytej energii ruchu, urągającego w żywe oczy piekielnej potędze cara i sług jego.

Nastrój wśród pracowników jest dobroduszny, nieco podniecony i gorączkowy. Zmęczenie i kłopoty są zapomniane. W pokoju brzmi śmiech, padają z ust żarty i dowcipy. Ile to razy chciało mi się sfotografować pracowników drukarnianych właśnie w tej radosnej chwili, gdy robota jest na ukończeniu.

Na biurku, z którego usunięto wszystko, leżą dwie duże kupy zadrukowanego papieru. Są to arkusiki, zawierające po cztery stronice «Robotnika». Trzecia kupa leży na stoliku obok maszynki, świeci ona jedną białą stronicą — ostatnią, mającą pójść w tym numerze pod prasę. Jeden z nas staje do bicia. Oto rozlega się suchy szelest papieru, lekkie skrzypnięcie maszynki, arkusik wyskoczył z paszczy. Drugi z nas ze złożonymi już dwoma innymi arkusikami czeka. Oto ostatni arkusik już dopasowany i pierwszy egzemplarz nowego numeru gotów. Takim pójdzie w świat.

Robota na chwilę się przerywa. Oglądamy numer tak, jak gdybyśmy nie widzieli już dziesięć razy każdej literki, z których on się składa. W całości jednak to inaczej wygląda. Zapalamy papierosa, przerzucamy stronice, dyskutujemy nad wrażeniem, jakie ta lub owa część numeru wywołać może, omawiamy techniczne braki.

— Cholera! — wołam, spostrzegając błąd korektorski, — że też wy, Karolku, tak często to «e» do góry nogami przewracacie. Źleście studiowali zecerkę, moi drodzy! Jeżeli tak było z waszymi studiami nad przyrodą, to diabła warta wasza nauka.

— No, no! — śmieje się basem Karolek, — to już rzecz korektora, pewnieście to «e» przegapili. To się wam zdarza! W ogóle fuszer z was! — odcina się, — o! patrzcie, na siód-

mej stronicy, jak rozlany jest petit, pewnieście według swego zwyczaju machnęli za dużo farby!

Oglądamy ową nieszczęsną siódmą stronicę. W istocie, za dużo było farby. Pocieszamy siebie tym, że te braki techniczne są niezbitym dowodem produkcji krajowej, która przecie zawsze jest niższą od zagranicznej pod względem wykonania.

— Oddamy te pięćdziesiąt egzemplarzy z powalaną stronicą do Warszawy — proponuje Karol, — tam ludzie są wprawniejsi do czytania, niż na prowincji.

— Albo — dodaję — wyślemy te egzemplarze za granicę. Niech zagraniczni studenci psują sobie oczy.

— Ale my tu gadu, gadu — woła Karol, — a pociąg na nas czekać nie będzie. Data już wydrukowana, cofać się niepodobna.

Po chwili słychać znowu miarowy szelest papieru i lekki zgrzyt żelaza, kupka papieru po lewej stronie maszynki, papieru w całości już pokrytego czarnymi, świecącymi jeszcze od farby punkcikami, zwiększa się coraz bardziej.

— Można już falcować! — mówi Karolek, — nadążę z biciem.

Z biurka biorę notatki, porównywam z innymi. W notatkach jest oznaczona ilość egzemplarzy, wymaganych przez poszczególne organizacje lokalne. Lwią część, bo więcej niż trzecią, zabiera Warszawa, serce i przodownik kraju. Dalej idzie Łódź, Zagłębie, Wilno i inne punkty, objęte ruchem, gdzie dziesiątki i setki ludzi z niecierpliwością wygląda świeżego zwiastuna uporczywej walki o swobodę i szczęście. Kładę skorygowaną ostatecznie notatkę przed sobą, zabieram kupkę odbitego ostatniego arkusika i zaczynam falcować.

Raz, dwa, trzy — trzy arkusiki trzymam w ręku, wstrząsam nimi, równam i wreszcie załamuję przez pół, przyciskam palcem; rozczłonkowany dotąd numer, zbity w jedną całość, pada na podłogę. Za nim drugi, trzeci. Kupa na podłodze rośnie z każdą chwilą. Pracujemy jednak nie w milczeniu. Radość z powodu zakończenia pracy nie pozwala milczeć. Raz po raz zagląda do pokoju żona i paru urywanymi słowami bierze udział w naszej uroczystości. I dla niej praca, wyczerpująca jej nerwy, praca pilnowania służącej, kończy się dzisiaj. Wszyscy promieniejemy z radości.

Mąci nieco radość konieczność pośpiechu. Trzeba zdążyć na pociąg, na określoną godzinę, bo już wszystko w Warszawie jest umówione. W oznaczonym z góry terminie «Robotnik» musi być dostarczony na umówione miejsce, skąd

w tej samej chwili częściami będzie wyniesiony do ludzi, już przygotowanych do tej chwili, ludzi, którzy tegoż dnia rozdadzą go pierwszym odbiorcom pisma. Opóźniać się więc nie można bez naruszenia sprawności całej maszynerii kolporterskiej.

Raz po raz któryś z nas spogląda na zegarek, mrucząc: «Czy zdążymy?»

— Dla Warszawy egzemplarze już gotowe — odzywam się, oglądając ogromną kupę papieru, leżącą obok krzesła. — Czy nie za ciężka będzie walizka z tą masą bibuły? Trzeba spróbować.

Walizka, wyciągnięta na środek pokoju, otwarta. Układam po 50 egzemplarzy, oddzielając jedną kupkę od drugiej wąskim paskiem papieru. Tam przy podziale bibuły ludzie muszą się śpieszyć, trzeba im ułatwić robotę. Podnosimy wreszcie walizkę, oceniając jej wagę. Prowadzimy spór o to, czy można jeszcze cokolwiek dołożyć do niej.

Przy obiedzie umawiamy się o przyzwoite obstawienie wyjazdu. Służąca musi być usunięta z mieszkania na tę chwilę lub też żona musi pójść do kuchni i zająć ją przez czas wynoszenia pakunków. Mówiliśmy o sprawach, które wyjeżdżający załatwić musi. Wyjeżdżającego ogarnia stopniowo «Reisefieber», odczuwa on, obok pewnego niepokoju o powodzenie zbliżającej się podróży, przyjemność wyjścia na świeże powietrze, pozbycia się na czas pewien kłopotu i obowiązków, związanych z drukarnią.

Wreszcie wszystko zapakowane, ułożone. Ubieramy się szybko, bierzemy w ręce pakunki i świeży numer «Robotnika» opuszcza drukarnię, puszczając się na niepewną podróż do rąk stałych odbiorców pisma. Chwila pożegnania, zaturkotały koła dorożki. Jeden z nas powraca do domu z lekkim niepokojem w sercu, drugi, trochę wzruszony, duma w dorożce nad przejściem przez dworzec wiedeński w Warszawie, dworzec, mocno obsadzony szpiclami i «zielonymi» dozorcami.

* * *

Oto jak wygląda nasza drukarnia w Łodzi. Tak samo mniej więcej muszą i musiały wyglądać drukarnie z czasów przed-łódzkich i po niej. Główna różnica polega nie na zewnętrznym wyglądzie, lecz na osobach. W łódzkiej pracował Józef i Karol (który zresztą na chrzcie świętym otrzymał imię Kazimierza), w innej jacyś iksy i igreki, z innymi nieco zale-

tami i wadami, którzy, zależnie od swej psychiki oraz warunków mieszkania i miasta, potworzą sobie inne, odmienne prawidełka postępowania, inny rozkład pracy.

Opowiadano mi np. o jednym z redaktorów «Robotnika» [1]), który był spokojnym tylko wówczas, gdy okno parterowego mieszkania było zamknięte. Z chwilą, gdy dla przewietrzenia lokalu otwarto okno, kręcił się niespokojnie po pokoju, przypinając opuszczone story tak, by jak najszczelniej przylegały do ramy okna. Zwykł był wówczas powtarzać:

— Jeżeli nas co zgubi, to świeże powietrze. Jestem tego pewien!

Albo też wpadał na myśl, że gdy zapałka błyśnie w pokoju w czasie roboty, przechodnie z chodników mogą dojrzeć wnętrze pokoju z maszynką drukarską, wyciągniętą do roboty z szafy. Dla zapalenia więc papierosa wychodził do drugiego pokoju lub usuwał się za szafę. Gdy zaś kto wbrew zakazowi zapalał zapałkę bez żadnej ostrożności, strofował go.

— Nie rób iluminacji! — odzywał się ostro.

O innym towarzyszu, zajętym w drukarni, opowiadano mi, że nie znosił, by na oknie leżała jaka drukowana książka. Żartowano z niego, że gwałtownie pożąda, by go otoczenie posądziło o analfabetyzm, lecz on, niezrażony, usuwał starannie każdy druk z okna, mówiąc na usprawiedliwienie:

— To jest konieczne! W ten sposób przyzwyczajam siebie i innych — tym «innym» był, naturalnie, jego mniej porządny i systematyczny współpracownik — do porządku. Dziś zostawi się na oknie jakiś druk legalny, a jutro się zauważy, gdy tam leżeć będzie numer «Robotnika» lub odezwa.

Inny znowu utworzył jakoby cały złożony system wieszania odzienia i ręczników w różnych miejscach, system, mający ubezpieczać i osłaniać maszynkę i zecera od możliwych spojrzeń z ulicy do pokoju. System polegał na tym, że wzrok przechodnia, rzucony wypadkowo na mieszkanie, zajęte na drukarnię, spotykał wszędzie jakąś naturalną i nie zwracającą uwagi zaporę.

Co do mnie osobiście, to wyznam, że wątpię, by te prawidełka miały rację bytu, by się przyczyniały do zabezpieczenia drukarni. Widzę w nich jedynie zupełnie zrozumiały wytwór niepokoju tego lub owego towarzysza, niepokoju, który szuka jakiegoś ujścia, jakiejś roboty w celu usunięcia jego. Walka z «iluminacją» lub coś podobnego jest tym ujściem, tą robotą — uspokaja nerwy, daje pozór czynnego usuwania

[1]) Dr Feliks Perl.

niebezpieczeństwa, wiszącego ustawicznie nad głową towarzyszy, pracujących w drukarni.

Ta świadomość niebezpieczeństwa wraz z bezsilnością wobec niego oraz poczuciem odpowiedzialności, leżącej na towarzyszach, pracujących przy drukarni, stanowi ogromnie ciężką, wyczerpującą nerwy stronę życia drukarnianego. Przy opisie biur transportowych zauważyłem, że stanowisko to należy do najtrudniejszych i najbardziej męczących w partii. Uogólniając to założenie, zastosować je należy do wszystkich «interesów» partyjnych: biur transportowych, druków, składów.

Wtedy, gdy towarzysze, zajęci agitacją i robotą organizatorską, tworzą w wielkim stopniu te warunki, wśród których pracują, biorą żywy udział w życiu, mają wrażenia i przyjemność czynnego życia — towarzysze, zajęci w «interesach» partyjnych, zależni są od pracy tamtych, przygwożdżeni są do tego lub owego miejsca lub mieszkania, skazani na brak wrażeń i towarzystwa, na monotonne życie i bezsilne oczekiwanie mogącego spaść na ich głowy piorunu w postaci najścia żandarmów. Spróbowałem tego życia i muszę wyznać, że nie uśmiechałoby mi się wcale przykucie siebie do taczki tego lub owego «technicznego interesu» P. P. S.

Z powyższego opisu drukarni łódzkiej widocznym jest, jak mało samo urządzenie drukarni ma «romantycznych» szczegółów, jak prostym i zwyczajnym jest ono. Każde nieledwie mieszkanie, trochę zabezpieczone od ciekawości otoczenia, może służyć, jako lokal dla drukarni. Trochę pozorów, przystosowanych do miejsca, wybranego, jako locum dla drukarni, wystarcza, by wśród ludzi, zajętych przeważnie swoimi interesami, ukryć istotny cel zamieszkania tego lub owego towarzysza. Jak najmniej tajemniczości, jak najwięcej pozorów zwykłego filisterskiego życia — oto zasada konspiracyjna, najbardziej zabezpieczająca drukarnię.

W tak zabezpieczonym mieszkaniu, mając odpowiednią maszynkę, możnaby wydrukować całe mnóstwo rzeczy, całe góry bibuły. Ograniczenia wytwórczości pochodzą przeważnie nie z wewnętrznych przyczyn, lecz z zewnętrznych — z konieczności ograniczania stosunków ze światem poza drukarnią. Te właśnie stosunki, o których przeważnie ludzie, starający się wyobrazić sobie tajną drukarnię, nie myślą wcale, te stosunki są najpoważniejszą przeszkodą produkcji i najbardziej zarazem niebezpieczną rzeczą dla wydawniczego «interesu» partii.

Niektóre stosunki są integralną częścią samej produkcji — jak np. dostarczenie papieru i farby drukarskiej. Inne

zaś są koniecznym dopełnieniem drukarni, stanowiącym o celowości jej istnienia — są nimi stosunki ze światem partyjnym, otrzymywanie materiałów, danych i wskazówek dla redaktora oraz wywóz z drukarni wyprodukowanej przez nią bibuły.

Farbę sprowadza się z zagranicy lub też zdobywa się przez stosunki partyjne w tym czy innym miejscu. W tym więc wypadku w dostarczaniu farby drukarnia jest zależna od towarzyszów, zajętych przy innej pracy, i otrzymuje ją przy okazji razem z innymi rzeczami, dostarczonymi do drukarni. Lecz papier prawie wyłącznie jest kłopotem towarzyszów drukarnianych. I kłopot to nielada.

Zdawałoby się, cóż łatwiejszego? Pójść do sklepu, zamówić potrzebną ilość, wziąć na dorożkę i dowieźć do drukarni. Ba! Przede wszystkim papieru tego zużywa się w drukarni dosyć dużo. Każde większe zamówienie zwraca uwagę kupca, chociażby dlatego, że jest to interes, korzystny dla kupca, chcącego, naturalnie, zatrzymać dla siebie nowego klienta. Stąd przy większych zakupach naturalna ciekawość kupca. Przy pierwszym kupnie papieru w Łodzi, gdyśmy z Karolkiem wybierali papier, najodpowiedniejszy ze względu na format, grubość i cenę dla naszej produkcji, usłyszeliśmy od sprzedającego mocno przykre dla nas pytanie:

— Państwo mają drukarnię? — pytał z miłym, ujmującym uśmiechem kupiec.

Co do mnie, gotów byłem za to pytanie huknąć w kark pana kupca. Bo przecie pytanie, chociażby najgłupsze, wymaga odpowiedzi.

— Drukarnię? — odparłem. — Skąd znowu! Nie stać nas na to. Mamy sklep w Tomaszowie, proszę pana.

Wątpię, by odpowiedź bardzo zadowoliła interpelanta, który prawdopodobnie lepiej, niż ja, znał okoliczne sklepy i sklepiki z papierem.

Zresztą uniknąłem w ten sposób innej, również krępującej, propozycji, z jaką się zwykle zwracają do zakupujących większą ilość towaru.

— Gdzie pan każe odesłać? — pyta grzecznie kupiec, z zadowoleniem i szacunkiem oglądając solidnego klienta.

Niech ich diabli porwą z tą grzecznością! Wykręcaj się znowu, znajduj jakąś głupią wymówkę.

To kupowanie papieru to jedna z najprzykrzejszych funkcji w drukarni. Z prawdziwą rozkoszą i przyjemnością patrzy w tym położeniu człowiek na kupca obojętnego, nie nadskakującego, nawet gburowatego.

I oto zbieraj papier, potrzebny dla produkcji, stopniowo,

częściami, kalkuluj, czy niezbyt często się zachodziło do tego lub owego sklepu, zbieraj dane o sprzedaży papieru w mieście, ściągaj nawet papier z miast innych. Licz się następnie z tym, że częste przywożenie pakunków do mieszkania nie należy również do rzeczy konspiracyjnych, że zwrócić to może uwagę otoczenia, zmusić do myślenia stróża, stójkowego, stojącego w pobliżu, służącej z sąsiedniego mieszkania, ciekawszego lokatora itd.

Znacznie przyjemniejsze są stosunki drukarnianych towarzyszów ze światem partyjnym. Stojąc zdaleka od wiru życia partyjnego, będąc przykuci do monotonnej, nużącej pracy, tęsknią oni zawsze do jakiejkolwiek wiadomości o ludziach, im bliskich, walczących pod jednym z nimi sztandarem. Każde zetknięcie się z tym światem partyjnym, czy to będzie przyjazd którego z towarzyszów do drukarni, czy też odwrotnie — wyjazd którego z więźniów drukarnianych w świat — stanowi swego rodzaju uroczystość. Informacje otrzymane zawsze wydają się zbyt skąpymi, rozmowy zbyt urwanymi, dane zbyt niedostatecznymi — tak mało odpowiadają one długim oczekiwaniom.

Głównie zżyma się przy tych zetknięciach się z ludźmi partii — redaktor. Miał on tysiące wątpliwości przy pisaniu i teraz wymaga rozstrzygnięcia ich.

— Wydaliście odezwę do robotników takiej i takiej fabryki — mówi, — dobrze, ja o tym muszę napisać. Lecz, u licha, nic nie wiem dotąd, jaki był skutek odezwy!

Albo też, przerzucając dostarczone mu wydawnictwa, ze złością mówi:

— Znowu nie ma niemieckich wydawnictw. Chcecie, żebym zidiociał w tej dziurze. Nie wymagajcie ode mnie mądrych artykułów, jeśli nie umiecie dbać o moją mądrość.

Zarzuca pytaniami, jakie wrażenie ta lub owa część numeru wywarła, co o numerze mówili itd.

Niestety, pretensje redaktora są zbyt często zupełnie uzasadnione. Przeklęte warunki życia pod batem moskiewskim nie pozwalają na urządzenie porządnego informowania redaktora pisma partyjnego, a niepodobieństwo utrzymywania częstych stosunków z drukarnią uniemożliwia ścisłe pożycie jego z ruchem partyjnym.

Te stosunki ze światem partyjnym, chociaż z natury rzeczy rzadkie, stanowią zarazem najpoważniejsze niebezpieczeństwo dla drukarni. Każdy z ludzi partyjnych może przyjść do drukarni, nie będąc «czystym» — jak określa techniczne słowo ludzi, nie mających za sobą ogona w postaci

szpiega. Również i towarzysze drukarniani mogą przy wyjazdach «zabrudzić się», ocierając się o «brudne» stosunki i «nieczystych» towarzyszów.

Naturalnie, niebezpieczeństwo stosunków drukarni ze światem partyjnym stawia poważną tamę produkcyjności drukarni. Nie ma sensu produkować, gdy towar z fabryki nie może być zabrany. I w tym właśnie kierunku jest zwrócony cały wysiłek maszynerii organizacji, chcącej zwiększyć produkcję swej fabryki bibuły krajowej.

Oprócz większych drukarń bywają urządzane mniejsze, podręczne, przeznaczone dla załatwiania spraw, wymagających szybkości. Do takich właśnie należała odkryta w tym roku drukarenka w Brześciu. Pod względem technicznym stoją one na poziomie przed P. P. S.-owego okresu, chociaż przy energii techników rozwijają niekiedy zdumiewającą czynność.

Jak mnie zapewniano, jedna z nich w przeciągu dwóch miesięcy wydała 29.000 egzemplarzy odezw rozmaitych.

Z jakimi trudnościami mają nieraz do walczenia towarzysze, pracujący w takich drukarniach, sądzić można z faktu następującego.

Gdy partia postanowiła wydawać odezwy żydowskie, sprowadzono trochę czcionek odpowiednich. Na razie jednak nie miano zecera, znającego żargon, a akurat wypadła potrzeba wydania odezwy żargonowej. Myślano długo, jak załatwić ten interes. Wreszcie jeden z towarzyszów wpadł na taki pomysł.

Kupiono alfabet żargonowy i pod każdą literą postawiono odpowiednią literę łacińską. Autor odezwy, napisawszy ją w żargonie, przepisał ją literami łacińskimi, zgodnymi z powyższym alfabetem. Biedny zecer, który nigdy dotąd nie widział dziwacznych literek żargonowych, nieprzyzwyczajony do odwrotnego składania, kładł do winkla literkę obok literki, nie rozumiejąc zupełnie, co robi. Nagle ku wielkiemu zdumieniu zabrakło mu litery «e». Zdawało mu się, że cała sprawa jest na nic. Na szczęście, miano do czynienia z tak dziwnym językiem, jak żargon. Gdy w kłopocie zwrócono się znowu do autora odezwy, ten przejrzał raz jeszcze rękopis, wykreślił w niektórych miejscach nieszczęsną literę «e», zastępując ją jakąś inną i ułożył odezwę tak, by tego «e» wystarczyło na całość.

Z polskimi odezwami, naturalnie, tak gładko załatwić się nie można. Trzeba nieraz uciekać się do różnych środeczków zecerskich: przerabiać «é», «ń» na «e» i «n», fuszerować, dobierając litery z innego pisma. Widziałem nawet odezwę,

z której połowa była złożona jednym pismem, druga zaś część innym. Wielu z czytelników sfuszerowanej odezwy wzrusza zapewne ramionami z powodu takiej drobnostki. Lecz ja pomimo woli obok jakiejś skaleczonej litery, obok fuszerki dostrzegam zakłopotaną, zbiedzoną twarz towarzysza, pracującego z mieczem damoklesowym nad głową w jakiejś izdebce, gdy sięgając po czcionkę do którejkolwiek przedziałki naprędce skleconej kaszty, wyczuje pod palcami pustkę. Trzeba przerwać robotę, obmyśleć sposób wyjścia, zaradzić brakowi. A tu z robotą śpieszyć należy, bo odezwa spóźnić się nie może, termin odebrania jej z drukarni już jest umówiony, na określony już czas przygotowani są towarzysze, którzy odezwę rozpowszechnią.

Kończąc rozdział o drukarniach, chcę z prawdziwą przyjemnością zaznaczyć, że od czasu Łodzi technika drukarska zrobiła krok naprzód. Gdy przeglądam obecne numery «Robotnika», widzę, że znacznie mniej w nim cech «krajowej» produkcji, niż dawniej. Mniej jest zabrudzonych i bladych, jak twarz suchotnika, stronic, mniej fuszerek w odbijaniu. Jak mnie zapewniano, pochodzi to głównie z tej przyczyny, że obecnie użytą jest do roboty maszynka innego systemu, pozwalająca na zastosowanie większej presji. Oprócz tego, od jubileuszowego — pięćdziesiątego — numeru «Robotnik» zwiększył znacznie swój format. Do każdego numeru dodano nieledwie cztery stronice dawnego formatu, więc zwiększono go o trzecią część.

W tym czasie zaszła też inna, głębszego znaczenia, zmiana w sprawie drukarń tajnych. Dopóki drukarnia nie przeszła przez próbę ogniową aresztowania, dopóty była ona centralnym punktem życia partyjnego, dopóty istniała wieczna wątpliwość, czy w razie nieszczęścia partia będzie w stanie zapełnić lukę, dopóty wreszcie była ona szczególnym celem dla żandarmerii i jej agentów. Do katastrofy łódzkiej drukarnia, gęstymi zasłonami tajemnicy otoczona, była dla ludzi, rewolucyjnie usposobionych, czymś cudownym, czymś romantycznym, nimbem okolonym, wyglądała, jak mityczna forteca, znikająca z oczu szturmującego do niej wroga.

Lecz oto przyszła lutowa katastrofa — drukarnię aresztowano, wstępnym bojem zdobyto tajemniczą fortecę. Nie minęło jednak i dwóch miesięcy, a partia z podziwu godną energią puściła w obieg świeży numer, a po pewnym czasie, koniecznym dla dopasowania maszynerii organizacyjnej do nowych warunków, «Robotnik» zaczął się ukazywać równie periodycznie i spokojnie, jak dawniej. To, co przed ośmiu laty

uznanym było, jako nadzwyczaj śmiałe, «romantyczne» przedsięwzięcie, to, czego się obawiały «pozytywne» umysły, okazało się wcale nie tak trudnym i nie tak strasznym. Partia pod względem drukarnianym przeszła względnie łatwo przez chrzest ogniowy.

Fakt ten wpłynął na spowszednienie wyjątkowego, podziwianego niegdyś, zjawiska. Ludzie się doń przyzwyczaili, uważając za zupełnie normalną rzecz, by od czasu do czasu widziano numer «Robotnika» z nieobeschłą jeszcze farbą drukarską, by w chwili odpowiedniej pojawiały się odezwy z podpisami centralnego lub lokalnego robotniczego komitetu. Ba! dają się coraz częściej słyszeć pretensje i skargi na to, iż «Robotnik» za rzadko się ukazuje, a wymagania wydawania odezw mnożą się stale. To, co niedawno jeszcze było bohaterstwem «romantyków», stało się zwyczajnym, szarym obowiązkiem, uznanym przez «najpozytywniejsze» głowy.

Bez wątpienia przyzwyczaili się do produktów krajowej fabryki bibuły i żandarmi. Zwycięstwo, odniesione w lutym 1900 r., musiało grubo zmaleć w ich oczach, gdy skutki tego zwycięstwa okazały się tak diablo małe. Sądząc z rozmów, które miałem z pp. rotmistrzami i podpułkownikami w cytadeli i więzieniu łódzkim, żandarmi mieli wysokie wyobrażenie o ciosie, przez nich partii zadanym. Sądząc zaś z zaprzestania taktyki dziwacznych polowań na drukarnię, jakie dawniej były na porządku dziennym, przypuścić należy, iż żandarmi w stosunku do drukarni przeszli również od «romantyzmu» genialnych kombinacji do szarej, pozytywnej pracy łapaczów.

Po sprawie łódzkiej, tak wrogowie wolnego słowa i myśli, jak zarówno i przyjaciele, musieli się przekonać, że produkcja krajowa bibuły nie jest wytworem fantazji rewolucyjnej kilku jednostek, lecz głęboką potrzebą całego mnóstwa ludzi, potrzebą, wymagającą zadowolenia. A wobec tego drukarnia ze sfery fantastycznych projektów narwańców rewolucyjnych przeszła w krainę szarej rzeczywistości, stała się jednym z kół szerokiego mechanizmu rewolucyjnego, kołem, mającym istotny sens jedynie wtedy, gdy swymi zębami zaczepiać może inne koła, stanowiąc część ogólnego systemu.

CYRKULACJA BIBUŁY. SKŁADY

Bibuła, przetransportowana przez granicę oraz wyprodukowana w drukarniach krajowych, musi być rozpowszechniona, w przeciwnym razie byłaby nieużytecznym balastem i ciężarem. Porównałem wyżej drukarnię do koła — części ogólnej maszynerii organizacyjnej. To samo jest i z bibułą, sprowadzaną z zagranicy. Żeby jedno i drugie miało sens, żeby nie było czymś w rodzaju sztuki dla sztuki, trzeba, by te koła były dopasowane do innych części maszynerii, poruszały się zgodnie i harmonijnie. Tą resztą maszynerii dla bibuły jest służba rozwozowa i kolporterka.

Kolporterka jest ostatnim aktem partyjnym w stosunku do tego lub owego egzemplarza bibuły. Jest ona częścią integralną agitacji i czynności organizatorskich. Natomiast służba rozwozowa, dostarczanie większej ilości bibuły do tego lub owego centra organizacji, stanowić musi część techniki, że się tak wyrażę, partyjnej.

Proszę sobie wyobrazić te stosy zadrukowanego papieru, wynoszącego rocznie do stu pudów wagi, proszę przedstawić sobie, że ten cały papier trzeba posegregować na gatunki i w rozmaitych ilościach każdego gatunku dostarczyć do dziesiątków punktów, posiadających rozmaite warunki komunikacyjne, życiowe i policyjne, — a łatwo zrozumieć, że bez jakiegoś systemu, bez cienia chociażby planu w robocie niepodobna spełnić takiej roboty. Dodajmy jeszcze, że organizacja dążyć musi do tego, by oręż agitacyjny, jakim jest bibuła wszelkiego rodzaju, był równomiernie w stosunkach partyjnych rozpowszechniony, by w dostarczaniu bibuły nie było przypadkowości, lecz, przeciwnie, panowała możliwa regularność maszynowa.

W europejskich stosunkach interes ten załatwia się w sposób nadzwyczaj prosty. Pisma mają adresy swych abonentów lub kolporterów, istnieją księgarnie, należące do tej lub owej organizacji i ułatwiające nabycie i rozpowszechnienie tego lub owego wydawnictwa. Do usług pism i księgarń otworem stoi poczta i instytucje przewozowe, jak kolej. Tam, w zaborze rosyjskim, ludzie bez tych rzeczy, do których każdy Europejczyk jest przyzwyczajony, obchodzić się muszą. Adresy przyjaciół, poczta, przesyłki kolejowe — to luksus, zbytek dla nich; więcej, to jest niebezpieczeństwo, okoliczność, ułatwiająca czynność barbarzyńskich prześladowców, ściągająca gro-

my na głowy tak nadawców, jak zarówno i odbiorców rzeczy, posyłanych legalną drogą.

Te braki kulturalne, z którymi organizacje rewolucyjne liczyć się muszą, wpływać muszą, rzecz prosta, na ogromne zmniejszenie ilości bibuły, kursującej w kraju, szczególnie zaś bibuły, periodycznie się ukazującej, która z natury rzeczy wymaga jakiej takiej organizacji dla jej rozpowszechnienia. Przez granicę możnaby przetransportować mnóstwo książek, w tajnej drukarni możnaby odbić góry bibuły, lecz z chwilą, gdy w maszynerii organizacyjnej, rozprzestrzeniającej bibułę w kraju, są braki, gdy nie jest ona dopasowaną do ilości wyprodukowanej bibuły, nie będzie ona spożytą, skonsumowaną, gdyż najczęściej nie dojdzie do rąk tych, dla których jest przeznaczona.

Przede wszystkim bibuła, jako rzecz martwa, lecz będąca ciałem fizycznym, posiadającym wagę i objętość, musi z centralnych punktów produkcji — granic i drukarni — być przyniesioną lub przywiezioną do jakiegoś również materialnego punktu — mieszkania ludzkiego, mieszkania, z którym konsumenci bibuły w jakiś sposób muszą być związani. Te mieszkania w języku technicznym zowią się zajazdami i łatwo zrozumieć, że w każdym miejscu, w którym bibuła się rozchodzi, musi istnieć ten pierwszy punkt — zajazd, gdzie bibuła wraz z człowiekiem się zjawia. Zajazdy ze względu na uczucia człowieka, opiekuna przynoszonej lub przywożonej bibuły, dadzą się podzielić na przykre i przyjemne.

Przyjemnymi są te, gdzie człowieka i bibułę spotykają z otwartymi ramionami, gdzie są oni pożądanymi gośćmi, nie wzbudzającymi obawy. Są to przeważnie zajazdy do ludzi partyjnych. Zajeżdżającemu sprawia przyjemność ta właśnie okoliczność, że gospodarz mieszkania dzieli wraz z nim odpowiedzialność zupełnie świadomie i traktuje wraz z zajeżdżającym bibułę i sprawę zajazdu jako swój interes, nie narzucony mu ze strony. Przykrymi są te, które się wyróżniają przeciwnymi cechami, tj. gdy przyjmujący bibułę boją się, tchórzą i człowiek, przywożący lub przynoszący bibułę, odczuwa, że odpowiedzialność cała za bezpieczeństwo interesu spada na niego samego.

Jak łatwo zrozumieć, przyjemnych zajazdów jest znacznie mniej, niż przykrych. Niestety, wraz z przyjemnością zajazdu wzrasta i niebezpieczeństwo, z nim związane. Im bardziej człowiek jest partyjnym, związanym z organizacją, im więcej nici łączy go z ruchem, tym bardziej prawdopodobnym jest, że obok przygotowanego na przyjęcie bi-

buły zajazdu stoi gdzieś niepożądany «anioł stróż», «psycholog», tj. szpicel żandarmerii. Stąd przy poszukiwaniu zajazdów organizacja najczęściej się udaje na najdalsze peryferie ruchu, stara się wynaleźć punkty, jak najmniej z czynnym życiem organizacji związane.

Naturalnie, w wypadkach, gdy z powodu wielkiego znaczenia danego punktu oparcia dla bibuły — znaczenia, czy to z racji większej ilości niecenzuralnych wydawnictw, przezeń przechodzących, czy też absolutnej ich konieczności przy planowym rozkładzie pracy rozwozowej — organizacja nieraz jest zmuszoną odsunąć pewną jednostkę lub grupę od wszelkiej czynnej roboty, by w ten sposób zabezpieczyć dostarczanie bibuły.

Punkty takie stają się częścią maszynerii rozwozowej, kółkami w ogólnym systemie — są to zajazdy ściśle partyjne, przy których ludzie bierną rolę zajazdowiczów łączą najczęściej z czynną rolą dystrybutorów bibuły. Wobec jednak kosztowności takiego urządzenia, kosztowności nie tylko ze względu na pieniądze, lecz i na siły, zużyte dla zorganizowania takich punktów, organizacja najczęściej zadawalać się musi nielicznymi przyjemnymi i licznymi, mniej lub więcej, przykrymi zajazdami.

Liczba zajazdów przyjemnych zmniejsza się jeszcze bardziej wobec tego, że taki zajazd związany jest nieraz ze stykaniem się z osobami, nic wspólnego z ruchem rewolucyjnym nie mającymi. Oto np. syn lub córka, mieszkający przy rodzinie, udzielają swego mieszkania na zajazd. Może on być przyjemnym ze względu na szczere przywiązanie do sprawy części gospodarzy mieszkania, lecz nieprzyjemnym z powodu podejrzliwości, a nawet wyraźnej niechęci reszty. Jak mi opowiadano, są zajazdy, gdzie żona w sekrecie do męża przyjmuje i przechowuje bibułę.

W takich wypadkach zastosować się trzeba ściśle do wskazówek, udzielonych przez przyjmujących bibułę. Trzeba się trzymać pewnych, z góry określonych godzin, trzeba nieraz kłamać i grać narzuconą sobie rolę, trzeba często podtrzymywać rozmowę o najrozmaitszych, nieraz zupełnie sobie nieznanych, rzeczach i sprawach. Że nie należy to do przyjemnych rzeczy, że, przeciwnie, musi to nieraz męczyć takiego aktora z musu — łatwo to zrozumieć.

Nieraz taki nieszczęśliwy «aktor» jednego dnia udaje kolegę syna technika i sam, będąc np. lekarzem, rozprawia o szkołach technicznych i nawet w razie potrzeby o różnych technicznych sprawach, na drugi dzień przygotować się musi

do rozmowy o gospodarce wiejskiej, o której, jako mieszczuch, najmniejszego wyobrażenia nie ma. I dobrze jest, jeśli go przynajmniej uprzedzą i dokładnie powiedzą, co właściwie myśli o nim ten lub ów niewtajemniczony członek rodziny. Najczęściej wprost zgadywać trzeba należyte odpowiedzi na zapytania lub udawać mruka, człowieka, nie umiejącego i trzech zliczyć. W każdym jednak razie najprzykrzejszym jest uczucie strachu u gospodarzy.

Jeden z towarzyszów, który miał sobie poruczone dostarczenie bibuły do pewnego miasta w Królestwie, tak opowiadał o swym «zajeździe»:

— W mieście N. N. stosunki nasze w tym czasie były strasznie zaszpiclowane i raz po raz zmieniano zajazdy, wyznaczając nowe, bezpieczniejsze. Zajazdy stawały się coraz przykrzejsze, coraz częściej spotykały mię wydłużone twarze i niechętne spojrzenia.

Przyszedł jednak świeży numer «Robotnika», trzeba było go dostarczyć i do N. N. Towarzysz, kierujący tam robotą, przy widzeniu się ze mną w Warszawie powiedział mi na pożegnanie:

— Słuchajcie, teraz z żadnymi pakunkami do nas nie przyjeżdżajcie. Tylko na sobie! Przycisnęli nas tam ostro ze wszystkich stron. Dawne adresy na nic. Dam wam nowy, ale uprzedzam, są to ludzie bardzo, bardzo tchórzliwi. Jak ten osioł, tyle ujedziesz, co ubijesz, co gwałtem wydusisz. Uprzedzicie mnie o dniu przyjazdu. Gdybym się nie zgłosił na randkę, będzie to oznaczało, że źle jest i ze mną. Uprzedzę w każdym razie innego z naszych, by mnie w tym wypadku zastąpił. Noclegu tam u nas nie szukajcie. Klimat tam obecnie niezupełnie zdrowy!

Zmarszczyłem się, gdym się dowiedział, że będę miał do czynienia z tchórzami. Mój towarzysz spostrzegł to.

— No! — dodał — nie podoba się wam taki interes!? Wierzę, ale co ja na to poradzę?

Więc po otrzymaniu «Robotnika» opakowałem się nim jak osioł i, wyprostowany jakbym kij połknął, jazda do N. N.

Przyjeżdżam, oglądam dworzec — rzeczywiście dosyć brzydko wygląda. Ciemnych, podejrzanych figur na dworcu i przed nim dosyć dużo. Oglądają przyjezdnych najbezczelniej. Mnie nikt nie zaczepia, nikt za mną się nie poruszył. Walę na wskazany adres. Dzwonię. Otworzył mi drzwi młody, porządnie ubrany człowiek z semickimi rysami, który patrzy na mnie pytającymi oczami.

— Przepraszam pana — mówię, — pan Z. polecił mi zajść do pana i poczekać na niego tutaj.

— Proszę, proszę — odzywa się mój amfitrion, — niech pan wejdzie.

Ogląda mnie przy tym podejrzliwie, a gdym zdjął palto i wszedł do pokoju, pyta mnie nieśmiało.

— Pan od pana Z.? Pan Z. mnie uprzedzał, ale pan tylko czekać ma na niego? Czy jaki inny interes jest jeszcze?

Zawahałem się, czy mam powiedzieć o bibule, którą mam na sobie. Wreszcie postanowiłem zamilczeć i pozostawić tę sprawę do nadejścia Z., któremu, jako znajomemu, łatwiej przyjść do porozumienia z gospodarzem.

— Pan dawno widział pana Z.? — zapytałem.

Mój gospodarz zawahał się również chwilkę, wreszcie przyciszonym głosem odpowiedział, że dzisiaj rano wpadł do niego Z. i uprzedził go o mojej wizycie.

— Ale — dodał, — pan ode mnie co zabierze?

Nie zrozumiałem zapytania, alem się przekonał, żem dobrze postąpił, nie mówiąc nic o bibule.

— Nie, proszę pana — odpowiedziałem, — nie zabiorę nic.

Twarz mego gospodarza wydłużyła się nieco, lecz zostawił mię w spokoju. Z miną zagniewaną odszedł do drugiego pokoju, gdziem słyszał lekkie kobiece kroki i dźwięki szkła, stawianego na stole. Pora była wieczorna, po podróży w niewygodnej pozycji pić mi się chciało, ucieszyłem się więc nadzieją otrzymania herbaty.

Lecz mój gospodarz drzwi za sobą zamknął i wkrótce z dźwięków, dochodzących do mnie z drugiego pokoju, musiałem wywnioskować, że spotka mię w tym wypadku zawód. Gospodarze, widocznie, postanowili nie zapraszać mnie na herbatę.

Ten brak gościnności rozgniewał mię, ale czekałem cierpliwie. Lecz minęła godzina, o którą się umówiłem z Z., a jego, ani kogo innego z towarzyszów nie było. Wobec tego, że Z. mię uprzedzał, abym nie nocował w N. N., musiałem coś przedsięwziąć — zbliżał się bowiem czas odejścia ostatniego pociągu, którym opuścić mogłem niegościnne N. N. Zdecydowałem się i zapukałem lekko do gospodarza, który z pochmurną miną wyszedł do mnie.

— Przepraszam pana — odezwałem się, — ale będę musiał iść do pociągu, a pan Z. dotąd się nie zgłosił do pana. Będzie pan łaskaw powiedzieć mu, że tu byłem, a oprócz tego zostawię u pana bibułę dla niego. Pan mu ją odda.

Nie skończyłem jeszcze swego przemówienia, gdy mój gospodarz schwycił się za głowę.

— Co? bibułę? — jęczał, — panowie mnie zgubią. Pan zostawił w przedpokoju pakunki z bibułą... tam chodzi służąca... zobaczyć mogła — mówił urywanymi słowami, biegnąc do przedpokoju.

— Ależ, panie — uspakajałem go, — żadnej bibuły w przedpokoju nie zostawiałem.

Gospodarz nie słuchał mnie, jak piorun wpadł do przedpokoju, po chwili wrócił, minę miał ogromnie wystraszoną.

— A co? — wyjąkał — nie ma! Już zgubił mnie pan!

Był zupełnie przybity i przygnębiony, ręce bezwładnie mu wisiały. Co do mnie, byłem wściekły, lecz zarazem rozśmieszony.

— Czego pan rozpacza? — rzekłem. — Bibułę mam na sobie, nic się nie stało.

Gospodarz ożywił się. Spojrzał na mnie z pewnym zdziwieniem.

— Na sobie? — mówił, podchodząc do mnie i dotykając palcem ubrania. — Prawda, jest bibuła — potwierdził, spotkawszy pod palcem twardą przeszkodę. — Cóż pan teraz zrobi?

— Co zrobię? — odpowiedziałem, odpinając guziki od kamizelki. — Ot co: zdejmę z siebie i zostawię u pana.

Gospodarz, który niespokojnie śledził moje ruchy, nagle porwał mię za ramię i wciągnął do kąta, oddalonego od okna.

— Co pan robi? co pan robi? — szeptał mi wystraszonym głosem, — pan mnie gubi. Czy pan wie, kto tam mieszka? — pytał, wskazując przez okno na przeciwległą kamienicę z rzęsiście oświetlonymi oknami.

— Nie — przyznałem się, — nie wiem. A co?

— I ja nie wiem — mówił ku memu zdumieniu gospodarz, — ale czy pan zaręczy, że tam nie mieszka żandarm albo szpicel, czy pan zaręczy, że on tam przy oknie nie siedzi od dawna i nie pilnuje mnie i moich gości?

Przestrach mego gospodarza wzmagał się z każdą chwilą, z każdym słowem, wychodzącym z ust jego. Miał minę tak zrozpaczoną i tak komiczną zarazem, żem się ledwie powstrzymał od wybuchu śmiechu. Postanowiłem jednak nie zwracać nań uwagi i w tym kącie, odwrócony od okna, wyjąłem spod ubrania owiniętą w papier bibułę. Gospodarz, który z rozpaczą patrzał na mnie, zrezygnowany i bezradny, wziął z moich rąk pakunki. W tej chwili u drzwi brzęknął dzwonek. Bibuła wypadła z rąk gospodarza, zbladł on śmiertelnie.

— Pan Z. — uspakajałem go. — Niechże pan pójdzie

otworzyć. Nie bój się pan! Jeżeli to żandarmi, przyznam się do bibuły, powiem, że moja. Niech pan w takim wypadku powie, że mnie pan nie zna, że zaszedłem do pana i wpychałem gwałtem te pakunki, że...

Nie dokończyłem, bo do pokoju już wchodził Z. Służąca otworzyła mu drzwi.

— Przepraszam — odezwał się z progu, — przepraszam, spóźniłem się nieco.

Mój gospodarz odetchnął, kolory powróciły mu na policzki. Z pewnym wyrzutem mówił do Z.:

— Pan mi nic nie powiedział, że ten pan — wskazał na mnie — przywiezie bibułę.

— Nic się nie stało — odparł Z. wesoło, — przecież, gdybym panu to powiedział, to pan albobyś odmówił, albo jeszcze gorzej — zgodził się, a potem w potrzebnej chwili wyszedł z domu, zostawiając towarzysza na łaskę losów. Nic się nie stało, uspokójcie się!

— Ale pan zabierze to, co obiecał? — pytał jeszcze niespokojnie gospodarz.

— Zabiorę, zabiorę — mówił Z., klepiąc go po ramieniu.

Z. odprowadził mię na stronę i wyjaśnił sytuację. Rano wpadł do naszego gospodarza, uprzedził go o moim przybyciu po południu. Miał przy sobie kilka egzemplarzy «Przedświtu», które mu zostały po rozdaniu ostatniego numeru, a że po południu musiał pójść do paru dosyć «brudnych» miejsc, nie chciał mieć przy sobie bibuły. Prosił więc niegościnnego gospodarza, by do wieczora przechował te egzemplarze «Przedświtu» i obiecał zajść sam po nie lub przysłać kogokolwiek. W ten sposób zmusił niejako tchórzliwego gospodarza do oczekiwania.

Zrozumiałem teraz pytanie, z którym mnie spotkał gospodarz oraz jego kwaśną minę. Te parę egzemplarzy «Przedświtu» paliły go, chciał czym prędzej ich się pozbyć, a moja odpowiedź zrobiła mu zawód.

W istocie, gdy usłyszał od Z., że i «Przedświt» będzie zabrany, skoczył do drugiego pokoju. Po chwili wyszedł stamtąd, trzymając w jednym ręku rulonik bibuły, w drugim szklankę herbaty.

— Może wypijecie szklankę herbaty? — zwrócił do mnie uprzejmie.

Wypiłem czym prędzej herbatę, słuchając różnych poleceń Z., umawiając się z nim na przyszłość. Po chwili opuściłem N. N.

Naturalnie, takie przyjęcie bibuły oraz takie wybiegi

w celu urządzenia zajazdu są wyjątkowymi. Lecz często drżączka gospodarzy, przyjmujących bibułę, ich trwożliwe spojrzenia i pytania dają się we znaki towarzyszom, rozwożącym bibułę po kraju.

W każdym razie przytoczone opowiadanie świadczy, że nie zawsze jest łatwo urządzić zajazd dla bibuły. Dla każdego zajazdu trzeba możliwie ściśle się umawiać o termin przybycia bibuły, o porę dnia, która dla obydwóch stron, dającej i odbierającej, jest najdogodniejsza, trzeba uprzedzić tak jedną, jak drugą stronę o tym, kogo spotkać mogą przy zetknięciu się, nieraz opisać wygląd i zewnętrzne cechy przyjeżdżającego lub spotykającego. Wreszcie dla uniknięcia wszelkich rozpytywań o adresata trzeba odwożącemu bibułę dokładnie opisać, w jaki sposób ma on trafić do zajazdu. Najczęściej w tym celu rysuje się plan, obejmujący nieraz całą drogę od jakiegoś znanego punktu do drzwi mieszkania, przeznaczonego na zajazd. Omyłka lub niedokładność w takiej umowie może nieraz pociągnąć za sobą przykre, kłopotliwe następstwa.

Opowiadano mi o zabawnej scenie, która miała miejsce w niewielkim prowincjonalnym mieście z powodu takiej omyłki.

Jeden z młodych towarzyszów miał zawieźć do tego miasta bibułę. Inny, znający dokładnie tameczne stosunki, wytłumaczył mu możliwie dokładnie drogę od dworca kolejowego do zajazdu.

— Od dworca — mówił — ulicą na lewo. Miniecie jeden róg na prawo, w drugą ulicę na prawo skręcicie. Numerów tam nie ma, zresztą będzie jeszcze ciemnawo, gdy tam przyjedziecie. Ale po lewej stronie ulicy poznacie kamienicę, do której iść macie, po tym, że jest nieco wyższą od otaczających ją domów i przy bramie sterczy z muru kamień płaski, mogący służyć za ławkę. Jest to mniej więcej dwunasta kamienica od rogu. Przez bramę wejdziecie w podwórze, w prawej oficynie pójdziecie po schodach aż do skutku, na samą górę. Tam drzwi na prawo. Biletu wizytowego nie ma, dzwonka również. Zastukacie do drzwi mocno trzy razy. Otworzy wam facet niemłody, dosyć tęgi, z wąsami, bez brody. Zapytacie: czy tu mieszka p. Bacewicz i powołacie się na moje konspiracyjne imię. To dzielny chłop, nasz agitator. Od niego weźmiecie zamówienia na przyszłość, korespondencje dla «Robotnika» i pokwitowania. Monety tam teraz nie otrzymacie, ale jeśli będą mieli, to weźcie.

Nasz towarzysz z małym zawiniątkiem, zawierającym bibułę, wyruszył. Przyjechał do owego miasteczka nad ranem,

gdy wszyscy mieszkańcy jeszcze spali. Zgodnie ze wskazówkami minął ulicę, odchodzącą na prawo, skręcił w drugą, szedł dosyć długo, lecz kamienicy wskazanej jeszcze nie dostrzegł. Zaczęło go to niepokoić, lecz nagle spostrzega ów kamień, sterczący z muru. Wchodzi do otwartej już bramy, ale z wielkim zdumieniem spostrzega, że prawej oficyny kamienica nie posiada. Zakłopotany, ogląda się po podwórzu, gdy nagle słyszy za sobą głos:

— A kogo tu pan szuka?

Za nim stał stróż kamieniczny z miotłą w ręku.

— Czy nie mieszka tu pan Bacewicz? — pyta nasz towarzysz niespokojnie.

— Bacewicz? — cedził flegmatycznie stróż — nie, nie mieszka. Ale, czekaj pan, taki tęgi, wąsaty? Co? No, to mieszkał, mieszkał tu dawniej, a jakże. Ale teraz nie ma.

— Może wiecie, gdzie się przeniósł? — pyta towarzysz.

— Wiem, niedaleko, na ulicę — tu wymienił jakąś nazwę ulicy, o której nasz towarzysz pierwszy raz w życiu słyszał.

— Nie znam miasta — przyznał się towarzysz, — jak mam na tę ulicę trafić?

— Trafić? — odparł stróż — łatwo. Chodź pan!

Wyprowadził go za bramę i, wskazując na dalszy ciąg ulicy, mówił:

— Pójdzie pan dalej. Widzi pan na rogu dom duży, to tam. A jakże, wiem, pomagałem temu panu przenosić rzeczy.

Nasz towarzysz ruszył we wskazanym kierunku, dotarł do narożnej kamienicy. W istocie kamienica była duża. Zaczął podejrzywać, że się omylił, bo przecie przy dawaniu informacji mówiono mu, że zajazd jest w największym domu na ulicy, a tym czasem ten, przed którym stał obecnie, był znacznie wyższy od poprzedniego. Lecz trzeba było brnąć dalej. Stróż zamiatał przed kamienicą ulicę.

— Czy tu mieszka pan Bacewicz? — pyta znowu.

— Tu, proszę pana, — odpowiada stróż — po frontowych schodach, na drugim piętrze na lewo. Ale tam jeszcze śpią, — ostrzega stróż.

— To nic, obudzę — odpowiada towarzysz, zadowolony, że dotarł nareszcie do celu. Trochę go to dziwi, że robotnik mieszka przy frontowych schodach, ale idzie na owo piętro. Jest i dzwonek. Dzwoni. Po chwili słyszy głos kobiecy za drzwiami:

— Kto tam?

— Przepraszam — mówi, — czy tu mieszka pan Bacewicz?

— Tu, ale śpi, proszę przyjść później — odpowiada kobieta za drzwiami.

— Jestem z drogi, mam pilny interes do pana, proszę obudzić — odpowiada towarzysz.

Głos za drzwiami milknie, po chwili drzwi się odmykają, przed naszym towarzyszem stoi w bieliźnie tęgi mężczyzna z zaspaną twarzą.

— Czego pan chce, do diabła? — mówi gospodarz opryskliwym głosem.

— Przepraszam pana, ja od pana Stanisława — mówi towarzysz, robiąc nacisk na imieniu.

— Od jakiego pana Stanisława? — burczy gospodarz, a widząc, że nasz towarzysz milczy, wpada w wściekłość. — Kto pan jest? — krzyczy. — Czego pan ludzi po nocy napastuje?

— Przepraszam pana — mówi towarzysz, zaczynając się przekonywać, że zaszła jakaś omyłka, — czy z panem Bacewiczem, szewcem, mam do czynienia?

— Co? — wpada w pasję gospodarz, — szewcem? Bacewiczem? Ja nie żaden szewc i nie Bacewicz, tylko urzędnik i Pacewicz. Jakim prawem pan mnie napastujesz po nocy? — rzuca się mężczyzna w negliżu, podnosząc potężną pięść pod nos towarzyszowi, — ja pana na policję odeślę! Toż to gwałt na równej drodze! Szuka szewca po nocach! Co?

Lecz towarzysz nasz nie słuchał już, a szybko zmiatał po schodach na dół. Poszedł wprost na dworzec i wyjechał z bibułą z powrotem.

Jak się okazało potem, informacje i plan nie były zupełnie dokładne. Informacja głosiła, że należy minąć pierwszą ulicę, idącą na prawo od drogi, łączącej dworzec z miastem. Lecz informator zapomniał dodać, że przed tą pierwszą ulicą odchodzi na prawo coś w rodzaju ulicy, jeszcze niezabudowanej, którą ludzie miejscowi za ulicę uważać jeszcze nie chcą. Nasz niefortunny towarzysz, nieuprzedzony o tym, uważał tę drogę za ulicę i nie doszedł do miejsca, gdzie mu skręcić należało.

Dodać jeszcze muszę, że nazwiska, przytoczone w tym opowiadaniu, są zmyślone. W rzeczywistości były one inne, lecz różnica pomiędzy nazwiskami poszukiwanego towarzysza i odnalezionego filistra polegała na tym jedynie, że się zaczynały od różnych, lecz pokrewnych ze względu na brzmienie liter.

Z tych opowiadań łatwo wywnioskować, jak skomplikowaną nieraz bywa służba rozwozowa. Bo proszę sobie wyobra-

zić, że oprócz trzymania w swej pamięci mnóstwa drobnych szczegółów adresu i warunków życiowych w zajeździe, a raczej w zajazdach, niezapominania o terminach, sposobach wejścia i pytania o potrzebnych ludzi, trzeba się wciąż jeszcze liczyć ze zmianami, jakie ustawicznie w tym lub owym miejscu zachodzą. Wszystkie szczegóły jakiegokolwiek zajazdu, już utrwalone w pamięci, muszą być zastąpione przez nowe przy zmianie zajazdu, zmianie, niestety, zbyt częstej w walce z żandarmerią i szpiclami.

Dodajmy do tego, że na obowiązku towarzyszów, rozwożących bibułę, leżą jeszcze i inne sprawy. Przy unikaniu poczty i korespondencji listownej, która żandarmom dostarczyć może niezbitych dowodów czyjejkolwiek winy i naprowadzić ich jest w stanie na ślady knowań rewolucyjnych, ludzie, chcący się porozumieć w jakiejkolwiek sprawie ze swymi współtowarzyszami organizacyjnymi w innym mieście, muszą dokonywać tego za pomocą i przy pośrednictwie ludzi, mogących mieć stosunki i widzieć się z członkami organizacji w różnych miejscach. Przy każdej więc wizycie towarzysza z bibułą załatwiają się wszystkie interesy miejscowych członków organizacji do zamiejscowych. Zamówienia na bibułę, zmiany w ilości potrzebnych egzemplarzy periodycznych wydawnictw partii, zakomunikowanie takiej lub innej wiadomości, dane o członkach organizacji, którzy się przenieśli do innych miejscowości — wszystkie te, drobne nieraz, szczegóły życia rewolucyjnego obciążają niesłychanie już i tak przez szczegóły zajazdów obciążoną pamięć rozjazdowych towarzyszów. Mówię: pamięć, bo większość tych szczegółów dla konspiracji nie zapisuje się wcale, a jeśli i zapisuje się, to w jakiś dziwaczny sposób, mogący zaledwie ułatwić, lecz nie zastąpić robotę pamięci.

Proszę sobie teraz wyobrazić, że stosunki organizacji obejmują ogromny kawał kraju, sięgają do miasteczek powiatowych, a nawet ostatnio i na wieś, że te stosunki nie są jednorodne, lecz rozmaite pod względem składu członków organizacji oraz pod względem «czystości» policyjnej, że wreszcie ta setka pudów bibuły, stanowiąca roczną konsumpcję organizacji, jest w stanie, że tak powiem, płynnym, tj. ustawicznie się rusza z miejsca na miejsce — a zrozumiemy, jak ciężką i kosztowną jest praca rozwozowa. Jeden z towarzyszów, który dłuższy czas pracował w tej branży, mówił mi o tej pracy w te słowa:

— Jestem człowiekiem, dopóki nie siądę do wagonu. Mogę wówczas myśleć, czytać. Z chwilą, gdym wlazł do tego pudła, — idiocieję. Słowo daję — mózg mi kamienieje. Po gło-

wie kręcą się tylko takie myśli: «o godzinie tej a tej będę tam — drzwi na lewo, bilet wizytowy jest; muszę zdążyć do wieczornego pociągu, bo na następny dzień randka w innym mieście, tam od dworca prosto, trzecia ulica na lewo, kamienica, czerwonymi cegłami upiększona; tam bibułę oddać, powiedzieć, że z Warszawy przeniósł się do nich stolarz taki a taki, zapytać o to czy owo, hasło gdzie indziej zawieźć itd. — godziny, na prawo, na lewo, liczba piętr, wyglądy facetów, mnie opisywanych» — oto moje myśli wagonowe. Głowa przestaje myśleć, staje się jakąś maszynką pamięciową.

— I wiesz — dodawał, — do czego zawsze tęskniłem? Do porządnego planu w robocie. Taka robota wówczas tylko idzie dobrze, gdy upodabnia się do maszyny, działającej z zegarkową regularnością. Ale gdzie tam! Taka maszynowa robota trwać może najwyżej miesiąc. A tam, zaledwieś się do niej wciągnął, już nastąpi cokolwiek — jakaś wsypa, nieprzewidziane przeszkody na granicy lub w drukarni, nagłe wypadki — jesteś wyrzucony z kolei, pociąg schodzi z szyn, turkocze rozpaczliwie po podkładach, wreszcie staje. I znowu rozpoczynaj nowe umowy, odwołuj naznaczone terminy, szukaj nowego planu i rozkładu roboty. Przeklęta robota!

Inny towarzysz, w tym samym oddziale pracujący, opisywał swe wrażenia nieco inaczej. Był to młody chłopak, który od prowincjonalnej, spokojnej roboty został wzięty właśnie do pracy rozwozowej. Trafił on widocznie akurat na czasy względnie nieawanturnicze, gdy owa «maszynowa robota» była możliwa. Był zachwycony.

— Nigdy — mówił — nie przypuszczałem, że jesteśmy tak silni. Wszędzie są nasi, wszędzie idzie praca rewolucyjna. Kiedym dawniej czytał «Robotnika» i spotykałem korespondencje z różnych stron kraju, nie umiałem poza tymi wiadomościami dojrzeć ludzi, którzy tym lub owym się wzruszają i tak lub inaczej są z nami związani. Dopiero przy osobistym zetknięciu z nimi przekonałem się o realności różnych rzeczy organizacyjnych. I jaka to ogromna robota! Jak przyjemnie czuć się kołem w ogromnej maszynie, którą całą siłą pary ciągnie w świetlaną przyszłość naszą ojczyznę! Nigdym, patrząc ze strony na roboty partyjne, nie przypuszczał, że panować tam może taka regularność i takie powiązanie części organizacji ze sobą.

Przyszły jednak i ciężkie dni, dni trwogi i kryzysu, gdy nici organizacyjne rwą się i pękają, gdy dzisiaj staje się niepodobne do wczoraj, gdy, stawiając krok, nie jesteś zupełnie pewnym, czy go stawiasz celowo i produkcyjnie. Towarzysz,

o którym mowa, nieco się zdekoncertował — poznał odwrotną stronę medalu. O partii i jej przyszłości nie zwątpił, lecz był zły na świat cały.

— Tak było dobrze i pięknie! — mówił, — a tu masz diable kaftan! Okazało się, że ta piękność — to budowa na piasku, wiecznie się rozsypująca i nietrwała. I czy tak długo będzie? Ile my już zmarnowaliśmy sił, pieniędzy i czasu na to samo, co jeszcze wczoraj tak łatwo było uskutecznić!

Był zakłopotany, niepewny, wahający się. Trochę go uspakajała równowaga starszych towarzyszów, którzy już przeżyli niejedną taką burzę, z niejednego zawikłania już wyszli i którzy z filozoficznym spokojem patrzyli na rozbicie tego lub owego planu, na zrujnowanie tej lub owej części organizacji, na taki lub inny zawód czy rozczarowanie.

Najwspanialej jest opracowana praca rozwozowa wydawnictwa krajowego — «Robotnika». Pod tym względem partia nie żałuje ani kosztów, ani sił, by zapewnić swemu pismu możliwie szybkie rozpowszechnienie we wszystkich stosunkach partyjnych. Nieraz partia urządza się w ten sposób, że w większości poważniejszych ognisk życia organizacji «Robotnik» dochodzi do rąk swych stałych odbiorców w dzień wyjścia z tajnej drukarni. Reszta otrzymuje «Robotnika» w dwa, trzy dni po wyjściu i tylko najdalsze zakątki, najgłuchsze dziury, gdzie stosunki są drobne i nieliczne, czekać muszą tydzień, niekiedy i więcej, na okazję, przy której się załatwiają wszystkie interesy partyjne z całą okolicą. Ładnie wygląda rozpowszechnienie «Robotnika» w samej Warszawie, pochłaniającej więcej, niż trzecią część nakładu.

Oto w określonym z góry punkcie — zajeździe, specjalnie w tym celu przygotowanym — w naznaczonym na kilka dni przedtem terminie, ścisłym aż do godziny, lecz znanym tylko nielicznej garstce najbardziej zaufanych ludzi, zjawia się towarzysz z «Robotnikiem», którego dwie ostatnie strony jeszcze niezupełnie obeschły po wyjściu spod prasy. Już nań oczekują przygotowani do tej czynności «dromaderzy» i «dromaderki» — towarzysze i towarzyszki. W jednej chwili cała kupa papieru jest podzielona na części, odpowiadające podziałowi organizacji warszawskiej. W pół godziny, najwięcej godzinę lub dwie, nie zostaje w zajeździe ani śladu «Robotnika». Wyruszył on na najbliższy etap, do mieszkań, wyznaczonych przez głównych kierowników poszczególnych części organizacji.

Tam następuje nowy podział na drobniejsze już działy, zawierające jednak nieraz pięćdziesiąt i trochę więcej egzem-

plarzy. Te są przeznaczone dla głównych organizatorów zgrupowanych stosunków. Jest to ostatni etap, gdzie «Robotnika» dnia tego oczekują. Dla reszty stosunków «Robotnik» jest niespodzianką. Tutaj terminy — godziny i minuty — są rozmaite, zależnie od warunków życiowych tych ludzi, którzy się zajmą dalszym podziałem, dalszym rozpowszechnieniem «Robotnika». Lecz w wyjątkowych jedynie wypadkach, gdy w danej grupie stosunków coś przed samym wyjściem «Robotnika» się zepsuło, przygotowane egzemplarze czekają dnia następnego. Zwykle idą w kurs tegoż dnia.

Organizatorowie rozdrabniają jeszcze bardziej otrzymaną kupkę «Robotnika». Już wyznaczyli na ten dzień pod rozmaitymi pozorami randki zaufanym ludziom ze swych stosunków. Randki zaś są obliczone tak, by móc jednego dnia załatwić je wszystkie. Najczęściej więc w dniu wyjścia «Robotnika» jest on w ręku ogromnej większości członków organizacji. I tylko dalszą drogę, wędrówkę z ręki do ręki, z domu do domu, z miast do miasteczek i na wieś — odbywa «Robotnik» już wolniej, bez pośpiechu.

Periodyczna bibuła pochodzenia zagranicznego nie może korzystać z tak wyrównanej, zawczasu przygotowanej drogi. Nie może, bo terminu jej nadejścia niepodobna wobec stosunków granicznych określić ze ścisłością. Rozpowszechnienie więc czy to numeru «Przedświtu», czy «Światła», czy jakiego innego pisma nie idzie tak szybko i tak regularnie, jak opisane wyżej doręczanie odbiorcom «Robotnika». Trwa ono tygodniami całymi i najczęściej brak w nim planu, specjalnie na ten wypadek wyrobionego. Dzisiaj któryś z numerów, np. «Przedświtu» jest w Warszawie, a w jakimś Radomiu lub Kownie może się ukazać dopiero za tydzień, w zależności od tego, czy w tym czasie były jakie «okazje» partyjne, czy towarzysze, zajmujący się rozwożeniem lub łączeniem pojedynczych organizacji lokalnych w jedno, mieli właśnie tam interesy do załatwienia. W każdym jednak razie bibuła periodyczna, mająca z góry określoną liczbę odbiorców, nie sprawia tak wielkiego kłopotu, jak bibuła książkowa i broszurowa.

Przy pracy z tą ostatnią znika z natury rzeczy wszelka regularność i określoność. Bo proszę: dzisiaj w tym stosunku może być potrzebna taka broszura, jutro inna, stamtąd żądają dużo rzeczy do czytania, skąd inąd mniej. Książka i broszura nie jest pismem i przy większym rozpowszechnieniu wymaga istnienia księgozbioru, z którego przy potrzebie możnaby wziąć akurat tyle egzemplarzy, ile się chce lub wymaga. Na całym świecie dla zadowolenia tej potrzeby istnieją księ-

garnie i, naturalnie, coś podobnego do księgarni musi być urządzonym i dla bibuły broszurowej, jeśli broszura i książka ma być nie czymś wypadkowym, lecz stałym zjawiskiem.

Rolę księgarni spełniają tzw. w języku technicznym «składy» — składy bibuły. I jedną z trosk najdrobniejszej nawet organizacyjki lokalnej jest urządzenie takiej właśnie księgarenki — składu na swe potrzeby.

Jak każdy łatwo zrozumie, te poszczególne składziki muszą być w jakimkolwiek związku z pokaźniejszymi składami, odgrywającymi względem nich taką rolę, jaką odgrywają hurtowne składy dla handlów detalicznych. Muszą istnieć źródła, z których możnaby czerpać odpowiedni towar w odpowiednich ilościach. Jeżeli zaś sobie przedstawimy, że stosunki organizacji są liczne i szeroko rozgałęzione, że z konieczności grupować się one muszą koło jakichkolwiek ognisk, będących centralnymi jedynie dla pewnej części stosunków, zrozumiemy, że te pokaźniejsze składy, będąc hurtownymi dla najdetaliczniejszych składzików, muszą swoją koleją mieć jeszcze bardziej centralne źródło — centralną lub centralne księgarnie-składy. Jest to więc cała sieć mniejszych i większych składów-księgarń, obsługujących odpowiednio do swej wielkości jakąś jedną fabrykę lub fach w danym mieście, albo też całą serię takich drobnych księgarenek.

Najbardziej pokaźnie i poważnie wygląda, naturalnie, skład centralny, główny, nie bawiący się wcale w żadne detaliczne stosuneczki. Gdyby kto jednak przypuszczał, że jest on choć nieco podobnym z zewnętrznego wyglądu do najmarniejszej nawet księgarni, gruboby się omylił. Przeciwnie, przypuszczam, że gospodarze takiego składu, jak ów towarzysz z drukarni, co to życzył sobie, by otoczenie go podejrzywało o analfabetyzm, unikają jak najstaranniej każdej, widocznej dla otoczenia, rzeczy, mogącej mieć coś wspólnego z książkami.

Taki skład jest partyjnym interesem równie dobrze, jak i drukarnia, i, naturalnie, musi być zabezpieczonym, jak i ona, od wszelkich bezpośrednich stosunków z czynnym życiem partyjnym.

Różnica pomiędzy składem a drukarnią polega na tym, iż skład musi być urządzony tak, by bez narażania jego pozorów możnaby było mieć z nim częste stosunki.

Jeden z towarzyszów, który z obowiązku partyjnego musiał mieć częste z głównym składem stosunki, tak go opisywał:

— Skład główny — mówił on — był umieszczony u niezamożnej wdowy, staruszki, która zajmowała z córką niewielkie mieszkanie w dużej kamienicy. Przyznam ci się, że lubiłem

tam bywać. Nie uśmiechaj się podejrzliwie, córka wcale nie była dla mnie tym magnesem przyciągającym.

Panna rozsądna, dosyć inteligentna, ale nie w moim guście. Natomiast serdecznie byłem przywiązany do staruszki — gospodyni składu. Co za serce, współczujące każdej biedzie, każdemu nieszczęściu, miała ta kobieta! Jaką zachowała świeżość uczuć! Wiesz, może mię nazwiesz trochę sentymentalnym, ja nabieram zawsze odwagi do życia, gdy spotkam kogo ze starszej generacji, zdolnego do odczucia potrzeb nowych pokoleń.

— Pomyśl — dodał, — przecie ci ludzie przeszli przez takie próby, o jakich nam się nie śniło. Przeżyli, przeboleli straszny rok 1863. Nadzieje z wiosny ich życia brutalnie rozbito, wciśnięto ich w nowe, znacznie więcej skomplikowane warunki życiowe. Serce mieli czułe, więc w tym życiu każdy krok ich musiał być łzą serdeczną — i pomimo to zachować zdolność, jeśli nie do zrozumienia, to do odczucia nowych, całkiem nieznanych dotąd, prądów, często wyszydzanych i oplwanych przez ich otoczenie. Zdawałoby się, że tam, w ich sercu, w najlepszym razie są zawarte jedynie groby posępne i krzyże mogilne, a tym czasem spostrzegasz, że jest ono zdolnym do bicia w takt z najmłodszymi, z najbardziej żądnymi życia sercami.

— Ale do rzeczy — mówił nieco wzruszony. — Nasze panie zajmowały dwa niewielkie pokoiki, umeblowane nieco po staroświecku. Sługi nie miały, bo dochody ich były bardzo skromne. Córka miała kilka lekcji, matka trochę uciułanego grosza. My dla składu odnajmowaliśmy jeden pokój. Skład urządzony był w pokoju sypialnym, gdzie stał duży kosz, będący naszą księgarnią. Niekiedy, gdy bibuły zbierało się więcej, oprócz kosza napełniało się i walizki, przechowane pod łóżkiem. W koszu na górze leżała książeczka rachunkowa. Każda broszura, każda książka miała osobną stronicę, na której się zapisywało dochód i rozchód danej książki. Obok leżał plan kosza, ułatwiający poszukiwanie potrzebnych książek. Gospodyni pilnie przestrzegała, by każdy z upoważnionych do czerpania z zapasów bibuły nie zapomniał zapisać, co wziął ze składu. Porządek zaś w koszu i walizkach był starannie utrzymany. Nigdy mi się nie zdarzyło nie znaleźć poszukiwanego tytułu w odpowiednim miejscu podług planu.

Gdy się wychodziło ze składu do pokoju neutralnego, zastawało się zwykle gospodynię, przyrządzającą herbatę. Nie było sposobu wymówić się od zadowolenia gospodyni pod tym względem.

— Ależ niech pan siada — mówiła staruszka, — nie puszczę pana bez herbaty. Nabiega się, namęczy chłopiec, to musi mieć apetyt. Wy tam biedacy nieraz bez obiadu cały dzień przebiegacie. Musi pan cokolwiek przegryźć!

Przy herbacie umawiano się o następne wizyty, o czas, gdy którakolwiek z gospodyń musiała być w domu. Gospodyni polecała, by powiedzieć komu należy, że tego lub owego wydawnictwa jest już mało lub wcale nie ma. Wreszcie odpowiednio do ilości bibuły wywoziło się ją w walizce lub wynosiło na sobie.

Mniej więcej tak samo wyglądają i mniejsze składy w różnych ogniskach życia partyjnego — następne etapy bibuły po wyjściu ze składu głównego. Lecz w tym wypadku niepodobna najczęściej urządzać je, jako partyjne interesy, i tak samo, jak z zajazdami, trzeba wyruszać na poszukiwanie mieszkania dla składu za peryferie organizacji i ruchu, jako najbardziej zabezpieczone od napaści żandarmów i od ataków szpiclowskich. Peryferie jednak, jak to zaznaczyłem już przy zajazdach, mają tę złą stronę, że bardziej, niż czynna armia, podlegają uczuciu strachu i bardziej są kapryśne w drobiazgach przy stosunku z tym życiem. Więc ludzi, stanowiących łącznik pomiędzy składem a organizacją, bardzo często spotykają te same przykrości, o jakich mówiłem, opisując zajazdy.

W jednym wypadku trzeba się trzymać ściśle godzin i nawet minut, w ciągu których jedynie skład załatwia swe czynności; w drugim — nie może utrzymywać stosunku ze składem mężczyzna, w innych, odwrotnie, kobieta. Najczęściej zaś urządzenie składu zależy od osobistego zaufania gospodarza lub gospodyni składu do osoby, urządzającej go, i wszelka nowa figura w tych wypadkach budzi strach i podejrzenie. W razie więc aresztowania tej osoby następuje najczęściej panika, która nieraz prowadzi do niszczenia bibuły, z takim kosztem i poświęceniem dostarczonej do składu. W ogóle paniczny strach na peryferiach ruchu stanowi zwykle jeden z najbardziej dających się we znaki kłopotów organizacji. Bywa on komicznym, nie przestając jednak być kłopotliwym.

Jeden z towarzyszów opowiadał mi właśnie o takim wypadku w sposób następujący:

— Bibułą — mówił mi — w Wilnie rządził przez dłuższy czas towarzysz Michałowski[1]) (umarł po powrocie z wygnania w 1899 r.). Michałek nie odznaczał się ani porządkiem, ani

[1]) Leon Michałowski, działacz P. P. S. z Wilna, znany z ogromnej siły fizycznej, zmarły w 1899 r. po powrocie z zesłania.

systematycznością. Miał talent teroryzowania różnych swych znajomych i bez ceremonii zostawiał u nich na przechowanie ten lub ów pakunek z bibułą, besztając ich przy tym, że są głupimi burżujami. Zapewniał każdego z nich, że im się nic nie stanie, że wewnątrz każdej paczki zostawiał kartkę, głoszącą, że ta bibuła należy do niego, Michałowskiego, co też rzeczywiście robił.

Było to w początkach ruchu P. P. S-owego i młoda organizacja nie wypracowała jeszcze ani porządnego planu działań, ani usystematyzowała swej maszynerii. Jak w sprawie bibuły i drukarń tajnych, tak i w sprawie maszynerii organizacyjnej P. P. S. była pionierem, przekładającym nowe ścieżki, niewydeptane dotąd przez poprzedników na polu rewolucyjnym. Nic dziwnego, że organizacja kłopotów i przeszkód miała mnóstwo. Bibuły np. było dużo, lecz często spotykało się kłopoty i przeszkody w jej ulokowaniu. Na pomoc w tych wypadkach zawsze przychodził Michałek.

— Co u czorta! — mówił swym śpiewnym, litewskim akcentem. — Bibuła? Dawajcie ją mnie, już ja się nią zaopiekuję. U mnie w Wilnie spokojnie, niech leży!

Bibułę brał i rozlokowywał ją u różnych znajomych. Lecz że ani spisów bibuły nie prowadził, ani też sam dobrze nie wiedział, gdzie i co u niego leży, wkradał się więc stopniowo nieporządek i bezład okropny. Nikt nie był nigdy pewnym, czy taką lub inną broszurę w wymaganej ilości otrzyma. Nareszcie postanowiono założyć skład główny i oddać go pod opiekę bardziej porządnego towarzysza. Było to tym bardziej koniecznym, że Michałowski był pod dozorem policyjnym za dawną sprawę i pisał, że mu zaczyna ten dozór dokuczać.

— Wydelegowano — mówił mi ów towarzysz — mnie do Wilna dla zrobienia porządku z tym interesem. Trzeba było wypadku, że po przyjeździe do Wilna Michałka już nie zastałem; aresztowano go i osadzono w 14 numerze (X pawilon wileński). Parę dni spędziłem na poszukiwaniu najbliższych znajomych Michałka i rozpytywaniu ich o bibułę. Ludzie ci, chociaż przestraszeni aresztowaniem Michałowskiego, zgodzili się pomóc mi w poszukiwaniach i ściągnięciu bibuły do jednego miejsca. Lecz, niestety, wskazówek co do miejsc, gdzie bibuła była ulokowana, mieliśmy skąpo. Znaleźliśmy dwa, trzy pudy, wtedy gdy ja z otrzymanych w Warszawie informacji oczekiwałem co najmniej 8—10 pudów.

Nie ustawaliśmy w poszukiwaniach i rozpytywaniach różnych znajomych Michałowskiego. Trudno sobie wyobrazić, z jakimi typami wówczas się spotkałem. Stare baby, trzepiące

pacierze, młode dziewczyny, naiwne i głupiutkie, stateczni inżynierowie, którzy ze wstydem się przyznawali, że bibułę ze strachu wywieźli na wieś, młodziutcy gimnazjaliści, którzy zakopywali bibułę w ogrodach na przedmieściu. Wszystko to było wystraszone, oczekujące z każdą chwilą napaści żandarmów, przeklinając biednego Michałka za bezczelność. Niektórzy pod wielkim sekretem przyznawali się, że spalili bibułę. Po tygodniu poszukiwań, w czasie których codzień otrzymywałem wiadomość, że znowu gdzieś na jakichś «kiszkach» — tak bowiem, zdaje się, kończą nazwy wielu przedmieść wileńskich — okazała się schowana bibuła, po tygodniu — mówię — zebrałem coś koło ośmiu pudów.

W końcu tych poszukiwań napotkałem najzabawniejsze ze wszystkich schowanko Michałowskiego. Jeden z moich pomocników w poszukiwaniach opowiedział mi, że doszła doń wiadomość, że jakiś dawny kolega Michałowskiego również był obdarzony bibułą przez niego. Ruszamy do owego kolegi. Spotkał nas młody chłopak, który powiedział, że właściwie nie on przechowywał bibułę, lecz że Michałek wraz z nim odwoził ją do «jednej pani».

— Możesz pan stamtąd ją wydobyć? — pytam.

— Dobrze — odpowiada chłopak, — ale ktoś z panów ze mną pojedzie, ja wyniosę od tej pani bibułę, ale sam wozić jej nie chcę.

Zgodziłem się na to. Pojechaliśmy. Dorożka zatrzymała się przed cerkwią.

— Więc to w cerkwi? — pytam, — być nie może!?

— Nie — odparł zdetonowany młodzieniec, — ale tu obok mieszka pop.

— Pop? — zdziwiłem się jeszcze bardziej, wiedząc, że popi na Litwie bez wyjątku są najpodlejszymi sługami rządowymi.

— Niech pan zaczeka — twierdził chłopak, — ja zaraz wrócę.

Po kilku minutach chłopak wypadł z cerkwi z wystraszoną twarzą, wskoczył do dorożki i kazał jechać. Mnie zaś rzucił krótkie słowo: «spalili».

Gdyśmy wyszli z dorożki, rozciekawiony wypytywałem chłopaka o ten dziwny skład wydawnictw rewolucyjnych.

Okazało się, że pani popadia była znajomą Michałowskiego od dzieciństwa, gdy się razem na podwórzu bawili. Potem ona wyszła za popa, on został rewolucjonistą, lecz znajomość się nie urwała. Na podstawie tej znajomości Michałek w czasie nieobecności popa zawiózł tam walizkę z bibułą i, nie

mówiąc o tym, co walizka zawiera, zostawił ją na pewien czas na przechowanie. Popadia nic o tym mężowi nie powiedziała. Lecz gdy Michałka aresztowano, wystraszona popadia przyznała się swemu małżonkowi, że ma jakieś rzeczy Michałowskiego. Małżonkowie złamali zamek i ku wielkiemu zdumieniu znaleźli bibułę, przykrytą w dodatku brudną męską bielizną. Pop chciał nieść to odrazu do żandarmów, lecz po namyśle przyszedł do przekonania, że go to może skompromitować. Spalił więc bibułę, a dla ulżenia sercu sprał swą połowicę co się zowie.

Z podobnymi nieco perturbacjami składowymi, perturbacjami, wywołanymi przez panikę na peryferiach ruchu, zetknąłem się w Warszawie w 1900 r., w styczniu. Było to świeżo po grudniowych aresztowaniach tzw. «dekabrystów»[1]). Tak przez żart nazwano różnych literatów i przedstawicieli inteligencji warszawskiej, aresztowanych nie wiadomo za co w grudniu 1899 r. Wywołało to ogromny przestrach i spowodowało tchórzliwą drżączkę w całej masie rodzin inteligenckich o postępowym zabarwieniu. W tym samym czasie wypuszczono na Warszawę całą moc szpiclów, agentów świeżo utworzonej instytucji «ochrony», która wykazać chciała swą sprężystość i działalność.

Warszawa chyba do owego czasu nie widziała nic podobnego. Główne arterie ruchu, jak Marszałkowska, Nowy Świat i ulice, łączące je, były na wszystkich rogach udekorowane przez podejrzane figury, trącające siebie łokciami, dające sobie sygnały, zachowujące się bezczelnie i natrętnie. Rzucało się to każdemu człowiekowi w oczy, wszyscy o tej szarańczy szpiclowskiej mówili, powiększając jeszcze bardziej panikę wśród tych, co. trzymając się najgorszej w konspiracji zasady: «na złodzieju czapka gore» — mieli już duszę na ramieniu i drżeli na sam widok niewinnego stójkowego.

Akurat w tym czasie wypadło mi być w interesach drukarnianych w Warszawie. Szedłem po Marszałkowskiej, gdy za sobą usłyszałem wołanie:

— Piłsudski! ależ stój, nie uciekaj!

Tak już się odzwyczaiłem od brzmienia mego nazwiska, żem na razie nie zwrócił uwagi na wołanie. Dopiero powtórny okrzyk zatrzymał mię. Odwróciłem się — przede mną stał

---

[1]) Osoby, aresztowane w Warszawie z 21 na 22 grudnia 1899 r., przeważnie ze sfer literackich i w ogóle inteligenckich: A. Marburg, L. Krzywicki, A. Niemojewski, S. Sempołowska, Gomulińska, Jahołkowska, Mortkowicz, Kruszewski, S. Leszczyński, Michalski, Heflich i inni.

kolega z gimnazjum wileńskiego, szlagon ze Żmudzi, z którym podczas wędrówek po świecie spotykałem się niekiedy.

Rzuciłem okiem w około, lecz uspokoiłem się. Nazwisko moje nie zwróciło niczyjej uwagi. Śnieg sypał przechodniom w oczy, wszyscy śpieszyli, nie patrząc na innych, i tylko na rogach ulic majaczyły postacie szpiclów. Uściskaliśmy się z kolegą, który mi zaraz bardzo tajemniczo zaczął szeptać, bym koniecznie wpadł do niego, do hotelu. Umówiliśmy się o godzinę i rozeszliśmy się. Stawiłem się punktualnie o naznaczonej godzinie. Kolega przywitał mnie serdecznie, lecz odrazu rzucił mi pytanie:

— Ty znasz, braciaszku, moją bratową? Wiesz, my z nią przenosiliśmy dzisiaj jakieś wasze rzeczy. No, broszurki — dodał, widząc, że nie rozumiem, o co chodzi.

Byłem zdumiony. Kolega mój nigdy nie odznaczał się usposobieniem rewolucyjnym, a z socjalizmem nie miał nic wspólnego, prawdopodobnie nie przeczytał nigdy książki, ani broszury socjalistycznej.

O bratowej jego nigdy w życiu nie słyszałem, ale czułem, że wypieranie się moje do niczego nie prowadzi. Ludzie, stojący poza ruchem, tak samo, jak i żandarmi, są przekonani, że wszyscy rewolucjoniści znają się wzajemnie, jak łyse konie. Dla mego kolegi bratowa była widocznie rewolucjonistką, ja byłem na Syberii — wniosek stąd oczywisty, że się znać musimy.

— Jakże się to stało? — pytałem go zdziwiony.

— A widzisz, braciaszku! — mówił z pewnego rodzaju triumfem. — Widzisz: zachodzę dzisiaj rano do bratowej, widzę — kobieta zakłopotana, chodzi zamyślona, odpowiada nie «wpopad» [1]) — mówił z rosyjska. — Czego — pytam — siostrunia martwi się? Powiada, ma kłopot i że ja pomóc muszę. Ja na to — i owszem.

Przyznała mi się kobiecina, że ma na schowaniu nielegalne książki, ale że się teraz obawia je nadal zachowywać, bo jakiegoś jej znajomego niedawno aresztowali. Chce więc je przenieść tym czasem do starej ciotki, ale tego dużo i sama nie zabierze. Chce, żebym jej pomógł. No, myślę, ma nosić coś kobieta, poniosę i ja. Ale pytam, czy nie lepiej przewieźć — poco nosić? Ale wytłumaczyła mi, że to u nas tak się nie robi, że to zbyt widoczne, że trzeba pod paltotem nieść, a ona resztę poniesie pod rotundą. Jak taka moda, trudno. Opakowała mię bratowa książkami, sama wzięła parę pakunków i wyszliśmy

[1]) Nie do rzeczy.

na ulicę. Powiadam ci, braciaszku, nie tchórz jestem, ale te książeczki mię paliły. Ciągle mi się zdawało, że wszyscy patrzą na mnie. A tu, jak na złość, gdy podchodzimy do dorożki, bratowa mi mówi: patrz, tu szpicle stoją, nie bierzmy tej dorożki.

Idziemy dalej. Tam stali jacyś ludzie, ale grzecznie usunęli się nam z drogi. Nigdybym nie przypuścił, że to byli szpicle. Wyglądają wcale przyzwoicie, — ale wy chyba na tem się znacie. Przeszliśmy koło pięciu dorożek, wyobraź sobie wszędzie byli szpicle. Ilu tu ich jest! I to my na to tałatajstwo tyle podatków płacimy! Koło szóstej dopiero dorożki nikogo nie było — siedliśmy i jazda do ciotki na ulicę — tu wymienił mi nazwę ulicy, numer domu i nazwisko ciotki.

Tam bratowa długo coś szeptała z ciotką, wreszcie oswobodzono mię od tych pakunków. Wyobraź sobie, z dziesięć minut w paltocie stałem w pokoju — nigdy tak niegrzeczny nie byłem!

Opowiadał mi z takim zapałem, tak komicznie przyciszonym głosem, tak często podbiegał do drzwi i zaglądał, czy kogo za drzwiami nie ma, żem ledwie nie poległ od śmiechu, wyobrażając sobie, jak ta para wystraszonych profanów rewolucyjnych odsuwała się od dorożki, dlatego, że gdzieś niedaleko ktoś stoi lub przechodzi.

— A imaginuj sobie — mówił dalej kolega, — gdyśmy przyszli do domu, po książki przyszli...

— Jakto przyszli? — zerwałem się, chwytając za kapelusz, przypuszczałem bowiem, że mówi o żandarmach i że, jak to zwykle w takich wypadkach bywa, mój kolega jest już pod bacznym dozorem policji i szpiegów.

— A przyszli — potwierdził — wasi. Jakiś pan, raczej młody chłopiec z panną. Ten pan przedstawił mi się jako Szczurowski, ale bratowa mi mówiła, że to kłamstwo, bo jakoby wy prawdziwego swego nazwiska nigdy nikomu nie mówicie. Wiesz, że to niebardzo grzecznie, to mi się nie podoba.

Jak potem przez ciekawość sprawdziłem, część bibuły warszawskiej pozostawiono na noc u bratowej mego kolegi i ta po jednej nocy, spędzonej z bibułą pod jednym dachem, tak się wystraszyła, że zaledwie doczekawszy się rana, wyniosła ją natychmiast dalej.

Takie perturbacje składowe i panika, powstająca na peryferiach ruchu rewolucyjnego za lada przyczyną, sprawiają zwykle dużo kłopotów organizacjom i ludziom, zmuszonym opiekować się bibułą. Niekiedy mają przy tym miejsce przykre, wstrząsające sceny. O takiej właśnie scenie słyszałem

od pewnej towarzyszki, która przez dłuższy czas opiekowała się bibułą i składami w Warszawie.

— Miałam — mówiła mi — wspaniały skład u jednej swojej znajomej, żony drobnego urzędnika. Naturalnie — dodawała feministycznie usposobiona towarzyszka — mąż o tym nic nie wiedział. Już to mężczyźni w sferze nieściśle rewolucyjnej są daleko większymi tchórzami, niż niewiasty. W dodatku pan mąż należał do kategorii zazdrosnych, co między wami na każdym kroku się zdarza. Biedna kobiecina drżała przed swym despotą, lecz w tajemnicy przed nim oddawała nam spore usługi. Co prawda, musieliśmy się stosować do warunków życia naszej składniczki. Przychodziliśmy do niej tylko w czasie zajęć biurowych pana domu, a więc przed obiadem, nie mogliśmy posyłać tam mężczyzn, bo razu pewnego, gdyśmy tak postąpili, Otello przez sługę się dowiedział o tem i zrobił straszną scenę żonie, która, nie chcąc zdradzić tajemnicy, nie mogła mu wytłumaczyć męskiej wizyty u siebie. Tak trwało dosyć długo — parę lat. Przyzwyczaiłyśmy się do siebie, interes się ułożył, wszystko szło, jak po maśle.

I nagle spadła na nas katastrofa! Razu pewnego zachodzę w porze przedobiadowej do naszej składniczki, żeby się z nią umówić o przeniesienie do niej świeżego transportu bibuły agitacyjnej, dzwonię i ku wielkiemu zdumieniu słyszę za drzwiami męskie kroki. Przypuszczałam, że mąż-despota zachorował i nie poszedł do biura, lecz drzwi się otworzyły i przede mną stał sam pan mąż. Był blady, twarz miał zmęczoną.

— Czy pańska żona w domu? — spytałam grzecznie.

— Żona moja umarła — odpowiedział mi pan grobowym głosem.

Odskoczyłam przerażona. Było to tak nagłe i niespodziewane, żem przez pewien czas nie mogła przyjść do siebie. Lecz wreszcie przez głowę przemknęła mi myśl, chociaż i śmiesznie mała wobec majestatu śmierci, lecz pomimo to obchodząca mię — myśl o bibule.

— Pani była przyjaciółką mojej żony? — pytał łagodnym, przyciszonym głosem.

Pod wpływem łagodnego tonu rozmiękłam i ja.

— Przepraszam pana — rzekłam, — że w takiej chwili będę pana mymi kłopotami zajmowała, ale nieboszczka żona pańska miała na przechowaniu trochę moich rzeczy. Miałam właśnie zabrać je teraz...

Nie dokończyłam, gdyż poczułam, że gospodarz chwycił mię brutalnie za ramię i ciągnął do dalszych pokoi.

— Aha! to pani! — powtarzał chrypliwym głosem.

Wreszcie znaleźliśmy się w pokoju, gdzie tak niedawno jeszcze prowadziłam ze zmarłą przyjaciółką narady o wspólnym interesie, a gdzie teraz leżała ona martwa w trumnie. Koło nieboszczki modliła się jakaś staruszka, która na znak gospodarza wyszła z pokoju.

— Więc to pani! — mówił gospodarz, — co, jak wąż, wślizgnęła się do mojego domu, by zakłócać jego spokój, by swą niecną robotą narażać szczęście i dobre imię moje i mojej żony.

Oburzyłam się na te słowa, wydały mi się one obrazą pamięci mojej przyjaciółki, obok ciała której staliśmy w tej chwili.

— Niech pan żony swojej — powiedziałam ostro — nie obraża przypuszczeniem, że jak jakaś głupia istota bez woli mogła być wplątaną przez kogoś do rzeczy, nieuznawanej przez siebie za godną ofiary i poświęcenia. Jeżeli to robiła pod sekretem przed panem, to jedynie dlatego, żeby nie było piekła w domu, za co pan wdzięcznym jej być powinien. Proszę pana zaprzestać tych przykrych scen i powiedzieć wyraźnie, gdzie są książki i jak je mam odebrać.

— Nie! ja pani tak nie wypuszczę! — chrypiał gospodarz, — pani tu, w tym pokoju przysiąc mi musi, że z ust pani nie wyjdzie tajemnica, która hańbą pokryć dom mój może.

— O co panu chodzi? — rzekłam ze wstrętem, widząc, że ten człowiek drży o własną skórę i chce wykorzystać nawet śmierć żony, by tę skórę zabezpieczyć. — Jeżeli o to, by nazwisko pańskie nie było przeze mnie związywane wobec kogokolwiek ze sprawami nielegalnymi, to i owszem, mogę panu to przyrzec, tym bardziej, że stanowi to mój obowiązek.

— Niech pani przysięga! — szeptał, biorąc krucyfiks ze stołu obok nieboszczki.

— Proszę zaprzestać komedii! — krzyknęłam, wyrywając mu się z rąk, — niech panu wystarcza moje przyrzeczenie.

Gospodarz domu z nienawiścią patrzył na mnie. Wreszcie po chwili namysłu postawił krucyfiks na stole i rzucił mi:

— Dobrze! niechże pani dotrzyma swej obietnicy! Proszę za mną!

W następnym pokoju był koszyk z bibułą, wsunięty pod łóżko. Zamek, wiszący przy koszyku, był zepsuty.

— Proszę zabrać swoje rzeczy! — rzekł do mnie ostro.

Zmusiłam go posłać po dorożkę, stróż zniósł mi koszyk na dół.

Byłam tak wzruszona, że nogi mi drżały i w głowie mi się kręciło, gdym schodziła ze schodów. Przechorowałam tę scenę, przez kilka dni stał mi w oczach pokój z trumną na stole i wściekłym gospodarzem, trzymającym mnie, jak w kleszczach, za ramię.

Wobec tak skomplikowanych urządzeń i stosunków ze składami większymi, wobec niemożliwości użytkowania ze składowych instytucji w każdej chwili, koniecznym jest rozdrabnianie księgarń-składów jeszcze bardziej, stwarzanie nowych, drobniejszych, lecz bliższych do konsumentów. W istocie, proszę sobie wyobrazić, że któremuś ze stolarzy, naprzykład, w agitacji wśród kolegów z warsztatu okazała się potrzebną, przypuśćmy, broszura «Kto z czego żyje?» — klasyczna popularyzacja teorii Marksa. Nasz stolarz potrzebuje jej natychmiast; mówił o tej broszurze swemu agitowanemu koledze, spostrzegł zainteresowanie się sprawą robotniczą u niego i radzi mu przeczytać broszurkę, obiecuje ją dostarczyć. Gdyby to zapotrzebowanie iść musiało do centralnych składów-księgarń, przechodząc różne stopnie organizacyjne, gdyby takie drobne zapotrzebowanie musiało się stosować do kaprysów hurtownych składników i składniczek, straciłoby się dużo czasu i broszura mogłaby trafić do rąk konsumenta wtedy, gdy potrzeba już minęła i znikł ten nastrój, który stanowił o skuteczności wpływu broszury. Oprócz więc hurtownych składów muszą istnieć i detaliczne.

Z natury rzeczy są one drobne. Kilka egzemplarzy najpopularniejszych broszur, kilka zapasowych numerów «Robotnika» — oto najczęstszy inwentarz tych małych, podręcznych księgarń. Każdy nieledwie agitator ma taki składzik z zapasowymi wydawnictwami, najbardziej potrzebnymi w robocie. Często i tutaj dla zabezpieczenia składu ludzie poszukują miejsca dla niego wśród swoich osobistych znajomych, nie biorących bezpośredniego udziału w czynnym życiu organizacji. I bodaj największe usługi w tym wypadku oddają kobiety.

Niekiedy, lecz bardzo rzadko, takie detaliczne księgarnie bywają urządzane w fabrykach lub warsztatach. Nie zawsze jest to bezpiecznym, bo żandarmi często nie ograniczają się poszukiwaniem w mieszkaniach, zajmowanych przez podejrzane osoby. Przetrząsają oni biurka w kancelariach, szafki z instrumentami w fabrykach i warsztatach. W Żyrardowie w 1900 r. aresztowano maszynistę, którego podejrzywano o rozpowszechnianie bibuły. Zrobiono przy tym najstaranniej rewizję w całej maszynsztubie fabrycznej. Nie znaleziono nic. Po pewnym czasie wskutek zdrady jednego z wtajemniczo-

nych zrobiono tam rewizję po raz drugi. Tym razem poszukiwania wykazały, że w podmurowaniu maszyny parowej była ukryta taka właśnie detaliczna księgarenka.

W ogóle wśród robotników, którzy najbardziej są narażeni na rewizje i napaści żandarmów, mocno jest rozwinięta wynalazczość w kierunku urządzania różnych dowcipnych skrytek i schowanek dla podręcznych księgarń z niewielką ilością bibuły. Jak mnie zapewniano ze strony ludzi, znających dobrze te stosunki, te skrytki urządzone są nieraz po mistrzowsku i często zostają niewykryte przy najściślejszych rewizjach. Zdarzało się nieraz, że po aresztowaniu właściciela takiej skrytki bibuła leżała rok i więcej, pomimo, iż nowi lokatorowie w mieszkaniu lub robotnicy w fabryce codzień mogli je wykryć. Opowiadano mi o wypadku, gdy któryś z warszawskich robotników zostawił w swym mieszkaniu niewykrytą przy rewizji bibułę. Robotnik ten został skazany na wygnanie i po kilku latach wrócił do Warszawy. Po powrocie postanowił się dowiedzieć, co się stało z ową bibułą. Szczęśliwym trafem znalazł swe dawne mieszkanie zajęte przez znajomego towarzysza partyjnego. Poszedł więc do niego i ku wielkiemu jego zdumieniu wyjął ze skrytki bibułę, nieco zresztą uszkodzoną i zbutwiałą od wilgoci.

Na prowincji, gdzie otoczenie i tryb życia często jest na pół wiejskie, urządzenie detalicznej księgarenki jest znacznie łatwiejsze, niż w dużych miastach, jak Warszawa i Łódź. W tych warunkach wykorzystać można dziesiątki zakamarków i kącików, o których prawie z pewnością powiedzieć można, że są zupełnie bezpieczne i niedostępne dla najszczwańszych lisów żandarmskich. Tam też często się zdarza, że przy aresztowaniach na ulicy lub w warsztatach współtowarzysze aresztowanych uprzedzą żandarmów i wyniosą z mieszkania wszystko, co może kompromitować aresztowanego, nim władza zdąży z rewizją. Oto wiadomo o takim właśnie fakcie w Zagłębiu Dąbrowskim.

Zagłębie, którego poszczególne części, jak Sosnowiec lub Dąbrowa, rozwijają się i zaludniają z iście amerykańską szybkością, jest pod względem policyjnym i kulturalnym zwykłą, najobskurniejszą dziurą. Ani organy rządowe, idące w swym rozwoju ze zwykłym w Rosji pośpiechem żółwia, ani instytucje kulturalne w społeczeństwie, skrępowanym przez barbarzyńskie prawa caratu, nie mogą dotrzymać kroku szybko postępującemu naprzód przemysłowi tego zakątka. Stąd wynika, że ani ulice, ani mieszkania, ani paszporty, ani dozór policyjny — słowem, nic prawie nie jest uregulowanym. Gdy

więc kto wskaże swe miejsce zamieszkania, to nieraz trzeba dużo stracić czasu, nim się wskazany punkt odnajdzie. Żandarmeria, która w tych warunkach ma również utrudnione zadanie, załatwia się tam nieraz w ten sposób, że aresztuje robotników przy wyjściu z fabryki i dopiero stamtąd wyrusza na poszukiwanie mieszkania aresztowanego. Poszukiwania te trwają nieraz parę dni.

Otóż razu pewnego aresztowano w ten sposób robotnika, u którego na składzie leżało sporo bibuły. Aresztowany, licząc na pomoc towarzyszów, dał żandarmom o swym mieszkaniu wskazówki tak nieokreślone, że ci w żaden sposób tegoż dnia trafić doń nie mogli. Wiadomość o aresztowaniu kogokolwiek szybko się rozchodzi. Współtowarzysze więc wiedzieli o wypadku tegoż dnia wieczorem. Wysłano naprzód na zwiady jednego ze spiskowców. Ten wrócił z zapewnieniem, że żandarmi dotąd nie dotarli do mieszkania. Wyruszono tedy w kupie z przygotowanym workiem. Jedni stanęli na straży wokoło, by umówionym sygnałem uprzedzić w razie czego innych, którzy zakradli się do mieszkania przez wybitą szybę i wyciągnęli stamtąd całą księgarnię. Żandarmi trafili do mieszkania dopiero nazajutrz, czy jeszcze później i, naturalnie, nic nie znaleźli.

Ma się rozumieć, towarzysze dąbrowscy mieli zadanie ogromnie ułatwione. Ciemności egipskie, brak policji, błotniste drogi i ścieżki — wszystko to stwarza doskonały grunt zarówno dla istotnych rzezimieszków, jak i dla tych, co w jakimbądź celu brać na siebie muszą ich rolę.

Te drobne składy-księgarenki, rzecz prosta, sprawiają swym właścicielom i organizatorom również kłopoty przy panice podczas większych aresztowań, jak to widzieliśmy przy hurtownych składach. Kłopoty te są mniejsze, bo przecie z niewielką ilością bibuły łatwo sobie dać rady — nie przedstawia żadnej trudności przenieść ją w kieszeni lub nawet zniszczyć w ostatecznej potrzebie. Uważam jednak za obowiązek przyznać, że te właśnie detaliczne składy, rozmieszczone najczęściej wśród ludności robotniczej, mniej są narażone na szwank z powodu strachu składnika lub składniczki. Ludzie w tej sferze są stanowczo odważniejsi i więcej cenią pracę i poświęcenie, włożone w każdy egzemplarz bibuły w państwie cara.

Zdarzają się jednak wypadki, gdy panika ogarnia i odważniejsze serca. A że strach bardzo często jest najgorszym doradcą, bywały wypadki, że właśnie strach gubił ludzi. Opowiadano mi, że do Pabianic pod Łodzią razu pewnego przyje-

chali żandarmi. Nie wiadomo było, do kogo się udadzą, lecz niektórzy z tych, co mieli coś niecoś na sumieniu, uznali, że, jeśli żandarmi przyjechali, to niechybnie dla nich. Otóż jeden z tych ogarniętych strachem przypomniał sobie, że u niego leży kilka broszur. Biegnie czym prędzej do domu i w pośpiechu zakopuje je na swem podwórku. Bojąc się jednak, by kto nie nadszedł, zakopał je bardzo płytko. Żandarmi zrobili parę rewizji i nie zaczepili wcale o naszego tchórza. Lecz cóż się stało? Świnia, chodząc po podwórku, wyryła zakopaną świeżo bibułę i wysunęła jedną z broszur na ulicę. Spostrzegł to ktoś z władzy i w rezultacie naszego tchórza aresztowano. Odtąd, jakoby, w Pabianicach dla przestrogi młodych opowiadają historię o tym, jak «świnia zasypała towarzysza».

Jak widzimy, w interesie bibulastym rozwiniętym jest system pośrednictwa. Książka lub broszura, nim dojdzie do rąk swego czytelnika, przechodzi przed tym przez cały szereg rąk pośredniczących — komiwojażerów partyjnych, składników centralnych, hurtownych, wreszcie detalicznych.

Naturalnie, powiększa to ilość pracy, włożonej w każdy egzemplarz bibuły, a zatem i wartość jego. Cały ten ogrom pracy pośredników, unikających w dodatku poczty, jak ognia, jest wynikiem nielegalności pracy z bibułą, a cały misterny system składów, podskładów i składzików jest koniecznym skutkiem przystosowywania się do dzikich warunków politycznych w państwie rosyjskim. Prześladowania rządowe wpływają na zwiększenie nieprodukcyjnej pracy pośredników pomiędzy wytwórcami i konsumentami bibuły do tego stopnia, że swemi rozmiarami, ilością ludzi, zajętych przy niej, przewyższa ona stokrotnie pracę ściśle produkcyjną. Pośrednictwo staje się dominującą częścią sprawy rozpowszechnienia bibuły i decyduje o ilości i nieprzerwalności w kursowaniu bibuły w kraju.

Na razie w PPS., która, jak to widzieliśmy, we wszystkim, tyczącym się bibuły, stworzyła nowe wzory postępowania, robiono główny nacisk na produkcję bibuły. Zdawało się, że reszta, to jest pośrednictwo, przyjdzie samo przez się, zorganizuje się łatwo. W istocie dalsza część systemu — lokalne składy hurtowne i detaliczne składziki — zorganizowały się bez trudu. Konieczny związek pomiędzy nimi był utrzymywany przez lokalne organizacje partyjne, mające w swym rozporządzeniu dostateczną ilość ludzi, by zarówno system, jak i związek pomiędzy pojedynczymi ogniwami, nie ponosił szwanku.

Trudniejszym było dopasowanie centrów produkcji bi-

buły — granic i drukarni — do głównego składu oraz tego składu do lokalnych składowych instytucji. Dopóki bibuły nie było tak dużo, dopóki stosunki organizacji nie sięgały dalej poza główne miasta i ogniska przemysłowe, wszystko szło jako tako. Sprawy bibulaste załatwiało się przygodnie — przy innych interesach lub też przy okazjach. Nieliczni funkcjonariusze partyjni dawali sobie z tym radę.

Lecz wkrótce ilość bibuły zaczęła się zwiększać, wymagania wzrastać, stosunki rozszerzać. To, co było dobrym i dostatecznym dla paru tysięcy egzemplarzy różnych wydawnictw i dla czterech, pięciu punktów organizacyjnych stało się nie wystarczającym, gdy chodziło o dziesiątki tysięcy egzemplarzy, gdy trzeba było zaglądać do dziesiątków miast i miasteczek.

Jeden z towarzyszów, entuzjastów bibuły, który w dodatku starał się zawsze o cyfrowe przedstawienie rzeczy, mówił mi rok temu:

— Nie masz wyobrażenia, jak się stosunki zmieniły! Dawniej, gdy się sprowadziło 500 egzemplarzy jakiej broszury, to się miało cały rok zapewniony. Szło to sobie powoli, kropelkami. Teraz 300—400 egzemplarzy porządnej, łatwej do czytania broszury wystarcza zaledwie na pierwszą porcję. Puścisz tę parę setek i jeszcze się nasłuchasz pretensji, że za mało tu lub gdzie indziej dano.

Mniej więcej w ten sam sposób przedstawiano mi rzeczy w Londynie, głównym wydawniczym punkcie dla socjalistycznych broszur polskich, przeznaczonych dla zaboru rosyjskiego.

Dawne wydawnictwa, z okresu przed PPS-owego, które rozchodziły się powoli, już się zupełnie wyczerpały. A teraz, gdy trzeba dawać nowe wydania starych rzeczy lub wydawać świeże, nie warto bić mniejszej ilości, jak 7—10 tysięcy, ilości niesłychane dla poprzedniego stadium ruchu.

Z chwilą więc, gdy przygodne załatwianie interesów bibulastych przy rozwoju stosunków stało się utrudnionym, zaczęło się wkradać zamieszanie do organizacji pośrednictwa w dostarczaniu bibuły z instytucji centralnych do lokalnych. Nieliczni funkcjonariusze byli przeciążeni pracą, którą dotąd uważali dla siebie jako dodatkowy, przygodnie wypełniany obowiązek.

Jeden z towarzyszów, który w tym właśnie okresie pracował, opowiadał mi ze złością:

— Bibuła zapanowała nad nami, byliśmy jej niewolnikami, sługami. O niczym innym niepodobna było myśleć, jak

tylko o walizkach, jazdach z bibułą, umowach o dostarczenie tego lub owego z centralnego składu. Towar panował nad wytwórcą. Brr!... — wstrząsnął się, — paskudny był to czas!

Naturalnym wyjściem z tego położenia rzeczy było wyodrębnienie sprawy pośrednictwa pomiędzy centralnymi zbiorowiskami bibuły a lokalnymi księgarniami-składami w osobną funkcję organizacyjną. Bibuła w ten sposób panuje nieograniczenie nad ludźmi, do tej funkcji przystawionymi, lecz za to inni są wolni od tej troski i mają do czynienia z bibułą tylko o tyle, o ile wchodzi ona w zakres bezpośrednich czynności organizatorskich i kolporterskich.

Przy takim wyodrębnieniu funkcji bibulastych i oddaniu ich w ręce rzeczywistych niewolników bibuły znikać też musi stopniowo i przygodność, wypadkowość w załatwianiu spraw, związanych z bibułą. Cała maszyneria, mająca na swe usługi specjalistów, nabiera precyzji w działaniu i regularności w ruchach. Takimi specjalistami są towarzysze, zajęci przy rozwożeniu bibuły do różnych lokalnych składów-księgarń. O kłopotach ich z powodu zajazdów opowiadałem wyżej, wykazałem, jak bardzo obciążoną jest ich pamięć drobnymi szczegółami. Lecz nie jest to wszystko. Skazani są oni w dodatku na spędzanie nieledwie połowy swego czasu w dusznych wagonach kolejowych. Właściwie nazwaćby ich można komiwojażerami od bibuły.

O szerokości tego interesu w PPS. świadczyć może następujące obliczenie, zakomunikowane mi przez ludzi, prowadzących rachunki partii. Jako osobna rubryka wydatków partyjnych figurują w rachunkach «bilety kolejowe». Przeciętnie w rubryce tej co miesiąc rachmistrze partyjni wpisują cyfrę — 500 rubli. W niektórych miesiącach, jak mi mówiono, wydatki te dochodzą do 600 rubli (756 guldenów czyli 1500 koron). Jak mnie zapewniano, połowa tej sumy jest wydawaną przez komiwojażerów od bibuły, reszta przypada na różne organizacyjne wyjazdy. Jeżeli zaś przyjmiemy pod uwagę, że taryfa pasażerska na kolejach rosyjskich jest najniższą w Europie i że cały obszar Polski razem z częścią Litwy, objętej przez działanie PPS., nie jest znowu tak duży, łatwo zrozumiemy, jak częste są podróże komiwojażerów, zmuszonych wydawać rocznie 3000 rubli na bilety kolejowe.

Opowiadano mi, że z powodu tych częstych podróży jeden z żartownisiów podawał projekt, by partia zwróciła się do zarządów kolejowych z wymaganiem zniżki na biletach dla swych funkcjonariuszów, dających tak znaczny zarobek kolejom. Inny dowcipniś żartował, mówiąc:

— Na naszych komiwojażerach nie sprawdza się znane twierdzenie znakomitego satyryka rosyjskiego, Szczedryna, że każdy rosyjski poddany składa się z trzech części: ciała, duszy i... paszportu, albowiem ci najczęściej paszportu nie posiadają. Natomiast — twierdził — możnaby sformułować względem nich tę myśl inaczej: składają się oni z ciała, duszy i... przewodnika kolejowego, z którym się nigdy nie rozstają równie dobrze, jak prawowierny poddany rosyjski z paszportem.

W istocie książka z rozkładem kolejowym jest najczęstszą lekturą komiwojażerów. Wszystkie kwestie, tyczące się ruchu pasażerskiego na kolejach, są przez nich znakomicie wystudiowane. Ile i gdzie jaki pociąg stoi na stacji, gdzie się pociągi krzyżują, w jakich pociągach znajdują się wagony komunikacji bezpośredniej z dalszymi kolejami, dopłaty kolejowe, które koleje mają najwygodniejsze wagony — wszystko to są sprawy, co do których najlepszych informacji zawsze udzielić może towarzysz-komiwojażer.

Specjalną uwagę zwracają komiwojażerowie na szpiclów na dworcach i zielonych. Wobec tego, że pociągi, idące od granic państwa, są najbardziej strzeżone, wybierać nieraz trzeba, szczególnie, gdy się jedzie z rzeczami, takie pociągi, które na stacji, będącej celem podróży, nie spotykają pociągów nadgranicznych. Uważać też należy na dworcach kolejowych na podejrzane figury, kryjące się po kątach. Słowem, głowa biednych komiwojażerów jest wiecznie przepełniona szczegółami i drobiazgami zajazdowymi, składowymi, kolejowymi, a rozmowy kręcą się zwykle około przygód kolejowych i szpiclów na dworcach.

Wobec tak częstych podróży kolejowych komiwojażerowie spotkać się też musieli z plagą kolei rosyjskich — złodziejami, operującymi w pociągach. Oto fakt, o którym słyszałem od jednego z towarzyszów.

Razu pewnego komiwojażer z bibułą, zapakowaną w niewielką ręczną walizkę, wyruszył z Warszawy do jednego z miast prowincjonalnych. Wobec zmiany zajazdu miał go spotkać na dworcu jeden z towarzyszów miejscowych, który musiał go zaprowadzić do nowego, przeznaczonego na zajazd mieszkania. Gdy pociąg wchodził na stację, nasz komiwojażer stał przy oknie przedniego wagonu i lustrował publiczność na peronie dworca, chcąc zawczasu wiedzieć, w którym miejscu stoi spotykający go towarzysz, żeby niepotrzebnie nie kręcić się potem na peronie.

W istocie spostrzegł z okna oczekującego go towarzy-

sza, lecz niedaleko od niego dojrzał też znanego mu z poprzednich podróży szpicla. Postanowił więc skontrolować zachowanie się szpicla i przekonać się, czy nie stoi on przypadkiem dla towarzysza na peronie. Gdy zatem pociąg stanął, wyskoczył zeń bez bibuły, chcąc zobaczyć, co będą robili obserwowani przezeń ludzie. Po chwili przekonał się, że obawy jego były mylnymi. Oczekujący go towarzysz szedł w kierunku lokomotywy, gdyż spostrzegł komiwojażera w oknie pierwszego wagonu, a szpicel pobiegł lustrować pociąg w jego ogonie. Uspokojony komiwojażer wraca do wagonu po swój bagaż i, proszę sobie wyobrazić jego przestrach i zdziwienie, gdy go na miejscu nie znajduje.

Rozpytuje sąsiadów i dowiaduje się, że przed chwilą wszedł do wagonu jakiś człowiek i zabrał pakunek, jak własny. Sąsiedzi z ciekawości rozpytują, czy to nie złodziej, chcą iść do żandarma kolejowego, opisują cechy zewnętrzne człowieka, który zabrał rzeczy. Nasz komiwojażer był w ogromnym kłopocie. Bibuły szkoda, lecz zarazem niepodobna odszukiwać złodzieja. Żandarm otworzy walizkę, znajdzie tam bibułę — i oprócz bibuły zginie i człowiek. Naprędce więc uspokoił sąsiadów twierdzeniem, że z opisu poznaje znajomego, z którym jechał i który prawdopodobnie czeka go na peronie. Publiczność uspokoiła się, a nasz niefortunny komiwojażer zdetonowany wyszedł z wagonu, by opowiedzieć swą przygodę towarzyszowi.

Zdarzają się też inne przygody kolejowe. Wybieram z pomiędzy słyszanych dwie dosyć charakterystyczne.

Jeden z towarzyszów wiózł w ciężkiej walizce bibułę. Był wściekle głodny, więc na większej stacji wyskoczył, by przegryźć cokolwiek w restauracji stacyjnej. Nieszczęście chciało, że pociąg z powodu opóźnienia stał na stacjach krócej, niż mu wypadało według rozkładu jazdy. Nasz towarzysz zagapił się i opuścił porę wsiadania — pociąg ruszył bez niego, uwożąc walizkę z bibułą. Niedługo myśląc, komiwojażer zadepeszował, by rzeczy jego zatrzymano do następnego pociągu. Opisał zewnętrzne cechy walizki, miejsce, przez siebie zajmowane w wagonie, liczył więc na to, że mu wydadzą walizkę bez kłopotu i protestu. Przed odjazdem otrzymał depeszę, że rzeczy jego zatrzymano o kilka stacyj dalej i są u żandarma.

Uspokojony przybywa wreszcie na oznaczoną w depeszy stację i zwraca się do żandarma kolejowego, żądając zwrotu swej walizki. Żandarm pokazuje mu walizkę, którą nasz towarzysz uznał za swoją, lecz oznajmia, że w takich wypadkach prawo mu nakazuje zażądać od pasażera opisu rzeczy, znaj-

dujących się w walizce, którą może wydać dopiero wówczas, gdy się przekona, że w istocie w walizce znajdują się wskazane przez pasażera rzeczy.

Nasz towarzysz zaczął się śmiać z tych wywodów żandarma, dowodząc, że przecie nikt inny, jak właściciel, nie depeszował o zatrzymanie walizki, i na dowód pokazał kwit urzędu telegraficznego. Żandarm jednak nie dawał się przekonać i nastawał, by towarzysz wymienił rzeczy, znajdujące się w walizce, i otworzył ją przy nim. Zakłopotanie biednego komiwojażera wzrastało. Zaczął niby szukać w kieszeniach kluczyka od walizki, wymieniając nie istniejące wcale rzeczy. Tym czasem zbliżał się czas odjazdu i wreszcie żandarmowi dokuczyło to oczekiwanie; zapisał więc tylko nazwisko i adres naszego towarzysza — naturalnie, zmyślone — i oddał mu walizkę, nie otwierając jej wcale.

O innej przygodzie, z nieco bardziej tragicznym skutkiem, opowiadano mi niedawno. Towarzysz wiózł odezwy z aresztowanej przed paru miesiącami drukarenki w Brześciu. Siadł do wagonu wieczorem, a że przed tym parę nocy nie dosypiał w podróżach i znalazł odpowiednie miejsce, położył się na ławce i wkrótce zasnął, zostawiwszy zawiniątko z odezwami na siatce dla bagażu ręcznego. Wypadkowo jakiś kupiec, który miał jechać tym samym pociągiem i wniósł swój pakunek do wagonu, dla jakichś powodów został na stacji, zapominając o swych rzeczach. Depeszował więc, by jego bagaż ręczny zatrzymano.

Wskutek depeszy konduktorowie szukali zapomnianego pakunku w wagonach. Czy zawiniątko z odezwami było zewnętrznie podobne do bagażu owego kupca, czy też, nie doszukawszy się właściciela zawiniątka, bo nasz towarzysz spał w najlepsze, konduktor przypuszczał, że pakunek bez właściciela jest poszukiwanym przez kupca bagażem — dosyć, że zawiniątko z odezwami zabrano i odesłano na stację, oznaczoną przez kupca. Nasz towarzysz, gdy się obudził, odezw już nie znalazł i gorzko sobie wyrzucał, że nie wziął zawiniątka pod głowę. Sądził, że rzeczy mu skradziono.

Wkrótce jednak okazało się, że z powodu tych odezw wynikła cała awantura. Kupiec zgłosił się na stację po zapomniane rzeczy, lecz tam aresztowano go natychmiast — zawiniątko zwróciło uwagę żandarma, który zrewidował zawartość bagażu i znalazł tam nielegalne druki. Biedny kupiec, jak mi opowiadano, siedział parę tygodni w więzieniu, nim się cała sprawa wyjaśniła i znaleziono właściwe rzeczy, zapomniane przez niego w wagonie. Rzeczywistego właściciela zawi-

niątka z odezwami — towarzysza, który zasnął w wagonie — nie odszukano.

Do kłopotów komiwojażerskich należy też pomiędzy innymi staranie się o odpowiednie opakowanie przewożonej bibuły. W jednym wypadku, gdy się zajeżdża do domu inteligencko-burżuazyjnego, trzeba mieć porządne, dobrze wyglądające walizki, sakwojaże itp. rzeczy. W innym, gdy się ma zajść do proletariackiego mieszkanka, takie właśnie porządne podróżne nesesery zwracają niepotrzebnie uwagę. Oprócz tego przewozi się bibułę w rozmaitych ilościach. Jak niepodobna wieźć dużo bibuły w małym koszyku, tak zarówno unikać należy przewożenia niewielkiej ilości druków w dużych pudłach i walizach.

Zdawałoby się, nic łatwiejszego! Dosyć jest mieć asortyment waliz, koszów, pasów rzemiennych, by odpowiednio do potrzeby wybrać zeń należyte opakowanie. W istocie zaś nie tak łatwo to urządzić. Zajeżdża, np., komiwojażer do przygotowanego dla niego mieszkania. Oprócz tego interesu ma on do załatwienia jeszcze inne — musi się z tym lub owym towarzyszem zobaczyć w innym punkcie, musi zjeść obiad, powinien się zastosować do warunków zajazdu, które to warunki często nie pozwalają na odebranie natychmiastowe przywiezionej walizki albo na zjawianie się powtórne w mieszkaniu zajazdowym. Nieraz z zajazdu bibuła nie może być wyekspediowaną do składu od razu, a komiwojażer musi śpieszyć do pociągu, by zdążyć na następną randkę. I oto w rezultacie asortyment już jest zepsuty, ta lub owa rzecz «posiana», jak się mówi w technicznym języku komiwojażerów.

Takie wypadki zdarzają się na każdym kroku, a że wyjazdy z bibułą są częste, więc biedni komiwojażerowie są w wiecznej pogoni za walizkami, koszykami, paskami. Pieniędzy często brak na drogę lub jedzenie, więc kłopot jeszcze bardziej się zwiększa i komiwojażerowie często pożyczają u tego lub owego znajomego odpowiednią walizkę lub koszyk i wówczas oprócz innych interesów, leżących na ich głowie, powstaje nowy: odebranie i odwiezienie pożyczonej na czas pewien walizki.

W dodatku, jeśli sobie czytelnik przypomni to, com mówił o trzecim pasie pogranicznym, zrozumie, że takie lub inne opakowanie bibuły ma swe znaczenie dla nadania pozorów odpowiednich wobec zielonych, stojących na dworcach i stacjach kolejowych. Pod tym względem są brane pod uwagę wszystkie właściwości danej walizki lub torebki podróżnej i specjalnie jest cenioną cecha, nie często się spotykająca, —

mianowicie pakowność, tj. możność umieszczania wielkiej ilości bibuły przy zewnętrznych pozorach niedużej objętości. Jak wielką wagę przywiązują komiwojażerowie do swych walizek i torebek, wnioskować można z pewnego uosabiania tych martwych rzeczy. W języku ich walizki i torebki noszą nazwy «blondynek», «brunetek», «rudych facetek» — stosownie do koloru skóry, która stanowi zewnętrzną stronę opakowania bibuły.

Wobec tego, że te szanowne «panie» zwykle ulegają zaprzepaszczeniu, czyli «posianiu» w zajazdach i składach, toczy się o nie wieczna wojna pomiędzy komiwojażerami i towarzyszami lub towarzyszkami, zarządzającymi powyższymi instytucjami. I oto do instrukcji, udzielanych sobie wzajemnie przez komiwojażerów, wciskają się nowe szczegóły.

— A nie zapomnij pan — dodaje jeden z nich przed odjazdem drugiego — wyciągnąć z N. N. brunetkę, com ją posiał ostatnim razem. Wspaniała facetka: lekka, jak anioł, a pakowna, jak studnia! Taka mi jej szkoda, jakby mi rękę kto uciął. Te szelmy z zajazdu gotowi ją nam zaprzepaścić na amen!

Albo też do przeładowanej już szczegółami podróży głowy wyjeżdżającego komiwojażera dodaje się jeszcze jeden szczegół:

— Słuchaj! jak będziesz w Zagłębiu, wstąp tam do X. U nich od dawna już leży posiana brunetka. Podła to sztuka i nic nie warta, ale pożyczyłem ją u Z. i ten ananas gwałtownie domaga się zwrotu. Trzeba być uczciwym w interesach, bo jak przyjdzie bieda, nie znajdziemy nigdzie pomocy. Zawieź ją chociażby do kogokolwiek w Warszawie, będzie potem łatwiej zrobić z nią porządek.

Opisany wyżej system pośrednictwa jest, zdaniem moim, jedynym systemem, mogącym zabezpieczyć prawidłowe i stałe rozpowszechnianie druków nielegalnych w warunkach politycznych państwa rosyjskiego. Gdzie tych ogniw, łączących wytwórców z konsumentami, nie ma, tam nie może być i mowy o stałym dopływie bibuły — krwi ożywczej dla organizacji rewolucyjnej pod caratem.

KOLPORTERKA

Najbardziej pierwotnym sposobem rozpowszechniania bibuły jest rozrzucanie nielegalnych wydawnictw. Sposób ten ma niezaprzeczenie swoje dobre strony. Przede wszystkim jest nadzwyczaj konspiracyjnym.

Znajdujący bibułę gdziekolwiek: na ulicy, podwórku, warsztacie lub fabryce — nie zna i nie widzi tego, który bibułę rozrzucał, i w razie złapania u niego książki niecenzuralnej ma łatwy i naturalny sposób usprawiedliwienia się przed władzą. «Znalazłem tam i tam» — brzmi lakoniczna, nikogo nie kompromitująca odpowiedź na żandarmskie rozpytywanie o bibułę.

Następnie rozrzucenie daje się względnie łatwo uskutecznić i nie wymaga wcale istnienia szerszej organizacji kolporterskiej, ani też obszernych stosunków wśród ludzi, dla których bibuła jest przeznaczona. Przecie znacznie łatwiejszym i bezpieczniejszym jest rozrzucenie, dajmy na to, stu egzemplarzy jakiegoś wydawnictwa, niż posiadanie stu znajomych ludzi, którzy wezmą te egzemplarze z rąk do rąk. Idź i syp na prawo i lewo — recepta to nietrudna, a wykonanie jej uwarunkowane jest jedynie krótkotrwałym wyładowaniem pewnej energii u niewielkiej ilości ludzi.

Wobec tego rozrzucanie nielegalnych wydawnictw partyjnych spotykamy wszędzie przy pierwszych krokach, stawianych przez organizację rewolucyjną. Jak mnie zapewniano, więcej, niż połowa nakładu «Robotnika» w początkach jego istnienia, w r. 1894 i 1895, była rozsypywana wśród ludności fabrycznej i rzemieślniczej w głównych ogniskach przemysłowych Polski. To samo było z «Górnikiem», wydawanym przez PPS. dla Zagłębia Dąbrowskiego. Według relacji, otrzymanych przeze mnie co do Rosji i Ukrainy, i tam dotąd przeważa system rozrzucania wydawnictw — odezw i broszur rewolucyjnych — wśród ludu pracującego.

Jeden z towarzyszów, który pracował właśnie w tym pierwszym okresie ruchu w Zagłębiu Dąbrowskim, opowiadał o swych wrażeniach w sposób następujący:

— Źle staliśmy wówczas pod względem organizacyjnym w Zagłębiu. Ludzi w organizacji było bardzo mało, socjalizm też był ideą o tyle nową, że wśród robotników, stojących na dosyć niskim stopniu kulturalnym, trudno było go rozpowszechniać ustnie. Oswajaliśmy masy z «dobrą nowiną» so-

cjalizmu przez rozrzucanie wydawnictw naszych w wielkiej ilości.

Prawie co wieczór garstka nasza wychodziła na robotę. W kieszeniach każdy z nas miał kupkę najpopularniejszych broszur — głównie rozpowszechnialiśmy «Sprawę Górniczą», specjalnie dla górników przeznaczoną. Każdy z nas znał wertepy Zagłębia, jak swoją kieszeń. Było to koniecznie potrzebnym, bo wypadało nam trafiać do określonych zawczasu punktów w nocy, omijając zarówno bardziej zaludnione miejscowości, jak doły i odkrywki kopalniane, w których łatwo kark skręcić.

Chodziliśmy dla bezpieczeństwa parami i z góry określaliśmy dla każdej pary miejscowość, którą obejść należało. Dopiero nad ranem, po nużącej wędrówce po błocie dąbrowskim, przychodziło się do domu zmęczonym i wyczerpanym zupełnie.

Wkrótce zaczęły krążyć legendy o tajemniczych ludziach, rozrzucających książeczki. Dochodziły do nas wieści o rozmowach, toczonych wśród robotników pod wpływem bibuły. Nasze broszury spodobały się ludziom. W pamięci zostało u mnie parę scen, świadczących o takim sympatyzującym stosunku ludności robotniczej do bibuły.

Razu pewnego, już nad ranem, gdym kończył swoją robotę i zostało mi parę broszur w kieszeni, postanowiłem podrzucić je w najbliższej kolonii robotniczej — grupie domków górniczych, otaczających najbliższą kopalnię. Szedłem szybko, zamyśliłem się i nie spostrzegłem, że w okienku, do którego zmierzałem, świeci się mdły ogieniek, że ludzie już tam wstali. Gdym to dojrzał, stałem już przed oknem, tak, że nie tylko ja widziałem wnętrze ubogiego pokoiku, lecz i sam byłem widocznym dla mieszkańców lokalu.

W pokoju górnik spiesznie ubierał się, a żona jego, jeszcze w koszuli, przygotowywała mu śniadanie. Oboje spostrzegli mnie przed oknem i wyraz twarzy ich mówił o zdumieniu. Bałem się, by nie zrobili alarmu, mógłbym bowiem być złapanym, jako złodziej. Postanowiłem zaryzykować.

Wyciągnąłem z kieszeni książeczkę, pokazałem ją przez okno górnikowi i położyłem na murze koło okna. Na twarzy górnika zakwitł uśmiech — zrozumiał, o co mi chodzi, — oboje zakiwali głowami w znak zgody i podziękowania. Uspokojony ruszyłem do domu.

Innym razem, podchodząc w ciemności do domków robotniczych, nie spostrzegłem, że obok domu stał człowiek. Gdym wyciągnął z kieszeni książeczkę i zamierzał ją położyć

koło okna, wpadł na mnie pies, ujadając wściekle. Chciałem się wycofać z interesu, gdy usłyszałem głos.

— Pójdź tu, psiakrew! — odwoływał ktoś psa, ktoś stojący ode mnie bardzo blisko.

Zrozumiałem, iż ten, kto odwoływał psa, musiał widzieć moje ruchy, musiał dostrzec i broszurę, wyjmowaną z kieszeni. Położyłem więc spokojnie bibułę tam, gdziem zamierzał, i oddaliłem się. Pies raz jeszcze spróbował spełnić swój obowiązek i groźnie zaszczekał. Po chwili jednak usłyszałem uderzenie i przeraźliwe skomlenie uderzonego psa, którego raz jeszcze powstrzymał ów nieznajomy.

Naturalnie, taki prosty sposób rozrzucania bibuły nie jest przydatnym dla miast, porządnie obsadzonych policją i szpiegami, — jak Warszawa albo Łódź. Tam proces rozrzucania wymaga większego nakładu pracy i sprytu. Opowiadano mi pomiędzy innymi, że przez dłuższy czas w Łodzi udawało się rozpowszechniać sporą ilość «Robotnika» przez łobuzów ulicznych.

Dawało się takiemu chłopczykowi paczkę «Robotnika» i złotówkę lub czterdziestkę z nakazem, by rozdał «te ogłoszenia» robotnikom przy wyjściu ich z fabryki. Robiło się to przed samym końcem roboty, tak, że chłopak mógł widzieć, iż oddawca «ogłoszeń» kontroluje go przy spełnianiu wziętego na się obowiązku.

W istocie, chłopak stawał u wyjścia z fabryki i, gdy robotnicy tłumnie zaczynali wychodzi z furtki lub bramy, raz po raz wysuwał egzemplarz «ogłoszenia», podając go przechodniowi. Policja, gdyby nawet i była na ulicy, nie spostrzegłaby nic zdrożnego, bo taki malec z «ogłoszeniami» ginął w ogromnym, liczącym kilka setek ludzi, tłumie.

— Zabawnym było — mówił mi towarzysz z Łodzi — obserwować, co robią ludzie z otrzymanym «Robotnikiem». Niektórzy rzucali okiem na tytuł i pośpiesznie chowali papier do kieszeni. Inni z miną wystraszoną oddawali pismo chłopakowi, lecz byli i tacy, którzy tutaj, na ulicy, stawali i przeglądali otrzymane «ogłoszenie». Tworzyły się nawet grupki ludzi, otaczających zwartą masą jednego, który widocznie na głos czytał ten lub inny ustęp z «Robotnika». Najzabawniejszym zaś było patrzeć na «salcesona» — tak w żargonie złodziejskim nazywają policjantów, — który z najobojętniejszą w świecie miną patrzał filozoficznie na otoczenie, nie przeczuwając, że tuż obok niego dzieją się tak zdrożne i buntownicze rzeczy.

Po pewnym czasie doszło jednak do wiedzy władzy, że

ktoś rozdaje pod fabrykami «buntownicze» pisma. Któregoś z chłopaków przyłapano na gorącym uczynku i trzeba było zaprzestać rozdawnictwa «ogłoszeń».

Pomimo jednak prostoty i łatwości samego procesu rozrzucania bibuły, sposób ten ma i odwrotną stronę, która stopniowo ogranicza zastosowalność jego przy rozpowszechnianiu druków nielegalnych i zmusza szukać innych, bardziej skutecznych, bardziej płodnych w rezultaty.

Przede wszystkim więc taką odwrotną stroną medalu przy rozrzucaniu bibuły jest zupełny brak danych o osobie, której się podrzuca ten lub ów druk zakazany.

Wobec tego, że przy rządach carskich ogromną część ludności stanowią analfabeci, — bibuła często trafiać musi do ludzi, którzy z niej żadnego pożytku mieć nie mogą. Oprócz tego bibuła łatwo trafić może do rąk niepożądanych, do jej wrogów, czy to z urzędu — szpiegów i urzędników, czy to z ciemnoty — ludzi, zostających pod wpływem np. księży, w wypadku, gdy bibuła jest socjalistyczną. Dodajmy jeszcze tchórzostwo, które zmusza wielu do niszczenia każdego nielegalnego druku, dodajmy ludzi zupełnie obojętnych na wszelkie wpływy, którzy ani zajrzą do podrzuconego egzemplarza bibuły, a zrozumiemy, jak mało produkcyjnym jest sposób rozrzucania. Można z pewnością powiedzieć, że dwie trzecie bibuły rozrzuconej ginie bez pożytku, pozostaje bez wpływu.

Stąd wynika druga ujemna cecha systemu rozrzucania — jego kosztowność. Wobec trudności przy sprowadzaniu bibuły i przy jej produkcji w kraju każdy egzemplarz druku zakazanego kosztuje sporo. Jak mi opowiadano, obliczenia P. P. S. wskazują, że koszta transportu podnoszą mniej więcej cenę książki lub broszury w dwójnasób. Można więc sobie wyobrazić, jakie mnóstwo pieniędzy wrzuca się najliteralniej w świecie w błoto, gdy się trzyma systemu rozsypywania i podrzucania bibuły. Przecie w tym wypadku nie może być i mowy, by wrócił choć jeden cent z pieniędzy, wydanych na wydrukowanie i przetransportowanie książki czy broszury.

Najgorszym jednak w systemie rozrzucania jest jego minimalna skuteczność pod względem organizacyjnym, jego niezdolność do przysparzania członków organizacji, do związywania ludzi z grupą rewolucyjną, rozsypującą bibułę. Bibuła w tym wypadku spada ludziom z nieba, otrzymują ją oni bez zaciągania przy tym jakichkolwiek zobowiązań względem tych, od kogo ona pochodzi. Więcej nawet — przy stałym stosowaniu tego systemu ludzie się przyzwyczajają do uważania

siebie za przedmiot jakichś operacji, dokonywanych nad nimi przez kogoś im obcego, nieznanego, niczym z nimi nie związanego.

Wpływ bibuły w tym wypadku, na razie może i silny, słabnie, a w każdym razie jest zupełnie nieuchwytnym — nie daje się ani zmierzyć, ani regulować. Organizacja, uprawiająca stale i jedynie system rozrzucania swych wydawnictw, staje się podobną do jeźdźca, który w ręku nie ma cugli do kierowania rumakiem. Szczególnie zgubnym jest taki skutek systemu rozrzucania dla organizacji socjalistycznej, która siłę swą czerpać musi nie tylko z świadomości ludu pracującego, lecz i z organizowania jego w swych szeregach, z udziału jego w pracach i działalności organizacyjnej. System rozrzucania bibuły stosowanym być może jedynie, jako sposób przejściowy, stopień, po którym wspiąć się można wyżej, by wyjść na normalniejszą drogę.

Zresztą, każda organizacja, która się rozwija, drogą naturalnej ewolucji dojść musi do ograniczenia, jeśli nie do zupełnego porzucenia tego sposobu. Bo gdy szeregi organizacyjne rosną w liczbę, rośnie też i ilość bibuły, spotrzebowanej w łonie organizacji. A że zdolność wytwórcza organizacji dla bibuły nie jest czymś nieograniczonym, że z konieczności wzrastać ona może tylko wolno, nie gwałtownie, ilość bibuły, pozostającej dla rozrzucenia, stopniowo musi maleć, redukować się do coraz mniejszej liczby.

Znamienną jest ewolucja, dokonana pod tym względem przez P. P. S. przy rozpowszechnianiu swego organu — «Robotnika». Zaczęto od tego, że połowę nakładu, który wynosił wówczas 1200 egzemplarzy, rozrzucano. Jak mi opowiadano, stosunki organizacyjne partii podlegały w owe czasy takiej fluktuacji, że przy niektórych numerach początkowych zaledwie czwarta część nakładu szła z rąk do rąk w łonie samej organizacji. Stopniowo jednak sytuacja się polepszała z każdym miesiącem. Organizacja wzmagała się, rosły też żądania bibuły.

Wobec tego rozpoczęto walkę z systemem rozrzucania bibuły. W tych stosunkach, gdzie uprawiano ten sport na większą skalę, obcinano żądania, dając mniejszą ilość «Robotnika» dla rozpowszechnienia. Pomimo to już w 1896 r. — w dwa lata po rozpoczęciu wydawnictwa — trzeba było powiększyć nakład do 1300, 1400, wreszcie do 1500 egzemplarzy. Jak mi opowiadano, walka z rozrzucaniem bibuły, a szczególnie «Robotnika», trwała dosyć długo. Ludziska ogromnie się do tego sposobu rozpowszechniania wciągnęli i przyzwyczaili. Przy-

taczano rozmaite argumenty w celu utrzymania go i nadal, a niepoślednią rolę odgrywał jakoby argument o bezpieczeństwie rozpowszechniających w ten sposób bibułę.

Z czasem jednak zwycięstwo zostało odniesionym — «Robotnika» przestano rozrzucać, a zarazem liczba jego czytelników stale wzrastała. W r. 1899 biliśmy już 1900 egzemplarzy. Od tego czasu nakład nie wzrastał. Na przeszkodzie stoją warunki techniczne. Przy wzrastaniu liczby odbijanych egzemplarzy wzrastać też musi, rzecz prosta, i czas, zużyty na pracę przy maszynce, i «Robotnik», który już teraz wymaga 15—16 dni dosyć ciężkiej roboty, musiałby ukazywać się rzadziej.

W tych warunkach, jak mi opisywano, zarząd partyjny zmuszony jest obcinać wszelkie żądania «Robotnika», odmawiać stale natarczywym wymaganiom poszczególnych organizacji co do zwiększenia ilości otrzymywanych egzemplarzy pisma. Czytelnicy, którzy z konieczności zastosować się musieli do tego postanowienia, znaleźli radę na nieszczęście. Nastąpił proces, że go tak nazwę, zrzekania się czytelników «Robotnika». Polega on na tym, że grono ludzi, dobrze znających się wzajemnie, umawia się o kolejkę, jaką obiegnie nowy numer «Robotnika» całe zrzeszone koło. Grono ludzi, w ten sposób zrzeszonych, składa się nieraz z 10 stałych czytelników bibuły. Najbardziej rozpowszechnionym jest ten nowy sposób w najstarszych, dobrze ugruntowanych organizacjach, które, rzecz prosta, są najbardziej przez zarząd partyjny krzywdzone przy podziale nakładu «Robotnika» na rzecz nowych, zawiązujących się organizacyj.

Nie trzeba jednak sądzić, że podrzucanie bibuły zostało zaniechanym w zupełności. Praktykuje się ono dotąd, nieraz na szeroką skalę, lecz w każdym wypadku posiada ono cechy pewnej celowości i spowodowane jest chęcią wywołania z góry określonego efektu. Przede wszystkim więc podrzuca się bibułę ludziom, których się chce wypróbować.

Zrozumiałą jest rzeczą, że przy okrutnych prześladowaniach, jakie spadają na organizacje rewolucyjne pod caratem, trzeba być bardzo ostrożnym przy przyjmowaniu nowych członków do organizacji. Trzeba zbadać nie tylko przekonania i poglądy kandydata, lecz i jego charakter osobisty. Takim probierzem zarówno poglądów, jak charakteru bywa nieraz egzemplarz bibuły, podrzucony badanemu kandydatowi. Co kandydat z bibułą zrobi — zniszczy ją, czy puści dalej, odda ją w ręce władzy rządowej lub fabrycznej, co będzie mówił o podrzuconym egzemplarzu druku — wszystko to bierze się w rachubę, zważa się i ocenia.

Opowiadano mi o jednej takiej próbie, dokonanej w mrocznych korytarzach którejś kopalni w Zagłębiu Dąbrowskim.

Ludzie, zorganizowani w tej kopalni, mieli chrapkę na jednego z górników, który podobał się z powodu dosyć wysokiego poczucia godności osobistej, jakim ów kolega pracy wyróżniał się z pomiędzy otoczenia. Lecz górnik był mrukiem i niechętnie prowadził rozmowy, trudno więc było go wysondować. Postanowiono dla próby podrzucić mu egzemplarz «Górnika». Położono bibułę w załomie filaru węglanego, obok miejsca, gdzie ów górnik zwykł był składać różne rzeczy, gdy mu zawadzały przy robocie.

Sprawdzono, że bibuła znikła, więc górnik, badany przez towarzyszów, musiał ją zabrać, lecz wobec milczenia nie można było określić stosunku jego do bibuły i idei, przez nią reprezentowanej. Postanowiono prowadzić próbę dalej. Gdy wyszedł nowy numer «Górnika», podrzucono go znowu. Numer ten znikł, jak poprzedni, i kilka dni minęło bez żadnego widocznego rezultatu. Towarzysze organizacyjni byli zniechęceni i zamierzali zaniechać dalszych badań w tym kierunku, lecz na usilne prośby jednego z nich, który najbliżej znał badanego kolegę, zaryzykowano raz jeszcze.

Po trzecim numerze milczący górnik przemówił. Nazajutrz po otrzymaniu bibuły zwrócił się on do kolegi, który go protegował w organizacji, i prosił go o radę. Opowiedział mu o trzykrotnym podrzuceniu i wyznał, że mu gazetka spodobała się ogromnie. Nasz towarzysz udał, że nie rozumie, o co chodzi.

— Jaka gazetka? — pytał, — żadnej nigdy nie widziałem.

Górnik pod wielkim sekretem dał mu do przeczytania wszystkie trzy numery. Koledzy zeszli się znowu i długo gawędzili o różnych sprawach, poruszanych przez «socjalne» pismo.

Pomiędzy innymi badany górnik chciał sobie rozstrzygnąć pytanie, skąd pochodzi podrzucone mu pismo.

— Nie skarbnik *) przecie — rozumował, — on się tym nie zajmuje. Musi to robić ktoś obchodzący kopalnie w tym celu. I wiesz — dodał — co mnie męczy? Drukowanie takich rzeczy musi kosztować sporo pieniędzy. W gazetce na końcu są nawet pokwitowania, więc ktoś wydawcom za gazetkę płaci.

*) Według legend górniczych istnieje duch opiekuńczy, zwany «skarbnikiem», który od czasu do czasu ukazuje się w kopalniach, szczególnie, gdy ma się zdarzyć wypadek z ofiarami ludzkimi. Przeważnie ukazuje się on w ubraniu sztygarów pruskich, jakie noszono niegdyś przy początkach górnictwa w Zagłębiu

A mnie wstyd, żem już trzy numery otrzymał i ani grosza za to nie zapłacił. Zapewne ten, kto gazetę roznosi, łaje mnie. «Łajdak, — mówi, — gazetę czytasz, chwalisz ją, a złamanego szeląga od ciebie nie widzę». Łamałem już sobie głowę nad tym, jak to urządzić, by pieniądze do gazety doszły. Odłożyłem już na ten cel pół rubla z ostatniej wypłaty. Ale jak to zrobić?

— Jak sądzisz? — pytał, — czy dobrze będzie tak, jak teraz sobie wykombinowałem. Ten, kto chodzi i gazetkę rozrzuca, oczekuje pewnikiem, że pieniądze za gazetkę będą położone w tym samym miejscu, co i pismo. Musi je znaleźć. Co?

Przyjaciel zgodził się, że to projekt najpewniejszy. Tak też nasz górnik postąpił. Gdy znalazł po raz czwarty pismo, położył na to miejsce 50 kopiejek i odszedł. Naturalnie, towarzysz, który już o tym wiedział, zabrał pieniądze i ku wielkiemu zadowoleniu ofiarodawcy w następnym numerze w pokwitowaniach było wydrukowane: Z filaru w chodniku takim to za gazetę 50 kopiejek.

Bibułę podrzucają również ludziom, których podejrzywają o ściślejsze stosunki z policją lub władzą fabryczną, a to w celu skontrolowania, co taki pan z podrzuconym egzemplarzem zrobi. Fakt oddania bibuły w ręce tej lub owej władzy świadczy o złej woli człowieka i nakazuje być ostrożnym z nim we wszystkich sprawach.

Poza tym podrzucanie bibuły jest praktykowane w stosunkach, mało zbadanych, nie szeroko rozgałęzionych, lub w takich, do których zwyczajną organizacyjną drogą na razie trafić niepodobna. Przez dłuższy czas sposób ten praktykowano w stosunku do ludności wiejskiej w okolicach podmiejskich. Do ostatnich czasów, gdy partia rozpoczęła prawidłową działalność wśród ludu wiejskiego, bibuła partyjna szła na wieś przeważnie takim właśnie pierwotnym sposobem.

W niedzielę lub święto, szczególnie latem, robotnicy zaopatrywali się w przeczytaną już i zbyteczną bibułę i wyruszali za miasto, by wetknąć ją gdziekolwiek na wsi. Naturalnie, urządzano podrzucanie w ten sposób, by egzemplarz bibuły jak najprędzej wpadł w oko komukolwiek. Prawie w każdym mieście, w którym P. P. S. ma stosunki wśród ludności robotniczej, znajduje się kilku takich amatorów wędrówek zamiejskich w celu podrzucenia paru egzemplarzy bibuły w tej lub owej wsi podmiejskiej.

Na większą skalę organizowała P. P. S. rozrzucanie bibuły wśród wieśniaków w czasie odpustów w Częstochowie, gdy pod Jasną Górą zbiera się z różnych stron kraju do setki

tysięcy pobożnych pątników. Opowiadano mi o wypadku, gdy w czasie jednego z odpustów rozrzucono i rozdano 10 tysięcy egzemplarzy wydawnictw socjalistycznych, specjalnie w tym celu wybranych z asortymentu partyjnego. Mówię — rozdano, bo niektórzy z cwaniaków warszawskich, posłanych do Częstochowy dla wykonania planu, posunęli swą śmiałość do tego, że krążyli w tłumie, pytając ludzi, czy umieją czytać? Dawano książki tylko tym, którzy na to pytanie odpowiadali twierdząco.

Takim amatorem puszczania na wieś bibuły był pomiędzy innymi zmarły na wygnaniu w Syberii towarzysz Błażejewicz [1]), stolarz warszawski, który należał do pierwszych organizacji socjalistycznych w Warszawie. Wysłany na Sybir jeszcze przed zawiązaniem pierwszej partii socjalistycznej w Polsce Proletariat, wrócił z wygnania po kilku latach i, gdy mu zabroniono mieszkać w Warszawie, osiadł w Wilnie.

Tutaj stary wyga rewolucyjny puścił wodze swemu temperamentowi. Zawsze chodził obładowany broszurami, które wtykał ludziom przy każdym spotkaniu. Szczególnie jednak lubiał operować na dworcu kolejowym w czasie dorocznej pielgrzymki pobożnych wieśniaków do Kalwarii pod Wilnem, gdy przed każdym pociągiem w sali trzeciej klasy znaleźć można tłumy siermiężnych chłopów. Błażejewicz wpadał do tego tłumu, wyszukiwał wśród niego inteligentniejsze twarze, rozpoczynał rozmowę, wreszcie zapytawszy, czy chłop umie czytać po polsku, dawał mu książeczkę.

— *Na, schawaj!* — mówił po białorusku, — *ad biskupa.*

Wychowaniec starej szkoły rewolucyjnej nie chciał się pozbyć różnych demagogiczno-klerykalnych zwrotów, którymi otwierał serca chłopów. Jak mi opowiadano, młodsze pokolenie rewolucyjne staczało z nim o to «ad biskupa» długie walki, lecz przekonać go nie mogło.

W ogóle wieś, przy braku porządnie zorganizowanej policji oraz przy naiwności i zaufaniu do druku swych mieszkańców, zawsze jest idealnym terenem dla operacji rozrzucania bibuły. A wobec tego, że stosunki organizacyjne — przynajmniej w organizacjach socjalistycznych — na wsi mogą być tylko skutkiem poważniejszego ich rozwoju w miastach, wszystkie młode organizacje zaczynały na wsi robotę od rozrzucania wśród wieśniaków bibuły. Pomiędzy innymi rozru-

[1]) Działacz socjalistyczny, Maciej Błażejewicz, były uczestnik powstania 1863. Aresztowany wielokrotnie, zmarł na zesłaniu w Minusińsku w r. 1897.

chy chłopskie w guberniach Połtawskiej i Charkowskiej, rozruchy, które niedawno tyle narobiły hałasu, były skutkiem rozrzucenia w tych okolicach całego mnóstwa bibuły ukraińskiej, przeważnie tłumaczenia doskonałej broszury polskiej «Ojciec Szymon».

Ale i na wsi, rzecz prosta, przy rozwoju stosunków ewolucja kolportażu musi doprowadzić do stopniowego zarzucania pierwotnego systemu i przechodzenia do wyższego typu rozpowszechniania bibuły. Tym wyższym typem rozpowszechniania bibuły jest kolportaż właściwy — oddawanie druku nielegalnego z ręki do ręki w zamian czy to pieniędzy, czy też tych lub innych zobowiązań względem organizacji partyjnej. Ten typ jest obecnie w P. P. S. najbardziej rozpowszechnionym, jest stałym niejako prawem, regułą, względem której inne sposoby są wyjątkami.

Bibuła periodyczna z centrów partyjnych, a broszurowa i książkowa z detalicznych składów-księgarń dostaje się do rąk pierwszych odbiorców. Ci przeważnie biorą ją nie dla siebie, lecz dlatego, że mają zamówienia odpowiednie do innych, dalej od ognisk partyjnych stojących towarzyszów. Jest to drugi stopień, po którym bibuła schodzi w głąb ludową. Najczęściej druk zakazany na tym stopniu nie zatrzymuje się długo. Niekiedy, mianowicie, gdy zaszła co do książki lub numeru pisma odpowiednia umowa, bibuła wraca znowu na pierwszy stopień, by wyruszyć w inną stronę, przeważnie jednak po pewnym czasie idzie ona dalej w świat.

W pierwszym wypadku formuje się coś w rodzaju wypożyczalni bibuły. Egzemplarz jej raz po raz zmienia czytelnika, lecz zawsze wraca do pierwotnego jej posiadacza — zwykle członka organizacji partyjnej. Prawie w każdej organizacji lokalnej istnieje lub istnieją takie wypożyczalnie, liczące tytuły dziesiątkami. Są amatorowie takiego właśnie systemu rozpowszechniania bibuły. Ci usilnie starają się, by wypożyczalna posiadała możliwie wszystkie wydawnictwa partyjne, by zadowolić mogła każde wymaganie klienteli.

Kiedym był redaktorem «Robotnika», miałem podręczny komplet naszego pisma. Przypadkiem spaliłem wraz z niepotrzebnymi papierami jeden z pierwszych numerów «Robotnika». Zmartwiony byłem tą stratą, gdyż przypuszczałem, że jest ona do niepowetowania. Pięć lat minęło od wydania numeru i trudno było przypuszczać, by gdziekolwiek w organizacji krajowej, podlegającej tylu perturbacjom — rewizjom i aresztowaniom — mógł się zachować tak dawny numer.

Po pewnym czasie dostarczono mi ów zaginiony numer.

Powiedziano mi, że pochodzi on z takiej właśnie wypożyczalni w Zawierciu, osadzie fabrycznej pomiędzy Dąbrową i Częstochową. Dodano przy tym, że towarzysz, zarządzający wypożyczalnią, był ogromnie zmartwiony koniecznością zdekompletowania swego zbioru, lecz zrobił ofiarę przez wzgląd na potrzeby redakcyjne. Egzemplarz, który w owe czasy był dla mnie ciekawym okazem, swym zewnętrznym wyglądem dawał wspaniałe świadectwo swej służby.

Był to druk zaczytany i przechodzony co się zowie. Głębokie rysy, idąc w różnych kierunkach, świadczyły, że go zginano rozmaicie, odpowiednio do wielkości tej lub owej kieszeni.

Każda stronica nosiła ślady dotknięcia ręki, zatłuszczonej lub pokrytej sadzą. Rogi dolne arkusików od częstego zetknięcia się z palcami czytelników były albo oddarte, albo też, gdy się zadzierała i część tekstu, podklejone nowym papierem. W wielu miejscach druk stał się prawie nieczytelnym i jakaś troskliwa ręka porobiła na marginesach odpowiednie dodatki. Kartki były podziurawione w kilku miejscach — świadectwo, że już kilkakrotnie egzemplarz «Robotnika» podlegał operacji zszywania. Słowem, widocznym było, że w ciągu ubiegłych pięciu lat egzemplarz bibuły nie próżnował i przechodził ustawicznie z rąk do rąk, od jednego czytelnika do drugiego.

Ile to — myślałem — takich zaczytanych egzemplarzy bibuły przechowuje się, jak świętość, w różnych zakątkach Polski! Ilu to ludzi starannie podkleja rozszarpane kartki, zszywa i pielęgnuje te ćwiartki zadrukowanego papieru! Przyznam się otwarcie, po obejrzeniu tego szacownego egzemplarza druku zakazanego byłem nieco wzruszony i z podwójną przyjemnością siadłem do pracy nad nowym kolegą opisanego weterana ruchu rewolucyjnego.

Druga, większa część bibuły nie wraca, jak to powiedziałem, do pierwotnych posiadaczów druków — organizatorów kolporterki. Idzie ona dalej, spuszcza się jeszcze głębiej w morze ludowe. Im dalej egzemplarz bibuły odsuwa się od ogniska partyjnego, tym bardziej niknie kontrola nad jego poruszeniami i nad wpływem jego na czytelników i otoczenie.

Bez wątpienia, część takiej bibuły zostaje zniszczona, inna część trafia przy rewizjach do rąk żandarmów i prokuratorów, wzbogacając archiwa rządowe. Lecz bodaj największa ilość wędruje z rąk do rąk, zataczając niekiedy szerokie bardzo koła, zaglądając do zakątków, o których ani się śniło tym, co dany egzemplarz w ruch puścili. Jak powiedziałem, jaka-

kolwiek kontrola, jakiekolwiek obliczenie dla tej ostatniej części bibuły jest zupełnie niemożliwe.

Fakt istnienia czytelnictwa pozapartyjnego jest niezaprzeczalnym i nieraz próbowano, choć w przybliżeniu, obliczyć jego rozmiary. Dla wielkich miast, dużych skupień ludzkich, w których pojedynczy ludzie przeważnie mało się znają, takie obliczenie jest, naturalnie, niemożliwe. Lecz w mniejszych miasteczkach, gdzie życie prowincjonalne zbliża ludzi do siebie i pozwala na skuteczniejszą obserwację otoczenia, obliczenie podobne może mieć pewne cechy prawdopodobieństwa.

Opowiadano mi, że jedna z organizacji lokalnych, pracująca w sporym miasteczku fabrycznym, postanowiła określić, ilu też robotników w fabrykach miejscowych czyta bibułę P. P. S-ową. Specjalnie zajmowała ich ta kwestia w stosunku do najulubieńszego dziecka partyjnego — «Robotnika». Przy badaniach i poszukiwaniach postępowano nadzwyczaj ostrożnie i wszelkie wątpliwe wypadki odrzucano, nie wciągając ich do rachuby.

Przy obliczeniach kierowano się wrażeniami z rozmów koleżeńskich. Z nich każdy obserwacyjny umysł z łatwością wywnioskować może o wpływach, którym obserwowany podlega. Słowa i określenia różnych stosunków, nawet zdania całe, żywcem z «Robotnika» wyrwane, łatwo zdradzają czytelników jego. Otóż obrachowano, że w owym miasteczku, liczącym do 20 tysięcy mieszkańców, jest z pewnością nie mniej, niż 400 stałych czytelników «Robotnika». A że organizacja otrzymywała dla rozpowszechnienia 40 egzemplarzy tego pisma, wywnioskowano, że przeciętnie liczyć trzeba w każdym miejscu po 10 czytelników na każdy egzemplarz «Robotnika».

Nie da się zaprzeczyć, że powyższe obliczenie jest nadzwyczaj nieścisłym. Lecz, jeśli chodzi o poprawkę w nim, tobym ją zrobił w kierunku powiększenia wyniku cyfrowego. Powiększenie takie jest koniecznym, gdy się uwzględni wędrówki bibuły nie tylko w obrębie danej miejscowości, lecz i dalsze — do innych miast, miasteczek i wsi.

Faktem jest niezaprzeczonym — opowiadali mi o nim wszyscy ludzie, którzy się stykali z robotą partyjną w różnych miejscach kraju — że bibuła wszędzie wyprzedza organizację. Każdy nowy punkt, do którego tą lub inną drogą wkracza organizacja, każdy nowy stosunek w tym lub owym miejscu miał już przed tym bibułę. Skąd? jaką drogą? — najczęściej trudno nawet zbadać. Wypadki zaś, gdy ta kwestia została rozstrzygniętą, wskazywały, że bibuła potrafi wędrować o setki

kilometrów, przerzucać się z miejsca na miejsce drogami, zupełnie niemożliwymi do przewidzenia i uregulowania. Opowiadano mi, że w ostatnich czasach, gdy partia rozpoczęła szerszą działalność na wsi, spotkano się z tym samym zjawiskiem — bibuła partyjna już dotarła i tam, wyprzedzając organizatora lub agitatora partyjnego.

Jeden z towarzyszów, który przez dłuższy czas pracował po różnych prowincjonalnych dziurach, opowiadał mi o zabawnych odkryciach, jakie niekiedy robił przy stykaniu się z nowymi stosunkami.

— Wiesz — mówił mi, — mam trochę patriotyzmu lokalnego. Czuję specjalne przywiązanie do miasta, gdziem się urodził i spędził swe dzieciństwo. Otóż, gdym się stał socjalistą i zaczął pracować w organizacji P. P. S-owej, irytowało mię niezmiernie, że w moim rodzinnym mieście jest tak cicho, jak makiem posiał. Za każdym razem, gdym otrzymywał «Robotnika», przeglądałem go od początku do końca, chcąc w nim wynaleźć choćby najlżejszą wzmiankę o mieście, które mnie tak żywo obchodziło — zawsze byłem rozczarowany. Moje N. N. spało widocznie w najlepsze.

— Wyobraź więc sobie — mówił dalej — moją radość, gdy przez robotników warszawskich otrzymałem adres jakiegoś rzemieślnika w moim rodzinnym mieście. Rzemieślnik ten był krewnym jednego z naszych warszawskich towarzyszów, który zapewniał, że jego kuzyn z chęcią by utrzymywał stosunki z partią i pomógłby, być może, do zawiązania tam lokalnej organizacji partyjnej.

Rozpytywałem najstaranniej, czy posyłano kiedy bibułę, lecz na to nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Wobec tego wziąłem z sobą komplet wydawnictw nowych i dawniejszych i wyruszyłem w drogę. W drodze ustawicznie się przygotowywałem do rozmowy z ludźmi, którzy nic, albo prawie nic o socjaliźmie, a tym bardziej o partii i jej życiu, nie wiedzą. Uplanowałem sobie, od czego zacznę, jak poruszę tę lub ową sprawę.

Wreszcie przyjeżdżam do owego rzemieślnika, wskazanego mi z Warszawy. Opowiadam mu się, jak należy, powołuję się na krewniaka i mówię, z czym przyjechałem. Przyjmuje mię chłop serdecznie, jak anioła, zesłanego mu z nieba. Na wieczór obiecuje mi zgromadzić kupę ludzi odpowiednich. Wiem, co to oznacza w początkach ruchu. Na takie zebranie ściągają mnóstwo ludzi, bez wątpienia zacnych i poczciwych, lecz będących w większości wypadków, jako materiał organizacyjny, zupełnym zerem, ludzi, którzy chętnie słuchają,

o czym to przyjezdny «pan» mówi, ale którzy co najwyżej będą jedynie czytać to, co im wsuną w rękę.

Wobec tego uprzedzam mego gospodarza, że chciałbym się zobaczyć tylko z takimi ludźmi, którzy mogliby pracować razem z nami nad rozwojem sprawy. Tłumaczę mu, że lepiej na początek mieć do czynienia z niewielką garstką ludzi, chcących robić, niż z wielu słuchaczami.

— Wiem, wiem — przerwał mi dowodzenie gospodarz — sprowadzę tu tylko tych, co już coś niecoś robią, co już są zorganizowani.

Ostatnie słowa wymówił z pewną dumą.

— Zorganizowani? — spytałem zdumiony, — to wy już macie organizację?

— A jakże — odparł urażony rzemieślnik — organizację socjalistyczną.

Coraz bardziej zdziwiony zacząłem rozpytywać o tę organizację. Okazało się, że pod wpływem bibuły, która do mego miasta Bóg wie jakimi drogami zawędrowała, u kilku rzemieślników powstała myśl zawiązania organizacji, a raczej kółka. Członkowie tej samorzutnej organizacyjki zbierali się regularnie, obgadywali różne sprawy lokalne, czytali wspólnie legalne i nielegalne książki, jakie im trafiały do rąk. Mój nowy znajomy obiecał mi przynieść spis bibuły, będącej u nich na składzie, który zarazem był wypożyczalnią, obsługującą, jak się okazało, dosyć szerokie grono ludzi poza ścisłym kołem początkowym.

Wieczorem zebraliśmy się. Było nas niewielu — siedmiu czy ośmiu zaledwie. Rozpocząłem przygotowane już elementarne przemówienie. Słuchacze moi kiwali, co prawda, potwierdzająco głowami, lecz odczuwałem, że ich nie wzruszam. Zrozumiałem, że mówię im o rzeczach, dawno przez nich przetrawionych, i że widocznie oczekują oni ode mnie czegoś innego. Spróbowałem z innej beczki.

Zacząłem mówić o historii ruchu socjalistycznego w Polsce. Gdym doszedł do Proletariatu i zaczął mówić o bohaterskiej śmierci czterech powieszonych na stokach cytadeli towarzyszów, przerwano mi opowiadaniem, że kółko, z którym miałem do czynienia, urządzało u siebie obchód rocznicy śmierci proletariatczyków. Jak się okazało, trafił do nich numer «Robotnika» z odpowiednim artykułem i ta nieznana, niezwiązana z całością ruchu grupka wbrew swemu odosobnieniu stanęła do apelu w tym wypadku. Byłem tym nieco wzruszony, mówiłem więc prawdopodobnie cieplej i serdeczniej, tak, że w końcu zaprzyjaźniliśmy się na dobre.

W końcu zaczęto mię zasypywać pytaniami, żądaniami wyjaśnień w tej lub owej kwestii. Widocznym było, że przy czytaniu bibuły partyjnej powstawały w głowach członków organizacyjki wątpliwości, spory i teraz korzystano z mojej obecności, by lepiej rzecz wyjaśnić czy nawet ją rozstrzygnąć. Bawiło mię osobliwie, gdy mię pytano o sprawy, dawno przebrzmiałe, o których w Warszawie zupełnie zapomniano, a które tutaj żyły w umysłach pod wpływem «gorącego oddechu» świeżo przeczytanego słowa drukowanego.

Wyjechałem z mego rodzinnego miasta szczerze wzruszony i uradowany, a szacunek dla potęgi «bibuły», którą zakuć w kajdany nie potrafili nasi wrogowie, wzrósł ogromnie.

Z takim wpływem bibuły — ciągnął dalej ów towarzysz — bibuły, która wyszła spod kontroli partii i wędruje po kraju niezbadanymi drogami, spotkałem się i na wsi, gdym rozpoczął tam robotę partyjną.

Razu pewnego udałem się na wieś w dosyć głuchym, oddalonym od naszych ognisk partyjnych zakątku, by nawiązać organizacyjny stosunek z paru chłopami, wskazywanymi mi przez wieśniaków podmiejskich, z którymi byłem już dawniej ustosunkowany. Zabrałem z sobą, jak i w poprzednim wypadku, odpowiedni asortyment bibuły. Gdym po wstępnych rozmowach w onej wsi pokazał bibułę chłopom, ci okazali się obznajomieni z większością broszurek przywiezionych. Ba, wymagano ode mnie, bym przywiózł inne broszury i nawet pisma, wymawiając tytuły z pewną chełpliwością.

Zacząłem rozpytywać, skąd pochodzi ta nieoczekiwana przeze mnie znajomość z naszą literaturą partyjną. Dopytałem się wreszcie do źródła. Okazał się nim włościanin z sąsiedniej wsi, który — jak się dowiedziałem potem — miał brata w Łodzi, pracującego w przędzalni. Naturalnie, złożyłem wizytę temu gospodarzowi.

Był to chłop mądry. Rozprawiał z pewnym namaszczeniem o różnych rzeczach i sprawach, które przeważnie są obce nie tylko chłopom, lecz i przeciętnym robotnikom miejskim. Był abonentem jednej z legalnych gazet ludowych, a oprócz tego posiadał biblioteczkę. Zajrzałem do niej. Czego tam nie było? Trylogia Sienkiewicza obok tandentnych utworów Rodziewiczówny, parę tomików Orzeszkowej, Mickiewicza, masa książeczek ludowych, podręcznik fizyki i chemii, gruby rocznik «Gazety Rolniczej» obok «Biesiady Literackiej» — a wszystko to razem pomieszane z mnóstwem wydawnictw nielegalnych.

Z tych ostatnich były i broszurki socjalistyczne, parę nu-

merów «Robotnika», «Przedświtu» i «Przeglądu Wszechpolskiego» z różnych lat i miesięcy. Widocznym było, że właściciel księgozbioru brał wszystko, co mu trafiło wypadkiem do ręki, i latami całymi układał tę pstrą biblioteczkę. Z rozmowy dowiedziałem się, że biblioteczka była zarazem i wypożyczalnią, gdyż właściciel książek chętnie dawał do czytania swym sąsiadom tę lub ową książkę czy broszurę.

Ale w tym księgozbiorze było swego rodzaju sanctuarium, stanowiące niepodzielną własność gospodarza. Był w nim ciekawy zbiór odezw różnych organizacji nielegalnych w Polsce. Widocznie nieco napuszony, agitacyjny styl odezwowy trafiał do gustu i przekonania mego gospodarza, gdy tak umiłował i tak skrzętnie zbierał tego rodzaju literaturę. Były w tym zbiorze odezwy rozmaitego gatunku — socjalistyczne i patriotyczne, traktujące o strejkach i o wypadkach politycznych, drukowane i hektografowane. Niektóre z nich były widocznie przepisane z drukowanych egzemplarzy. Były to, jak mi wytłumaczył gospodarz, takie, które brat jego w Łodzi miał w ręku na czas pewien, nie na własność.

Najzabawniejszym było, że gospodarz swe amatorstwo do odezw posunął do tego stopnia, że miał w swym zbiorze jedną odezwę rosyjską i dwie żydowskie, których, naturalnie, nie był w stanie przeczytać. Rosyjską przetłumaczyłem mu, za co serdecznie mi dziękował, a co do żydowskich, obiecałem mu również dostarczyć tłumaczenie i zanotowałem daty odezw, by wiedzieć, o które mianowicie w tym wypadku chodzi.

Mówiąc o kolportażu, niepodobna pominąć finansowej jego strony. Znaną jest rzeczą, że nawet w normalnych — nie rosyjskich — stosunkach wydawcy mają duże kłopoty z wydobyciem monety przy kolportażu wydawnictwa i zawsze liczyć muszą na pewien procent straty w tym interesie. Naturalnie, że w warunkach politycznych zaboru rosyjskiego straty te muszą być znacznie poważniejsze.

Jak już wykazywałem, prześladowania rządowe wytwarzają z konieczności złożony system pośrednictwa przy rozpowszechnianiu bibuły. Pieniądze za nią idą drogą odwrotną, również z ręki do ręki, przechodząc nieraz przez kilka ogniw pośrednich, nim dojdą do ludzi, prowadzących interes wydawniczy. Przede wszystkim więc kontrola i rachunki muszą być ogromnie utrudnione, a zagmatwanie interesu zwiększa się jeszcze bardziej z powodu niemożliwości prowadzenia ani porządnych ksiąg rachunkowych, ani listy kolporterów.

Rachunki są zapisywane na kartkach, mogących być ła-

two zniszczonymi, w sposób zawiły i niezrozumiały, by w wypadku wpadnięcia ich w ręce żandarmów nic z nich nie można było wywnioskować.

Gdy się w dodatku zważy, że ciągłe rewizje i aresztowania raz po raz wyrywają pośredniczące ogniwa kolportażu, że nawet obawa przed rewizją spowodowuje zniszczenie tego lub owego rachunku — można sobie wyobrazić, jak wielkim jest zamęt w tym interesie i jak trudno zdać sobie jasno sprawę z jego stanu. To też wątpię, by ktokolwiek z ludzi, najlepiej nawet znających sprawę kolportażu, mógł przedstawić choć jako tako wiarygodne cyfry pod tym względem. Przynajmniej moje rozpytywania i badania w tym kierunku nie dały mi nawet żadnej nici przewodniej, żadnego probierza w tej sprawie. Istnieją tylko ogólne wrażenia, wyniesione z dłuższej roboty przy interesie u tych czy innych działaczy partyjnych. Dadzą się one streścić w sposób następujący:

Jedną z głównych przeszkód do prawidłowej sprzedaży broszur i pism zakazanych jest przyzwyczajenie w większych miastach do otrzymywania bibuły darmo. Ruch socjalistyczny właśnie się w tych większych miastach rozpoczął, a pierwsze stadia jego, jeśli odznaczały się ogromnym zapałem i poświęceniem, to brakowało im ładu i porządku. Oprócz tego trzymano się systemu rozpowszechniania bibuły za pomocą rozrzucania, wpychania jej gwałtem. I oto, jako jeden ze skutków tego rodzaju roboty, jest niechęć do płacenia za bibułę.

— Nie masz wyobrażenia — mówił mi jeden z towarzyszów, który przez dłuższy czas pracował w Warszawie, — jak trudno wprowadzić w życie regularne płacenie za wydawnictwa. Zdawałoby się, coż prostszego — oto masz tyle to egzemplarzy takiej to broszury, sprzedaj je za taką to sumę, a jeśli ci się to nie uda zupełnie lub w części, zwróć wszystko lub niesprzedaną resztę. Gdzie tam! robotnicy u nas zgodzą się dać składkę na partię, niekiedy nawet przenoszącą wartość tej bibuły, którą przeczytali. Lecz płacić za każdy egzemplarz, sprzedawać bibułę — na to zgadzają się z trudnością.

— Znajdziesz wielu, — dodał jeszcze, — którzy są zasadniczymi przeciwnikami handlu bibułą. Twierdzą oni, że w ten sposób zmniejsza się powaga i siła jednej z głównych podstaw naszego ruchu — ofiarności. Słowem, można się nasłuchać najrozmaitszych argumentów, od najbłahszych do poważnych, zaczerpniętych i z praktyki, i z etyki, a skierowanych przeciwko sprzedaży prawidłowej wydawnictw.

— Partia nasza — mówił mi inny — stara się przeprowadzić reformę w rozpowszechnianiu bibuły za pomocą pra-

widłowego kolportażu. Dotąd pewne rezultaty osiągnięto jedynie przy rozpowszechnianiu wydawnictw broszurowych i książkowych. Dla «Robotnika», ogromnie trudno, niekiedy niepodobna wprowadzić w życie tę reformę — w tym wypadku trzeba się zadawalniać składkami. I bodaj główną przyczynę względnego powodzenia reformy co do bibuły broszurowej zawdzięczać należy temu, że przy rozroście stosunków jest jej za mało. Popyt znacznie przewyższa w tym wypadku podaż, wtedy, gdy «Robotnik» przychodzi stale w określonej zgóry ilości, do której się ludziska przyzwyczają.

— Tym czasem — tłumaczył mi dalej — raz po raz się zdarza, że się dowiadujemy o handlu naszą bibułą poza nami. W dodatku ceny w takich wypadkach są zawsze wyższe niż te, które my swym kolporterom naznaczamy. Jest to dowodem, że prawidłowy kolportaż — naturalnie, z uwzględnieniem viris maioris, żandarmów, rewizji i aresztowań — jest u nas możliwym i oprzećby na nim można zarówno działalność wydawniczą, jak prawidłowe sądy o wartości tego lub innego wydawnictwa.

Co do określenia części, czy to dochodów z rozprzedaży bibuły, czy też stosunku druków rozprzedawanych do rozdanych, to ani z rozmów, ani z danych partyjnych żadnego wniosku wyciągnąć nie mogłem. Najwidoczniej reforma, o której mówiłem wyżej, jest jeszcze tak świeżej daty, że niepodobna oznaczyć jej wyników.

Napomknąłem wyżej o zrzeszaniu się czytelników «Robotnika» w grona i kółka, które zadawalają się jednym egzemplarzem pisma. Jest to najwyższy typ czytelnictwa, osiągnięty dotąd. Typ ten umożliwia rozszerzenie koła czytelników, nie wymagając dosyć trudnego ze względów technicznych powiększenia produkcji drukarnianej. W zysku zaś otrzymuje się oprócz tego zacieśnienie węzłów organizacyjnych pomiędzy zrzeszonymi czytelnikami, co przy gwałtownym dążeniu ze strony rządu do rozatomizowania społeczeństwa, trzymania go, jak się nieraz wyraził były minister finansów carskich, p. Witte, w stanie sproszkowanym, ma niepoślednie znaczenie. Życzyćby więc należało, by właśnie ten typ stopniowo otrzymywał przewagę nad innymi i stał się regułą, przynajmniej dla «Robotnika» i innych pism partyjnych.

Specjalnym rodzajem bibuły, wymagającym też specjalnego sposobu rozpowszechniania, są odezwy, wydawane przez centralny i lokalne komitety partyjne. Komitety te zwracają się ze swymi odezwami do szerokiego ogółu, nawołując go do jakiegokolwiek czynu lub wystąpienia, albo też tłumacząc zna-

czenie jakiegokolwiek wypadku, zajmującego w danej chwili umysły publiczności. Nie chodzi tu o przekonanie lub kierowanie opinią wśród członków organizacji — do tego istnieją zwykłe organizacyjne drogi, — lecz o wywarcie wpływu natychmiastowego na ludzi, stojących poza organizacją, nie należących do jej szeregów bojowych.

Wobec tego koniecznym jest, by odezwa była rozpowszechniona, «puszczona» — jak o tej akcji mówią rewolucjoniści — jak najszerzej, by jak najwięcej o niej gadano i dyskutowano. Im więcej się hałasu, zwracającego powszechną uwagę, zrobi przy puszczaniu odezw, tym łatwiej osiągnąć cel: owładnąć opinią, przykuć jej uwagę w potrzebnej chwili do tego, a nie do innego zjawiska, do takiego, a nie innego sposobu pojmowania sprawy.

Trzeba przyznać, że wielce pomocnym właśnie w reklamowaniu — że się tak wyrażę — odezw jest sam rząd. Odezwy należą do rzeczy, najbardziej drażniących agentów rządowych — policjantów i żandarmów, osobliwie pierwszych, którzy przeważnie odznaczają się kapitalną głupotą i brakiem taktu politycznego. Robią oni zwykle tyle hałasu z powodu każdej odezwy, latają, jak opętani, po mieście, chwytają najniewinniejszych ludzi, by wykazać swą troskliwość o dobro cara, że nawet głusi usłyszą o odezwach, ślepi je dojrzą, a zwykła ciekawość ludzka zmusi publiczność do wyszukiwania przyczyn nadzwyczajnego rozjątrzenia niedźwiedzia policyjnego. Szczególnie na prowincji w takich wypadkach policja, obudzona ze słodkiej drzemki, dostaje jakiegoś ataku szału i wściekłości, tym śmieszniejszego, że w warunkach życia prowincjonalnego, widocznego dla całego otoczenia.

Atak zostaje w dodatku zwiększony przez okoliczność, że fakt rozrzucenia odezwy wchodzi w zakres działalności dwóch instytucji, konkurujących zwykle pomiędzy sobą — żandarmerii i policji zwyczajnej. W normalnych czasach policja podlega niejako żandarmerii i musi wypełniać jej rozkazy, ale swoją drogą z zawiścią patrzy na wpływy «fijołków» i chciałaby wykazać, że jest równie uzdolnioną do tropienia i ścigania «wewnętrznych wrogów» cara. I oto odezwy stają się polem, na którym odbywa się wyścig sług carskich. Właściwie jest to sprawa polityczna i jako taka należeć musi do żandarmerii, ale zarazem, stanowiąc zakłócenie «spokoju i porządku» publicznego, wchodzi w zakres funkcji policyjnych. A że zwyczajna policja zwykle pierwsza się dowiaduje o odezwach, więc śpieszy wyzyskać tę szansę, by ubiec żandarmerię i uprzedzić ją w wyszukaniu winowajców.

Ogromną większość tych «winowajców», wytropionych przez policję, stanowią ludzie, zatrzymani przy czytaniu odezw przylepionych, przy podejmowaniu rzuconego na ulicy druku — w ogóle tę większość stanowią zwykli ciekawscy. Właściwie nawet, używając słowa «większość», popełniłem błąd — słuszniejszym by było użyć słowa «wyłącznie». W ciągu ostatnich dziesięciu lat słyszałem zaledwie o dwóch wypadkach, gdy zatrzymano istotnych winowajców, to jest tych, którzy rozpowszechniali rzeczywiście odezwy. A przecie większość odezw pociąga za sobą aresztowanie tej lub innej ofiary wściekłości policyjnej. Co prawda, ofiary te przeważnie z łatwością udowadniają swą zupełną niewinność i po paru tygodniach aresztu wychodzą na wolność.

Opowiadano mi o zabawnej scenie, która miała miejsce w kieleckim biurze policmajstra po rozrzuceniu i rozlepieniu odezw po raz pierwszy prawdopodobnie od czasu powstania — 1863 r.

Policja po rozpowszechnieniu już odezw wykazała swą gorliwość i aresztowała trzech Bogu ducha winnych ludzi, których przyłapała w różnych punktach miasta nad ranem przy czytaniu rozrzuconych i rozlepionych odezw. O godzinie 9 czy 10 rano, otoczonych liczną strażą, przyprowadzono ofiary gorliwości policyjnej do policmajstra. Ten wpadł na nich z furią, wymyślając im okropnie, grożąc strasznymi karami, używając bogatego słownika rosyjskich połajanek.

— Zgnoję was, buntowników, w więzieniu! — ryczał zapieniony dygnitarz, — no, powiedz mi zaraz, łajdaku, jak to rozrzucałeś te świstki — zwrócił się do jednego z aresztowanych, wskazując na odezwę.

— Ależ, panie naczelniku, — usprawiedliwiał się nieborak — ja wcale nie rozrzucałem tych papierków. Ja tylko chciałem zedrzeć jeden taki papierek, naklejony na murze.

— Co?! zdzierać! — wściekał się ze złości policmajster. — Kto pozwolił? Ja tobie, łajdaku, pokażę, co to jest zdzierać! Widzisz go? Zamknąć go do aresztu! — rzucił rozkaz policjantom.

Jednym z uciążliwych obowiązków niższych urzędników policyjnych przy rozsypywaniu odezw jest dostarczenie samych odezw, jako corpus delicti. Odezwy te, ściągnięte z różnych stron, zbierają się do kupy, obliczają je do protokółu i tworzy się raport o «buntowniczych» odezwach, rozrzuconych w takim i takim mieście. Opowiadano mi, że po pierwszych odezwach w Zagłębiu naczelnik powiatu będzińskiego,

któremu dostarczono szesnaście odszukanych odezw, złożył raport następujący:

«Ludzie złej woli takiego to dnia rozrzucili odezwy takiej a takiej treści. Rozrzucono 16 odezw, które przy niniejszym raporcie załączam».

Według raportu więc wyłapano wszystkie odezwy, rozrzucone tego dnia.

Przy odszukiwaniu odezw, jako corpus delicti, dzieją się najrozmaitsze rzeczy, zdumiewające swą głupotą, a ściągające uwagę otoczenia i zatem robiące reklamę samej odezwie.

W którymś numerze «Robotnika» opisany jest, np. następujący fakt:

W Ostrowcu, osadzie fabrycznej w Radomskim, policja gwałtownie poszukiwała odezw, o których słyszała, że były rozrzucone w tym miasteczku. Nareszcie na którymś słupie telegraficznym odnaleziono przylepioną odezwę. Paru strażników zaczęło gorliwie pracować nad tym, by zdjąć proklamację bez uszkodzenia druku. Lecz papier był przyklejony porządnym, mocnym klejem i biedni strażnicy byli w kłopocie. Przynieśli wiadro wody, moczyli papier, lecz szło im trudno.

Strażników otoczyła kupa gapiów, z ciekawością oglądających ciężką robotę «naczelników». W gronie widzów roztrząsano fakt rozlepienia odezwy, opowiadano sobie treść jej, pytano strażników, po co właściwie tak gorliwie pracują, gdy łatwiej wprost zeskrobać papier. Nie brakowało też i żartów.

— Językiem, panie strażnik, językiem — woła ktoś z gromady, — łatwiej będzie!

— Ach, ty czort — woła obrażony w swej godności naczelnik, — ja tobie!

Pan naczelnik porzuca robotę i rozpoczyna urzędowanie — rozpędza niedozwolone zbiegowisko. Ludzie rozbiegają się, lecz po chwili wracają, do nich się zbliżają inni i stopniowo tworzy się nowa grupa ciekawych.

W innym miejscu nalepiono odezwę na wagonie pociągu, idącego w głąb kraju z Warszawy. Użyto i w tym wypadku porządnego kleju, tak, że gdy wreszcie na którejś stacji spostrzeżono odezwę, żandarmi kolejowi nie mogli od razu jej zedrzeć bez uszkodzenia. Cóż robią mądre fijoły? Zatrzymują pociąg, odczepiają wagon z odezwą i wypiłowują zeń deskę, na której proklamacja była nalepiona. Naturalnie, wywołuje to sensację nielada wśród pasażerów pociągu.

W większych miastach, rzecz prosta, władza jest mniej naiwną i więcej ostrożną. Tu żandarmeria ma stanowczą przewagę nad policją zwyczajną i, będąc lepiej zorganizowaną,

bardziej czujną i baczną, niełatwo daje się wyprzedzić na polu ścigania «buntowników». Chociaż nawet w takiej Łodzi, mieście z półmilionową prawie ludnością, zdarzały się wypadki, że władza swym rzucającym się w oczy postępowaniem robiła post factum reklamę odezwom rewolucyjnym.

Akurat, gdym mieszkał na Wschodniej ulicy, w drukarni partyjnej, rozpowszechnioną została odezwa z powodu kryzysu w przemyśle tkackim. W dzień rozpowszechnienia odezwy miałem interes w Warszawie i wracałem do domu wieczornym pociągiem, przychodzącym do Łodzi po jedenastej, a więc po zamknięciu bram w domach łódzkich. Ku wielkiemu zdumieniu zastałem bramę otwartą, a stróża stojącego przy niej.

— Adamie! — pytam zdziwiony — cóż to tak późno dzisiaj zamykacie bramę?

Adam w odpowiedzi wzruszył ramionami i lakonicznie odpowiedział:

— Kazano całą noc pilnować.

Byłem nieco zaniepokojony tym dziwnym rozkazem, lecz już od żony się dowiedziałem, że w całej Łodzi z powodu odezw kazano stróżom stać przy bramach do świtu i łapać tych, co «będą się zatrzymywali przy murach» — tak bowiem określił rewirowy czynność rozlepiania odezw po mieście. Naturalnie, cała Łódź mówiła o naszej odezwie i nawet ci, do których ona nie doszła, z konieczności dowiadywali się o niej, rozpytywali się o nią, starali się ją dostać.

Rzucające się w oczy «pogotowie ratunkowe» policji, będące taką wspaniałą reklamą dla ruchu rewolucyjnego, dochodzi do olbrzymich rozmiarów przy dorocznych obchodach, gdy rząd z pewnością oczekuje publicznego wystąpienia organizacji rewolucyjnych. Takim obchodem jest Pierwszy Maj, powszechne święto robotnicze. Jestem przekonany, że połowę popularności tego święta zawdzięczać należy krzyczącej w niebogłosy reklamie, urządzanej co rok przez rząd i jego organy. Reklama ta trwa wówczas tygodniami. Policja wszędzie jest tak zajętą, tak biegającą i zakłopotaną, stróże tak przeciążeni dyżurami nocnymi i wieczornymi, ulice tak pełne patroli i nawet hałastry żołnierskiej, że najobojętniejszy człowiek poruszyć się musi i dowie się o «grożącej porządkowi i spokojowi publicznemu agitacji socjalistycznej». A że w Polsce «porządek», reprezentowany przez nahajkę sług carskich, nie cieszy się w ogóle zbytnią sympatią, więc nic dziwnego, że reklama ta skierowuje sympatie najszerszego ogółu właśnie w kierunku «zakłócających porządek obecny».

Jeden z moich kolegów szkolnych — wcale nie socjalista — inżynier, który zarządzał przez pewien czas fabryką w głębi Rosji, opowiadał mi, w jaki sposób się dowiedział o święcie majowym i obchodzie w Polsce, gdy sprawa ta jeszcze nie była tak głośną, jak obecnie. Przytaczam tu jego opowiadanie, chociaż nie tyczy się ono Polski, a to dlatego, że jest ono nadzwyczaj charakterystycznym dla postępowania rządu carskiego i jego niezdolności do wyczuwania nastroju społecznego i zrozumienia nawet własnych interesów.

— Fabryka, którą zarządzałem — opowiadał mi kolega — przeżywała w owe czasy ciężki kryzys. Zamówień było mało i nie mogliśmy zużywać tej siły roboczej, która jeszcze z czasów pańszczyźnianych przyzwyczaiła się do pracy w naszym zakładzie przemysłowym. Musiałem oddalić część robotników, lecz ci zaproponowali mi układ. Aby uniknąć pozbawiania wszelkiego zarobku części personelu robotniczego, żądali oni skrócenia dnia roboczego dla wszystkich, przy równoczesnym obcięciu zarobku dla wszystkich bez wyjątku. Obliczyłem, że mogę zająć wszystkich tylko w przeciągu sześciu godzin dziennie i wyjaśniłem robotnikom, że w tych warunkach płaca będzie bardzo niską. Robotnicy zgodzili się na te warunki i fabryka nasza pracowała tylko sześć godzin.

Coś w początku kwietnia — ciągnął dalej — przyjechał do fabryki komisarz policyjny — prystaw, jak go tytułują w Rosji — z miną okropnie zakłopotaną. Sądziłem, że jakiś kryminał sprowadził go do mnie. Okazało się jednak, że była to sprawa poważniejsza — państwu groziła rewolucja.

Z chwilą, gdyśmy zostali sami w gabinecie, pan prystaw przyciszonym głosem zapytał mię:

— Cóż, u pana wszystko spokojnie?

— Naturalnie! — odpowiedziałem. — A co?

— A Pierwszy Maj? — pytał dalej. — Nic się u pana nie przygotowuje w fabryce?

Nic dotąd nie słyszałem o Pierwszym Maju, w gazetach bowiem nie pisano o tem ani słowa. Byłem więc zdumiony i nie mogłem zrozumieć, o co chodzi wystraszonemu przedstawicielowi władzy.

— Pan nic nie wie, — nachylił się ku mnie prystaw. — Rewolucja, panie, rewolucja, otrzymałem papier.

Podskoczyłem na krześle.

— Gdzie? Co? Jak? — pytałem — i tu u nas? Śmiej się pan z tego!

— Ależ, panie — prawił urażony urzędnik — otrzymałem papier, mówię panu, z samego Petersburga. Piszą wyra-

źnie — w fabrykach na pierwszy maja żądać będą 8 godzin pracy, w Warszawie rewolucja.

— W Warszawie? — tknęło mię to słowo — rewolucja? Ośm godzin? Nic nie rozumiem. Masz pan ten papier?

Prystaw pokazał mi papier. Był to okólnik z departamentu policji, nakazujący władzom politycznym przed pierwszym maja objechać fabryki, znajdujące się w ich rewirach i dowiedzieć się o nastroju wśród robotników. Okólnik nakazywał zażądać od zarządów fabryk i zakładów przemysłowych natychmiastowego zawiadomienia władz policyjnych w razie zajść jakich na pierwszego maja. Następnie wytłumaczono, że na kongresie międzynarodowym przewrotowe elementy postanowiły żądać w fabrykach ośmiogodzinnego dnia roboczego, że wreszcie w Warszawie i innych miejscach Królestwa Polskiego doszło do zaburzeń pod wpływem knowań «ludzi złej woli». Okólnik wreszcie nakazywał policji być w pogotowiu do zduszenia hydry rewolucyjnej i w razie potrzeby zwracać się do odpowiednich władz po pomoc wojskową.

— Więc? — pytał prystaw, gdym skończył czytanie, — co pan teraz powie?

— Bądź pan spokojny — odpowiedziałem, — u mnie pracują ludzie sześć godzin.

— Cóż z tego — mówił prystaw, — ale rewolucja rewolucją. Dobrze panu tak być spokojnym — mówił, widząc, że się uśmiecham, — ja w innym jestem położeniu, papier do mnie przyszedł z samego Petersburga, w moim rewirze mam tylko jedną fabrykę — pańską — dzisiaj całą noc nie spałem, jak tylko brzask, kazałem zaprząc konie i do pana, a pan mi mówi — sześć godzin. Dobrze, że nie ośm, ale ja pytam pana, jaki jest nastrój? Pan to musi przecie wiedzieć.

Długo uspakajałem pana prystawa, wreszcie zapewniłem, że w razie czego natychmiast go zawiadomię. Prystaw wreszcie schował papier petersburski z napisem u góry: «bardzo poufne» — i wyjechał.

W parę dni po wizycie prystawa przyszła do mnie deputacja robotników z żądaniem, bym raz jeszcze potwierdził umowę, zawartą poprzednio, i obiecał, że nikogo z fabryki nie oddalę. A gdym zapytał, czemu przypuszczają, że mam złamać umowę, odpowiedzieli:

— Widzisz pan! Furman prystawa mówił, że panowie chcą urządzić u nas po zagranicznemu, żeby ośm godzin pracować w fabrykach, żeby naród od ziemi się nie odzwyczajał. Ale my nie chcemy ośmiu godzin, bo część robotników będzie wówczas wydalona.

Nie mogłem zrozumieć, co za stosunek istnieje z ziemią przy ośmiogodzinnym dniu roboczym. Prawdopodobnie chodziło tu o jakieś wiecznie się powtarzające pogłoski o nowym nadziale ziemi, ale zgodziłem się i potwierdziłem raz jeszcze, że nikogo z fabryki nie oddalę.

Powyższe opowiadanie kolegi zawsze mi się przypomina, gdy słyszę lub widzę niezręczne, pozbawione taktu i zrozumienia sytuacji kroki zarówno rządu centralnego, jak i różnych jego agentów, przez swą gorliwość przyczyniających się do rozszerzenia autorytetu «przewrotowców», których się zwalcza, do rozpowszechnienia tej lub innej myśli, którą się głuszy.

Puszczanie odezw nie jest trudnym, gdy «pogotowie policyjne» nie działa. A że w większości wypadków policja mobilizuje swe siły post factum, więc najczęściej rozrzucenie i rozlepienie odezw odbywa się zupełnie swobodnie. Ludzie zwykle się urządzają w ten sposób, że dzielą miasto na rewiry i każdy z tych rewirów oddają pod opiekę jednemu lub dwu towarzyszom. Część odezw idzie z ręki do ręki, lecz tą drogą proklamacje idą dopiero po rozrzuceniu i rozlepieniu w mieście. Większość odezw rozrzuca się na schodach domów, do skrzynek listowych, na ścieżkach, po których przechodzą robotnicy, w fabrykach i w warsztatach. Niewielka ilość pozostaje do rozlepienia na parkanach, murach, słupach telegraficznych itd.

Ta ostatnia czynność jest najniebezpieczniejszą, szczególnie, gdy chodzi o odezwy doroczne, oczekiwane przez policję. Lecz niebezpieczeństwo podnieca ludzi i wśród robotników zawsze znaleźć można ochotników do takiej właśnie roboty. Rozwija się nawet swego rodzaju brawura, chęć urządzenia jakiegoś nadzwyczajnego psikusa, spłatania figla zuchwałego. Dochodziło do tego, że nalepiano odezwy na plecach stójkowych, kozaków i stróżów.

Ogromna większość odezw, rozlepionych na ulicach, niknie bardzo prędko. Zdzierają je policjanci i stróże. Lecz że władza nie jest pewną, czy wszystkie odezwy zostały usunięte z widoku publicznego, więc się odbywa długie polowanie na odezwy, poszukiwanie na murach i parkanach miejskich. W wyjątkowych wypadkach odezwy rozlepione przetrwać zdołają — szczególnie w dużych miastach — kilka godzin rannych, odezwy bowiem rozlepia się zwykle wieczorem albo w nocy.

Jeden z towarzyszów opowiadał mi o tym, jak strzelano do niego w czasie rozpowszechniania odezw. Było to w Zagłę-

biu Dąbrowskim, w noc przed Świętą Barbarą, patronką górniczą. Rok przed tym wydana była odezwa w tym czasie i władza przygotowywała się wówczas do przeciwdziałania «buntownikom», mobilizowała swe siły, by zapobiec powtórzeniu «zbrodniczego knowania».

— Mieliśmy, ja z innym towarzyszem — mówił mi on — wyznaczone sobie części Zagłębia do obejścia i puszczenia odezw. Jużeśmy byli ku końcowi swej roboty. Został nam szereg domów robotniczych, przytykających prawie do toru kolejowego. Postanowiliśmy nalepić odezwy na słupkach, wkopanych przed każdym wejściem do domu. Doszliśmy do połowy szeregu, gdy usłyszałem szybkie kroki na przeciwległych schodach. Było to akurat w chwili, gdym zaledwie przytknął odezwę do słupka w tym miejscu, gdzie mój kolega posmarował klejem. Przycisnąłem papier do kleju, nie przestając jednak patrzeć na wyjście z domu. Spostrzegłem w drzwiach człowieka, który ujrzawszy nas, szybko się do nas zbliżać zaczął.

Odsunęliśmy się od słupka na środek drogi, wciąż słyszałem kroki za sobą. Żeby nastraszyć prześladowcę, opuściłem laskę stalową, którą miałem w ręku i zaczepiłem ją o parę kamieni na drodze. Laska zabrzęczała i ku wielkiemu zadowoleniu spostrzegłem, że dźwięk doleciał i do uszu człowieka, idącego za nami. Zatrzymał się on i wkrótce usłyszałem jego pośpieszne kroki, skierowane z powrotem do domu.

Lecz uchodząc od naszego prześladowcy, posunęliśmy się zbyt daleko, zbliżyliśmy się do toru kolejowego, przy którym stała budka dróżnika. Gdy człowiek, idący za nami, już nas opuścił, usłyszeliśmy przed sobą dźwięk, który ucho rewolucjonisty w zaborze rosyjskim wyróżni z pomiędzy całego mnóstwa innych. Był to dźwięk ostróg, dowodzący, że ich posiadacz, prawdopodobnie żandarm, stanowiący część «pogotowia ratunkowego» policji, był o kilka kroków przed nami. Skręciliśmy od razu na prawo, na szeroką drogę, wiodącą do sąsiedniej kopalni. Nagle za nami usłyszeliśmy groźny okrzyk w języku urzędowym.

— *Stoj! Kto idiot?* [1]) — krzyczał żandarm. Szedł za nami, bo ostrogi jego brzęczały dalej.

Nie odpowiadaliśmy ani słowa i przyśpieszyliśmy kroku. Droga była równa, bez żadnych zakrętów, lecz o parę minut drogi po lewej stronie musieliśmy znaleźć dół dosyć głęboki — pozostałość po dawnych kopalniach. Postanowiliśmy

[1]) Stój! kto idzie?

zbiec, a raczej zsunąć się do tego dołu, przebiec go wszerz i po drugiej stronie wydrapać się z niego. Byliśmy przekonani, że żandarm nie ośmieli się iść za nami w głąb dołu.

Lecz nim doszliśmy do celu, żandarm raz jeszcze krzyknął nam, żebyśmy się zatrzymali. Naturalnie, żadnej odpowiedzi nie otrzymał. Po chwili, gdyśmy już byli nad dołem, rozległ się wystrzał jeden, a następnie drugi. Dodało to nam, rzecz prosta, charakteru w nogach. Piorunem zsunęliśmy się do dołu i zniknęliśmy w mrokach nocy. Żandarm nie gonił nas.

Po kilku dniach dowiedziałem się o rozmowie, jaką miał nasz pierwszy prześladowca. Był to górnik z kopalni. Gdy wrócił do domu, opowiedział swemu koledze, którego znałem, o tem, że spotkał na ulicy tych, «co rozlepiają odezwy». Opowiadał, że chciał się przypatrzyć takim ludziom i biegł ku nim.

— Bój się Boga! — przerwał mu opowiadanie mój znajomy, — ależ oniby cię mogli potraktować sztyletem. Może sądzili, że chcesz ich łapać.

— Właśnie! — odpowiedział górnik. — Nie głupim. Jak tylko zabrzęczał «on» swym nożem, ja zaraz w nogi. Odważni ludzie te socjalisty!

O innym zabawnym wypadku, który miał miejsce w Warszawie przy puszczaniu odezw majowych, słyszałem następujące opowiadanie:

Stróż na dalszem przedmieściu stolicy zauważył człowieka, przylepiającego papier do parkanu. Natychmiast skoczył ku niemu, by go zatrzymać. Lecz człowiek, chcąc umknąć, zdążył wskoczyć na parkan w chwili, gdy stróż do niego podbiegał. Już przerzucił jedną nogę na drugą stronę parkanu, gdy go stróż schwycił za spodnie na drugiej nodze. Nasz towarzysz znalazł się w dosyć niewygodnej pozycji. Parkan był bardzo wąski, stróż ciągnął go za spodnie w dół, w każdej chwili mógł on spaść z parkanu w objęcia stróża. Zebrał więc wszystkie siły i kopnął nogą w twarz ściągającego go stróża. Ten nie wytrzymał uderzenia. Przewrócił się, lecz urwał, padając, dolną część spodni towarzysza, który również nie potrafił zachować równowagi i ze zdefektowanym ubraniem spadł z parkanu po drugiej stronie do jakiegoś ogrodu. Pomimo, że się nieco potłukł, natychmiast podniósł się i zemknął. A zmykając, słyszał przeraźliwe gwizdki stróża i wołania jego: «łapaj złodzieja!»

Ten okrzyk: «złodziej» nieraz słyszą nasi towarzysze przy łapaniach i aresztowaniach. Władza i organy policyjne wiedzą doskonale, że walka rewolucyjna, przeciwrządowa

w Polsce otoczona jest tak powszechnym współczuciem i sympatiami, że trudno rachować na pomoc otoczenia, gdy się ma do czynienia z rewolucjonistami. Przeciwnie, spotkać można w takich wypadkach nie pomoc, lecz przeciwdziałanie. I oto, gdy trzeba się uciec do pomocy publiczności, gdy się chce wywołać współdziałanie ludzi, nie mających zaszczytu być oficjalnemi podporami azjatyckiego tronu carskiego, używa się hasła: «łapaj, trzymaj złodzieja!»

Mimowolni sprawcy aresztowania «politycznego» nieraz gorzkie robią sobie wyrzuty, że się stali pomocnikami ohydnych gwałtów policji carskiej. Spotkałem razu pewnego pod Wilnem jednego kolejarza, który mi ze łzami w oczach opowiadał o takim fakcie.

— Szedłem — mówił mi wzruszonym głosem — późnym wieczorem po ulicy. Słyszę za sobą szybkie kroki biegnącego człowieka i krzyk: «łapaj, złodziej, złodziej!» Odwracam się, przede mną młody Żydek z wystraszoną twarzą, zadyszany i spocony. Chciał biedak skręcić do zaułka, w którym prawdopodobnie znikłby i umknął od prześladowców. Lecz ja, nic nie wiedząc, schwyciłem go za kark. A tuż za nim wpadli naraz: rewirowy i dwóch stójkowych.

Jeden z nich uderzył Żydka w twarz, łając.

— *Ach, ty sukinsyn!* — krzyczał, — *parszywyj żyd, buntowat, wzdumał!* [1]) — rewirowy trzymał w ręku jakiś papierek.

Ręce mi opadły, gdym to usłyszał. Mój ty Boże, — dodał z westchnieniem, — i czemu też nie rzeknął mi on przed chwilą, że go ściga policja za politykę!

Wobec tego należy być nadzwyczaj ostrożnym w udzielaniu jakiejkolwiek pomocy policji, należy się wystrzegać tego szczególnie w czasie zaburzeń i rozruchów ludowych i podczas dni, gdy policja jest niespokojną i nerwową.

ZAKOŃCZENIE

Zatrzymałem uwagę swych czytelników może zbyt długo nad bibułą, zdaje mi się jednak, że zasługuje ona na to. Słowo drukowane w obecnych społeczeństwach jest uznaną powszechnie potęgą. Jego postępami, jego rozwojem, jego rozpowszechnianiem mierzą niektórzy siłę, owoc i stan cywilizacji

[1]) Ach, ty sukinsynu!... Żydzie parszywy, buntować się umyśliłeś?

i kultury. A jak my, Polacy, w zaborze rosyjskim stoimy pod tym względem? Odpowiedź łatwa.

Dosyć sobie przedstawić ludzi, którzy nie mają prawa czytać niesfałszowanej historii swego narodu: dosyć widzieć utwory naszych wieszczów, pokaleczone brutalną ręką cenzorów; dosyć pomyśleć, że istnieje nowoczesne społeczeństwo, w którym stronnictwa polityczne albo są pozbawione prawa istnienia, albo w najlepszym razie skazane na przemawianie potwornym, niewolniczym językiem Ezopa; dosyć wyobrazić sobie, że szeroka, tak bolesna dla nas działalność rządowa podlegać nie może wcale publicznej krytyce — a często nawet zwykłemu omówieniu; dosyć tego wszystkiego, by wiedzieć, jak nie odpowiadającym potrzebom społeczeństwa jest stan legalnego słowa drukowanego, jak poniżająco wyglądamy wobec innych narodów.

Lecz chociaż «żyjemy w pomroczy», żyć chcemy. I oto, jako dowód tego życia, wytwarzamy wspaniałe zjawisko — tajną, nielegalną literaturę, ilością prawie dorównującą legalnej, a wpływem może ją przerastającą. Wbrew gwałtom i przemocy, pomimo turm i knuta, naród nasz w swym łonie wytwarza, jak i inne, szczęśliwsze narody, stronnictwa i partie, żyje skomplikowanym, nowoczesnym życiem politycznym, a najczęstszym tego życia dowodem jest nie co innego, jak nielegalne słowo drukowane — bibuła.

Jak już zauważyłem, wszystkie stronnictwa w Polsce walczą tą bronią, lecz, rzecz prosta, ci, którym dzikie, azjatyckie urządzenia caratu odmawiają prawa bytu, muszą się do niej uciekać częściej, najbardziej nad jej wyostrzeniem pracować. Są nimi demokraci wszelkiego gatunku, a przede wszystkim socjaliści, jako ludzie, których sama nazwa, sama etykieta należy do rzeczy, prześladowanych bezlitośnie. Więc zwycięstwo, rozwój swobodnego, nieskrępowanego pętami cenzury słowa, to przede wszystkim ich zwycięstwo.

Lecz jest ono zarazem zwycięstwem ich — demokratów — i na innym polu, polu, które tak długo, niestety, odłogiem u nas leżało. Tym polem jest dusza narodu, narodu, rozumianego nie jako kasta, nie jako cieniutka warstwa ludzi, uposażonych w bogactwa i wykształcenie, lecz jako ogromny, wielomilionowy konglomerat ludzi, związanych wspólną mową, historią i poczuciem przynależności do tego, a nie innego narodu, konglomerat, w którym olbrzymią większość stanowi lud pracujący wiejski i miejski. Ta dusza, tak długo w bierności pogrążona, budzić się zaczyna. A przecie wszystkie złe duchy naszej przeszłości i teraźniejszości — ciemnota

i niewola, knut najezdnika i interes wyzyskiwacza — sprzysięgły się, by tę duszę w bezwładnej bierności utrzymać. I jeśli obecnie jesteśmy świadkami tego, że «lud drga i szumi, jak fala wód», to zawdzięczać to należy «gorącemu oddechowi słowa», słowa demokratycznego, nawołującego go do samodzielnego życia. A słowo to w zaborze rosyjskim jest przede wszystkim słowem drukowanym — bibułą.

To też niejeden z nas, rewolucjonistów, żołnierzy demokracji, patrzy na bibułę, jak na wiernego towarzysza broni, druha serdecznego, współbojownika niezawodnego, z którym się dzieli twarde obozowe życie rewolucyjne, z którym się zwycięża i ginie. Pamiętam, w X pawilonie zawołano mię pięknego dnia sierpniowego na badanie. Otoczony strażą, wszedłem do pokoju, w którym zastałem oficera żandarmerii, schylonego nad arkuszem papieru. Usiadłem naprzeciw niego i rzuciłem okiem na stół, zielonym suknem obity.

Stół był pokryty prawie zupełnie papierami urzędowymi, protokółami i innymi produktami pracy żandarmskiej. Lecz na brzeżku stołu ujrzałem plamę, żywym czerwonym kolorem rozweselającą nieco szare, bezbarwne tło przybytku nowoczesnej inkwizycji. Przyjrzałem się tej plamie uważniej i mimowoli wyciągnąłem w tym kierunku rękę. Była to broszura: «Czego chcą socjaliści» [1]). Niegdyś, przed paru laty, byłem obecnym przy jej drukarskich narodzinach w Londynie.

Pisał ją emigrant, tułacz, obce wycierający kąty. Pisał ją gdzieś w górzystej Szwajcarii, myślą i uczuciem tkwiąc w równinach mazowieckich, współczując wszystkimi nerwami niedoli dalekich w przestrzeni, lecz bliskich w sercu chłopów z nad Wisły. Składali ją w Londynie zecerzy, również emigranci; składali, nieraz nie wiedząc, czy jutro kawałek mięsa ujrzą na swym talerzu, z myślą o dalekim ojczystym kraju. I oto myśl i troska serdeczna autora, skrystalizowana pracą zecerów w czarnych, drobnych literkach, rozsianych po szmatkach papieru, ubrana w barwną sukienkę okładki, przybrała formę tego, co dalsi jej opiekunowie nazywają żartobliwie bibułą.

Jako bibuła, książeczka, zgodnie z intencją swych ojców, powędrowała z mglistej Anglii do ich ojczyzny. Gdyby ona mówić, opowiadać mogła, usłyszanoby z pewnością ciekawą, pełną romantycznych przygód, historię. Tuliła ją może do gorącego łona opakowana bibułą dromaderka partyjna, leżała

---

[1]) Autorem broszury «Czego chcą socjaliści» był Edward Abramowski.

ona w składach, w ciemnych koszach i walizkach. Schowana na dnie «brunetki» czy «blondynki», trzęsła się w wagonach, przemykała się przez sieci trzeciej linii zielonych, drżała pod okiem szpiclów i żandarmów. Wreszcie poszła w świat, rozpoczęła swą służbę.

Była może i w podartych kieszeniach szczelnie zapiętych mundurów akademickich i w zaszmelcowanej, przesiąkłej potem kieszeni robotnika na fabryce, ukrywała się w zanadrzu siermięg chłopskich. Przyjmowano ją różnie: uśmiechem pobłażliwości, okrzykiem zachwytu, wzrokiem nienawiści. I oto wreszcie przyszedł koniec, śmierć obywatelska książeczki.

Pod osłoną mroków nocy do ostatniego jej przybytku wpadli jej prześladowcy — błękitne podpory tronu carskiego. Z brzękiem ostróg, z hałasem nieznanych, obcych jej wyrazów, wyciągnięto ją skądś z ukrycia, być może brutalnie naigrawano się z jej bezsilności. Rzucono ją pogardliwie na stół, ją — córkę swobody — umieszczono w sąsiedztwie z wstrętnymi, ociekającymi krwią, cuchnącymi katownią papierami — aktami przemocy i niewoli.

W tym samym położeniu byłem ja, jej towarzysz broni, świadek jej urodzin w obcym, lecz swobodnym kraju. Skończyły się dla nas piękne dni swobody, przerwało się pasmo przygód, urwała się dla nas walka, a zaczęły się szare, jednostajne dni poniżającej niewoli. Byliśmy tym jeszcze razem zwyciężeni. Lecz to spotkanie w domu niewoli — krótkotrwałe, co prawda, bo żandarm, spostrzegłszy kierunek mego wzroku, przykrył pośpiesznie czerwoną, wołającą o życie plamę szarym urzędowym papierem — sprawiło mi przyjemność. Byliśmy zwyciężeni, ale gdyby ta drobna książeczka myśleć i mówić była w stanie, to, milknąc na wieki w mrocznych murach katowni carskiej, powiedziećby mogła swym wrogom słowami poety:

Choć mi się oprzesz dzisiaj — przyszłość moja
I moje będzie za grobem zwycięstwo!

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

ARTYKUŁ Z «WALKI»

(Nr 3, str. 1—3 z listopada 1903 r.)

Wilno, październik 1903 r.

Dziwne zaiste rzeczy dzieją się na Litwie. Przyzwyczailiśmy się już do tego, że dla rządu carskiego kraj nasz był krajem buntowniczym, że z potrzebami naszymi nie liczono się wcale, że zasypywano nas prawami wyjątkowymi — słowem, przyzwyczailiśmy się widzieć rządy carskie na Litwie takimi, jakimi one są przedstawione na pomniku, stojącym na placu dworcowym — w postaci obrzydliwego, złośliwego buldoga — Murawjewa z pałką w ręku. I oto ten wściekły buldog zaczyna wyszczerzać do nas zęby nie w zamiarze złośliwego ugryzienia, lecz w celu okazania nam swej łaski i dobroci. Buldog chce się uśmiechać do nas dobrodusznie i nawet chce chować swą pałkę za plecy!

Przede wszystkim więc nasza niegdyś buntownicza szlachta otrzymała prezencik — w postaci nadania Litwie samorządu ziemskiego. Co prawda, ten prezencik wygląda jak fałszowane brylanty, ofiarowane przez bankrutującego lowelasa głupiej małomiasteczkowej prostytutce — takie szkiełko, wartości nie ma żadnej, naraża na śmieszność tego, co się w nie stroi, a wzbudzać wdzięczność może chyba tylko w zbrukanej i wytarzanej w najgęstszem błocie istocie. Bądź co bądź jednak taki prezent oznacza pewną czułość i chęć zdobycia sympatii obdarowanych.

Następnie, w tym samym Wilnie, gdzie tak niedawno na poczcie wisiały tabliczki z napisem: «pa polski gawarit' zapreszczajetsia» [1]) — pozwolono na polską zabawę publiczną, ze śpiewami polskimi. A stary wyga i łapownik, Snitko [2]), posunął swą grzeczność względem Polaków do tego, iż ze słowami: «publiczność nie lubi, gdy dużo policji» — usunął się dyskretnie z zabawy. Ba, pozwolono nawet otworzyć wypożyczalnie polskich książek, a mazurki i krakowiaki Namysłowskiego dotąd brzmią w uszach wileńskich amatorów muzyki.

Nie zapomniano i o Litwinach. Uporczywie krążą pogłoski o zniesieniu barbarzyńskiego zakazu drukowania książek i pism litewskich czcionkami łacińskimi. Książę Świętopełk-Mirski wysłał w tej sprawie memoriał do Petersburga. Wy-

---

[1]) Zakazuje się mówić po polsku.
[2]) Snitko — komisarz policyjny w Wilnie.

znaje w nim ze szczerością, że walka z kontrabandą książek litewskich jest walką beznadziejną i że państwu cara nie będzie groziło zbyt wielkie niebezpieczeństwo, gdy zamiast w Tylży książki do nabożeństwa, lub inne jakie litewskie klerykalno - konserwatywne wydawnictwa, będą drukowane w Wilnie lub Kownie.

Nawet do Żydów, pomimo całego wstrętu «chrześcijańskiego» rządu do narodu, z którego wyszedł Chrystus, buldog rządowy próbuje wykrzywiać swą mordę w uśmiech pobłażliwy. Wszak łaskawie pozwolono Żydom mieszkać w niektórych miejscowościach naszego kraju, gdzie dotąd nie wolno im było się pokazywać.

Oto jest szereg łask, które spłynęły na Litwę w ostatnich czasach, łask, mających świadczyć o tem, że car dla Litwy ma nie tylko pałkę i nahajkę, lecz i uśmiech dobrotliwy ojca oraz wór, pełen łakoci dla grzecznych dzieci. A na dowód tego najemne pismaki ze «Śmietnika Wileńskiego» [1]), którzy dotąd starannie plwali na wszystko, co nie jest moskiewskim na Litwie, powiewają gałązką oliwną na znak zgody, szukają nawet natchnienia w rozmowach z «przedstawicielami» (naturalnie odpowiednio uposażonymi w różne dobra ziemskie) wyklinanych dotąd Polaków i pogardzanych Żydów. Dziwne, zaiste, rzeczy dzieją się na Litwie!

I nie dziwota, że wielu ludzi, ogłupiałych od wiecznego strachu i drżączki, dostało wprost zawrotu głowy od nadmiaru szczęścia. Szlachta wyprawia huczne bale i obiady dla brata carskiego lub księcia Świętopełk - Mirskiego i wysyła wiernopoddańcze depesze do cara. Różne inteligenciki, drżące, jak mysz pod miotłą, przed każdą śmielszą myślą i przed każdym carskim stupajką, wpadły w cielęcy zachwyt i szepczą po kątach: «Po co to, panie, rewolucja? Byłem wczoraj na koncercie Namysłowskiego lub na wiankach na Antokolu — i nic mi się nie stało! Do jakich to rzeczy dojść można spokojną, legalną pracą!» Rabini i burżuazja żydowska po rzezi w Kiszyniewie [2]) z dumą rozprawiają, że herszt sjonistów, Herzel, rozmawiał z «samym ministrem».

A lud pracujący? Tam się dzieje wszystko po staremu. Jak dawniej, bieda i nędza gości po chatach wiejskich, suterynach i strychach po miastach, jak dawniej nad Wilnem buja «drapieżny ptak» — wyzysku i niewoli. A gdy się gdzie ukaże przebłysk świadomości ludowej, chęć walki o swoje

[1]) Pismo rosyjskie «Wilenskij Dniewnik» (Dziennik Wileński).

[2]) Zorganizowany przez rząd rosyjski wielki krwawy pogrom Żydów w Kiszyniewie w kwietniu 1903 r.

prawa, buldog zrzuca niepotrzebną maskę dobroduszności, szczerzy zęby złośliwie i warczy. Kozacy harcują nieledwie codzień po okolicach Wilna, rozpędzając zbierających się robotników; przy rewizjach katują ludzi, u których znaleziono broszury socjalistyczne; więzienie przepełnione jest schwytanymi za sprawy socjalistyczne, za sprawę ludu roboczego.

Skąd jednak pochodzą te niedźwiedzie umizgi rządowe, skąd ta nagła chęć zadowolenia, chociażby niektórych potrzeb mieszkańców Litwy?

Niech sobie naiwni wierzą, że to skutek dobroci cara. Niech idioci polityczni sądzą, że to nagroda za grzeczność dzieci, nie hałasujących i nie sprawiających kłopotu swemu batiuszce-carowi, nagroda, za którą należy mu się wdzięczność i pocałowanie niedźwiedziej łapy. My, którzyśmy wyrośli nie z soli lub z roli, lecz z tego, co boli — z nędzy i biedy ludzkiej, którzyśmy poznali, że ulgi w położeniu szerokich warstw ludu tylko ciężką i ofiarną zdobywają się walką, nie możemy pójść śladem tych, co wierzą, iż pokorą i głupotą przebić można nielitościwe dotąd niebo carskiej łaski. Musimy spojrzeć na sprawę głębiej, by wyciągnąć z niej naukę dla postępowania na przyszłość.

Więc naprzód o sprawie litewskiej. Czy dzielny naród litewski pokorą lub posłuszeństwem błagał o łaskę pańską i zlitowanie nad swym językiem? Stokroć nie! Z chwilą, gdy lud pracujący w rdzennej Litwie odczuł potrzebę czytania i modlenia się w swym ojczystym języku i spotkał na swej drodze przeszkodę w postaci dzikiego zakazu carskiego [1]) drukowania takich książek, jakie mu były potrzebne, zaczął łamać tę przeszkodę. Książki, drukowane za granicą, przechodziły przez granicę wbrew straży carskiej, obiegały całą Litwę, zaglądając do każdej nieledwie chaty. Tych książek były nie setki, lecz tysiące i miliony. Rząd łapał je, niszczył — na miejsce zniszczonych zjawiały się nowe. Ofiary były duże. Winnych wobec praw carskich sadzano do więzienia, wysyłano na Sybir, dręczono ludność rewizjami, nękano karami pieniężnymi. I wreszcie rząd przyszedł do przekonania, że walka jest beznadziejną, że zakazy nic nie pomogą — i oto ma być zniesiony zakaz drukowania książek litewskich w sposób dla Litwinów zrozumiały.

[1]) Po powstaniu 1863 r. rząd rosyjski zakazał drukowania wydawnictw w języku litewskim czcionkami łacińskimi, zmuszając — bezskutecznie — Litwinów do posługiwania się czcionkami rosyjskimi. Litwini drukowali swe wydawnictwa czcionkami łacińskimi w Prusach Wschodnich i drogą kontrabandy sprowadzali je do kraju.

Oto przykład, jak nawet pod batem moskiewskim można zdobywać ulgi, można rząd zmusić do ustępstw i uznania swych potrzeb. Nie pokorą, lecz walką uporczywą coś zrobić można.

Lecz skąd w takim razie łaska i względność dla Polaków? Ci przecie po powstaniu 1863 r. nie walczyli wcale, lub bardzo mało. Ku wielkiemu ich wstydowi przyznać trzeba, że to prawda. Lecz walczyli za nich inni. Na Litwie tymi innymi głównie byli... Żydzi.

Nie będziemy tu wchodzili w ocenę ruchu rewolucyjnego wśród Żydów, reprezentowanego dotąd głównie przez organizację Bundu [1]) — zrobimy to na innym miejscu. Ale pomimo, że z niektórymi zasadami Bundu zgodzić się nie możemy, uważając je za szkodliwe dla ruchu socjalistycznego na Litwie, uznać musimy, że działalność tej organizacji wywołała silny ruch rewolucyjny w miastach litewskich i pobudziła do życia obywatelskiego tę część ludności na Litwie, która dotąd stanowiła najbardziej bierny, najbardziej uległy względem rządu żywioł. Rząd z ruchem tym nie może sobie dać rady. Prześladowania, próby wytworzenia rządowej organizacji robotniczej wśród Żydów, surowość i łagodność nie doprowadziły do żadnych rezultatów. Ruch wśród Żydów się rozwijał, odbierając rządowi jedyną pewną podporę w miastach litewskich. A gdy zważymy, że nasze miasta są zaludnione w większej części właśnie przez Żydów, łatwo zrozumiemy, że rząd znalazł się w kłopotliwym położeniu.

W tym samym czasie rozwój ruchu rewolucyjnego i socjalistycznego w całym państwie rosyjskim — w Polsce i na Kaukazie, w Rosji i na Ukrainie — odebrały rządowi rosyjskiemu tę pewność siebie, jaką do niedawna był przejęty. Wstrętny potwór — carat — począł się chwiać i oglądać za nowymi podporami, by utrzymać swe cielsko w równowadze.

Na Litwie taką podporą wydać mu się musiał żywioł polski — szlachta po wsiach i w ogóle chrześcijanie w miastach. Stąd próby skaptowania tego żywiołu, który widocznie rząd ceni bardzo mało, gdy go chce kupić takimi drobnymi ustępstwami.

Przede wszystkim więc, by zastraszyć Żydów i zmusić ich do milczenia, rząd zaczął podniecać ludność chrześcijańską do gwałtów nad Żydami. Ten sam rząd, co zamyka chrześcijańsko-katolickie kościoły, co prześladuje katolików, nahajką nawraca na prawosławie — ten sam rząd starał się wy-

[1]) Bund — Wszechżydowski związek robotniczy w Rosji i Polsce — żydowska organizacja socjalistyczna, założona w 1897 r.

zyskać przesądy katolików, by rzucić ich na Żydów. Byliśmy świadkami tej nędznej, brudnej roboty przed majem tego roku. A gdy mu się nie udało wykręcić takim kosztem, porobił obecnie pewne ustępstwa na rzecz polskiej szlachty i Polaków w ogóle.

Ustępstwa to drobne, i głupim jest ten, kto daje się wziąć na taki kramikarski geszeft. I jeżeli wśród ogłupiałej i wystraszonej burżuazji i szlachty tacy głupi się znajdą, naszą jest rzeczą, towarzysze, by lud pracujący nie dał się zhańbić takim targiem. Nasz lud pracujący powinien wiedzieć i rozumieć, że nie od rządu carskiego — naszego kata i złodzieja naszej pracy — oczekiwać należy ustępstw i ulgi, lecz od twardej i ofiarnej walki naszej. Lud pracujący musi rozumieć, że jeśli może być mowa o ustępstwach dla szlachty lub burżuazji, to istotnych zmian w położeniu klasy robotniczej spodziewać się nie można, bo te istotne zmiany byłyby dla rządu samobójstwem.

Towarzysze! Teraz kolej na nas! Naszą pracą nad uświadomieniem ciemnych jeszcze kolegów pracy, naszą walką rewolucyjną i odporem, danym wszelkim podszeptom rządowym, dowiedźmy caratowi, że rzeczywistymi gospodarzami na Litwie są świadomi swych praw i celów robotnicy wszelkich narodowości, z którymi żadnej ugody, żadnego targu być nie może.

NASZE STANOWISKO NA LITWIE

«Walka» nr 3, str. 3—5, z listopada 1903 r.

W nrze 4 «Echa» [1]), organu Litewskiej Socjalno-Demokratycznej Partii, z powodu wyjścia 1 nru «Walki» został ogłoszony artykuł: «My a Polska Partia Socjalistyczna», który wymaga od nas pewnej odpowiedzi. Nie pójdziemy śladem «Echa» i nie będziemy prowadzili sporu o to, kto zna lepiej Litwę: spolszczony Litwin, czy zlitwinizowany Polak. Sama myśl o po-

---

[1]) «Echo życia robotniczego na Litwie» — organ Litewskiej Socjalno-Demokratycznej Partii, założonej w 1896 r., pierwotnie działającej prawie wyłącznie wśród proletariatu polskiego w głównych ośrodkach miejskich Litwy. W tym czasie L. S. D. posługiwała się w swej pracy przeważnie językiem polskim, ale stała na gruncie odrębności Litwy od Polski i skutkiem tego broniła swej zupełnej samodzielności organizacyjnej.

dobnym sporze nie należy do szczęśliwych i prowadzi do zwykłego w bezprzedmiotowych polemikach marnowania czasu i papieru. Natomiast zatrzymamy się na jądrze kwestii i jej treści istotnej, obiecanej przez tytuł artykułu «Echa» — na sprawie wzajemnych stosunków grup socjalistycznych, działających na Litwie.

O tej właśnie sprawie, o którą nam najwięcej idzie, znaleźliśmy w artykule «Echa», niestety, bardzo mało. W całym artykule rozsianych jest, co prawda, mnóstwo skarg na to, iż «Walka», lub inny organ naszej partii, nie wspomina o działalności L. S. D., o wydaniu tej lub innej odezwy, lecz te skargi naturalnie nie dadzą nam klucza do zrozumienia poglądu «Echa» na stosunek L. S. D. do P. P. S. Bo przecie stosunek dwóch organizacji, działających na jednym terenie i zatem zmuszonych stykać się, jeśli nie codzień, to bardzo często, nie może ograniczać się wymianą wydawnictw i takimi lub innymi wzmiankami w organach partyjnych. Wyraźnymi dla stosunku L. S. D. z naszą partią są trzy orzeczenia «Echa», z których zresztą nie zostały wyciągnięte w artykule odpowiednie konsekwencje.

Pierwsze z tych orzeczeń, znane nam i dawniej, lecz któremu zawsze z całego serca przyklasnąć możemy, jest: «Dążymy do całkowitej wolności i niepodległości ludu litewskiego, tj., jak powiada «Walka», chcemy być gospodarzami w swojej chacie». Zdaniem naszym, naturalnym skutkiem takich dążeń na Litwie musi być ciążenie ku połączeniu swych sił z siłami P. P. S. dla wspólnej walki i przełamania wspólnymi usiłowaniami przeszkód, stojących na drodze do urzeczywistnienia tych dążeń. Nie mówimy już o tym, że ciążenie takie wobec sąsiedztwa Polski z Litwą i istnienia historycznych i kulturalnych węzłów, łączących oba kraje, narzuca się samo przez się. Przecie L. S. D. przemawia często w tym samym polskim języku, co i my, a zatem korzystać musi z tych samych polskich zasobów kulturalnych — polskiej nauki, literatury, książek, pism i broszur. Lecz jeszcze bardziej chyba zbliżać musi jednakowe stanowisko, jakie zajmuje nasza partia i L. S. D. w obozie socjalistycznym całego państwa rosyjskiego.

W istocie, obóz socjalistyczny w państwie cara nie jest jednolity. Jeżeli różnoplemienne grupy socjalistyczne są zgodne wtedy, gdy mowa o zasadach samego socjalizmu lub jego dążeniach ekonomicznych, to w sprawach politycznych różnice pomiędzy nimi są ogromne. A jedną z głównych różnic stanowi takie lub inne zapatrywanie się na dążenia narodów, podbitych przez carat, do całkowitej wolności, do zupełnej

swobody i niezależności narodowej. Kiedy jedna część obozu socjalistycznego — rosyjskie i żydowskie partie — dążą jedynie do zmiany obecnego ustroju samowładczego na konstytucyjny lub republikański, bez chęci rozwiązywania spraw narodowościowych, lub nawet, przeciwnie, z wyraźnym dążeniem do utrzymania całości państwa carów, druga część — reprezentowana głównie przez naszą partię — dąży do zupełnego rozbicia tego domu niewoli, w którym duszą się ludzie i narody, do zupełnego rozbicia łańcuchów, którymi carat skrępował podbite przezeń narody, stawiąc tamę ich swobodnemu rozwojowi. Więc, gdy walka ostateczna się zbliża, gdy już na murach więziennych ukazują się rysy, możemy z pewnością powiedzieć, że kto mówi «chcę niepodległości mego narodu», «chcę całkowitej wolności mego ludu», ten będzie walczył razem z nami, ten w chwili ostatecznej będzie stał ramię przy ramieniu obok nas w boju.

Wtedy jednak, gdy chodzi o organizację rewolucyjną, takie przeświadczenie nie wystarcza. Organizacji bowiem żywotnej i chcącej wywierać wpływ na przebieg wypadków nie wolno zamykać się we własnej skorupie, wystawiając z niej od czasu do czasu jak ślimak — rogi; nie wolno ograniczać się porządkowaniem własnego kąta z myślą, że reszta jakoś sama się ułoży. Nad tą resztą trzeba pracować, by doprowadzić o ile możności do harmonijnych, zgodnych z innymi organizacjami usiłowań w pożądanym kierunku; trzeba tym bardziej, gdy, jak w naszym kraju, nieraz pracuje przy jednym warsztacie polski, litewski, żydowski lub białoruski robotnik. Z artykułu zaś «Echa» wnosić należy, że organizacja, którą ona reprezentuje, właśnie do takiej ślimaczej polityki jest skłonną.

Pochodzi to stąd, iż L. S. D. chce siebie uważać za jedynie uprawnioną do pracy socjalistycznej na Litwie, za wyłącznego gospodarza w ruchu socjalistycznym tego kraju, a zarazem odczuwa, że tak nie jest w istocie, że obok niej na Litwie jest miejsce dla innych organizacji socjalistycznych, które równie dobrze jak L. S. D. będą się czuły w tym kraju nie na obczyźnie, lecz u siebie w domu, we własnej ojczyźnie. Czy jednak tak wyłączność jest słuszną, czy usprawiedliwiają ją warunki życia ludu pracującego na Litwie. Naszym zdaniem — nie.

Dla uzasadnienia swej pretensji towarzysze z «Echa» piszą: «Myśmy się dawno zrzekli Litwy od Morza Bałtyckiego do Morza Czarnego, jaką ona była za panowania sławnego księcia Witolda. Proletariat litewski uważa za Litwę kraj, zamieszkały przez Litwinów. Tak zrozumianą Litwę stanowią:

gubernia Kowieńska, część Suwalskiej i część Wileńskiej. Nie negujemy naturalnie, że mamy Żydów po miastach i miasteczkach i spolszczoną szlachtę po dworach». Zdawałoby się, że takie oświadczenie jest wyraźne. Towarzysze z L. S. D. tymi słowy chcą powiedzieć, że działalność swą ograniczają do rdzennej Litwy, tj. do kraju, gdzie lud pracujący mówi po litewsku, i gdzie jednym z głównych jego interesów jest rozwój rodzimej litewskiej kultury. Lecz po cóż w takim razie polskie wydawnictwa. Przecież nie wśród «spolszczonej szlachty» prowadzi L. S. D. swą działalność, nie dla niej wydaje ona «Echo», z któregośmy wyjęli powyższe słowa. Widocznym jest, że w rozumowaniu naszych towarzyszy jest jakaś niedokładność, jakieś niedostateczne zdanie sobie sprawy z warunków, wśród których żyją, gdy ich własna działalność zaprzecza słowom, przez nich wygłaszanym.

W istocie, niedokładność ta istnieje. Polega ona na tym, że w obecnych stosunkach z Litwy historycznej — tej większej Litwy, jeśli nie «Witoldowej» od morza do morza, to tej, której interesem jest wyrwanie się z ponurej niewoli moskiewskiej, niepodobna wyłączać części jednej i opierać się jedynie na niej. Przyjrzyjmy się bowiem tej Litwie, a spostrzeżemy, jak słabymi jeszcze są te czynniki, co ją na części rozbijają, jak silnymi zaś te, co ją w jedną całość sprzęgają i zmuszają do jednolitego życia politycznego.

Nie mówimy tu o tradycji historycznej, chociaż i ona ma swoje znaczenie. Przede wszystkim spaja ją w jedno wspólna bieda i wspólna niewola. Rząd carski wytwarza na całej przestrzeni Litwy historycznej tę samą atmosferę ucisku, wyrażonego w specjalnych prawach dla Litwy ukutych; łączy ją w jedno specjalnym łańcuchem, ściskającym jej ciało. Dopóki ten łańcuch istnieje, dopóki nie pękły jego ogniwa, wszystko, co kraj ten na części odrębne dzieli, skazanym jest na powolny tylko rozwój, wegetować tylko musi jak roślina, nie żyć jak człowiek. Taką samą rolę odgrywa szlachta i burżuazja na całej tej przestrzeni, wreszcie łączy ten kraj w jedno i jednakowe życie ekonomiczne. Cały ten pas ziemi jest krajem rolniczym, nie posiadającym wielkiego, fabrycznego przemysłu. Ludność miejska przeważnie rzemieślnicza, złożona jest z jednakowych wszędzie żywiołów — głównie Żydów i polskich, czy jak chce «Echo», spolszczonych rzemieślników, inteligentów, wyrobników, z dodatkiem na północy i zachodzie garstki Litwinów, na wschodzie i południu Białorusinów. Jednakowe więc prawa, siła burżuazji i szlachty, jednakowy żywioł miejski i stan ekonomiczny kraju sprzęgają go w jedno.

Przeciwko tej jednoczącej sile występuje jedynie czynnik narodowościowy. Na północy zwartą masą mieszkają Litwini, na południu i wschodzie Białorusini. Lecz czynnik ten pod batem moskiewskim, przy dzikich, krępujących rozwój kultury, prawach dotąd jest bardzo słabym. Nawet wśród Litwinów, najbardziej wyraźnych pod tym względem, świadomość narodowościowa w szerokim pasie ludności mieszanej jest nader słabą, a o Białorusinach jako narodowości dotąd prawie mowy nie ma. Jak niewyraźne pod tym względem jest położenie kraju, wnosić można chociaż z tego, iż ta sama L. S. D., która wyłączność swą opiera na świadomości narodowościowej Litwinów, ogromną część swej działalności prowadzić musi wśród ludności, nie rozumiejącej litewskiego języka.

Nie chcemy przez to powiedzieć, że jesteśmy wrogami kultury litewskiej czy białoruskiej. Owszem, jesteśmy przekonani, że od tego rozwoju zależy w wielkim stopniu szczęście ludu pracującego i powodzenie socjalizmu wśród Litwinów i Białorusinów, a bohaterskie wysiłki ludu litewskiego w celu stworzenia i posuwania naprzód rodzimej kultury wzbudzają w nas szacunek i szczerą sympatię. Twierdzimy tylko, że przy obecnych stosunkach, w których poważniejsza zmiana zajść może jedynie po rozbiciu ściskającej nas obręczy niewoli moskiewskiej, niepodobna utworzyć wpływowego i silnego stronnictwa socjalistycznego, niepodobna prowadzić skutecznej obrony interesów różnoplemiennego ludu pracującego, bez ścisłego połączenia się w jedno wszystkich grup socjalistycznych, działających na przestrzeni Litwy historycznej.

Z tego zrozumienia kwestii wypływa nasze stanowisko względem innych organizacji socjalistycznych na Litwie. Nie uważamy siebie, przedstawicieli mniejszości ludu pracującego na Litwie, za wyłącznych gospodarzy ruchu socjalistycznego w tym kraju i jako tacy nie chcemy i nie mamy prawa bez porozumienia z towarzyszami litewskimi, białoruskimi i żydowskimi rozstrzygać przyszłych losów naszej wspólnej ojczyzny. Natomiast, będąc przekonani, że głównym interesem całego ludu pracującego, bez względu na narodowość, jest rozbicie kajdan i pętów, nałożonych na Litwę przez najezdników, i zdobycie dla nas wszystkich możliwości swobodnego rozwoju, pracować chcemy nad połączeniem wszystkich sił socjalistycznych na Litwie, by wytworzyć siłę, zdolną do skutecznej walki o dobro, szczęście i interesy klasy pracującej, by przeciwstawić ją nie tylko rządowi najezdniczemu, lecz i złączonej na całej przestrzeni tego kraju klasie wyzyskiwaczy.

Każdy zrozumie, że niepodobna publicznie omawiać for-

my takiego połączenia. Musimy jednak zaprotestować przeciwko przypuszczeniom «Echa». Towarzysze z «Echa» sądzą, zdaje się, że dążymy do pochłonięcia organizacji socjalistycznych na Litwie, tj. posądza nas o wyłączność, którą samo «Echo» jest zarażone. Przypuszczenia te prawdopodobnie są oparte na wspomnieniach o kilkakrotnych próbach, któreśmy przedsiębrali w celu połączenia ludu pracującego, mówiącego po polsku, w jedną organizację, mogącą korzystać z bogatych zasobów, będących w rozporządzeniu naszej partii. Nie chodzi nam o zlanie się organizacji socjalistycznych na Litwie z organizacją socjalistyczną w Polsce, lecz o wytworzenie partii socjalistycznej na całej przestrzeni Litwy historycznej, do której to partii poszczególne organizacje różnych narodowości, zaludniających ten obszar ziemi, przystąpiłyby na zasadach równości całkowitej. I pod tym względem zgadzamy się zupełnie z trzecim wyraźnym oświadczeniem «Echa»: «Łączyć się potrafimy, lecz na zasadach równości i braterstwa».

Jesteśmy zaś przekonani, że z chwilą, gdy takie połączenie nastąpi, przyjdzie kolej i na zawarcie ścisłego sojuszu z P. P. S. w Królestwie, gdy sojusz ten, zapewniając współdziałanie ludu pracującego Polski i Litwy, stworzy w całej zachodniej części państwa rosyjskiego potężną, jednolitą siłę, która wcześniej czy później zwyciężyć musi.

Naturalnie, ani połączenie organizacji socjalistycznych na Litwie, ani sojusz ich z P. P. S. w Królestwie nie przesądza bynajmniej formy przyszłego ustroju państwowego na obszarze ziemi, objętym przez te organizacje. Czy rozpadnie się on na trzy lub dwie całkiem odrębne, niezależne republiki, czy połączą się one w jakiś związek federacyjny mniej lub więcej ścisły — to jest kwestia przyszłości, którą prawdopodobnie rozstrzygnie wolny i świadomy swych praw lud pracujący Polski, Litwy i Rusi.

KWESTIA ŻYDOWSKA NA LITWIE

«Walka» nr 3, str. 5—7, z listopada 1903 r.

Żydzi stanowią ósmą część ogółu mieszkańców Litwy, lecz w miastach naszych są oni w większości. Niekiedy ludność chrześcijańska w drobniejszych powiatowych miasteczkach jest znikomo drobną cząstką ogółu mieszkańców, a w najbardziej chrześcijańskim ze wszystkich miast Litwy — Wil-

nie — Żydzi stanowią dwie trzecie ludności. Wobec tego, że miasta w życiu nowoczesnym odgrywają ważną, coraz ważniejszą rolę, że stają się one przewodnikami w ruchu cywilizacyjnym, dla całego kraju nie bez znaczenia jest takie lub inne zachowanie się ludności żydowskiej, będącej głównym żywiołem miejskim u nas.

Czynny udział Żydów w życiu publicznym naszego kraju datuje się od 1863 r. Do tego czasu Żydzi stanowili bierną masę, obojętną na wszelkie wypadki, na takie lub inne koleje, przez które przechodziła Litwa w swej historii; masę wyzyskiwaną i sprzedającą swą pomoc temu, kto był silnym i bogatym, a wewnątrz kierowaną przez silną organizację kahału, rządzącą Żydami na zasadzie praw, przez siebie samych wytworzonych, niezależnie od praw, którymi się rządziła reszta ludności. Żydzi stanowili społeczeństwo osobne, połączone z otoczeniem wątłymi nićmi stosunków handlowych. Natomiast chiński mur dzikich przesądów własnych i ludności chrześcijańskiej oddzielał ich od reszty społeczeństwa. Udziałem ich były prześladowania i pogarda, za które płacili niechęcią i nienawiścią.

Po reformach, przeprowadzonych w państwie rosyjskim, Żydzi nieco odetchnęli. Uwłaszczenie chłopów, rozwój przemysłu, zaprowadzenie pewnej sprawiedliwości w sądach, wobec których zrównano w prawach ludność całą — wszystko to otworzyło dla wielu Żydów drogę do wyjścia z dotychczasowego położenia. Środkiem do tego było bogactwo albo nauka. Ta ostatnia bezlitośnie niszczyła przesądy Żydów, zbliżając ich do społeczeństw chrześcijańskich.

Oprócz tego nowoczesny przemysł i rozwój kapitalizmu rozbijał powoli, lecz stale samo społeczeństwo żydowskie i solidarność narodową. Wśród Żydów, jak i wśród innych narodów, wytworzyły się klasy społeczne — wyzyskiwanych i wyskiwaczy — z odrębnymi i sprzecznymi interesami. Jeśli bogatsi pod wpływem nauki ciążyć zaczęli do zlania się ze społeczeństwem chrześcijańskim, to wśród wyzyskiwanej rzeszy proletariuszy zaczął się rozwijać socjalizm, który równie skutecznie burzy przesądy i ciemnotę, równie gruntownie zapełnia przepaść, dzielącą proletariuszy różnych narodowości, łącząc ich w jedną rodzinę, ożywioną wspólną ideą.

Wszystkie te czynniki razem doprowadziły w innych społeczeństwach do zupełnego prawie zlania się Żydów z otoczeniem. W Polsce i Litwie stało się inaczej. Po pierwsze, Żydów w tych krajach było znacznie więcej niż gdzie indziej, powtóre, oświata i socjalizm spotykały tu nieznaną w innych krajach przeszkodę — carat rosyjski. Dzięki tej przeszkodzie światło,

szerzone przez naukę, było przyćmione i sama nauka, przyprawiona przez usłużnych pismaków, cuchnęła nieraz niegorzej od dawnej ciemnoty. Wreszcie — i to się głównie Litwy tyczy — przełom w życiu Żydów i zbliżanie się ich do świata chrześcijańskiego nastąpiły w czasie zupełnej prawie niemocy społeczeństwa, otaczającego Żydów. Polska kultura, zniszczona po miastach po klęsce 1863 r., litewska, znajdująca się w zarodku, wreszcie białoruska, która dotąd nie wyszła z niemowlęctwa, nie mogły pociągnąć ku sobie Żydów i nie stały się mostem, po którym Żydzi wejśćby mogli w skład litewskiego społeczeństwa.

Natomiast szkoły rosyjskie, zaprowadzone w kraju, oraz nadzieja wejścia do tryumfalnego społeczeństwa rosyjskiego gnały Żydów do wszystkiego, co rosyjskie. Przez dłuższy czas Żydzi w miastach naszych ruszczyli się gwałtownie i w ten sposób zamiast dawnego muru, dzielącego ich od otoczenia, przepaść kopali pomiędzy nim i sobą. Stosunek wzajemny tych części ludności zmienił się nie o wiele. Tak samo jak dawniej, Żydzi i chrześcijanie na Litwie byli sobie obcy i nieznani, nie połączeni wspólną myślą. Lecz w życiu krajowym nie była to już bierna masa. Owszem, wobec energicznie prowadzonej rusyfikacji kraju, Żydzi poddający się tej rusyfikacji stanowili żywioł, na którym polityka rządowa opierać się mogła, żywioł, rozszerzający wpływy rosyjskie na Litwie.

Na takim tle rozwijał się ruch socjalistyczny na Litwie. Dzięki temu, że Żydzi stanowią żywioł wyłącznie miejski, dzięki ogromnej skłonności do nauki i oświaty, jaką okazują, dzięki wreszcie energii organizacji żydowskich oraz ruchliwości rasowej, ruch socjalistyczny wśród Żydów rozwijał się szybko, przenosząc się z większych miast do coraz drobniejszych miasteczek. A gdy rząd rozpoczął od dziesiątka lat nowe prześladowania Żydów w Rosji, zamykając dla nich drzwi szkolne i spychając ich do rzędu ludzi, najbardziej upośledzonych jedynie dlatego, że są Żydami — ruch się zaognił i nabrał rewolucyjnej, przeciwrządowej barwy.

Niestety, socjalizm tylko w małej części zdołał dotąd zapełnić przepaść, dzielącą chrześcijan od Żydów. Z jednej strony wśród chrześcijan ruch socjalistyczny rozwija się dotychczas powoli i nie sięgnął tak głęboko do mas ludowych, jak wśród Żydów, więc szczytna zasada braterstwa ludzi i wspólnoty wszystkich pracujących bez względu na narodowość nic rozbiła dotąd różnych przesądów o Żydach wśród proletariuszy chrześcijańskich. Z drugiej zaś strony na żydowskim ruchu

naszego kraju dotąd ciąży jak przekleństwo odosobnianie się od otoczenia i niechęć zrozumienia nawet interesów i potrzeb ludności chrześcijańskiej. Bund, który jest głównym przedstawicielem ruchu socjalistycznego wśród Żydów na Litwie, dotąd nie chce uwzględnić i zsolidaryzować się z wymaganiami i potrzebami ludności polskiej i litewskiej, dotąd nie uważa za potrzebne nawet zaznajamiać masy żydowskich robotników z życiem, przeszłością, bolami i nadziejami swych towarzyszów niedoli, a często i pracy. Mniejsza tylko część uświadomionych towarzyszów żydowskich stanęła pod wspólnym z nami sztandarem, stanowiąc w naszej partii autonomiczną organizację żydowską.

I oto wśród proletariatu polskiego i litewskiego w naszym kraju świadomość socjalistyczna łączy się z myślą o konieczności rozbicia kajdan niewolniczych, pozbycia się krępującego nasz rozwój najazdu. Natomiast wśród Żydów — dzieci tej samej ziemi — ta sama świadomość socjalistyczna łączy ich z obcym dla nas krajem, przyucza i przyzwyczaja do zależności od tego, co się dzieje gdzieś na obczyźnie, odciągając myśl od najbliższego otoczenia. To rozdwojenie ruchu socjalistycznego wśród proletariatu na Litwie wychodzi na złe jednej, zarówno jak i drugiej stronie. Siła i wpływ ruchu socjalistycznego słabnie; boje, które toczymy, zamiast być zgodnymi poruszeniami wielkiej armii socjalistycznej, stają się podjazdową i utarczkową walką. Jak ruch żydowski, nie połączony z chrześcijańskim, jest bezsilnym wobec przemocy wroga i milknąć niekiedy musi przed lada podmuchem antysemityzmu, tak zarówno ruch wśród chrześcijańskiej mniejszości ludu pracującego w miastach traci na znaczeniu politycznym.

Towarzysze! musimy usilnie pracować nad poprawą tych stosunków. Przede wszystkim zaś zacznijmy leczyć siebie samych. Im silniejszą będzie świadomość wśród nas samych, im rzadziej będą się spotykały takie fakty, jak wystąpienie garbarzy wileńskich przeciw swym kolegom z fachu — Żydom, im mniej będzie wśród chrześcijan antysemityzmu — tym łatwiej nam pójdzie złączenie i zespolenie sił socjalistycznych na Litwie, tym prędzej zapanuje wśród nas rzetelna solidarność robotnicza, solidarność wyzyskiwanych i krzywdzonych. Żyd, Polak, Litwin — wszyscyśmy jednakowo wyzyskiwani przez własnych swojskich wyzyskiwaczy, wszyscyśmy jednakowo skrzywdzeni przez rząd moskiewski, co nam prawa ludzkie zagrabia i w hańbiące kajdany niewolnicze zakuwa, wszyscyśmy też zainteresowani w tym, byśmy, żyjąc w zgodzie, wspólnymi siłami dla wspólnego dobra kajdany rozbili, a sprawiedliwość,

ład i porządek na swej ziemi ustanowili. Do tego też zachęcajmy towarzyszy Żydów przy każdym zetknięciu się z nimi.

KONFERENCJA WARSZAWSKA

Na początku listopada 1903 r. odbyła się pierwsza konferencja lokalna P. P. S., poświęcona specjalnie sprawom organizacji warszawskiej. J. Piłsudski wziął w niej udział. Podstawą do ogłoszenia tego sprawozdania było umieszczenie jego w «Przedświcie» z 1903 r. nry 11—12, str. 496—499. Tu ogłaszamy je według rękopisu J. Piłsudskiego, zachowanego w Archiwum P. P. S.

Koniec listopada 1903 r.

Na konferencję zebrało się 31 osób dla obrad nad sprawami organizacji warszawskiej oraz w celu wypowiedzenia się w sprawach ogólno-partyjnych. Wobec tego, że wielu z obecnych nie było na poprzedniej konferencji, obrady rozpoczęto od sprawozdania o niej. Treścią jej główną były obrady nad obchodem majowym. Przy tym zarysowała się różnica zdań w poglądzie na sprawę zaproszenia innych organizacji do urządzenia wspólnego obchodu. Ogromna większość wypowiedziała się przeciwko jakimkolwiek pertraktacjom z Socjal-Demokracją Królestwa Polskiego i Litwy, oraz z Proletariatem, natomiast w stosunku do organizacji Bundu większość przyjęła wniosek zaproszenia go do wzięcia udziału w manifestacji. Pertraktacje jednak nie przyszły do skutku, gdyż C. K. R. sprzeciwił się temu, by przy braku porozumienia się ogólno-partyjnego były prowadzone w lokalnych organizacjach pertraktacje z innymi organizacjami, pertraktacje, naruszające ogólno-partyjną politykę i taktykę. Wobec tego ograniczono się jedynie zaproszeniem Bundu na manifestację i odmówiono przedstawicielom Bundu prowadzenia pertraktacji co do sposobu urządzania manifestacji. Oprócz tego obradowano nad potrzebami i organizacją roboty w celu podniesienia umysłowego i etycznego poziomu w klasie robotniczej.

Następnie pojedynczy przedstawiciele organizacji warszawskiej złożyli swe sprawozdanie, a jeden z członków Warszawskiego Komitetu Robotniczego zsumował i uogólnił szczegóły sprawozdań. W organizacji obecnie istnieje 3718 towarzyszów, z tej liczby 423 należy do ściślejszych kół organizacyjnych. Założoną została specjalna szkoła agitatorów dla wyro-

bienia ludzi i przygotowania ich do roli organizatorów ruchu. Stosunki te dałyby się łatwo rozszerzyć i to znacznie, lecz główną przeszkodą pod tym względem jest brak bibuły, której Warszawa otrzymuje zbyt mało; daje się odczuwać potrzeba zarówno bibuły agitacyjnej, jak i poważniejszej naukowej. Potrzeba ta jest tym gwałtowniejszą, że w ostatnich czasach daje się zauważyć większy niż dawniej dopływ bibuły innych organizacyj. Główną zmianą w porównaniu do dawnej organizacji jest przeniesienie punktu ciężkości z pojedynczych towarzyszów na ciała zbiorowe, co, jak dotąd, daje dobre rezultaty, nie zmniejszając w niczym tak nieodzownej w naszych warunkach konspiracji. Nową względnie rzeczą w organizacji są próby łączenia w jednej organizacji chrześcijan i żydów. Próby te dotąd są nieliczne, głównie z powodów językowych — towarzysze żydzi nie zawsze umieją tak dobrze po polsku, by z korzyścią obustronną mogli brać udział w pracy wspólnej. Po latach kryzysu daje się zauważyć pewne polepszenie w przemyśle, wpłynęło to na ożywienie walki ekonomicznej. W okresie sprawozdawczym odbyły się strajki w fabryce rusko-włoskiego towarzystwa, gdzie nadzwyczaj dzielnie zachowywały się robotnice, kilkanaście strajków wśród towarzyszy żydów w różnych fachach i wreszcie strajk stolarski, na który zebrano w krótkim czasie około 800 rubli. Wynik strajków przeważnie pomyślny. Co do młodzieży, to partia nasza, wbrew postępowaniu innych organizacji, wystrzega się wciągać ją w wir polityki i walk partyjnych, traktując ją bezstronnie i starając się wywrzeć na nią wpływ, kształcący jej umysł i uszlachetniający uczucia, bez kładzenia na nie stempla partyjnego.

Sprawozdania i dyskusja nad nimi zajęła konferencji dużo czasu. Z dyskusji wyłaniały się wnioski, tyczące się poszczególnych fachów i działów organizacyjnych. Jako ogólny wniosek przyjęto zasadę, by na przyszłość sprawozdania poszczególnych organizacji były przygotowane na podstawie jednego schematu, który polecono opracować Warszawskiemu Komitetowi Robotniczemu. Pomiędzy innymi sprawami poruszana też była sprawa walki z arystokratyzmem robotników fachowych w stosunku do chłopców w rzemiośle i do robotników niefachowych w fabrykach.

Następnie obrano z pomiędzy wyznaczonych na porządku dziennym punktów jeden dla gruntowniejszej dyskusji — tym punktem zgodnie z wolą większości okazał się «Prasa i wydawnictwa partyjne». Dyskusja z natury rzeczy rozpadła się na działy: a) «Robotnik» i odezwy, b) wydawnictwa zagraniczne. Co się tyczy pierwszego punktu, zabierało głos wielu towarzy-

szów. Ogromna większość uskarżała się na brak bibuły — «Robotnika» i odezw, na zbyt rzadkie i nieregularne jego ukazywanie się. Warszawa otrzymuje 800 egzemplarzy, gdy z zupełną łatwością dałoby się rozpowszechnić i drugie tyle. Nieraz odezwy były potrzebne, a nie wydano ich. Uskarżano się i na braki w dziale «pokwitowania», co szkodliwie wpływa na finanse organizacji. Z przemówień poszczególnych towarzyszów, tyczących się treści «Robotnika», obok ogólnych prawie pochwał wysnuły się wnioski, żądające: 1) artykułów w kwestiach zasadniczych, 2) udzielenia więcej miejsca sprawom kulturalnym, 3) zmniejszenia działu «Korespondencje» i wyrzucenia go do specjalnych dodatków, 4) omawiania ważniejszych zdarzeń nie w «Kronice», lecz w artykułach, 5) umieszczania w większej ilości i bez poważniejszego skracania korespondencji warszawskich, 6) większej ścisłości informacji, 7) uwzględniania większego ruchu rosyjskiego i 8) konieczności informacji o ruchu wśród ludu wiejskiego.

W dłuższej dyskusji nad tymi wnioskami niektóre z nich, po wyjaśnieniu niemożliwości uwzględnienia nadmiernych wymagań, zostały usunięte. Zaznaczono, że w działalności wydawniczej w kraju istnieje stały postęp — obecnie «Robotnik» drukuje się w 2.040 egzemplarzach, gdy rozpoczęto niegdyś od 1200, z których więcej niż połowa była rozrzucana, odezw w tym roku partia wydała więcej niż kiedykolwiek w innych latach. Lecz przy rozwoju ruchu na prowincji zwiększenie nakładu głównie idzie na potrzeby prowincjonalne, gdyż zarząd partyjny, znając środki agitacyjne w całym kraju, wie, iż w Warszawie więcej niż gdzie indziej polegać można na wypróbowanej sile organizacji i zdolnych agitatorach. Przy głosowaniu przyjęto następujące wnioski: 1) Konferencja warszawska poleca uwadze C. K. R. sprawę powiększenia nakładu «Robotnika». 2) Konferencja uważa, iż należy uzupełnić «Robotnika» uwzględnieniem ruchu chłopskiego. 3) Konferencja uważa, iż «Robotnik» powinien traktować sprawy zasadnicze obok aktualnych. 4) Konferencja sądzi, że korespondencje należy, o ile możności, podawać w dodatkach specjalnych. 5) Konferencja uważa za pożądane poruszenie w jednym z najbliższych numerów sprawy agitacji wśród kobiet. 6) Konferencja wyraża życzenie, aby możliwie często były wydawane w dodatkach do «Robotnika» korespondencje z fabryk i warsztatów warszawskich. 7) W celu ulepszenia informacji z Warszawy, posyłanych do «Robotnika», Konferencja poleca Warszawskiemu Komitetowi Robotniczemu sformować specjalną komisję dla układania ich do «Robotnika».

Co się tyczy informacji o ruchu rosyjskim, to konferencja przyjęła do wiadomości wyjaśnienie, że z powodu braku porządnych informacji o nim w samym kraju, dział ten przeniesiono do «Kurjerka zakordonowego i zagranicznego», wydawanego za granicą, gdzie łatwiej o liczne i względnie wiarygodne dane o tym ruchu.

W kwestii wydawnictw zagranicznych — periodycznych i broszurowych: I tutaj głównie uskarżano się na brak bibuły, której ilość nie odpowiada rozrostowi organizacji i ruchu w Warszawie. Pomiędzy innymi zwracano uwagę na brak informacji warszawskich w «Przedświcie». Zwracano przy tym uwagę na urozmaicenie treści, które się dało zauważyć w ostatnich czasach, na konieczność wydania broszury, zawierającej możliwie wielką ilość argumentów dla odpowiedzi na zarzuty, stawiane naszemu programowi. Oprócz tego żądano broszury o antysemityzmie, oraz rozpoczęcia szeregu broszur fachowych, przede wszystkim zaś broszury dla szewców, jako fachu najliczniejszego w Warszawie, w którym oczekiwać można walki o polepszenie warunków życiowych w tym fachu. Pozatem postawiono wniosek o wydaniu broszury o ustawach fabrycznych, obowiązujących w Rosji. Wszystkie wnioski o broszurach uchwalono, polecając je uwadze C. K. R.

Po załatwieniu się z powyższym punktem porządku dziennego zostało tak mało czasu, że postanowiono ograniczyć się jedynie krótką dyskusją nad stosunkiem naszej partii do innych organizacji. Co do stosunku do Socjal Demokracji Królestwa Polskiego, to przeważająca większość, zaznaczając pewne ożywienie w działalności tej organizacji, z goryczą mówiła o środkach, stosowanych przez nią w praktyce. Nie ma tak brudnego oszczerstwa, nie ma tak bezpodstawnego kłamstwa lub insynuacji, któregoby się nie chwycili ludzie z Socjal Demokracji Królestwa Polskiego w walce z P. P. S. Jeden z towarzyszy robotników przy wzrastającym śmiechu i oburzeniu obecnych opowiadał o plotkach, kolportowanych przez Socjal Demokrację Królestwa Polskiego w Warszawie. P. P. S. służy jakoby burżuazji, bo i z jej pieniędzy żyje, że pomagając więźniom, przekupuje ich w ten sposób, że jakoby ma gdzieś króla dla Polski w zapasie, że za nos wodzi robotników, oszukując ich na każdym kroku, nawet, że «Robotnik» jest wydawany za rządowe pieniądze. Jeden z towarzyszów, zastrzegając się, że z pewnością wśród ludzi, walczących z nami pod sztandarem Socjal Demokracji Królestwa Polskiego, są godni szacunku i nazwy towarzyszów, sądzi, że Socjal Demokracja Królestwa Polskiego, nie wskórawszy nic drogą walki

otwartej na polu programowym i czując, że wpływu na ruch mieć nie może, nie ma innej drogi, jak miotać się i wymyślać. W walce z nimi należy stawiać sprawę poważnie i w żadnym wypadku nie naśladować przeciwników w wyborze środków.

Co do narodowych demokratów, towarzysze warszawscy wykazali w swych sprawozdaniach, że się z nimi stykają niekiedy, lecz nie widzą w tej organizacji poważnego przeciwnika, gdyż najczęściej organizacja ta opiera się na wpływie majstrów i brygadzistów, słowem ludzi, względem których lud pracujący nieraz do walki występować musi. Wszędzie, gdzie się nasi z nimi zetknęli w Warszawie, zdołano odciągnąć od nich siły młodsze i energiczniejsze, i Narodowa Demokracja bronić się musi surowym zakazem stykania się z socjalistami.

Na tej dyskusji zakończyła się konferencja warszawska.

STRAJKI POD CARATEM

«Kalendarz Robotniczy» na rok 1904, str. 51—54.

Gdy się mówi o strajkach, socjalista europejski natychmiast przedstawi sobie wszystkie akcesoria strajkowe, a więc związek zawodowy, który strajk uchwalił i nim kieruje; wyobraża sobie mniej lub więcej obfity zapas pieniężny, zebrany w kasie związku i w razie potrzeby zwiększający się przypływem funduszów z kas innych związków lub ze składek publicznych od towarzyszy, mieszkających nieraz w innym państwie, a nawet innych częściach świata; przekonany jest przy tym, że wiadomość o strajku może być natychmiast opublikowaną we wszystkich pismach, że zatem pomoc, gdy ją kto zechce okazać, na czas zdąży i wpływ swój na przebieg strajku wywrze. Pod caratem o tych pięknych rzeczach nikt nie wie i strajki muszą się odbywać w całkiem innych warunkach.

Przedewszystkim więc o związkach zawodowych nie ma w całym państwie rosyjskim ani mowy. Wszystkie próby, w tym kierunku czynione przez najrozmaitsze organizacje socjalistyczne, nie doprowadziły do dłuższego trwania szerszego nieco związku. Pochodzi to stąd, że niepodobna w Rosji utworzyć na dłuższy czas organizacji, obejmującej zbyt szerokie koła ludzi. Organizacja taka z konieczności korzystać musi z materiału ludzkiego, mało przygotowanego na próby, które każdego członka organizacji robotniczej czekają przy zetknię-

ciu się z więzieniem i żandarmerią. Następnie trudno sobie wyobrazić związek zawodowy bez rachunków, jakiego takiego spisu członków, publicznej kontroli rachunkowej i temu podobnych rzeczy, które stanowią ogromny materiał śledczy dla policji i szpiegów. Skoro się nie ma związku zawodowego, nie ma też i kasy, nie ma zapasu gotówki na wypadek strajku.

Równie utrudnioną i prawie uniemożebnioną jest pomoc zewnętrzna. Już sama wiadomość o strajku w jakimkolwiek miejscu wobec zakazu drukowania o tym w pismach niełatwo się przedziera do innych miejscowości. Każdy Europejczyk z trudnością pojąć może takie stosunki, a jednak mieliśmy np. takie wypadki, że gdy w Białymstoku, odległym od Warszawy mniej więcej tak, jak Rzeszów od Krakowa, wybuchł strajk powszechny, w którym brało udział dwadzieścia kilka tysięcy ludzi, w Warszawie w kilka dni po rozpoczęciu strajku prawie nikt o nim nie wiedział. Jeśli nawet dzięki wypadkowi wieść o strajku prędko dojdzie i ludzie potrafią w krótkim czasie zebrać cokolwiek na strajkujących, to nie zawsze łatwo pomoc tę przesłać do odpowiednich rąk. Wreszcie niełatwo jest przy większym strajku podzielić zebrane pieniądze pomiędzy strajkujących, gdyż przy podziale łatwo natrafić na ludzi niepewnych, nawet agentów policyjnych, pracujących w fabrykach, i naraża się na aresztowanie i więzienie.

Widzimy więc, że strajkujący w Rosji są pozostawieni najzupełniej własnym siłom i liczyć mogą jedynie na siebie, a w najlepszym razie na pomoc najbliższego otoczenia. Cóż więc robią strajkujący? Odpowiedź łatwa. Przejadają oszczędności, zastawiają lub sprzedają wszystko, co mają w domu, głodzą się, otrzymując od czasu do czasu niewielką pomoc lub pożyczkę od którego ze znajomych robotników z innej fabryki lub warsztatu. Z tego położenia wynika, że w porównaniu z Europą strajki pod caratem trwać muszą znacznie krócej i w ten sposób robotnicy są pozbawieni najpoważniejszej rękojmi powodzenia strajku — możności walczenia przez czas jak najdłuższy.

Rzecz prosta, że w tych warunkach najtrudniej jest przeprowadzić i utrzymać strajk w dużej fabryce z setkami lub tysiącami uczestników, często nie znających się wzajemnie. W takich wypadkach strajkujący są najliteralniej na łasce własnych, bardzo szczupłych, zasobów i, naturalnie, przetrzymać długo nie mogą — strajki w większych fabrykach, trwające tydzień, należą do nadzwyczajnych wyjątków. Przeciwnie, strajki drobne, osobliwie w warsztatach rzemieślniczych, są

najłatwiejsze do przeprowadzenia, tym bardziej, że w tym wypadku mogą być użyte wszelkie sposoby perswazji upornego «pracodawcy». Szczególnie w większych ośrodkach przemysłowych, gdzie nie tylko o pomoc finansową łatwiej, lecz istnieje możność znalezienia chwilowego chociażby zarobku, strajki w warsztatach rzemieślniczych trwać mogą bardzo długo i w istocie trwały nieraz miesiąc i więcej.

Lecz poza strajkującymi robotnikami mniej lub więcej opornymi «pracodawcami» istnieje jeszcze osoba trzecia — rząd z całym swym aparatem wojskowo-policyjnym. Ten, naturalnie, nie drzemie. Polityka rządowa w Rosji w ostatnich czasach, gdy rozwój ruchu robotniczego w całym państwie zatrważa carat zupełnie serio, jest skierowaną ku temu, by w każdym sporze pomiędzy pracą a kapitałem umaczać ręce i w razie potrzeby wziąć na barki rządowe jego rozwiązanie. W wielu więc wypadkach rząd całkowicie zasłania sobą fabrykanta lub zarząd zakładu przemysłowego i robotnicy mają wówczas do czynienia jedynie z rządem i jego agentami.

Prawo rosyjskie obowiązuje fabrykanta zawiadamiać natychmiast inspektora fabrycznego o wszelkich nieporozumieniach pomiędzy nim a robotnikami. Inspektor zaś, który jakoby wyczuwać może nastrój wśród robotników, musi zawiadomić policję, ta zaś żandarmerię, o każdym nieporozumieniu, grożącym strajkiem. Rola tych trzech władz jest rozmaitą. Inspekcja fabryczna występuje jako pośrednik pomiędzy walczącymi stronami i stara się doprowadzić do pokojowego załatwienia sprawy. Policja jest powołaną do pilnowania, by porządek publiczny nie został zakłóconym, żandarmeria zaś ma za obowiązek wywęszyć, czy w danym wypadku nie działała jaka tajna organizacja oraz w razie znalezienia jej śladów musi ją wytropić i wyłapać. W poważniejszych wypadkach wszystkie te władze działają łącznie i pod prezydencją gubernatora dają inicjatywę do zastosowania poważniejszych środków — wojska i kozaków.

Tak wygląda interwencja władzy rządowej na papierze, lecz w rzeczywistości jest ona nieco inną. Przede wszystkim wyznać trzeba, że działa ona nadzwyczaj opieszale i bodaj każdy strajk zastaje ją nieprzygotowaną do akcji. Składa się na to mnóstwo przyczyn, główną jednak jest niesłychane niedbalstwo, lenistwo i niezdolność do szybkich poruszeń, którymi to cechami odznacza się w ogóle czynownictwo moskiewskie. Do jakiego stopnia opieszałość ta jest posuniętą, sądzić można z faktu, że registracja strajków w statystyce rządowej inspektorów fabrycznych grubo się różni od tejże re-

gistracji naszej partii, która przecież nie jest w stanie działać z dokładnością urzędową. Różnica ta jest tak wielką, że dla niektórych lat inspekcja fabryczna podaje dwa razy mniejszą liczbę strajków, niż to zostało skonstatowane przez partię na podstawie danych, zasiągniętych od robotników. W ogromnej więc ilości wypadków strajki nie doprowadzają nawet do interwencji inspektorów fabrycznych. Kiedy jednak wkracza pan inspektor, odbywa się to zwykle według następującego szablonu. Przede wszystkim p. inspektor odwiedza zarząd fabryki lub mieszkanie fabrykanta, gdzie zbiera informacje oraz zasila się obfitym śniadaniem, obiadem lub kolacją, odpowiednio do pory dnia, i wreszcie wychodzi do zebranych robotników. Przeważnie radzi robotnikom zaprzestać walki dla tych lub innych powodów, straszy kozakami, Sybirem i policją, przy czym nieraz obłudnie udaje, że sam chciałby uniknąć interwencji policyjnej, następnie wysłuchuje żądań robotniczych, tłumaczy ich niestosowność, a niekiedy dla pozyskania zaufania robotników uznaje za słuszne niektóre z żądań i namawia fabrykanta, by ustąpił i zgodził się na nie. Tym czasem policja, która nieraz wie o wybuchu strajku wcześniej od inspektora, rozpoczyna swą działalność. Zajmuje ona posterunki na zewnątrz i wewnątrz fabryki, notuje osoby wśród robotników, straszy ich, grożąc okropnymi karami, nieraz aresztuje za głośniejszy okrzyk, rozpędza grupki, które się zatrzymały dla rozmowy, słowem, uważając strajk za zakłócenie spokoju i porządku publicznego, przypuszcza szturm do buntowników ze wszystkich stron. Żandarmeria też nie próżnuje. Wyszukuje ona w swych spisach osób podejrzanych, czy niema kogo z nich wśród strajkujących, otacza ich baczniejszą uwagą i notuje sobie ludzi, z którymi owi podejrzani mają w tym czasie stosunki, robi rewizje, więzi nieraz całymi dziesiątkami i napastuje zarząd fabryki, by wskazał inicjatorów strajku.

Wreszcie w wypadkach, gdy władza uzna za stosowne to zrobić, występuje wojsko. Tutaj fabrykant lub zarząd fabryki znika zupełnie; cały interes przechodzi do rąk rządu i wszystko zależy od jego decyzji. Dzieją się wówczas rzeczy niesłychane. W Warszawie w czasie strajku sierpniowego w 1899 r., gdy połowa fabryk stała bezczynnie, kozacy i policjanci biciem zmuszali robotników do podjęcia roboty. W fabryce Szlenkiera okładano robotnice nahajami dopóty, dopóki nie wzięły w ręce narzędzi pracy, w innych miejscach łapano robotników na ulicy i wciągano ich przemocą do fabryki, gdzie gwałtem wpychano im w ręce instrumenty. Gu-

bernator piotrkowski, Miller, nieraz już przy większych strajkach ogłaszał plakatami urzędowymi, że nie pozwoli na to, by zarząd fabryki lub kopalni zrobił jakie ustępstwa strajkującym. Aresztują wówczas setkami, wyrzucają z miejsca, gdzie się strajk odbywa, masy robotników, zaczepiają i biją najspokojniejszych przechodniów, rewizje zaś nabierają charakteru epidemicznego.

Naturalnie, opisany powyżej aparat przeciwstrajkowy nie zawsze bywa puszczony w ruch. Przede wszystkim sami fabrykanci nieraz wolą uniknąć najazdu czynowniczego na swą fabrykę, chociaż ten najazd staje po ich stronie. Pochodzi to stąd, że dzięki specyficznym właściwościom urzędnictwa moskiewskiego, wszelkie zetknięcie się z nim oznacza kłopot, często kosztowny, a zawsze prawie niemiły. W czasie strajku oraz dłuższy czas po nim zarząd fabryki jest narażony na większe i drobniejsze łapówki, którymi zaspakajać trzeba apetyty różnych przedstawicieli władzy, na ciągłe traktamenty, zaczynając od kieliszka wódki dla jakiegoś stójkowego, kończąc sutem śniadankiem z szampanem dla wyższych urzędników i oficerów. Jak wysokimi są nieraz te koszty, sądzić można z tego, że w czasie dużego strajku w Hucie Bankowej, gdy żołdacy zastrzelili kilku robotników, na samo wino szampańskie dla oficerów i gubernatora zarząd fabryki wydał do 10 tysięcy rubli. Wreszcie przez dłuższy czas, po strajku nawet, zarząd fabryki ma wciąż do czynienia z policją i żandarmami, którzy ściągają niezliczoną moc protokółów i zeznań, odrywając robotników i majstrów od pracy na kilka często godzin. Samo aresztowanie kilkunastu lub więcej robotników, często najbardziej wykwalifikowanych i niezbędnych dla fabryki, przynosi ciężkie straty i kłopoty. Gdy zaś w poważniejszych wypadkach na fabrykę spada i utrzymanie wojska, operującego przy strajku, i łagodzenie różnych komisyj, kilkakrotnie najeżdżających fabrykę dla zbadania przyczyn i powodów zaburzeń, to zaiste pożałowania godnym jest los biednych «pracodawców». Nic też dziwnego, że nieraz sami fabrykanci zawahają się poruszyć gniazdo os czynowniczych i śpieszą załatwić jak najprędzej sprawę z robotnikami, żeby uprzedzić najazd policyjno-żandarmeryjny. W takich wypadkach dosyć bywa energiczniejszego i zgodnego wystąpienia ze strony robotników, by odrazu tegoż dnia uzyskać takie lub inne ustępstwo.

Oprócz tych wypadków interwencja władzy nie następuje nieraz z innych powodów. Czy to dlatego, że w danej chwili policja i żandarmeria ma pilniejsze sprawy do załatwie-

nia, czy też dlatego, że strajk wybuchnął gdzieś na prowincji, gdzie pogotowie policyjne nie może wystąpić w całej okazałości, czy wreszcie dlatego, że strajk jest zbyt drobnym lub trwa zbyt krótko, dosyć, że wielka część strajków unika opieki argusowych oczu policji carskiej. I pod tym względem najbardziej uprzywilejowanymi są niewielkie strajki w dużych miastach, które, jakeśmy to wykazali wyżej, i pod względem finansowym najłatwiejsze są do utrzymania.

Przejdźmy teraz do zachowania się robotników w czasie strajku i techniki, że się tak wyrażę, strajkowej. Strajk jest najpierwotniejszą, najpowszechniejszą bronią robotniczą w walce z wyzyskiem, spotykamy się więc z nim zaraz przy pierwszych krokach ruchu robotniczego. Nosi on wówczas piętno żywiołowego poruszenia ludowego, nieraz bez określonego planu i żądań, i jest wyrazem pierwszego fermentu, wywołanego w masie ludu pracującego przy zetknięciu się jego z ideą socjalizmu. W wielkich organizacjach przemysłowych nabiera on cech epidemicznych i z łatwością przenosi się z jednej fabryki do drugiej, a gdy następuje interwencja ugodowa, siłą rozpędu żywiołowego nie zatrzymuje się przed tą zaporą i zamienia się w krwawe nieraz utarczki z policją i wojskiem. Zwykle w tym początkowym stadium znaczenie strajku jest przecenianym, a nadzieje, pokładane przez robotników na tego rodzaju wystąpienia, są tak wygórowane, iż rzeczywistość nigdy im odpowiedzieć nie może. Zresztą realne ślady po takich występowaniach w postaci powiększenia płacy lub skrócenia dnia roboczego zostają zwykle jedynie w drobnym przemyśle, w wielkim natomiast następuje pewne rozgoryczenie i uczucie zawodu. O jakiejkolwiek technice strajkowej mowy na tym stadium być nie może, organizacje zaś, istniejące wśród strajkujących, albo rozsypują się bez śladu, albo też, jeśli stanowią część organizacji ogólno-krajowej, starają się wykorzystać te poruszenia dla pogłębienia świadomości robotniczej przez rozpowszechnienie rozchwytywanych zwykle w takiej chwili wydawnictw socjalistycznych.

Z czasem jednak wyrabia się pewna technika, pewien zbiór prawidełek, których się ludzie trzymają przy strajkach. Agitacja przedstrajkowa prowadzona jest przez organizację fachową po porozumieniu się z miejscowym komitetem partyjnym. Zwykle na krótko przed strajkiem zwołuje się liczniejsze zgromadzenie, na którym się omawia szczegółowo punkty żądań robotniczych, lub też gdy zgromadzenie jest dla czegokolwiek niemożliwe, zwołuje się kilka mniej licznych kółek w tym samym celu. Przy tej agitacji unika się ludzi nie-

pewnych lub mało znanych agitatorom w danym fachu lub fabryce i co do nich, liczy się zwykle, że w pierwszej chwili pójdą zawsze za innymi. W istocie bezwiedne uczucie koleżeństwa i solidarności z kolegami pracy jest zwykle tak silne, że łamistrajki zjawiają się dopiero po pewnym czasie. Przed samym strajkiem najlepiej, gdy to jest możliwe, rozpowszechnić krótką odezwę, streszczającą żądania robotnicze w takiej formie, by je można było przedstawić zarządowi zakładu przemysłowego lub władzy. Chociaż taka odezwa zwraca uwagę władzy na przygotowujący się strajk, ma jednak tę dobrą stronę, że wszyscy robotnicy, mający strajkować, wiedzą odrazu, o co chodzi, bez osobistej rozmowy z kimkolwiek z pomiędzy agitatorów. Na czas strajku wszyscy ludzie partii, pracujący w danym fachu czy fabryce, oczyszczają swe mieszkania z wszelkich śladów roboty partyjnej. W razie potrzeby na czas strajku formuje się komitet strajkowy, do którego się wciąga ludzi uczciwych, chociaż i nie należących do organizacji partyjnej; naturalnie, komitet taki jest tajnym i służy jedynie do tego, by, o ile to się da, kierować strajkiem, wyszukiwać pomoc pieniężną dla potrzebujących, namawiać chwiejnych lub karać łamistrajków. Wreszcie przy rozmowach z władzą robotnicy starają się nie wystawiać nikogo z pomiędzy siebie na sztych i wszędzie występują gromadnie, nie zgadzając się na wybór delegacji lub czegoś podobnego, zwykle bowiem tacy delegaci są uznani przez władzę za inicjatorów strajku i jako tacy są potem prześladowani. Gdy strajk obejmuje sobą jaki fach rzemieślniczy, kierownictwo jest bardziej potrzebnym, niż przy strajku w fabryce. Tu bowiem powstaje zawsze kwestia, czy fach ma strajkować odrazu we wszystkich warsztatach, czy też kolejno; w tym zaś ostatnim wypadku trzeba określać tę kolej. Trzeba też przyznać, że najbardziej prawidłowymi, najbardziej, że się tak wyrażę, europejskimi były dotąd zawsze strajki rzemieślnicze. Szewcy w czasie strajku 1899 r. urządzili nawet pikiety, stawiane przed warsztatami, objętymi strajkiem, które to pikiety badały każdego wchodzącego do warsztatu i ostrzegały kandydatów na łamistrajków.

Naturalnie, wszystko to, com powiedział, tyczy się strajków, które są przygotowywane przez organizację. Wiele jednak walk odbywa się tak nagle i niespodzianie, zwłaszcza, jeśli są skutkiem jakiej zmiany w regulaminie fabrycznym, że niesposób zawczasu je przewidzieć.

Przechodząc do wniosków, przede wszystkim zwrócić należy uwagę na nieznane gdzie indziej postępowanie rządu

carskiego względem strajkujących. Przy większych strajkach carat nadaje im cechę walki politycznej, która odsuwa na dalszy plan zdobycze ekonomiczne, w ogóle zaś wprowadza w grę czynnik zupełnie nieobliczalny, robiący ze strajków coś w rodzaju gry hazardowej. Nigdy bowiem zawczasu przewidzieć nie można, jaką ilość energii dla stłumienia strajku użyją przedstawiciele władzy, kierujący się nie czymś stałym, jak prawo, ale najrozmaitszymi względami, osobistej nieraz natury. W każdym razie przegrana w strajkach w ogromnej większości jest spowodowana przez presję rządową. Wobec hazardowości strajku oraz przeszkód, stawianych przez rząd, bezrobocia są często wynikiem pewnej lekkomyślności, która jest stałym zjawiskiem w początkach ruchu lub też zjawia się w czasie niezwykłego ożywienia przemysłowego. W zwyczajnych zaś czasach strajki wymagają ogromnego wydatku energii, siły i ofiarności robotników. Strajki w większych fabrykach albo są wygrane prawie natychmiast, albo prowadzą przy dłuższym trwaniu do nieuniknionej prawie przegranej. Wszędzie w warunkach politycznych rosyjskich losy najłaskawsze są dla robotników, pracujących w drobnych warsztatach rzemieślniczych w wielkich ogniskach przemysłowych.

Na zakończenie słów parę o powodzeniu walki strajkowej pod caratem. Statystyki zupełnie ścisłej pod tym względem nie mamy, gdyż registracji naszej przeważnie podlegają strajki i wystąpienia, uwieńczone powodzeniem. Te cyfry, które posiadamy, dowodzą, że 2/3 strajków są wygrane w całości lub częściowo, wnosząc zaś poprawkę z powodu wyżej wskazanego, możemy bez wielkiego błędu powiedzieć, że połowa strajków nie jest bezowocną dla robotników. Najlepiej udaje się walka o dzień roboczy, znacznie gorzej o płacę, a najgorzej obrona wyrzucanych z roboty towarzyszy. Najsmutniej się przedstawiają strajki duże, te w ogromnej większości są przegrane całkowicie. Nie należy jednak sądzić, że pozostają one bez śladu dla strajkujących. Wywierają one tak silny wpływ na fabrykantów i zarządy zakładów przemysłowych, że podnosząc w ich oczach znaczenie robotników, zmuszają do ustępstw już po strajku, przy żądaniach tak pojedynczych robotników, jak zarówno i poszczególnych grup fachowych w fabryce.

LIST DO KOMITETU ZAGRANICZNEGO PPS.

List ten z końca lutego 1904 r. został ogłoszony w całości przez Władysława Pobóg-Malinowskiego w «Wiadomościach Literackich» nr 42 z 24. IX. 1933. Oryginał listu na ostatniej stronie jest zaopatrzony w notatkę Aleksandra Malinowskiego «częściowo zużytkowane w «Naprzodzie». Pojedyncze ustępy tego listu weszły w skład «Przeglądu Krajowego» (stałej rubryki) nr 3 «Przedświtu» z r. 1904, str. 123.

Kochani! Pomimo, że się na was gniewam za zawód przy odpowiedzi na mój list poprzedni, jednak spróbuję raz jeszcze tej drogi. Przede wszystkim jednak dam wam sprawozdanie z tego, co tutaj przez czas ubiegły zaszło. Przed wybuchem jeszcze wojny widziałem się z większością Centralnego Komitetu i warszawiakami; nastrój przeważał «pozytywny», nieufny względem wszystkiego, co pachło romantyzmem, ludzie się nie zapalali do niczego. Zaraz po wybuchu wojny położenie się zmieniło. U bardzo wielu ludzi zjawiło się poczucie wyjątkowości chwili, wymagającej wyjątkowych z naszej strony środków i akcji. Poczucie tej wyjątkowości chwili obecnie już jest wprost powszechnym. Na razie jednak odczuły tę wyjątkowość tylko gorętsze głowy. Przyznaję się, żem nie docenił w tym wypadku nastroju mas, a przeceniłem nieco nastrój sfer inteligenckich i burżuazyjnych. Rozumowałem mniej więcej w ten sposób. Faktem jest, że potrzebną jest koniecznie z naszej strony akcja jakakolwiek, hamulcowa czy podniecająca — ale w każdym razie akcja. Obojętne, bierne stanowisko dla nas jest na nic, bo, jeśli nie zaraz, to po pewnym czasie stracimy wpływ i znaczenie w społeczeństwie i masach. Do akcji potrzebna jest przede wszystkim moneta. Z tych sfer, do których kieszeni trafialiśmy dotąd, nie wyciągniemy większej monety, umożliwiającej nam szerszą robotę i organizację, zatem trzeba się udać tam, gdzieśmy dotąd nie sięgali, i spróbować zdobyć większą monetę. Odczuwałem, że trzeba przerobić organizację, zmobilizować większe siły organizatorskie i techniczne, a bez monety nicby się zrobić nie dało. Rozpocząłem więc odrazu w tym kierunku akcję, przy czym rozumiałem dobrze, że bez pewnego straszaka, bez pewnego gwałtu ludzie, do których się udałem, tej monety nie dadzą. Skorzystałem więc z paru wiadomości z prowincji o nastroju wśród chłopów i rzemieślników i zacząłem je usilnie kolportować, a przez odpowiednie stosunki nawiązałem romans z finansistami. Tu z nimi osobiście się nie widzia-

łem, poszedłem tylko do paru minorum gentium ze społecznymi tendencjami, którym przedstawiłem położenie i wymagałem monety. Szło to jak z kamienia. Straszak na ludzi niewątpliwie działał, robiono poważne miny, dawano po jakieś 50 rubli i amen. Interes rozpoczęty musiałem pozostawić, bo postanowiłem jechać do Pitra, aby tam zrobić ten sam huczek i eksperyment, a oprócz tego nabrać różnych wiadomości ze stolicy rządowej, by mieć coś w ręku dla opowiadania. Z tej akcji warszawskiej zyskałem trochę floty — bardzo mało — rozruszałem paru ludzi do tego interesu, zawiązałem i wzmocniłem stosunki i zależność od nas najrozmaitszych wpływowych inteligentów, którym zaimponowałem dostatecznie, by zmusić ich i nadal być powolnymi względem nas — no i tyle. Samą warszawską organizację zostawiłem prawie nietkniętą. Omówiłem tylko z Leonem [1]) w jakim kierunku ma nastąpić reorganizacja, — chodzi nam o stworzenie specjalnej organizacji ad hoc — organizacji na pół wojskowej, dającej się użyć do wszystkiego, karnej i dostatecznie sprężystej, by na nią liczyć można było. Trudno szło z tym na razie, bo organizatorzy warszawscy tak po uszy ugrzęźli w ekonomiźmie, fachowości i innych sprawach drobnych, tak szarością życia codziennego byli zahipnotyzowani, że z trudem oswajali się z myślą o czymś nowym, dotąd niewypróbowanym. Następnie przygotowałem odezwę, w której wobec nieokreśloności sytuacji i planów wyraziłem to, co przeprowadzałem w akcji — mianowicie wmawiałem, że chwila jest wyjątkowa, że przede wszystkim należy zwrócić uwagę na organizację, a wstrzymać się od lekkomyślnych kroków, któreby naruszały jedność wystąpień, że wreszcie organizacja musi mieć jako zadanie być w razie potrzeby kierownikiem ruchu, lub też odegrać rolę hamulca, gdy to będzie stosownym. Odezwa po drodze do Juliusza [2]) zawędrowała do Jana [3]), który zaopatrzył ją «pozytywno-głupimi» notatkami i radził Juliuszowi napisać inną, ta zaś małpa tym razem usłuchała i kropnęła odezwę [4]), którą już znacie, — anemiczną, bierną, nic nie mówiącą, z powodu której obecnie w Warszawie otrzymałem stosy pretensji, wymyślań, drwinek itd. i która po-

[1]) Bolesław Czarkowski — członek C. K. R. P. P. S.

[2]) Dr Feliks Perl — ówczesny redaktor «Robotnika», drukowanego tajnie w Rydze.

[3]) Dr Feliks Sachs, członek C. K. R. P. P. S.

[4]) Odezwa ta została przedrukowana następnie w «Przedświcie» (nr 2, 1904, str. 90—91). Sprawę tę J. Piłsudski omawia szeroko we «Wspomnieniu o Grzybowie».

dobała się jedynie tym sferom, na które urządzałem nagonkę ze straszakiem, oraz endekom. W Pitrze spotkało mię już fiasco w sferach finansowych. Z jednej strony proponowano mi kupić partię z warunkiem, by mieć decyzję na postępowanie polityczne nasze — naturalnie w kierunku utrzymania spokoju, z drugiej zapewniano mię, że przeceniam sytuację, albowiem manifestacje rosyjskie [1]) nie spotkały się z odporem z naszej strony. Tu wypuściliśmy atut z ręki. Trochę się zawahał w tym wypadku Leon, trochę wypadki zaskoczyły nas, a najbardziej organizacja była za mało sprężystą, by ją odrazu wyprowadzić na ulicę, i stał się fakt paskudny, który, o ile rozgoryczył robociarzy i zrobił ich chętnymi do wystąpienia, o tyle zniechęcił trochę inteligencję, a dalsze sfery zrobił spokojniejszymi o przyszłość. Teraz to się nie powtórzy. W niedzielę już wstrzymaliśmy przygotowaną manifestację patriotyczną i urządziliśmy coś w rodzaju swojej, ale o tym potem. Obecnie sytuacja jest taka. Organizacja w Warszawie prawie na ukończeniu — stworzenie, oprócz istniejącej — nowej bojowej, obowiązanej do karności i posłuszeństwa, sprężystość jej dotąd niewypróbowana, ale na papierze wygląda dostatecznie szybką — wypróbujemy ją i postaramy się z niej zorganizować swoją policję, by tej organizacji dać robotę. Studenteria — tę dopiero rozpoczynamy organizować w kadry — podzielić ją na działy i w części zepchnąć na nią robotę ekonomiczno-fachową, w części technikę, wreszcie, by mieć ją w garści dla wystąpień. Inteligencja — ta źle stoi jeszcze, tylko planuję, jak ją organizować, dotąd wyższa inteligencja leży na mnie jednym, mniejsza czeka na organizatora. Na prowincji — w starych organizacjach przebudowa idzie szybko, w nowych nie tak śpiesznie, bo materiału do budowy brak, a i ludzi do prowadzenia organizacji też. Plan nasz — zmobilizować sztab, centrum ulokalizować w Warszawie, tak, by było zawsze na miejscu, zmobilizować technikę i podoficerów ruchu, wytworzyć z tego organizację karną z raportami, rozkazami dziennymi itd. Szerzej o tem pisać tym czasem nie chcę. Nastrój — wśród mas wzrasta rewolucyjność — z prowincji obecnie danych nie mam, mówię tylko o Warszawie — i to dosyć gwałtownie, wśród inteligencji istnieje szukanie pana nad sobą, pana silnego, a wśród burżuazji lekki przestrach, ale i nadzieja, że spokój będzie utrzymany. Charakterystyczne jest, że ugodowcy po-

[1]) Mowa tu o manifestacjach «patriotycznych», urządzanych w Warszawie i innych miastach Królestwa przez policję i młodzież rosyjską.

wstrzymują swe skrajne elementy od przejawów lojalizmu, by nie stworzyć kontragitacji i kontrwystąpień. Piltz jednak i Dobiecki agitują, by zbierać podpisy i adres wiernopoddańczy podać. Narodowi Demokraci prowadzą chytrą politykę, dosyć dla nich zgubną. Każą siedzieć cicho — to publicznie, a po kątach mrugają na swoich, że przygotowują jakąś akcję, względem PPS. występują obecnie miękko, jeśli okażemy się gorętszymi, lepsze żywioły napewno odpadną. Plany nasze — podniecić obecnie nastrój i najrozmaitszymi kawałami zmyć brud manifestacji patriotyczno-rosyjskich, zarazem posłużyłoby to do zyskania na wpływie, przypieczenia «tołstosumów» i uczynienia ludzi, jednych skłonniejszymi do poddania się naszymu kierownictwu, drugich — do pertraktowania z nami. Prasa — w «Robie» [1]) będzie artykuł o wojnie ostrzejszy, zawierający te rzeczy, które zostały opuszczone przez niewydanie projektowanej odezwy. Prawdopodobnie damy drugą odezwę, potem drugi numer «Roba», i to wszystko na gwałt. Stawiamy nowe interesy [2]), by mieć pod ręką odezwy. Mamy zamiar w najprędszym czasie zacząć wydawać nadzwyczajne dodatki do «Roba» i «Przedświtu» o wojnie, w których dawalibyśmy te rzeczy, które przez cenzurę nie puszczono, i przeglądy polityczne krajowe i zagraniczne. O tym tym czasem sza — bo się boję, by endecy nie ubiegli nas. O tym z wami pomówię w najbliższym czasie. Ważną placówką jest «Naprzód». Plany moje korespondencyjne rozbiły się — jeden z facetów ciężko zachorował, drugi musiał wyjechać. Zostałem więc bez pomocy. Tym czasem dawać robione korespondy, a z czasem od drugiej połowy marca zorganizuję stałą pocztę i stałą raz albo dwa razy na tydzień komunikację z wami i «Naprzodem». W «Naprzodzie» robić wojowniczy ton koniecznie, wskazywać na konieczność akcji politycznej przeciw Rosji, starać się o stosunki z innymi partiami socjalistycznymi w Niemczech i tak dalej i tak choć trochę prasę inspirować. Stosunki z innymi organizacjami — z Bundem mieliśmy rozmowę, ci nie odczuwają powagi pozycji, ale bodaj że dadzą się sprowokować, biorą ich okropnie raz po raz dziesiątkami i setkami, komitety ich w Warszawie i Wilnie zabrane w czasie zebrań. Ma się odbyć druga randka, gdy dadzą odpowiedź na to, czy będą szli z nami przy wystąpieniach ręka w rękę z tym samym celem, co i my, nie zaznaczając

---

[1]) «Rob» — «Robotnik». Mowa tu o artykule w nrze 54 (5. III). «Kilka słów z powodu wojny».

[2]) Nowe podręczne drukarnie odezwowe.

odrębności politycznych ideałów i dążeń. Że sprowokować się dadzą nie jako organizacja, ale jako ludzie, tegom pewien. Z Litewską Socjalną Demokracją, Białorusią i Łotyszami — mamy wydać wspólną odezwę z powodu wojny i postaramy się, by te stosunki utrwaliły się na zawsze jako coś ogólnego; sądząc z nastroju Litewskiej Socjalnej Demokracji to zupełnie możliwe, mają oni duże stosunki na wsi, co bardzo ważne, z Łotyszami nawiązujemy stosunki przez nich. Z Finlandią robimy próby nawiązania czegoś, tam nastrój cichy — cieszą się z przegranej Rosji, lecz jeszcze na to nie rachują. Komunikowali nam, że Anglia pytała wybitniejszych przedstawicieli opozycji, co zamierzają czynić w razie wojny Anglii z Rosją, odpowiedzieli, że sympatie ich są po stronie Anglii, ale czynnej pomocy nie obiecują. Proletariat — okropnie się zasypał, brano ich kupkami cały czas, nawet żandarmi przy badaniach mówią następującą formułkę o Proletariacie (autentyczne): «*Tak kak Proletariat nie nachodit opory w swojej agitacji w sriedie raboczich, to on riesził wospitat' mołodioż*» [1]). Socjaldemokracja milczy i prawdopodobnie zrobi klapę zupełną. Wreszcie Rosja — Socjaliści Rewolucjoniści wybrani strasznie. Jakoby Kaczura, który strzelał do Oboleńskiego [2]), zasypał ich najlepsze siły. 18 lutego starego stylu ma być sąd nad 8 facetami w Petersburgu, mają być dwa wyroki śmierci. Sił nie mają esdecy. Są anemiczni, jak to spostrzeżecie z odezwy załączonej. Patriotyzm bez wątpienia wzrasta, podsycany przez legalne pisma, czytane obecnie przez wszystkich, kto sylabizować umie. Ani jedno, literalnie ani jedno pismo nie zajęło jako tako przyzwoitego, chociażby biernego stanowiska. Naturalnie to wpływać musi. Próbują urządzać coś w rodzaju kontrmanifestacji, ale słabo to idzie, chociaż kursa bestużewskie [3]) są zamknięte za protest przeciwko wiernopoddańczym uczuciom, wyrażonym w imieniu kursów przez rektora. Rusini — dobrze się popisują, zajmują stanowi-

[1]) Ponieważ Proletariat nie znajduje oparcia w swej agitacji w sferze robotniczej, więc postanowił wychować młodzież.

[2]) Zamach, dokonany dn. 11 sierpnia 1902 r. w Charkowie na gubernatora ks. I. M. Oboleńskiego w odwet za krwawe tłumienie przezeń rozruchów chłopskich na tle agrarnym. Zamach dokonany przez członka Organizacji Bojowej Partii Socjalistów-Rewolucjonistów robotnika pochodzenia chłopskiego, Tomasza Kaczurę, nie udał się, Oboleński został lekko kontuzjonowany kulą rewolwerową. Sprawcą zamachu ujęty na miejscu, załamał się w śledztwie, skutkiem czego otrzymał względnie łagodny wyrok.

[3]) Prywatny uniwersytet dla kobiet imienia Bestużewa-Rjumina z prawami zakładów państwowych.

sko ultrarewolucyjne, mają stosunki z Litewską Socjalną Demokracją, przez nich trafimy do nich. Wreszcie moneta — z tym gorzej. Ożywienie odbiło się na większych wpływach niż dotąd, ale to idzie na zwiększone wydatki. Budżet nasz wzrosnąć musiał odrazu, gdy niedawno, układając budżet miesięczny (Komisja Wykonawcza), liczyliśmy wydatki na 600—700 rubli, teraz już drugi budżet wynosi — 1300—1400 rubli. W tym miesiącu wyznaczyliśmy 150 rubli dla was, które wyślę wkrótce, albo sam przywiozę. Trzeba teraz z monetą przeczekać chwilę, wytężając wszystkie siły, aż się wytworzy pewien nastrój, który się da zlikwidować w postaci monetarnej — w tysiącach, tak jak teraz go likwidujemy w dziesiątkach, najwyżej setkach. To tyle o sytuacji, teraz parę interesów, a potem materiały, z których zrobić trzeba korespondencje do «Naprzodu». Promieniści [1]) proszą, by nie używać adresu administracji «Kraju» [2]), jaki był dany, bo adres się zasypał. Warszawa pyta, czemu Leon [3]) nie zużył adresu dla posyłania wprost listów i poszczególnych numerów przez wrzucanie na odpowiedni adres do kuriera na Warszawę. Facet chodzi i chodzi, czekając, by taki list przyszedł, i dotąd go niema. Jerzy [4]) mi mówił, że z Leonem o to się umówił zupełnie porządnie.

Więcej interesów nie mam. Aha — prosiłem o adres Dębskiego [5]). Otóż facet, co ten list zawiezie w niedzielę, w poniedziałek wieczorem zajdzie do tego samego miejsca, gdzie list ten zostawi. Dajcie mu tam adres Dębskiego w Ameryce. Potrzebny mi jest dla dania go facetowi, jadącemu do Ameryki, zarazem napiszcie do niego, że, jeżeli otrzyma z Europy depeszę, żeby spotkać na takim i takim okręcie takiego a takiego — jak będzie podpisana depesza, niech go spotka i zaopiekuje się facetem. Jest to mój dobry znajomy i towarzysz, który nieraz nam usługi oddawał. Jedzie w interesie prywatnym. Facet, co list przywiezie, to zwykły sympatyk.

Ziuk.

Teraz materiały do korespond. Będą nieporządnie ułożone, bo czasu mam niewiele. Z placu boju — z tych notatek

[1]) Organizacja młodzieży polskiej w Petersburgu, odbierająca «Promień» — pismo lwowskie dla młodzieży.

[2]) Petersburskie pismo ugodowe; wysyłane pod adresem jego administracji druki nie budziły poważniejszych podejrzeń.

[3]) Leon Wasilewski w Krakowie.

[4]) Adam Bujno, członek C. K. R. P. P. S.

[5]) Aleksander Dębski — członek Oddziału Zagranicznego P. P. S., przebywający w Nowym Jorku.

możecie ułożyć albo jaką korespondę od żołnierza, albo też od faceta jakiego stamtąd, wiadomości są autentyczne i zupełnie wiarogodne, niektóre z nich ze źródeł urzędowych, inne z listów.

Rosja do wojny nie przygotowywała się na serio. Na dziesięć dni przed wybuchem wojny w Mandżurii ogólnym zdaniem było, że «*Japoncy nie posmiejut atakowat' Rossiju*» [1]). W Porcie Artura zapasów węgla niema, w admiralicji Stark kradł tak dobrze, że w eskadrze przy wypłynięciu brakowało wszystkiego — zapasowych części statków, łodzi, nabojów et caetera, został obecnie za to wyrzucony. Żywność otrzymywali przeważnie morzem z Ameryki i Odesy z wyjątkiem mięsa, które szło z Mongolii, sąsiedniej prowincji. Mieszkań nie ma — żołnierze nieraz mieszkają w wagonach kolejowych, które wprost zabierają od kolei, która w ten sposób traci tabor, albo na mrozie nocują w namiotach na gołym polu. Czytałem list jednego żołnierza do swego stryja, list pisany na parę tygodni przed wybuchem wojny, — skarży się tam na brak pożywienia i dobrego mieszkania, — z jego to listu biorę rzecz o namiotach, — następnie zaś mówi: «Wojsko nasze topnieje, ludzie jeden za drugim znikają, tak, że nie wiemy, gdzie się podziewają», — prawdopodobnie idą na maruderkę lub giną pojedynczo z rąk chunchuzów. Co do przewozu wojska i zapasów wojskowych. Utworzone są dwie komisje: jedna intendentury, druga transportu wojska. Dwie te komisje zwyczajem rosyjskim kłócą się pomiędzy sobą i podstawiają sobie nogę. Tak druga komisja w czasie mobilizacji Syberii nakazała wyrzucić na stacje z pociągów transporty intendentury i napełniła wagony — naturalnie nieopalane — żołnierzami, wysyłając ich na wschód. Z tymi wagonami zdarzyła się brzydka historia. Pierwsze transporty wojska wysłano bez ciepłej odzieży w nieopalanych wagonach. Skutek był taki, że z pociągów wyciągano potem mnóstwo trupów lub kalek z odmrożonymi rękami, nogami lub innymi członkami ciała. W jednym pociągu znaleziono literalnie dwa wagony (80 ludzi) zamarzłych na śmierć żołnierzy. Obecnie na gwałt przerabiają wagony towarowe na wojskowe — obijając je wojłokiem wewnątrz i wstawiając okienka. Powołanie tak wielkiej ilości lekarzy z całej Rosji — przy czym brano głównie Żydów i Polaków — tłumaczy się tym, że liczba chorych w armii czynnej oraz transportowanej przerażająco wzrasta. W akademii generalnego sztabu jakiś pułkownik miał

[1]) Japończycy nie odważą się zaatakować Rosji.

wykład o tej wojnie — przy czym wyliczył, że przy obecnych środkach transportowych Rosja może co tydzień wysyłać na plac boju 5 tysięcy ludzi najwyżej, że dla utrzymania ścisłego kontaktu bazy operacyjnej, jaką bez wątpienia jest europejska część państwa, z tak dalekim terenem walki należałoby mieć 5 torów kolejowych, a nie jeden, jak jest obecnie.

Manifestacje patriotyczne, jak dotąd, są robione sztucznie, albo przez młodzież gimnazjalną, podniecaną przez profesorów i prowadzoną przez nich, albo przez «lumpen» najgorszego gatunku, widzącą w tem możność łatwej kradzieży. W Petersburgu i Kijowie, a prawdopodobnie i w innych miastach, złodzieje i rzezimieszki korzystają z okazji. Zanotowano, że nieraz przy podrzucaniu oficerów na hurra znikały im zegarki i pieniądze. W Petersburgu wprost zakazano tej zabawki. W Odesie «gradonaczalnik» nakazał zaprzestać manifestacyj patriotycznych. U nas zato «naczalstwo» w gimnazjach wciąż pali do Rosjan sztubaków specjalne mowy — lekcje upływają nieraz na czytaniu gazet i gawędach politycznych. W zeszłą niedzielę miała być urządzona manifestacja patriotyczna w Warszawie przy wyjściu z cerkwi na Miodowej. My w sobotę dowiedzieliśmy się o tem i zdążyliśmy zmobilizować swoich ludzi, by temu przeszkodzić. Dowiedzieli się o tym i ugodowcy. Zaraz jazda do zamku zaklinać Czertkowa [1]) i jego dyrektora kancelarii, Mienkina, żeby nie prowokować ludności. Mienkin dumnie odpowiedział, że «u nas na to sztyki jest» [2]), ale jednak manifestacji zaniechano. Nasi zebrali się z kijami na Miodowej i Krakowskiem. Czekali długo, lecz manifestacji nie było. Na wszelki wypadek — wobec tego, że raz taką manifestację urządzono po południu na Marszałkowskiej — uradzono zejść się po obiedzie tam. Po południu zebrało się dużo ludzi na Marszałkowskiej po obu stronach ulicy z kijami w ręku. Było dużo Żydów-robotników i — z uznaniem to podnieść należy — bundowców, którzy przyszli pomóc swym towarzyszom z PPS. w tym wypadku. Manifestacji nie było i w tym czasie. Ludzie, znudzeni oczekiwaniem, postanowili sami zamanifestować. Zaczęto śpiewać «Czerwony Sztandar» i «Warszawiankę». Śpiew brzmiał to tu, to ówdzie, uformowało się coś w rodzaju pochodu z kilkuset ludzi, — do tysiąca, — i to ruszyło ku Królewskiej, potem na Graniczną ku Karmelickiej. Śpiewano, wnoszono okrzyki na cześć PPS., republiki polskiej demokratycznej, niepodległości

[1]) Czertkow — generał-gubernator Królestwa Polskiego.
[2]) Mamy na to bagnety.

Polski, przy spotkaniu z oficerami krzyczano: «Precz z militaryzmem!» Tragiczny wypadek ze stróżem miał miejsce w sposób następujący. Stójkowy chciał wstrzymać pochód, lecz sam się nie odważył, a zachęcał stróża do tego. Stróż nie chciał iść z nim. Stójkowy zaczął go bić. Na to podbiegła doń kupka manifestantów i poczęła go tarmosić. Stójkowy wyjął pałasz, ludzie odskoczyli od niego i pomiędzy tłumem szmer głosów: «Czy nie ma rewolweru?» — na to obrońca porządku zmiękł i uciekł do bramy. Stamtąd zaś wyskoczył pomocnik stróża i z kijem w ręku i, krzycząc: «W imieniu cara rozchodźta się», rzucił się na tłum. Kij mu odebrano i odepchnięto. Chłop powrócił z poważnym drągiem w ręku i wołając: «Rozchodźta się w imieniu cara!», wówczas go ktoś uderzył szydłem czy nożem. Chłop dobiegł do bramy i upadł, umarł.

Na miejsce Lichaczowa [1]) ma być Chrzanowski, policmajster z Łodzi, albo Karnakowski, naczelnik żandarmów kolejowych. Na miejsce Fułłona jedni mówią: nikt, tj. że będzie zniesiona ta posada, inni, że ma być Markgrafskij, dotychczasowy pomocnik Fułłona. Ta druga wersja świadczyłaby o chęci ugody, bo to jest pułkownik publicysta w ugodowym kierunku. Rosjanie puszczają wszędzie pogłoski o tym, że car chce zrobić ustępstwa Polakom, że ma być Polak namiestnikiem, że, jeśli tu sprowadzą wojsko, to dla obrony od Niemców, którzy chcą okupować Królestwo, a przynajmniej lewy brzeg Wisły. Zarazem rząd wymaga, by na kolei wiedeńskiej powiększono procent służby Moskali. Ustanawia się stan oblężenia po cichu. W Warszawie i miastach wzmocniono etat stróżów kamienicznych. W Warszawie nakazano im dyżurować na ulicach jak stójkowym. Dyżur następujący: od każdych 10 domów — 5 z jednej strony i 5 z drugiej — od 6 rano do 1 w dzień jeden, od 1 do 6 wieczór drugi chodzić musi po ulicy, nie ma prawa usiąść, ani rozmawiać z kimkolwiek — gorzej niż żołnierze na «karaule» [2]), bo ci dyżurują zaledwie 3—4 godziny. Mają dbać o to, by ludzie z pakunkami nie wchodzili do domów, i nie pozwalać, by na ulicach zatrzymywano się więcej niż po 3 osoby. O 5 rano każdy z nich musi obejrzeć swą kamienicę — wszystkie schody, piwnice i strychy i zrana złożyć raport o swej kamienicy. W miastach wzmocniono stróżów i dodano szpicli — w takim Sosnowcu przysłano 60 nowych szpicli. Po wsiach ustanowiono zastawy na drogach z soł-

---

[1]) Lichaczow — oberpolicmajster Warszawy. Fułłon — pomocnik generał-gubernatora do spraw policyjnych.

[2]) Na warcie.

tysów i chłopów, którzy mają badać przejezdnych o paszporty, po co jadą itd.

Wyznaczono zaraz po wojnie 1.800 tysięcy na «usilenje diepartamienta policji» [1]) i mianowano 36 nowych oficerów żandarmerii z odpowiednią ilością podoficerów.

Ugodowcy. Zaraz po wojnie Radziwiłł Maciej i Wielopolski udali się do Zamku, składając czołobitność w imieniu Polaków. Czertków odpowiedział, że oni jako «pridwornyje cziny» [2]) są do tego obowiązani, że dla takiej drobnostki cara fatygować nie warto, ale, gdyby tak złożono adres z odpowiednią ilością podpisów, to miałoby znaczenie i przyjętoby w Pitrze z przyjemnością.

Wobec tego Dobiecki na posiedzeniu dyrekcji ogólnej Towarzystwa Kredytowego zaproponował złożenie takiego adresu w imieniu Polaków — Górski, również ugodowiec, sprzeciwił się temu, i rozpoczęto narady, przyjechał Piltz i zaczęto na gwałt radzić. Myślano o urządzeniu oddziału Czerwonego Krzyża polskiego z szarytkami i kapłanami polskimi, wobec tego, że ilość Polaków dochodzi w wojsku w Mandżurii do 35%. Radzono o adresie. Dotąd nic nie postanowiono, bo umiarkowańsi obawiają się kontrmanifestacji. Zbierano się dwa razy, 21 i 22 lutego, drugi raz u Czetwertyńskiego w tej sprawie. Głównymi agitatorami tej sprawy są Dobiecki, Piltz i Skarżyński. Ugodowcy mocno zmiękli i szukają nawet porozumienia się z nami.

Główną obawą wszystkich stronnictw jest mobilizacja, która, gdyby była przeprowadzona, doprowadziłaby przy obecnym nastroju do krwawych rozruchów i gwałtów z obydwóch stron — rosyjskiej i polskiej. Wśród mas obecnie to główne pytanie, czy organizacje są gotowe na wypadek mobilizacji, bo ludzie sobie postanowili, że nie pójdą i bić się będą chociażby bez nadziei zwycięstwa.

Dosyć.

Z.

---

[1]) Na wzmocnienie Departamentu Policji.
[2]) Urzędnicy dworscy.

MEMORIAŁ ZŁOŻONY MINISTERSTWU SPRAW ZAGRANICZNYCH W TOKIO

Memoriał ten został opracowany przez J. Piłsudskiego w drodze z Europy poprzez Amerykę do Tokio w lecie 1904 i wręczony 13. VII. urzędnikowi japońskiego ministerstwa spraw zagranicznych w Tokio. Podstawą do umieszczenia tego memoriału w tomie niniejszym było szczegółowe jego streszczenie przez Władysława Pobóg-Malinowskiego w książce «Józef Piłsudski 1901—1908. W ogniu rewolucji», str. 198—203. Tu memoriał podajemy w brzmieniu dosłownym z odpisu ze zbiorów L. Wasilewskiego.

Rosja tylko na pozór jest państwem jednolitym, w istocie zaś tej jednolitości nie ma.

Największa jednolitość istnieje bodaj pod względem religijnym. Mianowicie prawie $^2/_3$ części całej ludności jest prawosławną. Cyfrę tę znacznie zmniejszyć należy, gdyż wielu zapisanych oficjalnie jako prawosławni nie są nimi wcale, jak np. większość półdzikich plemion w Syberii i północnej Rosji, jak część Polaków i Rusinów, gwałtem nawróconych na prawosławie, a trzymających się wyznania katolickiego itd. Zresztą wzgląd religijny, nie odgrywa wśród prawosławnych wielkiej roli, z wyjątkiem może jedynie Rusinów nie przyczynia się do zatarcia różnic, istniejących pomiędzy różnymi częściami ludności.

Pod względem narodowościowym ta jednolitość państwa zanika prawie zupełnie. Gdy bowiem z pomiędzy 126 milionów ludności, 79 milionów oficjalnie wyznaje religię prawosławną, to z pomiędzy owych 79 milionów nie wszyscy są Rosjanami z narodowości. Odjąćby tu trzeba 15—18 milionów Rusinów, 2—3 milionów Gruzinów i Ormian prawosławnych, 1—2 milionów półdzikich plemion, zapisanych na prawosławie, nie odgrywających żadnej roli w sprawach państwowych, wreszcie do miliona katolików w Polsce i na Litwie, gwałtem na prawosławie nawróconych i z powodu tego gwałtu usposobionych ogromnie opozycyjnie względem rządu. Słowem, istotnych Rosjan w państwie cara nie ma ponad 57—59 milionów, czyli mniej niż połowa całej ludności. Co prawda razem w ogromnej rzeszy narodów, stanowiących 126-milionową ilość poddanych cara Rosji, nie są najliczniejsi, gdyż inne narodowości, z wyjątkiem (15—16 milionów) Rusinów i (12—13 milionów) Polaków nie dochodzą nawet do 10 milionów, stanowiąc niewielki odsetek całej ludności, lecz okoliczność ta po-

większa jeszcze bardziej pstrokaciznę narodowościową, zmniejszając jednolitość państwową.

Już same różnice narodowościowe stanowią o różnicy kulturalnej. Lecz te ostatnie powiększają się jeszcze bardziej przez różnice w stopniu kultury ogólno-ludzkiej, osiągniętej przez każdą z narodowości. Mamy więc na zachodzie Polskę, Litwę, Łotwę i Finlandię — kraje w zupełnym tego słowa znaczeniu kultury ogólno-europejskiej, o zupełnie odmiennej strukturze społecznej, niż u Rosjan, a tym bardziej u dalej na wschód wysuniętych Tatarów lub licznych narodów Syberii i Azji Środkowej. W samej Rosji rozwój handlu i przemysłu stworzył duże ośrodki ludności, miasta i okolice przemysłowe, żyjące zupełnie odmiennym życiem niż wschodnie lub południowo-wschodnie części państwa. A przy ciemnocie ludu, przy ograniczających przenoszenie się z miejsca na miejsce prawach, przy braku życia politycznego w społeczeństwie, przy dużych przestrzeniach i przy braku komunikacji zlewanie się całej ludności nawet rosyjskiej w jedno idzie powoli i z trudnością.

Dodać do tego należy, że przeważna część państwa została przyłączona do imperium mocą podboju i wcielania gwałtem krajów i narodów, które przed tym żyły innym życiem, zupełnie od rosyjskiego odmiennym. Różnice więc w tradycjach historycznych oraz pamięć o gwałtach minionych i obecnych jeszcze bardziej pogłębia niejednolitość państwa carskiego.

Ten brak jednolitości w państwie stanowi główną słabość jego — jego piętę Achillesa, punkt, na który wszyscy wrogowie państwa rosyjskiego bić powinni, gdyż z tej strony jest ono najbardziej «vulnerable». Odczuwa to doskonale rząd carski i osią jego polityki wewnętrznej jest polityka rusyfikacyjna, polityka, wiodąca do zlania całego imperium w jedną stumilionową masę Rosjan, prowadząca do zatarcia różnic kulturalno-narodowościowych pomiędzy poddanymi cara. Polityka ta przeprowadzana jest z całą konsekwencją wszędzie na całej przestrzeni państwa, jak w ludnych miastach Polski, tak zarówno w stepach Syberii i pustyniach Azji Środkowej. Wszędzie tam wszelkimi środkami jest rozpowszechniane prawosławie, narzucaną jest kultura rosyjska, a sami Rosjanie otrzymują przywileje w porównaniu z ludnością rdzennie miejscową.

Polityka ta, rzecz prosta, jest źródłem ciągłego niezadowolenia wśród ludności nierosyjskiej, poddanej operacji rusyfikacyjno-prawosławnej. A że kultura rosyjska pod rządami cara nie ma dla większości narodów siły atrakcyjnej, że ostat-

nie stulecie doprowadza najmniejsze narodowości do świadomości swej odrębności i swego istnienia, że wreszcie rusyfikacja prowadzona jest w sposób okrutny i barbarzyński, więc niezadowolenie to coraz bardziej wzrasta i budzić się zaczyna w ostatnich latach wśród narodów, które do niedawnego czasu go nie okazywały — jak u Ormian, Gruzinów, Rusinów i Białorusinów, nie mówiąc o Finlandii, która dopiero świeżo stała się obiektem polityki rusyfikacyjnej.

Nie wszystkie jednak niezadowolenia narodowościowe są jednakowej wartości, jako siła rozkładowa państwa rosyjskiego. Niektóre narody są tak nieznaczne pod względem siły liczebnej, inne mają tak słabe napięcie narodowościowe, że sprawić mogą zaledwie mały, łatwo usuwalny kłopot dla rządu centralnego. Takim jest np. niezadowolenie, istniejące bez wątpienia wśród wielu plemion Azji — Buriatów, Kirgizów, Jakutów itd. Plemiona te nie są dotąd zdolne do trwałej zorganizowanej walki ze swym wrogiem. Prawie takie same jest napięcie ducha opozycyjnego wśród Rusinów i Białorusinów. Wśród tych ostatnich wyróżnić należy część katolicką (ze 3—4 milionów), która ze względów prześladowań religijnych oraz wpływów polskich przedstawia bardziej niebezpieczny dla rządu materiał wybuchowy. Ci — Rusini i Białorusini — znajdują się dopiero w początkowych stadiach rozwoju opozycyjnego i nie są zdolni dotąd do walki o swoje prawa, chociaż niezadowolenie, istniejące bez wątpienia wśród nich, może być wyzyskane przy pewnych warunkach przez innych jako narzędzie w walce z centralizmem rosyjskim.

Pozostają więc jako siła opozycyjna: Polacy, Litwini, katolicy Białorusini, Łotysze, Finlandczycy, Ormianie i Gruzini. Wszystkie te narody srodze cierpią z powodu polityki rusyfikacyjnej, która łamie i niszczy wszystko to, co stanowi ich dobytek kulturalny, wszystkie też uważają rząd rosyjski za obcy, gwałtem narzucony sobie, a z powodu swej względnej kulturalności, nieraz wyższej w porównaniu z najeźdźcami, są zdolne do wytworzenia stałej opozycji rządowi centralnemu, opozycji, która przy sprzyjającej okoliczności może rozbić państwo carskie, odrywając odeń poważną część dotychczasowego dominium.

Lecz, chcąc dokładnie ocenić nastroje opozycyjne tych narodowości, trzeba znać bardziej szczegółowo stan ich i stosunek do centralizmu rosyjskiego.

Pod tym względem wszystkie te narody dadzą się podzielić na dwie grupy — narodów historycznych i niehistorycznych, tj. takich, które mają tradycję historyczną samodziel-

nego życia lub łączności z danym państwem i takich, które jej nie posiadają. Rzecz prosta, że w pierwszych myśl polityczna musi być wyraźniejszą, opozycja silniejszą, a struktura społeczna dawać więcej rękojmi wytrzymałości i zdolności do walki niż w przeciwnym wypadku.

Narodami historycznymi są: Polacy, Finlandczycy, Gruzini i w niewielkim stopniu Ormianie. Litwini zaś, Białorusini i Łotysze nie mogą w walce z imperium stanowić siły samodzielnej i w istocie albo poddają się wpływom polskim, albo też zdobywają się jedynie na opozycję cichą, marząc zaledwie o pewnych swobodach narodowościowych w łonie imperium rosyjskiego, bez chęci oddzielenia się zupełnego od państwa i samodzielnego istnienia. Zresztą wśród Litwinów i Białorusinów wpływy polskie są tak duże — stanowili oni niegdyś część składową Rzeczypospolitej Polskiej — że wszystkie dotychczasowe powstania polskie znajdowały swe odbicie na Litwie i Białorusi, a i dotąd każda organizacja rewolucyjna polska ma swe oparcie w obydwóch tych krajach.

Żydzi stanowią pod tym względem grupę zupełnie osobną. Część ich, w Polsce będąca, podlega wpływom polskim — i dzieli losy Polski, inni — litewscy i rosyjscy — o ile są opozycyjnie nastrojeni, albo nawet rewolucyjnie, w większości wypadków wchodzą w skład opozycji i rewolucji rosyjskiej, stanowiąc wśród niej poważny odsetek (w niektórych latach Żydzi stanowią 70% wszystkich pociągniętych do odpowiedzialności za sprawy polityczne w Rosji właściwej), zresztą można być pewnym, że ostre niezadowolenie z rządów carskich wsród Żydów jest obecnie z powodu prześladowań tak silne, że każda poważniejsza opozycja może liczyć na nich jako na siłę przeciwrządową, i przypuszczać trzeba, że w razie rozwoju wypadków w kierunku rozbicia państwa carskiego Żydzi będą nie po stronie tego ostatniego.

Więc głównymi czynnikami rozkładowymi państwa rosyjskiego są: — Polska, Finlandia i Kaukaz, a raczej dwa główne jego narody Gruzini i Ormianie. Przy tym zauważyć należy, że wpływy polskie są decydujące na Litwie i katolickiej Białorusi (gubernie: Grodzieńska, Kowieńska, Wileńska, Mińska i w pewnej mierze Witebska i Mohilewska), a Gruzini i Ormianie mogą mieć wpływy na półdzikie plemiona górskie na Kaukazie.

Z pomiędzy tych czynników na pierwszym planie należy postawić bezwzględnie Polskę, a to dla następujących powodów: 1) Polacy liczebnie przewyższają inne z wymienionych narodów; mianowicie liczba Polaków w Rosji dochodzi do

12 milionów, lecz, gdy się do nich doliczy Litwinów i Białorusinów, część Żydów i Łotyszów, którzy już są albo też mogą być wciągnięci do ruchu przeciw Rosji, to liczbę tę powiększyć należy prawie o drugie tyle. 2) Polacy z pomiędzy tych narodów mają najwyższe aspiracje polityczne, najbardziej są w walce z Rosją zaangażowani i najdalej posuwają swą bezwzględną wrogość w stosunku do państwa rosyjskiego. 3) Polacy mają ogromne doświadczenie rewolucyjno-organizatorskie, nabyte w stuletniej walce z Rosją, czego brak jak Finlandii, tak Kaukazowi. 4) Już obecnie ruch rewolucyjny w Polsce stanowi poważną zorganizowaną siłę, gdy w innych wymienionych krajach pozostał on znacznie w tyle w porównaniu z Polską. 5) Wreszcie Polacy będąc najsilniejsi ilościowo i obok Finlandczyków najbardziej kulturalni z pomiędzy wszystkich podbitych narodów, stanowią kulturalny ich łącznik, tym bardziej, że jedynie Polacy są w mniejszej lub większej ilości rozsypani wszędzie w państwie, czy to jako kupcy, inżynierowie i rzemieślnicy, czy też nawet jako urzędnicy państwowi i oficerowie armii.

Wtedy więc, gdy inne narody samodzielnie mogą zdobyć się jedynie na opozycję rządowi, na stawianie mu przeszkód w polityce i sprawianie kłopotów, jedynie Polacy potrafią doprowadzić wypadki do otwartej walki i pociągnąć za sobą resztę podbitych przez Rosję narodowości.

Dodać do tego wszystkiego trzeba, że Polska i Litwa stanowią dla państwa rosyjskiego bardzo poważny czynnik ekonomiczno-finansowy. Z podatków, wybieranych z tych krajów, nie tylko utrzymuje się cały zarząd administracyjny kraju, lecz i liczne wojsko, stacjonowane tam (prawie połowa armii rosyjskiej: 10 korpusów i prawie cała kawaleria, przy czym utrzymanie wojska jest tam na stopie, bardziej zbliżonej do wojennej, niż w samej Rosji), a oprócz tego do 100 milionów czystego zysku idzie do kas centralnych.

Ta siła Polski i jej znaczenie wśród części składowych państwa rosyjskiego daje nam śmiałość stawiania sobie jako celu politycznego — r o z b i c i e p a ń s t w a r o s y j s k i e g o n a g ł ó w n e c z ę ś c i s k ł a d o w e i u s a m o w o l n i e n i e p r z e m o c ą w c i e l o n y c h w s k ł a d i m p e r i u m k r a j ó w. Uważamy to nie tylko jako spełnienie kulturalnych dążeń naszej ojczyzny do samodzielnego bytu, lecz i jako gwarancję tego bytu, gdyż Rosja, pozbawiona swych podbojów, będzie o tyle osłabiona, że przestanie być groźnym i niebezpiecznym sąsiadem.

Stawiając sobie ten poważny cel, partia nasza zdaje sobie

jasno sprawę, że uskutecznić go inaczej, jak drogą rewolucyjną niepodobna, i uważa zatem obecną swą pracę, jako przygotowanie kraju do tej akcji w chwili odpowiedniej i do wyzyskania wszelkich możliwych okoliczności, jakie wypadki dziejowe jej nasuną.

Zaznaczyć tu należy, że w Polsce, jako w kraju ze starą kulturą, istnieją różne prądy społeczne, reprezentowane przez trzy partie polityczne — ugodową, narodowo-demokratyczną i socjalistyczną. Można z pewnością twierdzić, że w zasadzie wszystkie są za zupełną niepodległością ojczyzny i wszystkie są wrogo względem Rosji usposobione, a stuletnie prześladowania i ustawiczne walki z Rosją wyrobiły silną solidarność narodową, która w razie otwartej walki z odwiecznym wrogiem zmusi całe społeczeństwo, z wyjątkiem niewielkiej grupy zaprzedanych rządowi ludzi, do współdziałania z tymi, którzy obejmą kierownictwo ruchu rewolucyjnego. Lecz w obecnym czasie stronnictwa te rozmaicie się zapatrują na stosunek Polski do Rosji. Ugodowcy mają nadzieję uzyskania znacznych ulg w drodze uległości względem rządu, tak, że opozycyjne stronnictwa uważają ich za zauszników rządu. Wpływ ich wzrosnąć chyba w tym wypadku może, gdy rząd rosyjski zrobi jakieś poważniejsze ustępstwa narodowości polskiej. Narodowa Demokracja (tzw. Liga Polska) widzi wyjście w nawpół legalnym oporze rządowi i stawianiu mu przeszkód w jego zamiarach rusyfikacyjnych. Chcąc sobie pozyskać stronników rządowych, zaczęła ona w ostatnich czasach wyrzekać się zupełnie myśli zbrojnego powstania, co zraża do niej bardziej gorące żywioły. W obecnym czasie jest to organizacja opozycji przeciwko rządowi. Jedynie rewolucyjnym stronnictwem jest stronnictwo socjalistyczne, dążące wyraźnie, jak to zaznaczyliśmy, do rozbicia państwa rosyjskiego na drodze zbrojnej akcji Polski i Litwy przy współdziałaniu innych narodowości, przez Rosję podbitych.

W tym celu partia prowadzi obecnie następujące roboty:

I. We własnym kraju:

a) Budzi niezadowolenie z obecnych rządów wśród ludności i doprowadza je do największego napięcia przez stałą agitację za pomocą żywego i drukowanego słowa. Z dniem każdym liczba druków rozpowszechnianych wzrasta i obecnie doszła do 250 tysięcy egzemplarzy w ciągu zeszłego roku — ilość przy warunkach policyjnych rosyjskich ogromna i nieprześcignięta dotąd ani w przeszłości, ani w teraźniejszości przez żadną z partii rewolucyjnych i opozycyjnych w całym państwie rosyjskim.

b) Organizuje wyborowych ludzi w tajne organizacje i związki, które obecnie pokrywają swą siecią nie tylko miasta, gdzie robota jest łatwiejszą, ale sięgają w dużej części do wsi polskich *).

c) Wzmacnia związek organizacji polskich pomiędzy sobą na przestrzeni całej Polski, tj. związek z Polską austriacką i pruską.

II. Poza granicami kraju:

a) Budzi separatystyczne dążenia wśród narodów, podbitych przez Rosję. Pod wpływem naszej partii te dążenia wyraźnie się już zaznaczyły wśród Litwinów, Białorusinów, Łotyszów i Rusinów.

b) Podtrzymuje i wspiera, gdy zachodzi tego potrzeba, ruch rewolucyjny w samej Rosji.

c) Organizuje Polaków, będących na obczyźnie — czy to w państwie rosyjskim, czy też za granicami Rosji i Polski.

Do niedawna partia nasza nie przystępowała do bezpośrednich przygotowań się do czynnej akcji, uważając, że okoliczności nie były sprzyjające. Jako takie były uznane: 1) zawikłania wewnętrzne w Rosji, osłabiające jej potęgę i powagę i 2) zawikłania zewnętrzne, które przy stale zaborczej polityce Rosji musiały nastąpić.

Co do pierwszego przypuszczenia — to główną rolę odgrywałby ruch przeciwrządowy i rewolucyjny w samej Rosji. Ruch ten bez wątpienia w ostatnich latach wzmógł się ponownie i sprawia coraz więcej kłopotów rządowi. Jego głównym politycznym dążeniem — bez względu na frakcje, na które się on dzieli, jest zdobycie konstytucji i ograniczenie samowładzy cara i jego urzędników, która w istocie doprowadza kraj do ruiny i zguby. Wobec tego, że samowładztwo carskie ma głębokie korzenie w wierze i ciemnocie ludu rosyjskiego, wobec tego, że urzędnicy stanowią liczną klasę ludności, i ich interesy odgrywają dużą rolę w oświeceńszych warstwach rosyjskich, trudno przypuszczać, by urzeczywistnienie dążeń opozycji i rewolucji rosyjskiej odbyć się mogło na drodze pokojowej. Musiałaby nastąpić ostra walka między rządem a częścią poddanych niezadowolonych i my w tej walce moglibyśmy

*) Jak silnym jest już obecnie w Polsce niezadowolenie z rządów rosyjskich i jak daleko jest posunięta robota rewolucyjna, sądzić można z faktu, że obecnie w więzieniach przebywa więcej więźniów politycznych niż w czasach powstania 1863 r. Mianowicie wtedy, gdy w r. 1863 w całym kraju przeciętna dzienna więźniów politycznych wynosiła 269, obecnie dochodzi ona do 340 — z tego nieledwie $^3/_4$ są ludzie z naszych organizacyj.

wziąć udział. Zależnie od okoliczności: wystąpilibyśmy pod sztandarem albo zupełnego oderwania się od Rosji, co stanowiłoby urzeczywistnienie naszych dążeń politycznych, albo też, gdybyśmy się na to jeszcze zdobyć nie mogli, przechylilibyśmy zwycięstwo na stronę opozycji rosyjskiej, zdobywając dla swej ojczyzny możliwie daleko idące swobody polityczne i narodowościowe. Dotąd jednak trudno było poważnie brać w rachubę powyższe przypuszczenia, gdyż, pomimo szybkiego rozwoju ruchu rewolucyjnego w Rosji, nie posiadał on takiej siły, by móc wystąpić do otwartej walki i z wyjątkiem najskrajniejszych, lecz najsłabszych grup nie stawia sobie na razie takiego zadania, licząc bardziej na naturalny żywiołowy bieg rzeczy, zwiększający niezadowolenie z rządów carskich i sprowadzający rozkład samowładztwa, niż na własne siły i czynną walkę z carskim rządem.

Nie mało ważną przeszkodę w tym wypadku stanowi centralistyczne usposobienie, przeważające wśród opozycji rosyjskiej w stosunku do narodów nierosyjskich w imperium. Usposobienie to wzmogło się wraz ze wzmożeniem sił opozycji i nie pozwala na szczerą łączność pomiędzy wszystkimi siłami rewolucyjnymi Rosji. Doprowadziło ono nawet do oddzielenia się najwierniejszego dotąd czynnika opozycji rosyjskiej — Żydów (niepolskich) — z jej szeregów, a to z powodu negowania przez Rosjan odrębnych interesów, jakie bez wątpienia posiadają wszystkie narodowości nierosyjskie, podbite i do imperium wcielone. Wobec tego zaś, że zniesienie niejednolitości w państwie stanowi — jak to wyżej wskazano — oś polityki rządowej — niewyraźne, nieraz dwulicowe stanowisko opozycji rosyjskiej zmniejsza jej siłę wewnętrzną, zmniejszając jej opozycyjność z jednej strony, z drugiej zaś nie dając zupełnej gwarancji całości państwa dla wielu z opozycyjnie usposobionych poddanych cara.

Co do drugiego przypuszczenia — zawikłań zewnętrznych i wojny z innym mocarstwem — to dotąd były brane w rachubę jedynie mogące wyniknąć zawikłania europejskie, skoro jednak w ostatnich czasach tak starannie były usuwane przez mocarstwa, na razie przestały mieć dla nas znaczenie aktualne.

Lecz oto wybuchła wojna na wschodniej granicy imperium carskiego i w nasze rachuby zaczęła wchodzić siła dotąd nieobliczalna — Japonia. Wojna ta już obecnie wpłynęła na stan wewnętrzny państwo rosyjskiego, przyśpieszając, jak nam się zdaje, jego rozkład. Wśród opozycji rosyjskiej zapanowało jak gdyby pewne przygnębienie i niechęć do otwartego wystąpienia przeciw rządowi. Patriotyzm wśród Rosjan, przez

wojnę podniecony i przez rząd jeszcze bardziej rozdmuchiwany, zmusza stronnictwa opozycyjne Rosji do ostrożności pod tym względem, do czego zresztą, jak to zauważyliśmy wyżej, miały one zawsze skłonności. Charakterystycznym jest, że nawet taki najskrajniejszy antiugodowiec rosyjski, znany anarchista ks. Krapotkin, jest japonofobem, co niedwuznacznie wyraża. W ogóle zaś wszystkie stronnictwa opozycyjne zupełnie wyraźnie zaznaczyły, że odkładają swój rachunek z rządem na czasy powojenne, ograniczając się na razie jedynie krytyką postępowania rządu i wykazywaniem jego nieudolności.

Natomiast wśród narodowości nierosyjskich zwycięstwa japońskie wywołały podniecenie i skłonność do czynniejszej niż dotąd walki z wrogiem. Klęski wojsk rosyjskich przede wszystkim usuwać zaczęły hipnozę, dotąd wpajającą w umysły ludzkie przeświadczenie o niespożytej potędze Rosji, której nic zachwiać nie jest zdolne. Wielu też ludzi, opozycyjnie nastrojonych, których hipnoza owa powstrzymywała od udziału w ruchu przeciwrządowym, zaczęło okazywać pomoc partiom opozycyjnym swych krajów. W serca ludzkie wstąpiła nadzieja i oczekiwanie zmian politycznych, co wpłynęło na umysły ogromnie podniecająco. Rzecz prosta, że w Polsce wszystkie te zjawiska najbardziej odczuwać się dają.

Położenie to w naturalnej konsekwencji prowadzi do sojuszu pomiędzy Japonią i Polską. Japonia znaleźć może w Polsce wyćwiczonego w walce z Rosją sojusznika, który — jak to zaznaczyliśmy wyżej — może najwięcej sprawić kłopotów krajowi, Polska zaś może znaleźć w Japonii oparcie i pomoc w osiągnięciu swych planów. Myśl ta o sojuszu tym bardziej się nasuwa, że obecna wojna bez względu na jej wynik nie może doprowadzić do stałego pokoju pomiędzy Rosją i Japonią, jeśli nie nastąpią poważniejsze zmiany wewnątrz Rosji, tylko te bowiem obezwładnią Rosję na czas dłuższy i zatrzymać ją są w stanie w jej zaborczym pochodzie ku Oceanowi Spokojnemu, tylko te zmuszą ją zapomnieć o klęsce na Wschodzie, jeśli wojna się skończy dla niej nieszczęśliwie, lub osłabi ją dostatecznie dla powtórnej walki, jeśli wojna będzie przez nią wygrana. Sojusz ten jednak napotyka nie mało ważne przeszkody.

Przede wszystkim Japonia i Polska bardzo mało znają się wzajemnie, a będąc oddzielone od siebie ogromną przestrzenią i nie mając bezpośredniego związku ekonomicznego, nie mają szans do zbliżenia się i poznania na drodze zwykłych stosunków i interesów. Następnie ta sama odległość i geograficzne położenie wytwarza pewną sprzeczność interesów pod

względem militarnej pozycji wroga — wtedy, gdy Japonia chciałaby mieć obok siebie jak najmniej wojska rosyjskiego, interesem Polski jest, by siła militarna Rosji była ześrodkowana przy dalekiej od niej granicy wschodniej.

Inne sprzeczności stwarzają się przez różnice położenia politycznego Japonii i Polski. Japonia jest uznanym przez wszystkich państwem, mającym nawet potężnych sojuszników w postaci np. Anglii. Polska — przeciwnie — jest krajem podbitym, nie ma więc żadnych resursów, będących w rozporządzeniu państw, a wszelka akcja jej musi nosić z konieczności charakter tego, co prawo określa mianem zdrady stanu. Położenie to daje się łatwo wyzyskać przez Japonię, wtedy, gdy dla strony przeciwnej przedstawiać ono musi ogromne trudności. Już obecnie z tego wynika sprzeczność interesów. Japonia żądać musi jak najprędszego zakończenia wojny, wtedy, gdy Polska radaby przeciągnąć ją tak długo, by Rosja w wojnie osłabła jak najwięcej, a Polacy mieli jak najwięcej czasu na przygotowanie się do walki i wzmocnienia szeregów rewolucyjnych.

J. Piłsudski.

ZE WSPOMNIEŃ

«Kalendarz Robotniczy» na r. 1905, str. 63—66.

Byłem w świetnym humorze, kiedy w słoneczne południe kwietniowe wprowadzono mnie do biura X pawilonu cytadeli warszawskiej. Łódzkie więzienie, w którym spędziłem dwa miesiące i z którego mię przywieziono do cytadeli, dokuczyło mi śmiertelnie. Przypominało mi ono najgorsze więzienia sybirskie. Wstrętny wikt, na którym prawdopodobnie robił majątek p. zawiadowca, malutka cela bez kawałka mebla w niej, zakaz palenia tytoniu — wszystko to obrzydziło mi tę wstrętną dziurę. Byłem więc ogromnie zadowolony, że raz nareszcie przenoszą mnie do Warszawy. Lecz bodaj najpoważniejszym powodem doskonałego humoru było podniecenie, jakie odczuwałem, wstępując w mury instytucji, która tak ściśle się splotła z męczeńskimi dziejami naszej ojczyzny.

Paliła mię wprost ciekawość. Chciałem wiedzieć, jakie też wrażenie wywrze na mnie cytadela. Byłem więc wesół i podniecony, gdym wchodził w asystencji dwóch żandarmów do biura pawilonu, a na moje przywitanie podnosił się z krze-

sła gospodarz zakładu, sztab-rotmistrz żandarmerii, p. Farmunda. Przywitaliśmy się zdaleka ukłonem i gospodarz gestem zaprosił mię zająć krzesło naprzeciwko niego.

P. Farmunda był dobrym typem żandarma. Grzeczny i słodki w obejściu, o ciemnych oczach wyrazu łaszącego się kota. Ruchy miał — w «pendant» do figury i rysów twarzy — okrągłe, uśmieszek na ustach pod wymuskanym wąsikiem przymilający się. Otworzył księgę i notował w niej moje odpowiedzi na zwykłe w tych wypadkach pytania o wieku, miejscu urodzenia itd.

Po ukończeniu tej formalności zwrócił się do mnie z uśmiechem:

— Przepraszam, jeszcze jedna mała formalność, niech się pan rozbierze, musimy na panu zrobić rewizję.

Zrzuciłem marynarkę i kamizelkę, które natychmiast schwycił stojący z boku wachmistrz.

Przyszło mi jednak na myśl, że mogę się uwolnić od przyjemności paradowania wobec żandarmów w stroju Adama.

— Ależ, panie rotmistrzu, — zawołałem, — czy nie będzie to zbytek gorliwości z pańskiej strony? Przecie od czasu aresztowania będzie to już czwarta rewizja. Raz przy aresztowaniu, drugi raz w więzieniu łódzkim, trzeci w Warszawie w zarządzie gubernialnym, czwarty raz tutaj.

— Ach! pana już rewidowali w zarządzie! — zgodził się ze mną p. rotmistrz — w takim razie to rzeczywiście zbyteczne. Niech tylko pan będzie łaskaw zdjąć krawat, bo ten zostanie u nas.

— Krawat? — pytałem zdumiony, gdyż pierwszy raz spotkałem się z ostracyzmem, stosowanym do tak niewinnej części ubrania, — a to czemu?...

— Doprawdy, nie umiem panu wytłumaczyć — odparł Farmunda, — ale u nas takie prawo: więźniowie siedzą bez krawatów.

Wprawiło to mnie w jeszcze weselszy humor. Takie to «echt russisch» w swej mądrości! Byłem w więzieniu, gdzie więźniom odbierają wszystko absolutnie i przebierają w odzież więzienną, lecz zostawić człowiekowi bieliznę, garnitur, kapelusz, palto, ba, wnosić do celi, jak to robią w cytadeli, walizki i koszyki z całym bagażem więźnia, a odebrać mu, jako rzecz najniebezpieczniejszą, — krawat, tegom się nie spodziewał, to było wspaniałe i zaimponowało mi oryginalnością.

— No, trudno — rzekłem wreszcie, śmiejąc się, — choć to powiadają, że przyzwoiciej jest chodzić bez koszuli, niż bez krawata, ale skoro prawo tego wymaga — proszę.

Farmunda uśmiechnął się. Spytałem go o tytoń.

— O! to już nie zależy ode mnie, proszę pana, — mówił po polsku z nieco rosyjskim akcentem, — to rozstrzygnie oficer od badań, chociaż jestem przekonany, że pan nie spotka się z odmową w tym wypadku. Co do mnie zaś, to ja pozwalam wypisywać z miasta prawie wszystko, nawet wino i piwo, — dodał z odcieniem dumy. — Naturalnie, jestem pewny, że pan nie będzie nadużywał...

— O! bądź pan spokojny — przerwałem. — Samotność nie usposabia do picia.

— To już wszystko — rzekł Farmunda, wstając z krzesła, — jeżeli pan do mnie będzie miał jaki interes, skargę lub pretensję, niech pan będzie łaskaw powiedzieć o tym dyżurnemu żandarmowi, natychmiast przyjdę do pana. Bagaże pańskie wniosą panu do celi.

— Numer trzydziesty dziewiąty! — rzucił rozkaz już po rosyjsku, zwracając się do wachmistrza.

Skłoniłem się na pożegnanie i wyszedłem z pokoju, mając przed sobą żandarma, a za sobą żołnierza z warty, uzbrojonego w karabin z bagnetem. Uśmiechnąłem się z zadowoleniem: tak paradnej asysty nie spotkałem w żadnym więzieniu.

Sprowadzono mię na dół po tych samych schodach, przez które wszedłem do zakładu, potem weszliśmy na lewo w korytarz — było to już więzienie właściwe. Dość szeroki o nieprawidłowych konturach korytarz prowadził środkiem, na prawo zaś i na lewo szły kolejno drzwi do cel więziennych. W tym korytarzu znajdowało się pięć cel. I na te pięć cel stał przy ścianie żołnierz na warcie i, jako gospodarz korytarza, przechadzał się po nim żandarm. Skręciliśmy raz jeszcze na prawo i weszliśmy do nowego korytarza.

Ten był ciemniejszym i dłuższym, tutaj było dwanaście cel z taką samą, co w poprzednim, obsługą. Przy ostatnich drzwiach na lewo żandarm, prowadzący mnie, zatrzymał się i skinął na swego kolegę, dozorującego korytarz. Ten odsunął kolanem zasuwę i otworzył drzwi — były to drzwi do celi numer trzydziesty dziewiąty, przeznaczonej dla mnie. Wszedłem do niej, a za chwilę wniesiono również moje walizki z rozrzuconymi w nich rzeczami. Byłem więc już w cytadeli.

Rzuciłem okiem na celę. Cela była duża, ściany szare, źle pobielone, podłoga ciemno-szara, cementowa. U względnie nisko położonego okna stał stół niesłychanie brudny, tak, że pod warstwą tłuszczu i kurzu trudno było odnaleźć ślady drzewa; przed stołem — skromny wiejski drewniany stołek; przy ścianie — łóżko żelazne, którego części były wykrzywione i po-

gięte do tego stopnia, że niepodobna było dojrzeć nigdzie linii prostej; w kącie stały moje walizki. W pokoju czuć było stęchlizną w połączeniu z zapachem, właściwym pokojom, dawno nieprzewietrzanym i niezamieszkanym stale. Drzwi drewniane, również brudne, na których świeciły plamy białe, powstałe po odłupaniu z nich drzazgi. Z korytarza dochodził do mnie szmer głosów i urywany śmiech — to żandarmi z dwóch sąsiednich korytarzów skracali sobie nudy dozorowania pogawędką. Od czasu do czasu rozlegały się po korytarzu kroki przechodzących żandarmów i żołnierzy.

Gdym to wszystko obejrzał i wsłuchał się w szmery i dźwięki, dolatujące z korytarza i innych cel, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, żem gdzieś już widział coś podobnego.

— Nie! nie było to inne więzienie, stanowczo nie! Było to coś, związanego z Litwą, bo mi się nagle przypomniały moje włóczęgi po tym kraju.

Nie chcąc sobie psuć wrażenia, położyłem się na łóżku i zamknąłem oczy. Po chwili zrozumiałem to dziwaczne skojarzenie wrażeń. Tak, pamiętam dobrze! Kilka lat przedtem wypadło mi być w jednym z zapadłych kątów Litwy. Spotkała mię ulewa i zmokły, zziębnięty kazałem furmanowi zatrzymać się w przydrożnej karczmie, która stała nieco odosobniona od niewielkiej wioseczki wśród lasu. Karczma była murowana i zdaleka wyglądała dosyć przyzwoicie. Lecz podjechawszy bliżej, spostrzegłem, że to tylko resztki dawnej świetności składały się na pozory przyzwoitości, w istocie zaś była to rudera. Tynk kawałami odpadł ze ścian, tworząc rumowisko na ziemi i smutne, brudne plamy w murze; w dachu świeciły się dziury, szyby w oknach, względnie dużych, składały się albo z kawałków szkła, misternie i dziwacznie sklejonych, albo też nie istniały wcale.

We drzwiach spotkałem starego Żyda, który mię wprowadził do pokoju, przeznaczonego dla «puryców». Ten właśnie pokój, w którym widocznie długo nikt nie gościł przede mną, był jak gdyby kopią mojej celi w X pawilonie. Brudny stół i podłoga, wykoszlawione łóżko, poszarpane i połupane drzwi, nawet drewniana, brudna, napełniona piaskiem spluwaczka w kącie pokoju — wszystko to, a szczególnie miły zapach zgnilizny, nasunęły mi tak żywo przed oczy karczmę litewską, widzianą kilka lat temu, żem sobie przypomniał i rozmowę z gospodarzem karczmy, starym Ickiem o melancholijnym spojrzeniu zarzynanej tępym nożem kozy.

Tak! Icek miał powody być melancholijnym. Tak dobrze mu się powodziło dawniej. Karczma stała dawniej na drodze

do Wilna. Przeciągały nią i sute pańskie kolasy, i ładne bryki szlacheckie, i ładowne wozy chłopskie. Wszystko to zatrzymywało się przy karczmie Icka, popasało tam, piło, jadło, nocowało. Sam hrabia X. — Icek wymienił mi znane nazwisko litewskiego magnata — nocował u niego, ot tutaj, w tej samej stancji. Icek miał wówczas czym przyjąć takich panów. Sprowadzał nawet z samego Wilna doskonałe wino — a gite Madera od pan Zabłocki i Kalita. Dobre były czasy!

A teraz! teraz Icek bankrutuje i nie ma czym nawet poprawiać karczmy. Przeprowadzili kolej i o parę mil postawili stację, do której droga do dalszych okolic wypada nie tędy. I Icek musi bankrutować. Icek nie wie nawet, czy będzie mógł przyjąć godnie takiego panicza, co to do niego wypadkiem zajechał. Samowar jeszcze ma, już jego córka Sura go nastawia, zaraz go przyniesie, ale chleb jest tylko chłopski — razowy, może jeszcze Sura znajdzie parę jaj, ale ani mleka, ani mięsa już nie ma.

I Sura — młoda, tęga Żydówka, nie myta, nie czesana od Bóg wie kiedy, z zaspanymi oczami, w brudnej, zaszarganej spódnicy i nieszczelnie zapiętym kaftaniku — Sura wniosła przedmiot dumy bankrutującej karczmy — samowar. Stylowy samowar. Pękaty, gotujący się z niesłychanym hałasem, jękiem i świstem, nieczyszczony co najmniej od kilku lat, pokryty zielonymi plamami, zakapany stearyną, z zakatarzonym, kapiącym kranem i nierównymi nóżkami.

Zgrzyt otwieranych drzwi przerwał moje myśli. Do celi wpadł z obiadem żołnierz-posługacz. I ten był stylowym. Pociągał co chwila z przyjemnym szelestem swym długim nosem, twarz i ręce miał jakiegoś nieokreślonego, ziemistego koloru. Ubranie — mundur i spodnie — wisiały nań strzępami, a buty były wykrzywione i połatane. Postawił na stole obiad i z miną człowieka, spełniającego poważny obowiązek, wyjął z kieszeni od spodni cynową łyżkę, którą położył na stole.

Wspaniale! Miał przy tym tak dobroduszną minę, żem się nie zdobył na oburzenie i w myśli nazwałem go Surą. Swoją jednak drogą siadłem do obiadu ze złością. Ta łyżka, wyciągnięta z brudnej kieszeni zanoszonych spodni, irytowała mnie.

— Masz ci bankrutującą karczmę! — mruknąłem z gniewem. Ileż to już pokoleń, siedząc w tej dziurze, marzyło o zbliżającym się jej bankructwie!

POLITYKA WALKI CZYNNEJ

«Trybuna» nr 1, str. 12—20 z 1906 r.

Miesięcznik «Trybuna», wydawany w latach 1906—1907 w Krakowie, był nieoficjalnym organem tzw «starych», przyszłych twórców Frakcji Rewolucyjnej P. P. S. «Trybunę» redagował Artur Śliwiński.

Masowy pogrom policji dn. 15 sierpnia w Warszawie, Łodzi i miastach prowincjonalnych Królestwa był w roku bieżącym najbardziej wybitnym faktem w naszym ruchu rewolucyjnym. Obok tego faktu w życiu politycznym Królestwa miał miejsce cały szereg innych, bardzo poważnych, świadczących, że świadomość polityczna i klasowa stała się dorobkiem trwałym szerokich warstw ludowych. Strajk agrarny, ogarniający blisko trzecią część folwarków Królestwa, strajk 22 stycznia w rocznicę wypadków petersburskich, powszechne świętowanie w dn. 1 maja, — są to wypadki znaczenia historycznego; a jeśli wypadki te nie znajdują często odpowiedniej oceny, to kto wie, czy nie dlatego przede wszystkim, że stoimy tuż przy nich, że brak wprost dostatecznej przestrzeni dla ich perspektywicznego ujęcia. Niemniej jednak, rozpatrywane z czysto politycznego stanowiska, schodzą one na plan drugi wobec wystąpień czynnych, jakich przykładem najznaczniejszym był masowy pogrom policji.

Jeszcze rok temu podobna ocena faktów analogicznych mogłaby wydawać się jednostronną, a przeto niesłuszną. Ustępstwa, pozornie zrobione przez rząd pod naciskiem październikowego strajku powszechnego, sama nawet możność przeprowadzenia strajku na terytorium tak olbrzymim, jak imperium rosyjskie, sprawiły, że nie tylko masy, lecz i niektórzy organizatorzy-socjaliści skłonni byli uważać strajk powszechny, jako najpotężniejszy oręż walki z rządem. Jednocześnie z przecenianiem wpływu strajku poczęto również przeceniać znaczenie «czystej agitacji». Chcąc uczynić z Rosji państwo demokratyczne, zapominano, że Rosja nie jest jeszcze państwem demokratycznym, w którym zmiany polityczne zależą od zmian w opinii publicznej. Lecz życie, które te poglądy zrodziło, wkrótce samo pracować zaczęło nad ich wyplenieniem. Wypadki grudniowe dowiodły, że strajk powszechny, nawet manifestacjami zbrojnymi poparty, nie zawsze osiąga swe cele. Lekceważące odrzucenie przez rząd żądań Dumy,

cieszących się taką popularnością, jak amnestia i zniesienie kary śmierci, wykazało, iż nie na wiele przydało się, że agitacja osiągnęła swój cel bezpośredni, tj. stworzyła pewną silną opinię polityczną, skoro ta opinia publiczna nie posiadała dość mocy, aby oporny rząd zmusić do posłuszeństwa. Stało się jasnym, że ruchowi wolnościowemu pozostała tylko jedna droga, — stworzenie siły, brutalnej siły fizycznej, która potrafiłaby złamać potęgę rządu. Organizowanie powstania zbrojnego nasunęło się jako logiczna i jedyna konsekwencja całego dotychczasowego ruchu politycznego.

Klęska w polityce zewnętrznej uczyniła rząd tylko chwilowo i pozornie skłonnym do zmian wewnętrznych. Z chwilą, gdy okazało się, że powiększenie siły militarnej państwa musiałoby zostać opłacone daleko idącym skrępowaniem «najwyższych sfer rządzących» — sfery te postanowiły za wszelką cenę utrzymać dawne, wiekami uświęcone stosunki. Rozpoczęła się od grudnia r. z. niezwykła reakcja, lecz odwrót na całej linii dokonywany z niepohamowaną siłą. I nie należy się łudzić pozorami, nie należy przypisywać wagi zjawiskom chwilowym, zmianom drugorzędnym, wskazującym jakoby, że w polityce rządowej dokonał się zwrot ku bardziej liberalnym normom. Każdy z tych rzekomo liberalnych przejawów, poddany analizie, okaże się, bynajmniej nie wypływem zmienionej polityki wewnętrznej, lecz wykwitem energii społecznej, której rząd jeszcze okiełzać nie zdołał. Osłabienie ucisku narodowościowego, możność zakładania szkół polskich i intensywniejszej pracy kulturalnej, jakimi obecnie, wśród orgii stanu wojennego i sądów polowych, «cieszymy się» w Królestwie, nie jest żadnym dowodem zmiany w polityce, lecz czysto przypadkowym wynikiem walki, jaką rząd toczy z rewolucją. Rząd nie posiada — na razie przynajmniej — dość sił, aby zgnieść wszelkie nieprzyjazne mu przejawy życia społecznego, więc gniecie te, które w danej chwili wydają mu się najniebezpieczniejsze. Jak ongi najrozmaitsze «zakazane» wydawnictwa patriotyczne, w miarę napływu rewolucyjnej literatury socjalistycznej, stały się tolerowane przez władze, podobnie dziś najrozmaitsze objawy tzw. pracy kulturalnej są tolerowane li tylko dlatego, że władze nie mają sił i czasu zajmowania się nimi, ponieważ pochłonięte są pościgiem za rewolucją czynną. Zasadniczym błędem jest mniemanie, że rząd «w zasadzie» zmienił politykę wewnętrzną, że dzisiejsza reakcja skończy się, gdy skończą się niepokoje wewnętrzne. Gdyby nastał taki, upragniony przez ministrów i sentymentalnych tchórzy «spokój wewnętrzny», — natychmiast zapa-

nowałaby i w kulturalnej i w narodowościowej dziedzinie taka reakcja, jakiej nie znano nigdy poprzednio. I jeżeli widoczne jest dla każdego, że obecne położenie spraw w Królestwie lepsze jest od położenia przed laty dwudziestu, jeżeli nawet «Czas» krakowski oświadcza, że dziś, pomimo wszystko, jest lepiej niż było za ery apuchtinowskiej, — to społeczeństwo polskie zawdzięcza owo «lepiej» ruchowi rewolucyjnemu. Oczywiście, ludzie, których zadaniem życia jest konsolidacja kontrrewolucji, wniosku tego nie odważają się robić, lecz wypływa on sam z poglądów, wypowiadanych przez nich w chwilach szczerości. Krew dziś przelana, życia dziś zgaszone wydadzą pełny plon dopiero w przyszłości. Lecz już obecnie społeczeństwo korzysta z pęknięć nieznacznych, jakie w otaczającym nas murze niewoli poczyniły dreszcze konania ginących za sprawę bojowników.

Reakcja dzisiejsza nie jest więc tylko przejściowa, nie jest, jak zapewniają okólniki rządowe, chwilową koniecznością, po minięciu której zapanuje konstytucjonalizm liberalny, lecz przejawem odwiecznego rosyjskiego systemu państwowego. System ten nie pęknie, póki nie zostanie złamana potęga ludzi, których tradycją rodzinną i powołaniem życiowym jest utrzymanie tego systemu. Inaczej zaś, jak mieczem, złamać tej potęgi nie można. Rewolucja zbrojna, przytem nie «à la Moscou», lecz dostatecznie silna dla zgniecenia sił rządowych, — oto konieczność dziejowa, jaką mamy przed sobą. Musimy wykorzystać wszelkie siły społeczne w celu organizowania zbrojnego powstania. Ono jedynie może zmienić podstawy naszego bytu politycznego.

Zdajemy sobie dokładnie sprawę z całej wagi twierdzeń powyższych. Zdajemy sobie również sprawę z całego odruchowego oburzenia, jakie u wielu wywoła takie wyraźne postawienie kwestii. Nasze klasy posiadające, zrażone wspomnieniami 1831 i 1863 r., zmęczone wypadkami ostatnich dziewięciu miesięcy, uważają wszelką myśl o walce zbrojnej za szaleństwo, a wszelkie dążenie w tym kierunku jako zasługujące na potępienie bezwzględne. Lecz rzućmy okiem na dzieje: nie było prądu politycznego, nie było hasła, które początkowo nie byłoby potępiane; a zawsze najsilniej potępiano kierunki później zwycięskie. Ile gromów spadło na ideologów Rewolucji Francuskiej, jak silnie potępiano początkowo hasło zjednoczenia Włoch. W ubiegłym stuleciu, pod koniec czwartego lat dziesiątka, kto nie brał za wariatów ludzi, głoszących, że Węgry winny walczyć, by stać się autonomicznym państwem? A jednakże — te swego czasu przez wszystkich trzeźwych za

utopijne i szkodliwe uznane projekty, stały się rzeczywistością. To samo będzie z hasłem powstania zbrojnego. Dziś uważane jest za utopię; po pewnym czasie ludzie się z myślą o nim oswoją, jak oswoili się z tylu innymi prądami; jeszcze później zbrojna walka przyjdzie i — przejdzie, i wspominana będzie jako fakt przez tych samych, którzy dziś odrzucają to hasło... Jawne lub maskowane niezadowolenie, z jakim dążenie do zbrojnej walki spotyka się wśród naszych klas posiadających, wśród inteligencji zawodowej, a nawet częściowo wśród obozu socjalistycznego, dowodzi tylko, że obecnie ludzie nie czują się na siłach do walki i — przede wszystkim — że nie zdają sobie sprawy z ogólnego biegu wypadków, z własnej roli, jaką w tych wypadkach dziś odgrywają, że nie widzą i nie odczuwają zawiązków przyszłości, tkwiących w teraźniejszości. W ustroju państwowym Rosji, w siłach społeczeństwa polskiego, i wypadkach rozgrywających się dziś przed naszymi oczami tkwi szereg pierwiastków, które w dalszym rozwoju muszą doprowadzić do walki zbrojnej. Żadne zdrowe społeczeństwo nie będzie, bez zdobycia się na opór czynny, znosić gospodarki bandytów, podtrzymywanych przez władze, i władz, podtrzymywanych przez bandytów. I jeśli takim społeczeństwem jesteśmy — podobnych gospodarzy musimy się pozbyć. Wymaga tego nie tylko interes mas włościańskich, nie tylko inteligencji, lecz wymagają tego wszystkie interesy nasze, jako społeczeństwa cywilizowanego. I czym prędzej zdamy sobie sprawę, że z dzisiejszego położenia nie ma innego wyjścia, tylko walka zbrojna — tym lepiej.

Wobec takiej alternatywy nieuniknionej, z postawieniem takiego celu, otrzymujemy miernik polityczny, jedyny możliwy na dziś i na przyszłość najbliższą sprawdzian wartości czynów i zdarzeń. Sprawdzian ten jest następujący: pożądana jest działalność, zmierzająca, przy jak najmniejszej stracie sił, w kierunku zorganizowania zbrojnego wybuchu; praca tu podjęta jest politycznie najbardziej użyteczną i najbardziej społeczną pracą; niezbędne ofiary przy tym poniesione są ofiarami dla dobra publicznego. Oto stanowisko, z jakiego oceniać należy wypadki bieżące naszego życia politycznego.

Polska Partia Socjalistyczna twierdziła zawsze, że ruch zbrojny będzie koniecznym wynikiem rozwoju ruchu socjalistycznego w Królestwie. Jaka złośliwa krytyka spadała na PPS. za śmiałość głoszenia takich poglądów, ile zarzutów stawiali jej różni krytycy za takie «niesocjalistyczne» stawianie kwestii! «Dążenie do wywołania powstania» — to przecie główny argument, przytaczany przez różnych rosyjskich so-

cjalnych demokratów na dowód, że PPS. jest raczej drobnomieszczańską niż socjalistyczną partią. Tym czasem przyszedł koniec r. 1905 i 1906, i ci sami socjalni demokraci rosyjscy poczęli twierdzić, że powstanie jest konieczne i, co więcej, rozpoczęli przygotowania w tym kierunku.

Partia, która najwcześniej przewidziała ewentualność ruchu zbrojnego, najwcześniej też podjęła starania w celu opanowania i zorganizowania niektórych wypadków okresu wstępnego. Niemal każdy ludowy ruch powstańczy poprzedzony bywał ciągnącym się przez dłuższy czas okresem manifestacji, drobnych starć i wrzenia, będących zarówno wynikiem jak i przyczyną wytwarzania się specjalnej atmosfery duchowej, usposabiającej do walki coraz to szersze kręgi ludności. Tylko w okresie takiego wrzenia masy ludowe mogą dojrzeć do czynu, i tylko takie warunki mogą przygotować ludzi, którzy w chwili wybuchu mogliby poprowadzić szeregi. Tak było zawsze dotychczas, tak będzie w przyszłości najbliższej, z tą jedynie różnicą, że period przygotowawczy musi być dłuższy niż kiedykolwiek dawniej, a to przede wszystkim dlatego, że zmieniły się warunki społeczne, i że technika militarna stała się sztuką złożoną, której opanowanie wymaga wprawy. Dziś mówić o jakimś jednorazowym, nagle wybuchającym powstaniu zbrojnym, — o ile to powstanie nie ma być spiskiem wojskowym — i taką formę walki zalecać, jest to przyznawać się do zupełnej ignorancji co do pozytywnych warunków walki, lub też — używać hasła powstania, jako frazesu, który na zawsze frazesem tylko ma pozostać.

Przewaga armii nad ludnością opiera się nie tylko na tym, że wojsko posiada działa, broń i amunicję, a ludność tego nie posiada, lecz na całym szeregu innych czynników: na sprawnej organizacji przeciwstawiającej się niezorganizowanej masie, na specjalnych umiejętnościach żołnierza i jego kierowników, wreszcie na będącym wynikiem wyszkolenia usposobieniu żołnierza, odróżniającym go od człowieka z poza szeregów. Wobec tego wszystkiego nie dość byłoby pewnego pięknego poranku rzucić na wojsko choćby podwójną ilość dostatecznie uzbrojonych «cywilów». Podobny atak musiałby skończyć się przegraną, o ile powstańcy nie posiadaliby umiejętności obchodzenia się z bronią, odpowiednich przywódców, organizacji, i wreszcie tego specjalnego nastroju militarnego, jaki dać może tylko odpowiednie przygotowanie. Zapewne, część powstańców, dzięki powszechnej służbie wojskowej, może posiadać przymioty potrzebne. Lecz nawet dla utrwalenia raz nabytego doświadczenia niezbędna jest wprawa,

stale podtrzymująca w żołnierzu gotowość bojową. A ta część przyszłych powstańców, która przez służbę wojskową nie przeszła, musi otrzymać przygotowanie specjalne, przejść niejako przez całą szkołę, by tym sposobem choć częściowo zrównać szanse walki z fachowym żołnierzem. Nauka obchodzenia się z bronią i organizowanie kadrów, z konieczności tajne, związane z ogromnymi trudnościami, koniec końców jest jednak w istniejących warunkach możebne. Lecz organizacja i nauka władania bronią, — to dopiero część pracy, niezbędnej dla przekształcenia «chętnych do boju cywilów» w kadry przyszłej armii powstańczej. Pozostaje część inna, niemniej ważna: danie kadrom choć minimalnej praktyki bojowej, oraz wpojenie w nie przekonania o możliwości zwyciężenia wojska. A o ile w ramach tajnej organizacji dwa pierwsze rezultaty — obchodzenia się z bronią i formowanie kadrów — dają się osiągnąć, o tyle osiągnięcie dwóch ostatnich jest niemożliwe. Dla osiągnięcia celu konieczne są wystąpienia na zewnątrz — tj. przeprowadzenie przygotowywanych szeregów przez żywe doświadczenie drobnej, partyzanckiej walki. Lecz nie o same kadry tu chodzi. Organizacja nie jest w stanie, w żadnym wypadku, objąć wszystkich, których skupić trzeba w przyszłych powstańczych szeregach. W okresie przygotowawczym powinno chodzić o to — pomijamy tu czysto techniczną stronę przygotowań, — aby nie tylko kadry, lecz jak najszersze masy ludności przekonać o możliwości zwycięskiej walki. A tego można dokonać jedynie zapomocą przykładów, świadczących, że zwyciężanie sił rządowych jest możebne i wykonalne. Wszelkie zmniejszanie autorytetu, jakim armia cieszy się w oczach ludności, będzie również działało w tym samym pożądanym kierunku.

Przyszła walka zbrojna, bez względu na to, jakie postępy uczyni agitacja wśród wojska, będzie walką z wojskiem. Powaga armii polega zarówno na jej aktualnej sile fizycznej, jak i na otaczającym ją uroku grozy i niezwyciężalności. Wojsko, czy zebrane w koszarach, czy w wielkich masach przeciągające ulicami miast, jest dla wyobraźni przeciętnego człowieka groźnym uzmysłowieniem najwyższej potęgi, która, nawet nie występując czynnie, samym urokiem swej powagi zmusza wszystkich do posłuszeństwa. U nas do niedawna nie stykano się z armią bezpośrednio, — więc często nie doceniano, a częściej jeszcze przeceniano jej siłę, i w takich warunkach samo pojawienie się wojska, będąc faktem niecodziennym, budziło przestrach niezwyczajny. Gdyby wojsko stało się czynnikiem

pospolitym, gdyby ludność stykała się z niem stale, podobnie jak styka się z policją, wówczas ocena jego siły łatwiejby sprowadzona być mogła do właściwych rozmiarów. W oczach mas ludowych prysnąłby urok tajemniczości, otaczający armię i już to samo byłoby krokiem naprzód. Dalej, — jeśliby wielkie skupienia wojska udało się doprowadzić do stanu rozdrobnienia, polegającego na tym, że pułki i brygady zostałyby rozbite na drobniejsze oddziały, rozrzucone po wsiach i miastach całego kraju, — wówczas i możność rozpoczęcia walki z wojskiem nasunęłaby się wielu umysłom, poprzednio uważającym za niemożebność wszelką akcję czynną.

Dotychczasowa działalność organizacji bojowej PPS., wymierzona przeciwko policji, doprowadziła do tego, że wszelki autorytet policji upadł najzupełniej. Lecz działalność ta miała jeszcze inny, mniej widoczny, a bodaj z naszego punktu widzenia, ważniejszy skutek: obniżyła i stale obniża autorytet, jaki w oczach ludności posiadało wojsko. «Już poprzednie nasze akcje — czytamy w «Wyjaśnieniach» w «Naprzodzie» z dn. 24 sierpnia — wymusiły na rządzie posługiwanie się wojskiem dla służby policyjnej, wymusiły rozkawałkowanie armii, które z konieczności stawiało te drobne cząstki w zależności od ludności chociażby w sprawach codziennego bytu i własnego bezpieczeństwa. Rozwałkowane w ten sposób wojsko przestaje w oczach ludzi posiadać tajemniczą grozę i, stając w roli policji, liczebnie małej w stosunku do otoczenia, traci coraz bardziej ów legendarny nimb niezłomnej potęgi».

Okazuje się więc, że akcja, wymierzona wyłącznie, jakby się na pierwszy rzut oka zdawać mogło, przeciwko policji, sięgnęła dalej, uderzyła w wojsko, a wpływając na zmianę jego funkcji, wpłynęła na zmianę formacji, i poddała żołnierza różnym «niepożądanym» wpływom. Czynności policyjne odbijają się na armii i w inny sposób, bezpośrednio zmniejszający jej sprawność, jako machiny bojowej. Przeciążenie służbą jest tak wielkie, że wojsko, konsystujące w Królestwie, nie jest w stanie ćwiczyć się, jak tego regulamin wymaga, a rekruci przechodzą zamiast pełnego skrócony kurs ćwiczeń. Dalej, wojsko skupione w koszarach, nie wychylając się z fortec, odcięte od wszelkiej styczności z otoczeniem, łatwo mogło być utrzymywane w karbach dyscypliny i urabiane stosownie do celów polityki rządowej. Lecz oddziałki wojska, wtłoczone do fabryk, kwaterujące po wsiach i osadach, muszą podlegać wpływom zewnętrznym, nurtującym ludność, wśród

której tkwią, i tym samym stają się dostępne agitacji antyrządowej, wpływającej destrukcyjnie na bojową wartość żołnierzy. Co ważniejsze, spełniające służbę policyjną wojsko, staje się dla nas czymś powszednim i aureola tajemniczości, będąca jednym ze współczynników jego wpływu dzisiejszego, znika.

Tym sposobem jesteśmy świadkami rozpoczęcia się u nas procesu, stanowiącego krok wstępny dla wszelkich przyszłych wystąpień masowych. Wraz z upadkiem wiary we wszechpotęgę armii rozpoczął się już — lecz tylko rozpoczął się dopiero — i drugi proces przygotowawczy: rozpraszanie się wielkich skupień wojskowych na drobne oddziały wojskowe, rozrzucone po całym kraju. Drobna akcja partyzancka, podjęta w Radomskiem w styczniu r. b., napady na kasy rządowe i monopole, zmusiły władze do rozlokowania oddziałów w nowych miejscowościach, a tym samym, — do osłabienia wielkich obozów wojskowych. Takie rozdrabnianie wojska, z militarnego punktu widzenia niepożądane, stosowane bywa przez sztab z niechęcią i tylko pod presją konieczności. Wszelkie wzmożenie się wystąpień partyzanckich zmuszać będzie sztab do posuwania się po tej drodze, dla armii niebezpiecznej, a pożądanej dla rewolucji.

Po 15 sierpnia nastąpiły podobne, lecz na znacznie mniejszą skalę zakreślone pogromy policji w Moskwie i Rydze. Akcja w tych miastach nie stała w żadnym organizacyjnym związku z akcją w Królestwie, nie było przed tym żadnego porozumienia się co do wystąpień, żadnej planowej koordynacji, — nic, z wyjątkiem tego na wpół żywiołowego kopiowania form polskiego ruchu rewolucyjnego, jakie niejednokrotnie daje się zauważyć w historii ruchu rosyjskiego. Jeśli, pomijając wielkie strajki ostatnich dwóch lat, przypatrzymy się socjalistycznemu ruchowi rosyjskiemu w okresie ostatniego dziesięciolecia, zauważymy, że rewolucjoniści rosyjscy nieraz stosują u siebie środki i metody, poprzednio wypróbowane w Królestwie. Tak było z manifestacjami publicznymi w dniu 1 maja, które Rosja zaczęła urządzać, gdy w Królestwie okazały się już wykonalne. Tak było z manifestacjami zbrojnymi, które ze strony socjalistów rosyjskich ściągnęły najprzód wyrazy potępienia, a później — znalazły pomieszczenie w arsenale rosyjskiej rewolucji. Tak było wreszcie z napadami na monopole rządowe, — i w tym wypadku inicjatywa wyszła z Królestwa. Pogromy policji w Rydze i Moskwie, następujące po pogromie w Królestwie, są w tej dziedzinie przejawem ostatnim. Współzależność pomiędzy

wypadkami w Królestwie i w Rosji bezwarunkowo istnieje, lecz bynajmniej nie w tym ograniczonym sensie, że Królestwo idzie na pasku ruchu rosyjskiego; przeciwnie, wiele najostrzejszych wystąpień rosyjskich jest powtórzeniem taktyki, samodzielnie powstałej w Polsce. Czy i o ile stosunek taki będzie trwał i nadal — okaże przyszłość. Na razie stwierdzamy jeszcze jeden fakt, dowodzący, że niektóre przejawy walki czynnej w Polsce mogą czasem pchnąć Rosję w tym samym kierunku.

Zapewne nieprędko jeszcze zakończy się cały proces społeczny, niezbędny dla przygotowania ruchu zbrojnego. Lecz proces ten już się rozpoczął. Na jego całość, na sumę przyczyn, prących nas w tym kierunku, składa się długi szereg czynników. Lecz czynnikiem najważniejszym jest bezpośrednia walka czynna, i dlatego wybitne jej przejawy są w naszym życiu politycznym wypadkami doniosłości największej. Oceniać je należy ze stanowiska celu ostatecznego, jaki ta walka sobie stawia. Bez takiej oceny było i pozostaje niejasne i niezrozumiałe wiele pojedyńczych momentów nowego okresu, w jakiśmy weszli.

DEKLARACJA DELEGATÓW, USTĘPUJĄCYCH Z DZIEWIĄTEGO ZJAZDU POLSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ.

Deklaracja ta była przedrukowywana niejednokrotnie w wydawnictwach P. P. S. Frakcji Rewolucyjnej. Podajemy ją według tekstu, wydrukowanego w broszurze «W sprawie Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej», 1906. Wydawnictwo Wydziału Bojowego P. P. S. [Kraków], str. 35—38.

Wobec przyjęcia przez IX Zjazd PPS. rezolucji, stawiającej poza Partią tak znaczną i poważną jej część, jak członków Organizacji Bojowej, towarzyszy, którzy czynami, poświęceniem i oddaniem sprawie Partii naszej zasługiwali na odmienne traktowanie;

Wobec wyraźnie wypowiedzianej ze strony całego szeregu członków Zjazdu chęci doprowadzenia Partii do rozłamu i usunięcia z niej nie tylko członków Organizacji Bojowej, ale i innych towarzyszy;

Wobec tego, że pretekstem dla takiego dobrowolnego rozrywania Partii i niszczenia solidarności tej części proletariatu polskiego, która do chwili dzisiejszej złączona była pod sztandarem PPS. — służy nieraz zupełnie fałszywe przedstawianie poglądów zarówno niżej podpisanych, jak i wielu innych towarzyszy;

Niżej podpisani delegaci na IX Zjazd PPS. stwierdzają, że zdaniem ich:

1) W walce o zniesienie wyzysku kapitalistycznego i zwycięstwo socjalizmu, prowadzonej przez proletariat kraju naszego, w solidarnej łączności z proletariatem wszystkich krajów, jedynym ustrojem politycznym, który odpowiada klasowym interesom ekonomicznym, politycznym, społecznym i kulturalno-narodowym klasy robotniczej, jest niepodległa republika demokratyczna polska;

2) Że zdobycie tego ustroju stanowi i nadal pierwszy punkt programu politycznego PPS.;

3) Że w dzisiejszym okresie rewolucyjnym, dopóki stan sił proletariatu i warunki zewnętrzne nie pozwalają nam na zupełne zwycięstwo i osiągnięcie celu powyższego, walka rewolucyjna toczy się o obalenie caratu i zdobycie dla kraju jaknajdalej idącego prawno-państwowego usamodzielnienia, jak to było niejednokrotnie przez przedstawicieli PPS. na zjazdach i radach jednomyślnie, aczkolwiek w różnej formie, stwierdzone;

4) Że cel ten dopięty być może tylko na drodze walki rewolucyjnej;

5) Że taka walka winna być prowadzona w zupełnej solidarności z resztą proletariatu państwa;

6) Że ta solidarność nie tylko nie wyklucza własnych haseł politycznych proletariatu naszego, ale walka może być prowadzona skutecznie tylko wtedy, gdy hasła partii będą w zgodzie z wszystkimi potrzebami klasy robotniczej;

7) Że ostatecznym wyrazem tej walki musi być zbrojne powstanie proletariatu kraju naszego przeciwko rządowi carskiemu, powstanie, dokonane w chwili, gdy pod naciskiem ruchu rewolucyjnego w całym państwie oraz rozkładu wewnętrznego, carat nie będzie w stanie obronić się przed atakiem rewolucji;

8) Że do takiego zbrojnego powstania proletariatu dojść nie można bez poprzedniego długiego okresu wyszkolenia proletariatu w walce, jego ubojowienia i zaprawienia do walki;

9) Że i wszystkie etapy, przez które przechodzi ruch rewolucyjny, wymagają ciągłej bojowej gotowości proletariatu;

10) Że akcja taka musi być prowadzona planowo, a wyrazem tej planowości nie może być co innego, jak organizacja bojowa, obejmująca jak najszersze masy.

Niżej podpisani protestują jak najenergiczniej przeciwko wszelkim próbom sprowadzenia Partii z tej drogi rewolucyjnej, którą ona szła dotąd i która wynika logicznie z jej programu,

Protestują przeciwko rozbijaniu Partii w chwili tak ciężkiej, jak dzisiejsza,

Stwierdzają, że znaczna część delegatów, pozostałych na Zjeździe, co do poglądów swoich prawie nic już nie ma wspólnego z programem PPS., w żadnym wypadku jej prawdziwych dążności nie reprezentuje, a w ciągu ostatniego, 2-letniego okresu istnienia Partii stale i systematycznie sprzeciwiała się propagowaniu tych dążności wśród proletariatu, oraz świadomie zaniedbywała szerzenia w prasie i agitacji naszych podstawowych postulatów politycznych.

Niżej podpisani wyrażają przeświadczenie, że ogół proletariatu kraju naszego te ich poglądy podzieli, uważają Zjazd za frakcyjne zebranie części towarzyszy i apelują do opinii wszystkich zorganizowanych towarzyszy.

Delegat Wydziału Technicznego.

Gość na Zjeździe z Wydziału Technicznego.

Delegat Komitetu Zagranicznego.

Delegat Okręgu Zagłębia. Delegat Okręgu Kielce.

3 Delegaci Okręgu Częstochowa.

Delegat Okręgu Warszawa Podmiejska.

Delegat Okręgu Płock. Delegat Okręgu Łowicz.

Delegat Okręgu Kijowa.

22 listopada 1906.

LISTY DO IGNACEGO BOERNERA

Trzy listy do Ignacego Boernera zostały ogłoszone przez płk. Henryka Eile w dodatku do nru 130 krakowskiego «Ilustrowanego Kuryera Codziennego» z 11. V. 1936 r. p. t. «Trzy listy. Korespondencja Marszałka Józefa Piłsudskiego z Prezydentem Republiki».

I

Zakopane 14 lutego 1907.

Kochany Prezydencie![1]) List Wasz po długich peregrynacjach trafił nareszcie do mnie. Zdaje mi się, że Ryszard[2]) przesadnie traktuje moje stosunki tutejsze. Byłoby mi naturalnie ogromnie przyjemnie, gdybym mógł być Wam użytecznym. Oto, com dotąd zrobił: napisałem trzy listy. Jeden do inżyniera, pracującego w nafcie w Borysławiu; świeżo usłyszałem, że otrzymał bardzo dobrą posadę, jest to towarzysz, zięć jednej mojej bardzo dobrej znajomej, a sam znałem go jeszcze, gdy był studentem we Lwowie — nazywa się Pierściński[3]) — temu dałem Wasz adres, by bezpośrednio z Wami

[1]) Ignacy Boerner (1875—1933) był jednym z wybitniejszych działaczy P. P. S., który po ukończeniu politechniki w Darmsztacie w r. 1902 powrócił do kraju i, objąwszy po pewnym czasie posadę inżynierską w zakładach hutniczych w Ostrowcu, stał się tam faktycznym kierownikiem miejscowego ruchu robotniczego. Podczas rewolucji 1905 r. ruch ten, zogniskowany organizacyjnie w Ostrowcu, objął głównie powiaty sandomierski i opatowski, gdzie po tzw. manifeście konstytucyjnym 30 października 1905 r. przybrał olbrzymie rozmiary. Kiedy C. K. R. P. P. S. wezwał odezwą w nrze 68 «Robotnika» z dn. 26 grudnia 1905 r. wszystkie podległe mu organizacje do ostatecznej rozprawy z rządem carskim i do ujęcia w drodze rewolucyjnej władzy w kraju, I. Boerner wykonał to wezwanie i jako przewodniczący ostrowieckiego Komitetu P. P. S. objął rządy na opanowanym przezeń terenie, faktycznie likwidując lokalne władze rosyjskie. Tą drogą powstała tzw. «republika ostrowiecka», a jej kierownika I. Bornera (występującego uprzednio pod pseudonimem «Emila») w kołach partyjnych odtąd stale nazywano «Prezydentem». Dopiero w styczniu r. 1906 z Warszawy wysłano wojsko, które zlikwidowało ową «republikę», przy czym najbardziej skompromitowani jej twórcy z I. Boernerem na czele wyemigrowali do Galicji względnie do Niemiec.

[2]) Pseudonim partyjny Stanisława Jędrzejewskiego († 1909), jednego z kierowników P. P. S. zaboru rosyjskiego, członka jej C. K. R. St. Jędrzejewski w tym czasie objeżdżał polskie kolonie zagraniczne i we Frankfurcie nad Menem spotkał się z Boernerem.

[3]) Julian Pierściński, inżynier, zamieszkały w Borysławiu, później dyrektor jednej z firm naftowych tamże.

się skomunikował. Drugi — do właściciela dużej papierni [1]), z którym wypadkowo mam stosunki i znajomość. Temu napisałem, że Wasz udział w ruchu był przypadkowym, a to nie dlatego, że go inny udział straszy, ale dlatego, że jest gaduła i nie bardzo poczytalny człowiek, więc przy staraniach — o ile naturalnie zechce się starać — mógłby Wam, zamiast pomóc, szkodzić. Ten musi mnie odpisać, więc w razie pomyślnej odpowiedzi ja, albo żona Wam zakomunikujemy. Trzeci — do jednego takiego sobie stańczyka czy n. deka [2]), kto go wie, bardzo miłego i porządnego człowieka, który zdaje się ma duże stosunki. Ten, również, jeżeli odpisze, to odpisze do mnie i przezemnie lub żonę odpowiedź otrzymacie. Teraz jeszcze parę rad i wskazówek.

a) do Diamanda [3]) napiszcie sami, to będzie najlepiej, i mnie się zdaje najskuteczniej. Jest to ten sam, co prezydował na naszym Zjeździe we Lwowie [4]) i dobrze Was pamięta. Co do mnie znam go zanadto dobrze, tak że może mu łatwiej będzie wykręcić się, Wasze zaś zwrócenie się wprost — per towarzysz naturalnie, psychologicznie więcej podziała, bądźcie pewni. Przypomnijcie mu inżyniera Śliwińskiego [5]), ja go nie znam, ale wiem, że człowiek zamożny i trochę radykał, bierze udział w różnych pomocach dla emigrantów etc.

b) Jest w nafcie jakąś figurą niejaki Bartoszewicz [6]) — studiował w Karlsruhe czy Darmsztacie, był w Związku Zagranicznym, teraz zdaje się n. d. Jeżeli jednak w tym czasie go znaliście, to napiszcie do niego.

c) Są we Lwowie jeszcze inżynierowie Hertz [7]) i Sokolnicki [8]). Pierwszego znam, lecz nie tak, by się do niego zwracać, a że jest lewicowcem, więc tym bardziej możeście go

[1]) Józef Weiser, właściciel papierni w Sasowie pod Złoczowem.

[2]) Niewyjaśnione.

[3]) Herman Diamand (1860—1931), jeden z przywódców Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska, poseł do parlamentu wiedeńskiego, w Polsce niepodległej poseł na sejm.

[4]) VIII zjazd P. P. S. z lutego r. 1906.

[5]) Hipolit Śliwiński (1866—1932), budowniczy, późniejszy działacz niepodległościowy z grupy Polskiego Stronnictwa Postępowego i poseł do parlamentu wiedeńskiego oraz Sejmu Rzeczypospolitej.

[6]) Stefan Bartoszewicz, pseud. partyjny Ksawery Groszkowski, b. członek sekcji Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich w Karlsruhe w latach 1894—1899. Później w kraju jeden z najwybitniejszych fachowców-teoretyków i praktyków w dziedzinie przemysłu naftowego.

[7]) Wilhelm Hertz, sympatyk P. P. S. z Warszawy, elektrotechnik z zawodu.

[8]) Gabriel Sokolnicki, inżynier elektrotechnik, brat znanego działacza i historyka, dra Michała Sokolnickiego.

znali z Warszawy — człowiek zdaje się sympatyczny, ma biuro elektryczne i różnych instalacji, do niego można trafić przez Gumplowiczów [1]), do których napiszcie, ja zaś, jeżeli się zobaczę z Gumpl. to też o tem pomówię. Sokolnicki n. d., lecz ma brata naszego, niestety brat ten teraz w Warszawie, więc korespondować z nim trudno. Prawdopodobnie wkrótce będę we Lwowie, tam osobiście postaram się zrobić cokolwiek. Może się cokolwiek — kochany Prezydencie — znajdzie, chociaż rzecz to, jak mnie się zdaje, nie łatwa.

Aha jeszcze jedno — chociaż to nie w Polsce, a w Szwajcarii. Jest tam dobry mój przyjaciel i bardzo serdeczny człowiek Mościcki [2]). Prowadzi on dosyć poważne interesa techniczne. Jeżelibyście reflektowali na ten interes, napiszcie mi, natychmiast poślę do Mościka list o Was.

Adresujcie do mnie nie tak po wariacku, że listy spacerują po Europie, zamiast być odrazu u mnie, Kraków, Topolowa 16. — Józef albo Maria Piłsudscy.

Pisząc do Diamanda, przypomnijcie mu, że jesteście owym prezydentem Ostrowieckim, który po utracie rzeczypospolitej cudze kąty wycierać musi. On to napewno pamięta, a nazwisko Wasze mu nieznane. Gdy będę we Lwowie, będę z nim również o tem mówił, ale stanowczo radzę Wam napiszcie do niego.

No to wszystko, kochany Prezydencie, serdeczne uściśnienie. Żona za pamięć dziękuje, Waszej pani pozdrowienie ślemy.

Wasz
J. Piłsudski.

Do Gumplowiczów napiszcie, może oni przez Bujwida [3]) co zrobią, adres ich Stachowskiego 14. Kraków.

---

[1]) Dr Władysław i Cecylia Gumplowiczowie. Dr Władysław Gumplowicz — wybitny publicysta i uczony — działacz P. P. S. D. Galicji i Śląska, członek organizacji zagranicznej P. P. S., geograf. Cecylia Gumplowiczowa (z domu Golde), uczestniczka prac P. P. S. zaboru rosyjskiego. Oboje przebywali podówczas w Krakowie.

[2]) Późniejszy Prezydent Rzeczypospolitej, podówczas przebywający we Fryburgu.

[3]) Prof. Odo Bujwid, wybitny bakteriolog, przebywający wówczas w Krakowie, gdzie prowadził zakład szczepienia przeciwko wściekliźnie.

II

Kraków 14/III. 1907 r.

Kochany Prezydencie!

List i kartkę otrzymałem. Adres Weisera jest dobry. Sasów. Otrzymał już ofertę Waszą i robi nadzieję, że się coś uda zrobić — w ostatnim liście pisze mi: «Co do pana B., to mam nadzieję umieścić go w krótkim czasie».

Załączam tu drugi list w Waszej sprawie, który świeżo otrzymałem od p. Ramułta [1]), ten jest znacznie pewniejszy pan od poprzedniego, który jest i blagierem i trochę pustym człowiekiem. Ramułtowi na jego pytania odpiszcie zaraz. We Lwowie w istocie rozszerzają sieci tramwajów elektrycznych i, jeżeli to Wam pasuje, radziłbym brać. Pan Tomicki [2]) jest człowiekiem w istocie bardzo sympatycznym, trochę radykalnym i zawsze chętnie protegował socjałów, a przynajmniej żadnych im przeszkód nie stawiał, i przypuszczam, że przy Waszej pracy i sumienności moglibyście względnie łatwo z mniejszej gaży przejść na większą, a w każdym razie już byłaby zaczepka we Lwowie, skąd z większą łatwością moglibyście się wystarać o coś lepszego w Galicji.

Zatem serdeczne uściśnienie

Wasz J. Piłsudski.

III

Kochany Prezydencie! List Wasz otrzymałem. Akurat zbiegło się to z odpowiedzią jednego z tych panów, do których pisałem w Waszej sprawie. Oto, co mi odpisał:

«Co do sprawy Pańskiego znajomego, to naturalnie co mogę zrobię, ale upraszam, by Pan ten, jak najprędzej posłał mi ofertę, własną ręką pisaną po polsku, część listu po niemiecku, zawierającą curriculum vitae i p ł a c ę, p o b i e r a n ą w ostatnich czasach. Jest rzeczą naturalną, że

[1]) Ludwik Baldwin-Ramułt.

[2]) Inż. Józef Tomicki, dyrektor tramwajów we Lwowie, sympatyk ruchu niepodległościowego, były więzień polityczny w zaborze rosyjskim.

wszystko zrobię, by tego Pana jak najprędzej ulokować» [1]).

Pojutrze mam się z nim zobaczyć bo pisał mi, że, przejazdem będąc w Krakowie, będzie u mnie, rozpytam go też osobiście, co może zaproponować Wam.

Więc napiszcie do niego ową ofertę. Jest to pan Józef Weiser właściciel papierni w Sasowie pod Złoczowem (wschodnia Galicja).

W liście powołajcie się na mnie z imienia (Józef) i nazwiska, naturalnie traktując mnie per «pan», nie «towarzysz». Pan ten, do którego będziecie pisać, jest to narwaniec, taki austriacki Polak — brat jego jest posłem do parlamentu — dymisjonowany oficer, niebardzo wykształcony. O mnie naturalnie wie, że jestem socjalistą i wyobraża sobie, że jestem dla Królestwa coś w rodzaju Ignacego Daszyńskiego tutaj. Wie też, że zajmuję się z amatorstwa sprawami bojowymi i militarnymi, a że ten pan wyobraża sobie, że ma wielkie zdolności militarne, więc i tu daje mi nieraz rady mniej lub więcej niemądre. Do socjalistów w ogóle zasadniczego wstrętu nie ma, ale wolałby, by ich nie było na świecie. Co do mnie, pisałem mu o Was rzeczy następujące. Jesteście synem pastora, ukończyliście Darmsztadt, pracowaliście w Warszawie przy kolei i w Ostrowcu. Tam Was zastały wypadki rewolucyjne, przy których zostaliście wypadkowo skompromitowani, musieliście wyjechać. Stosunki więc pomiędzy nami, stosunki są nie natury partyjnej, lecz osobistej znajomości. Chociaż, gdy osobiście będziecie się z facetem widzieli, możecie śmiało przyznawać się do przynależności do PPS. w zaborze rosyjskim i nawet dla zaboru rosyjskiego być bardzo rewolucyjnym i powstańczym. Voilà c'est tout. Adresujcie do tego pana w sposób następujący:

W-ny J. Weiser
Sasów pod Złoczowem, Austria Galicja.

Uściśnienie serdeczne Wasz

Ziuk.

---

[1]) podkreślenia w oryginale.

PRZEDMOWA DO «MATERIAŁÓW DO HISTORII PPS. I RUCHU REWOLUCYJNEGO W ZABORZE ROSYJSKIM OD ROKU 1893 DO ROKU 1904».

«Materiały do historii P. P. S. i ruchu rewolucyjnego w zaborze rosyjskim od roku 1893—1904. Tom I. Rok 1893—1897». («Życie», Wydawnictwo dzieł społeczno-politycznych. Tom XI) Warszawa, 1907. Odbito w Drukarni Narodowej w Krakowie, 8-ka, stron VIII+367. Tom II. Rok 1898—1901 («Życie», Wydawnictwo dzieł społeczno-politycznych. Tom XVIII). Warszawa 1911. Odbito w Drukarni Narodowej w Krakowie, 8-ka, stron 2 nlb.+302. Dzieło to, wydane bezimiennie, wchodziło do serii prac, publikowanych pod firmą wydawnictwa «Życie», które zostało założone przez tzw. «starych» w P. P. S. w 1906 r., kiedy to w łonie partii zarysował się już przyszły rozłam na Frakcję Rewolucyjną i Lewicę. Autorem «Materiałów» był Aleksander Malinowski (1869—1922), jeden z najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego w pierwszym okresie rozwoju P. P. S., członek jej Centralnego Komitetu Robotniczego, aresztowany jednocześnie z Piłsudskim w Łodzi w lutym 1900 r. Przebywając na emigracji w Londynie, Malinowski opracował z niezmierną sumiennością i systematycznością materiały, znajdujące się w londyńskim archiwum P. P. S., uzupełnił je danymi, zebranymi na podstawie specjalnego kwestionariusza, i stworzył w ten sposób bardzo poważną podstawę dokumentalną do historii ruchu rewolucyjnego w zaborze rosyjskim. «Materiały» Aleksandra Malinowskiego są ułożone latami w ten sposób, że każdy rok obejmuje osobny dział, rozpadający się na dwa rozdziały. W pierwszym podano obraz życia wewnętrznego partii, w drugim zestawiono szczegóły, cyfry i daty, dotyczące finansów partii, jej wydawnictw, strajków, manifestacyj, obchodów, prześladowań rządowych itd. Cały materiał został sprawdzony i ustalony krytycznie.

We wstępie «Od Wydawców» czytamy: «Na prośbę naszą towarzysz Józef Piłsudski, jeden z twórców i najwybitniejszych działaczy partii, nakreślił kilka słów przedmowy». Przedmowa ta zajmuje I—VIII strony tomu pierwszego «Materiałów».

Historia wszystkich partii politycznych w zaborze rosyjskim uzna rok 1905 za rok przełomowy, rok, w którym się zaczyna nowy okres życia politycznego w kraju. Takim też był on i dla partii socjalistycznej. Rok rozpoczął się od strejku powszechnego, który odrazu wyniósł partię na wyżyny dyktatury moralnej w społeczeństwie w ogóle, a wśród klasy pracującej w szczególności. Odtąd zaczyna się okres półjawności

partii, poddającej kontroli publicznej ogromną część swego życia.

Do r. 1905 partia zmuszona była prowadzić robotę swą na kształt kreta — w podziemiach możliwie ścisłej konspiracji, — godząc się z wszelkimi wadami tego życia, przede wszystkim zaś z niemożliwością objęcia za pomocą organizacji sił, przez się poruszonych. Bez organizacji zaś partia nie mogła mieć poczucia siły własnej, poczucia, które jedynie daje pewność kroków, stawianych na arenie walk politycznych i społecznych. Z jednej strony odczuwanie wpływów partyjnych, sięgających niezmiernie szeroko w masie ludowej, z drugiej brak sprawdzianu dla swej siły i ogromne trudności przy jej użyciu — oto najcharakterystyczniejsza cecha życia partyjnego przed r. 1905. Ujemne strony takiego życia ciężarem swym gniotą partię, która wraz z całym społeczeństwem szamoce się w ponurem więzieniu, szukając nadaremnie zeń wyjścia i z konieczności ograniczając swą rolę przeważnie apostolską pracą rozsiewania światła samowiedzy wśród mas pracujących.

A jednak ten właśnie okres dziesięcioletniego życia w podziemiu przygotował wszystko, czym się partia szczyci lub z czego się smuci obecnie. Tam właśnie, w kretowisku rewolucyjnym, szukać należy zarodków zarówno triumfu, jak i porażek, błędów i zasług późniejszego okresu. I jedynie te dziesięć lat pracy przygotowawczej wytłumaczyć nam mogą, dlaczego w zaraniu rewolucji podczas pierwszej większej batalii ludu roboczego z przemocą carską — w styczniu 1905 r.— wzrok wszystkich, tęskniących do swobody, zwrócił się nie do kogo innego, lecz właśnie do Polskiej Partii Socjalistycznej, która, jakeśmy to zaznaczyli, od razu zdobyła stanowczą przewagę nad wszystkimi partiami w Polsce.

Dopóki okres ten był życiem samym, trudno było o historię, zaznajamiającą z ukrytą działalnością partii. To też dwie próby w tym kierunku — Pięciolecie PPS. [1]) i praca Mazowieckiego [2]) — nic wspólnego nie mają z tym, co nazwać można historią. Pierwsza jest właściwie sprawozdaniem partyjnym z różnych działów pracy, druga zaś należy do kategorii historii à la Iłowajskij, pisanych ad usum, tym razem nie del-

[1]) Wydana w Londynie w r. 1900 bezimiennie, a napisana przez Stanisława Wojciechowskiego broszura sprawozdawcza «Polska Partja Socjalistyczna w ostatnich pięciu latach».

[2]) «Historja polskiego ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim», napisana przez Ludwika Kulczyckiego, a wydana w Krakowie w r. 1904 pod pseudonimem Mieczysława Mazowieckiego.

phini, lecz suum. Poza tym zanotowaćby można parę artykułów w pismach, mających za zadanie oświetlić czy ocenić — przeważnie z polemicznego punktu widzenia — działalność partii w owym okresie.

Co prawda, każdemu, chcącemu pracować w tej dziedzinie, nasuwa się natychmiast ogromna przeszkoda. Mianowicie, brak prawie zupełny źródeł. Poza rocznikami pism, osobistymi wrażeniami lub wspomnieniami, nie ma nic, coby mogło służyć za podstawę sumiennej pracy historycznej. Krecie życie, bez słońca jawności, stwarzało wokoło partii mgłę tajemniczą, która ukrywała zarówno ujemne, jak i dodatnie strony pracy partyjnej, dając nieraz sposobność do tworzenia legend lub też najzwyklejszych plotek.

Towarzysz M., który «magna pars fuit» tej przeszłości, odczuł ten brak i postanowił zebrać materiały do historii PPS. od 1893 do 1904 r. Z pietyzmem człowieka, szanującego pracę społeczną, w najtrudniejszych prowadzoną warunkach, lat kilka zbierał okruszyny danych, mających wartość historyczną, a rozsypanych w listach, pismach, wspomnieniach kolegów i współtowarzyszów. Dane, zebrane w ten sposób, zostały przezeń posegregowane, złączone w tablice i tak dalej, jako materiały dla przyszłego historyka. Niektóre z nich w postaci cyfr, opisu wypadków i tak dalej mają wartość obiektywną, inne w postaci wyciągów z listów — subiektywną, gdyż dają nam poznać, jak o swojej pracy myśleli, jakie z niej wysnuwali wnioski ci lub owi przywódcy partyjni.

Nie jest to więc historia, lecz tylko materiały do historii, dają one jednak dokładny obraz rozwoju partyjnego. Widzimy więc, jak zrazu wolno, potem coraz szybciej mnożą się ośrodki ruchu socjalistycznego po całej Polsce, jak socjalizm zdobywa sobie prawo obywatelstwa w umysłach i sercach ludzkich i staje się siłą, z którą każdy wróg czy przyjaciel liczyć się musi. Poznajemy metodę działania partyjnego — metodę agitacji za pomocą druku i szeroko rozpowszechnianej bibuły, metodę pobudzania mas do walki na wszystkich polach dostępnych. Metoda ta daje szybkie rozszerzanie się socjalizmu, budzenie ducha oporu i samowiedzy klasowej, lecz — niestety — ogromna większość sił zdobytych zostaje poza partią, nie daje się zorganizować, ująć w ramy partyjne.

I oto już od 1897 r. zaczyna się wieczna skarga, w ustach przywódców: skarga na bezsilność, pomimo pewności, że siły istnieją wszędzie, wszędzie są rozsypane. Jest to siła moralna jedynie, nie fizyczna, siła rozproszkowana, niezorganizowana. I widzimy to szamotanie się w poszukiwaniu ujścia dla sił,

przez siebie zrodzonych, widzimy próby reorganizacji partyjnej, które na pewien, krótki jedynie, czas wystarczają. Wreszcie odczuwamy to przekleństwo życia ludzkiego — brutalny, barbarzyński ucisk caratu. Widzimy, jak ciężka jego łapa rwie ustawicznie misterne roboty organizacyjne partii, jak pod wpływem aresztowań plączą się nici, wiążące ludzi dla wspólnej pracy, jak ciężkim i mozolnym jest zatkanie luk, zaleczenie ran, zadawanych nieustannie organizacji.

Na zakończenie zaznaczyć trzeba nadzwyczajny obiektywizm, z którym praca jest dokonana. W czasach obecnych, gdy brak tolerancji staje się wadą, pożerającą siły całych partii i stronnictw, z przyjemnością czyta się pracę, gdzie z całą starannością dbano o spokój i bezstronność, gdzie niema ani krzty inkwizycyjnego badania sumień ludzkich. Autor, mając materiał, zawierający prawdopodobnie dużo spraw i zatargów osobistych, usunął całkowicie wszystko, co mogło dać powód do plotki lub do sądu o ludziach bez rzeczowego na to dowodu.

LIST DO WITOLDA JODKI-NARKIEWICZA

List ten został zacytowany w dłuższych wyjątkach przez Władysława Pobóg-Malinowskiego w pracy jego «Akcja bojowa pod Bezdanami» str. 13—15. Tekst listu podajemy w całości według oryginału, zachowanego w Archiwum P. P. S. — Dr Witold Jodko — jeden z założycieli P. P. S. i wybitny kierownik jej zagranicznej organizacji, związany z J. Piłsudskim długimi latami ścisłej współpracy.

Zakopane, 1. XII. 1907 r.

Mój Drogi! Wróciłem teraz na parę dni z kraju [1]) i chciałbym podzielić się z tobą pewnymi wrażeniami, z których zresztą wypływają i pewne praktyczne konsekwencje czy propozycje. Położenie w ogóle wydaje się niezmienione w porównaniu z niedawną przeszłością, którą znasz, są jednak i zmiany, nad któremi warto się trochę zastanowić. Przede wszystkim więc coraz widoczniejszym jest, że z pomiędzy partyj socjalistycznych zaczynamy wysuwać się na czoło, i nie dlatego, żebyśmy dobrze stali — lecz bodaj głównie dlatego,

[1]) Z kraju — z zaboru rosyjskiego, gdzie do najważniejszych prac J. Piłsudskiego w tym okresie należały przygotowania do akcji bezdańskiej.

że inni stoją coraz gorzej i coraz podlej. Drugie — partia sama zaczyna się przyzwyczajać już do skromnych rozmiarów skromnego «Standart of life» [1]) i niewymagania od niektórych ludzi, by koniecznie ojczyznę ratowali — ostatniemu mnie zrobiono tę propozycję i stanowczo odmówiłem — o czym zresztą potem. Z tych dwóch rzeczy wynikają też dwie konsekwencje, że a) w obozie socjalistycznym ten wygra, kto przetrwa, i my dajemy najwięcej rękojmi, że zbudowani jesteśmy z najmniej kruchego materiału i że to przetrwanie względnie jest łatwiejszym niżby się wydawało na razie. Są jednak chmury na tym horyzoncie. Naprzód o jednej mniejszej: jest nią brak ludzi do kierowniczych ról — Roland [2]) i Paweł [3]) stanowczo twierdzą, że po Nowym Roku kończą służbę i, chociaż już nie uważają, by koniecznie im niańka potrzebna była, jednak muszą być choć częściowo zastąpieni — mówię częściowo, bo jestem przekonany, że stopa życiowa jeszcze niżej opaść może bez wielkiej szkody dla samego przetrwania. Trzeba więc gwałtownie starać się choć o jednego, dwóch trochę rutynowanych ludzi, którzy mogliby zająć centralne stanowisko czy to jako Centralny Komitet czy Wydział Organizacyjno-Agitacyjny to już mniejsza. Możebyś ty kogo miał na myśli, ja wymyśliłem jednego, Edwarda III — Comberka [4]) i do niego napisałem, prosząc, by przyjechał, choć na czas pewien. Pieniężnie, wobec małych wymagań, ludzie są zapewnieni na jakieś 3—4 miesiące, a nie bez tego, by przez ten przeciąg czasu nie zdobyłoby się jeszcze zapewnienia na następnych parę miesięcy. Wobec tych skromnych potrzeb partyjnych bardzo mi się uśmiecha myśl szkoły agitacyjnej, do którejby wybrano do 10 facetów, którzy aż nadto dobrze wypełnialiby funkcje okręgowców, a może i Wydziału Organizacyjno-Agitacyjnego, boby po prostu po szkole mieli pewien materiał do prowadzenia sprawy agitacyjnej tak, jak jest ona postawiona obecnie. Bardzobym chciał, byś zgodnie z propozycją CKR. tą rzeczą się zajął, stworzyłoby to pewną «entente cordiale» [5]) na przyszłość i dało możność postawienia sprawy odpowiednio do stopy życiowej, a nie do dobrych, ale niepraktycznych ideałów szkoły, o jakiej marzą nasi młodzi następcy w CKR. Chcą oni przecie do tego ściągnąć nieledwie

[1]) Stopa życiowa.
[2]) Stanisław Jędrzejewski, członek C. K. R. P. P. S.
[3]) Mieczysław Dąbkowski — członek C. K. R. P. P. S.
[4]) Marian Dąbrowski, członek Organizacji Zagranicznej P. P. S., przebywający wówczas w Brukseli.
[5]) Porozumienie serdeczne.

cały świat socjalistyczny i zmusić go tańczyć koło 10 ludzi — za dużo hałasu o rzecz względnie drobną. Zresztą o tym nie będę mówił, bo to już byłaby twoja rzecz. Co do mnie, to chcę tylko, by faceci przy tym przeszli i szkołę bojową i żeby w szkole panował rygor bojowy. Tutaj z CKR. trochę się rozeszłem, gdyż oni, zgadzając się na to, chcieliby, by szkoła bojowa była dopiero po egzaminie z agitacyjnych przedmiotów — uważam to za bzdurstwo, wolę, by jedno z drugim chemicznie było zlane, nie mechanicznie doczepiono i zaznaczono przy tym, że to składowa część uświadomienia w naszych warunkach i że nie pociąga to za sobą wstąpienia do bojowej organizacji — przeciwnie. Prosiłbym ciebie zawiadomić mnie, czy się zgadzasz na objęcie kierownictwa w szkole, bo, gdybyś dlaczegokolwiek uważał to dla siebie za niemożliwe, pogadałbym o tym z Władkiem [1]) we Lwowie, gdzie zgodnie z opinią CKR. ma być szkoła. Wobec tego, że odpowiedź listowna na to pytanie nie może trafić do mnie, bo wyjeżdżam za parę dni, więc proszę cię o telegraficzną odpowiedź do Lwowa na czwartek na adres Władka — Hausnera 5, gdzie w razie odmowy twojej rozmówiłbym się z nim szczegółowo o sprawie. Tyle co do tej chmury. O innej, większej, szerzej nieco. Jest to zupełny brak u nas roboty przyszłościowej, roboty przygotowawczej na przyszłość. Boję się, że jeżeli tak dalej pójdzie to potrafimy przetrwać te czasy, ale, gdy nastąpią inne, lepsze, a w to wierzę święcie, to znowu będziemy oddani na łaskę i niełaskę różnych lewicowców i temu podobnych kruchych elementów, którzy w lepszych czasach napłyną do nas, jako do jedynego warsztatu pracy. W tej robocie przyszłościowej mamy nieco ułatwione zadanie w porównaniu z przeszłością, bo możemy mówić i jaśniej i wyraźniej, możemy — a nawet ze względów konkurencyjnych musimy — być szczersi i bezwzględniejsi niż dawniej, i dlatego będziemy przygotowywali ludzi odpowiedniejszych do czynu potrzebnego, niż to było przed rewolucją. Trzeba to jednak zacząć robić, trzeba mówić, pisać, wyjaśniać, na razie zaś głównie wyjaśniać przeszłość, tłumaczyć ją i przeprowadzić przez ten sprawdzian istotnego życia politycznego, jakim były ostatnie trzy lata, nasze zasady i postulaty. Naturalnie, do stałego oddziaływania potrzebnym by było pismo jak «Przed-

[1]) Aleksander Malinowski, b. członek C. K. R., jeden z najbliższych współpracowników J. Piłsudskiego, aresztowany w r. 1900 w Łodzi jednocześnie z wykryciem drukarni «Robotnika», przebywający w tym czasie we Lwowie.

świt» [1]), jednak kiedy ono będzie i czy będzie, to kwestia zresztą nie wypełni ono na razie zadania szybkiego rozpowszechnienia pewnych myśli krytycznych co do przeszłości świeżo przeżytej. Gdybyś ty widział tę młodzież w uniwersytetach rosyjskich — a Polaków tam mnóstwo z powodu zamknięcia uniwerku w Warszawie, — jak chodzą oni jak błędne owce, nie wiedzące nic co czynić, lecz co myśleć o przeszłości i przyszłości, tobyś odczuł, jak potrzebnym jest oddziałanie na nią. Zaprojektowałem więc szereg broszur politycznych, omawiających te sprawy, poddających rewizji możliwie wszystkie główne podstawy myślenia PPS-owego do niedawna i wykazujące, o ile nasze dowodzenia dawniejsze sprawdzały się w życiu, albo też, gdy się nie sprawdzały, to dlaczego i czy w ostatnim razie dają się usunąć. CKR. zgodził się z tą myślą. Oto są projektowane przeze mnie broszury: 1) Dążenia decentralizacyjne w państwie rosyjskim w czasie rewolucji. 2) Kraje podbite otrzymują minimum wygranej rewolucyjnej w porównaniu z zaborcami. 3) Moskalofilstwo naszego postępu i socjalizmu jako wynik naszej słabości wewnętrznej. 4) Wspólne życie zaborców w przeciągu rewolucji. 5) Historia partyjna ostatnich dwóch lat. 6) (CKR-owy projekt) Broszura, uzasadniająca na podstawie historii rewolucji u innych narodów oraz naszej własnej, konieczność użycia siły, jeżeli się chce zdobyć coś — wartość zdobytego w porównaniu z darowanym, oraz myśli, że tej siły w tej rewolucji użyto za mało, by mogła doprowadzić do celu — broszura jednym słowem uzasadniająca naszą taktykę. CKR. postanowił prosić ciebie, byś napisał ostatnie dwie broszury, otrzymując po 25 guldenów za arkusz druku. W Historii, która z konieczności traktowaną być musi nie jako historia, lecz szkic jedynie — bardziej publicystycznie — należałoby zdaniem moim wyraźnie powiedzieć, że kierunek lewicowy w PPS jako kierunek słabości był odpowiednikiem prawnym poczucia słabości, istniejącego w całym społeczeństwie, w którym hipnoza wszechpotęgi Rosji i rządu jej oraz własnej bezsilności i przyzwyczajenie do niewoli nie minęły i kazały się spodziewać czegoś od kogoś, a nie od siebie samych — nieśmiałość myśli politycznej. Gdybyś jeszcze dodał do tego tło — panowanie w umysłach socjalizmu niemieckiego z jego uznawaniem jedynie «action indirecte» [2]) to taka broszura byłaby zupełnie na czasie. Tylko

[1]) «Przedświt», zawieszony jesienią r. 1905, wznowiony przez P. P. S. (Frakcję Rewolucyjną) w styczniu 1907 (wyszły dwa nry), począł znowu regularnie wychodzić od stycznia 1908 r.

[2]) Akcja pośrednia.

żadnych zbytnich napaści na robotę lewicową, owszem — uznawanie jej zasług w sferze agitacji, przygotowania mnóstwa ludzi do socjalizmu, lecz atak na kierunek, który należy usprawiedliwiać tchórzliwością i niewolnictwem całego społeczeństwa, specjalnie zaś literatów naszych, skąd nieraz czerpano natchnienie. Wobec tego kurs zygzakowaty, miotanie się i rzucanie na strony. Udowadniać to uchwałami Zjazdów, Rad, sporami z nami, wyciągami z artykułów et caetera. Napisz, czy się zgadzasz na napisanie tych broszur — byłyby bardzo i bardzo na dobie. Rozmawiałem z Bolkiem [1]) o tym. On proponuje, by to był dalszy ciąg «Życia» [2]) tamci chcieli wydać to partyjnie — i jedno i drugie ma swoje dobre i złe strony i nie umiałbym na cokolwiek się ostatecznie zdecydować. Bolek proponuje dodać o wpływach niemieckiej socjalnej demokracji na międzynarodowy ruch robotniczy — to też byłoby odpowiednie, bo stanowczo należy tę stronę życia naszego oświetlić i zerwać, o ile możności, z tradycją niemiecką. Baj mówił, że są dłuższe artykuły paru pisarzy, którzy tę właśnie kwestię rozpatrywali, zachwycał się specjalnie jednym z nich, jakimś Michelsem, możeby to wprost przetłumaczyć. Będę tutaj z powrotem na Święta Bożego Narodzenia, może mi w tych wszystkich sprawach szerzej odpiszesz na ten czas. Adres mój — Zakopane, Krupówki Hygea u Pani Turzymy [3]).

Co do mnie, to pracuję teraz nad dwiema rzeczami: a) zrobieniem monety, jako kapitału zakładowego na przyszość i b) agitacją, jak ją nazywam, militarną, czyli agitacją za uczeniem się i przygotowywaniem się do bojowych zadań rewolucji przyszłej. Bałem się, że to będzie śmiesznem, tym czasem ku wielkiemu memu zdumieniu znajduję ludzi, którzy chętnie o tych rzeczach słuchają. Gdyby mi te dwie rzeczy udały się choć w części — w pierwszej określiłem sobie minimum 300.000, w drugiej — otrzymanie w rezultacie choćby pewnego prądu myślowego w tym kierunku i zainteresowanie się tą sprawą u młodzieży i ludzi — byłbym zupełnie zadowolony. Mógłbym wówczas spokojnie popracować nad stworzeniem czegoś bardziej odpowiedniego do celów, niż obecna bojówka.

---

[1]) Bolesław Antoni Jędrzejowski (Baj), jeden z najstarszych i najbardziej doświadczonych działaczy P. P. S., długoletni sekretarz jej organizacji zagranicznej.

[2]) «Życie» — krakowskie wydawnictwo broszur i dzieł, pisanych przez członków P. P. S., poświęconych najaktualniejszym zagadnieniom, a publikowanych bez firmy partyjnej.

[3]) Turzyma — pseudonim literacki członkini P. P. S. (sekcja galicyjska) Marii Wiśniewskiej.

Ale to muzyka przyszłości. Poza tym najeżdżam do Warszawy na parę dni od czasu do czasu na posiedzenia centralne z instytucjami, no i pomagam im trochę w czym mogę. Takie najazdy w obecnych czasach wystarczają, chociaż naturalnie nie dają tego, co się nazywa polityką partyjną (poza prasą), bo chłopcy zajęci są zbyt codziennymi sprawami, by się imali czegoś innego. Kiedy wyjeżdżałem, to CKR. był zapewniony ze swymi wszystkimi robotami do końca stycznia, włączając w to szkołę agitacyjną. Teraz wzięto 11 tysięcy [1]), więc przybywa jeszcze jeden lub 1½ miesiąca wraz z możliwością ulepszeń i dodatków w dotychczasowym skromnym budżecie. Bojówka też zapewnioną ma egzystencję i oczyszczona w wielkim stopniu od długów lokalnych, które więcej niż co innego sławę złą mogły zostawiać na miejscach. To już dużo. To daje nawet możność myślenia o czymś lepszym. No to wszystko, com miał ci napisać. Więc depeszuj do Władka, czy obejmujesz szkołę agitacyjną, i pisz mi o moich projektach broszurowych. Bywaj, uściśnienia, ukłony Żonie. Żona moja pozdrowienia łączy Wam obojgu. Twój Ziuk.

POMOC DLA WYGNAŃCÓW

Artykuł ten został napisany przez J. Piłsudskiego w latach 1907—1908 (ściślejszej daty nie dało się ustalić) dla wydawnictwa pamiątkowego Czerwonego Krzyża Pomocy Więźniom Politycznym. Instytucja ta, znajdująca się pod wpływem Polskiej Partii Socjalistycznej, zajmowała się gromadzeniem funduszów, obracanych na pomoc więźniom i zesłańcom politycznym w zaborze rosyjskim oraz ich rodzinom. Wydawnictwem tym miał się zająć Aleksander Malinowski, ale nie doszło ono do skutku. Podstawą do umieszczenia tego artykułu w tomie niniejszym było ogłoszenie go przez Wacława Lipińskiego p. t. «Sybirne męczeństwo» w «Gazecie Polskiej» z 19. III. 1935. Zachowujemy tytuł autografu ze zbiorów Leona Wasilewskiego.

O znaj ty nasze męczeństwo sybirne
Żelazem dłonie i ręce zakute.
Wyspiański.

Jedną z często używanych kar dla przestępców politycznych jest w Rosji wygnanie czyli zsyłka. Według uproszczo-

[1]) W akcji bojowej pod Ostrowcem (napad na furgon pocztowy) 28 listopada 1907 r.

nego, tzw. administracyjnego, sposobu karę tę wymierza się co rok setkom ludzi z różnych warstw ludności. Wygnanie trwa określoną w wyroku liczbę lat, a nadto pociąga po powrocie trwający pewien czas dozór policyjny oraz ograniczenie swobody w wyborze miejsca zamieszkania. Jako miejsce wygnania wybrane są przez rząd kraje mało zaludnione, stojące na niskim poziomie kulturalnym. Tradycyjnym miejscem wygnania dla bardziej oskarżonych przestępców jest Syberia — ta druga ojczyzna Polaków. Oprócz tego używane są w tym celu północne gubernie Rosji: Archangielska, Wołogodzka i Wiacka. Poza tym całe mnóstwo drobniejszych przestępstw jest karane przez wydalenie z granic Polski do wewnętrznych gubernii rosyjskich na rok lub dwa. Pominę zupełnie w swym artykule tę ostatnią karę, gdyż skazani na nią, chociaż znieść muszą nieraz duże przykrości i podlegają różnym ograniczeniom, jednak z pewną łatwością mogą dać sobie radę bez pomocy postronnej, bez poparcia tych, z którymi wiąże ich wspólna praca, pokrewieństwo ducha lub ciała.

Inaczej jest z tymi, którzy podlegli karze cięższej — zsyłce na północ lub Sybir. Ci skrępowani są nie tylko przez dzikie prawa i prawidełka rządowe, lecz i przez warunki życiowe, w które przemocą zostali wtrąceni. Ci oddaleni są o tysiące wiorst, nieraz bardzo trudnych do przebycia, od wszystkiego, co jest im drogie, od tych, co nawzajem ich kochać i wspierać w potrzebie mogą. Ci wreszcie, będąc w cięższym znacznie położeniu, są zarazem najbardziej pozbawieni pomocy i poparcia ze strony społeczeństwa. Więźniowie najczęściej mają taką lub ową pomoc, jeśli i nie od krewnych i przyjaciół, to od współtowarzyszy, na swobodzie zostających, lub towarzystw, opiekujących się więźniami politycznymi, wygnańcy zaś, o ile nie zostawili bardzo bliskich przyjaciół w kraju, albo krewnych, troszczących się o nich, są najczęściej w zupełności pozostawieni własnemu losowi.

Pomoc więzienna, zdaniem moim, powinna rozszerzyć swą działalność i na wygnańców, powinna zorganizować usiłowania poszczególnych ludzi i stać się pośrednikiem pomiędzy rodzinami wygnańców, które zbiorowymi siłami znacznie taniej i skuteczniej pomoc swym bliźnim na wygnaniu nieść mogą. Pomoc ta powinna być dwojaką: materialną i duchową.

Przede wszystkim więc o pierwszej z nich. Każdy z wygnańców musi być przygotowany na to, że jego stopa życiowa obniżyć się musi na wygnaniu. Rząd zwykle wydaje wygnańcom tzw. «posobje» — zapomogę. Wielkość tej zapomogi jest rozmaitą, zależną od miejsca wygnania, wszędzie jednak jest

Pomoc dla Wygnańców.

Ozwij się nasze wygnaństwo tysiączne
Żelazem dłoni i serce zakute.
Wyspiański.

Jedną z często używanych kar dla przestępców politycznych jest w Rosyi wygnanie czyli zsyłka. Według uproszczonego, tak zwanego administracyjnego, sposobu kara ta wymierza się co rok setkom ludzi z różnych warstw ludności. Wygnanie trwa określoną w wyroku liczbę lat, a nadto pociąga ~~za sobą~~ trwający pewien czas dozór policyjny po powrocie, oraz ograniczenie swobody w wyborze miejsca zamieszkania. ~~Miej~~ Jako miejsce wygnania wybrane są przez rząd kraje mało zaludnione, stojące na niskim poziomie kulturalnym. Tradycyjnem miejscem wygnania dla bardziej obciążonych przestępców jest Syberya — ta druga ojczyzna polaków. Oprócz tego używane są w tym celu północne gubernie Rosyi: Archangielska, Wołogodzka i Wiacka. Poza tem całe mnóstwo drobniejszych przestępstw jest karane przez wydalenie z granic Polski do wewnętrznych guberniji rosyjskich na rok lub dwa. Pominę zupełnie w naszym artykule tę ostatnią karę, ~~jako~~ gdyż skazani na nią chociaż mieszkają nieraz dość przykrości i podlegają różnym ograniczeniom, jednak z pewną łatwością dać sobie radę mogą bez pomocy postronnej, bez poparcia tych, z którymi wiąże ich wspólna praca, pokrewieństwo ducha lub ciała.

Inaczej jest z tymi, którzy podlegli karze cięższej — zsyłce na północ, lub Sybir. Ci skrzywdzeni są nie tylko przez dzikie prawa i gospodarka rządowe, lecz i przez warunki życiowe, w które przemocą zostali wtrąceni. Ci oddaleni są ~~setk~~ o tysiące wiorst, niewiele bardzo trudnych do przebycia, od wszystkiego

Facsimile artykułu J. Piłsudskiego „Pomoc dla wygnańców"
Fotografia strony 1-szej

ona tak niską, że nawet na bardzo skromne utrzymanie zaledwie starczyć może. Osobiście byłem na wygnaniu w dwóch miejscach: na północy i południu gubernii Irkuckiej — w Kireńsku i Tunce. Na północy dawali nam 15 rubli, na południu 10 rubli miesięcznie. Różnica cen, jednak tak była wielka, że za 10 rubli w Tunce łatwiej było przeżyć niż za 15 rubli w Kireńsku. Lecz i tu i tam jedynie przy nadzwyczajnej oszczędności, przy pozbawianiu siebie najniezbędniejszych rzeczy, przy obcinaniu wydatków na jedzenie, światło, ubranie itd. można było utrzymać się za te psie pieniądze. O ile słyszałem od różnych kolegów wygnania, w innych miejscach jest tak samo.

Zarobkowanie jest na wygnaniu ogromnie utrudnionym. Zwykłym miejscem wygnania są miasteczka i wioski sybirskie, oddalone od świata, zaludnione przez mieszkańców, o nadzwyczaj niskim poziomie potrzeb, zadawalanych przez własną pracę i przemyślność. Wobec tego człowiek postronny najczęściej nie ma co tu robić, nie ma dla kogo pracować, a zatem i zarabiać nie może. Najlepsi rzemieślnicy, nawet gdyby mieli swe narzędzia, są skazani na drobne i rzadko się zdarzające zarobki. A już inteligentny proletariusz, o ile zresztą nie jest lekarzem, któremu pozwolono praktykować, myśleć nawet nie może o znalezieniu zarobku, gdyż rzadkie wypadki, gdy można znaleźć pracę w biurze urzędowym, nie mogą być brane w rachubę.

Potrzebną więc jest pomoc materialna. Z pieniędzmi jednak trzeba być ostrożnym. Rząd, wydając wspomniane wyżej «posobje», nie pozwala na to, by otrzymujący zapomogę rządową wygnaniec mógł mieć jeszcze dodatkowe pieniądze ze strony. Najczęściej pieniądze takie albo są konfiskowane, albo też «posobje» odpowiednio jest zmniejszane. Nieostrożna więc pomoc nie polepsza w niczym położenia wygnańca. Wysyłając pieniądze, należy mieć wyraźne wskazówki adresata, jak pieniądze mają być wysłane. Najczęściej musi do tego użytym być pośrednik — w większości wypadków zamożniejszy towarzysz, który «posobja» nie bierze i zatem wolny jest od ograniczeń przy otrzymywaniu pieniędzy z poczty.

Lecz bodaj największą rację mają posyłki, zawierające różne przedmioty użytkowe, trudne nieraz nawet do kupienia w różnych miejscach wygnania. Mocne i trwałe odzienie i obuwie, bielizna, papier do pisania, książki, lepszy tytoń dla palaczy, kawa lub kakao, lecz głównie ubranie, stanowiące

w budżecie wygnańca nadzwyczajny wydatek, wyprowadzający go z równowagi — oto co jest bardziej często potrzebne niż pieniądze, bo i za pieniądze nieraz w zapadłym kącie sybirskim nabyć nie można tych rzeczy. W tym właśnie celu dobrze byłoby łączyć usiłowania rodzin wygnańców w jedno z pomocą towarzystw, wspierających więźniów i wygnanców, gdyż na takim połączeniu wygrać można na transporcie tych rzeczy w kraje tak dalekie.

Byłoby dobrze, gdyby można było w centralnych punktach gubernii, służących dla wygnania: Archangielsku, Wiatce, Wołogdzie, Tobolsku, Tomsku, Krasnojarsku, Irkucku i Jakucku — mieć zaufane osoby, które, otrzymując wysyłane z kraju rzeczy «en masse», zajęłyby się doręczeniem ich poszczególnym adresatom. W ten sposób zyskałoby się dużo na frachcie kolejowym do tych centralnych punktów i zaoszczędziłoby się dużo pieniędzy, wydawanych obecnie na kosztowne posyłki pocztowe do tego lub owego wygnańca.

Jeszcze ważniejszym jest pomoc duchowa, dostarczenie wygnańcom strawy duchowej, której tak brak na wygnaniu. Proszę sobie tylko wyobrazić położenie wygnańca w Syberii lub na północy Rosji. Wyrwany przemocą z otoczenia, z którym się zrósł, zżył i związał tysiącami nici, w którym spełniał tę lub ową funkcję, wywierał taki lub inny wpływ, wygnaniec rzucony jest w pustkę ogromną. W duszy jego te nici, brutalnie zerwane, sprawiają ból, brak bowiem jest dla nich odpowiednika już nie mówię czynnego udziału w życiu, lecz nawet biernego — wiadomości o nim. Czasu ma on mnóstwo — drobiazgi życiowe, kłopoty materialne nie są w stanie go napełnić. I oto powstaje gwałtowna chęć znalezienia czegoś, co tę pustkę by zapełniło. Jedni, więcej czynni, uczą się, bawią się w archeologię, etnografię, stają się szperaczami przyrody, inni — a tych jest większość — biernie poddają się wpływowi osłupiającego otoczenia, kwaśnieją lub zabijają czas w sporach, gawędach bezpłodnych i kłótniach.

W tych warunkach każda wiadomość ze świata tak dalekiego, a tak bliskiego zarazem, nabiera ogromnego znaczenia. Zwyczajny list, na który w zwykłych warunkach człowiek prawie nie reaguje, wyrasta tam do znaczenia wypadku ważnego w życiu, wypadku, którego wrażenie nieprędko mija. Gdyby ludzie wiedzieli, jak listy na wygnaniu są oczekiwane, z jakim przejęciem są czytane i odczytywane, gdyby ludzie w stanie byli to odczuć, chybaby się nie ociągali z pisywaniem możliwie częstym do swych przyjaciół i krewnych na wygnaniu. Naturalnie, im więcej jest w listach o tym życiu, w któ-

rym niegdyś żył wygnaniec w kraju, im obfitszym jest w dane o towarzyszach i stanie roboty, za którą wygnaniec był wysłany, tym żywszą jest radość, tym mniejszym ból, spowodowany zerwaną łącznością z dawnym życiem.

Rozumiem dobrze, że sprawa ta przede wszystkim powinna być pozostawiona inicjatywie i dobrej woli krewnych czy przyjaciół wygnańca. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na możliwie częste korzystanie z okazji do tego lub owego punktu w Syberii i północy Rosji w celu przesyłania tam wydawnictw nielegalnych, które stanowią jedną z najwyższych radości dla wygnańców. Pod tym względem koledzy - Rosjanie są uprzywilejowani. Bibuła rosyjska łatwiej dochodzi i dociera do najdalszych zakątków. Polacy zaś są pozostawieni pod tym względem na łasce swoich krewnych i przyjaciół. I słyszałem nieraz o skargach na brak bibuły polskiej, brak odczuwany dotkliwie przez wygnańców. Ręczę, że prawie każdy z nich ująłby cokolwiek z przyjemnością nawet ze swego, ledwie wystarczającego budżetu, byleby mieć od czasu do czasu w swym ręku nielegalne wydawnictwa, świadectwa życia i rozwoju tej sprawy, za którą cierpią.

Oprócz tego nadzwyczaj są ważne pisma legalne i książki. Dla człowieka inteligentnego stanowią one konieczność. Bez nich człowiek traci zupełnie związek z życiem duchowym swej ojczyzny, z życiem, które przecie nie stoi na miejscu. I właśnie to poczucie wygnańca, że z dniem każdym coraz szersza tworzy się luka w jego współżyciu ze społeczeństwem, że po powrocie być może znajdzie w sobie niezdolność do odczucia i zrozumienia nowo-powstałych potrzeb i dążności, że wreszcie praca duchowa, tak ściśle u ludzi ze społecznymi instynktami związana ze społeczeństwem, będzie stracona na marne, bo brak jej związku z życiem społeczeństwa — poczucie to, powiadam, stanowi jedną z najboleśniejszych ran wygnania. I jedynym na to lekarstwem jest wysyłanie stałe pism i świeżych książek do wygnańców.

Dla robotników znowu — a tych przecie na wygnanie idzie obecnie mnóstwo — książka i pismo ma również ogromne znaczenie. Na wygnaniu każdy z nich ma sposobność znakomitą dla zapełnienia luk w swym wykształceniu. Przy pomocy inteligentniejszych towarzyszów, z którymi obcowanie nie jest utrudnione, jak na swobodzie, przy porządnym doborze książek, każdy z nich łatwo może przy pracy stać się nie gorszym inteligentem od patentowanego i dyplomowanego kolegi wygnania. Spotykałem takich, którzy wygnanie błogosławią właśnie za to.

I pod tym względem koledzy - Rosjanie, stanowiący zawsze w koloniach wygnańczych większość, są uprzywilejowani w porównaniu z Polakami. W każdej kolonii są i pisma rosyjskie, i książki. Nigdym w życiu nie czytał tyle po rosyjsku, jak w ciągu mych pięciu lat wygnania, i przeciwnie nie ma chyba miesiąca w mym życiu poza wygnaniem, w którym bym nie przeczytał polskim językiem zadrukowanego papieru więcej, niż za całe owe pięciolecie.

Sprawa pomocy wygnańcom polskim gwałtownie potrzebuje naprawy. Towarzystwo Pomocy Więźniom Politycznym dotąd zanadto jest zaabsorbowane pomocą lokalną — więźniom i wysyłanym na wygnanie. Żeby rozszerzyć swą działalność i na wygnańców, żeby dotrzeć z pomocą i do głuchych zakątków Syberii lub północnej Rosji, Towarzystwo wymagać musi większego współudziału społeczeństwa w jego szlachetnej i pięknej pracy. Jestem zaś przekonany, że nawet przy niewielkich wysiłkach zbiorowych, przy zorganizowaniu pojedyńczych usiłowań, w tym kierunku czynionych, dużo, bardzo dużo dałoby się zrobić dla ulżenia losu tych, co, snując dalej tradycyjną nić walki o wolność w naszej ojczyźnie, snują też i krwawo się w naszych dziejach znaczącą nić «męczeństwa sybirnego».

JAK MAMY SIĘ GOTOWAĆ DO WALKI ZBROJNEJ

«Robotnik» nr 226, str. 1—2 z 4 lutego 1908.

Autorstwo tego artykułu mogło być stwierdzone dopiero po nadejściu z Londynu w 1931 r. reszty przechowywanego tam Archiwum P. P. S., a w niej rękopisu Leona Wasilewskiego «Historja Roba P. P. S. F. R. (30. XI. 1906—2. VIII. 1909)», gdzie wymienione zostały nazwiska autorów wszystkich artykułów «Robotnika», w tym okresie drukowanych.

Olbrzymi ruch ludowy, zwany rewolucją w państwie rosyjskiem, nie osiągnął dotąd swego celu. Carat osłabiony, poczyniwszy liczne ustępstwa, zdołał zorganizować zdemoralizowane swe siły i potrafił odnieść nad rewolucją zwycięstwo, by potem cofnąć możliwie dużo reform i zmian, zarządzonych w chwili słabości. I każdy z tych, co żył w epoce zwycięstw rewolucji, pomimo woli szuka odpowiedzi na pytanie, dlaczego stało się tak, a nie inaczej, dlaczego nadzieje się nie ziściły i po

świcie jasnym i różanym nie zabłysło na niebie słońce, lecz nastąpił pochmurny szary dzień jesienny.

Dlaczego? Jak w każdej walce, kwestia tu sprowadza się do siły przeciwników — siły fizycznej i duchowej. Pod wpływem przegranej w wojnie japońskiej i pod naciskiem ruchu rewolucyjnego, przy czym odsłoniła się cała zgnilizna rządów carskich, carat stracił całą siłę moralną, całą powagę, które posiadał w umysłach i sercach mnóstwa swych poddanych, nie utracił jednak w zupełności siły fizycznej — maszyny urzędniczej i administracyjnej i wojska. Te siły właśnie, jakkolwiek stale podminowywane przez rewolucję, carat rzucił na szalę wypadków, przeciwstawiając je dużej sile moralnej rewolucjonistów i słabej ich organizacji, mało uzdolnionej do podjęcia walki fizycznej. Kulą, bagnetem i nahajką zostało odniesione chwilowe zwycięstwo. Rewolucjonistom zabrakło siły moralnej, by tę ostatnią ostoję caratu — w o j s k o — usunąć spod jego władzy, jeśli nie w całości, to chociażby w wielkiej części, a siły fizyczne były zbyt słabe, by się mierzyć mogły z zorganizowaną i wytresowaną do boju siłą wojska.

W całej swej nagości przemoc wojskowa wystąpiła szczególnie u nas, w Polsce. Tu carat nigdy nie posiadał żadnej siły moralnej, tu zawsze trzymał w pogotowiu największą część swej armii, tu wreszcie ruch rewolucyjny najmniej mógł liczyć na podbicie wojska swą siłą moralną. Wojsko bowiem, obce otoczeniu ze względu na różnicę języka, religii, obyczaju, wreszcie sztucznie wychowywane w politycznej i rasowej niechęci do kraju podbitego, stanowi trudniejszy, niż gdzie indziej teren dla pracy rewolucjonistów. Tu więc wyraźniej, niż gdzie indziej, wystąpiła na jaw ta najbardziej charakterystyczna cecha rewolucji w państwie rosyjskim — jej bezsilność w walce fizycznej z przemocą. Wszystkie swe zwycięstwa rewolucja zawdzięcza sile moralnej, wszystkie porażki i klęski brakowi siły fizycznej.

Skąd jednak ten brak pochodzi, czemu go przypisać należy? Siła moralna rewolucji, a przede wszystkim awangardy rewolucyjnej — robotników — była długo przygotowywana poprzednio, w tych czasach, gdy o rewolucji praktycznie nikt nie myślał, gdy wydawała się ona daleką: w mglistych jedynie przedstawiała się zarysach. W pośród ciągłych prześladowań, w mrokach konspiracji, w pokryjomym, tajnym i ofiarnym życiu krzepła i rozwijała się potęga moralna ruchu robotniczego, która tak świetnie rozbłysła, tak szybko opanowała szerokie warstwy ludności w pierwszych dniach rewolucji. Siła

fizyczna, budowana dopiero w chwili stanowczej, budowana przeważnie dlatego, by natychmiast być użytą i zużytą, formowana w walce nie tylko z przemocą wroga, lecz i z poczuciem słabości, istniejącym w całym ruchu rewolucyjnym, — nie miała tego okresu przygotowawczego, który dał rewolucji siłę moralną. Nic dziwnego, że rewolucja była robiona więcej słowem, niż ramieniem, więcej cierpieniem własnym, niż zwycięstwem nad wrogimi siłami. Zrozumiałym jest, że wobec tego zdobycze ruchu rewolucyjnego były tak nikłymi, tak łatwymi do wycofania z obiegu życiowego.

Jeśli jednak ruch rewolucyjny w państwie rosyjskim, szczególniej zaś u nas, w Polsce, nie zdołał zmienić gniotących życie i jego rozwój form prawnych o tyle, by zapewnić minimum praw, odpowiadających stopie życiowej społeczeństwa pod względem ekonomicznym, politycznym i kulturalnym, możemy stanowczo twierdzić, że i próby walki rewolucyjnej nie są skończone. Wiemy więc, że chwilowy odpływ fali rewolucyjnej po doznanej porażce musi się zakończyć tym, że przypływ z coraz wzrastającą siłą uderzy w skałę caratu. I niech ludzie, nawet z pomiędzy towarzyszów niedawnej walki, osłabieni bojem, wyczerpani przebytym trudem, zbudowani z bardziej kruchego materiału i zdolni do życia tylko tym, co daje «dzisiaj» rewolucji — niech ci ludzie mówią, że walka skończona na długie, długie okresy czasu, że nastąpił czas powolnego przekształcenia życia drogą stopniowego jego rozwoju — my, silni wiarą w «jutro» rewolucji i jej zwycięstwo, nie możemy pozostać obojętni na naukę, wypływającą z jej «wczoraj».

Nauka zaś ta jest wyraźna, wypisały ją dzieje ubiegłych paru lat zgłoskami, z których każda — to jedna z porażek rewolucji. Nauka ta mówi: do zwycięstwa potrzebna jest moc fizyczna i umiejętność prowadzenia boju z fizyczną przemocą, którą carat na zdławienie ruchu rewolucyjnego wystawi. I jak niepodobna w krajach parlamentarnych nazwać świadomym tego socjalistę, który nie zdaje sobie sprawy z potrzeby użycia oręża parlamentaryzmu i nie potrafi sobie i innym wytłumaczyć, w jaki sposób tego oręża się używa, tak w kraju nieparlamentarnym, lecz bagnetowym, nie można nazwać nazwać uświadomionym tego socjalisty, który nie umie nic przeciwstawić bagnetowi, i nie wie, co mu przeciwstawić można, który na polu, gdzie bagnet panuje, nie potrafi walczyć.

Naukę tę muszą z przeszłości wysnuć wszyscy, którzy stawiają sobie ten czy inny cel polityczny. Bez względu bowiem, czy kto obniży swe wymagania w Polsce nawet do

utrzymania manifestu carskiego, nadającego Rosji konstytucję, czy też dążyć będzie do zdobycia konstytuanty lub zupełnej niepodległości kraju — każdy musi rozumieć, że bez poparcia swych dążeń walką z przemocą fizyczną caratu nie zdoła celu swego osiągnąć. Jedynie ci, którzy obawiają się konsekwencji własnych myśli, jedynie ci, którzy chwilowo czy na zawsze, obłudnie czy szczerze, zrzekają się oparcia w swych dążeniach na własnych siłach — jedynie ci mogą zamknąć oczy na naukę, wysnutą z życia politycznego w caracie, i marzyć o tym, by «pieczone gołąbki spadały im same do gąbki», lub czekać, by ktoś dla nich gorące kasztany z ognia wyjmował.

Lecz walka fizyczna w obecnych czasach, to nie zwykłe mocowanie się dwóch ludzi lub przekonanie się, czyja pięść jest silniejsza. Walka fizyczna — to pewna umiejętność, pewna wiedza, którą posiąść trzeba, by potem przez ćwiczenie odpowiednie dojść do wprawy stosowania jej w czynach. I, jeżeli kto mówi o konieczności walki z przemocą fizyczną, musi się do tej walki przygotować, musi sam się uczyć i innych uczyć. Naszym więc obowiązkiem jest wykorzystać obecną ciszę rewolucyjną w ten sposób, by do przyszłej walki jak najlepiej się przygotować, aby i tę przyszłość nie cechowała takaż sama bezsilność pod tym względem, jak niedawną przeszłość.

Niestety, minęły te czasy, gdy partia była w stanie — przynajmniej do pewnego stopnia — podjąć się tego zadania w sposób najlepszy, bo organizacyjny, to jest formując od razu z szeregów robotniczych partii organizację, zdolną nietylko do obrony swych dążeń słowem lub cierpieniem własnym, lecz i ramieniem w boju otwartym. Obecnie ograniczyć się musimy szerzeniem wiedzy o walce fizycznej z zorganizowaną siłą wojskową, by w ten sposób przygotować grunt dla przyszłej organizacji armii rewolucyjnej.

Skąd jednak naukę czerpać? Polska nie posiada uczelni, ani literatury odpowiedniej, jak więc do ludu pracującego, pragnącego siłą stanąć w obronie praw swoich, ma dojść ta konieczna dla niego wiedza i umiejętność? Jest to droga trudna bez wątpienia, lecz położenie polskiego robotnika, polskiego chłopa jest w ogóle takie, że łatwych dróg dla niego nie ma, że każdy krok swój naprzód okupywać musi mozołem i większą ofiarą, niż inny.

Przede wszystkim więc całe mnóstwo młodzieży naszej rok rocznie idzie do wojska i w tej psiej służbie pod batem nabiera różnych wiadomości o sposobach prowadzenia walki

fizycznej i otrzymuje sprawność bojową. Młodzież ta po kilku latach wraca, jako oficerowie, podoficerowie i żołnierze rezerwy. Rozsiani po całym kraju, w olbrzymiej większości proletariusze lub chłopi, mogą oni stać się nauczycielami tych, którzy ich szukają. Niech naukę, nabytą w czynnym podtrzymywaniu niewoli i ucisku, oddadzą tym, którzy o swobodę i ludzkie życie chcą walczyć, niech się staną przewodnikami wiedzy bojowej wśród ludu pracującego, a z pewnoscią olbrzymia praca przygotowawcza nad uświadomieniem ludu pod tym względem w wielkim stopniu będzie wypełniona.

Oprócz tego wyzyskać musimy doświadczenie, nabyte podczas ubiegłych paru lat naszej działalności bojowej. Walka ta, tak szeroko po kraju całym rozpowszechniona, tak głośna i tak widoczna dla całej masy ludzi, przyzwyczaiła i oswoiła tysiące i tysiące proletariuszy i chłopów z bojem, przełamała w naszych duszach słabość beznadziejną wobec przemocy fizycznej caratu i, chociaż nie odniosła zwycięstwa, dała jednak poczucie możliwości prowadzenia przez nas walki. Poza tym Organizacja Bojowa dla rozpowszechnienia wiadomości, potrzebnych do walki bojowej, rozpoczęła szereg wydawnictw, które mogą dać podstawę wykształcenia bojowego. Broszury te, wydane przez naszą partię, powinny znaleźć się w rękach wszystkich towarzyszy, którzy zdają sobie sprawę z zadań, jakie spadają na partię w przyszłości *).

Są to na razie jedyne drogi, którymi iść możemy w celu przygotowania siły bojowej przyszłych szeregów rewolucyjnych. Pewna praca w tym kierunku niechybnie da możność chwycenia się innych, bardziej skutecznych, środków. Dlatego też wzywamy wszystkich, którzy przeżyli i przeboleli bezsilność ruchu rewolucyjnego w latach ubiegłych, wszystkich, których pali rumieniec wstydu wobec przegranej rewolucji, tak pięknie rozpoczętej, niech rąk nie opuszczają, niech starają się przysporzyć przyszłej rewolucji ludzi, zdolnych do walki z przemocą.

---

*) Oto ich spis: 1. Komenda i musztra. 2. Pistolet Browninga. 3. Pistolet Mauzera. 4. Karabin wojska rosyjskiego. 5. Organizacja i służba wojska rosyjskiego. 6. Fortyfikacja. 7. Niszczenie broni wojska rosyjskiego. 8. O planach i mapach topograficznych. 9. Służba wywiadowcza. 10. Unieruchomienie komunikacji. 11. Materiały wybuchowe. 12. Nauka strzelania.

LIST DO WITOLDA JODKI-NARKIEWICZA

Oryginał tego listu znajduje się w Archiwum P. P. S. Podstawą do umieszczenia go w tym zbiorze jest prawie całkowite ogłoszenie w dziele Władysława Pobóg-Malinowskiego «Józef Piłsudski 1901—1908. — W ogniu rewolucji», str. 572—573. List ten był pisany w okresie przełomowym między koniecznością likwidacji Organizacji Bojowej a tworzeniem Związku Walki Czynnej.

Kraków, 25. V. (1908).

Mój drogi! Dzisiaj dopiero przemogłem siebie, by Ci napisać słów parę. Wyznam Ci bowiem otwarcie, że do żadnej gawędy nie mam zupełnie ochoty i chęci. Z jednej strony wyczuwam wszędzie brak zaufania do przyszłości beckiej [1]), z drugiej, gdy pomyślę o przyszłości i zacznę obliczać ludzi, to mi ręce chcą opadać. Jednym słowem gadać się nie chce i kwita. Czuję się teraz tak, jakbym z szerokiej drogi zszedł dla skrócenia jej na wąską dróżkę, która w dodatku zamienia się w ścieżynę i tu na tej ścieżynie zaskoczyła mię noc. Wiem dobrze, że ta szeroka droga, którą opuściłem, prowadzi do celu, lecz prowadzi bardzo i bardzo daleko, wiem i czuję, żem szedł skrótem i że na nim dotąd stoję, lecz, czy mi się siły nie wyczerpią przy przeczekiwaniu nocy, nie wiem. Wracać nie chcę i będę próbował i w ciemności iść do końca — końca czego, mnie i moich sił, czy ścieżki — oto pytanie, które stoi przede mną i które rozstrzygnąć musi najbliższa przyszłość. Tym skrótem jest dla mnie becja i wszystko, co z nią jest związane.

Pytasz, czy jesteśmy zdolni do tego lub owego. Jesteśmy zdolni jedynie do dopadnięcia resztkami sił do czegokolwiek większego [2]). Uda się, dobrze! Można rozpocząć na nowo budowę różnych rzeczy. Nie uda się — no to koniec i basta. Do żadnych politycznych rzeczy nie mamy sił i możności — to fakt.

Co do «Zorzy» [3]). Mam dwie rady: a) Walka z moskalo-

[1]) Beckiej — w gwarze partyjnej — bojowej, odnoszącej się do Organizacji Bojowej.

[2]) Mowa tu o przygotowywanej większej akcji bojowej (Bezdany), której zdobycz pieniężna umożliwiłaby wejście na nową drogę w postaci organizowania przygotowań technicznych do przyszłej walki zbrojnej o charakterze militarnym.

[3]) «Zorza» — przezwisko konspiracyjne «Przedświtu», organu teoretycznego P. P. S., redagowanego w tym czasie przez Witolda Jodkę. Jodko wprowadził do «Przedświtu» dział sprawozdań literackich, co

filizmem wszelkim — postępowym, socjalistycznym, endekowskim, b) nie zamieszczaj literackich rozpraw w ogóle, w szczególe Weisberga. Są to, mój drogi, absurdy, dobre dla «Głosu» lwowskiego, ale nie dla szanującego się pisma, jest to licho wie co i to stanowczo zarzuć. Co do pierwszego, to wydaje mi się to jeszcze jedyną poważniejszą kwestią polityczną, na której możemy wypłynąć, a materiałów do tego życie dostarcza masami. Polityka Dumy i rządów co do kresów, ruch rosyjski itd. Jest to przeciwstawienie się polityce germanofobskiej i dlatego moskalofilskiej, jaka jest obecnie w modzie w Polsce, a która wobec prześladowań rządowych u nas coraz mniej znajdować będzie zwolenników. Bardzo rad z tego powodu jestem z mowy Ignacego [1]). Nie włóczę się teraz bardzo po kraju i — otwarcie ci mówię — nie chcę myśleć o polityce, unikam nawet rozmów o tym, bo te niechybnie zaczepiają o drażliwą dla mnie kwestię — jak, a ja tej na razie rozstrzygać nie potrafię. Więc ci nic powiedzieć nie mogę. Chciałbym za pewien czas rozmawiać inaczej — weselej i obszerniej, ale to przyszłość, a teraźniejszość to taka, że — powtarzam — gadać mi się o niej nie chce. Więc bywaj zdrów.

Wyjeżdżam jutro rano.

Tw[ój]
Zi[uk].

LIST DO FELIKSA PERLA

W tomie II «Pism — Mów — Rozkazów» na str. 309—310 przedrukowano wyjątki z tego listu z broszury Ignacego Daszyńskiego «Wielki człowiek w Polsce». Wymieniono przy tym mylnie I. Daszyńskiego jako adresata. W rzeczywistości list był pisany do dra Feliksa Perla. W całości list ten został zacytowany po raz pierwszy przez Władysława Pobóg-Malinowskiego w pracy jego «Akcja bo-

---

zostało przyjęte niezadowoleniem kół partyjnych. Edmund Weisberg, współpracownik lwowskiego organu Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska — «Głosu» — umieścił w «Przedświcie» dwa sprawozdania — z «Dziejów grzechu» St. Żeromskiego i z «Jaskółki» G. Daniłowskiego.

[1]) Mowa Ignacego Daszyńskiego w parlamencie wiedeńskim, wygłoszona 21 maja 1908 r. na temat stosunków polsko-ukraińskich w Galicji, z powodu zamordowania namiestnika austriackiego hr. Andrzeja Potockiego przez terorystę ukraińskiego Mirosława Siczyńskiego. Daszyński w tej mowie piętnował rusofilską politykę Narodowej Demokracji i stwierdzał, że w zaborze rosyjskim «chwycić za broń jest nie tylko moralnym prawem, lecz i obowiązkiem».

jowa pod Bezdanami», Warszawa 1933, str. 27—29 na podstawie odpisu z oryginału, otrzymanego od dra Kazimierza Świtalskiego. List ten był pisany w okresie ostatecznych przygotowań do wyprawy bezdańskiej, we wrześniu 1908 r.

Do Felka
lub tego, co mój nekrolog pisać będzie.

Mój Drogi! Niegdyś obiecywałeś mi, że napiszesz śliczny nekrolog, gdy diabli mnie wezmą. Teraz, gdy idę na wyprawę, z której może nie wrócę, posyłam Ci swoją kartkę, jako nekrologiście, z małą prośbą. Nie idzie mi, naturalnie, o to, bym Ci miał dyktować ocenę mojej pracy i życia — nie! — masz pod tym względem zupełną swobodę, proszę tylko o to, byś nie robił ze mnie «dobrego oficera lub mazgaja i sentymentalistę...», tj. człowieka poświęcenia, rozpinającego się na krzyżu dla ludzkości, czy czego tam. Byłem do pewnego stopnia takim, lecz było to za czasów młodości górnej i chmurnej. Teraz nie, to minęło i minęło bezpowrotnie — te mazgajstwa i krzyżowanie się dokuczyło mi, gdym na to u naszych inteligentów patrzył — takie to słabe i beznadziejne! Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to u b l i ż a — słyszysz! — ubliża mi, jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą. Niech inni się bawią w hodowanie kwiatów czy socjalizmu, czy polskości, czy czego innego w wychodkowej (nawet nie klozetowej) atmosferze — ja nie mogę! To nie sentymentalizm, nie mazgajstwo, nie maszynka ewolucji społecznej, czy tam co, to zwyczajne człowieczeństwo. Chcę zwyciężyć, a bez walki i to walki na ostre, jestem nie zapaśnikiem nawet, ale wprost bydlęciem, okładanym kijem czy nahajką. Rozumiesz chyba mnie. Nie rozpacz, nie poświęcenie mną kieruje, a chęć zwyciężenia i przygotowania zwycięstwa.

Ostatnią moją ideą, której nie rozwinąłem jeszcze nigdzie, jest konieczność w naszych warunkach wytworzenia w każdej partii, a tym bardziej naszej, funkcji siły fizycznej, funkcji, że użyję tak nieznośnego dla uszu «humanitarystów» określenia (histeryczne panny, nie znoszące drapania po szkle, ale znoszące pranie ich po pysku) funkcji p r z e m o c y b r u t a l n e j. Tę ideę chciałem przeprowadzić w swojej działalności ostatnich lat i przyrzekłem sobie, że albo swoje zrobię, albo zginę. Zrobiłem już dosyć dużo w tym kierunku, ale za mało, by móc wypocząć na laurach i zająć się serio przygotowaniem bezpośrednim do walki, i teraz stawiam siebie na kartę.

I jeszcze parę słów o tym. Wiesz, że jedynym wahaniem

moim jest, że oto ja zginę przy ekspropriacji i ten fakt chcę wyjaśnić. Pierwsze — to sentymentalizm. Tylem ludzi na to posyłał, tylem przez to posłał na szubienicę, że w razie, jeśli zginę, to będzie naturalną dla nich, dla tych cichych bohaterów, satysfakcją moralną, że i ich wódz nie gardził ich robotą, nie posyłał ich jedynie jako narzędzia na brudną robotę, zostawiając sobie czystą. To raz. Drugie — to surowa konieczność. Moneta! niech ją diabli wezmą, jak nią gardzę, ale wolę ją brać tak, jak zdobycz w walce, niż żebrać o nią u zdziecinniałego z tchórzostwa społeczeństwa polskiego, bo przecie jej nie mam, a mieć muszę dla celów zakreślonych. Chcę właśnie sobą, którego nazywano i szlachetnym socjalistą, i człowiekiem, o którym nawet wrogowie paskudztwa głośno nie powiedzą, człowiekiem zresztą, który ma trochę zasługi w kulturze ogólno-narodowej, podkreślić tę gorzką bardzo prawdę, że w społeczeństwie, które walczyć o siebie nie umie, k t ó r e cofa się przed każdym batem, spadającym na twarz, l u d z i e ginąć muszą nawet w tym, co nie jest szczytnym, pięknym i wielkim. No, to tyle. A teraz buzi, chłopcze, Tobie i wszystkim Wam, starzy druhowie, z którymi się przemarzyło tyle, przeżyło jeszcze więcej i kochało się dobrze.

Twój i ich

Ziuk.

SKOROWIDZ NAZWISK [1])

Abramowski Edward **212**
Achilles 250
Aleksander II 16, 29
Aleksander III 31, 52

Bacewicz 155—157
Baj zob. Jędrzejowski B. A.
Bakunin 31
Baldwin-Ramułt Ludwik **277**
Bartłukajtis 75
Bartoszewicz Stefan **275**
Bebel August **119**
Bestużew-Rjumin 243
Beuth Józef **53**
Błażejewicz Maciej **191**
Boerner Ignacy **6**, 274—278
Bolek zob. Jędrzejowski B. A.
Bujno Adam 244
Bujwid Odo **276**

Chrzanowski **247**
Cooper 74
Czarkowski Bolesław **240**, 241
Czernyszewski Mikołaj **49**
Czertkow 246, 248
Czetwertyński 248

Daniłowski Gustaw **298**
Daszyński Ignacy **2**, **3**, **54**, 278, **298**
Dąbkowski Mieczysław **283**
Dąbrowski Marian **283**
Dębski Aleksander 244
Diamand Herman **275**, 276
Dickstein Szymon **51**
Dmowski Roman **45**
Dobiecki 242, 248
Dobrolubow Mikołaj **49**
Dzwonkowski Włodzimierz **7**

Edward III zob. Dąbrowski Marian
Eile Henryk **274**
Ezop 211

Farmunda 259, 260
Filipowicz Tytus **3**, **5**
Fułłon 247

Gnoiński 66, 129, 134, 135
Gomulińska **167**
Górski 248
Groszkowski Ksawery zob. Bartoszewicz Stefan
Gumplowicz Cecylia **276**
Gumplowicz Władysław **276**
Gutenberg 123, 134, 135

Hauptman 121
Hausner 248
Heflich **167**
Hercen 31
Hertz Wilhelm **275**
Herzel Teodor 215
Hryniewiecki Ignacy 16

Iłowajski 280
Imeretyński 11, 57, 62, 65
Iwanienko 10
Iwaniukow Iwan **49**

Jahołkowska **167**
Jan zob. Sachs Feliks
Jerzy zob. Bujno Adam
Jędrzejewski Stanisław **274**, **283**
Jędrzejowski B. A. **286**
Jodko-Narkiewicz Witold **5**, 282—287, 297, 298
Juliusz zob. Perl Feliks

[1]) Stronice wydrukowane tłustymi czcionkami odnoszą się do części redakcyjnych.

Kaczura Tomasz **243**
Kalita 262
Karol zob. Rożnowski Kazimierz
Karolek zob. Rożnowski Kazimierz
Karnakowski 247
Katarzyna II 26
Katkow 31
Kawakami 3
Konisski 66
Kościuszko Tadeusz 27
Krauz Kazimierz **99**
Krapotkin Piotr 257
Krasiński Zygmunt 46
Kruszewski **167**
Kryczenko 11
Krzywicki Ludwik **167**
Kulczycki Ludwik **280**

Landy Stanisław **53**
Laveley Emil **49**
Lekert Hirsz **39**
Leliwa zob. Tyszkiewicz Antoni
Lenin **7**
Leon zob. Czarkowski Bolesław
Leon zob. Wasilewski Leon
Leszczyński S. **167**
Lewandowscy **1**
Lichaczow 247
Liebknecht Wilhelm 51
Limanowski Bolesław 65
Lipiński Wacław **287**
Luśnia Michał zob. Krauz Kazimierz

Ławrow Piotr 50

Malinowski Aleksander **279**—282, **284**, 287
Malinowski-Pobóg Władysław **4**, **7**, **239**, **249**, **282**, **297**, **298**
Marburg **167**
Markgrafskij 247
Marks Karol **51**, 52, 172
Mayne-Reid 74
Mazowiecki Mieczysław zob. Kulczycki Ludwik
Michalski **167**
Michajłowski Mikołaj **50**
Michałowski Leon 164—167
Michałek zob. Michałowski Leon
Michels 286
Mickiewicz Adam 27, 28, 47, 65
Mienkin 246
Mikołaj I 29, 134
Miller 235
Mirski 33, 39, **214**, 215
Młot Jan zob. Dickstein Szymon
Mortkowicz **167**
Mościcki Ignacy **276**
Murawjew 26, 34, 47, 68, 214

Nadieżdin L. zob. Zieliński Eugeniusz
Namysłowski 215
Napoleon I 46
Niemcewicz Julian 58
Niemojewski Andrzej **167**
Nowicki Józef **55**

Oboleński I. M. **243**
Orłow 134
Orzeszkowa Eliza 197

Pacewicz 157
Paweł zob. Dąbkowski Mieczysław
Perl Feliks **5**, **141**, **240**, 298—300
Pierściński Julian **274**
Pietkiewicz Kazimierz **17**
Piltz Erazm 242, 248
Piłsudska Maria 46
Piłsudska z Koplewskich Maria **1**, **120**, 129, 131—133, 139, 276, 287
Piłsudski Bronisław 52
Piłsudski Józef (ojciec) 46
Pisarew Dymitr **49**
Potocki Andrzej **298**
Prokrust 136

Radziwiłł Maciej 248
Rodziewiczówna Maria 197
Roland zob. Jędrzejewski Stanisław
Rożnowski Kazimierz 130—132, 134—136, 138—140, 143
Ryszard zob. Jędrzejewski Stanisław

Sachs Feliks **240**
Sempołowska Stefania **167**
Siczyński Mirosław **298**
Sienkiewicz Henryk 197
Skarżyński 248
Słowacki Juliusz 46, 47, 66
Snitko 214
Sokolnicki Gabriel **275**
Sokolnicki Michał **275**
Spencer Herbert **52**
Stachowski 276
Stark 245
Sulkiewicz Aleksander **86**, 87, 89-104
Szczedryn 78, 178
Szczurowski 169

Szlenkier 234
Śliwiński Artur 5, 263
Śliwiński Hipolit 275
Świtalski Kazimierz 299

Tołstoj 121
Tomicki Józef 277
Turzyma zob. Wiśniewska Maria
Tyszkiewicz Antoni 62
Tyszkiewicz 26

Wahl von 39
Wasilewski Leon 6, 244, 249, 287, 292
Weisberg Edmund 298
Weiser Józef 275, 277, 278
Wielopolski 248
Wiśniewska Maria 286
Wiśniewski Antoni 127
Witold ks. 220, 221
Witte 89, 90, 92, 94—101, 104, 200
Władek zob. Malinowski Aleksander
Wojciechowski Stanisław 128, 280
Wyspiański Stanisław 58, 287

X. zob. Sulkiewicz Aleksander

Z. zob. Witte
Zabłocki 262
Zieliński Eugeniusz 7
Zieniec 10
Zych Maurycy zob. Żeromski Stefan

Żeromski Stefan 58, 298

SKOROWIDZ MIEJSCOWOŚCI

Archangielsk 288, 290
Astrachań **49**

Bezdany **282,** 299
Będzin 202
Białystok 40, 108, 109, 127, 232
Borysław 274
Bruksela **49, 283**
Brześć Litewski 145, 180
Busk 105

Charków 50, 51, 192, **243**
Chicago 75
Częstochowa 105, 110, 111, 190, 193
Czysto-Łuża **1**

Darmsztadt 274, 278
Dąbrowa Górnicza 85, 110, 126, 127, 139, 173, 182, 183, 189, 193, 202, 207

Frankfurt n/Menem **274**
Fryburg **276**

Genewa **7, 51**
Grodno 26, 43, 109, 252

Huta Bankowa 126, 235

Irkuck 289, 290

Jakuck 290
Jasło 111
Jekaterynosław 41
Jurborg 72

Kalisz 85
Kalwaria 191
Karlsruhe 275
Kielce 10, 202
Kijów **1,** 125, **128,** 246
Kireńsk 289
Kiszyniew **215**
Konstantynopol 32
Kowno 13, 26, 40, 43, 75, 109, 114, 161, 215, 221, 252
Kraków **1—5, 17, 28, 45, 51, 54,** 57, 94, 95, 102, 103, 111, 232, **244, 274,** 276—280, **286,** 297
Krasnojarsk 290
Królewiec 114, 115

Libawa 104
Lipsk **62**
Liverpool **3**
Londyn **1—3, 7, 17,** 61, 63, 96, **128,** 176, 212, **279, 280,** 292
Lwów **1, 2,** 111, **244,** 274—277, 284, 298

Łódź **55,** 104, 127—131, 139, 140, 143, 146, 147, 173, 174, 185, 197, 198, 204, 247, 258, 263, **279, 284**

Minusińsk **191**
Mińsk Litewski 252
Mohilew 252
Moskwa **7,** 12, 38, 60, 270

Norymberga 134
Nowy Jork **3,** 75, **244**
Nowy Sącz 111

Odesa 245, 246
Ostrowiec 203, **274,** 276, 278, **287**

Pabianice 174, 175
Paryż **49, 50**
Petersburg **1,** 7, 29, 38, 41, 45, 48, **50,** 52, **55,** 60, 89, 116, 122, 214, 240, 241, **244,** 246
Piotrków 109—111, 235
Piter zob. Petersburg
Połtawa 192
Port Artur 245

Radom 11, 99, 127, 161, 203, 270
Rewel **1**
Rosienie 75
Ryga **1,** 41, 114, **240,** 270
Rzeszów 233

Samara 60
San Francisco **3**
Saratow **49**
Sasów **275,** 277, 278
Sosnowiec 15, 173, 247
Stanisławów 111
Stryj 111
Suwałki 221

Taurogi 72
Tobolsk 290
Tokio **3, 249**
Tomaszów **1,** 143
Tomsk 290
Tunka 289

Ufa 112

Warszawa 10, 15, 43, 48, 50, **53,** 63, 66, 69, 80, 85, 89, 90, 93, 94, 98—101, 108—112, 118, 126, 131, 139, 140, 151, 160, 165, 167, 170, 173, 178, 182, 185, 191, 195, 197, 199, 203, 204, 206, 227—232, 234, 240—242, 244, 246, 247, 258—263, **274—276,** 278, **279,** 287, 299
Wiatka 288, 290
Wiedeń **2, 298**
Wierzbołowo 114, 115
Wilno 17, 26, 33, 39—41, 43, 45, 48, 49, 51, 53, 75, 108, 109, 112, 114, 139, 165, 166, 191, 210, 214—216, 221, 242, 252, 262
Wilujsk **49**
Witebsk 252
Wołogda 288, 290

Yokohama **3**

Zakopane **1,** 274, 282, 286
Zamość **1**
Zawiercie 193
Złoczów 278

Żyrardów 172

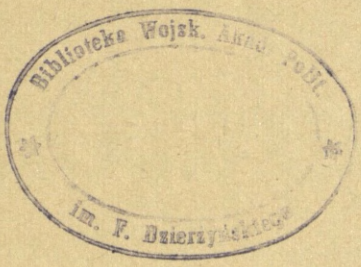
SPIS RZECZY TOMU II

Wstęp 1
Samowładczy gospodarze Polski 7
Artykuł z «Walki» z października 1902 r. 17
O patriotyźmie 22
Rusyfikacja 28
Artykuł z «Walki» z marca 1903 r. 33
W sprawie rzemieślniczej 40
Jak stałem się socjalistą 45

WALKA REWOLUCYJNA W ZABORZE ROSYJSKIM («BIBUŁA»)
Wstęp 55
Trochę historii 57
Granica i zieloni 70
Trzecia linia graniczna 107
Tajne drukarnie 123
Cyrkulacja bibuły. Składy 148
Kolporterka 183
Zakończenie 210
Artykuł z «Walki» z listopada 1903 r. 214
Nasze stanowisko na Litwie 218
Kwestia żydowska na Litwie 223
Konferencja warszawska 227
Strajki pod caratem 231
List do Komitetu Zagranicznego P. P. S. 239
Memoriał złożony ministerstwu spraw zagranicznych w Tokio . . 249
Ze wspomnień 258
Polityka walki czynnej 263
Deklaracja delegatów ustępujących z dziewiątego Zjazdu Polskiej Partii Socjalistycznej 271
Listy do Ignacego Boernera 274
Przedmowa do «Materiałów do historii P. P. S. i ruchu rewolucyjnego w zaborze rosyjskim od roku 1893 do roku 1904» . . 279
List do Witolda Jodki-Narkiewicza 282
Pomoc dla wygnańców 287
Jak się mamy gotować do walki zbrojnej 292
List do Witolda Jodki-Narkiewicza 297
List do Feliksa Perla 298
Skorowidz nazwisk I
Skorowidz miejscowości V

BIBLIOTEKA NARODOWA


MIN. INF. I PROP.


Biblioteka Wojsk. Inst. Polit.
im. F. Dzierżyńskiego

Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej
35219/2 t.2
12-035219-002-0